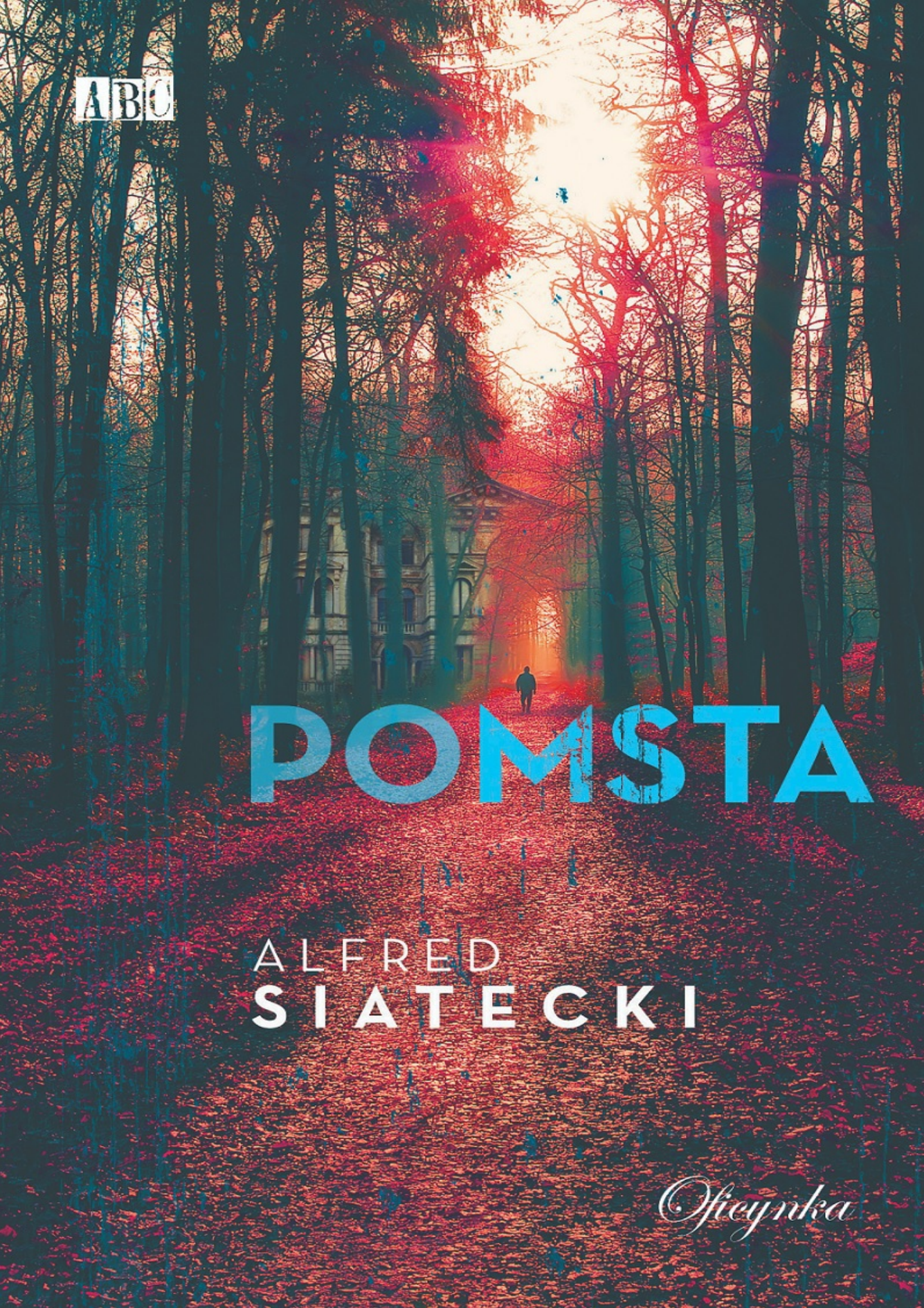
ABC
POMSTA
ALFRED
SIATECKI
Sfinks

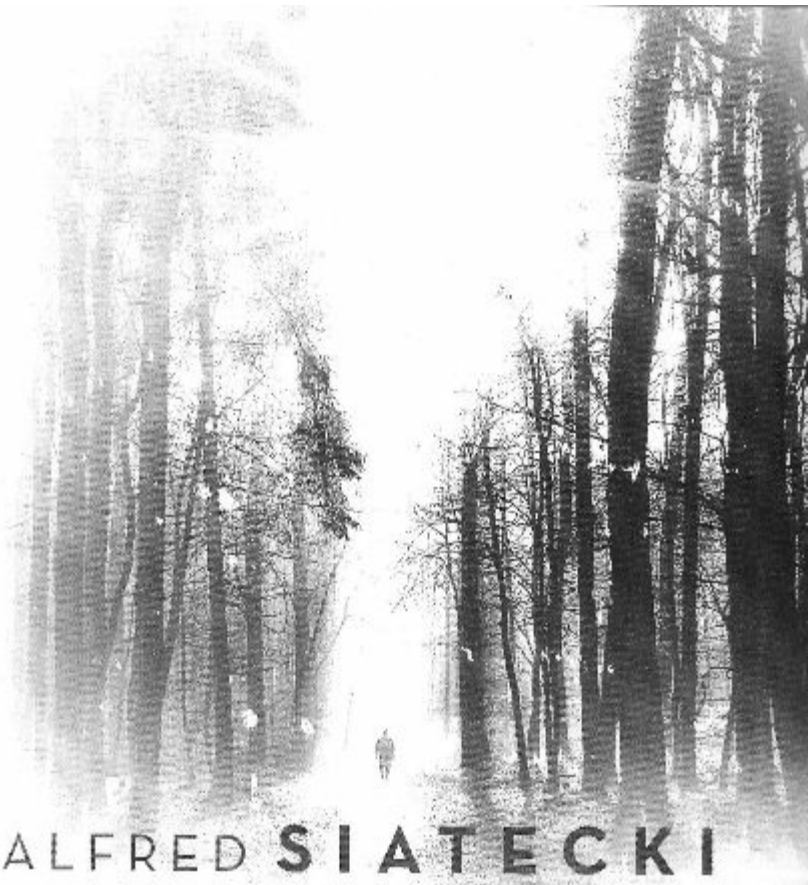

ALFRED SIATECKI

POMSTA

Oficynka

Spis treści

Strona tytułowa
Motta

PROLOG - Trzydzieści jeden lat temu
CZĘŚĆ 1 - Tak zdecydował prokurator
CZĘŚĆ 2 - Trwa śledztwo dziennikarskie
CZĘŚĆ 3 - Sprawca, ale czy to ten?
EPILOG - Drugie umorzenie

PODZIĘKOWANIA
Przypisy
Propozycje

Jest to szatan w ludzkim ciele, ale szatan, który krzyżem leżąc, się modli, a jutro nieprzyjaciela zgniecie jak muchę i nie będzie miał zgryzoty najmniejszej. Przy tym słodki, miły i ujmujący do najwyższego stopnia.

Józef Ignacy Kraszewski, *Brühl*

Nigdy nie zabijaj kogoś, kogo będą szukać.
Nigdy nikomu nie mów o swoich planach.
Nigdy nie zabijaj w pobliżu miejsca poprzedniego zabójstwa.
Nigdy nie zabijaj kogoś, kto ma dzieci.
Nigdy nie zabijaj nikogo ze swojej rodziny.

Gregg Olsen, *Szósta ofiara,* przekład J. Ochab

PROLOG

Trzydzieści jeden lat temu

Wicina, pole namiotowe w pobliżu grodziska, połowa lata

– Wszystko widziałem, wujku – odezwał się Grzesiek zaczepnym głosem.

Stefan Pośledni, mimo że jeszcze nie spał, milczał. Nawet nie mruknął. Przykryty kocem aż po głowę, zacisnął pięści i bez ruchu leżał na materacu, trawiąc to, co usłyszał. Grzesiek mógł widzieć? Pewnie zobaczył mnie z Czesią, pomyślał. Gdzie? I kiedy?

Tak się starał, żeby nikt nie widział, dokąd co wieczora prowadzi Czesię, a ten gówniarz jednak go podpatrzył. Muszę bardziej uważać, zdecydował. „Co wie Grześ, to i cała wieś", przypomniało mu się powiedzonko dziadka. Zeby gówniarz nie wygadał się przed swoją matką, a ta nie powtórzyła mojej żonie. Może porozmawiać z nim na ten temat? Jest prawie dorosły, powinien więc zrozumieć.

– Wszystko widziałem, wujku – powtórzył Grzesiek, tym razem z wyraźnym ostrzeżeniem w prawie już męskim głosie.

– Którędy nalazło tyle komarów? – spytał Pośledni, udając, że są ważniejsze sprawy niż to, co widział Grzesiek. – A przecież rano prosiłem, żebyś na dzień zasuwał zamek naszego namiotu. Zapomniałeś? Trudno, stało się. Będziesz w sklepie, to poproś o coś na komary.

– Wszystko widziałem, wujku – trzeci raz odezwał się Grzesiek. Spodziewając się zaprzeczenia ze strony Pośledniego, natychmiast dodał: – Dobrze widziałem, jak chowałeś to do kieszeni.

Chwała Bogu, że nie o Czesi, ucieszył się Pośledni. Westchnąwszy głęboko, spytał:

– Coś schowałem, Grzesiu?

– Schował wujek do kieszeni to, co podprowadził.

– Czyżbym coś podprowadził? – Pośledni udał, że nie rozumie.

– Widziałem.

– Wydawało ci się, drogi Grzesiu.

Pośledni ściągnął z wieszaka przepoconą koszulę, narzucił ją na głowę, żeby nie słyszeć brzęczenia komarów, ale pomimo to nie mógł zasnąć. Jeżeli Grzesiek dziś zauważył, że schowałem zapinkę do kieszeni, to może wczoraj widział paciorki. Przedwczoraj szpilę. Wcześniej fragment naszyjnika, grociki, figurkę. A może gówniarz niczego nie widział, tylko gdzieś usłyszał albo przeczytał, że archeolodzy napychają swoje kieszenie częścią tego, co znajdą na wykopaliskach? Nie daj Boże, żeby grzebał w moim plecaku. Gnojek pieprzony. Trzeba na niego uważać. Z siostrzeńcami, bratankami i wszelkiej maści krewniakami zawsze są problemy. Nie bez powodu mówi się, że najlepiej wychodzi się z nimi na zdjęciu. Nauczyciele przekonują ich, że wszystko, co człowiek znajdzie na drodze, przed sklepem, przy kościele, powinien oddać właścicielowi zguby, a jeżeli to nie jest możliwe, zanieść na policję lub na plebanię, w ostateczności do sekretariatu szkoły. Gdyby wszyscy archeolodzy przestrzegali tej zasady, nieżyciowy Grzegorzu, siostrzeńcu mojej żony, żadnego nie byłoby stać nawet na rozpadającego się ze starości trabanta. No, może z wyłączeniem tych nielicznych szczęściarzy, którzy ożenili się z córkami mechaników, dentystów, kwiaciarek czy jeszcze bardziej nadzianych badylarzy. Archeolog, taki świeżo po uniwersytecie, faktycznie wszystko, co wygrzebie z ziemi, własnymi rękami oczyści z piachu, wymyje i zakonserwuje tak, żeby radowało oczy. Nawet dorobi brakujące fragmenty i dopiero wtedy zaniesie je do muzeum. A jak już się nacieszy tym, co znalazł i co z nim zrobił, co zabalsamowane kurzy się w nieszczelnych gablotach i co widziały osoby bywające w muzeach jedynie wtedy, gdy leje z nieba, na co nie zwrócili uwagi archeolodzy tacy sami jak on, wtedy zaczyna myśleć inaczej. Kogo poza przypadkowymi turystami

interesują starocie uwięzione w muzeach? Co innego, gdy takie przedmioty dostaną się do kolekcji zbzikowanych hobbystów. A jeszcze lepiej milionerów, którym się wydaje, że skoro biblijny Set żył dziewięćset dwanaście lat, Enosz miał dziewięćdziesiąt lat, kiedy jego żona urodziła Kenana, a stosześćdziesięciodwuletni Jered spłodził Henocha i jeszcze przez osiemset lat stawiał swoje stopy na ziemi, to są nieśmiertelni i należy do nich świat od Arktyki do Antarktydy.

Nie powstałoby Muzeum Pergamońskie w Berlinie, gdyby Carl Human w tajemnicy przed Turkami nie kazał wywozić do Niemiec tego, co podczas budowy drogi wykopali robotnicy na przedmieściach Bergamy. Czy Heinrich Schliemann dostał zgodę tureckich urzędników na przetransportowanie skarbu mitycznego króla Priama z Troi na berlińską Wyspę Muzeów? A kogo przekupił egiptolog Ludwig Borchardt, żeby popiersie pięknej Nefertiti, królowej starożytnego Egiptu, stanęło w Nowym Muzeum w Berlinie i wabiło turystów z całego świata? Pod pozorem prowadzenia poszukiwań skarbów odległej przeszłości od początku dziewiętnastego wieku niemieccy archeolodzy okradali cmentarzyska wokół Morza Śródziemnego. To samo robili Anglicy i Francuzi, Hiszpanie i Włosi, Holendrzy, Belgowie, Rosjanie, Austriacy, Węgrzy, Czesi. Podbite państwa Niemcy rabowali jeszcze w latach drugiej wojny światowej. Ich metodą zdobywania zabytków zarazili się Ruscy i kontynuowali ją długo po zakończeniu konferencji pokojowej w Poczdamie w 1945 roku.

Po co daleko szukać? Gdy w 1882 roku August Lauschke, chłop z Witaszkowa koło Gubina, które wtedy nazywało się Vettersfelde, wyorał pługiem złote przedmioty na swoim polu, nie miał pojęcia, że jest to skarb scytyjski sprzed trzech tysięcy lat, dlatego wszystko zawiózł do pałacu księcia Heinricha von Schónaicha-Carolatha. Skrupulatny kustosz z Antikensamlung w Berlinie opisał jedynie te pięć kilogramów wyrobów, które książę rozłożył przed nim na stole. Ile cacek zostało w pałacu, tego żaden nawet najdoskonalszy śledczy

już nie ustali. A czy pastor Felix Hobus z gminy ewangelickiej w Dechsell, która dziś jest parafią rzymskokatolicką Podwyższenia Krzyża Świętego w Deszcznie, nie dorobił się majątku na antykach z czasów ludności kultury łużyckiej? Fritz Buchholz byłby ubożuchnym archiwariuszem w przedwojennym Gorzowie, gdyby nie przyjeżdżał do okolicznych wiosek i nie odkupywał od chłopów tego, co wygrzebali na swoich polach, a potem z wielkim zyskiem sprzedawał to kolekcjonerom i muzeom w Berlinie. Nie ma lepszego sposobu na wzbogacenie się, jak naśladowanie Bucholza, Hobusa, Humana, Borchardta i setek im podobnych historyków. To jedyna metoda, żeby szybko się dorobić. Złodziejska? Wiedzą o tym jedynie ci, którzy to odkryli.

Przed śniadaniem Grzesiek jest gotów pójść do Adama i mu podpowiedzieć, żeby sprawdził, co schowałem w plecaku. Nie uda się, gnojku pieprzony, zaraz wszystko wywiozę do Zielonejgóry, jeszcze w nocy zdecydował Pośledni. Nikt spośród tych, którzy na kolanach, zgarbieni grzebią w Wicinie, nie dowie się, co jest w moim plecaku i jaką ma wartość.

Gdy rano Pośledni się obudził, Grzesiek jeszcze spał ułożony na prawym boku. Odrzucił koc na bok, usiadł na materacu, lewą rękę wyciągnął po okulary, prawą włączył radio zawieszone nad głową. Tak zaczynał każdy dzień na wykopalisku.

– Zawsze gdy byłem u stryjenki w Brodach, widziałem coś, co może zaciekawić takiego ważnego archeologa jak wujek – odezwał się Grzesiek, również siadając na materacu. W domu jeszcze by spał, a tu punktualnie o ósmej trzydzieści musi przygotować śniadanie dla całej ekipy odkrywców. Potem ma pozmywać szklanki i talerzyki, w sklepie w Wicinie kupić chleb i konserwy na obiad, kolację i jutrzejsze śniadanie. I dopiero wtedy będzie mógł podpatrywać archeologów.

– Wokół Gubina jest tyle interesujących miejsc, że ty po studiach i jeszcze kilka pokoleń historyków będzie miało gdzie szukać dowodów zamierzchłej przeszłości – powiedział jakby od niechcenia

Pośledni. W głowie miał rozwinięte pytanie o to, co Grzesiek widział w Brociach. – Dąbrowski zapuścił korzenie w Krośnie, a Kołodziejski przy pomocy Marcinkiana zaczął badać grodzisko w Wicinie. Kiedy przejdą na emeryturę, a to coraz bliżej, ja przejmę dyrekcję instytutu. Po mnie Bartek Gruszka, który do tego czasu zrobi habilitację. Po nim następny absolwent zielonogórskiej archeologi. Niewykluczone że i ty, Grzesiu. W razie czego możesz liczyć na moje wsparcie. Jesteśmy rodziną. Musimy sobie pomagać.

– Stryjenka mówiła, że po wojnie, gdy dziadkowie przyjechali do Brodów, to w domu, który im przydzielono, po Niemcach zostały nie tylko łóżka z pierzynami i poduszkami, ale nawet talerze i kubeczki, a w piwnicy były półki pełne weków. I pałac stał calusieńki. Nikt go nie pilnował, to każdy brał, co mu się spodobało. Jedni wynosi krzesła, drudzy chodniki i dywany, inni żyrandole. Dziadek za późno dowiedział się o szabrowaniu pałacu. Zdążył wynieść jedynie naczynia. Niektóre takie, że babka nie wiedziała, co z nimi zrobić. Wstawiła do kredensu, bo ładne, z porcelany. Na każdym był namalowany ptak z długą szyją. Jakby bocian.

– Serwis Łabędzi hrabiego Brühla! – wykrzyknął Pośledni, przerywając Grześkowi. To największy na świecie i najcenniejszy zestaw naczyń z biatego złota, jak się określa porcelanę miśnieńską, wykonany w połowie osiemnastego wieku przez mistrzów z Saksoni na zamówienie pierwszego ministra władców saskich i królów polskich. Do zakończenia drugiej wojny światowej jego większa część znajdowała się w pałacu w Brodach. Chciał powiedzieć, że za jeden element z tej zastawy można kupić nowego mercedesa, ale ugryzł się w język. Jeszcze gówniarz weźmie sobie to do serca i na własną rękę zacznie szukać labądków, jak historycy nazywają serwis.
– A dużo takich naczyń ma stryjenka? – spytał jakby z lekceważeniem i bez zainteresowania.

– W kredensie stała jedna miska. Jak dziś pamiętam, że obok niej leżało coś, jakby obręcze z wypukłymi główkami ptaków. Takie pierścienie.

– Serwetniki.

– Stryjenka mówiła, że gdy ksiądz pierwszy raz przyszedł po kolędzie, to postawiała na stole świecznik z ptakami. Ksiądz powiedział, żeby więcej tego nie robiła.

– A mógłbyś pochodzić po Brodach i popytać, kto jeszcze ma coś z pałacu?

– Wujku, jestem Stonoga, a nie powsinoga.

Po południu jadę do Brodów, bez namysłu postanowił Pośledni i klepnął Grzegorza w ramię. Tak robił każdego dnia.

Grzesiek miał na końcu języka, że obserwował Pośledniego wieczorami, kiedy on wyprowadzał Czesię do lasu. Skradał się za nimi. Podglądał, a właściwie podsłuchiwał.

Jemu też Czesia się podobała. Uznał to jednak za męską tajemnicę. W razie gdyby wujek próbował go oszukać, będzie miał na niego haka. Już dawno zaplanował, co kupi za te pieniądze, które zarobi na wykopaliskach podczas wakacji.

A gdybym powiedział wujkowi, że widziałem go z Czesią w lesie? Mogę milczeć, ale nie za darmo. Uzna to za szantaż?

– Wszystko widziałem, wujku.

– Ty znowu?

– Mogę milczeć, co będzie wujka kosztowało.

– Ile?

– Nie chcę pieniędzy.

– A czego?

– Niech wujek przysięgnie, że nigdy więcej nie dotknie Czesi.

– Czesia? Ja z nią nie mam nic wspólnego – zapewnił go Pośledni, ale zaraz zaczerwienił się i odwrócił głowę. Kiedy Grzesiek otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, rzucił: – Zgoda, ale najpierw ty przysięgniesz, że na temat Czesi będziesz milczał do śmierci.

– Przysięgam. – Grzesiek podniósł prawą dłoń i patrząc w oczy Pośledniemu, wbrew sobie dodał: – Tak mi dopomóż Bóg.

CZĘŚĆ 1

Tak zdecydował prokurator

Zielonagóra, al. Niepodległości,
połowa sierpnia, wtorek, wieczorem

Monika Chuda zadzwoniła do Kamila z pytaniem, co wie o szczątkach dziecka znalezionych w starym kominie odbudowywanego pałacu Doroty de Talleyrand-Périgod na Zatoniu i ile na ten temat znajdzie się w jutrzejszej „Gazecie". Kamil prawie nic nie wiedział. Rzeczniczka policji odesłała go do komisarza Syskiego, a ten zasłoni! się prokuratorem. Potwierdził jedynie, że zdun naprawiający ciąg kominowy natknął się na czyjeś szczątki, być może noworodka, zawinięte w zieloną bluzę. Mogą to również być kostki psa, kota, królika czy innego zwierzaka domowego. Podpowiedział mu, żeby skontaktował się z patomorfologiem, który miał obejrzeć to, co firma pogrzebowa przetransportowała do uniwersyteckiego zakładu medycyny sądowej, ale ukrył nazwę firmy. Dodał, że prawdopodobnie doktor Trzcinka uzna się za niekompetentnego, bo to, co przywieziono z Zatonia na Zyty, powinien zbadać doświadczony antropolog. Najlepiej taki, który na co dzień współpracuje z archeologami na wykopaliskach. Według: policjantki, którą Syski wydelegował na Zatonie, w zawiniątku byty duże fragmenty szkieletu, a nie zmumifikowane zwłoki, ale o tym komisarz nie napomknął Kamilowi.

– Poproszę Daniela Junga o pomoc. On ma takie znajomości.

– Nie! – ryknęła zastępczyni redaktorki naczelnej takim głosem, że Kamil poczuł gwizd w głowie i na moment oderwał słuchawkę od ucha. – Nie dlatego kazałam ci pełnić obowiązki kierownika działu, żeby nic nie zmieniło się w redakcji. Jeszcze kilka miesięcy i jak szybko się zaczęła kariera pana Junga, tak szybko się zakończy. – Chuda chciała dodać, że stanie się to wtedy, kiedy ona zostanie naczelną, co powinno nastąpić pierwszego dnia nowego roku, ale nie była tego pewna. Neimann zapewnił ją, że wszystko jest na

dobrej drodze i Grempler zdecydował się odkupić firmę wydawniczą. – A w ogóle to Jung przebywa na urlopie. O ile pamięć mnie nie myli, wybrał się z żoną do znajomych w Bawari.

– Daniel już wrócił.

– Właściciel „Zielonogórskiej" płaci ci za zdobywanie informacji, a nie za jęczenie. Domagam się, żeby w jutrzejszej „Gazecie" było jak najwięcej o truposzczaku z Zatonia – poleciła takim tonem, że Kamil z wrażenia zaniemówił. Wicenaczelna zawsze była wobec niego miła. – Na pierwszej stronie zaraz pod główką. Półtora faktora, nie więcej. Podumaj o zajebistej ilustracji. Może być symboliczna, ale musi być taka, żeby ludzie rzygali z wrażenia.

Półtora faktora, to znaczy tysiąc pięćset znaków ze spacjami. Łatwo nakazać. Kamil zastanawiał się, do kogo zadzwonić. Kiedyś pomógł mu kolega z „Lubuskiej". Gdy się do tego przyznał, Jung najpierw objechał go na perłowo, potem wytłumaczył, co to jest konkurencja wśród regionalnych gazet. Dziennikarz zawsze musi się mieć na baczności, bo ten, który rzuci coś mimochodem, może wpuścić go w maliny. Wtedy się wyda, jaki jest niesamodzielny. 1 poruta gotowa. Każdą informację trzeba sprawdzić w co najmniej dwóch miejscach. W telewizji regionalnej znał jedynie kamerzystę. W Polskim Radiu „Zachód" pracowała koleżanka Kamila ze studiów, tyle że przygotowywała audycje oświatowe i niewiele miała wspólnego z działem informacji. Nikt więcej nie przychodził mu do głowy.

– Redaktor Chuda kazała mi napisać o tym szkielecie z Zatonia. Komisarz Syski zasłania się prokuratorem, a prokurator nie ma zamiaru puścić farby. Błagam, Daniel, pomóż młodszemu koledze.

– Zadawanie pytań Tomczyszynowi jest jak wołanie o kroplę wody na Saharze, więc odpada, co wbijałem ci do głowy wiele razy. Nie słuchałeś.

– Może na policji?

– Jacek Syski wie, że jestem na urlopie. Rzeczniczka komendantki także. Zresztą policjanci są lojalni wobec prokuratora i bez jego

wyraźnego pozwolenia nie pisną nawet słowa.

– Zrób coś, Daniel. Bądź kolegą.

Piętnaście minut później zadowolony Kamil siedział pochylony przy laptopie i dwoma palcami wstukiwał litery układające się w informację. Wicenaczelna kazała mu napisać półtora tysiąca znaków. Ze spacjami, zaznaczyła.

Szkielet noworodka w pałacu

Wczoraj przed południem majster zduński pracujący w odbudowywanym pałacu księżnej Doroty de Talleyrand-Périgod na Zatoniu przypadkowo natrafił na zawiniątko. Było ono wetknięte między półki dymne w ciągu kominowym na pierwszym piętrze. W zielonej bluzie, z wyglądu wojskowej, znajdowały się szczątki dziecka. Na razie prokurator i policja odmawiają udzielania wyjaśnień w tej sprawie, zasłaniając się tajemnicą śledztwa. Nam udało się ustalić, że zwłoki mogły zostać ukryte w kominie przed trzydziestu laty. Uniwersytecki patolog, który obejrzał znalezisko, uważa, że są to fragmenty szkieletu noworodka. Chłopczyka czy dziewczynki? Dziecko urodziło się żywe czy zostało zamordowane? Na te pytania odpowie antropolog ze specjalnością osteologiczną. Tak dobrze się składa, że takie umiejętności ma zielonogórzanin pracujący na uniwersytecie w Dreźnie, profesor Grzegorz Stonoga, który za kilka dni przyjedzie do naszego miasta w celach naukowych. I właśnie z nim wczoraj się skontaktowaliśmy. Póki jednak antropolog nie przeprowadzi badania, nie chce się wypowiadać na temat tego, co znaleziono w zawiniątku. Prawdopodobnie nie uda się ustalić nazwiska matki noworodka i wyjaśnić, do kogo należała bluza, w którą były zawinięte szczątki. Chociaż, jak twierdzą kryminolodzy, nie ma zabójstwa doskonałego.

Dodajmy, że niszczejący od ponad siedemdziesięciu lat pałac kupił znany lubuski biznesmen. Po zakończeniu odbudowy ma zamiar urządzić w nim centrum konferencyjne, restaurację i prywatne apartamenty.

Zielonagóra, os. Zatonie,
czwartek, po południu

Dwa razy w miesiącu starszy aspirant sztabowy Artur Bojko odwiedzał ojca mieszkającego samotnie w służbowej leśniczówce. Dziś ma zamiar powiedzieć, że dzień po tym, jak minie piętnaście lat jego służby w policji, a to |iż niedługo, napisze raport do komendantki w sprawie przejścia na wcześniejszą emeryturę. Nie ma zamiaru zbijać bąków. Będzie pracował, tyle że za większe pieniądze i o rzut kamieniem od leśniczówki. Podszedł do okna, żeby sprawdzić, co widać z kuchni. Między liśćmi na rozłożystych klonach w przypałacowym parku dostrzegł podstawy rusztowania oplatającego budowlę.

– Ze dwa tygodnie temu pisali w „Zielonogórskiej", że w naszym pałacu zdun znalazł dziecko.

– Nie żywe dziecko, ojczulku, a jego szczątki.

– Niech ci będzie – zgodził się z synem Józef Bojko. – Tyś policjant, to musisz wiedzieć lepiej. Na przykład ile dni żył ten nieboraczek? Chłopczyk czy dziewczynka?

– Po trzydziestu latach, a może i więcej, nie jest łatwo ustalić płeć, tym bardziej że w zawiniątku, na które natrafił zdun, było zaledwie kilka pokruszonych kosteczek. Reszta to proch – odpowiedział Artur i zaraz zastrzegł, że lego, co powie, nie wolno ojcu nikomu powtórzyć. – O ile wiem, doktor Trzcinka poprosił o konsultację profesora Stonogę. To Polak ochajtnięty z Niemrą. Kiedyś Stonoga wykładał na naszym uniwersytecie. Potem wygrał konkurs i teraz pracuje w Dreźnie. Dla forsy. Rzekomo jest wybitnym specjalistą z antropologi i osteologi.

– Co to takiego ta antropologia?

– Antropolog ogląda, o ile dobrze zapamiętałem, porównuje i analizuje zmiany fizyczne oraz psychiczne zachodzące w ludziach na przestrzeni wieków. – Mimo że ojciec nie spytał, czym zajmuje się

osteolog, Artur pochwalił się wiedzą. – To badacz kości ssaków. Bardzo rzadka specjalność.

– Z wykształcenia jestem inżynierem leśnikiem, z zamiłowania myśliwym – przypominając, podkreślił starszy Bojko. – Prawda, nie nadążam za tym, co dzieje się w elektronice, mimo to nie traktuj mnie jak małorolnego chłopa od pługa.

– Tak się składa, że niedługo profesor Stonoga przyjedzie do Zielonejgóry na zebranie jakieś fundacji i wtedy obejrzy szczątki z pałacu – kontynuował Artur, nic sobie nie robiąc z uwagi ojca. – Doktor Trzcinka jednego jest pewny: kości nie zostały dostatecznie wykształcone, co świadczy o tym, że dziecko przyszło na świat za wcześnie. Ani on jako biegły sądowy, ani jego zastępczyni nie są w stanie powiedzieć, czy ta zagadka zostanie kiedykolwiek rozwiązana. Najpewniej i w policji nikt nie będzie się tym zajmował. Zresztą sprawę da się zakwalifikować jako przedawnienie. A dlaczego ojczulek pyta? Ktoś, coś?

– To może być twój siostrzeniec albo siostrzenica – rzucił starszy Bojko, jakby spodziewał się, że syn zada to pytanie i dlatego wcześniej ułożył sobie taką odpowiedź.

– Co?! – strzelił śmiechem Artur. – Ojczulek robi sobie ze mnie żarty? Czyżby początki demencji starczej? A może alzheimer zaczyna pukać do twych drzwi?

Józef Bojko zacisnął usta i pokręcił głową, dając synowi do zrozumienia, że nie ma nic przeciw niemu i się nie obraził. Jeszcze wie, co mówi i do kogo oraz że na razie jest przy zdrowych zmysłach.

– Kiedy przenieśli mnie z Biecza na Zatonie, tobie, synu, szło na dziesiąty rok. Byłeś za mały, żeby zrozumieć to, co się wtedy stało. Czechna, twoja siostra, w lipcu skończyła siedemnaście lat, za rok miała zdawać maturę. O Wicinie dopiero zaczynało robić się głośno. Dzień w dzień „Zielonogórska" pisała, że pod lasem na mokradłach za wsią archeolodzy odkryli gród ludności kultury łużyckiej i rozpoczynają badania wykopaliskowe. Były to te czasy, kiedy

propagandyści nawet przekłamaniami starali się dowieść polskości Środkowego Nadodrza, poczynając od epoki kamienia łupanego. Z pewnością ci, którzy przed trzema tysiącami lat zbudowali gród w Wicinie nie byli Słowianami, bo przecież wędrówka Słowian do środkowej Europy zaczęła się dopiero w szóstym wieku naszej ery, ale kto wtedy by się tym przejmował. Propagandystom pomógł Józef Kostrzewski z Poznania, ten sam, który przed drugą wojną odkrył osadę obronną w Biskupinie. A ponieważ profesor zdawał sobie sprawę z matactwa propagandowego, ogłosił, że w epoce brązu, czyli trzy tysiące lat temu, centralną Europę zamieszkiwali Prasłowianie. Na jakiej podstawie doszedł do takiego wniosku, nikt go nie spytał. Przynajmniej oficjalnie. Może i byli historycy, którzy mieli wątpliwości, ale nie przedostały się one do gazet.

– Po co ojciec mi to opowiada?

Starszy Bojko podniósł lewą dłoń, co oznaczało, żeby syn nie przerywał mu i był cierpliwy. Jeszcze kilka zdań przypomnienia i dotrze do celu.

– Archeolodzy nieźle płacili, to chętnych do roboty w Wicinie nie brakowało. Ludzie, na ogół młodzi, licealiści z Jasienia, z Biecza, z Brodów, nawet z Suchodołu, a to ze dwadzieścia kilometrów przez las, im pomagali. Rozniosło się, że kto jest sprytny, mógł stamtąd wynieść, co mu wpadło do rąk. Ozdoby ze szczerego złota, paciorki z bursztynu, jakieś skuwki z brązu czy czegoś pośniedziałego. Wieczorami wokół namiotów, w których mieszkali archeolodzy i ich pomagierzy, kręcili się handlarze. Płacili gotówką od ręki.

– Co to ma wspólnego z naszą Czechną?

– Pod koniec czerwca już byłem zastępcą nadleśniczego na Zatoniu. Matka jeszcze w Bieczu. Z wami, to znaczy z tobą, Andrzejem i Czechną mieszkała tam do połowy września, bo trzeba było zakisić ogórki, wekować pomidory, wykopać kartofle, marchew, buraki. W wakacje koleżanki Czechny z liceum poszły do pracy w Wicinie, to i ona z nimi. Co się miała nudzić w domu, tym bardziej że archeolodzy chętniej przyjmowali licealistki niż silnych

chłopaków, bo na wykopalisku dziewczęta są bardziej przydatne. Dokładniejsze. Na swoje malowidełka Czechną zarobiła, to i nam wszystkim było lżej. Od jesieni już całą rodziną mieszkaliśmy w tym domu na Zatoniu. Ziutek, mówi do mnie twoja matka, nasza córka jest jakaś taka... Zmieniona. Latem w Bieczu taka nie była. Skończyła siedemnaście lat, ja na to, robi się z niej prawdziwa kobieta. Tylko patrzeć kandydata na narzeczonego. Ileś lat miała, jak wyszłaś za mnie? Dziewiętnaście. Osiemnaście i miesiąc, przypomniała matka. W połowie listopada skończyłaś, dostałaś dowód osobisty, a w Boże Narodzenie był nasz ślub. Musiał być. W kwietniu urodziła się Czechna. Twoja matka jak to ona po swojemu zaczęła, że kiedyś dziewczyny szybciej dojrzewały i takie tam gadanie, żeby jej było na wierzchu. Miesiąc później, tak koło Wszystkich Świętych, przyznałem rację twojej matce. Czechna, dziecko drogie, czy ty czasem nie jesteś przy nadziei? – zapytałem. Nie odpowiedziała ani tak, ani nie. Spuściła głowę i milczała. Nawet się nie zaczerwieniła. Powiedz, dziecko. Przecież nie będę cię bił. Dalej milczała. Nie wyprę się, że to moja córka, pomyślałem. Ja też jak się uprę, to choćby mnie zarzynali, słowem nie pisnę. Nie powinno, a jednak się stało. Matka całymi dniami w domu, ugotuje, wypierze, posprząta, to pomoże ci wychować dziecko. Żeby tylko było zdrowe. Ja też wezmę je na ręce, a ty skończ szkołę i idź jeszcze wyżej. Na nauczycielkę. Jak nie będziesz miała chęci do nauki, to jakąś robotę w biurze nadleśnictwa ci znajdę. Dziś takie czasy, dziecko drogie, że bez szkoły człowiek niewiele znaczy. A kto jest ojcem? No, z kim? Dalej milczała. Wtedy przypomniałem sobie, co ludzie opowiadali, kiedy na niedzielę przyjeżdżałem do Biecza. Nie wprost do mnie. Do mnie tylko „dzień dobry, panie nadleśniczy", i nic więcej. Przez sąsiadów dowiedziałem się prawdy. Ci, co pracowali w Wicinie, mówili, że naszą Czechnę widzieli z jednym archeologiem.

– Co to znaczy: widzieli? Rozmawiała z nim? Ściskał ją? Obcałowywał? Zaciągnął do lasu i tam ją zgwałcił?

– Czternastego grudnia Czechna nie wróciła na noc do domu.

Nigdy wcześniej to się nie zdarzyło. Matka powiedziała, że pewnie ma więcej lekcji w szkole. Zima, autobusy jeżdżą po swojemu. No, bo co by innego? Jakbym wtedy... – starszy z Bojków zazgrzytał zębami i podniósł zaciśniętą pięść. Miał łzy w oczach. – Rano komendant straży przechodził przez park z bloków do nadleśnictwa. Pod tym największym klonem niedaleko pałacu ją znalazł. Od pasa w dół była cała we krwi. Komendant pędem do mnie. Zadzwoniłem po karetkę. Gdyby dwie, trzy godziny wcześniej, może Czechną by przeżyła. A zima była wczesna jak żadnego roku. Mróz. W nocy napadało śniegu. Lekarz z pogotowia powiedział, że ta krew na jej nogach to od porodu. A gdzie dziecko? Szukaliśmy wszędzie. Zaglądaliśmy pod każdy krzaczek. Z jednej i drugiej strony muru. Mnie zaniosło aż w ruiny kościoła za drogą. Nigdzie najmniejszego śladu. Dosłownie kamień w wodę. Milicja też rozłożyła ręce. Sprawa jest, ale brakuje dowodu i nie ma co szukać winnego. Dziś policja ma takie metody, że... Jakie to metody, sam wiesz najlepiej. Wtedy nie miała i już. Gdybym sobie coś przypomniał, to miałem zameldować na komendę, i tyle.

Artur zmarszczył czoło.

– Dlaczego nikt w domu o tym nigdy nie mówił? – dociekał z pretensją w głosie.

– Wstyd.

– Uważa ojczulek, że zdun znalazł w kominie właśnie to dziecko?

– Synu, te szczątki musimy pochować na cmentarzu.

– Nie ma pewności, że...

– Taki jest nasz chrześcijański obowiązek.

– Ksiądz się nie zgodzi. Powie, że nie wiadomo, czy to szczątki człowieka. A jeśli człowiek, to czy był ochrzczony?

– To pochowamy bez księdza. Kupimy małą trumienkę albo jeszcze lepiej urnę i ułożymy w niej kosteczki. Pochowamy je w grobie Czechny. Od jej śmierci minęło więcej niż trzydzieści lat, to już bez zgody sanepidu można dołożyć nową trumienkę – powiedział starszy Bojko takim głosem, jakby wcześniej

zdecydował, co zrobi, i był pewny, że nikt mu w tym nie przeszkodzi.

– Musimy mieć gwarancję, że to, co znalazł zdun, to dziecko naszej Czechny.

– To jest mój wnuk. Twój siostrzeniec. Nasza krew.

– Trzeba przeprowadzić badania genetyczne. Najlepiej, żeby materiał porównawczy pochodził od ojca, to znaczy od ciebie, tato. To nic nie boli, a będziemy mieli stuprocentową pewność. Porozmawiam z doktorem Trzcinką. Ja też mogę poddać się takiemu badaniu. Jednak materiał pobrany od ciebie daje większą gwarancję.

– Najpierw pogrzeb.

– Póki nie będziemy mieli pewności, nie można.

– Ochrzczone, nieochrzczone. Czechny, nie Czechny. Dziecko. Człowiek przecież. Trzeba go pochować na cmentarzu.

Zielonagóra, pl. Słowiański,
poniedziałek, wczesnym popołudniem

W szesnastym roku służby w pionie kryminalnym policji nadkomisarza Daniela Junga wezwał zastępca komendanta i oznajmił, że ma do wyboru: siedzieć za biurkiem w biurze prasowym komendy i odpowiadać na pytania dziennikarzy albo przejść na wcześniejszą emeryturkę. Wolałby pozostać w policji i babrać się w tym, w czym babrze się w ostatnich latach, to znaczy nadal tropić złodziejaszków dóbr kultury, tyle że wtedy zastępca komendanta musiałby zwrócić te szable, szpady, kordelasy i pistolety, które wycyganił od wicedyrektora Muzeum Środkowego Nadodrza. Brat komendantki, historyk literatury niemieckojęzycznej, musiałby oddać stare mapy Śląska, dwa posrebrzane świeczniki i zegar z wytwórni Beckera. Gdyby to się wydało, inspektorka straciłaby swoje stanowisko w komendzie i profesor na uniwersytecie, a wicedyrektor muzeum, kuzyn poprzedniego

prezydenta miasta, pokutowałby za te i inne grzechy w ciupie. Ale się nie wydało, bo profesor podpowiedział zastępcy komendanta, żeby zawiesił nadkomisarza w czynnościach detektywa policyjnego i uprzedził kogo tylko się da, że Jung jest kontrowersyjny. A ponieważ dyscyplinarne usunięcie z policji nie wchodziło w grę, zastępca chciał go przesunąć do zespołu prasowego. Tego samego dnia za pośrednictwem swojej sekretarki podpowiedział nadkomisarzowi, że jednak najlepiej zrobi, jeżeli napisze raport o przejście na emeryturę. Bez namysłu Jung wybrał wcześniejszą emeryturę i robotę dziennikarską, tym bardziej że od wielu lat współpracował z „Dwutygodnikiem Policyjnym". Redaktorka naczelna „Gazety Zielonogórskiej", do której drogą okrężną dotarło, dlaczego Jung postanowił odejść z policji, nawet nie spytała go o umiejętności pisarskie. Najpierw był zwyczajnym reporterem do wszystkiego. Po czterech miesiącach został szefem działu kryminalnego przede wszystkim dlatego, że miał policję w małym palcu i żadnemu rzecznikowi prasowemu nie pozwalał sobą manipulować. Zdarzały się śledztwa, gdy Jung wskazywał drogę do sprawcy i opisywał ją w „Gazecie Zielonogórskiej", a rzeczniczka komendantki jeszcze nie zwołała konferencji prasowej, żeby to potwierdzić. Identycznie jak komisarz Syski twierdził, że najpierw trzeba mieć chociażby skrawki dowodów, a dopiero potem można wysnuwać hipotezy. Nadzorujący pion kryminalny zastępca komendanta miał inne zdanie na ten temat.

– Dajcie mi człowieka, a paragraf zawsze się znajdzie.

– Andriej Wyszyński.

– Kto?

– Stalinowski prokurator. Wierny uczeń Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Czerwonego Kata. Zwanego też Żelaznym Feliksem, Czerwonym Feliksem, Krwawym Feliksem. Patrona między innymi byłej szkoły milicyjnej w Legionowie.

– Tego nie wiedziałem, a dwa lata temu byłem w Legionowie na kursie dla kandydatów na komendantów – przyznał się zastępca.

– Naginanie faktów do teori, co często wyżsi rangą nakazują swoim podwładnym tylko dlatego, żeby pochwalić się przed swoimi zwierzchnikami, nie ma nic wspólnego z kryminalistyką opartą na wiedzy i doświadczeniu policyjnemu. To są chybione śledztwa. One nigdy nie prowadzą do wskazania sprawcy.

– Niech pan przestanie pogrywać z nami w kulki – pogroziła mu komendantka. – Na każdego coś się znajdzie.

A w ogóle to powinien pan współpracować z policją. Taki jest obywatelski przywilej i obowiązek w demokratycznym państwie. Na pewno to docenimy.

– Nigdy nie odmówiłem pomocy komisarzowi Syskiemu, jeżeli mnie o to poprosił. Ani nikomu innemu spośród podległych pani gliniarzy.

– Wypraszam sobie. Reprezentuję konstytucyjne organy państwa, dlatego proszę traktować mnie z należytą powagą. W policji nie pracują gliniarze ani psy, ani krawężniki, ani mendy, panie redaktorze. Czy kiedykolwiek nazwałam pana pismakiem lub gazeciarzem? – spytała, a ponieważ rzeczniczka komendy pobladła, ona się uśmiechnęła, wstała, pokazała na swego zastępcę i szybko dodała, że zostawia dziennikarzy w dobrych rękach.

Jeszcze z czasów policyjnych redaktor Jung wiedział, że uznawany za światowej sławy znawcę cywilizacji czasów łużyckich Stefan Pośledni najpierw był dyrektorem uniwersyteckiego instytutu archeologi, potem przy pomocy Joachima Gremplera, a właściwie jego menedżera Waldemara Neimanna i garstki znajomych założył Fundację „Wicina", która prowadzi Wyższą Szkołę Archeologi. Profesor Pośledni od pierwszego dnia jest jej rektorem. Na stronie uczelni była jeszcze informacja, które uniwersytety nadały Pośledniemu tytuł doktora honoris causa. Ani zdania o odkryciach archeologicznych i publikacjach, nic o wypromowanych doktorach, jakby to Pośledniego nie zajmowało. Nawet nie było wzmianki, gdzie i kiedy się habilitował. Za to o Wyższej Szkole Archeologi same ochy i achy. To jedyna taka uczelnia w Polsce i może nawet na

świecie. Każdy, kto chce w niej studiować, a chętnych jest więcej niż miejsc, co semestr musi zapłacić wysokie czesne. Prawdę mówiąc, rodziców tych młodych ludzi, których Pośledni przyjął na studia, stać na taki wydatek i są pewni, że po trzech latach syn czy córka dostanie dyplom licencjata histori starożytnej, a po kolejnych czterech semestrach pochwali się tytułem magistra archeologi. Potem pieniądze same będą wpadały do rąk. Jako policjant, Jung spotkał profesora raz czy dwa podczas otwarcia wystawy w muzeum, ale nigdy nie zamienił z nim słowa. Nawet mu się nie ukłonił, mimo że wśród zielonogórskich kryminalnych był tym jedynym, który w zakresie swoich obowiązków miał współpracę z instytucjami kultury i dziedzictwa narodowego. Zabytki najdawniejszej przeszłości nie interesowały bezpośredniego zwierzchnika nadkomisarza Junga. Co innego zastępcę komendanta. Ten interesował się wszystkim, co było wiekowe i dało się opchnąć za duże pieniądze. Po odejściu z komendy Jung z własnej woli i ciekawości nie zajrzał do żadnego muzeum, jeżeli nie liczyć służbowego mieszkania doktora Mucha, gdzie według aspiranta Araszkiewicza dyrektor powiesił się na lampie zaraz po tym, gdy się okazało, że nie tylko jego zastępca był złodziejem. Niedawno spotkał się z doktor habilitowaną Grażyną Nahorską-Ghanen w jej muzealnej pracowni wyłącznie dlatego, żeby cokolwiek się dowiedzieć o kolekcji obrazów byłego posła Kunickiego, którego ktoś postrzelił. Nawet wtedy, kiedy odwiedzali go znajomi spoza Zielonejgóry, nie kupował biletów wstępu do muzeum historycznego w centrum miasta, chociaż oni twierdzili, że pół godziny oglądania staroci i wdychania kurzu nie jest stratą czasu, a może przydać się przy stole, gdy biesiadnicy popisują się znajomością świata. Swoich gości Jung zawsze prowadził na Wzgórze Winne, gdzie na rozpłaszczonym wierzchołku pośród zabiedzonych winnic mieściła się Pałmiarnia, jedyna taka restauracja w Polsce. Wypicie kawy pod daktylowcem uważał za szczyt elegancji.

Już w połowie maja naczelna nakazała wszystkim dziennikarzom bez wyjątku przygotowanie projektów tekstów do numerów wakacyjnych, gdy kurczy się zainteresowanie czytelników gazetą. Autorów najciekawszych artykułów właściciel wydawnictwa nagrodzi premiami. Właśnie wtedy Jung pierwszy raz zajrzał do Lubuskiego Muzeum Archeologicznego, gdzie dowiedział się, że mniej więcej trzy tysiące lat temu Scytowie[1] zaatakowali gród w Wicinie[2], przez badaczy przeszłości uważany za stolicę protopaństwa nad Nysą. Nie tyle najazd nadniestrzańskich koczowników go zaciekawił, co porzucenie warowni na bagnach przez pierwotnych wicinian. Dlaczego ci mieszkańcy grodu, którzy ocaleli, nie odbudowali tego miejsca, skoro było ono kolebką cywilizacji łużyckiej w środkowej Europie? Jedyną osobą na świecie, która próbuje to wyjaśnić, jest profesor Stefan Pośledni. Gdy tylko Szpalta uznała, że tekst o agoni grodu w Wicinie zaciekawi czytelników „Gazety Zielonogórskiej", Jung zadzwonił do uczelni archeologicznej, przedstawił się i sekretarka bez pytania o cel rozmowy, jak to zawsze robiła, połączyła go z rektorem. Profesor Pośledni najpierw się ucieszył, bo nareszcie będzie miał okazję pochwalić się swoimi odkryciami w regionalnej gazecie, a potem zmarkotniał.

– Panie redaktorze, nasi archeolodzy starają się dowieść, że wtedy, kiedy starożytni Egipcjanie budowali piramidy, kiedy Rojkos i Teodoros stawiali świątynię Hery na greckiej wyspie Samos, kiedy Ziemia Święta czekała na Chrystusa, tu, gdzie obecnie mieszkamy, także żyli ludzie. Uprawiali ziemię, polowali, wojowali, płodzili dzieci, chorowali, umierali, czego dowody pozostały na cmentarzyskach. Wznosili świątynie i domy, tyle że nie z kamieni, a drewniane, które nie przetrwały do naszych czasów, ale pozostały ślady ich obecności. Wtedy w Wicinie stało się coś, czego ani ja, ani moi poprzednicy, mam na myśli badaczy epoki brązu przede wszystkim, jakimi byli doktorzy Kołodziejski i Marcinkian, ani żaden młodszy archeolog jeszcze nie potrafi wyjaśnić. Nie oznacza to, że brakuje akademickich, wręcz niepodważalnych hipotez. Dlatego z

największą ochotą podzielę się z panem, a za pańskim pośrednictwem z czytelnikami, swoją wiedzą na temat Scytów, upadku grodu w Wicinie i...

– W miarę możliwości przygotuję się do rozmowy, żeby nie zadawać banalnych pytań i nie zabierać panu czasu – bezceremonialnie przerwał mu Jung. To, co Pośledni przed chwilą powiedział, uznał za odkrywcze, a ponieważ wymagało pogłębienia, starał się zapamiętać i włączyć do pytań, które zada profesorowi. – Historyka interesują przede wszystkim dokumenty i sprawdzone informacje ustne. Archeolog, grzebiąc w ziemi, szuka tam dowodów.

– Słusznie pan redaktor zauważył. Dlatego z ogromną ochotą zapoznam pana ze stanem badań naukowych prowadzonych w Wicinie, a pan swoim wytrawnym piórem przekaże to mieszkańcom naszego regionu.

Lizus, ocenił go Jung. Wykorzystuje każdą okazję, żeby było o nim głośno. Ale czy to naganne, jeżeli człowiek jest nieszeregowy?

– Na rozmowę zapraszam pod koniec wakacji.

– Za późno.

– Na rozmowę z interesującym człowiekiem nigdy nie jest za późno. Mam na myśli pana, redaktorze – dodał Pośledni, jakby się zreflektował, że powiedział coś niezręcznego.

– Dziś, jutro, najpóźniej pojutrze.

– Heinrich Graf von Brühl Stiftung to niemiecka fundacja, która zaprosiła sześciu archeologów europejskich do letniej szkoły w miejscu, gdzie pod nadzorem swoich profesorów studenci prowadzą badania. Z Polski będę jedynie ja. Z Wiednia profesor Erwin Hofmanstal, z Pragi przyjedzie mój kolega z lat studenckich Pavel Adamec, K0benhavns Universitet ma reprezentować profesor Jespersen. Będzie kilku przedstawicieli młodszego pokolenia archeologów berlińskich. Pewnie i profesor Marcel Eggersdorf. Słowem: europejska śmietanka badaczy. Pierwszy wykład dotyczący upadku grodu w Wicinie mam pojutrze z rana.

– Gratuluję wyróżnienia. Ale skoro dopiero pojutrze ma pan

wykład, to może jednak uda nam się wcześniej spotkać?

– Na jutro w samo południe została zaplanowana uroczysta inauguracja szkoły. Kierownik badań, profesor von Háften, nie wyobraża sobie, żeby odbyła się bez udziału wszystkich zaproszonych. Niemcy dobrze płacą, ale i dużo wymagają.

– Dlatego są bogaci – powiedział Jung bardziej do siebie niż do Pośledniego.

– Przyznam się panu, tylko proszę tego nie rozpowszechniać, że gdyby nie Grześ Stonoga, to znaczy profesor Gregor Stonoga, który jest współprezydentem fundacji, zaproszenie dostałby ktoś z Warszawy. W każdym państwie stołeczne uczelnie uważają się za lepsze, a tym bardziej lepsze od szkoły niepublicznej. Grześ jeszcze jako licealista pomagał mi w trakcie badań na wykopalisku w Wicinie. Kiedyś nawet podpatrzył, jak uwodziłem dziewczynę, w której on się kochał. Byłem przekonany, że po maturze wybierze się na archeologię. Poszedł na medycynę. Po studiach zrobił specjalizację z patologi i zainteresował się antropologią sądową. Mimo to ciągnęło wilka do lasu, więc współpracował z naszym środowiskiem. W Europie ma opinię wybitnego osteologa. Kiedy osiem lat temu instytut anatomi uniwersytetu w Dreźnie ogłosił, że poszukuje antropologa mającego doświadczenie w badaniu kośćców ludzkich, za moim podszeptem Grześ złożył aplikację. Wygrał konkurs, a kandydatów było grubo ponad dwudziestu. Habilitował się w Dreźnie i najpewniej tam otrzyma profesurę. W ramach podziękowania co dwa, trzy miesiące zaprasza mnie z wykładami a to do Lipska, a to do Chemnitz, a to do Erfurtu. Niech pan sobie wyobrazi, że dwa lata temu miałem wykłady na Uniwersytecie Marcina Lutra w Wittenberdze i Halle. W tym roku spędzę cztery tygodnie na wykopaliskach w pobliżu miejsca, gdzie za sześć lat powstanie kopalnia węgla brunatnego.

– Czyli gdzie?

– Między Dreznem a Cottbus, to znaczy Chociebużem, jak powinno się nazywać to miasto po polsku. Na obrzeżach Górnego

Spreewaldu. W pobliżu Spremberga w łużyckiej części Brandenburgi.

– Przyjadę tam.

– Nie! – wykrzyknął profesor. – Kategorycznie zabraniam. Niemcy źle patrzą na nieuzgodnione wizyty.

– A jeżeli zadzwonię do Drezna, do doktora Stonogi, i mu przedstawię swój zamiar?

– Wrócę pod koniec sierpnia. Na początku września, kiedy jeszcze nie ma studentów, a nadchodzi koniec sezonu badawczego, będę mieć luźniejsze dni. Znajdę czas na autoryzację tego, co panu powiem, żeby nie było przeinaczeń. Zapraszam pana do mojej uczelni ostatniego dnia sierpnia. Na czternastą. Inny dzień i inna godzina nie wchodzi w rachubę. Do widzenia.

Jung zawsze starał się dotrzymać obietnicy, pomimo że czasem naruszało to jego porządek. Dwie minuty przed czternastą nacisnął klamkę sekretariatu Wyższej Szkoły Archeologi. Przedstawił się i dokładnie wyjaśnił, dlaczego o tej porze przyszedł.

– Profesora Pośledniego jeszcze nie ma – odpowiedziała sekretarka, a widząc, że Jung otwiera usta, ciągnęła dalej: – W piątek około jedenastej skontaktował się ze mną przez telefon komórkowy. Powiedział, że przekroczył granicę w Gubinku. Wypije kawę w barze przy stacji benzynowej i pojedzie prosto do swego domu. Jeżeli wszystko będzie w porządku, to może jeszcze w piątek zajrzy na uczelnię. Ale nie zajrzał i nie zatelefonował.

Aha, prosił, żebym z nikim go nie umawiała na dzisiejsze popołudnie, ponieważ zaplanował spotkanie. Z kim? Nie podał nazwiska swego gościa, pewnie jednak pana redaktora miał na myśli. Tyle że ani w sobotę, ani w niedzielę nie kontaktował się ze mną. Dziś jeszcze nie pojawił się na uczelni i nie zadzwonił. Może zaspał albo coś pilnego zatrzymało go w domu? A może źle się poczuł? Profesor choruje na kręgosłup. Koło południa usiłowałam skontaktować się z szefem. Najpierw przez komórkę. Nie odebrał. Potem zadzwoniłam na stacjonarny. To samo. Coś musiało się stać. Profesor to sumienny człowiek. Zaraz po pracy pojadę do jego domu.

Przepraszam, pewnie za dużo powiedziałam, ale panu tak dobrze patrzy z oczu, a ja jestem...

– Pan Pośledni ma żonę, dzieci?

– Naturalnie – potwierdziła, tyle że z wahaniem w głosie, i zaraz odwróciła głowę.

– Kontaktowała się pani z profesorową?

– Jeśli szef nie prowadzi badań terenowych podczas wakacji, to pomaga innym archeologom. Tak jest co najmniej od siedmiu lat. To znaczy od czasu, kiedy profesor założył uczelnię. Dlatego profesorowa na lipiec, sierpień i do połowy września przenosi się do Jodłowa koło Sławy, gdzie syn profesora z pierwszego małżeństwa postawił domek letniskowy. Właściwie całoroczny. Żeby dodzwonić się do Jodłowa, trzeba mieć więcej szczęścia niż w loteri paragonowej. Akurat w miejscu, gdzie stoi domek pana Alana, nie przy każdej pogodzie jest zasięg.

– A czy próbowała pani zadzwonić do młodego Pośledniego?

– W piątek i sobotę nie. Pierwszy raz zadzwoniłam w niedzielę wieczorem. Dziś jeszcze dwa razy. Automat odpowiada po polsku i angielsku, że rozmowa nie może być zrealizowana. Każe zadzwonić później. Nie wiem, co robić – przyznała się sekretarka, jakby błagała Junga o poradę.

– Profesor ma tylko jednego syna?

– Z drugą żoną, tą, która przebywa w Jodłowie, ma córkę. Marta kontaktuje się z rodzicami jedynie wtedy, kiedy potrzebuje gotówki. Profesor mówił, że to bardzo wrażliwa, ale i trudna osoba. Nigdy jej nie widziałam i nie rozmawiałam z nią. Proszę mnie więcej nie wypytywać, bo powiem coś, czego będę żałowała. I tak za dużo powiedziałam.

– Gdzie mieszka?

Sekretarka zrobiła wielkie oczy i po chwili zawstydzona odpowiedziała:

– Nie wiem.

– Przecież zaraz po pracy ma pani zamiar pojechać do domu

Pośledniego.

– Byłam przekonana, że pyta pan o Martę – uśmiechnęła się zmieszana. – Profesor ma dom na osiedlu Kwiatowym. To na Jendrzychowie. Po sąsiedzku z prezydentem miasta.

Zielonagóra, os. Kwiatowe,
poniedziałek, wczesnym popołudniem

Jagoda Bojko dawno rzuciłaby sprzątanie domu Pośladnich, od ulicy wyglądającego jak dworek szlachecki z czterema kolumnami na ganku, gdyby nie to, że każdcgo ostatniego dnia miesiąca profesor wypłaca jej tyle, ile obiecał podczas zawierania umowy na piśmie, dodaje na bilety autobusowe i pamięta o jej imieninach. Teść też pamięta, ale nie przynosi prezentów, tylko składa życzenia przez telefon. Nie ma o to pretensji, bo po każdym polowaniu teść przywozi jej kilka kawałków dziczyzny, pyta, jak sobie radzi bez męża, czy chłopcy dobrze się uczą i co miesiąc przysyła pieniądze na ich utrzymanie. A Andrzej od dnia rozwodu ani razu się nie odezwał. Nawet nie pamięta o urodzinach swoich dzieci.

– Założył drugą rodzinę – usprawiedliwia go Józef Bojko, ale w podświadomości ma pretensję do młodszego syna.

Robienie porządku u profesorstwa zajmuje Jagodzie po sześć godzin co dwa tygodnie, a w sąsiednim domku, gdzie mieszka prezydent miasta z trzecią czy czwartą żoną, trzy razy mniej. Nigdy nie zdarzyło się, żeby prezydentowa zwróciła uwagę Jagodzie albo pokazała niedomyte okna. Na kominku w salonie prezydentostwa stoi pięć pustych kryształów, bo jego żona przynosi kwiaty do domu dopiero w drugiej połowie czerwca, kiedy kończy się rok szkolny. W pierwszym tygodniu lipca Jagoda zmienia wodę w wazonach, w trzecim wyrzuca zwiędnięte kwiaty do śmietnika. Dwa razy w miesiącu wyciera kurz z bibelotów przywiezionych z ciepłych krajów, dokąd prezydentostwo jeżdżą na urlop. A w dworku

Poślednich wszystkie kąty w pokojach, dolna półka w bufecie, nawet schody na poddasze są zastawione poklejonymi garnkami, które Jagoda co dwa tygodnie ostrożnie podnosi i miękką szmatką delikatnie wyciera z nich kurz. Profesor ostrzegł ją, że jeśli cokolwiek uszkodzi, to Wyższa Szkoła Archeologi będzie domagała się odszkodowania, ponieważ wszystkie przedmioty zabytkowe znajdujące się w jego domu są własnością uczelni.

Pierwsze, co zdziwiło jagodę, to furtka zamknięta na klucz, który leżał na chodniku przed schodami. Profesor nigdy nie zamyka furtki na klucz ani jej nie otwiera. Z domu wychodzi prosto do garażu, wsiada do mercedesa, wciska guziczek pilota i rozsuwa się brama podwórzowa. Jak otworzyć furtkę? Może mocno popchnąć ją ramieniem i zamek odskoczy? A jeśli uszkodzi się zamek i Pośledni każe zapłacić albo potrąci z miesięcznej pensji? Po profesorze wszystkiego można się spodziewać. Już była gotowa wdrapać się na płot, gdy spostrzegła, że drzwiczki za wnęką, gdzie stoi pojemnik na śmieci, są uchylone. Przez nie weszła na podwórze.

Z torby wyjęła pęk kluczy, żeby otworzyć oba zamki w drzwiach do korytarzyka i stamtąd wejść do przedsionka, gdzie jest garderoba dla gości. Kątem oka zauważyła szparę między bramą garażową i ścianą. A tyle razy powtarzałam, żeby przed wyjazdem z domu profesor sprawdził, czy wszystkie drzwi są zamknięte. Nie on śledzi złodziei, lecz złodzieje pilnują jego i czekają na okazję. Oni ukradną te garnki albo je zniszczą, bo ani z nich pić, ani w nich coś trzymać, a ja będę przekonywała policję, że jestem niewinna. Chwała Nogalowi, którego Pośledni ma za szajbusa do dubeltowego kwadratu, że mieszka po drugiej stronie ulicy i obserwuje, co się dzieje na osiedlu, pomyślała. Nie odwracając się, kątem oka zerknęła na dom sąsiada, ale tym razem nie dostrzegła jego twarzy przyklejonej do okna.

Gdy wetknęła klucz do górnego zamka i próbowała go przekręcić, coś stawiało opór. Znowu profesor zapomniał zamknąć, stwierdziła. Nie pierwszy raz mu się to przytrafiło. Profesorowa przeciwnie, nie

wyjdzie z domu, póki nie będzie pewna, że wszystkie drzwi są zaryglowane. Ale gdy i w dolnym zaniku klucz okazał się niepotrzebny, Jagodę przeszły ciarki. Przytknęła ucho do drzwi i chwilę nasłuchiwała, potem delikatnie nacisnęła klamkę i stanęła zaraz za progiem. Nasłuchiwała. Żadnych szmerów. Nie słyszała nawet tykania zegara w przedpokoju. Lodówka też ucichła. Zepsuta? Może wyłączona? Kto by ją wyłączył?

– To ja, Jagoda, panie profesorze! – zawołała przeciągle, dodając sobie odwagi.

Cisza. Zrobiła dwa kroki i powtórzyła zawołanie, teraz donośniej. Brak odpowiedzi. Przy drzwiach prowadzących na niski parter leżały dwie torby podróżne, obok nich sześć pakunków. Zrzuciła sandały z nóg i ze wzrokiem skierowanym na dolną półkę w bufecie na palcach weszła do salonu. Przez oszklone drzwiczki widziała te same naczynia, które tyle razy brała do rąk i wycierała z kurzu. W kuchni także niczego nie brakowało. Zajrzała do zmywarki. Był w niej talerzyk i kubek oznaczony winietą szkoły archeologicznej. To się w głowie nie mieści, żeby rektor pił herbatę z kradzionego naczynia, pomyślała krytycznie, wspinając się po schodach na piętro. W sypialni lewa część małżeńskiego łóżka była zaścielona, bo od pierwszego dnia lipca profesorowa jest w Jodłowie. Może zadzwonić na uczelnię? I co powiem sekretarce? Żeby spytała rektora Pośledniego, dlaczego wyjął klucz z furtki, czego nigdy nie robił, a nie pamiętał o zamknięciu drzwi do domu i zostawił otwarty garaż? Jankowska spyta, czy czegoś brakuje, że się zaniepokoiłam. Nie zauważyłam, żeby coś zginęło. W takim razie proszę robić to, co należy do pani obowiązków i za co bierze pani pieniądze, odpowie sekretarka. Od pierwszej rozmowy przez telefon Jagoda nie lubi Jankowskiej, tak samo jak nie cierpi córki profesorstwa. Marta nie tylko nosi się wysoko, ale i przygryza jej, że prawdziwa kobieta oprócz ciała i duszy powinna mieć honor. Ona, taka prawdziwa i honorowa, a z kim żyje? Jagoda nie może zrozumieć, dlaczego kobieta, w dodatku Niemka, zastępuje Marcie mężczyznę. Co jest

przyjemnego w tym, kiedy dotyka ją nieowłosiona, drobna dłoń z pomalowanymi paznokciami? A przecież są jeszcze sprawy łóżkowe. Jak one je załatwiają? Może te kwestie w świecie lesbijek nie są ważne lub nie istnieją. Księża katoliccy także nie mają żon i jakoś sobie radzą z tym, co jest nienaturalne w przypadku dziewięćdziesięciu dziewięciu procent zdrowych mężczyzn. Przywołała w pamięci Alana i pomyślała, że jeśli jego ojciec jest w domu, to on pewnie dziś nie pojawi się na Kwiatowym. Nawet wtedy, kiedy sami byli w domu, profesor w żaden sposób nie dał jej do zrozumienia, że skoro nie ma męża, bo jest rozwódką, to on przez kilkanaście minut może go zastąpić. Nigdy jej nie dotknął, nie licząc tego, gdy raz w roku składał powinszowania imieninowe i przed każdym sylwestrem życzył udanej zabawy.

– Jest tu ktoś? – ale odpowiedzi nie usłyszała.

Po wąskich schodach zeszła na niski parter, gdzie pomiędzy pokojem bilardowym i biblioteką urządzoną w starym stylu był zagracony gabinet Pośledniego. Nie spodziewała się, że tam zastanie profesora, jednak postanowiła się upewnić. Ku jej zaskoczeniu był. Odwrócony plecami do drzwi, przykryty pledem, leżał na prawym boku na kanapie. Nawet nie zdjął okularów. Odniosła wrażenie, że się poruszył i odezwał. Przez sen coś powiedział, pomyślała i ostrożnie, żeby go nie zbudzić, wycofała się za drzwi. Najpierw podleję kwiaty w salonie i sypialni, zetrę kurze z mebli i naczyń, postanowiła, a dopiero potem włączę odkurzacz. Do tego czasu profesor powinien się obudzić.

Zajęło jej to troszkę więcej niż cztery godziny, mimo że się spieszyła. Najpóźniej piętnaście minut przed szóstą musi skończyć sprzątanie. A jeżeli jeszcze Pośledni się nie obudzi, to dziś nie będzie odkurzała. Dopiero w połowie września profesorowa wróci z Jodłowa. Profesora nie było w domu prawie cztery tygodnie i nikt tu nie zaglądał, nie miał więc kto nabrudzić. Ale skoro dostaję pieniądze za dbanie o porządek w tym domu, to bez względu na okoliczności muszę posprzątać. Wyjęła electrolux ze składziku i go

włączyła. Najpierw odkurzyła i przetarła podłogę w sypialni, obu pokojach i garderobie na piętrze, potem to samo zrobiła w kuchni, salonie i przedpokoju na wysokim parterze. Sprzątanie na niskim parterze zaczęła od biblioteki. Mimo że od dawna nikt z domowników nie przekroczył progu pokoju bilardowego, co dwa tygodnie wchodziła tam z elektroluksem. Nie ma innego wyjścia, stwierdziła, teraz trzeba odkurzyć gabinet profesora. Liczyła na to, że Pośledni obudzi się i powie, żeby dziś dała sobie spokój z odkurzaniem tego pokoju. Nie powiedział. Nawet się nie poruszył, gdy odchrząknęła i postawiła electrolux przy kanapie. W koszu, od zawsze stojącym po prawej stronie biurka, pod dwiema zgniecionymi puszkami leżały papiery i jeszcze coś, czemu Jagoda się nie przyjrzała. Na biurku pomiędzy laptopem i kubkiem z długopisami tkwiły dwie wysokie szklanki z czymś żółtawym. Jedna prawie pełna, druga opróżniona do połowy. Piwo, pomyślała. Stąd ten dziwny zapach ni to drożdży, ni tego, co pewnie skwaśniało.

– Panie profesorze, mocno przepraszam. Jednak muszę posprzątać – odezwała się szeptem, jakby się spodziewała, że wyrwany ze snu Pośledni walnie w nią przekleństwem albo wyrzuci z siebie coś, czego nie chciała słyszeć.

Nie zaklął, nie powiedział słowa ani nie podniósł głowy. Nawet się nie poruszył. I to ją zaniepokoiło. Oparta prawą ręką o kanapę, pochyliła się nad Poślednim. Wstrzymała powietrze w płucach i nasłuchiwała. Lewą ręką podniosła pled, opuszkami palców prawej dotknęła skroni profesora. Była zimna.

– Jezusie przenajświętszy! – krzyknęła wniebogłosy, a oznaczony logotypem stowarzyszenia archeologów kubek z długopisami na biurku wydał jękliwy dźwięk. Jagoda przerażona uciekła do kuchni.

Zielonagóra, ul. Wąska,
poniedziałek, po południu

Dopiero po porannej odprawie u zastępcy komendanta komisarz Syski zaczął przeglądać papiery dotyczące śledztwa w sprawie zaginięcia profesora Witkowskiego. Miał to zrobić w piątek, ale przed południem nowy zastępca prokuratora okręgowego wezwał go do siebie i przez cztery godziny klarował, czego będzie wymagał od pionu kryminalnego policji, a szczególnie od niego jako naczelnika wydziału. Syski próbował go przekonać, żeby tę rozmowę przełożył na pierwszy tydzień października, kiedy wróci z urlopu do komendy i jeszcze nie będzie w kursie dzieła, co Tomczyszyn nazwał lekceważeniem jego stanowiska w prokuraturze. Chwała wszystkim aniołom stróżom, że między ostatnim piątkiem i wczorajszą niedzielą w stupięćdziesięciotysięcznej Zielonejgórze nikt się nie powiesił, nie zastrzelił, nie utopił, nie wpadł pod samochód, nie wyskoczył przez okno, nie poderżnął sobie żył, nie przedawkował jakiegoś świństwa, sąsiad nie zabił sąsiada, syn ojca, mąż żony i żaden podpity zazdrośnik nie zadźgał swojej kochanki. Ostatni taki koniec tygodnia zdarzył się przed wakacjami, co Syski zaznaczył na zielono w służbowym kalendarzu. Od jutra do końca września komisarz nie będzie późno wracał do swego mieszkania na Zaciszu ani zrywał się na każde larum komórki, ani golił w sobotę i niedzielę, żeby zastępca komendanta nie zwracał mu uwagi, ani nie wiadomo który raz przypominał żonie, że już na pierwszej randce powiedział jej, gdzie pracuje i czym się zajmuje w wydziale kryminalnym. Pojutrze przez jedenaście pełnych dni Jacek Syski będzie wylegiwał się na plaży za hotelem Jasmin Beach koło Bodrum na Riwierze Tureckiej, wyjadał musakę na zmianę z kofte, paprykę nadziewaną baraniną i manti, popijał białą retsiną, wieczory spędzał w klubie dla cudzoziemskich wczasowiczów, a późnym wieczorem robił to, co należy do obowiązków wypoczętego męża, gdy nie ma innych zadań i jest w szerokim łóżku z własną żoną. Jeżeli będzie taka możliwość, wybierze się na wycieczkę do mitycznej Troi, bo to żabi skok z Bodrum, a on od dawna chce poznać drogę, którą Schliemann wywiózł stamtąd skarb mitycznego

króla Priama do Niemiec. Po powrocie do Zielonejgóry ma szczery zamiar odświeżyć ściany kuchni i oczyścić fugi w łazience oraz, ale z tym może poczekać do przyszłorocznego urlopu, wymienić szafy ubraniowe w przedpokoju na bardziej funkcjonalne i przede wszystkim z drzwiami przesuwnymi. Najważniejsze jest to, że od jutra do ostatniego dnia września nie będzie przychodził do komendy i nie będzie tłumaczył zastępcy komendanta, dlaczego tego czy tamtego śledztwa nie skończył i nie wie, kiedy skończy, bo czegoś brakuje. Dawno komisarz Syski tak się nie cieszył, jak w poniedziałek od samego rana.

– Szefie, wyjątkowo pilna robota – usłyszał suchy głos sekretarki przez interkom. – Domek jednorodzinny na osiedlu Kwiatowym. To na Jendrzychowie. Denat nazywa się Pośledni Stefan. Profesor i doktor habilitowany. Dyrektor Wyższej Szkoły Archeologi. Sierżant Rudiak twierdzi, że światowa sława w dziedzinie histori i jeszcze czegoś, czego nie zrozumiałam.

– To policjant na dyżurce aż tyle wie?

– Identycznie spytałam. On na to, że mąż kuzynki żony ma coś wspólnego z tą szkołą.

– Proszę, abyś wszystko dokładnie powtórzyła nadkomisarz Mrozińskiej – polecił z satysfakcją, że nie musi się tym zająć. – Ilonka dziś wróciła z laby, to na pewno jest głodna sukcesu i z wielką ochotą zabierze się do śledztwa. Ja za niecałe pół godziny odbiorę kartę urlopową. Do końca września: baj, baj, wydziale kryminalny. Przy okazji, profesor Pośledni to pewnie rektor, a nie dyrektor Wyższej Szkoły Archeologi.

Zielonagóra, os. Kwiatowe,
poniedziałek, po południu

Gdy redaktor Jung wysiadł ze swojej „pięćsetki”, na chodniku przed dworkiem Pośledniego, od ulicy osłoniętym starymi wierzbami, na osiedle wjechał radiowóz rozsiewałby błękitne

światło z dachu. Zaraz za nim pędził pąsowy seat león. Jung nie miał wątpliwości, że za kierownicą siedzi Ilona Mrozińska. Tylko ona jeździ takim autem.

– Gdzie i czym zawiniłem ostatniego dnia wakacji, że policja ściga mnie aż dwoma samochodami? – rzucił w jej stronę bardziej zaciekawiony niż wystraszony.

– Na razie nie znajduję powodu zatrzymania pana redaktora – odpowiedziała nadkomisarz, unosząc lewą dłoń na powitanie i uśmiechając się niemal zalotnie. Miała na sobie białą bluzkę z dekoltem i złocący się wisiorek na drobniutkim łańcuszku, co dodatkowo podkreślało, że niedawno wróciła z urlopu spędzonego w bardziej słonecznej niż Polska części świata. – Z czwartą władzą wolę nie zadzierać. Chyba że mnie wkurzy. Wtedy nie ma zmiłuj się.

Krok za nią szła sierżant Natasza Woźniak-Araszkiewicz, również po cywilnemu, od końca czerwca zatrudniona na stałe w pionie kryminalnym. Gdyby komendantka nie wysłała jej do wydziału kierowanego przez komisarza Syskiego, naczelnik musiałby wzywać posiłki z komisariatów. Dotąd było tak, że latem każdego roku, kiedy większość policjantów brała urlop, Syski podpierał się praktykantami, stażystami i pomagierami z referatu dzielnicowych. O Nataszy redaktor Jung wiedział tyle, ile usłyszał od starszych policjantów z pionu kryminalnego, z którymi dawniej pracował w komendzie. Dowcipkowali, że nie małomówny Tadeusz Araszkiewicz jej się oświadczył, jak to jest w zwyczaju, lecz ona jemu. Ale gdy była mowa o robocie z pomyślunkiem, nie ukrywali, że Natasza ma dryg do stawiania hipotez i na kilometr czuje pismo nosem. Jako stażystka rozwiązała zagadkę uprowadzenia profesora Witkowskiego, za co minister spraw wewnętrznych przyznał jej brązowy medal „Za zasługi dla policji", a komendant główny dorzucił nagrodę pieniężną równą półmiesięcznej wypłacie. Najpewniej niedługo naczelnik Syski znowu będzie prosił dzielnicowych o wsparcie w wydziale kryminalnym, bo Natasza jak większość młodych mężatek zechce urodzić dziecko. Potem drugie.

Parka lepiej się chowa. Może trzecie i czwarte, tym bardziej że za rok, najpóźniej za dwa lata wprowadzi się do mieszkania służbowego w bloku budowanym dla policjantów. Ilona Mrozińska powiedziała Jungowi, że nie ma nic przeciw młodym mężatkom w policji, ale póki nie odchowają dzieci, nie powinny pracować w pionie kryminalnym. Identycznie uważa Jacek Syski, tyle że akurat komisarz w każdej chwili może odejść z policji na emeryturę. Po piętnastu latach służby ma do tego prawo, a on nosi mundur od studiów. Co innego młodsi, których nie obejmują stare przywileje. Syski pewnie już dawno zostałby emerytem, gdyby umiał wędkować lub polować albo lubił malować czy fotografować, uprawiał ogródek, interesował się zabytkową bronią, czytał, postanowił spisać wspomnienia czy ułożyć drzewo genealogiczne. Człowiek, który nie ma żadnego konika i na pierwszym miejscu stawia to, za co dostaje pieniądze, nigdy nie powinien być emerytem. Taki człowiek długo nie pożyje bez pracy.

W klasie maturalnej, gdy prawie wszystkie koleżanki wybierały się jak nie na medycynę, to na farmację albo na prawo, Natasza nie mogła się zdecydować, co studiować. Ojciec radził jej, żeby została nauczycielką angielskiego lub wuefistką. Akurat jej starsza siostra skończyła psychologię i bez trudu dostała się na staż do komendy wojewódzkiej. Niewiele się zastanawiając, Natasza zawiozła papiery do szkoły policyjnej. Po powrocie z Piły do domu przyznała się siostrze, że na egzaminie miała więcej szczęścia niż rozumu. Nie tylko nie odpowiedziała na pytanie, od którego ubrany po cywilnemu egzaminator zaczynał rozmowę z każdą kandydatką, ale stwierdziła też, że zmieniła zdanie w sprawie swojej przyszłości. Już nie chce być zwyczajną posterunkową, jakich wiele szwenda się po ulicach. W policji musi robić to, co da jej satysfakcję. Na przykład będzie zajmowała stanowisko detektywa w pionie kryminalnym. Wstała i ruszyła w stronę drzwi, a wtedy egzaminator wrzasnął, że ma wracać, bo jeszcze nie skończył rozmowy. I że od niego zależy, która dostanie się do szkoły, a która nie nadaje się, choćby była

córką komendanta głównego i odpowiedziała na wszystkie pytania. W policji potrzebne są kobiety, ale przede wszystkim z charakterkiem i wyczuciem oraz odwagą, powiedział.

– Ujawnią panie, co je przygnało na najpiękniej położone osiedle w Zielonejgórze? Czyżby to samo, co mnie?

– A co ciebie, redaktorze, przygnało? – spytała nadkomisarz Mrozińska. Była ciekawa, czy wreszcie Jung przyzna się do tego, że podsłuchuje rozmowy policjantów prowadzone przez radiotelefon. Tak robią dziennikarze nie tylko w redakcji „Gazety Zielonogórskiej".

– Jeszcze w połowie wakacji umówiłem się z profesorem Poślednim na wywiad. Dziś o czternastej miałem z nim rozmawiać o wykopaliskach prowadzonych na grodzisku w Wicinie i o skarbie scytyjskim znalezionym na polu w Witaszkowie. To gdzieś między Lubskiem a Gubinem. Moja szefowa uważa, że za rzadko przypominamy historię, a na temat wydarzeń z najdalszej przeszłości milczymy jak trusie. Naukowcy próbują to robić, ale posługują się takim językiem, że, aby ich zrozumieć, trzeba mieć pod ręką słownik wyrazów obcych i trudnych, dlatego...

– Nic się nie zmieniłeś od czasów policyjnych, Daniel – przerwała mu nadkomisarz, spoglądając na zegarek. – Do rzeczy.

Podniósł obie ręce i się uśmiechnął, jakby przyznał rację Ilonie Mrozińskiej. Zresztą nigdy się z nią nie spierał. Z czasów kiedy był policjantem w pionie kryminalnym zapamiętał, że polemika z osobą w mundurze jest bezsensowna, ponieważ prawo zawsze stoi po jej stronie.

– Pojechałem na uczelnię, a tam sekretarka profesora oznajmiła mi, że z rozmowy nici, bo Pośledni nie pojawił się w rektoracie i ona, mimo że próbowała na różne cywilizowane sposoby, nie ma z nim kontaktu. To natychmiast wskoczyłem do „pięćsetki" i dlatego tu jestem. A panie?

– A my jesteśmy pewni tego, że do dyżurnego komendy zadzwoniła kobieta robiąca porządki w domu na osiedlu Kwiatowym. Jej zdaniem Stefan Pośledni nie daje oznak życia. Może

zgon naturalny, a może...?

– Morderstwo?

– Sprawdzimy.

– Na razie nic tu po mnie – rzucił Jung niezadowolony, co n.idkomisarz Mrozińska potwierdziła przytaknięciem. – Zadzwonię przed wieczorem. Oczywiście do rzeczniczki – szybko dodał, bo policjantka już otwierała usta, żeby mu przypomnieć, jakie są wytyczne centrali w sprawie informowania dziennikarzy. Jacek Syski tego nie przestrzegał, ale tylko wtedy, kiedy dzwonił Daniel i w pokoju naczelnika wydziału nie było świadka. Z innymi dziennikarzami nie rozmawiał, wyłączając konferencje prasowe. Mógł sobie pozwolić na takie traktowanie Junga, wszak znali się od dawna i nie jedną flaszkę opróżnili, a przy piwie spotykali się co kilka dni.

Zielonagóra, os. Kwiatowe,
poniedziałek, po południu

– W gruncie rzeczy na razie nic tu po nas – powiedziała Natasza Woźniak-Araszkiewicz z nutą zwątpienia w głosie.

– Na podstawie jakich przesłanek koleżanka sierżant doszła do takiego wniosku? – naskoczyła na nią nadkomisarz Mrozińska z wyniosłością. Pierwszy dzień pracowała z Nataszą i już nie podobało się jej zachowanie młodej podwładnej. Słyszała od Syskiego, że to kandydatka na rasową policjantkę śledczą, ale jeszcze musi popraktykować. Przede wszystkim nie zawodzi jej intuicja i kojarzenie faktów. Jeżeli taka dobra, to przy pierwszej okazji komendantka każe jej jechać na kurs za granicą. – Mnie nigdy nie zdarzyło się wygłosić opini na podstawie wydajemisię, a pracuję w pionie kryminalnym, ho, ho! dłużej niż koleżanka ma lat.

W głosie Mrozińskiej było jeszcze coś, co Natasza w jednej chwili potraktowała jako przestrogę i nakaz bezwarunkowego

podporządkowania się. Nie był to ani ton wypowiedzi, ani pewność siebie. Nie umiała tego określić, ale wiedziała, że nie może się sprzeciwić przełożonej. Rano, kiedy wychodziła z mieszkania do komendy, Tadeusz ostrzegł ją, żeby wobec Ilony Mrozińskiej starała się być posłuszna, bo nadkomisarz nie toleruje odmiennego zdania. Długo analizuje sprawę wziętą na warsztat, ale gdy uzna ją za rozpracowaną, akceptuje jedną opinię, najczęściej tylko swoją, i wtedy broń Boże, żeby ktokolwiek wszedł jej w drogę. Ośmieszy lub, co gorsze, sponiewiera człowieka. Choćbyś miała pomysły jak Chmielewska, po podpisaniu listy obecności musisz słuchać starszej stopniem i funkcją, szczególnie gdy starszą jest policjantka w wieku pobalzakowskim. Dlatego Natasza woli pracować z Syskim, który traktuje ją trochę jak atrakcyjną kobietę, trochę jak podwładną i trochę na zasadzie, że posłuchać uwag młodej detektyw nie zaszkodzi. Ale do końca września sierżant Woźniak-Araszkiewicz nie ma wyboru: musi być podkomendną pełniącej obowiązki naczelniczki wydziału kryminalnego nadkomisarz Ilony Mrozińskiej. Zwierzchniczki i partnerki na służbie, bo Tadeusz, z którym do niedawna stanowiła tandem, wyjeżdża na roczny kurs, a jego następca na początku sierpnia tak pechowo złamał nogę w kostce, że i za pół roku nie wróci do wydziału.

Ilona Mrozińska także nie była zadowolona ze zmiany doświadczonego w prowadzeniu śledztw towarzysza na dopiero co po szkole i stażu Nataszę, ale nie miała innego wyjścia. To była decyzja komendantki, a ona każdej kobiecie wyższej stopniem i funkcją schodzi z drogi. Ilona woli zarabiać pieniądze z mężczyznami. Wtedy nie musi rywalizować i czuje się bezpieczna. Mężczyzna w każdym miejscu pamięta o tym, że pracuje z kobietą, i dlatego zachowuje się tak, jakby był jej partnerem nie tylko w czasie służby. Jak brat wobec siostry. Szanuje ją i chroni. Ponadto Ilona bardziej ufa mężczyznom niż kobietom, z wyjątkiem zastępcy komendanta, chociaż wcale nie uważa, że ci, z którymi dotąd pracowała, byli od niej mądrzejsi. Pewniejsi siebie i wyniośli tak. Niektórzy przy niej

zachowywali się aż zbyt pewnie. Wręcz zuchwale. Co jej nie odpowiadało. Uważała jednak za naturalne, że zadbana, rozgarnięta, kuta na cztery nogi i przy tym niestara kobieta woli towarzystwo mężczyzny.

Nadkomisarz nie była pewna, czy Natasza przyjmie uwagę, że nie powinna malować paznokci w paski lakierem kobaltowym i żółtym na przemian. Są przepisy, które określają, jak ma wyglądać policyjna detektyw na służbie. Co innego w sekretariacie komendantki czy na balu, gdzie dłonie są wizytówką kobiety. Ale jeżeli to powie, Natasza może przyczepić się do tego, co nadkomisarz ma na głowie. Gdyby Ilona nie farbowała włosów, miałaby siwą czuprynę. Za wcześnie, żeby czterdziestopięcioletnia kobieta wyglądała jak zahukana rencistka. Dlatego Ilona nosi włosy w kolorze ognistej miedzi i jest z tego zadowolona. Taka podoba się mężowi. Jacek Syski również uważa ją za atrakcyjną kobietę. Jest przekonana, że gdyby zastępca komendanta zabrał ją na odprawę kryminalnych do Rembertowa, także szczerzyłby do niej zęby, a może i liczył na coś więcej. Obejrzała swoje palce i w jednej chwili zdecydowała, że jeszcze dziś kupi lakier kobaltowy i wieczorem pomaluje paznokcie, ale później zmieniła zdanie. Nie wypada, żeby naśladowała podwładną. Ilona kupi czerwony lakier. Czytała, że ten kolor przykuwa uwagę mężczyzn, a ona im więcej ma lat, tym bardziej chce być dostrzegana i podziwiana. Która kobieta tego nie pragnie? Po chwili uznała, że czerwone paznokcie nie pasują do jej funkcji. Nadkomisarz pełniąca obowiązki naczelniczki wydziału kryminalnego powinna mieć paznokcie jak najbardziej zadbane, ale nie tak, żeby przyciągały wzrok tych, z którymi będzie rozmawiała. Kupi więc lakier koloru marsala albo pudrowy róż.

– Koleżanka sierżant sama maluje czy chodzi do manikiurzystki? – odezwała się do Nataszy głosem przyjaznym, pokazując wzrokiem na palce jej dłoni. Dopiero teraz zauważyła, że policjantka ma również paznokcie u nóg pomalowane w paski kobaltowo-żółte. – Tam też?

– Pierwszy i ostatni raz byłam u kosmetyczki przed ślubem. Szkoda czasu i pieniędzy. Do fryzjera dotąd chodziłam regularnie. Zawsze w połowie miesiąca. Teraz będę musiała bywać u niego częściej. – Starsza policjantka zrobiła pytającą minę, Natasza powiedziała więc, że będzie wyglądała na rockowo. Każe wygolić włosy tak, żeby zostało odsłonięte lewe ucho i skroń. Albo prawe. Jeszcze nie zdecydowała. I nie zdecydowała, na jaki kolor każe zafarbować włosy z przeciwnej strony, bo na czubku głowy będą czarne w pasemka zielone, żółte i złamane amarantem. Dawno chciała mieć asymetryczną fryzurę, lecz mąż ją wstrzymywał. Policjantka nie powinna upodabniać się do celebrytki, mówił. – Przez najbliższy rok raz w miesiącu Tadeusz będzie wracał do domu ze szkoły. Wyposzczony zaakceptuje każdy mój wygląd. Wszyscy mężowie już tacy są – dodała, mimo że mężatką jest dopiero od kilku miesięcy.

Ilona uśmiechnęła się pod nosem. To odważna dziewczyna, pomyślała. Nie da sobie dmuchać w kaszę.

To samo usłyszała od Syskiego w zeszłym roku, kiedy Natasza jako stażystka sprowadziła go na uklepaną ziemię. Komisarz już powiadomił prokuratora, że sprawę zaginięcia profesora Witkowskiego trzeba włożyć do zamrażarki. Pewnie kiedyś przypadkowo uda się tę zagadkę rozwiązać. Przecież nie ma zabójstw doskonałych. Teraz szkoda czasu, tym bardziej że w wydziale kryminalnym brakuje detektywów. Wtedy nie tyle doświadczenie, bo przecież Natasza go nie miała, co instynkt podpowiedział jej, żeby szukała sprawczyni po niemieckiej stronie granicy.

– Zaraz człowiek dostanie jakiegoś szmergla – powiedziała sierżant pod nosem. Nie lubiła siedzieć z założonymi rękoma.

Póki nie przyjedzie dyżurny lekarz sądowy, nawet pełniąca obowiązki naczelniczki wydziału kryminalnego nic nie ma do roboty. Zdanie medyka ma fundamentalne znaczenie w wyborze kierunku prowadzenia śledztwa.

– Co dalej? – niecierpliwiła się Natasza i zerknęła na czasomierz w

komórce, jakby dokądś się spieszyła. Według niej o sukcesie w śledztwie decydują pierwsze godziny. To znaczy nie tyle według niej, co według komisarza Syskiego, czego ona nie próbowała podważyć. Inaczej uważa nadkomisarz Mrozińska, ale nie ma to żadnego znaczenia, tym bardziej że każde śledztwo nadzoruje prokurator.

– Na razie, koleżanko sierżant, czekamy – ofuknęła ją nadkomisarz Mrozińska.

– Czekamy na lekarza. Potem będziemy czekały na techników. A na końcu prokurator, któremu nie chce się podnieść czterech liter zza biurka, uzna *naszą* robotę za nieprofesjonalną i umorzy śledztwo.

– Nam, droga koleżanko, płacą za postępowanie prowadzone zgodnie z procedurami – przypomniała nadkomisarz takim głosem, jakby to była poranna odprawa. – O wilku mowa, a wilk już tu jest. Przyjechała doktor Kamińska – dodała pojednawczo, gdy przy krawężniku zatrzymał się samochód oznaczony laską Eskulapa i godłem uniwersytetu.

Doktor Kamińska niczego nie była pewna, poza tym że na kanapie leżą zwłoki mężczyzny około sześćdziesięcioletniego. Do identycznego wniosku doszły obie policjantki, a one przecież nie skończyły studiów medycznych i nie starały się o dyplom specjalistki w uniwersyteckim zakładzie patologi ogólnej.

– Czas śmierci?

– Zgon nastąpił więcej niż dwadzieścia cztery godziny temu – doktor Kamińska odpowiedziała na pytanie nadkomisarz Mrozińskiej po namyśle. – Rozkład ciała ludzkiego zaczyna się cztery minuty po ustaniu czynności życiowych.

– Od wczoraj nie żyje? Wcześniej?

– Pani wymaga ode mnie dokładności, a ja od ręki nie jestem w stanie stwierdzić, od kiedy on nie żyje.

– Od soboty?

Lekarka pochyliła się nad głową Pośledniego jakby dopiero teraz zauważyła coś, czego wcześniej nie dostrzegła. Zacisnęła usta i

pociągnęła nosem. Po dłuższym milczeniu przyznała się, że nie potrafi dokładnie podać, od ilu godzin Pośledni nie żyje.

– To na podstawie bardziej szczegółowych oględzin będzie musiał ustalić anatomopatolog w trakcie sekcji. O ile znam doktora Trzcinkę, a wiem, że z nim policja współpracuje głównie, zrobi solidnie to, co należy do jego obowiązków. Ja, pani nadkomisarz, w formularzu, gdzie jest miejsce na podanie daty i przyczyny zgonu, napiszę: nieznana, trzydziesty pierwszy sierpnia dwa tysiące siedemnastego roku.

– Naprawdę teraz pani nic więcej nie może?

– Nie chciałabym wybiegać przed szereg. Jest coś, co mnie zastanawia, stąd moje przydługie milczenie.

– Co takiego? – Nadkomisarz zrobiła krok przed siebie, jakby i ją coś zastanawiało.

– To, co powiem, proszę przyjąć jedynie do wiadomości. Żadnych enuncjacji, żadnych pytań, a tym bardziej dociekań i dywagacji. Jasne?

– Nie mam innego wyjścia. Zgoda.

– Pośledni nie zmarł śmiercią naturalną.

– Na jakiej podstawie doszła pani do takiego wniosku?

– Prosiłam o niezadawanie pytań.

– To silniejsze ode mnie.

– Nikt nie układa się na prawym boku, żeby spokojnie umrzeć. A jeśli się kładzie, to zdejmuje okulary, tym bardziej że to bezramkowe okulary.

– Tym gorzej dla nas – stwierdziła Ilona Mrozińska.

Rzuciła okiem na parapet, na którym stały dwa cyklameny w ceramicznych doniczkach i obok nich drugi kwiat podobny do wilczomleczu, tyle że z regularnie wygiętymi łodyżkami. Ze szkoleń w Legionowie pamięta, że niektóre wilczomlecze są trujące. Jeden z nich, wyleciało jej z głowy który, w czasie kwitnienia wydziela olejek drażniący pęcherzyki płucne. Podeszła do parapetu, pociągnęła nosem, ale nie poczuła woni zajmującej uwagę. Na

stylowym biurku drzemał rozdziawiony laptop, obok tkwiły dwie szklanki z czymś żółtym, co mogło być naparem z ziółek lub cienką herbatą. Z prawej strony za laptopem przykucnął pękaty kubek z długopisami, z lewej pod lampką stała kuwetka, w niej były niemożliwe do nazwania ni to grudki metalu, ni kamienie. Spośród obrazków zawieszonych na ścianie komisarz zwróciła uwagę na ten, który przedstawiał mężczyznę w słomkowym kapeluszu i rozpiętej koszuli z krótkim rękawem, pochylonego nad czymś, co mogło być wykopanymi z ziemi okruchami garnka.

– Czy ktoś widzi telefon?

– A pani nadkomisarz chce gdzieś zadzwonić? – spytała Natasza, wkładając rękę do torebki.

– Pytam, czy ktoś zauważył komórkę. Interesuje mnie komórka denata – wyjaśniła policjantka zdecydowanym głosem. – Niemożliwe, żeby współczesny człowiek, tym bardziej profesor światowej sławy, nie posługiwał się przynajmniej najprostszym telefonem komórkowym.

Dwaj technicy kryminalni już założyli rękawiczki i czekali na korytarzu na znak, kiedy będą mogli rozpocząć to, po co przyjechali. Ich szef milcząco lustrował ni to gabinet, ni pracownię profesora, jakby się zastanawiał, od czego zacząć, żeby tym razem nadkomisarz Mrozińska nie miała pretensji do niego i jego ludzi. Zawsze pytała o coś, czego technicy nie zrobili albo zrobili, ale nie tak, jak ona tego oczekiwała.

– Panowie technicy, bierzcie się do dzieła – zarządziła nadkomisarz zbędnie. – Sierżant Woźniak, proszę zaprowadzić panią do kuchni i tam przyjąć jej zeznanie – wskazała Jagodę Bojko opartą o ścianę na korytarzu. – Ja w tym czasie rozejrzę się po domu. Aha, ten kwiatek, w czymś, co wygląda jak poklejony garnek, stoi obok prymulki, weźcie do przebadania.

– Uważa pani, że kwiatek spowodował...? Podobno dracena ma właściwości toksyczne, ale...

– Na dyskusję zapraszam do mojego pokoju w komendzie –

nadkomisarz zgasiła szefa techników.

Zielonagóra, os. Kwiatowe,
poniedziałek, późnym popołudniem

Po zadaniu czterech rutynowych pytań, od jakich musi zacząć się każde przesłuchanie, sierżant Woźniak-Araszkiewicz miała pustkę w głowie. O archeologi wiedziała tyle, ile niedawno przeczytała w „Zielonogórskiej" albo „Lubuskiej", tego nie pamiętała, kiedy badacze znaleźli zatopione pozostałości mostu, przed wiekami łączącego brzeg z grodziskiem na wysepce pośrodku jeziora Niesłysz. Wolałaby, żeby Jagoda Bojko z własnej inicjatywy coś powiedziała, a wtedy Natasza napisałaby kilka zdań wyjaśnienia, które powinny wystarczyć nadkomisarz Mrozińskiej. Jeżeli Pośledni nie zmarł z powodu araku serca i nie popełnił samobójstwa, a został zamordowany, to do czasu przeprowadzenia sekcji zwłok przez doktora Trzcinkę niewiele da się wyjaśnić. Chyba że fuksem, pomyślała, ale to nic nowego, bo na większość dowodów winy śledczy natrafiają przypadkowo. W tym zawodzie intuicja jest ważniejsza niż doświadczenie i umiejętności wyniesione najpierw ze szkoły, potem uzupełniane na szkoleniach.

– Zastanowiło panią to, że drzwi były otwarte – powtórzyła sierżant Woźniak–Araszkiewicz. – Jeszcze coś pani zauważyła?

– Nie.

– Na pewno?

– Przy zejściu na niski parter stały dwie walizki, właściwie torby, czerwona i zielona. Obok nich leżały pakunki, Pewnie prezenty.

– Ile ich było?

– Sześć.

– Zastanawiała się pani, co się w nich znajduje?

– Nie.

– Czy to są te same pakunki, które nadal leżą w przedpokoju?

– Tak.

Jagoda była spięta. Nerwowo skubała pasek bluzki, czemu policjantka się nie dziwiła.

– A tamte dzbanuszki w ciapki do czego służą? – spytała, żeby za długo nie milczeć, kierując spojrzenie Jagody na oszkloną szafkę w kącie.

– Czarki. Dekoracja. Profesor wykopał je w Wicinie, pokleił i brakujące fragmenty uzupełnił masą gipsową – odpowiedziała głosem drżącym, ale ze znajomością rzeczy. – Bardzo trudno je oczyścić z kurzu, dlatego stoją za szkłem. Dawniej było ich więcej.

– Potłukły się?

– Nie. Gdy profesor szedł na imieniny, a zapomniał kupić prezent, to wyciągał czarkę i...

– Zaraz, zaraz – przerwała jej policjantka zaskoczona tym, co przed chwilą usłyszała. – Czarki pochodzą z wykopaliska finansowanego przez państwo, tak? – Nie czekając, aż Jagoda to potwierdzi, dociekała: – Czy zatem nie stanowią własności państwa i dlatego powinny być przechowywane w innym miejscu? Na przykład w muzeum? Zgadzasz się ze mną?

Jagoda z wypiekami na twarzy najpierw wzruszyła ramionami, co oznaczało, że nigdy nad tym się nie zastanawiała, potem mrugnęła załzawionymi oczami i pokiwała głową.

– W tym domu jest więcej różnych przedmiotów zabytkowych niż w niejednym muzeum – dodała.

– Więc potwierdzasz, że to, co Pośledni wygrzebał z ziemi na wykopaliskach, przetrzymywał w tym domu?

– Odkąd tu sprzątam, oglądam wiele tych samych przedmiotów i nie ma tygodnia, żeby profesor nie przyniósł czegoś nowego. Jedne zamyka w szafach, inne, jak na przykład tamtą popielnicę – wyciągnęła rękę w stronę schodów – i dwie niżej, postawił na stopniach, bo, tak przypuszczam, nie mają wielkiej wartości historycznej. Niektórych nawet nie rozpakowuje. Znikają.

– Co znika?

– Nie wszystkie nazwy potrafię powtórzyć – zastrzegła Jagoda. – Kiedy robiłam porządki przed Wielkanocą, przed każdymi świętami myję okna, drzwi i w ogóle, to w tej kuwetce, co stoi na biurku profesora, widziałam bransoletkę i coś jakby kolczyki czy klipsy. Wyglądały na złote. Po świętach w tym samym miejscu leżała jedna bransoletka, zupełnie niepodobna do tamtej. Też ładna, ale tamta była nie tyle ładniejsza, co zjawiskowa. Nawet spytałam profesora, czy mogę kuwetkę wyczyścić, bo leżały w niej jakieś odpryski. Powiedział, żebym niczego nie ruszała. Dwa tygodnie później, bo sprzątam co dwa tygodnie, kuwetka była pusta.

– Nie interesowało cię, co się stało z jej zawartością?

– Gdybym o to spytała, profesor odpowiedziałby, że to nie moja sprawa. Płaci za sprzątanie. Niech każdy zajmuje się tym, do czego został stworzony, powiedziałby. To nie był ani miły, ani kulturalny człowiek.

– Jak się zachowywał wobec ciebie?

– Od niemowlaka babcia mi wpajała, żeby nie mówić źle o zmarłym – odpowiedziała Jagoda głosem przyciszonym. Sierżant Woźniak już chciała jej przypomnieć, że rozmawia z policjantką na służbie, gdy Jagoda spytała, jak długo będzie trwało przesłuchanie. – Dziś ostatni dzień sierpnia. Zawsze na koniec miesiąca myję okna i drzwi na pierwszym piętrze w salonie Alan & Alina przy Kupieckiej. Muszę się uwijać, żeby do rana zdążyć. Ale akurat o to nie mam pretensji, bo się zgodziłam. Gdyby się nie opłacało, nie robiłabym tam porządków.

– Czy mówisz o sklepie z luksusową odzieżą na deptaku? – spytała policjantka. Jagoda przytaknęła. – Kto jest jego właścicielem?

– Pan Alan, syn profesora z pierwszego małżeństwa. Synowa, to znaczy pani Alina, ma tam kwiaciarnię Florisica i biuro rachunkowe Alipo. Na poddaszu są pokoje gościnne. Wynajmuje je studentom.

– W jaki sposób dorobili się takiego majątku? Czyżby na wykopaliskach prowadzonych przez Pośledniego? Coś o tym wiesz?

Musisz wiedzieć – dodała.

Jagoda nie odpowiedziała. Również nie przyznała, że od dwóch lat sprząta dom Aliny i Alana na osiedlu Kamieni Szlachetnych. Wstydzi się tego, co robi z Alanem, ale skoro on za godzinę spotkania płaci jej więcej niż Alina za sprzątanie całego domu, to udaje, że nie ma pretensji do siebie. Ponadto jest rozwódką i musi zarobić na utrzymanie rodziny, a były mąż zapomniał o swoich dzieciach. Chwała teściowi, że nie wypiął się na nią i pomaga.

Zielonagóra, al. Niepodległości, poniedziałek, wieczorem

Pod koniec każdego redakcyjnego dnia Daniel Jung telefonował do rzeczników prasowych. Ci, z którymi zjadł beczkę soli, wiedzieli, co go interesuje i co muszą ukryć przed czytelnikami „Zielonogórskiej". Byli nawet tacy, którzy z własnej inicjatywy podpowiadali mu, czym powinien się zainteresować, a co olać, bo informacja nie jest warta funta kłaków. Jedynie rzeczniczka strażników miejskich domagała się pytań na piśmie i uparcie przypominała Jungowi, że nic na to nie poradzi, bo takie są zasady, a jej nie wolno złamać regulaminu podpisanego przez prezydenta miasta. Mało tego, jej nawet tycią wypowiedź musi zatwierdzić komendant, który wychodzi z biura o piętnastej trzydzieści. Po tej godzinie rzeczniczka wyłącza służbową komórkę. Włącza ją dopiero następnego dnia punktualnie o siódmej trzydzieści. Dlatego w „Zielonogórskiej" brakuje informacji, której ze znanych osób strażnicy wlepili mandat za niewłaściwe parkowanie, kogo ukarali za palenie ogniska na działce, dlaczego na deptaku, gdzie są wyznaczone miejsca dla samochodów osób niepełnosprawnych, stawiają swoje auta zdrowiuteńcy właściciele sklepów, lekarze, sędziowie, adwokaci, księża. A skoro w gazetach nie ma takich informacji, to opozycyjni radni twierdzą, że strażnicy nic nie robią i dlatego domagają się od prezydenta rozwiązania tej formacji.

Gdy Jung zadzwonił do rzeczniczki policji, usłyszał, że poza jedenastoma niegodnymi uwagi kolizjami samochodów, sześcioma włamaniami do mieszkań i ośmioma kradzieżami towarów wprost z półek marketów, napadem na Cygana na parkingu przed centrum handlowym Racula City Center, awanturą na postoju taksówek przy Apartamentach Lubuskich, dwudziestoma sześcioma pijakami odwiezionymi do wytrzeźwiałki i bijatyką za stacją paliw na osiedlu Malarzy, w poniedziałek nic więcej się nie wydarzyło.

– To był jeden z najspokojniejszych dni sierpnia – dodała z takim zachwytem, jakby od niej cokolwiek zależało.

– Żadnej mokrej roboty, zapicia się na amen, przedawkowania, gwałtu?

– Niczego z tych rzeczy.

– A nieboszczyk na Kwiatowym?

– U nas?

Stefan Pośledni, rektor Wyższej Szkoły Archeologi.

– Nic o tym nie wiem – przyznała się i podpowiedziały żeby zadzwonił do nadkomisarz Mrozińskiej. – Jeżeli Ilona odeśle cię do mnie, nie pomogę. Widocznie komuś w komendzie zależy na tym, żeby informacja nie przedostała się do publicznej wiadomości. Może prokuratorowi? Ale pewnie szkoda twojego czasu. Tomczyszyn nie z tych, luórzy chętnie wybiegają przed szereg.

Policjantka miała rację. Tomczyszyn odpowiedział, że dla dobra śledztwa dziś niczego nie może ujawnić. Może jutro. Ilona Mrozińska jedynie potwierdziła to, co Jung wiedział.

– Póki nie usłyszę zdania doktora Trzcinki w kwesti zgonu Pośledniego, ode mnie niczego się nie dowiesz. Na twoim miejscu dziś przemilczałabym tę sprawę – poradziła. – Gdyby jednak patomorfolog uznał, że przyczyna śmierci profesora nie była naturalna, zostaniesz przesłuchany. Miałeś kontakt z profesorem Poślednim.

– Niewiele o nim wiem. Nigdy nie spotkałem się z nim oko w oko.

– Przecież rozmawiałeś z Poślednim.

– Miesiąc temu, krótko i przez telefon.

– Ode mnie domagasz się informacji, Daniel, a kiedy ja proszę cię o pomoc, odmawiasz.

– Nie odmawiam, tylko wyjaśniam, że na interesujący cię temat nic nie wiem. Prawie nic.

– Więc odmawiasz?

– Zasłaniam się tajemnicą dziennikarską. Mam do tego prawo. Nikt, Ilonko, nie zmusi mnie do ujawnienia źródła informacji.

– Tego nie zrobisz, Danielku, bo wiesz, czym może się skończyć odmowa złożenia zeznania, kiedy zostało stwierdzone morderstwo – ostrzegła go policjantka.

– Pośledni został zamordowany? Ilonko, błagam w imię naszej znajomości, puść troszkę farby. Nie powołam się na źródło. Kilka słów, Ilonko, i będziesz miała święty spokój. Ze mną. – W myślach dodał: Do jutra.

Nadkomisarz Mrozińska nie odpowiedziała.

Daniel pomyślał o żonie. Był pewny, że kto jak kto, ale najbliższa osoba na pewno mu pomoże. Miśka zadzwoni do dyżurki prosektorium i każe ochroniarzowi wezwać doktora Trzcinkę do telefonu, a szefowej podwładny nie odmówi. A jeżeli Trzcinka ma dziś wolne? To jeszcze jest doktor Kamińska.

– Tego, o co prosisz, nawet dla ciebie nie mogę zrobić – usłyszał odpowiedź żony. Gdy próbował ją przekonać, że nie chodzi mu o drobiazgowe wyniki sekcji zwłok, a jedynie o potwierdzenie, że Pośledni został otruty, uduszony czy w inny sposób zamordowany w swoim domu, Miśka wyjaśniła: – Oprócz sumiennej pracy, popartej naukową dociekliwością, od podwładnych wymagam tego samego, czego twoja szefowa wymaga od ciebie. Lojalności, uczciwości o każdej porze dnia i nocy oraz poszanowania wytycznych. Pierwszą osobą, która pozna wyniki autopsji, mój kochany mężusiu, będzie prokurator doktor nauk prawnych Tomczyszyn. Taka jest procedura. Znasz go, zadzwoń więc, ale mnie

nie wciągaj do swojej gry. Nie mam zamiaru kolejny raz zapewniać rektora, że jeżeli chodzi o informacje dotyczące zabójstw, podawane ze szczegółami w „Gazecie Zielonogórskiej", to nie ja jestem źródłem. Zresztą rektor pewnie mi nie wierzy.

– Misieńko, błagam. Ostatni raz.

– Ty i twoi koledzy dziennikarze sądzicie, że wszystko wam wolno. Ze macie władzę. Ze ciemny lud, jak Kurski kpił z Polaków, kupi to, co podajecie. Tak samo uważałeś, kiedy byłeś policjantem. Mój kochany mężulku, tamto w policji mogło być władzą bez specjalnych ograniczeń.

1 często było. Nie mam ochoty przypominać ci, jak się skończyło. Pewnie byłoby ci przykro. Pamiętaj, że teraz jest to dopiero czwarta władza.

– Słusznie – powiedział, żeby nie milczeć. Nie lubił przegrywać nawet z żoną. Uważał, że ostatnie zdanie zawsze i wszędzie powinno do niego należeć. Przecież jest mężczyzną, panem domu.

Zielonagóra, os. Kwiatowe,
wtorek, wczesnym rankiem

Jagoda Bojko nie pisnęła nawet jednym słowem sierżant Woźniak–Araszkiewicz, że do białego rana zastanawiała się, o której godzinie policjantki przychodzą do komendy. Umyła okna w salonie i na piętrze oraz przeszklone ściany na Kupieckiej, za którymi było biuro rachunkowe Aliny Pośledniej. Wysprzątała pokoje gościnne na poddaszu, nawet odkurzyła pracownię krawiecką należącą do kogoś, kogo Jagoda nigdy nie widziała. Ledwie na wyświetlaczu jej samsunga pokazała się ósma, kliknęła ikonę wskazującą książkę telefoniczną, wybrała komendę i gdy usłyszała głos dyżurnego, poprosiła o połączenie z kimś z wydziału kryminalnego, a najlepiej z tą młodą panią sierżant, która ma paznokcie pomalowane w paski kobaltowo–żółte. Z komórką przy uchu czekała kilkanaście sekund,

chociaż wydawało jej się, że trwa to bardzo długo. Gdy odezwała się Natasza Woźniak, Jagoda przypomniała, że jest tą, z którą wczoraj po południu rozmawiała o świętej pamięci Stefanie Poślednim. I że cały czas ma w głowie to, co się stało w domu profesora na Kwiatowym. W nocy, kiedy sprzątała na Kupieckiej, jeszcze coś jej się przypomniało.

– To może być naprawdę ważne – podkreśliła z naciskiem, jakby się spodziewała, że policjantka nie zechce jej wysłuchać.

– Czyli co?

– To, co jest zamknięte w komodzie. Profesor zabronił mi tam zaglądać, ale ja...

Sierżant Woźniak spytała, czy za pół godziny zdąży dojechać ze Śródmieścia na Kwiatowe. Razem wejdą do domu. Jagoda pokaże, gdzie leży klucz do komody. Co się w niej znajduje, tego nie chce usłyszeć przez telefon. Była pewna, że o tej porze nikt w redakcji nie podsłuchuje rozmów, mimo to wolała się zabezpieczyć. Zresztą skoro komoda jest jedynym meblem w całym domu, do którego profesor zabronił Jagodzie zaglądać, to musi się w niej znajdować jakieś wyjątkowe cacko.

– Pani dobrze wie, co tam profesor przechowuje – stwierdziła policjantka, gdy towarzyszący jej szwagier Jagody, starszy aspirant Artur Bojko z grupy technicznej najpierw sfotografował komodę, potem założył rękawiczki lateksowe na obie dłonie i wetknął klucz do zamka, po czym spojrzał na nią badawczo.

Jagoda zaczerwieniła się i spuściła wzrok na podłogę. Od rozwodu z Andrzejem nigdy nie rozmawiała ani z Arturem, ani z jego żoną, a oni jej nie zapraszali do siebie. Nawet przez telefon nie składali sobie życzeń. Jakby już nie byli spokrewnieni. Jagoda uważała, że nie tyle Andrzej, co ona jest winna rozpadu ich trochę przypadkowego i na chybcika skleconego małżeństwa. Nikomu nie przyznała się, że w szkole, w której była sekretarką, zostawała dłużej z powodu dyrektora. Tylko czekała, kiedy poprosi o dodatkową herbatę, bo ma jeszcze tyle do zanotowania, i spyta, czy Jagoda zdąży wszystko

przepisać do jutra. Podobał się jej, to pierwsza przyczyna. Druga to taka, że od nowego roku zwalniało się miejsce świetlicowej. Z powodu Andrzeja przerwała studia pedagogiczne po piątym semestrze, nie mogła więc być nauczycielką, ale bibliotekarką tak. Liczyła na wyższą pensję i większy prestiż. Dyrektor najpierw jej to obiecał, a potem zaczął się wycofywać. Jagoda nie przyznała się mężowi, że ojcem drugiego syna jest dyrektor szkoły. Zresztą to i tak niczego by nie zmieniło, bo Andrzej już związywał się z tą, z którą wyjechał za granicę. Jagoda raz ją widziała. Uważała, że nie jest od niej ładniejsza czy zgrabniejsza. Wyglądała na młodszą.

– Tu niczego nie ma – powiedział Bojko, stanąwszy z boku. Nawet nie zerknął na Jagodę. – Jednak coś stało, o czym świadczą zakola z kurzu. – Policjant wyjął latarkę z torby i oświetlił puste półki. Znowu zrobił zdjęcie.

Jagoda przykucnęła. Nie wierzyła własnym oczom.

– Nie kłamię. Dwa tygodnie temu, kiedy poprzedni raz sprzątałam, tu stały. Profesor już był w Niemczech. Później ktoś musiał to zabrać.

– Przecież nie zarzucamy ci kłamstwa. – Detektyw lekko dotknęła ramienia Jagody.

– Dwa tygodnie temu zaglądałam do komody. Stały na pewno. Zawsze mnie korciło, żeby zajrzeć – przyznała się Jagoda, zerkając na byłego szwagra, jakby się przed nim usprawiedliwiała.

– A co takiego było w komodzie, że cię korciło?

– Zastawa obiadowa. Niekompletna. Osiem talerzy głębokich, dziewięć płytkich, jeden lekko wyszczerbiony, cztery filiżanki ze spodkami, dwie kompotierki, z dziesięć pierścieni do serwetek, dzbanek do kawy albo do herbaty, miski głębokie i płytkie. Dwie salaterki, jedna wetknięta w drugą, stały na tacy. Waza. Pokrywka bez ucha. Półmisek. Na nim leżało pięć laleczek, jedna bez głowy. Wazon z dziurkami na górze i po bokach. Pewnie na długie kwiaty. Pierwszy raz taki widziałam. Na każdym naczyniu były identyczne ozdoby. To znaczy dookoła krawędzi biegł złoty szlaczek. Niżej

pośrodku znajdował się znak. Z boku stały gęsi. Może to były czaple albo bociany czy nawet łabędzie. Orły nie, bo orły mają zakrzywione dzioby i krótkie szyje, a te miały długie szyje i płaskie dzioby. Identyczne ptaki były na laleczkach. Nawet na pierścieniach do serwetek. Naprawdę piękne. Przed Wielkanocą profesor wypomniał pani Marcie, swojej córce z drugiego małżeństwa, że za dużo go kosztuje. Wtedy ona powiedziała, żeby sprzedał szwany. Kupiec się znajdzie jak nie w Polsce, to na pewno w Niemczech. Jaki pożytek z tego, że szwany stoją zamknięte w komodzie?

Długo one tu stały? – spytała sierżant Wożniak– Araszkiewicz.

– Nie wiem. Odkąd sprzątam u profesora, zawsze tu były. A sprzątam już z pięć lat.

– Czy profesor kogoś informował, co znajduje się w komodzie? Jaką to ma wartość? Skąd pochodzi? Co zamierza z tym zrobić?

Jagoda potrząsnęła głową, po czym odpowiedziała:

– Przy mnie nigdy.

– Przed chwilą powiedziałaś, że Marta sugerowała ojcu, żeby sprzedał... Jak to nazwała?

– Szwany.

– Schwan to po niemiecku łabędź – wyjaśnił starszy sierżant Bojko jednej i drugiej. Niedawno cały miesiąc spędził w centrum policji brandenburskiej w Oranienburgu, tam poduczył się niemieckiego i, z czego był najbardziej zadowolony, dowiedział się, jak korzystać z urządzeń elektronicznych w trakcie prowadzenia śledztw. Komendantce jeszcze nie powiedział, że w przyszłym roku ma zamiar przejść na emeryturę i wtedy pomyśli, jak wykorzystać to, w co wtajemniczyli go Niemcy. Neimann obiecał Bojce spokojniejsze zajęcie u Gremplera. Do tego czasu musi udawać, że jest spolegliwym i przydatnym specjalistą w zakresie informatyki. Prawdę mówiąc, to nie tyle miał dość służby w policji, co korciły go wysokie zarobki u Gremplera.

– Może jednak jeszcze coś słyszałaś? – naciskała policjantka.

– Wtedy gdy pani Marta powiedziała, żeby pan profesor sprzedał

szwany, on zrobił się dosłownie czerwony na twarzy – przypomniała sobie Jagoda. – Łabądki sprzedacie po mojej śmierci! Dopóki żyję, krzyczał, one zawsze będą w tym domu! Zrozumiano? Mają być w tym domu!

– Pośledni nie żyje, a łabądków nie ma w tym domu!

O czym to świadczy? – spytał Artur Bojko, zwracając się do Nataszy.

Zielonagóra, ul. Wąska,
wtorek, wczesnym rankiem

Redaktor Jung z własnej woli pojechał do komendy. Uznał, że mimo skromniutkiej orientacji w badaniach prowadzonych nad środkową Odrą przez polskich i niemieckich archeologów, może poszerzyć wiedzę nadkomisarz Mrozińskiej o Pośledním. Nie zawsze tak uważał, ale akurat w tym przypadku chciał być pomocnikiem, tym bardziej że zależało mu na szybkim dotarciu do wyników sekcji zwłok profesora. Dyżurny powitał go jak starego znajomego, ale nie pozwolił wejść na pierwsze piętro, gdzie były pokoje policjantów wydziału kryminalnego.

– Takie teraz procedury, kurwa – wyjaśnił starszy sierżant Rudiak i najpierw przez linię wewnętrzną próbował skontaktować się z komisarz Mrozińską, potem przez interkom połączył się z kancelarią wydziału.

– Osóbkę zastępującą pana komisarza Syskiego wezwał zastępca komendanta – rzuciła sekretarka takim głosem, jakby między nią i Iloną Mrozińską znowu iskrzyło.

– Za ile pani nadkomisarz wróci?

– Nie wiem – odparła sucho. – Jeszcze jakieś pytanie, dyżurny?

– Zaraz jak pani naczelnik wróci do wydziału, proszę jej przekazać, że ma gościa. W recepcji czeka na nią niezwykle sympatyczny i uwodzicielski mężczyzna. Redaktor Jung – dodał Rudiak, mrugając

do Daniela.

– Naczelnikiem wydziału kryminalnego jest komisarz Syski, od dziś do końca września przebywający na zaplanowanym urlopie. W tym czasie zastępuje go nadkomisarz Mrozińska. Jedynie zastępuje, dyżurny. A ten Jung, skoro ma jakąś sprawę do policji, niech zwróci się do rzeczniczki prasowej. Jej za to płacą. Skończyłam.

Daniel, oparty łokciami o parapet dyżurki, uśmiechnął się pod nosem.

– Głowę zadziera wyżej niż komendantka. Niedopieszczona raszpla – powiedział Rudiak. – Inne, kiedy rano przychodzą do komendy, to dzień dobry, jak minęła nocka, dupciami kręcą, cycki wypinają, że chce się żyć. A ta ani be, ani me, ani kukuryku. Człowieka nie widzi.

– Gdybyś był na jej miejscu, pewnie też czułbyś się nieszczęśliwy. Nikt nie lubi upadku, tym bardziej z kierowniczki kancelari komendantki na sekretarkę naczelnika podrzędnego wydziału. Wszystkie kochanice byłych szefów są szczególnie wrażliwe na takie potraktowanie. W dodatku jeżeli to dotyczy żony sędziego. Swoją drogą współczuję Ilonie.

– Inspektor mógł ją zabrać do centrali, kurwa – powiedział Rudiak w chwili, gdy zaczęła mrugać zielona dioda na konsoli. – Ilona – szepnął do Junga. – W recepcji czeka na panią nadkomisarz zaprzyjaźniony z policją, nieprzeciętny redaktor Jung – pochyliwszy się nad konsolą, rzucił do mikrofonu, łypiąc oczami do Daniela. Co Mrozińska odpowiedziała, tego Jung nie usłyszał. – Na pewno trafi – dodał dyżurny, zwalniając zapadkę w zamku przeszklonych drzwi, za którymi prowadził tunel korytarza do pomieszczeń wydziału prewencji, dzielnicowych i laboratorium. Pokoje komendantki, jej pierwszego zastępcy i pionu kryminalnego zajmowały całe pierwsze piętro.

Nadkomisarz Mrozińska powinna, ale nie siedziała przy biurku w gabinecie za drzwiami obciągniętymi granatową dermą, do którego, żeby się dostać, trzeba było wejść do sekretariatu, a tam królowała

zdegradowana kierowniczka kancelari komendantki. Jeszcze wczoraj przed wieczorem, kiedy policjantka wróciła do komendy, Syski starał się ją przekonać, że zza jego biurka będzie łatwiej kierować wydziałem. Przyjęła to do wiadomości, ale nie usiadła na wygniecionym fotelu.

– Jednak twoja gazeta napisała – usłyszał Jung, gdy otworzył drzwi pokoju oznaczonego tabliczką „zastępca naczelnika nadkom. Ilona Mrozińska".

– Dwa krótkie zdania.

– O dwa za dużo – skarciła go spojrzeniem niebieskich oczu, dodatkowo podkreślonych granatową kredką. Nie przyznała się, że z powodu tych dwóch zdań musiała tłumaczyć się zastępcy komendanta, a on rektorowi uniwersytetu i jeszcze komuś, czyjego stanowiska nie wymienił.

– A jeżeli się okaże, że profesor miał zawał, udar mózgu, wylew czy co tam jeszcze? Pośledni skończył sześćdziesiąt dwa lata, czyli przekroczył granicę sercowców. Do tego siedzący tryb życia.

– A jeżeli się okaże, Ilonko, że ktoś pomógł mu odejść tego świata na Niebieskie Połoniny? – wszedł jej w zdanie Jung.

– Nic by się nie stało, gdyby informację o śmierci Pośledniego „Zielonogórska" podała z jednodniowym poślizgiem. „Lubuska" i „Wyborcza" milczą.

– Ilonko, żyjemy w czasach bezpardonowej konkurencji, dlatego w tym zawodzie liczą się już nie miesiące czy dni, a godziny i minuty. Minęły czasy, gdy za dobrego dziennikarza śledczego uważano tego, który jest rzetelny i zanim cokolwiek napisze, najpierw sprawdzi w co najmniej dwóch źródłach. Dziś jest dobry ten, kto jest szybki. Kto ma numer prywatnej komórki prokuratora. Jest na ty z ważniejszymi policjantami. A przekłamanie można nazwać niefortunnym przejęzyczeniem albo zwalić na chochlika i przeprosić. Czytelnicy szanują redakcję, która przyznaje się do potknięcia.

– Trudno, mleko się rozlało – stwierdziła policjantka takim tonem,

jakby już nie miała pretensji do Junga.

– A jaka jest prawda, jeżeli chodzi o Pośledniego? Nie wierzę, że bez niczyjej pomocy przeniósł się na tamten świat. Mylę się?

– Będę wiedziała dopiero po sądowym badaniu pośmiertnym, jak to się oficjalnie określa. – Widząc pytanie w oczach Junga, nadkomisarz wyjaśniła: – Wczoraj doktor Trzcinka wziął wolne za niedzielę. Komisyjna obdukcja rozpocznie się dziś przed południem. Wprawdzie córka Pośledniego wniosła o odstąpienie od sekcji zwłok, ale prokurator Tomczyszyn nie uwzględnił jej wniosku.

– Dlaczego córka nie chce, żeby...?

– Jak wiesz, zmarłych po sześćdziesiątym roku życia zwyczajowo nie poddaje się sekcji. Ale ponieważ przyczyna zgonu Pośledniego nie jest znana, a zachodzi podejrzenie o zgon będący wynikiem morderstwa, prokurator nakazał przeprowadzenie sądowych oględzin. Po drugie, twoja żona jako szefowa zakładu patologi ogólnej uznała, że dla celów naukowych należy przebadać mózg tego profesora.

Jung był zaskoczony tym, co usłyszał.

– Cholera, a Miśka nie pisnęła nawet słowem na ten temat.

– Trudno jest oddzielić życie prywatne od spraw zawodowych. Dlatego szanuję Miśkę – podkreśliła Ilona. – Wiem, że na początku sierpnia prosiłeś Pośledniego o spotkanie i rozmowę. Czego to miało dotyczyć?

– Uważasz mnie za...?

Policjantka nie pozwoliła mu dokończyć pytania.

– Jeżeli to nie jest tajemnica dziennikarska, oczywiście – dodała jakby się usprawiedliwiała, ale zabrzmiało to zaczepnie, czego nie żałowała.

Jung powiedział, że nie ma nic do ukrycia. Stawia jednak warunek: Ilona Mrozińska musi mu opowiedzieć ze szczegółami, co się stało w domu na Kwiatowym. Gdy nadkomisarz kiwnęła głową, przyznał się, że na początku sierpnia prosił Pośledniego o rozmowę o wykopaliskach prowadzonych w Wicinie, o których coś tam słyszał,

ale było to za mało, żeby napisać artykuł. Gdyby wtedy profesor się zgodził, wszystkiego dowiedziałby się od niego. Ale że Pośledni wyznaczył spotkanie na ostatni dzień sierpnia, bo wcześniej miał zaplanowane wykłady w Niemczech, Jung odwiedził muzeum archeologiczne, gdzie zapoznał się z historią prac prowadzonych w Wicinie. Była to też okazja do obejrzenia eksponatów znalezionych w grodzie cywilizacji łużyckiej. Zdaniem dyrektora muzeum znaczenie tego miejsca dla kultury europejskiej jest co najmniej takie same albo i większe jak osady w Biskupinie. Odkrywcą wicińskiej warowni ukrytej w dolinie Lubszy był Carl Schuchhardt z Berlina. Na początku dwudziestego wieku prowadził badania archeologiczne po obu stronach Nysy. Do Wiciny sprowadziły go informacje o przedmiotach z brązu i żelaza znajdowanych przez chłopów na polach. Wyniki swoich dociekań Schuchhardt ogłosił w 1927 roku. Mimo że odkrył wiele wcześniej nieznanych przedmiotów, ze względu na brak funduszy zaprzestał prowadzenia badań. Dopiero pół wieku później Wiciną zainteresowali się zielonogórscy archeolodzy Adam Kołodziejski i Andrzej Marcinkian. Precyzyjnie wskazali miejsce, gdzie około 550 roku przed naszą erą ludność należąca do cywilizacji łużyckiej postawiła gród obronny. Zajmował on ponad czterysta arów na wysepce osaczonej mokradłami. Do warowni można było się dostać jedynie przez bramę otwieraną na zewnątrz. Na majdanie, czyli w centralnym miejscu grodu, rozsiadły się warsztaty garncarskie, kamieniarskie, odlewnicze i kowalskie. Za nimi znajdował się plac targowy ze studnią pośrodku. Kramiki kupieckie oblegały jego obrzeża. Warsztaty tkackie, krawieckie i rymarskie były w chatynkach przylegających do obwarowań otaczających gród. Na wysepce żyło nie więcej niż półtorej setki mężczyzn, kobiet i ich dzieci, na co wskazują ślady po czterdziestu domostwach. W promieniu do piętnastu kilometrów wokół grodu przykucnęły osady pasterzy, rolników, rybaków, myśliwych, bartników, zbieraczy jagód i grzybów. Mieszkańcy osad byli służebni wobec grodu, za co warownia miała im zapewnić

bezpieczeństwo. Kołodziejski i Marcinkian doszli do wniosku, że nie zawsze tak było. W połowie ostatniego tysiąclecia przed Chrystusem za obwałowania na wysepce pośród mokradeł przedostali się Scytowie. Pod osłoną nocy? Którędy? Może naczelnik warowni zarządził jej przebudowę i dlatego droga na wysepkę była otwarta? Może Scytowie napadli na gród późną jesienią albo zimą, gdy mróz skuł mokradła? A może obrońcy zostali podstępem wywabieni z warowni, na co napastnicy ukryci w lesie tylko czekali? W każdym razie Scytowie dostali się na wysepkę i wymordowali przebywające tam kobiety, dzieci oraz starców. Lub, co dopuszczają obaj prehistorycy, wybili co do nogi starców i dzieci, a kobiety i młodzież uprowadzili ze sobą po to, żeby sprzedać na targach niewolników w miastach perskich i greckich.

– Czy Pośledni również uczestniczył w badaniu Wiciny? – spytała policjantka, wdzięczna Jungowi za to, czego już się dowiedziała i mająca nadzieję, że dowie się więcej. Nawet ją to zaciekawiło.

– Pośledni formalnie nie był asystentem doktora Kołodziejskiego, a mimo to mu pomagał. Dawniej obowiązywał niepisany zwyczaj: gdy któremuś udało się zdobyć pieniądze na badania i musiał je wydać w wyznaczonym czasie, żeby nie przepadły, dlatego z pomocą przychodzili mu nawet ci, którzy mieli mizerne pojęcie o archeologi. Wystarczały dobre chęci.

– W domu profesora widziałam gliniane garnki. Pewnie zabytkowe. Poklejone, a tam, gdzie brakowało fragmentów, wypełnione czymś białym. Wyglądało to na gips chirurgiczny.

– W muzeum dowiedziałem się, że archeolodzy mają w zwyczaju przywłaszczanie sobie tego, co znajdą w ziemi. A tacy jak Pośledni uważają się za panów wykopalisk, nikogo więc nie pytają o zgodę. Po prostu biorą to, co się im podoba.

– Czyli okradają państwo.

– Mojej rozmówczyni w muzeum wymsknęło się, że kradzieże na wykopaliskach nie są czymś rzadkim. W Wicinie miały miejsce szczególnie w początkowej fazie badań. Ponieważ wtedy władze

państwowe domagały się od archeologów przedstawienia dowodów na to, że, jak mówiono, w 1945 roku Polska wróciła na ziemie piastowskie, nie brakowało pieniędzy na badania. Przy cięższych czy mniej precyzyjnych pracach kierownik wykopaliska zatrudniał ludność z okolicznych wiosek. Ci mieli oczy ze wszystkich stron głowy, to i widzieli, jak archeolodzy wynoszą stamtąd co się tylko da. To i oni napychali kieszenie fragmencikami garnków czy ozdobami.

Nadkomisarz zerknęła na zegar nad drzwiami. Srebrząca się mała wskazówka celowała na dziesiątą. Policjantka już powinna wchodzić do prosektorium.

– Za chwilę doktor Trzcinka zacznie obdukcję ciała Pośledniego. Muszę tam gnać.

– Prosiłaś, abym ci opowiedział o skarbie scytyjskim z Witaszkowa. Nie dam głowy, że Pośledni ma z nim coś wspólnego, ale...

– Później – zdecydowała.

– Jestem do twojej dyspozycji, pod warunkiem że i ja będę coś z tego miał.

Mrozińska spieszyła się do uniwersyteckiego zakładu medycyny sądowej. Jeszcze chociaż na pięć minut powinna zajrzeć na onkologię. Podczas niedzielnych odwiedzin obiecała siostrze, że wpadnie do niej we wtorek przed południem. Gdyby obaj synowie Grażyny z żonami i dziećmi nie wyjechali do pracy w Norwegi, pewnie codziennie odwiedzaliby matkę w szpitalu. Ilona jest przekonana, że Grażyna nie przyznała się synom do nawrotu choroby. Są kobiety, które w obliczu nieszczęścia niczego nie ukrywają, mało tego, domagają się pomocy od bliskich. Grażyna należy do niewielkiej gromady tych, które nie skarżą się, nie narzekają, nie szukają winnych, nie złorzeczą ani nie zrzędzą. Najwyżej mówią, że mają garbate szczęście. Jak pech, to pech, dodają. Pogodzone z losem, czekają, jakby były bezwolne i od nich nic już nie zależało. Trudno, stało się. Wszystko w rękach Stwórcy.

Cztery lata temu ten sam onkolog, który teraz opiekuje się Grażyną, powiedział, że jedynym sposobem zwalczenia nowotworu, a co za tym idzie przedłużenia jej życia przynajmniej o pięć lat, jest usunięcie lewej piersi. Mogła się nie zgodzić na mastektomię albo szukać pomocy u innego onkologa. Wszędzie usłyszałaby to samo. *Carcinoma mammae*[3]. Po amputacji piersi powoli przyzwyczajała się do swego ułomnego ciała. W Zielonogórskim Stowarzyszeniu Amazonek takich jak ona jest kilka setek i wszystkie są przekonane, że z jedną własną piersią można w miarę normalnie pracować, spać, kąpać się i pływać w basenie, tańczyć, śpiewać, chodzić z kijami po lesie, kochać się z mężem, a nawet durzyć w szefie. Jesienią zeszłego roku mąż Grażyny zginął na przejściu dla pieszych przez Kupiecką, przejechany przez touarega, za którego kierownicą siedziała pijana w trzy dupy Anitta Carewicz, szefowa parti rządzącej w regionie. Od tamtego czasu Ilona wspiera starszą siostrę. Robi to też dlatego, że za dwa tygodnie będzie miała tyle lat, ile miała Grażyna, kiedy dowiedziała się o raku złośliwym zagnieżdżonym w lewej piersi. Ich matka z tego powodu umarła zaraz po pięćdziesiątce. Starsza siostra matki dopiero na kilka tygodni przed śmiercią dowiedziała się, że brodawki usuwane co dwa, trzy lata ze śluzówki jej żołądka, które dawniej były niegroźnymi polipami, z biegiem czasu się zezłośliwiły. Najmłodsza ciotka Ilony miała raka płuc, ale ona paliła papierosy. Jedyny brat matki też palił, a umarł po udarze mózgu. Teraz chirurg odejmie Grażynie prawą pierś. Ilona obawia się, że to samo może ją spotkać.

Zielonagóra, ul. Zyty,
wtorek, przed południem

Żaden śledczy nie chciał przychodzić do prosektorium. Prokurator Tomczyszyn, który bywał najwyżej w gabinecie profesor Kwiatkowskiej-Jung, miał tę przewagę nad nadkomisarz Mrozińską,

że mógł zasłonić się jeszcze bardziej pilnymi obowiązkami, czego ona nie była w stanie sprawdzić. Policjantka musiała być obecna przy sekcji zwłok w uniwersyteckim zakładzie patologi ogólnej. Cywilne łaszki ukryła pod sięgającym kostek kitlem z flizeliny barwy dojrzałych wrzosów, na krótko obcięte włosy naciągnęła czepek z tego samego, nieprzepuszczającego woni, materiału, czółenka owinęła osłonami z antypoślizgowymi podeszwami. Przez chwilę rozglądała się za maską higieniczną na twarz i lateksowymi rękawiczkami, ale ponieważ minęła dziesiąta, zrezygnowała z przeszukiwania szaf w przebieralni. Choćby założyła maskę przeciwgazową z pochłaniaczem, to będzie czuła tę specyficzną woń, której nie można niczym zneutralizować. Dwa, trzy dni po każdej sekcji zwłok Ilona Mrozińska chodzi z zamkniętymi ustami i oddycha tylko przez nos. Nawet w komendzie czuje drażniący ją trupi odór.

Ochroniarz spacerujący przed drzwiami prosektorium stanął w rozkroku i bez słowa podniósł prawą dłoń, co oznaczało, że policjantka musi się zatrzymać i czekać. Dopiero wtedy Ilona zdała sobie sprawę, że nie może przekroczyć progu sali sekcyjnej dopóty, dopóki znajdujący się tam medycy nie rozmontują aparatu do zdjęć rentgenowskich. Od tej czynności zaczynają każdą obdukcję zleconą przez prokuraturę. Mogłam dłużej pobyć u Grażyny, pomyślała z żalem.

– Już może pani wejść – po kwadransie czekania rzucił ochroniarz, usuwając się pod ścianę i stając niemal na baczność. – Powinna pani założyć maskę i rękawiczki. Nasz zimny doktor nie lubi kibiców niekompletnie ubranych.

Zbyła go obojętnym spojrzeniem, jakby nie miała odwagi powiedzieć, że nic mu do tego, i nacisnęła dźwignię antypaniczną. Popchnięte, obite laminatem drzwi zaskrzypiały. Zatrzymała się w połowie sali, gdy zobaczyła, że przy stole kręci się ubrana w fartuch sekcyjny doktor Kamińska. Od kiedy Ilona Mrozińska obserwuje obdukcje sądowe, a trwa to od co najmniej ośmiu lat, zawsze dok-

torowi Trzcince asystuje Leszek, budzący litość policjantki. Pewnie asystent jeszcze nie wrócił z urlopu, pomyślała. Dlatego dziś to, co należy do zadań technika, będzie musiała zrobić doktor Kamińska jako kandydatka na biegłą sądową.

Zimne, brr, wręcz lodowate światło padało na zwłoki leżące na stole z nierdzewnej stali. Ile razy policjantka tu była, tylekroć zastanawiała się, dlaczego lekarze oglądają ciała nieboszczyków w świetle jaskrawych jarzeniówek na łańcuchach zwisających z sufitu. Na początku nawet zadała to pytanie doktorowi Trzcince, ale patomorfolog tylko wzruszył ramionami jakby nigdy się nad tym nie zastanawiał i nie znał odpowiedzi.

Doktor Kamińska obfotografowała Pośledniego tak, jak tego wymagają przepisy. Po czym podeszła do pulpitu, na którym wisiał szablon z sylwetką człowieka. Długopisem zaznaczyła na nim miejsce, gdzie widniała blizna po operacji wyrostka robaczkowego i zerknęła na Trzcinkę. Doktor milcząco kiwnął głową, co mogło oznaczać, że zgadza się z nią i pokazał oczami na ptaka wytatuowanego na lewym przedramieniu. Kamińska przeniosła rysunek na szablon. Następnie wcisnęła klawisze wagi elektronicznej, na wyświetlaczu pokazał się ciężar zwłok i wzrost denata.

– Zakończyliśmy czynności wstępne, pani nadkomisarz. Teraz przystępujemy do otwarcia zwłok i oględzin wewnętrznych – doktor Trzcinka ni to spytał, ni poinformował policjantkę i czubkiem buta włączył dyktafon. Tak robił zawsze, gdy stawał przy stole sekcyjnym nie tylko jako biegły sądowy, ale i jako wykładowca, mając wokół siebie studentów.

Nadkomisarz Mrozińska kiwnęła głową, jakby naprawdę od jej decyzji zależało to, co ma zrobić lekarz. Przyszła do prosektorium wyłącznie dlatego, że tego wymagał od niej prokurator i zawsze tak robił naczelnik wydziału, którego ona zastępuje od dzisiejszego rana do ostatniego dnia września. Ile razy tu się znajdowała, tyle razy czuła duszący, jak twierdził Jacek Syski, i słodkawy, trupi odór. A

teraz jeszcze widziała brudno-zielone i miejscami prawie fioletowe plamy na brzuchu Pośledniego. Pamiętała, że z każdą godziną zmienia się zabarwienie skóry nieboszczyka. Na tej podstawie wprawiony patolog może nie tylko w miarę dokładnie określić czas zgonu, lecz i przyczynę śmierci. Zacisnęła usta w wielką kreskę. Oddychała przez nos. Mimo to czuła woń, która będzie jej dokuczała jeszcze wiele godzin.

– Koleżanko, proszę.

– Chwileczkę. – Doktor Kamińska pokazała palcem na zasiniaczony dół łokciowy lewej ręki Pośledniego. – Widzi pan ten ślad? Jakby po igle, prawda?

Trzcinka sięgnął po lupę. Pochylony, wpatrywał się w miejsce wskazane przez Kamińską.

– Jeszcze niezabliźnione. Chyba nie powstało u nas – powiedział, przekazując lupę asystentce. – Pani doktor się zgadza?

Po chwili Kamińska przytaknęła i zaznaczyła to miejsce na szablonie.

– Na pewno świeże nakłucie? – zaciekawiła się policjantka.

– Tak to wygląda.

– Czy państwo doktorzy są w stanie dokładniej określić, kiedy ono powstało? Bo chyba nie po zgonie Pośledniego, a tym bardziej w prosektorium.

– Kiedy dziewięć lat temu zaczynałem robić specjalizację z patomorfologi, wtedy to się nazywało anatomo-patologią, w zakładzie pracował niezwykle sympatyczny ochroniarz. I dalej wszyscy by go uważali za takiego, gdyby profesor Kwiatkowska nie przyłapała go na gorącym uczynku. W nocy wyciągał zwłoki kobiet z szaf i je gwałcił.

– Nekrofil.

– Pani starszy kolega. Usunięty z policji za sadyzm. Psychol.

– Dziękuję za informację. A to nakłucie? – przypomniała nadkomisarz.

Trzcinka zrobił krok w jej stronę, zmarszczył czoło, jakby nie był

pewny tego, czy policjantka puści mimo uszu to, co przed chwilą powiedział. Patrząc to na Kamińską, to na Mrozińską, mówił:

– Nakłucie mogło powstać dwa, góra cztery dni temu. U niektórych osób żywych, na przykład u sportowców wyczynowych, ślady po iniekcji domięśniowej bardzo szybko się zabliźniają. Z moich kontaktów z żużlowcami Gremplera wynika, że po trzech dniach trudno je zobaczyć niewprawnym okiem. U zmarłych, ze względu na ustanie wszelkich czynności, proces gojenia ran nie występuje. Tu – pochylił się nad zwłokami – doszło do nakłucia żyły łokciowej.

Nadkomisarz Mrozińska nie podeszła do stołu, czego spodziewał się patomorfolog.

– Tak to wygląda – stwierdziła asystentka Trzcinki.

– Mhm – sapnęła cicho policjantka.

Doktor Kamińska wbiła igłę w żyłę łokciową denata i pociągnęła tłoczek. Strzykawka powoli zaczęła zapełniać się czymś zagęszczonym w kolorze smoły. Policjantka nie miała wątpliwości, że to sczerniała krew. Potem lekarka nakłuła podbrzusze Pośledniego, żeby dostać się do pęcherza moczowego. Trzecią czynnością wykonaną za pomocą igły i strzykawki było pobranie wodnistej cieczy z lewego oka. Mrozińska zrobiła krok do tylu i skrzywiła twarz z odrazą, ale nie wyszła z prosektorium. Kiedy pierwszy raz zastępowała naczelnika wydziału, doktor Trzcinka powiedział do niej, że nie widzi różnicy między pracą anatomopatologa i szewca naprawiającego buty. Każdy robi to, czego się nauczył i za co bierze pieniądze na utrzymanie rodziny. I że każdy powinien robić solidnie to, co umie. Przecież ja, gdybym przeżywała wszystkie morderstwa, napady, gwałty, nie doprowadziłabym żadnego drania przed sąd, pomyślała policjantka.

– O dalszym postępowaniu zadecydujemy po zakończeniu autopsji – doktor Trzcinka zwrócił się do swojej asystentki, jakby chciał się upewnić, czy kandydatka na patomorfolożkę pamięta, co do niej należy. – Coraz bardziej jestem przekonany, że Pośledni nie

zmarł z przyczyn naturalnych i że pani nadkomisarz będzie miała twardy orzech do zgryzienia – powiedział do Mrozińskiej. – Razem z doktor Kamińską postaramy się pomóc, ale sprawcę pani będzie musiała sama wskazać.

– To także dużo.

– A teraz niech pani podejdzie do stołu, spojrzy na prawy bok i prawą rękę denata. Od barku do dłoni.

– I co dalej? – zaciekawiła się policjantka.

– Proszę popatrzeć na lewy bok i lewe przedramię.

– Popatrzyłam.

– Widzi pani różnicę w zabarwieniu skóry? Nie będę pani dłużej męczyć. Na prawej stronie jest więcej plam opadowych niż na lewej.

– Rzeczywiście – policjantka zgodziła się z patomorfologiem. – Skąd ta różnica?

– Wynik grawitacyjnego opadania krwi. Gdyby denat leżał na plecach, nagromadzenie plam byłoby na plecach. Leżał na prawym boku, dlatego na prawym boku wystąpiło zagęszczenie *livores mortis*[4].

Nadkomisarz wiele razy słyszała te dwa obce słowa, oznaczające plamy opadowe. Nie rozumiała, dlaczego w kraju, gdzie obowiązuje język polski, lekarze jeszcze popisują się znajomością nazewnictwa łacińskiego. Nie miałaby nic przeciw temu, żeby wzorem informatyków Trzcinka posługiwał się angielszczyzną. Zresztą pewnie niedługo tak się stanie. Już każde nowe słowo przedostające się do polszczyzny ma swoje źródło w języku angielskim.

– Od kiedy Pośledni nie żyje? – spytała.

Medycy roześmiali się równocześnie i równocześnie spoważnieli, jakby zrozumieli, że w tej sali, w obecności śledczej nie wypada tak się zachowywać. Co innego gdyby byli sami.

– Właśnie staramy się ustalić przyczynę i czas zgonu, pani nadkomisarz. *Rigor mortis*[5] już ustało. Przypuszczam, że śmierć nastąpiła – doktor Trzcinka przeniósł wzrok na kalendarz zawieszony nad biurkiem – dziś jest wtorek, zatem profesor nie żyje od trzech,

najdalej czterech dni. Zgon nastąpił między piątkowym popołudniem a nocą z soboty na niedzielę. Dokładnej godziny niestety już nie da się określić. Za dużo upłynęło czasu. Jest lato. Ciało przebywało w pomieszczeniu zamkniętym. Najbliżej prawdy będę po obejrzeniu mięśni sercowych. – Patomorfolog podszedł do głowy denata i skierował światło lampy czołowej na jego prawe oko, – Są na nim plamki martwicy, niektóre jeszcze żółte, inne zbrązowiałe i nawet poczerniałe. To kolejny dowód na to, że Pośledni nie żyje od co najmniej siedemdziesięciu godzin. Kiedy ustały czynności życiowe, jak powiedziałem, postaram się dokładniej ustalić po obejrzeniu serca. Dokładniej nie znaczy, że co do godziny – zastrzegł zbytecznie.

– Z mojego już ośmioletniego doświadczenia we współpracy z panem, doktorze, wynika, że akurat w tej kwesti jest pan precyzyjny – pochwaliła go policjantka. W tym momencie odezwała się jej komórka, zerknęła na wyświetlacz i powiedziała trochę zawstydzona: – Przepraszam, zapomniałam ściszyć telefon. Moja partnerka. Natasza. Oczywiście w wydziale – szybko dodała, chociaż oboje lekarze zrozumieli, o kim mówiła.

Doktor Trzcinka wziął skalpel do ręki i tak go poprowadził po skórze denata, żeby powstała litera Y. To rutynowe cięcie, stwierdziła w myślach Mrozińska. Potem zdjął trójkąt mostka, przerżnął żebra, wyjął płuca, wrzucił je do miski i nadciął w kilku miejscach.

– Jeszcze jeden były palacz. Ale świadomy skutków tego nałogu. Ten rzucił palenie dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu – powiedział z wahaniem do doktor Kamińskiej. – W przeciwieństwie do kobiet większość mężczyzn przestaje truć się nikotyną około czterdziestki. Koleżanka jest coraz bliżej tej granicy, najwyższy więc czas zacząć o tym myśleć. Ja zamieniłem tytoń na alkohol. Wychodzi taniej i zdrowiej, a po naszej robocie także pełna przyjemność, szczególnie przy szklance dwunastoletniej whisky.

Ile razy byli oboje przy stole sekcyjnym, na którym leżało ciało

palacza, tyle razy doktor Trzcinka powtarzał asystentce, że powinna przestać palić papierosy, bo nikotyna nie tylko niszczy płuca, ale i skórę, co szczególnie jest widoczne u palaczek po czterdziestce. Kamińska zgadzała się z Trzcinką, mimo to postanowiła, że dopóki nie dostanie dyplomu specjalistki medycyny sądowej i nie skończy pisania rozprawy habilitacyjnej, będzie paliła. Może mniej i rzadziej, ale będzie paliła. Dlatego musi się spieszyć.

Anatomopatolog wyjął serce, cisnął je do miski, którą przeniósł pod wyciąg. Tam je przekroił w poprzek i pochylony chwilę milczał, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Początki choroby niedokrwiennej. Widoczne blaszki miażdżycowe. Pewnie Pośledni już odczuwał bóle przymostkowe – starał się mówić językiem komunikatywnym. – Nie wieńcówka jednak była przyczyną zgonu.

– A co? – zainteresowała się policjantka.

– Najpierw kiedy – powiedział doktor Trzcinka, przyglądając się mięśniom i tętnicom. Po minucie kiwnął palcem na asystentkę. Podał jej miskę z rozkrojonym sercem.

Doktor Kamińska bez pytania zrozumiała polecenie.

– Śmierć nastąpiła... – urwała i podniosła oczy na patomorfologa, jakby nie była pewna tego, co chce powiedzieć, tym bardziej że słuchała ją i policjantka. – Widoczne zmiany w wyglądzie zastawek. Na tej podstawie należy przyjąć, że śmierć nastąpiła około siedemdziesięciu dwóch godzin temu. W nocy z soboty na niedzielę. Jeszcze jedno – znowu podniosła oczy na Trzcinkę. – Nie wieńcówka ani nie atak. Mogło dojść do porażenia *systemu nervosum centrale*[6].

Matko Boża Cierpliwie Słuchająca z Rokitna, znowu ten żargon lekarski, westchnęła nadkomisarz.

– Porażenie było przyczyną zgonu?

– Mógł je spowodować jakiś lek o silnym działaniu natychmiastowym – ocipowiedziała Kamińska. – Jaki? To musi ustalić laboratorium. Przyczyny zgonu zaczęłabym szukać w zgięciu łokciowym. Zainteresowałabym się tym świeżym nakłuciem.

– Po zakończeniu autopsji na stole obejrzymy zdjęcia rentgenowskie układu kostnego – wyjaśnił Trzcinka. – Często się zdarza, że pacjenci cierpią z powodu zmian osteoporotycznych i artretycznych w kręgosłupie. Biorą leki przeciwbólowe. Dotyczy to tak osób prowadzących przybiurkowy tryb życia, jak i pracujących fizycznie. Choroba nie zwraca uwagi na zawód i wykształcenie. Nie wyobrażam sobie, żeby archeolog siedział na wykopaliskach w innej pozycji niż kuczno-wygiętej.

– Słuszna uwaga, doktorze – zgodziła się z nim policjantka, wypinając piersi. – Kolega mego męża, myśliwy i nadleśniczy, całe życie w biegu, przeszedł na rentę właśnie z powodu dokuczliwych zmian w kręgosłupie.

Doktor Trzcinka wyciął żołądek, identycznie jak serce wrzucił go do miski, przeniósł go pod wyciąg i tam przeciął na ukos. Poza resztką niestrawionego jedzenia nic nie zwróciło jego uwagi. Kamińska chyba ma rację, że przyczyną śmierci Pośledniego było porażenie ośrodkowego układu nerwowego spowodowane przez silny lek o działaniu przeciwbólowym, pomyślał, ale tego nie powiedział.

Za pomocą piły chirurgicznej przeciął tył głowy denata i wyjął z niej mózg. Bez oglądania włożył go do słoja z formaliną.

– To dla profesor Kwiatkowskiej. Szefowa bada mózgi zmarłych samodzielnych pracowników nauki z naszego miasta – poinformował policjantkę, co ona potwierdziła ruchem głowy. Nadkomisarz Mrozińska wie o tym od dawna, jak i o tym, że żona Daniela jest uznawana za wybitną specjalistkę w zakresie patoneurologi. – Jeszcze tylko obejrzę okrężnicę, nerki, wątrobę i koleżanka doktor będzie mogła... – urwał, bo Kamińska mruknęła, że zna swoje obowiązki jako asystentki. – Albo nie. Niech pani tam zajrzy – podał jej skalpel i pokazał na wnętrzności. – To w ramach poszerzania specjalizacji i zdobywania kolejnych doświadczeń.

Kamińska z ociąganiem pochyliła się nad jamą brzuszną nieboszczyka.

– O, cholera – kilka minut później wyprostowała się i rzuciła w stronę Trzcinki, jakby zobaczyła coś, co ją przeraziło. – Niech pan zobaczy, doktorze. Czyżbym się myliła?

– Co, co? – zaniepokoił się patomorfolog, natychmiast zginając głowę nad miejscem wskazanym przez asystentkę.

– *Carcinoma intestini crassi*[7].

– Chyba ma pani rację – powiedział niezbyt pewnie Trzcinka, przyglądając się okrężnicy. – Nie jestem dyplomowanym onkologiem, ale na mój nos wygląda to na stan nieoperowalny. Profesor Pośledni miał przed sobą cztery miesiące, najwyżej pół roku życia. Pewnie dlatego zażywał środki przeciwbólowe.

– I świadomie by je przedawkował? – spytała doktor Kamińska głosem wątpiącym. – Każdy chory ma nadzieję, że jeszcze nie jego czas.

Ilona znowu pomyślała o swojej siostrze.

Zielonagóra, os. Kwiatowe,
wtorek, w południe

Natasza wcisnęła połyskujący w słońcu klawisz na konsoli domofonu przy furtce. Nie lubiła zadawania pytań w prywatnych domach i rozmawiania z ich mieszkańcami. Choćby przypadkowo coś niepokojącego zwróciło ich uwagę, to i tak odpowiedzą, że niczego nie widzieli i nie słyszeli. Co innego w komendzie, gdzie w jej pokoju przy prostym biurku stoi zwyczajne krzesło, obok szafa pancerna, a ściany wiele lat temu pomalowane białą emulsją mają szarawy odcień. Przez okratowane okno widać radiowozy na służbowym parkingu. Gdy w głośniku przy konsoli odezwał się męski głos, przedstawiła się i poprosiła o rozmowę. Chwilę po tym coś skrzecząco zachrobotało w zamku. Popchnęła furtkę ramieniem, ale ta się nie otworzyła.

– Pod czarną gałką jest wystający przycisk. Trzeba go objąć dłonią

od dołu, mocno wdusić, przekręcić gałkę w prawo do oporu i dopiero wtedy popchnąć bramkę.

Postępowała zgodnie z instrukcją mężczyzny, który obserwował ją zza żaluzji opuszczonych do połowy okna. Udało się za czwartym razem.

– Na pewno pani jest z policji?

Natasza zdecydowanie kiwnęła głową.

– To policjantkom na służbie wolno chodzić po cywilnemu? – nie dowierzał mężczyzna, stanąwszy na ganku, jakby nie miał zamiaru dalej jej wpuścić.

Policjantka domyśliła się, że jeżeli teraz nie pokaże legitymacji, usłyszy następne pytanie, odpowie na nie, znowu padnie pytanie, znowu odpowie. Tak może być aż do znudzenia. Szkoda jej było czasu na przekonywanie mężczyzny, że kryminalni mają więcej wspólnego z prokuraturą niż z drogówką, dlatego nawet na służbie nie muszą nosić mundurów. Pod pagonami, jak mówią ci z prewencji, chodzą od wielkiego święta. Skórzane etui wyciągnęła z torebki, otworzyła je, pokazała odznakę i już chciała zamknąć, gdy mężczyzna dał znak ręką, że ma zamiar sprawdzić, czy to, na co patrzy, nie jest podróbką. Pierwszy raz miał przed oczami odznakę policyjną. Córka nakazała mu, żeby dokładnie sprawdził dokumenty, zanim kogokolwiek wpuści za furtkę. Teraz za dużo przebierańców kręci się po osiedlu.

– A jak godność szanownej pani?

– Sierżant Natasza Woźniak-Araszkiewicz, detektyw z wydziału kryminalnego Komendy Miejskiej Policji w Zielonejgórze – odpowiedziała jak na egzaminie.

– W jakiej sprawie pani detektyw się fatygowała?

Natasza pokazała głową na drzwi i spytała, czy może wejść do domu. Po chwili wahania mężczyzna nacisnął klamkę i poszedł przodem. Zatrzymawszy się w przedpokoju, ręką wskazał białe, gięte krzesło przy okrągłym stoliku, którego centralną część zajmowała kwadratowa doniczka ze smukłą waszyngtonią. Identyczną, tyle że

dużo mniejszą dostała od Tadeusza dzień przed jego wyjazdem na kurs. Zerknęła na ręce mężczyzny i doszła do wniosku, że nigdy nie był robotnikiem. Zresztą czy robotnik miałby za co zbudować spory dom na przyleśnym osiedlu, gdzie, jak słyszała od męża, jeszcze niedawno szumiały strzeliste sosny. Gdy mężczyzna spytał, czy ma ochotę na kawę lub herbatę, podziękowała za poczęstunek.

– Ładnie tu – pochwaliła, żeby zdobyć jego zaufanie. – Tyle przestrzeni, że można tańczyć – dodała, rozciągając ręce. – Pan mieszka sam? Z żoną? Z synem? Z córką? Może z wnukami? Od jak dawna? Czym się pan zajmuje? Zna pan swoich sąsiadów? – Już w trakcie strzelania pytaniami domyśliła się, że zanim starszy mężczyzna zacznie na nie odpowiadać, spyta, dlaczego akurat to ją interesuje.

– Policja prowadzi śledztwo dotyczące śmierci profesora Stefana Pośledniego – szybko dodała.

Mężczyzna nie zadał żadnego pytania, co ją zaskoczyło, ale po namyśle doszła do wniosku, że przecież przed sąsiadami nic nie da się ukryć. Spokojnym głosem zaczął od wyjaśnienia, że sześć lat temu, kiedy zmarła jego żona, sprzedał trzypokojowe mieszkanie na czwartym piętrze w bloku bez windy na osiedlu Przyjaźni. To samo zrobiła jego córka, która z mężem generałem i dwoma prawie dorosłymi synami mieszkała w Żarach, skąd każdego dnia przyjeżdżała do szpitala uniwersyteckiego, gdzie zawiaduje kliniką chirurgi szczękowej. On zaraz po studiach założył ośrodek leczenia i rehabilitacji dzikich zwierząt na Zatoniu i do pierwszego dnia emerytury był jego kierownikiem. Czterdzieści dwa lata w jednym miejscu, szybko policzyła Natasza. Dokładnie rok po jego przejściu na emeryturę nowy nadleśniczy kazał wypuścić uzdrowione zwierzęta na wolność, chore zabić i ośrodek zamknąć. Nie pomogły protesty myśliwych, ekologów, uniwersyteckich przyrodników i apel wszystkich towarzystw opieki nad zwierzętami. Za pieniądze przeznaczone na utrzymanie ośrodka nadleśniczy kupił maszyny do obróbki drewna i zatrudnił robotników, którzy robią altany, pergole,

płotki, donice, nawet domki dla ptaków. Ludzie mają pracę i pieniądze, nadleśnictwo czysty dochód i święty spokój. Dziennikarze przestali trąbić, że trzeba przeznaczyć więcej gotówki na utrzymanie ośrodka, bo chorych zwierząt przybywa. O tym mężczyzna wie od zastępcy nadleśniczego Józefa Bojki, kolegi od lat, który po każdym udanym polowaniu zaprasza go na Zatonie. Wtedy ma okazję skosztować wyśmienicie przyrządzonej dziczyzny.

– Ostatnio Józef częściej bywa u mnie niż ja u niego.

W grudniu też zostanie emerytem. Nie chce, ale musi – uśmiechnął się. – Będziemy mieli więcej czasu na rozmawianie o chorobach, lekarstwach i o tym, czym się można zająć, żeby za szybko nie zdziadzieć.

– Spytałam o sąsiadów. Właściwie interesuje mnie jeden. Profesor Pośledni – przypomniała policjantka.

– Pośledniego znałem tak, jak się zna sąsiada zza płotu – odpowiedział po krótkim namyśle, cedząc słowa. – Nie miał nic z charakteru Józka Bojki, z którym można usiąść przy kieliszku jagodzianki i niezobowiązująco wymienić poglądy na dowolny temat. Z Poślednim najwyżej: dzień dobry, panie sąsiedzie. Czasem narzekanie na pogodę lub setny raz powtarzana uwaga o braku kościoła na osiedlu.

– Przecież już jest.

– Prawie jest. Prawdziwy kościół będzie wtedy, kiedy postawią dzwonnicę, a szybko na to się nie zanosi. Jeszcze proboszcz nie dogadał się z ludwisarzem, a już niektórym dzwony przeszkadzają. Na osiedlu mieszka najwięcej katolików, ale są ateiści, żydzi, prawosławni, ewangelicy, jak na każdym nowym osiedlu, a nawet świadkowie Jehowy.

– Czego jeszcze się dowiem?

– Z wykształcenia jestem lekarzem medycyny weterynaryjnej, z zamiłowania przyrodnikiem i ekologiem. Takim nemrodem. Wie pani, kto to nemrod?

– Nie – przyznała się policjantka. Nigdy nie słyszała tego

określenia.

– Nemrod to myśliwy. Ale nie taki, który strzela do wszystkiego, co żyje w lesie. To człowiek myślący. Myślistwo też pochodzi od słowa myśleć. Myśleć, czyli wiedzieć sporo o zwierzynie, znać jej obyczaje i kochać przyrodę.

Prawdziwemu myśliwemu, takiemu nemrodowi – palcem wskazującym postukał się w piersi– nie chodzi o to, żeby się nastrzelać.

– Nadal jest pan czynnym myśliwym?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Na emeryturze mam więcej czasu, więc, jak twierdzi Leoś, mój młodszy wnuczek, robię za bramkarza, czyli opiekuna domu. Wiosną sadzę kwiaty w ogrodzie i maluję płot, latem wyrywam chwasty i koszę trawę, jesienią zbieram liście. W międzyczasie czytam. Kiedy prowadziłem ośrodek, czytałem wedle zasady, że kto nie czyta, ten się nie rozwija. Czytałem głównie to, co było przydatne w mojej pracy weterynarza. I przeczytałem jedną książkę o archeologi. A domyśla się pani czyją?

– Stefana Pośledniego – strzeliła na chybił trafił.

– O archeologi wiem tyle, ile człowiek przeciętnie wykształcony i oglądający telewizję. Na ten temat miałem ochotę pogwarzyć z sąsiadem. Proszę sobie wyobrazić, że nigdy nie postawiłem nogi na jego podwórku. Bywało, że na moje „dzień dobry" nie reagował, a jest dużo młodszy. Ma głowę zajętą czymś ważnym, usprawiedliwiałem Pośledniego. Co innego sąsiad z naprzeciwka. Czasem mam go dość. Gaduła nie do wytrzymania i przy tym wścibski. Jeżeli ma pani zamiar iść do niego, proszę zadać jedno pytanie i domagać się natychmiastowej odpowiedzi. Gdyby były mistrzostwa świata w zanudzaniu słuchaczy, a przy tym schodzeniu na boczne tory, zdobyłby duży złoty medal – uśmiechnął się szeroko. – Panią interesuje wyłącznie Pośledni. Niestety, poza tym, co powiedziałem, nic więcej nie mogę dodać. O, może jeszcze takie spostrzeżenie. Za moich czasów studenckich profesorowie chodzili w

garniturach, niemodnych, często wymiętoszonych, poplamionych, wytartych na łokciach. Zawsze byli pod krawatami, niektórzy nosili muszki. Asystenci na co dzień ubierali się jak do kościoła. Po ubiorze można było poznać *who ist who*[8] na uczelni. Gdybym nie wiedział z prasy, kim jest mój sąsiad w Wyższej Szkole Archeologi, uznałbym go za woźnego. Zimą czapka wełniana na głowie, jesienią już wypłowiała bejsbolówka, byle jaka kurtka, pod nią rozciągnięty sweter, najtańsze dżinsy, pewnie z kosza w markecie. Profesor na uczelni jest mistrzem, nauczycielem, wychowawcą, autorytetem, ale i wzorcem. Jak takiego łazęgę ma szanować studentka, która ubiera się zgodnie z najnowszą modą? Nie wymagam, żeby na co dzień profesor chodził w smokingu, ale powinien dawać przykład. Tym bardziej że gdy młody człowiek po studiach zaczyna pracę, to wie, jak się ubrać. Dziś takie czasy, że nie tylko każdy prezes, ale i każdy jego podwładny nosi się przyzwoicie, bo szata również świadczy o firmie.

Policjantka zgadzała się z nim, mimo to nie wdawała się w rozmowę na temat wyglądu. Podniosła oczy znad notesu w chwili, gdy mężczyzna uznał, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia na temat Pośledniego. Niewiele, pomyślała.

– Ktoś go odwiedzał?

– Dzieci i chyba znajomi. Proszę sobie wyobrazić, że ze dwa razy przed jego domem na ulicy widziałem pana Gremplera, tego, co kupił klub żużlowy. Od kiedy mieszkam w Zielonejgórze, to chodzę na żużel. Przepraszam. O, to też może być ważne. Latem co tydzień, potem wcale albo raz na jakiś czas, kręcił się po jego podwórku taki – przechylił głowę w stronę okna, co Natasza zrozumiała bez pytania, kogo ma na myśli – Staśko. Wszyscy tak mówią na niego. Staśko. Jak się nazywa, gdzie mieszka, chyba nikt nie wie. Wiosną sadzi kwiaty, plewi, podlewa je, kosi trawę, jesienią zbiera liście, zimą zgarnia śnieg, żeby sąsiad z naprzeciwka nie zadzwonił do straży miejskiej, a ta nie ukarała Pośledniego za nieodśnieżony chodnik przed domem. Najpierw strażnicy musieliby wlepić mandat

prezydentowi miasta, a wiadomo, że tego nie zrobią. Staśko to więcej niż złota rączka. Kiedy trzeba, nasmaruje zamek w bramce, przytnie żywopłot, pomaluje ściany, tak że prawdziwy malarz nie zrobi tego lepiej. Sąsiada kotka urodziła z dziesięć kociąt. Jednego można zatrzymać, ale dziesięć? Staśko wpakował je do worka, worek zarzucił na plecy i poszedł do lasu. Po godzinie wrócił z pustym workiem. Sąsiad nie spytał, co z nimi zrobił. Dał mu parę groszy, żeby miał na piwo. – Mężczyzna przygryzł wargę. – Ten z naprzeciwka – znowu przechylił głowę– rozpowiada, że Pośledni oszukuje Staśka. On, kiedy woła chłopinę do roboty, płaci mu gotówką, a Pośledni, co powinien wyrzucić do śmieci, jemu daje. Stare spodnie, koszule, buty. Prawda, Staśko lubi sobie wypić, to i pewnie coś wyniesie, żeby mieć na winko, ale... – urwał mężczyzna, jakby chciał coś ukryć przed policjantką.

– Ale co? – zaciekawiła się sierżant Woźniak-Araszkiewicz, licząc na to, że dowie się czegoś bardzo ważnego, co naprowadzi ją na właściwy kierunek śledztwa.

– Jakie są drogi na naszym osiedlu, nie muszę pani tłumaczyć. Latem da się przejść suchą nogą. Córka co dwa tygodnie myje okna. Jesienią, po deszczu, nikt nie wychodzi na ulicę bez kaloszy. Rozmawiałem z prezydentem, mieszka dwa domy dalej. Mógłbym kazać utwardzić drogę przez nasze osiedle, on na to, ale zaraz radni naskoczą na mnie, że zrobiłem to dla własnej wygody. Podpowiedział, abyśmy złożyli się i na własny koszt wykonali projekt dokumentacji. Za utwardzenie miasto zapłaci. Wszyscy się zgodzili, a Pośledni nie. Płacę podatki, odpowiedział. Zrobiło mi się głupio, bo ja też płacę w terminie i jeszcze dokładam się do dokumentacji. Z jego powodu droga jest, jaka jest.

– Aspołeczny sąsiad.

– Pani sierżant, tego proszę nie notować. Zastanawia mnie, jak on – wyciągnął rękę w stronę podwórza za płotem – doszedł do takiego majątku. Kupił dom nie od tego, który był jego pierwszym właścicielem, a od pośrednika, nawet nie od osoby prowadzącej

agencję nieruchomości. Od cinkciarza. Od kogo i za czyim pośrednictwem kupił lokal na Kupieckiej, domyślam się, ale nie powiem głośno. Teraz jest tam sklep z luksusową odzieżą Alan & Alina. Właścicielem sklepu jest syn profesora z pierwszego małżeństwa. Na piętrze jego synowa prowadzi kwiaciarnię i biuro rachunkowe. Syn i synowa też mają dom. Córka po rozwodzie mieszka w apartamencie na tym nowym osiedlu, gdzie zaczęli budowę szpitala. Ma aptekę. O, zapomniałem o domku w Jodłowie. Z pensji profesora od archeologi aż tyle?

Tak samo powiedziała Jagoda Bojko, a Natasza słowo w słowo zapisała i powtórzyła nadkomisarz Mrozińskiej. Teraz zastanawiało ją, skąd mężczyzna tyle wie. Ona ledwie zna swoich sąsiadów z bloku.

– Czy między czwartkiem a niedzielą coś szczególnego zwróciło pana uwagę? Chodzi mi o Pośledniego – drążyła policjantka.

Mężczyzna zmrużył oczy i złożył dłonie jak do modlitwy. Starał się przywołać tamte dni z pamięci.

– Staśko kosił trawę. Zawsze kosi w czwartek. Rozmawiałem z nim przez płot. Powiedział, że dobrze się składa, bo w piątek profesor wraca z Niemiec i nie będzie miał do niego pretensji o to, że nie dba o trawnik. Rzeczywiście w piątek tak po południu widziałem, jak przesuwała się brama na podwórze i czarny mercedes wjechał do garażu. Co działo się później, nie wiem, bo wybrałem się z psem do lasu. Codziennie po południu robię sobie taką wycieczkę. Przyzwyczajenie zawodowe.

Policjantka spojrzała na zegar zawieszony nad lekko rozsuniętymi drzwiami do salonu.

– Sądzi pan, że zastanę teraz sąsiada z naprzeciwka? – spytała, przewracając kartki w notesie. – Jak się on nazywa?

– Nogal Edmund albo Eugeniusz. Może Eligiusz.

Nazwisko się zgadza, pomyślała. Imię nie, ale nie będę go poprawiała.

– Jeśli jest w domu, to widział, jak pani wchodziła za bramkę i

pokazywała odznakę. Z ruchu ust odczytał moje pytania. W międzyczasie obejrzał przez lornetkę, co ma pani w samochodzie, spisał numer rejestracyjny i sprawdził, do kogo należy punto. Jeżeli służbowe, zadzwonił do wydziału komunikacji albo do pani zwierzchnika, żeby się upewnić, czy tablica rejestracyjna jest prawdziwa. To następstwo skrzywienia zawodowego. Miał coś wspólnego z byłą służbą bezpieczeństwa czy podobną formacją. Zdaje się wojskową – urwał, jakby uznał, że powiedział za dużo i się tego wstydzi. Po chwili machnął ręką i dokończył, ale przyciszonym głosem: – Na Kwiatowym mieszka wielu takich, którzy nie umieliby wyjaśnić, skąd mieli pieniądze na budowę domu.

– Dużo?

– Pyta pani ilu?

– Niemało dowiedziałam się o pana sąsiadach – szybko wyjaśniła Natasza.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby któryś z nich był sprawcą. Nie sam.

– Sprawcą czego?

Zawahał się, ale na wycofanie się było za późno.

– No, tego, co się stało z Poślednim.

– Skąd pan to wie?

– Dzisiejsza „Zielonogórska" napisała.

Zielonagóra, os. *Kwiatowe,*
wtorek, wczesnym popołudniem

– Pani już wie, czym się zajmowałem i jaki teraz jestem – uśmiechnąwszy się, powiedział sąsiad weterynarza, pokazując na dom po przeciwnej stronie uliczki. – Formacją, z którą mam do czynienia, jest straż strzegąca granicy państwowej. Zanim tam się zameldowałem, byłem zastępcą dowódcy oddziału żandarmerii wojskowej w naszej dywizji bez szansy na awans ze względu na przekonania religijne. Podpułkownik dyplomowany inżynier w

stanie spoczynku Nogal. Edward Nogal – przedstawił się, stając na baczność przed sierżant Woźniak-Araszkiewicz.

– Czy dobrze zrozumiałam, że ze względu na przekonania religijne nie mógł pan awansować?

– Niewiarygodne, ale prawdziwe, pani sierżant.

– Pan żartuje, prawda? – spytała z niedowierzaniem.

– Wróciłem do religi mojej matki.

– To znaczy?

– Jestem świadkiem Jehowy. Od stycznia starszym zboru.

Natasza zaniemówiła. Pierwszy raz miała przed sobą świadka Jehowy. Najczęściej rozmawiała z katolikami, rzadziej z ateistami, bardzo rzadko z protestantami i prawosławnymi. Na początku czerwca przesłuchiwała Ukraińca podejrzanego o zamordowanie swego rodaka, który podawał się za religijnego żyda. Prawdę mówiąc, to niewiele wiedziała o świadkach Jehowy. W starej części miasta rozsiadła się konkatedra i dwa kościoły dla katolików, przy placu Bohaterów stoi zbór ewangelicki, niedaleko jest kościółek polskokatolicki i cerkiew unicka, wszystkie wyremontowane, w niedziele wypełnione wiernymi. Na nowych osiedlach brakuje szkół i boisk, sklepów, parkingów, zatoczek autobusowych, ale już są plebanie jak rezydencje biskupie i ogromne kościoły. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że ani w Żarach, skąd pochodzi, ani w Pile, gdzie kształciła się na policjantkę, ani w Zielonej– górze nie przechodziła obok budynku będącego świątynią jehowitów. Gdzie oni się zbierają? Czy się modlą? A jak wyglądają ich spotkania? Komu wyznają swoje grzechy? Słyszała, że w soboty zawsze parami, jakby jedna osoba była gotowa bronić drugiej, wpraszają się do mieszkań i próbują przedstawiać zasady swojej wiary. Rzadko im się to udaje w kraju, gdzie nawet niereligijni świętują Boże Narodzenie.

– Domyślam się, że i o mnie pan wszystko wie – powiedziała, żeby przerwać za długie milczenie.

Nogal najpierw zaniemówił, a po chwili pokiwał głową.

– Woźniak–Araszkiewicz Natasza Anna. Bezdzietna. Detektyw w

stopniu sierżanta po szkole policyjnej w Pile. Prymuska. Od niedawna w wydziale kryminalnym. Jeździ pani rozklekotanym fiatem grande punto.

– Skoro pan tak szybko aż tyle sprawdził, to i pewnie wie, co się działo między czwartkiem a poniedziałkiem wokół i w środku domu po drugiej stronie ulicy, należącym do Pośledniego. Bardzo liczę na pomoc pana pułkownika – starała mu się przypodobać.

Nogal otworzył szufladę, wyjął z niej kalendarz oznaczony złocistymi literami układającymi się w napis Nadodrzański Oddział Straży Granicznej, założył okulary, poślinił palec wskazujący lewej ręki i przewrócił kartki. Przez chwilę wpatrywał się w notatki, jakby przypominał sobie coś, czego nie zapisał, a co wydawało mu się w tej chwili ważne. Natasza dostrzegła godziny, pod nimi po kilka wyrazów, niektóre były podkreślone.

– Dwudziesty siódmy dzień sierpnia, czwartek. Staśko kosił trawę od dziesiątej do dwunastej trzydzieści. Prawie pół godziny wywoził ją na kompostownik. Czyli nic ważnego. Piątek. Co my tu mamy? – spytał sam siebie i zamiast odpowiedzieć wprost, zaczął od komentarza, jakby się usprawiedliwiał, że im człowiek starszy i ma więcej czasu na obserwację, tym mniej pamięta z tego, co się działo onegdaj. Może zacznie spisywać wspomnienia, a wtedy ten kalendarz będzie niezastąpiony, – W piątek o dwunastej jedenaście Pośledni wróci! do domu. Nie było go od drugiego sierpnia. Z bagażnika czarnego mercedesa 160 cdi 90 wyją! sześć pakunków i dwie torby podróżne. Czerwona z wypukłym napisem Kevin Clein na rączce. Na torbie zielonej była żółta nalepka z czarnymi literami *Hier schlüpfen Führungskrafte aus*[9], przyklejona na ukos. Na niej emblemat TU Dresden.

Mniej więcej to samo powiedziała Jagoda Bojko, dlatego Natasza odchrząknęła. Nogal domyślił się, że takie szczegóły nie interesują policjantki.

– Szesnasta zero dwie. Przed dom Pośledniego podjechało białe mitsubishi pajero. Wysiadł z niego Alan, to znaczy syn Pośledniego z

pierwszego małżeństwa. Jak zawsze w bluzie z napisem po amerykańsku University of Colorado, wranglerach i mokasynach, które kosztują więcej niż moja emerytura wojskowa i pensja razem. Spieszył się, bo nawet nie zamknął samochodu.

To spostrzeżenie policjantka zapisała w notesie, uznając je za bardzo ważne.

– Zanotował pan numer rejestracyjny mitsubishi?

– FZ ALAN 1 – odpowiedział Nogal, powoli podnosząc głowę znad kalendarza, jakby oczekiwał pochwały. Ponieważ policjantka milczała, kontynuował: – Samochód zostawił na chodniku. Wszedł na podwórze, rozejrzał się, potem do domu. Po dwudziestu siedmiu minutach wybiegł. Był cholernie zdenerwowany. Przepraszam za to cholernie, ale lepszego słowa na określenie jego stanu nie znam. Pani mnie rozumie.

– Skąd pan wie, że był cholernie zdenerwowany?

– Pogranicznik nie musi pytać. Wystarczy, że zerknie na obywatela. Panią uczyli, jak zachowuje się człowiek zdenerwowany i jak spokojny. Jak ten, który ma coś do ukrycia, i jak ten, który jest niewinny. Spokojny, pani sierżant, nie szarpie za furtkę i nią nie trzaska. Wsiada do samochodu, ale nie wciska gazu do dechy, tylko powoli odjeżdża.

Natasza nigdy o tym nie myślała, ale teraz przyznała rację Nogalowi. I już wiedziała, dlaczego komisarz Syski nie lubi prowadzić przesłuchania wedle schematu zalecanego przez centralę.

– A nie zastanawiał się pan, co było powodem tego cholernego zdenerwowania Alana Pośledniego?

– Zastanawiało o tyle, że Alan dwa razy w miesiącu przyjeżdżał do domu ojca. Zawsze wtedy i w tych godzinach, kiedy pani Jagoda sprzątała. Po co? Tego proszę się domyślić. Piętnaście minut i zadowolony jak wróbelek na wiosnę, pogwizdując wybiegał do samochodu.

Natasza nie pytała o nic więcej. Wczoraj Jagodzie Bojko niechcący się wypsnęło, że zawsze, kiedy włączała odkurzacz w salonie, Ałan

pojawiał się w domu. Wprost nie powiedziała po co, a policjantka nie ciągnęła jej za język.

– W inne dni, nieraz do rana, przed domem stał zielony passat. Wie pani czyj? – Nie czekając na odpowiedź, ujawnił: – Neimanna, dyrektora klubu żużlowego. Tak gdzieś od Wszystkich Świętych zeszłego roku pan menedżer i pani profesorowa mają się ku sobie i...

Policjantka machnęła ręką, dając Nogalowi do zrozumienia, że życie uczuciowe żony profesora i dyrektora klubu żużlowego w ogóle jej nie interesuje.

– Czy Joachim Grempler również bywał w tamtym domu? – Pokazała ręką za okno. – Może pan go widział? Kiedy?

– Tak od zimy to nawet, powiem szczerze, często. Chce pani wiedzieć, kiedy widziałem go ostatnio. Na początku sierpnia. Jakoś tak przed osiemnastą. Szykowałem się na nockę. – Otworzył notes. – Mam. Pierwszego sierpnia.

– Czy w ostatni piątek po południu i kolejne dni widział pan Pośledniego wychodzącego z domu lub wyjeżdżającego samochodem z garażu?

Nogal pokręcił głową.

– Proszę o następne pytanie.

– Czy poza osobami, które już pan wymienił, jeszcze ktoś wchodził do domu? – Gdy Nogal przytaknął, spytała: – Kiedy i kto to był?

– Już odpowiadam, pani sierżant, – Poślinionym palcem przewrócił kartkę. – Piątek, siedemnasta siedem, srebrzysty volkswagen cross, niemiecka tablica rejestracyjna z literami DD na początku, potem C i trzy cyfry na końcu. To znaczy, że samochód został zarejestrowany w dzielnicy Cotta w Dreźnie.

– Skąd ta pewność?

– Pełnię służbę na granicy polsko-niemieckiej – przypomniał z wyższością w głosie. – Jedynie na niemieckich, maltańskich i bośniackich tablicach rejestracyjnych litery są zapisane bardzo trudną do podrobienia czcionką *Fälschungserschwerende Schrift.* Ponadto na europasku pod godłem Uni Europejskiej była litera D,

czyli Deutschland, Niemcy.

– Z pana to kawał... – urwała, bo to, co miała na końcu języka, Nogal mógłby uznać za obelżywe. I naskarżyłby komendantce. A może byłby dumny, że tak go nazwałam? – pomyślała Natasza.

– Z samochodu wysiadł gościu na oko najwyżej pięćdziesięcioletni, lekko szpakowaty, w jasnych spodniach i mimo że było gorąco, w grafitowej marynarce, lnianej, zapinanej na dwa złote guziki z czarnym napisem Kidel.

– I taki szczegół pan zauważył?

– Pani sierżant, niemiecki mężczyzna na stanowisku kupuje marynarkę w salonach sieci Kidla, spodnie u Wiltelemanna, koszulę w Eternie, a jeżeli nie ma za dużo czasu, ale nie brakuje mu pieniędzy, to jedzie do Hugo Bossa. Taka jest prawda.

– Nie wiedziałam – uśmiechnęła się do niego, starając się niczego nie przekręcić w notesie. – Co było dalej? To znaczy pytam o tego lekko szpakowatego.

– Przebywał w domu od siedemnastej siedem do siedemnastej piętnaście. Zwróciłem uwagę na granatową torbę. Była na niej żółta nalepka z czarnymi literami *Hier schlupfen Fihrungskráfte aus.* Taka sama jak na torbie Pośledniego. Kiedy szpakowaty wchodził do domu, torba wyglądała na pustą. Kiedy wychodził, było w niej coś dużego i niezbyt ciężkiego.

– Co to było, jak pan sądzi?

– Najpewniej jakiś baniak – powiedział bez przekonania. – Może ten szpakowaty poprzednim razem przywiózł potłuczone skorupy, a Pośledni dał je studentom do sklejenia?

– Poprzednim razem, czyli kiedy?

Jak wcześniej poślinionym palcem Nogal przewrócił kilka kartek w kalendarzu.

– Czternastego czerwca. Nie sam. Ze starszym od siebie. Na oko ten starszy mógł mieć sześćdziesiątkę z dużym okładem. Obaj w brązowych garniturach w beżowe prążki, jakby reklamowali jakieś muzeum. Albo nosili służbowe ubrania. Tego starszego widziałem

tylko jeden jedyny raz. Właśnie wtedy.

Policjantka już miała spytać, co działo się później, gdy Nogal powiedział, że o osiemnastej wsiadł do fabi i wyjechał z domu, żeby nie spóźnić się na służbę. Wrócił w sobotę o ósmej. Spał do południa. Potem poszedł do delikatesów, co na pewno potwierdzi weterynarz z naprzeciwka, bo spotkał go przy cmentarzu na Kąpielowej i zamienił kilka cywilizowanych zdań. Po obiedzie przeglądał zdjęcia i zapiski z ostatnich dni.

– O siedemnastej trzydzieści jeden przyjechała Marta.

Policjantka słyszała to imię, łecz nie mogła sobie przypomnieć gdzie.

– Kim jest Marta?

– Córka Pośledniego z drugiego małżeństwa. Ją poznaję po chodzie. Jak idzie, to najpierw widać piersi, a jest na co popatrzeć, potem resztę. Była z nią krótko obcięta blondyna. Idę o zakład, że to taka, co woli kobiety niż mężczyzn. Zresztą widać to po twarzy. Marta w tych sprawach także ma odmienne upodobania. Jak to niektórzy mówią: jest penisonieprzystępna. – Nogal zerknął na policjantkę, a ponieważ nie zareagowała na jego opinię, mówił dalej: – Ona, to znaczy blondyna, została w hondzie i paliła cluba ze złotym ustnikiem, bo są jeszcze z zielonymi i różowymi. Miała pozłacaną zapalniczkę marki Dupont.

– Aż takie szczegóły pan zauważył?

– Przypominam, że jestem pogranicznikiem. Po drugie, moja fujinon jest dokładniejsza niż niejedna luneta. Japońskie arcydzieło dla miłośników sztuki łowieckiej. Dla takich, co to chodzą na polowania po to, żeby podpatrywać dziką zwierzynę. Dostałem ją od kolegów, kiedy żegnałem się z wojskiem – pochwalił się lornetką leżącą na parapecie. – Blondaska paliła w hondzie, a Marta poszła do domu. Po pięciu minutach wyskoczyła jak oparzona. Dosłownie: wyskoczyła. Dlaczego?

– Właśnie – dlaczego wyskoczyła jak oparzona?

– Naprawdę pani się nie domyśla?

Policjantka chciała powiedzieć, że nie przyszła do Nogala na plotki. Ją interesują niezbite dowody. To, co usłyszała, nie ma nawet charakteru poszlaki.

– A jak pan żył z Poślednim?

– Tak samo jak ten, z którym pani rozmawiała, zanim do mnie przyszła – odpowiedział i pokazał na dom po drugiej stronie ulicy. – Nie gloryfikowałem profesora. Tu nikt go nie lubił. Może prezydent, ale jego więcej nie ma w domu niż jest. Nawet w sobotę i niedzielę. Służalcze życie samorządowego biuralisty. I nigdy nie wiadomo, jak jeszcze długo będzie się na stanowisku.

– Dlaczego sąsiedzi nie lubili Pośledniego?

– Uważał się za kogoś lepszego. Jakby był ulepiony z innej gliny. A ludzie chcą mieć takich sąsiadów, z którymi można pogadać, jak to się mówi, bez zobowiązań. Wymienić poglądy. Ponarzekać na przykład na służbę zdrowia. Na drożejące usługi komunalne. Pochwalić się dziećmi. Coś pożyczyć czy...

– Jeszcze jedno – przerwała mu policjantka. – Poza osobami, które pan sfotografował i opisał w swoim notatniku... Inaczej spytam. Czy do domu Pośledniego mógł wejść ktoś, kogo pan nie zauważył?

Po namyśle Nogal odpowiedział:

– Takie prawdopodobieństwo istnieje, pani sierżant. Istnieje tylko teoretycznie.

– A praktycznie?

Uśmiechnął się i zadowolony pokazał na skrzyneczkę za stolikiem. Wystawały z niej dwa mikrofony kierunkowe i coś, co było podobne do teleobiektywu. Zauważyła je wcześniej. Domyśliła się, że to stacja monitoringu. Gdy Nogal podniósł wieko skrzyneczki, żeby pochwalić się domową konstrukcją, Natasza zrobiła potępiającą minę i bez słowa wstała z krzesła. Powinna być mu wdzięczna za to, czego się dowiedziała i co zobaczyła. Nie była. Nawet nie podała mu ręki. Wrzuciła notes do torebki i nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę drzwi.

– Świństwo! – rzuciła ze schodów. – Jaki ma pan interes w tym,

żeby podsłuchiwać sąsiadów?

Odpowiedzi nie usłyszała.

Zielonagóra, os. Kwiatowe,
wtorek, po południu

Sierżant Woźniak-Araszkiewicz nie liczyła na to, że o tej porze zastanie kogokolwiek w domu prezydenta. Mimo to wdusiła guziczek domofonu. Gdy usłyszała kobiecy, lekko zachrypnięty głos, przedstawiła się. Kobieta powiedziała, że dopiero co wróciła z liceum, bo dziś rozpoczął się nowy rok szkolny, i jest półżywa.

– Niech pani przyjdzie kiedy indziej – bardziej poleciła niż poprosiła.

Ponieważ policjantka nie ustępowała, kobieta spytała, czy na pewno zdaje sobie sprawę z tego, kogo niepokoi. Natasza już nie miała wątpliwości, że w domu jest pewna siebie żona prezydenta. Inna na samo hasło „policja" odpowiedziałaby serią najbardziej dziwacznych pytań. Chwilę później sierżant Woźniak rzuciła jakby od niechcenia, że skoro prezydentowa nie chce rozmawiać dziś, to nie będzie jej przekonywała. Szkoda czasu. Jutro z samego rana dzielnicowy przyniesie jej wezwanie do komendy w celu złożenia zeznań. Wezwanie będzie na konkretną godzinę. Dopiero po tej informacji prezydentowa kazała jej poczekać. Po kilku minutach wyszła na ganek długowłosa wiewiórka w biało-niebieskiej bluzce z niemodną już baskinką, dopasowanych dżinsach, w których ukrywała za grube uda, okularach przeciwsłonecznych, z papierosem w świeżo pomalowanych ustach. Policjantka tkwiła za zamkniętą furtką na chodniku, kobieta z papierosem w prawej ręce i czymś w lewej stała na schodach oparta plecami o kolumnę. Sierżant

Woźniak-Araszkiewicz pokazała odznakę, a ponieważ kobieta nie zrobiła nawet kroku w jej stronę, powiedziała, że powinna sprawdzić, czy na pewno jest tą osobą, za którą się podała.

– Co cię interesuje, złotko? Tylko szybko, bo chciałabym wziąć prysznic i wreszcie odpocząć.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Stefana Pośledniego?

– Nie pamiętam. Jeszcze coś, złotko? – spytała, zaciągając się papierosem.

– Czy pani go spotykała? Jak często? Gdzie? Rozmawialiście? O czym?

– Wyobraź sobie, złotko, że bynajmniej nie interesują mnie sąsiedzi. Mam męża, odpowiedzialną pracę, cały dom na głowie i...

– Proszę sobie przypomnieć. To może być ważne – naciskała Natasza.

– Już odpowiedziałam – rzuciła i zmierzyła policjantkę taksującym spojrzeniem.

– Na pewno tylko tyle?

– Smutny pan z gumowym uchem, pani policjantko, mieszka tam – pokazała lewą ręką na przeciwną stronę ulicy, gdzie stoi dom Nogala, i roześmiała się, uznając to za dowcip.

Natasza doszła do wniosku, że zadawanie pytań żonie prezydenta nie ma sensu, a tym bardziej zza zamkniętej furtki. Im wyższe sfery, tym większa pewność siebie, pomyślała z irytacją. Schowała notes do torebki i powiedziała, że gdyby jednak prezydentowa coś sobie przypomniała, to prosi ją o informację przez telefon. Wrzuciła wizytówkę do skrzynki na listy i dopiero wtedy się odwróciła.

– Dziewczyno, złotko, jeszcze zobaczysz – usłyszała za sobą.

Natasza nie miała pojęcia, co jeszcze zobaczy. Zołza pewna siebie, pomyślała. Taka uważa, że jeśli mąż jest prezydentem miasta, to ona każdym może wzgardzać. Za żadne pieniądze nie chciałabym być dyrektorką szkoły, w której uczy ten babsztyl. A czego? Czego dobrego może nauczyć ta pewna siebie kusiajda? Chyba tylko ignorowania wszystkich, którym nie udało się dostać na piedestał władzy. Pewnie jeszcze nikt nie odważył się powiedzieć, że któregoś dnia jej mąż spadnie z cokołu prezydenta miasta i wtedy będzie musiała znormalnieć, ale czy ona potrafi?

Policjantka zerknęła na ganek przez ramię. Paląc papierosa, prezydentowa odprowadzała ją wzrokiem do samochodu. A może wrócić i jeszcze raz zadać te same pytania? Niewielu, ale są ludzie, którzy potrafią przyznać się do błędu, przeprosić i go naprawić. W torebce Nataszy obudziła się komórka. Tadeusz?

Nie mogę się doczekać, kiedy wrócisz do domu – przyznał się takim głosem, jakby liczył na to, że Natasza powie to samo.

– Za dwadzieścia minut muszę być w wydziale. Ilona Mrozińska zarządziła odprawę. Pewnie będzie chciała sprawdzić, czego dowiedzieliśmy się o Poślednim. Najpóźniej o szóstej padnę w twoje ramiona, kochany – zapewniła męża i zaraz się spłoniła, bo wydawało jej się, że mężczyzna, który z balkonu odprowadzał ją wzrokiem, słyszał każde jej słowo.

Ledwie kliknęła czerwony guziczek oznaczający zakończenie połączenia, gdy odezwała się melodyjka. Mrozińska, odczytała na wyświetlaczu. Może odprawa odwołana, ucieszyła się i w jednej chwili pomyślała zadowolona, że zaskoczy Tadeusza wcześniejszym powrotem do mieszkania. Po drodze coś kupi do jedzenia, bo pewnie tego, co jest w lodówce, będzie za mało na kolację we dwoje. Pożegnalną kolację przed jego wyjazdem na kurs. To musi być taka kolacja, żeby Tadeusz ją pamiętał i tęsknił.

– Nie zdążę na szóstą do komendy, jak się umawialiśmy. Mam jeszcze do pogadania na Kupieckiej – usłyszała glos nadkomisarz Mrozińskiej. – Spotkamy się godzinę później.

Zielonagóra, ul. Kupiecka,
wtorek, wczesnym wieczorem

Ilona Mrozińska najczęściej robiła zakupy w Focusie. Pod jednym dachem miała niemal wszystko, czego potrzebowała ona i jej kurcząca się rodzina, a najważniejsze było to, że na tyłach centrum handlowego jego właściciele urządzili ogromny bezpłatny parking ze stacją benzynową i warsztatem. Przede wszystkim dlatego w śródmieściu bywała rzadko. Zresztą ostatnio niewiele tam się działo. Kierownik referatu dzielnicowych twierdzi, że to najspokojniejsza część miasta. Dawniej gdy kawiarenki wokół ratusza były pełne przyjezdnych i miejscowych, w butikach wzdłuż Krawieckiej, Drzewnej, Ciesielskiej, Masarskiej można było kupić dużo więcej niż w sklepikach osiedlowych, chodziła tam częściej. Teraz miejsce butików i kawiarenek zajęły banki, a po Starym Rynku, i przyległych placykach spacerują wygłodniałe gołębie.

Atecę zostawiła na prawie wymarłym parkingu przy filharmoni, skąd uliczką między archiwum diecezjalnym i agencją handlu nieruchomościami dostała się na wyludnioną Kupiecką. Boże, jak tu pusto!

Przed wakacjami zadzwoniła do Daniela Junga z pytaniem, czy pamięta, jak pół wieku temu nazywała się aleja kardynała Stefana Wyszyńskiego. Założyła się z mężem o butelkę oryginalnego szampana, że to dawniejsza ulica Armi Ludowej. Zdaniem jej męża Armi Ludowej była koło kampusu technicznego uniwersytetu, a ta, która prowadzi do rezydencji biskupiej, nazywała się Gwardi Ludowej. Jung odpowiedział, że przegrała. Po zmianie ustroju, na fali wymazywania znaków bliskiej przeszłości, miejsce Janka Krasickiego jako patrona ulicy zajął biskup Ignacy Krasicki, Hanki Sawickiej – general Leopold Okulicki, Franciszka Zubrzyckiego – święci Cyryl i Metody, generała Aleksandra Waszkiewicza –

marszałek Edward Rydz–Smigły, generała Aleksandra Zawadzkiego – Tadeusz Zawadzki-„Zośka”. Na plac Lenina, z którego dawniej można było dostać się uliczką Karola Marksa na plac Bohaterów Stalingradu z przysadzistym ratuszem, wrócił plac Pocztowy i teraz przechodzi się Pod Filarami na Stary Rynek. Temu, kto wymyślał nowe nazwy, zabrakło neutralnych bohaterów, dlatego dawna generała Karola Świerczewskiego jest Kupiecką. Wcześniej była Pionierską, a jeszcze wcześniej, kiedy wszyscy mieszkańcy miasta i okolicznych wiosek mówili tylko po niemiecku, nazywała się Niedervorstadt, potem Nieder Gasse, przed drugą wojną już była Niederstrasse, co urzędnicy pierwszego polskiego burmistrza przetłumaczyli jako ulica Dolna, ponieważ łączyła Dolne Przedmieście z centrum naokoło ratusza.

Policjantka nie wiedziała, w którą stronę skręcić, żeby trafić do salonu z luksusową odzieżą prosto z Francji i nie spotkała nikogo, kto by jej wskazał kierunek. Pomyślała o Nataszy. Sierżant rozmawiała z Jagodą Bojko, to musi wiedzieć, czy salon jest blisko teatru, czy bliżej skrzyżowania z Wojska Polskiego. Skręciła w prawo i ledwie zrobiła kilkanaście kroków, na wprost zobaczyła witrynę zajmującą całą ścianę, nad nią trójkolorowe litery układające się w napis Alan & Alina. Teraz jest salon z odzieżą francuską, a co było wcześniej? Księgarnia? Nie. Delikatesy zajmowały podcienia przy Starym Rynku obok apteki, gdzie teraz jest Biedronka. Supersam spożywczy? Też nie. Drogeria? Pasmanteria? Mięsny? Żubr zawsze był i jest nadal w tym samym miejscu: na wprost stoisk kwiaciarek przy ratuszu. Warzywniak? Rybny? Nabiałowy? Ogólny?

– Bodajże tekstylny – powiedziała kobieta w bluzce na koronkowych ramiączkach i w za ciasnych białych biodrówkach, stojąca z papierosem w otwartych na oścież drzwiach. Gdy policjantka weszła do środka, poczuła zapach ni to dobrych perfum, ni kadzidełka. – Słucham.

– Chciałabym rozmawiać z Aliną Poślednią – wyjaśniła, a widząc pytanie w oczach kobiety, natychmiast się przedstawiła i machnęła

przed jej oczami etui z odznaką policyjną.

– Alina Krysiak, po mężu Krysiak-Poślednia – odpowiedziała, rzuciła papierosa pod nogi i zadeptała go czubkiem buta. – Co panią sprowadza? Chyba nie zakupy? Teść, nieprawdaż. Mylę się?

– Bodajże na piętrze są miejsca biurowe – przypomniała sobie Ilona to, co czego dowiedziała się od Nataszy. – Czy tam możemy porozmawiać?

– Policja jest super zorientowana w rozkładzie pomieszczeń – stwierdziła Poślednia z wyraźną awersją w głosie. Nie ukrywała, że jest zaskoczona tym, co usłyszała.

Nadkomisarz lekko się uśmiechnęła. Dopiero teraz zauważyła dwa granatowe węże owinięte wokół lewej ręki powyżej łokcia Pośledniej. Latem widać, ile nawet coraz starszych kobiet paraduje z tatuażami na swojej skórze. Taka moda. Mąż koleżanki Ilony w połowie czerwca, kiedy przypadają imieniny Jolanty, jednego roku kupował jej perfumy, drugiego koszulę nocną, a ostatnio dostala talon do studia tatuażu. Koleżanka jeszcze nie zdecydowała, co i gdzie każe sobie wykłuć. Ilona próbowała ją przekonać, że ta moda jak każda wcześniejsza przeminie, a ona zostanie ze skazą do końca życia. Pół biedy, jeżeli zdecyduje się na coś, co będzie widać jedynie w sypialni małżeńskiej albo na plaży. Gdyby mąż Ilony także zafundował jej talon do takiego studia, na co pewnie nigdy się nie odważy, kazałaby sobie zrobić makijaż permanentny brwi, rzęs i ust.

– Interesuje mnie pani teść. Jaki był wobec rodziny, a zwłaszcza wobec pani? Czy... – zaczęła policjantka.

Poślednia nawet nie wysłuchała pytania do końca.

– Jeżeli dobrze się domyślam, panią interesuje przede wszystkim to, czy teść akceptował mnie jako żonę Alana i matkę jego dwóch wnuków, tak? – Nadkomisarz zdecydowała, że poczeka z dokończeniem pytania, bo może Poślednia nieświadomie ujawni coś, co będzie odpowiedzią, dlatego tylko przytaknęła. Poślednia sięgnęła po slima i już wkładała go do ust, gdy policjantka chrząknęła. – Przepraszam, to czasem jest silniejsze ode mnie –

powiedziała, wpychając papierosa do paczki. – O co pani pytała? Aha – uśmiechnęła się. – Odkąd jestem synową, co trwa już ponad dziesięć lat, z ust teścia nie słyszałam złego słowa na mój temat. Przy stole często bywało, że teść wygłaszał tyrady adresowane do Alana, swojego syna z pierwszego małżeństwa. Nie podobało mu się wiele rzeczy, które Alan robił. To znaczy, które miał robić, ale ich nie robił.

– Czego one dotyczyły? – dociekała policjantka.

– Teść powtarzał, że Alan za mało dba o nasz biznes. Przede wszystkim o salon. Jego zdaniem taki sklep w centrum miasta powinien przynosić dużo większe dochody.

– Czy teść znał się na handlu?

– Uważał, że skoro kupił ten lokal i dał nam, znaczy Alanowi i mnie w spóźnionym prezencie ślubnym, to ma prawo interesować się, jak nam idzie. A od dnia otwarcia Focusa idzie nam gorzej niż źle. Wszystkim na Kupieckiej źle idzie. W ogóle wszystkim w Śródmieściu. Gdyby nie kwiaciarnia i biuro rachunkowe, nie mielibyśmy z czego dołożyć do utrzymania salonu. Przychodzili przedstawiciele różnych banków, pytali o warunki wynajmu lokalu. Na razie zwlekamy z odpowiedzią, bo może będzie lepiej.

Lepiej to już było, Ilona przypomniała sobie powiedzonko komendantki, która każdą obietnicę swoich podwładnych puentuje w ten sposób. Czasem dodaje, że jest to turbożenada, czego nikt nie rozumie i nie ma odwagi poprosić o wyjaśnienie.

– Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z teściem?

– Dzień przed jego wyjazdem z wykładami dla archeologów w Niemczech. Dokładnie było to trzeciego sierpnia. Teść zaprosił nas, to znaczy mnie z mężem i nasze dzieci, do Zbójnickiej na obiad. Powiedział, że pożegnalny. Jakby przewidział, tak?

– Na pewno wtedy?

Poślednia domyśliła się, o co chce spytać policjantka, dlatego przerwała jej i powiedziała, że mąż widział się ze swoim ojcem w ostatni piątek po południu na Kwiatowym. Ponieważ ubywa

klientów, Alan przekonywał ojca, żeby sklep z odzieżą francuską, który formalnie jest własnością teścia, zamienić na salon antyków. Część przedmiotów Alan przyjmowałby do komisu, część ma zamiar kupować od zbieraczy na giełdach i targach. Twierdzi, że w każdym domu jest jeszcze coś, co Niemcy zostawili, opuszczając te ziemie po drugiej wojnie i co Polacy przywieźli ze Wschodu. Z każdym miesiącem te przedmioty nabierają wartości kolekcjonerskiej. Ałan ma na myśli przede wszystkim naczynia stołowe z porcelany, łyżki, widelce, noże, posrebrzane cukiernice, szczypczyki do cukru, solniczki, wazony. Wspominał również o malowidłach w starych ramach, ale to bardziej na zasadzie dopełnienia wystroju salonu niż handlu. Chociaż, mówił, jeśli trafi się kupiec, zdejmie z siebie koszulę i ją sprzeda.

– Powiem tak: mój mąż wierzy, że wśród stu przedmiotów przyjętych do komisu, znajdzie się jeden, taka perełka, dla którego warto zajmować się starociami. Ten jeden pokryje koszty utrzymania całego salonu – dodała, jakby nie miała wątpliwości. – A ja dalej będę prowadziła biuro rachunkowe. Kwiaciarnię i pokoje gościnne mamy zamiar przekazać w dzierżawę.

– Czy w Zielonejgórze jest naprawdę duże zainteresowanie antykami?

Po namyśle Poślednia kiwnęła głową, ale jakby bez przekonania. Mimo to przyznała, że nowobogaccy właściciele dworków stawianych na obrzeżach miasta zapłacą każdą cenę za stary serwis obiadowy. A gdy dorobi się legendę, którzy goście von Kittlitzów czy innych rodów jedli z tych talerzy, zbyt będzie ewidentny.

– Alan jednak bardziej liczy na klientów niemieckich. Jego nadzieją jest nie tyle łatwość nabycia zabytkowych przedmiotów, co sentyment Niemców do przeszłości – powiedziała Alina. – Teść zgadzał się z Alanem, mimo to nie akceptował jego pomysłu. Mówił, że póki jest rektorem, na Kupieckiej będzie salon z odzieżą francuską. Przestanie kierować uczelnią, przejdzie na emeryturę, a Alan zechce, może mu pomagać jako konsultant i rzeczoznawca.

– Z ust teścia nie padło żadne złe słowo na temat pani – przypomniała policjantka to, co kilka minut wcześniej powiedziała Poślednia. – A pani go lubiła?

– Szanowałam za mądrość, za troskę o rodzinę, za... – urwała na moment, jakby szukała w pamięci odpowiednich słów. – Ale obaj, mówię o teściu i mężu, dostali od życia więcej niż na to zasłużyli. Szczęściarze. Przykro mi to wyznać, ale uważam teścia za – moja matka tak mówiła – łajdusa. Nie szanował pierwszej żony i nie szanuje drugiej. Alan niewiele różni się od swego ojca. Gdybym...

– Nie szanuje pani?

– Mój mąż lubi dobrze zjeść. Dobrze się ubrać. Wszystko, co założy na siebie, musi być markowe. Garnitur jedynie od Kidla. Koszule i T-shirty, wyłącznie z metkami firmy SatinGos. Buty także markowe. Najlepiej od Baty. I lubi dobre alkohole w dobrym towarzystwie. Ja też, ale najpierw interes, potem przyjemność. Zdenerwowałam się. Jednak muszę. – Wyjęła slima z paczki i nie pytając policjantki o zgodę, zapaliła papierosa.

Nadkomisarz nie wiedziała, co powiedzieć. Zona, która tak mówi o mężu przy obcej kobiecie, musi być na niego mocno wkurzona. Coś się wydarzyło, ale co? Chwilę milczała, po czym spytała:

– Czy pani teść chorował?

– Nie aż tak, żeby nagle zejść z tego świata. Grypa, przeziębienie. Miał problem z kręgosłupem. Dyskopatia. To choroba zawodowa archeologów, tak. Częste przebywanie w pozycji pochylonej prowadzi do nieodwracalnych zmian w kręgosłupie lędźwiowym. Tyle wiem od bratowej, która studiowała farmację. Ponadto dawały znać o sobie korzonki. Teść łykał tabletki przeciwbólowe. Niestety, nie pamiętam ich nazwy. Na pewno były na receptę.

Mrozińska pomyślała, że jej męża również to czeka. Każdy, kto za długo siedzi przy biurku, nie uniknie bólów kręgosłupa. Już czwartą kadencję mąż Ilony jest pierwszym wiceprezesem sądu okręgowego. Najpierw namawiała go do zakupu działki ogrodowej z letnim domkiem, potem chciała sprezentować mu sprzęt wędkarski, żeby w

soboty wyjeżdżał nad jezioro. Chodziło o przebywanie na świeżym powietrzu i ruszanie się. Gdy odmówił, spytała, czy w niedzielę będzie biegał po lesie. Jeżeli tak, to na urodziny kupi mu markowe buty i dres. Także odmówił. Powiedział, że sobota i niedziela jest po to, żeby odpoczywać w domu.

– Czy Alan kłócił się z ojcem?

– Tak.

– O co?

– O wszystko. Teść uważał, że Alan nie zajmuje się tym, czym powinien się zajmować.

– Czyli?

– Biznesem.

– Groził ojcu?

– Mówił, że ma dość ojca.

– W jaki sposób groził?

– Uznałabym to za żart.

– Żart?

– Powtarzał: „Jeżeli ktoś zabije starego, to ja nim będę". Mój mąż miał swoje zdanie, teść swoje.

Słusznie, pomyślała nadkomisarz. Jako młoda mężatka też nie zawsze zgadzałam się z matką. Co innego z ojcem. Matka uważała, że kobieta powinna robić to, czego oczekuje od niej mężczyzna. I dlatego była na każde skinienie ojca. Nawet wyprzedzała jego myśli.

– W piątek Alan posprzeczał się z ojcem.

– Proszę? – zapytała wyrwana z zamyślenia policjantka.

– Chce pani wiedzieć, o co się posprzeczał – domyśliła się Poślednia. – Pytałam, ale nie przyznał się. To musiało być coś poważniejszego, bo całą sobotę nie odzywał się do mnie. W niedzielę z samego rana zapakował sprzęt do nurkowania do mitsubishi i bez słowa wyjechał z domu. Pewnie do Jodłowa. Tam mamy domek letniskowy. W czerwcu Alan zdobył uprawnienia do nurkowania na dużych głębokościach. Od tego czasu każdą wolną chwilę spędza nad jeziorem.

– Mąż ma komórkę? Co się pytam? Teraz każdy ma – odpowiedziała policjantka sobie sama.

– W niedzielę wieczorem dzwoniłam. Wczoraj znowu. Dziś kilka razy. Automatyczna sekretarka powtarza po polsku i angielsku, że połączenie nie może być zrealizowane z przyczyn niezależnych od operatora. Ale w Jodłowie są problemy z zasięgiem.

Drezno, Burgstrasse,
wtorek, przed wieczorem

W bocznej sali Tegernseer Tónnchen robiło się coraz tłoczniej, a on nie chciał, żeby do stolika, przy którym drobnymi łykami pił nektar porzeczkowy, ktoś się dosiadł. Musiałby się odezwać, przynajmniej odpowiedzieć, że miejsce jest wolne, co może zdradziłoby jego akcent. Mimo że przykleił sobie wąsy á la Freddie Mercury, założył okulary na nos, żeby wyglądać jak uniwersytecki intelektualista, i dżinsową katanę zamienił na marynarkę w pepitkę. Nie pierwszy raz przebrał się w taki kostium, a zawsze robił to dlatego, żeby nie rzucać się w oczy. Czasomierz w komórce ustawiony na wibrację dał mu znak, że pora się zbierać, wetknął więc dziesięć euro pod flakonik z przewiędniętymi floksami i wyszedł z restauracji na deptak. Lekko przygarbiony, z palcami splecionymi na plecach, jakby zamyślony, niespiesznie skręcił w boczną uliczkę, gdzie przyziemie dopiero co wyremontowanej kamieniczki zajmował salon antyków z galerią sztuki dawnej Stenzel & Co. Minutę przed zamknięciem sklepu wszedł do środka i rozglądając się, powoli zmierzał ku kontuarowi, za którym stał dużo starszy od niego antykwariusz z jeszcze bujną czupryną i w wąskich okularach zsuniętych niemal aż na czubek nosa.

– Niestety, jeszcze nie dotarły do mnie oczekiwane materiały – powiedział Stenzel, nieznacznie unosząc obie dłonie, jakby prosił o wyrozumiałość. – Proszę przekazać swemu mocodawcy, że nasza

fundacja zrobi wszystko, co w jej mocy, aby z pomocą boską doprowadzić do szczęśliwego finału to nieoczekiwanie trudne zadanie.

– Doktorze, miało być dziś – przypomniał mężczyzna w marynarce w pepitkę. Jego akcent zdradzał, że nie jest Niemcem z urodzenia. – Mój mocodawca nie ma zwyczaju czekać. Płaci terminowo i wymaga terminowo.

– Jak najbardziej. Proszę jednak zrozumieć, że...

– Kiedy?

– Czy dotąd nasza fundacja kiedykolwiek nie sprostała podjętemu zadaniu?

– Doktorze, kiedy? – naciskał mężczyzna, nie odpowiadając Stenzlowi.

W jego głosie antykwariusz wyczuł poważny ton. Wiedział, co to znaczy.

– Niestety, na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć tak, jak szanowny pan tego oczekuje. Dostawca nie odezwał się ani w sobotę, ani wczoraj, co mnie niepokoi, bo to wyjątkowo solidna osoba. Wręcz pedantyczna. Tak było dotąd. Nigdy nie zawiódł ani mnie, ani naszej fundacji.

– Kiedy? – po raz trzeci powtórzył mężczyzna w marynarce w pepitkę.

– Z mniej zaufanego źródła wiem – Stenzel ściszył głos – że mogło stać się coś, o czym wolałbym nie wiedzieć.

– Co mam przekazać mojemu mocodawcy?

Antykwariusz rozcapierzył palce obu dłoni i stał tak

chwilę, jakby się zastanawiał, co odpowiedzieć, żeby nie stracić takiego klienta. Nie może się wycofać, zwłaszcza że wziął zadatek i jego częścią podzielił się z dostawcą, który od udziału w zysku uzależnił wykonanie zamówienia. O solidnego pośrednika jest coraz trudniej, a drugiego takiego jak ten, z którym Stenzel dawno się związał, ze świecą nie znajdzie.

– O ile wiem, pan Grempler...

– Po pierwsze, umawialiśmy się, że w naszych kontaktach nigdy nie padnie żadne nazwisko – przypomniał ostrym tonem mężczyzna w marynarce. – Po drugie, umawialiśmy się również, że do pierwszego września pan potwierdzi autentyczność nowych rarytasów. Mojego mocodawcę interesują wyłącznie, powtarzam, interesują wyłącznie oryginalne przedmioty. Nie chińskie podróbki i nie falsyfikaty, choćby lepiej się prezentowały niż oryginały. Jeśli będą autentyczne, to ich stan i wygląd nie grają żadnej roli.

– Jak najbardziej.

– Ma pan czas do jutra. O tej samej porze, doktorze.

– Gdyby jednak... Obawiam się, dlatego... – zaczął antykwariusz, ale mężczyzna odwrócił się do niego plecami i bez pożegnania ruszył w stronę drzwi.

Doktor Stenzel nie przyznał się, że w niedzielę wieczorem odebrał osiem przedmiotów od pośrednika. Wszystkie w niezłym stanie. Podczas oglądania głębokiego talerza przez szkło powiększające na jego brzegu dostrzegł niewielką bruzdę. Biegł przez nią złoty szlaczek, mogła więc powstać jeszcze w manufakturze porcelany, ale nikt wcześniej nie zwrócił na nią uwagi. Przypomniał sobie, że pod skrzydłami łabędzia na bulionówce jego palce wyczuły wgłębienie. Ceramik z Miśni, który obejrzał ten strup, stwierdził, że nie jest to uszkodzenie powstałe niedawno, lecz ukryta wada fabryczna. Dotąd pośrednik nigdy nie zawiódł antykwariusza, a wiele razy przemycał arcydzieła dawnej sztuki warte miliony euro. Nie znał się na antykach, za to wyróżniała go intuicja, jakiej Stenzel mu zazdrościł, mimo że jako doktor histori 'sztuki od wielu lat był na saskiej liście biegłych sądowych. Oprócz wyczucia pośrednikowi nie brakowało odwagi, chociaż oficjalnie, od kiedy Polska należy do Uni Europejskiej, nikt nie sprawdza, co ludzie przewożą przez granicę. Z jednej strony taka sytuacja odpowiada bogatym kolekcjonerom dawnej sztuki, z drugiej trzeba bardzo uważać, żeby nie zapłacić za falsyfikaty jak za oryginały. Czy przedmioty, które Stenzel odebrał od pośrednika na pewno nie są podróbkami? To miał sprawdzić

współpracujący z antykwariuszem ceramik z Miśni, ale tak się rozchorował, że leży w szpitalu. Może zapakować naczynia do torby i do niego pojechać? A jeżeli coś wydarzy się na drodze i policja będzie nie tylko zatrzymywała samochody, ale i zaglądała do bagażników? Lepiej nie ryzykować? Dzień, dwa poczekam, zdecydował Stenzel. Zresztą nie mam powodu sądzić, że to, co trzymam w sejfie, powstało niedawno w pracowni wybitnie uzdolnionego rzemieślnika. Jednak z podjęciem decyzji poczekam, aż ceramik z Miśni wyzdrowieje i wypowie swoje zdanie, co pewnie nie potrwa długo. A jeżeli on jest poważnie chory? Przecież do kliniki gastroenterologi nie trafiają pacjenci udający cierpiących.

Brody, nad Jeziorem Parkowym, środa, z rana

Coś, jakby komórka albo radio, znowu się odezwało. Identyczną melodię Marian Matwiejczuk słyszał mniej więcej w tym samym miejscu w niedzielę przed wieczorem, kiedy wracał z dwoma karasiami wyciągniętymi wędką z jeziora. Nawet mu się spodobała. Pomyślał, że ktoś zostawił telefon w samochodzie, a sam poszedł na spacer alejką wokół jeziora. Jeszcze któryś gołowąs na nią się połakomi, a to pewnie droga komórka, bo i samochód wygląda na bardzo drogi. Ten ktoś, Matwiejczuk dałby rękę sobie uciąć, że nietutejszy, postanowił uciec od pracy, sąsiadów, może od żony i dzieci. Ma dość ciągłego podglądania, podsłuchiwania, śledzenia, poniżania, odpowiadania na niepotrzebne pytania, stawania na baczność i tłumaczenia dlaczego zrobił tak, a nie inaczej. Dawniej tego nie było, ale i nie było tylu bogaczy. Wtedy świadectwem dostatku (i zazdrości) było auto. Brodzki proboszcz jeździł wartburgiem, ale gdyby nie to, że bratanek Matwiejczuka reperował traktory w pegeerze, ksiądz nie wyjechałby za bramę plebani. Ogrodnik ładował warzywa na przyczepkę i polonez ciągnął ją na targowisko w Żarach. Kto jeszcze? Kierownik kółka rolniczego kupil

sobie moskwicza, który częściej stał w warsztacie niż telepał się po brodzkich drogach.

W powszednie dni prawie wcale, za to w niedzielę można spotkać kilka osób nad Jeziorem Parkowym. Przyjeżdżają z daleka, nawet z Zielonejgóry, co Matwiejczuk rozpoznaje po znakach na tabliczkach rejestracyjnych samochodów zaparkowanych przed pałacem. Jedni z rękoma założonymi do tyłu zadzierają głowy i gapią się na korony gigantycznych lip, posadzonych jeszcze w czasach, kiedy właścicielem Brodów był saski minister Brtihl. Drudzy przygarbieni szwendają się po parku między zarośniętymi alejkami, jakby wierzyli, że będą mieli szczęście i wrócą do swoich domów choćby z okruchami porcelanowych naczyń, które według najstarszych brodzian gdzieś powinny być ukryte. Dorośli, a wierzą jak dzieci w świętego Mikołaja. Wszystko, co miało wartość i co dało się spieniężyć, szabrownicy dawno wywieźli do Wrocławia, Poznania, Żar i najwięcej za granicę. Za co kupili te wartburgi, polonezy, moskwicze?

Marian Matwiejczuk był za mały, żeby pałętać się po miasteczku. Zresztą z domu, który w 1945 roku jego dziadek ze strony matki dostał za chatę i ziemię pozostawioną na Wołyniu, ze dwadzieścia minut szło się do pałacu. Mimo przestróg dziadka i ojca, że tyle lat po wojnie przy drogach leżą niewybuchy i jeszcze bardziej niebezpieczne świństwa, jego najstarszy brat włóczył się ze swoimi rówieśnikami po okolicy. Prawda, Zbinkowi udało się ożenić, spłodzić trzech synów i dwie córki, dochować się jedenaściorga wnuków i przeżyć jeszcze pół setki lat, ale Wicio od Topolów nie miał tyle szczęścia. Zwalił mu się na głowę sufit grobowca akurat wtedy, gdy rozbił trumnę i krzyknął, że znalazł w niej coś, co wyglądało jak zęby ze złota. Od tamtego dnia nikt nie okradał grobowców, jakby wszyscy uwierzyli, że śmierć Wicia była karą za naruszenie spokoju zmarłych. Z wypraw w okolice pałacu brat Mariana przyniósł dzbanek bez pokrywki i miskę z wyszczerbionym brzegiem. Matka wyszorowała dzbanek wodą z octem i postawiła

na kredensie w kuchni. Wkładała do niego kwity za prąd, od kominiarza, od sołtysa za podatek i inne ważne papiery, żeby w razie czego nie musiała ich szukać po całym domu. Nie sam dzbanek, lecz dwa łabędzie namalowane na nim przyciągały spojrzenie każdego, kto przychodził do Matwiejczuków. Marian był przekonany, że uszko na pokrywce, której Zbinek nie przyniósł do domu, wyglądało jak para łabędzi złączonych dziobami. Coś takiego widział na plebani, gdy czasem przed mszą proboszcz posyłał go po przegotowaną wodę, żeby było czym rozcieńczyć wino.

Każdego dnia miał przed oczami wyszczerbioną miskę przy kurniku, z której kogut i kury wydziobywały kartofle z otrębami. Nie pamięta, kiedy miskę zastąpił przepalony garnek. Dzbanek też znikł z kredensu. Matka przyznała się, że pan pod krawatem i z teczką, którego Topolicha nazywała Powsinogą, zapłacił tyle pieniędzy, że starczyło na pięć nowych talerzy w chabrowe kwiatki i tyle samo kubków. Często chodził on od domu do domu i pytał o naczynia porcelanowe, ale tylko z namalowanymi ptakami. Dopytywał też, czy słyszała, kto jeszcze ma poniemieckie talerze, filiżanki, kubeczki, świeczniki. Za sprawdzoną wiadomość również chciał płacić.

Wiele lat później Matwiejczuk przeczytał w „Gazecie Zielonogórskiej", że w osiemnastym wieku, kiedy ci sami królowie z dynasti Wettynów rządzili Saksonią i Rzeczpospolitą Obojga Narodów, na zamówienie właściciela brodzkiego pałacu, pierwszego ministra Heinricha von Brühla, w saskiej Miśni, gdzie była słynna na cały świat manufaktura porcelany, przez pięć lat powstawał serwis. Na każdym z dwóch tysięcy dwustu talerzy płytkich, głębokich, talerzyków deserowych, podstawków, półmisek i misek, filiżanek do kawy i filiżanek do herbaty, cukiernic, dzbanków i innych naczyń, których nazwy Matwiejczuk pierwszy raz zobaczył w gazecie, artyści namalowali po dwa łabędzie. Dlaczego akurat łabędzie, a nie częściej spotykane i weselsze ptaki, na przykład bociany czy domowe kaczki albo gęsi? Nie wiadomo. Są łabędzie.

Od nich serwis wziął swoją nazwę. Gdy zimą 1945 roku front zbliżał się do Pförten, jak wtedy nazywały się Brody, prawnuk ministra Brühla nakazał służbie pałacowej część naczyń włożyć do skrzyń, obić je blachą nierdzewną i wrzucić do jeziora. Resztę kazał znieść do tej części głębokiej piwnicy, gdzie stały beczki z najstarszym winem, i zamurować wejście, a sam wsiadł do mercedesa-benza z przekonaniem, że niedługo wróci na rodową ojcowiznę. Niestety, już nigdy jego noga nie stanęła na pałacowych schodach. Ci Niemcy, którzy zostali w Pförten po to, żeby ukryć naczynia, nie zdążyli wszystkiego znieść do piwnicy. Część zostawili w kredensach i magazynku przy jadalni, a sami uciekli za Nysę.

Którego dnia czerwonoarmiści zniszczyli pałac, tego Matwiejczuk nie dowiedział się z gazety. Według autora artykułu mogło to stać się zaraz po tym, jak w połowie lutego 1945 roku przypadkowy pocisk trafił w dach. Historycy uważają, że jeszcze na początku marca budowla stała nienaruszona. Kiedy i dlaczego żołnierze go podpalili, tego nie da się wyjaśnić. Pierwsi brodzianie, którzy przyjechali do miasteczka w połowie kwietnia, domyślali się, że czerwonoarmiści zrobili to po tym, jak wyżłopali wino z beczek przechowywanych w pałacowych piwnicach.

Matwiejczuk już nie wie od kogo, ale na pewno słyszał, że służba pałacowa nie zatopiła wszystkich skrzyń z naczyniami w jeziorze. Kilka wywiozła do lasu i zakopała przy drodze na Suchodół. Bliżej Brodów czy bliżej Suchodołu? Pewnie bliżej Brodów. Wśród pierwszych brodzian byli tacy, którzy chodzili ze szpikulcami wzdłuż drogi i je wbijali w ziemię, ale na nic nie natrafili. A może, żeby daleko nie dźwigać, te skrzynie Niemcy zakopali między lipami w parku za pałacem? Teraz rosną na nich dzikie bzy, pokrzywy, trawa, mlecze i inne chwasty. Matwiejczuk chciałby natrafić na to miejsce. Nikomu, nawet synowi by się nie przyznał. Wymyte, każde naczynie opatulone sianem i owinięte gazetą, zawiózłby do Zielonejgóry na Moniuszki, gdzie z okna autobusu widział sklep ze starociami. Na pewno wezmą je z pocałowaniem ręki, dobrze

zapłacą i Matwiejczuk do końca życia nie będzie musiał dorabiać jako stróż w tartaku. Syn, gdy odsłonił przed nim swoje marzenia, powiedział, że wszystko, co znajduje się w ziemi, należy do państwa. A kto się dowie? Przecież nikt nie jest taki głupi, żeby się przyznać.

Po skończeniu gimnazjum najmłodszy syn Mariana Matwiejczuka nie wiedział, co ze sobą zrobić. Chciał być kierowcą w pekaesie albo w jeszcze ważniejszej firmie transportowej jak dwaj szwagrowie. Starszy brat namawiał go, żeby złożył papiery do technikum samochodowego, ale miał trójkowe świadectwo. Akurat w żarskim liceum powstała klasa mundurowa, do której było dużo więcej chętnych dziewczyn niż chłopaków. Która dziewczyna zdała egzamin sprawnościowy i pochodziła z miasta, została przyjęta. Chłopcy niczego nie musieli robić. Po maturze młody Matwiejczuk dostał się do szkoły policyjnej w Pile. Potem przez dwa łata był wzorowym dzielnicowym w Żarach, więc w nagrodę został skierowany do centrum szkolenia policji w Legionowie. Stamtąd przyjechał w mundurze starszego sierżanta prosto do wojewódzkiej drogówki. Dlatego Matwiejczuk zamiast iść na ryby, zaraz wróci do domu, zadzwoni do syna i powie, że od niedzieli przy Jeziorze Parkowym stoi białe mitsubishi. Jakby prosto z fabryki. Tylko patrzeć, a któryś z miejscowych łobuzów dostanie się do niego. Bo to sztuka otworzyć zamek w samochodzie? Ile razy łobuziaki włamywali się do samochodów pod Déja vu. I jeszcze powie, że od czasu do czasu słychać identyczną melodię jak ta, kiedy odzywa się komórka starszego wnuka, gdy przyjeżdża do dziadka.

Zielonagóra, os. Leśne, środa, z rana

Drzwi otworzyła krótko obcięta blondynka. Sierżant Woźniak-Araszkiewicz pomyślała, że w takiej fryzurze i jej byłoby do twarzy. Przez pół roku nie będzie obcinała ani farbowała włosów, a potem każe fryzjerce obciąć je na pazia. Policjantka przedstawiła się,

pokazała legitymację i nie pytając na zaproszenie, weszła do mieszkania.

– Dlaczego pani się truje? – spytała z przyganą w głosie, pociągając nosem. – W dzisiejszych czasach palenie staje się niemodne.

Natasza nie przyznała się, że w przedostatniej klasie pół paczki tatr było jej za mało na dzień. W klasie maturalnej miała skończone osiemnaście lat, paliła więc bez zahamowań na każdej przerwie. Gdy podczas pierwszych zajęć z medycyny sądowej w szkole policyjnej dowiedziała się, jak będzie wyglądała jej twarz za dwadzieścia lat, i usłyszała, że za te pieniądze, które palaczka wydaje co tydzień na papierosy, może mieć pudełeczko markowego kremu, natychmiast przestała palić. Jak poprzednio lubiła woń dymu tytoniowego, tak od dnia, kiedy nie kupuje papierosów, w obecności palacza zbiera jej się na wymioty. Ku radości Nataszy moda na niepalenie rozszerza się wśród policjantów. Żeby jeszcze Tadeusz rzadziej sięgał po papierosy. A najlepiej wcale. Była pewna, że za dziesięć miesięcy, kiedy mąż wróci ze szkoły, tak mu zawróci w głowie, że z własnej woli oduczy się palenia, tak jak przestał podglądać ją w łazience.

Na szafce w przedpokoju stał koślawy, ulepiony z szarej gliny pucharek, wypchany petami ze złotym ustnikiem. Przy nim leżała napoczęta paczka clubów i zapalniczka marki Dupont. Policjantka dałaby głowę sobie uciąć, że pucharek jest cenny. Każdy kolekcjoner chciałby go mieć.

– W sumie w zasadzie nie palę, tak. Czasem. – Marta zaczęła i urwała, uciekając wzrokiem do kuchni.

Jednak mężczyzna, pomyślała Natasza i przez moment przypatrywała się ustnikom niedopałków wystających z pucharku. Nie dostrzegła na nich śladów szminki, a Marta miała usta przesadnie wiśniowe. I aż za bardzo pulchne. Pewnie podrobione kwasem hialuronowym. Jest więc ktoś, na kim jej bardzo zależy. Akurat w tej sprawie Nogal się pomylił.

– Pani Poślednia, zgadza się?

– Pośledni – Marta poprawiła policjantkę. – Czy mam pokazać dowód osobisty?

Natasza pokręciła głową.

– Pani mieszka sama?

– W sumie sama – odpowiedziała nie od razu. – A bo co?

Policjantka jeszcze nie miała zamiaru dowodzić, że

Marta nie mówi prawdy. Zrobi to za kilka minut, kiedy uzbiera się więcej kłamstw. To będzie atak nie do obrony.

– Jest pani panną, osobą rozwiedzioną?

– Aktualnie stanu wolnego.

– To znaczy?

– Jestem stanu wolnego. Niezamężna. Tyle powinno pani wystarczyć – odparła prawie bezgłośnie i opuściła głowę jakby się wstydziła.

Czyli rozwiedziona, pomyślała Natasza. Nie pierwszy raz doszła do wniosku, że kobiety bronią się przed nazywaniem ich rozwódkami, jakby było to obraźliwe.

– Z czego pani się utrzymuje?

– Jakie to ma znaczenie?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Dotąd ojciec mnie wspierał – wyjaśniła zimno.

– Nie rozumiem.

– Dwa lata temu zaczęłam prowadzić aptekę. W zeszłym roku poszerzyłam zasięg handlu o drogerię z kosmetykami znanych w świecie firm francuskich. W dokumentach jako właściciel apteki i drogeri występuje mój ojciec. Ostatnio coraz słabiej idzie. Od otwarcia Focusa ubywa klientów. W sumie ojciec namawiał mnie, żebym zlikwidowała aptekę i na jej miejscu uruchomiła salon kosmetyczny. Pewnie będę musiała, ale jeszcze nie podjęłam decyzji.

– Dlatego ojciec pani pomagał – stwierdziła Natasza, jakby rozumiała sytuację. Podobną opinię na temat handlu w śródmieściu usłyszała wczoraj od Ilony Mrozińskiej, gdy nadkomisarz wróciła do komendy z salonu z luksusową odzieżą przy Kupieckiej. Stojąc na

wprost Marty, zastanawiała się, skąd profesor Pośledni, rektor niewielkiej uczelni kształcącej archeologów, miał pieniądze na sklepy dla córki i syna w centrum miasta, gdzie pewnie czynsz nie jest symboliczny, dom jak dworek szlachecki na osiedlu Kwiatowym, samochody z wyższej półki, opłacenie sprzątaczki i ogrodnika, ale na razie nie miała zamiaru o to pytać. Później, zdecydowała. – Jak pani spędziła ostatnią sobotę? Chodzi mi o miejsca, godziny, osoby, w których towarzystwie pani przebywała, z którymi pani kontaktowała się osobiście łub przez telefon i które to potwierdzą. – Policjantka wyjęła notes z torebki, żeby zapisać nazwiska, adresy, numery telefonów. Później będzie musiała to sprawdzić.

Marta milczała, jakby się zastanawiała od czego zacząć.

– Co pani robiła z rana?

– Od dziesiątej do czternastej oczywiście byłam w firmie. To znaczy w aptece. Tak jest każdej soboty – wyrzuciła z siebie, jakby nie rozumiała pytania.

– Po czternastej?

Marta znowu milczała. A jednak jest coś, o czym nie chce powiedzieć, doszła do wniosku policjantka.

– Spytałam, co pani robiła po zakończeniu pracy w aptece.

– W sumie wróciłam do mojego apartamentu. To znaczy tu.

– I? – Natasza dalej drążyła.

– Czy moje prywatne życie powinno interesować policję?

– Nie miałabym zamiaru wnikać w pani prywatne życie, gdyby nie to, co się stało na Kwiatowym.

– To jakim prawem pani mnie przesłuchuje? Jestem oskarżona czy o coś podejrzana? – Marta splotła ręce przed sobą i nastroszyła się niczym kocica gotowa do ataku, a te włosy na jej głowie obcięte na pazia zaczęły się podnosić.

– Na urzędowe przesłuchanie, pani Pośledni – policjantka wypowiedziała jej nazwisko z przesadnym naciskiem na końcówkę – wezwę panią do komendy. Na razie staram się ustalić, czy

wezwanie pani na Wąską będzie konieczne. To, co dziś robię, w policji nazywa się czynnościami wstępnymi.

– Po południu pojechałam do ojca na Kwiatowe.

– W jakim celu? – Natasza zadała pytanie, na które Marta nie od razu odpowiedziała, jakby chciała coś ukryć.

– Zadzwonił i prosił, żebym przyjechała.

Policjantka rejestrowała w myślach każdą jej reakcję.

Szukała rozbieżności między tym, czego wcześniej się dowiedziała, a tym, co teraz usłyszała.

– O czym rozmawialiście?

– E... – Martasię spłoniła, wyraźnie brakowało jej słów. Po chwili, uciekając spojrzeniem pod nogi, powiedziała: – O aptece. Ze coraz mniej klientów i tak w ogóle o życiu.

– Na Kwiatowym była pani sama czy z kimś?

– Oczywiście sama – odpowiedziała ciszej. – Dlaczego pani sądzi, że byłam z kimś?

– A ta osoba, która została w samochodzie, kim jest dla pani?

– Zapomniałam o niej, mocno przepraszam – Marta lekko uśmiechnęła się do policjantki, jakby ją prosiła o zachowanie w tajemnicy tego, do czego się przyzna. – To moja bliska. Powiedzmy, że przyjaciółka na gorsze dni.

– Która pozłacaną zapalniczką marki Dupont przypala cluby ze złotym ustnikiem i gasi je w czymś, za co każdy kolekcjoner zapłaciłby każdą kwotę bez targowania się. Ta pani bliska osoba nie szanuje zabytkowych przedmiotów – rzuciła policjantka kąśliwie, przechylając głowę w stronę szafki, na której stał szary pucharek pełen petów. – Jej nazwisko?

Marta znieruchomiała. Była zaskoczona. Zaraz się rozpłacze, pomyślała Natasza, i już niczego się nie dowiem. Wrażliwa. Z taką nie można na strach. Z nią trzeba troszkę delikatniej rozmawiać.

– Jak się nazywa pani przyjaciółka? – spytała i dodała wyjaśniająco: – Jeżeli wezwę panią do komendy na przesłuchanie, tam każde zachowanie zostanie odpowiednio zinterpretowane.

– W sumie Karin Stenzel.

– Imię i nazwisko wskazuje, że to Niemka. Mylę się?

– Nie.

– Gdzie mieszka?

– Na stałe w Dreźnie. Ostatnio więcej u mnie.

– I pewnie nie jest zameldowana – powiedziała machinalnie policjantka. – Niech się pani nie obawia, nikomu nie doniosę. A czym przyjaciółka się zajmuje?

– Pomaga swemu ojcu w prowadzeniu galeri antyków. Stenzel & Co, Dresden, Burgstrasse.

– A co robi u pani?

Marta uciekła wzrokiem na podłogę. Po chwili ledwie słyszalnie odpowiedziała:

– Już mówiłam, że Karin jest moją przyjaciółką na gorsze dni.

Nataszy nie podobało się określenie, jakiego Nogal użył wobec Marty. Penisonieprzystępna. Czyli lesbijka. Natasza nie tyle wiedziała, co słyszała, że wśród kobiet ujawnia się coraz więcej lesbijek. Szczególnie wśród młodych i wykształconych. W jej najbliższym otoczeniu takich dotąd nie było, dlatego nie miała kogo spytać, co kobiety widzą w kobietach. Jednak coś wyjątkowego musi je przyciągać. Była pewna, że każda kobieta może zawrócić w głowie takiemu mężczyźnie, z jakim chce być. Przecież tylu młodych, samotnych, przystojnych, akuratnych, niegłupich, potulnych, nieśmiałych facetów czeka na choćby skinienie palcem. Jedni z wielkim sercem, życzliwi, drudzy zuchwali, zarozumiali, pewni siebie. Nie podoba się wysoki, może zarzucić sieć na niższego. Każda może przebierać wśród blondynów, szatynów, śniadych, rudych, piegowatych o twarzach kwadratowych, pociągłych, trójkątnych, owalnych. Z wąsami. Z brodami. Łysych. Smukłych. Grubych. Kulawych. Wysportowanych. Jeden ma nos zadarty ku górze, drugi zakrzywiony, trzeci szeroki, czwarty mały, piąty orli. Wygląd mężczyzny jest ważny, ale nie rozstrzygający. Jest jeszcze coś, czego nie można określić słowami. To coś wyróżnia Tadeusza, jej męża.

Natasza nigdy nie poszłaby do łóżka z kobietą. Jaka to przyjemność?

– Pani nie powiedziała całej prawdy. Proszę oczekiwać na wezwanie do komendy. Którego dnia? Jeszcze nie wiem. Gdyby Karin Stenzel miała ochotę coś dodać, niech się ze mną skontaktuje – rzuciła policjantka, kładąc swoją wizytówkę na stoliku obok pucharka pełnego petów. – Jeszcze jedno – przypomniała sobie to, o co kazała spytać Ilona Mrozińska. – Jak Alan żył z ojcem?

– Nie rozumiem.

– Czy słyszała pani, żeby źle mówił o ojcu?

– A o to pani chodzi. Żył z ojcem jak pies z kotem. Często się kłócił.

– Dlaczego?

– Ojciec uważał, że Alan nie dba o salon. Sklep w centrum miasta powinien przynosić większe dochody. Tak twierdził ojciec. Kiedyś Alan powiedział w złości, że jeżeli ktoś zabije ojca, to on.

Zielonagóra, ul. Wąska,
środa, w południe

Nadkomisarz Mrozińska nigdy nie spotkała się z naczelniczką wydziału kryminalnego w żarskiej komendzie policji, mimo to przez telefon potraktowała ją jak dobrą znajomą. Rozmowę zaczęła od podziękowania za informację i że od tej chwili ma prawo do rewanżu. Później, nie pozwalając jej na wtrącenie nawet pół zdania, powiedziała, że skoro na tablicy rejestracyjnej stojącego w brodzkim parku białego mitsubishi jest oznaczenie FZ ALAN 1, to bez wątpienia wie, do kogo należy samochód. Wprawdzie oficjalnie nikt nie zgłosił zaginięcia Alana Pośledniego i jego auta, ale teraz to nie ma znaczenia. Od niedzieli Alina Pośledna po kilka razy dziennie wybiera numer komórki męża i nie może nawiązać z nim kontaktu. W niedzielę rano Alan zapakował sprzęt do nurkowania, usiadł za kierownicą mitsubishi i bez słowa ruszył sprzed domu na

zielonogórskim osiedlu Kamieni Szlachetnych. Zona uważa, że pojechał do Jodłowa, gdzie ma domek letniskowy. W niedzielę po południu i wieczorem mógł milczeć. W poniedziałek także. Nawet jeszcze i we wtorek. Ilona też czasem przytyka się z mężem, nie otwiera ust przez godzinę, dwie, bywa, że i nie ugotuje obiadu, ale potem złość sama przechodzi. Takie sytuacje zdarzają się w każdym związku, a tym bardziej w małżeństwie z dłuższą historią. Alan nie odzywa się od czterech dni. To może być coś poważniejszego.

– Pragnęłabym, żeby pani nadkomisarz pomyliła się w ocenie sytuacji.

Naczelniczka chciała jeszcze coś dodać, lecz Ilona Mrozińska była szybsza. Powiedziała, że podeszła do mapy województwa zawieszonej na ścianie za biurkiem. Z Zielonejgóry do Brodów jest mniej więcej sześćdziesiąt kilometrów, najpóźniej więc za godzinę będzie nad Jeziorem Parkowym. Do tego czasu niech miejscowi policjanci zabezpieczą miejsce zgodnie z procedurami obowiązującymi w takiej sytuacji, a nurkowie przygotują sprzęt. I czekają.

– Przepraszam. Zapędziłam się. Aha, niech nikt nie rozmawia z żadnym dziennikarzem – ostrzegła. Nie powiedziała, że Daniel Jung, a jeżeli nie on, to stażysta podsłuchuje rozmowy prowadzone przez policjantów za pośrednictwem radiolini. To wyjaśnia, dlaczego dziennikarze są szybciej na miejscu wypadku niż policjanci, ratownicy i strażacy lub w tej samej chwili co oni.

Zaraz, zaraz, a może pozostawione w brodzkim parku mitsubishi nie ma żadnego związku z Alanem Poślednim? Jego żona przecież wyraźnie powiedziała, że domek letniskowy stoi nad jeziorem w Jodłowie koło Sławy, czyli pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Zielonejgóry. Dlaczego Alan miałby jechać w przeciwnym kierunku? Do kochanki? Alina wyraźnie powiedziała, że cały sprzęt do nurkowania mąż zapakował do mitsubishi i ruszył w stronę Jodłowa. Jodłowa, a nie Brodów. Może zmienił zdanie i jednak pojechał do kochanki? Tylko czy jest na świecie chociaż jedna

żona, która nie wie, że oprócz niej mąż ma kochankę? O tym nie trzeba mówić. To się wyczuje w zachowaniu mężczyzny. A czy Alan Pośledni nie mógł się zatrzymać na parkingu przy którymś z tych wielkich sklepów przy wjeździe do Nowej Soli? Mógł. Doszedł do wniosku, że czegoś mu brakuje, dlatego zostawił tam auto i wszedł do sklepu po zakupy. Ale gdyby zginęło mitsubishi, to Alan jak każdy kierowca natychmiast zadzwoniłby na policję. A może chciało mu się sikać, skręcił więc na leśny parking i tam został zaatakowany przez rakieterów? Od kilku lat jest o nich ciszej, co nie znaczy, że wszyscy wrócili na drogę cnoty łub zajęli się czymś innym. Jest ciszej, bo policja nie radzi sobie z nimi i nie informuje prasy. Rakieterzy nadal napadają na właścicieli drogich samochodów, przebijają numery silników i wywożą je za wschodnią granicę. Ale przecież mitsubishi Alana Pośledniego znalazło się nie zaraz za Bugiem, a tuż nad Nysą, kwadrans jazdy autem do granicy z Niemcami.

– Zgodnie z obowiązującymi zasadami poszukiwania osoby zaginionej prowadzi ta jednostka policji, na której terenie jest zameldowany poszukiwany – przypomniała niepotrzebnie Ilona Mrozińska.

– Zatem za godzinę czekam na panią nadkomisarz nad jeziorem w Brodach – zabrzmiało to jak decyzja, od której nie ma odwołania. – Bez odbioru.

Drogi nr 27 i 289,
środa, bardzo wczesnym popołudniem

Ilona Mrozińska nigdy nie była w Brodach, prawdę mówiąc, to nawet nie wiedziała, którędy tam się jedzie, do c zego przyznała się Arturowi Bojce dopiero za Zielonągórą. Starszego aspiranta sztabowego, odpowiedzialnego w grupie technicznej za działanie przyrządów technicznych, na czas nieobecności naczelnika wydziału komendantka przeniosła do pionu kryminalnego. Tak również było

w zeszłym roku, kiedy komisarz Syski przez prawie cztery miesiące kurował się po tym, jak siedząc za kierownicą służbowej fabi, przyrżnął w drzewo, co nie powinno się zdarzyć. Docent Pastwa z uniwersyteckiego zakładu budowy i eksploatacji pojazdów orzekł, że komisarz jest niewinny, ponieważ hamulce nie zadziałały. Jedyną przyczyną wypadku mogło być to, że został przecięty przewód wyprowadzający płyn hamulcowy z pompy. Kto go przeciął, kiedy i dlaczego, nadkomisarz Mrozińska kazała wyjaśnić aspirantowi Araszkiewiczowi przy pomocy sierżanta Bojki. Wykurowany Syski wrócił do swego gabinetu, a oni jeszcze nie ustalili, komu podpadł naczelnik wydziału kryminalnego do tego stopnia, że chciał jego śmierci na prostej drodze.

– Jeszcze daleko? – spytała nadkomisarz, zezując na licznik. – Zapomniałam zatankować w Zielonejgórze, a zaraz za rogatkami miasta zaczęła migać czerwona dioda wskaźnika paliwa.

Bojko chciał powiedzieć, że nawet najważniejsza policjantka w pionie kryminalnym nie powinna siadać za kierownicą służbowego auta, zanim nie sprawdzi poziomu paliwa, ale Ilona go uprzedziła, pokazując głową na tablicę z informacją o ostatniej przed granicą stacji benzynowej.

– Miłosierny Pan Bóg czuwa nad tobą – westchnął teatralnie Bojko.

– Żebyś wiedział.

– Często tak ci się zdarza?

– Z pewnością rzadziej niż tobie, starszy aspirancie sztabowy.

Bojko udał, że nie usłyszał ironi w głosie policjantki. Nie bez powodu sekretarka Syskiego cię ignoruje, pomyślał.

Na stacji paliw Mrozińska spytała młodzieńca w firmowej zielonej koszuli o najkrótszą drogę do Brodów. Uśmiechnął się pod nosem i milcząco pokazał ręką na obwodnicę pobliskiego miasteczka, łukiem wkręcającą się w zaorane pola.

– Za miastem prosto do krzyżówki. Wtedy w prawo. Na następnym skrzyżowaniu znowu w prawo – dodał, jakby miał

wątpliwości, czy kobieta dobrze zrozumiała ruch jego ręki.

Piętnaście minut później policjantka zobaczyła bramę z dwoma lwami bez głów, za nią ogromny dziedziniec z wykoszonymi trawnikami i na końcu wielki budynek opleciony rusztowaniem.

– Wreszcie wzięli się za remont pałacu – powiedział Bojko z radością. – Taki zabytek, z taką historią i przez wszystkie powojenne lata nic tu się nie działo. Prawie nic.

Mrozińskiej zrobiło się głupio, bo o brodzkim pałacu Brühlów pierwszy raz usłyszała godzinę temu, kiedy zadzwoniła do niej naczelniczka wydziału kryminalnego w żarskiej prokuraturze. Wiedziała, że identycznie jak Dolny Śląsk i Pomorze Zachodnie cała Ziemia Lubuska jest usiana zamkami i zameczkami, pałacami i pałacykami oplecionymi kikutami dzikiego wina, historycznymi ratuszami, starymi kamienicami, rezydencjami błagającymi o odbudowę, bo do końca wieku nie doczekają. Jeszcze niedawno rządzący wmawiali mieszkańcom, że to znaki podstępnej obecności Niemców na prastarych ziemiach piastowskich, szkoda więc pieniędzy na konserwację tego, co nie jest polskie. Tam gdzie mimo braku zachęty władz jednak zabytki odbudowano albo ich nie zrównano z ziemią, podobało się Ilonie. Jedną noc spędziła w zamienionym na hotel zamku joannitów w Łagowie, w którym jej mąż zorganizował konferencję sędziów z Ziemi Lubuskiej i Brandenburgi. Dwa lata temu witała Nowy Rok na balu sylwestrowym w odbudowanym ze zniszczeń powojennych pałacu książęcym w Żaganiu. Raz udało się jej mężowi kupić dwa bilety na koncert w seminarium duchownym w Gościkowie-Paradyżu, które dba o odremontowany klasztor cystersów. Wszędzie była oczarowana tym, co zobaczyła. Zawsze gdy rano budziła się w szerokim łóżku obok męża, zastanawiała się, dlaczego ściany pokoi w zabytkowych budowlach są aż tak wysokie. Ile to metrów materiału potrzeba na firany i portiery, żeby zasłaniały okna od sufitu do podłogi. A czym ogrzać ogromny budynek?

– Będę musiała wybrać się na Zatonie. Podobno za rok tamtejszy

pałac będzie wyglądał jak nowy. Grempler wziął się za jego odbudowę.

– Ledwie zaczęli i już przerwali remont – stwierdził Bojko, pokazując chaszcze zasłaniające podesty, na których opierało się rusztowanie. – A przed chwiłą miałem nadzieję, że wreszcie tu się coś zmieni. Niestety. Było źle i jest jeszcze gorzej.

– Czyżbyś znał Brody? – weszła mu w słowo Ilona. Gdy kiwnął głową, spytała: – Dlaczego wcześniej nie przyznałeś się do tego?

– Mama wydała mnie na świat w Bieczu. To sąsiedni grajdołek. Ojciec zarządzał leśnictwem. Kiedy chodziłem do ogólniaka, to z chłopakami uciekaliśmy do Zasiek albo do Brodów. Częściej do Brodów, bo tu był najbliższy sklep z piwem czynny na okrągło. Chyba nawet w Boże Narodzenie. Kupowaliśmy po butelce moczu starego pawiana i...

– Czego?

– Tak nazywaliśmy to, co warzono w żarskim browarze. Inni mówili, że to siki świętej Weroniki.

– I piliście coś takiego?

– W tym parku gulgaliśmy piwsko i kopciliśmy sporty albo giewonty – pokazał na opasłe lipy dwoma rzędami maszerujące przez zdziczałe planty. – Tędy droga do jeziora. Niestety, teraz samochodem tam się nie dojedzie.

Nadkomisarz Mrozińska zostawiła leóna na parkowej alejce przed wbitymi w ziemię dwoma słupkami pomalowanymi w czerwono-białe pasy.

– Gdybym tego się spodziewał, wskazałbym ci inny dojazd nad jezioro. Od dawnej kuźni – tłumaczył przepraszająco Bojko. – Znam te drogi jak łysą szkapę.

– *Naszą szkapę* – poprawiła go. – Nowelka Mari Konopnickiej, kiedyś lektura szkolna.

– Czy wiesz, że w latach powojennych istniały brygady, które opróżniały pałace z zabytkowych mebli i wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość? Czego szabrownicy wcześniej nie ukradli, to

brygady wywiozły do magazynów w Zasiekach. Stamtąd mój ojciec jako leśniczy przywiózł krzesła, stoły, szafy, łóżka. Nikt nie spytał, po co łóżko w biurze leśniczego. Co się ojcu spodobało, to kazał załadować na wóz. Żeby tylko łóżka. W domu mieliśmy dwa komplety naczyń z porcelany.

– Co się z nimi stało?

– Kiedy się ohajtnąłem, w prezencie ślubnym od starych dostałem serwis na dwanaście osób. Zona wyjmuje go z kredensu tylko wtedy, kiedy mamy ważniejszych gości. Potem Andrzej żenił się i też dostał serwis. Na mniej osób, za to z większą liczbą rozmaitych naczyń. Brat rozszedł się z Jagodą, ale naczynia jej zostawił. Duży komplet porcelany mama zatrzymała w domu rodzinnym, bo dwa razy w roku, zawsze na Boże Narodzenie i Wielkanoc, brat ze swoją rodziną i ja ze swoją przyjeżdżaliśmy do Zatonia. Po śmierci mamy ojciec chyba nigdy nie wyciągnął ich z kredensu. Może nawet je sprzedał. Mówił, że za taki serwis mógłby kupić porządne auto.

Co się stało z meblami, dywanami, żyrandolami, obrazami, naczyniami, które pozostały w poniemieckich domach? Przecież nie wszystko Niemcy zabrali ze sobą. Jak i nie wszystko szabrownicy wywieźli do centralnej Polski, zastanawiała się Ilona. Gdyby o to spytała Daniela Junga, odpowiedziałby, że profesor Jaworowicz proponował mu napisanie rozprawy doktorskiej właśnie na ten temat. Nikt tak dobrze na tym się nie zna, jak policjant kryminalny zajmujący się odzyskiwaniem dzieł dawnej sztuki. Jung zabrał się do pracy z ochotą. Zaczął od zbierania materiałów faktograficznych, o które wcale nie było aż tak trudno. Kupował wódkę i szedł do emerytowanych milicjantów, a oni niczego nie ukrywali. Dowiedział się więcej niż się spodziewał. Tego, do czego dotarł, co obejrzał i co było wartościowe z punktu widzenia historyka sztuki, wystarczyłoby na wyposażenie kilkunastu muzeów. Po odejściu z komendy Jung uznał zajmowanie się tym problemem nie tyle za zbędne, co niebezpieczne. Musiałby dużo ujawnić. Nie chodziło mu

o takie kolekcje, jak największy w Polsce zbiór portretów trumiennych w muzeum w Międzyrzecu, od podstaw stworzony przez Alfa Kowalskiego tylko dlatego, że nikogo nie interesowały wymagające konserwacji malowidła na blasze. Chodziło mu o spadkobierców majątków zgromadzonych przez byłych prokuratorów, sędziów, milicjantów, donosicieli do bezpieki, nauczycieli, leśników, kierowników państwowych gospodarstw rolnych, urzędników gminnych i powiatowych.

Odezwała się komórka.

– Twoja czy moja? – spytała Ilona. Nie czekając na odpowiedź, wsunęła prawą rękę do torebki. – Moja. Będę musiała wrócić do fabrycznej melodyjki.

– Nie musisz. – Bojko wyjął swojego samsunga z kieszeni i bez słowa zaczął zmieniać stary dzwonek na epizod z *Far from love.* Nowa melodyjka przywołania mu się nie podobała, ale była charakterystyczna. Skasuje ją i przywróci poprzednią, kiedy wypoczęty komisarz Syski wróci z urlopu, a on znowu będzie potrzebny w sekcji technicznej. Jeszcze nikomu nie powiedział, że to powrót na kilka, najwyżej kilkanaście miesięcy, bo potem ma zamiar napisać raport o wcześniejszą emeryturę i zająć się czymś innym. Czym, o tym jeszcze nie napomknął nawet żonie.

Jest przekonany, że dopiero wtedy będzie zarabiał tyle, ile jego koledzy ze studiów.

– Najpóźniej za pięć minut będziemy przy was. Niech nurkowie zbierają się do wejścia do wody – rzuciła nadkomisarz Mrozińska tonem rozkazującym przez komórkę.

Gdy skończyła rozmowę i wsunęła telefon do torebki, Bojko spytał:

– Masz stuprocentową pewność, że chodzi o syna profesora Pośledniego?

– Należę do tej grupki detektywów w spódnicy, które jeśli nawet udowodnią komuś absolutną winę, to jednak nie dadzą sobie ręki uciąć, że na pewno tak było – odpowiedziała, po czym na chwilę

rozłożyła wymownie obie ręce. – Według Aliny Pośledniej jej mąż niedawno zdobył uprawnienia do nurkowania na dużych głębokościach. W niedzielę rano zapakował sprzęt do mitsubishi i bez słowa odjechał sprzed domu. Prawdopodobnie wybrał drogę nad jezioro w Jodłowie, gdzie ma domek letniskowy. Tylko, i to. jest pytanie za sto punktów, dlaczego białe mitsubishi z tablicą rejestracyjną FZ ALAN 1 znalazło się nad Jeziorem Brodzkim? Jest i drugie pytanie: dlaczego Alan Pośledni nie odbiera telefonu od żony?

– Skoro pokłócili się i...

– O tym Poślednia nie powiedziała wprost, pewnie jednak tak właśnie było. O co się pokłócili? – spytała Ilona i sama sobie odpowiedziała: – Na ogół tam, gdzie są dwie osoby, są również dwa zdania. Najczęściej odmienne. Przecież w każdym małżeństwie zdarzają się nieporozumienia. Czy zawsze i w każdej sprawie zgadzasz się ze swoją żoną?

– Gdy jako dziecko non stop handryczyłem się ze swoim bratem, mama mówiła: „Artur, jesteś starszy". I zaraz dodawała, jakby nie chciała mnie skrzywdzić: „mądrzejszy, ustąp mu". Od żony jestem starszy o całe pół roku, ale czy we wszystkim mądrzejszy, mam wątpliwości.

Ilona pomyślała, że gdyby miała postępować wedle zasady przypomnianej przez Artura, to w swoim domu nie miałaby nic do powiedzenia. Mąż jest młodszy od niej o dwa lata, do czego nikomu się nie przyznała. Dawniej obyczaj zalecał, żeby mąż był starszy od żony lub w tym samym wieku. Dziś młodzi na to nie zwracają uwagi. Co innego ich rodzice.

– To niemoralne.

– Co jest niemoralne, Arturze?

– To, że kryminalni mają robotę jedynie wtedy, kiedy ktoś się utopi, wyskoczy przez okno, wlezie pod samochód, podetnie sobie żyły, kogoś zaciukają. Gdyby nie to, wydział byłby zbyteczny.

Słuszna uwaga, stwierdziła w myślach Ilona, ale nie powiedziała

tego na głos. W lipcu przyszłego roku zacznie się jej dwudziesty rok pracy w pionie kryminalnym. Pierwszy raz usłyszała zdanie, z którym się zgadza.

– A w ogóle to nie zapominaj, że cię ostrzegałem.

– A przed czym mnie ostrzegałeś? – Ilona zrobiła pytającą minę. Niekiedy łapała się na tym, że coś, co było naprawdę ważne, puszczała mimo uszu i dopiero później usiłowała to odnaleźć w pamięci. Najczęściej się nie udawało.

– Nie powinienem brać udziału w tym śledztwie ze względów rodzinnych. Jedna z podejrzanych, Jagoda, nosi to samo nazwisko co ja i jest moją byłą szwagierką.

– Wczoraj miałam cię spytać, co was łączy, ale wyleciało mi to z pamięci. Natasza mówiła, że ty i Jagoda jesteście jakoś spokrewnieni. O co dokładnie chodzi?

– Nie jest winą Jagody, że mój młodszy brat okazał się... Jakby to nazwać? Zostawił ją i wyjechał z jakąś zdzirą. Nie pytaj dokąd. Tego nawet nasz ojciec nie wie. Andrzej nie odzywa się i już. – Artur nie owijał w bawełnę. – Dlatego uważam, że powinienem zostać wyłączony z tego śledztwa, tym bardziej że Jagoda jest wśród wąskiej grupy podejrzanych. Ilona, żeby potem komendantka nie stawiała cię na baczność.

– Dzielnicowy był w Jodłowie – powiedziała nadkomisarz Mrozińska, lekceważąc przestrogę Bojki. – Twierdzi, że Alan Pośledni nie pojawił się w swoim domku ani w niedzielę, ani następnego dnia. Ostatni raz widziano go w Jodłowie jakiś tydzień temu. Latem mieszka tam Bożena Pośledna, druga żona jego ojca. Według sąsiadów pomiędzy Alanem i Bożeną nie było tego, co się nazywa energią przyciągania. Sąsiedzi twierdzą, że ostatnio profesor zachowywał się wobec żony gorzej niż obcy. Nie umknęły ich uwadze odwiedziny mężczyzny w zielonym passacie. Nie zgadniesz, o kogo chodzi?

– O Neimanna.

– Skąd to wiesz? – zaskoczona odpowiedzią, zatrzymała się i

zrobiła pytające oczy.

– Od mojej byłej szwagierki. Jagoda dawno podejrzewała, że Neimann i żona Pośledniego mają się ku sobie. Ale jej mąż z tego powodu nie cierpi. Też ma kochankę.

– Identyczne mitsubishi jak to, którym jeździ Alan Pośledni, syna profesora z pierwszego małżeństwa, do którego zapakował sprzęt do nurkowania i w niedzielę rano wyjechał z osiedla Kamieni Szlachetnych, stoi nad Jeziorem Brodzkim.

Dopiero teraz Artur Bojko dowiedział się, po co przyjechali do Brodów, ale nie dał tego poznać po sobie. Jestem kiepskim detektywem, skarcił się w myślach.

– I dlatego tu jesteśmy?

– Za dużo zbieżności, żeby tego, co powiedział dzielnicowy co mi przekazała szefowa wydziału kryminalnego z Zar, nie brać pod uwagę.

– A nie wzięłaś pod uwagę, że ktoś ukradł mitsubishi młodego Pośledniego? Zamiast interesować się samochodem, trzeba szukać człowieka. Może ktoś wywiózł go do lasu, rozebrał do Adama i przywiązał do sosny przy mrowisku? Alan czeka na wybawcę. Zastanawiałaś się, czego Alan miałby szukać w Brodach?

– To niedługo powinno się wyjaśnić. I wtedy zacznie się kolejne śledztwo. Chyba że nurkowie wyciągną z wody kogoś innego. Wtedy sprawą zajmą się kryminalni z Żar.

– Jeśli wyciągną ciało Alana, to zaraz zaczną rodzić się następne pytania. – Bojko chciał dodać, że tak będzie do usranej śmierci, ale zdążył ugryźć się w język. Za dobrze nie znał nadkomisarz Mrozińskiej.

– Powstaną albo i nie. Najpierw trzeba będzie wyjaśnić, po co młody Pośledni przyjechał do Brodów i dlaczego wszedł do jeziora. W tej sprawie mam pewną hipotezę. Na razie zatrzymam ją dla siebie.

– Ja też mam – rzucił Artur, spodziewając się, że Ilona zaciekawi się, co mu przyszło na myśl. A ona tylko się uśmiechnęła.

Brody, nad Jeziorem Parkowym,
środa, wczesnym popołudniem

|rdnobelkowy policjant oparty o lipę przy ścieżce ćmił papierosa. Za nim żółta taśma wyznaczała granicę, której żaden miejscowy podglądacz nie miał prawa przekroczyć. Zresztą poza Matwiejczukiem nikt nie próbował dowiedzieć się, dlaczego dwaj strażacy, nurek i czterej cywile stoją nad brzegiem jeziora. Wśród nich rej wodziła biuściasta blondyna w lnianym garniturze i przyciemnionych okularach, ostrzyżona po męsku. Lewą ręką podtrzymywała pasek czarnej torby przewieszonej przez ramię, między dwoma palcami prawej dłoni trzymała papierosa. Ilona Mrozińska wcześniej jej nie spotkała, jednak policyjne doświadczenie podpowiadało, że to prokuratorka, która chce zwrócić na siebie uwagę mężczyzn. Zanim nadkomisarz do nich podeszła, zatrzymała się przy białym mitsubishi i przez chwilę przypatrywała się samochodowi jakby szukała znaków szczególnych. Poza czarnymi literami FZ ALAN 1 na tablicy rejestracyjnej auto niczym się nie wyróżniało. Starszy aspirant Bojko sfotografował tablicę z przodu i z tyłu, potem próbował zajrzeć do środka, ale ponieważ drzwi były zamknięte, pstryknął kilka zdjęć przez szybę.

– Wreszcie doczekaliśmy się państwa – rzucił mężczyzna w mundurze strażaka. Bardziej udawał niż był zniecierpliwiony.

Nadkomisarz Mrozińska bez słowa wyciągnęła do niego rękę. Z naszywki wyhaftowanej złotą nitką nad lewą kieszenią bluzy dowiedziała się, że to Cezary Robak. Nie wiedziała, jaki stopień w straży oznaczają złote krokiewki na pagonach nad naszywką. W policji byłby najwyżej starszym sierżantem.

– Chyba możemy zaczynać, co? – powiedział Robak, przenosząc wzrok z policjantki na blondynę w lnianym garniturze. – Najważniejsza osoba kazała na siebie czekać tylko pół godziny.

– W tym miejscu wody jest najwyżej pod kolana – roześmiał się

Artur, czym ściągnął na siebie ironiczne spojrzenie obu strażaków.

– Pozwoli pan. Jak nazwisko? – spytała ta w lnianym garniturze smutna jak bezrobotna przed bankomatem.

– Starszy aspirant sztabowy Bojko – odpowiedział Artur i wyprężył się, jakby miał przed sobą komendantkę.

– Pozwoli pan, starszy aspirancie sztabowy, że o tym, jakie czynności ma podjąć nurek na moim terenie, ja będę decydowała wspólnie z panem ogniomistrzem – pokazała na Robaka.

I tu prokuratorem rejonowym jest antypatyczna baba, stwierdził krytycznie Artur i wycelował obiektyw nikona w jej głowę.

– A to w jakim celu? Zabraniam, starszy aspirancie Bojko.

– Na pamiątkę – odparował Artur. – Gdyby kiedyś pani awansowała na prokuratorkę krajową, czego życzę, pochwalę się zdjęciem. – Chciał dodać: takie teraz czasy, że mężczyznami rządzą baby, ale wstrzymał się z wygłoszeniem tej opini. Jeszcze Ilona zrozumiałaby, że do niej także pije.

Nadkomisarz Mrozińska nie ceniła powiatowych dupków, jak nazywała prokuratorów, sędziów, adwokatów, radców prawnych, naczelników, proboszczów, kierowników urzędów pracy, inspektorów podatkowych, kontrolerów pocztowych, wójtów, burmistrzów, starostów i dziesiątki im podobnych urzędasów. Przez sześć lat po studiach pracowała w komendzie powiatowej. Wtedy przekonała się, że powiatowi kacykowie nie chodzą, lecz kroczą z głowami wciśniętymi w kołnierzyki niemodnych koszul i nasłuchują, co inni o nich mówią. Są podejrzliwi. Cyniczni. Zachłanni. Spoceni. Żądni pochwał i nagród. Z brzuchami wylewającymi się ze znoszonych spodni, w przyciasnych marynarkach, noszą poplamione krawaty. Uważają, że jeśli ochroniarze, kierowcy służbowych aut, kasjerki, kioskarki, kelnerzy, pielęgniarki, sprzątaczki, portierki pierwsi mówią „dzień dobry", to im się należy więcej i nikomu nie muszą się tłumaczyć. Ilona nie lubiła ich wyondulowanych żon, dlatego nigdy nie była na zabawie sylwestrowej w kasynie policyjnym ani na balu prawników, czego

nie rozumiał jej mąż. A jeszcze bardziej nie lubiła tych kobiet, które przede wszystkim dlatego zajmowały gabinety zwierzchników, że ktoś w kierownictwie parti rządzącej coś usłyszał na temat dyskryminacji pozytywnej i nakazał zmiany. Mimo to w centrali było po staremu, a w instytucjach wojewódzkich i powiatowych dominowały komendantki, naczelniczki, dyrektorki, inspektorki, kierowniczki, ordynatorki. One uważały, że skoro zostały wyniesione na stanowiska do niedawna uważane za męskie, to powinny zachowywać się jak mężczyźni. Ilony nie drażniło to, że paliły, popijały, klęły, chodziły w spodniach. Drażniło ją pogardzanie podwładnymi mężczyznami, a jeszcze bardziej kobietami starszymi i w ich wieku.

– Znam te okolice nie gorzej niż własne mieszkanie na trzecim piętrze – powtórzył Artur Bojko. – Mówiłem ci, że mama wydala mnie na świat w Bieczu. To sąsiedni grajdołek. Ojciec był tam leśniczym. Zanim zdałem na informatykę, jako chłopak zaglądałem z kolegami do parku. W okolicy nie było bezpieczniejszego miejsca, gdzie mogliśmy tankować piwo. Nawet po piątej puszce i w największy upal żaden z nas nie zamoczył nóg w jeziorze. Przy brzegu muł po kolana. A im dalej, tym gorzej.

Prokuratorka dała policjantowi do zrozumienia, że teraz nie interesują jej ani takie, ani inne wspomnienia. Mimo to gdy nurek zrobił kilka kroków w stronę jeziora, spytała ogniomistrza Robaka, jak głębokie jest Jezioro Parkowe.

– Sześć metrów od brzegu zaczyna się uskok – wyjaśnił strażak. – No, teraz może cztery, bo jezioro zarasta. Sześć metrów jest na starych niemieckich planach. Po wojnie nikt tego nie sprawdzał. Nie wycinał trzcin wokół brzegów, a gdy któreś drzewo ze starości się zwaliło, to tak długo leżało w wodzie, póki nie zgniło. Chyba że psuło szyki wędkarzom, to je usunęli. Podobno ktoś próbował hodować w nim karpie, ale nie poradził sobie z miejscowymi żulami.

Nurek, podtrzymywany przez drugiego strażaka, ciągnąc za sobą linkę, wszedł do jeziora. Powoli, z wyraźnym wysiłkiem unosił nogi,

a zaraz za nim woda robiła się gęsta i czarna jak sok z dzikiego bzu. Po pięciu minutach, a może upłynęło więcej czasu, odwrócił się w stronę osób stojących na brzegu, podniósł lewą rękę i zniknął w jeziorze.

Ogniomistrz wyjął paczkę wisantów z kieszeni i zerknął na strażaka z linką w dłoniach, jakby się zastanawiał, czy l',o poczęstować papierosem. Nadkomisarz Mrozińska zrozumiała, że zanim pokaże się głowa nurka na tafli jeziora, upłynie sporo czasu. Prokuratorka zrobiła krok w jej stronę i otworzyła usta, jakby miała zamiar spytać, dlaczego milczy, .ile się zatrzymała w połowie drogi. Kim są pozostali cywile, policjantka nie wiedziała. Przypuszczała, że krótko ostrzyżony młodzieniec z tygodniowym zarostem na twarzy, który trzyma się na uboczu i cały czas mówi coś do dyktafonu, jest stażystą w żarskiej prokuraturze. Ci dwoje spacerujący wzdłuż żółtej wstęgi między terenem zajętym a parkiem to pewnie lekarka sądowa i przedstawiciel firmy pogrzebowej. Przypomniała sobie, że w cieniu pałacu stał ambulans i czarne volvo oznaczone złotymi literami układającymi się w napis Credo w wieńcu z wywiniętymi szarfami.

– Przed wieczorem muszę wpaść na działkę. Najwyższy czas zebrać gruszki. W tym roku obrodziły jak nigdy. Od dwóch dni żona... – zaczął strażak i urwał, bo poczuł szarpnięcie linki, co oznaczało, że nurek szykuje się do wyjścia z wody. – Halo, proszę państwa! – zawołał, rozstawił nogi szeroko i ugiął je w kolanach, jakby był przekonany, że bez jego pomocy nurek nie wyjdzie z jeziora.

Wszyscy podeszli do strażaka. Nawet jednobelkowy policjant, który warował przy lipie, opuścił swoje stanowisko. Najpierw zobaczyli bąbelki, potem koniuszki dwóch palców powoli wysuwające się z wody, później czubek okapturzonej głowy nurka.

– Jednak coś jest – powiedział ogniomistrz Robak do prokuratorki. – Hejże, za linkę! – rozkazał drugiemu strażakowi i stanął za nim, chwycił linkę i metr po metrze obaj ją pociągali. – Nie tak szybko, kurwa. Co to, jakieś zawody?

Pozostali w milczeniu patrzyli, co nurek za sobą włóczy, a on ciągnął identycznie ubranego nurka. Gdy był dwa metry od brzegu, ogniomistrz podał mu bosak i pomógł wydostać się ze zmąconej wody. Zsunąwszy maskę ze swojej twarzy, nurek spytał:

– Czy o tego gościa chodziło?

Prokuratorka podniosła głowę na policjantkę, Mrozińska na Bojkę. Żadne nie widziało twarzy Alana Pośledniego nawet na zdjęciu.

– Ludzie płacą podatki, żebyście zrobili taki kawał drogi służbowym autem, a wy nie jesteście w stanie potwierdzić, czy to wasz zaginiony – prokuratorka szydziła z Mrozińskiej i Bojki. – Za co bierzecie pieniądze?

Nadkomisarz nawet nie próbowała się odgryźć. Zrobiło jej się głupio. Prokuratorka miała sporo racji. Przecież mogłam poprosić Alinę Poślednią o zdjęcie jej męża, zganiła się w myślach. Nieczęsto zdarzało się Ilonie takie niedopatrzenie. Odeszła na bok, wyjęła komórkę z torby i sprawdziła w notesie, czy zapisała numer telefonu Aliny Pośledniej. Zapisała. Minutę później podeszła do zwłok tego mężczyzny, którego nurek wyciągnął z jeziora. Jeżeli po prawej stronie nosa będzie miał podłużny pieprzyk, to Alan. Miał. Zerknęła jeszcze na czoło, gdzie nad lewym okiem miały być dwie blizny po ospie wietrznej, ale ich nie widziała.

– Początkujący świeżo po kursie albo amator. Za to sprzęt profesjonalny. Prosto spod igły. U nas taki by się przydał. W dwóch miejscach zaczepił skafandrem o przerdzewiałą siatkę i nie umiał się odhaczyć. Świeć, Panie, nad jego duszą. – Nurek zrobił znak krzyża lewą ręką, bo w prawej trzymał maskę i jeszcze coś, czego przeznaczenia Mrozińska nie znała. Po chwili odwrócił się do jeziora i lewą rękę wyciągnął w stronę miejsca, które penetrował. – Im dalej, tym lepsza przejrzystość wody. Z siedem, osiem metrów od brzegu zaczyna się piaszczyste dno. Tam coś leży. Jakby paki w siatkach. Wyglądają na pordzewiałe. Ruszyć to się rozsypią. Bez dźwigu z podbierakiem na długim ramieniu nie da się ich

wyciągnąć.

– Paki w siatkach? – spytała prokuratorka z niedowierzaniem.

– Tak dokładnie to nie sprawdzałem – przyznał się nurek. – Jakieś skrzynie albo coś podobnego. Być może zalane wejście do ukrytego schronu. W parku było kilka takich.

Obaj strażacy zrobili pytające miny.

– Może kiedyś stała tam jakaś budowla, na przykład altana na wodzie, i w czasie wojny Ruskie ją zbombardowali. Albo jak zaczęli remont pałacu, to nawrzucali gruzu do jeziora – zgadywał ten, którego Mrozińska wzięła za przedstawiciela firmy pogrzebowej.

– To by się zgadzało... – zaczął Artur Bojko.

– Gruz?

– Starsi ludzie mówili – kontynuował starszy aspirant – że w styczniu czterdziestego piątego roku, jak Ruskie byli coraz bliżej Brodów, Niemcy wywieźli z pałacu wszystko, co miało jakąś wartość. A czego nie zdążyli wywieźć, załadowali do skrzyń i zatopili w jeziorze. Pewnie blisko brzegu, żeby daleko nie szukać.

– Nie tylko w jeziorze. Trochę skrzyń zakopali w lesie, jak idzie droga na Suchodół – powiedział Matwiejczuk, na którego dotąd nikt nie zwracał uwagi.

– Skąd pan to wie? – zainteresował się Bojko.

– Skąd, skąd? Wystarczy, że wiem. Gdybym nie wiedział, nie gadałbym.

– Od Jaśkowiaka?

– Mój ojciec tak mówił.

– A skąd on to wiedział?

– Od Jaśkowiaka – odpowiedział Matwiejczuk.

– W czasie wojny Jaśkowiak był na robotach w Pförten, czyli dzisiejszych Brodach – wyjaśnił Artur. – Chwalił się, że pracował przy paradnych koniach, a gdy go się zapytało, co przy nich robił, to raz mówił, że je tylko zaprzęgał do bryczki, drugi raz, że siedział na koźle i obwoził rządcę po majątku. Polak na robotach to pewnie był od wyrzucania gnoju ze stajni. Niemcy uciekli przed Ruskimi, a jego

zostawili.

– Po co miał z nimi uciekać, jak on Polak spod Leszna? Został. I dobrze, bo skąd by ludzie wiedzieli, jak tu było za Niemca.

Prokuratorka zmierzyła Matwiejczuka piorunującym wzrokiem, po czym zwróciła się do lekarki:

– Czy w tej chwili jest pani w stanie podać, od ilu dni ciało przebywało w wodzie? To znaczy od kiedy denat nie żyje. I czy są jakieś ślady wskazujące na przyczynę zgonu? Zabójstwo? Samobójstwo? Nieszczęśliwy wypadek? Coś innego?

Lekarka przechyliła głowę, przymrużyła oczy, zacisnęła usta i oddychała przez nos, jakby się zastanawiała, co powinna odpowiedzieć, żeby prokuratorka nie zadała jej następnych pytań. Mogłaby zgadywać, ale jaki to ma sens?

Dlatego milczała.

– Tu się nie da pracować – nie wiadomo komu poskarżyła się prokuratorka.

– Ciało przebywało w wodzie od niedzieli. Prawdopodobnie od późnego popołudnia – myślała na głos nadkomisarz Mrozińska.

– Pani to wie czy zgaduje?

Policjantka zdenerwowała się, ale wzburzenie przykryta uśmiechem do lekarki, jakby chciała powiedzieć, że takie są wszystkie jej znane prokuratorki. Musi znosić ich fochy.

– Zona denata, pani prokurator, Alina Krysiak-Poślednia, z którą rozmawiałam wczoraj późnym popołudniem, stwierdziła, że w niedzielę około południa jej mąż bez słowa wyjechał ze swego domu na osiedlu Kamieni Szlachetnych w Zielonejgórze.

– Tak mogło być – odezwał się Matwiejczuk. – Kiedy w niedzielę przed wieczorem byłem tu, auto – pokazał ręką na białe mitsubishi – stało w tym samym miejscu. Komórka co chwilę grała jak cholera, to zajrzałem. W środku nikoguśko. W parku też.

– To wasz człowiek? – prokuratorka zwróciła się do policjantów.

– Ja tutejszy. Lubię przyjść z wędką nad jezioro.

– Pozwolenie na łowienie ryb szanowny pan ma? Chciałbym je

zobaczyć – odezwał się ogniomistrz Robak.

Matwiejczuk spiekł raka i skulony wycofał się za wierzbę, skąd obserwował, ‘co się dzieje na brzegu jeziora.

Zielonagóra, al. Niepodległości,
środa, popołudnie

Najpierw zadzwonił Łukasz z pytaniem, czy Jung ma dla niego coś łatwiejszego, do napisania czego można zebrać materiał przez telefon, bo jutro chce wrócić do redakcji. Pół roku leżał na ortopedi i kurował się w domu po tym, jak samochód przejechał go na przejściu dla pieszych koło Focusa. Na podstawie tego, co widzieli przechodnie, sierżant Woźniak-Araszkiewicz, którą komendantka na miesiąc przeniosła do drogówki, doszła do wniosku, że to nie było przypadkowe potrącenie. Samochód stał pierwszy w kolejce przed przejściem dla pieszych i ruszył z impetem, gdy na wprost Łukasza zaczęło migać zielone światło z sylwetką człowieka w rozkroku. Zdaniem tych, którzy przebiegali przez jezdnię przed Łukaszem, był to okurzony czarny volkswagen z piekielnie buczącym tłumikiem. Ci zaś, którzy nie zdążyli przejść na drugi brzeg ulicy, twierdzili, że była to rozklekotana toyota. Gdyby chociaż ktoś zapamiętał, czy autem kierował mężczyzna czy kobieta, sierżant Woźniak-Araszkiewicz miałaby łatwiejsze zadanie. Nikt też nie zapisał numeru rejestracyjnego samochodu. Jung uważa, że nie było to przypadkowe potrącenie. Rozklekotaną toyotę ma dyrektor biura Anitty Carewicz. On mógł siedzieć za kierownicą auta albo Dżamila, jego dziewczyna, która po tym, gdy Jung wyrzucił ją ze stażu w „Zielonogórskiej” i na jej miejsce przyjął Łukasza, została asystentką posłanki. Zanim Dżamila trzasnęła drzwiami, rzuciła do Junga, że jeszcze pożałuje tego, co zrobił.

– Jestem na urlopie. Władzę decyzyjną w dziale sprawuje Kamil, co nie oznacza, że przestały mnie interesować sprawy redakcyjne. Wracaj. Na pewno, póki nie wyliżesz się na dobre, Kamil znajdzie ci

zajęcie na miejscu – powiedział Jung zadowolony z tego, że po powrocie Łukasza do działu śledczego wreszcie nie będzie musiał zajmować się duperelami. Od tego są stażyści i początkujący dziennikarze.

Jak przez drugie pół zeszłego roku Jung nie miał większego pożytku z Dżamili, tak i przez pierwsze pół tego nie miał z Łukasza. Kamil jeszcze był w dziale społecznym. Wtedy zaczął mu pomagać Feim Vlashi, Albańczyk, który w czasie studiów prawniczych na uniwersytecie w Tiranie nauczył się angielskiego i liznął niemieckiego przede wszystkim dlatego, żeby dorabiać jako pilot wycieczek. W Sarandzie poznał krwistą Polkę, pełną temperamentu Milanę, i za jej namową przyjechał do Zar. Jeszcze w Albani od niej się dowiedział, ile kilometrów jest z miasta do granicy z Niemcami, miał więc nadzieję, że stąd przeniesie się za Nysę albo jeszcze dalej, ale kiedy Milana urodziła pierwszego syna, Feim przestał marzyć o wyjeździe. Rok później przyszedł na świat drugi syn, potem bliźniaki, córeczka i znowu syn. Wtedy Feim już tak płynnie mówił po polsku, że gdyby nie krucze włosy i oliwkowa, pociągła twarz, nikt nie miałby powodu uznać go za zaczepnego południowca. Dlaczego, znając biegłe trzy języki obce, zdecydował się na pracę w oddziale redakcji, a nie w agencji tłumaczy czy w biurze turystycznym, tego Jung nie wiedział i nie miał odwagi spytać. W przeciwieństwie do dziennikarzy „Gazety Zielonogórskiej", nawet do nowicjuszy w redakcji, Feim dzielił się z Jungiem tym, co usłyszał, ale o czym nie chciał napisać, bo mimo że miał dyplom prawnika, nie wszystko, co dzieje się w Polsce, ogarniał rozumem Albańczyka.

– Szanowny kolego redaktorze – Feim zawsze tak zaczynał rozmowę z Jungiem – pewne źródło, zaznaczam, że zaufane, przekazało mi megainformację. Proszę cierpliwie posłuchać. Zaraz po dwunastej nasza prokuratorka z asesorem pojechała do miejscowości Brody. Mniej więcej w tym samym czasie nurek i dwaj strażacy z grupy specjalnej wsiedli do samochodu ratowniczego 450[F] Rl. Niedługo po nich czarne volvo wyruszyło sprzed fili zakładu

pogrzebowego Credo. Powiem szczerze, że usiłowałem zasięgnąć języka w komendzie powiatowej straży, ale niestety, rzecznik zasłonił się tajemnicą służbową i odmówił odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Kazał zadzwonić przed wieczorem. Kobieta, która podniosła słuchawkę w recepcji hotelu w oficynie pałacu w miejscowości Brody, powiedziała, że od południa wjazd na teren parku jest zamknięty. Przy głównej alejce stoi policjant w mundurze i nie przepuszcza nawet obsługi hotelu. Aha, to może być najważniejsze – ta osoba z recepcji widziała, jak z samochodu 450[F]R1 strażacy wyjmowali sprzęt do nurkowania. W pobliżu hotelu nie ma rzeki. Jest jezioro w parku za pałacem. To by znaczyło, że strażacy kogoś lub czegoś będą szukali w tym jeziorze. Powiem jeszcze tak: o czternastej z minutami na stacji benzynowej firmy Orlen przy wjeździe na obwodnicę tankował seat león w kolorze pąsowej róży z rejestracją zielonogórską. Za kierownicą siedziała kobieta, miała kasztanowate włosy zawiązane czarną aksamitką w koński ogon. Wiek średni. Interesowała ją najkrótsza droga do miejscowości Brody. Miejsce pasażera zajmował pyzaty cywil, tak po czterdziestce. Na kolanach trzymał aparat fotograficzny marki Nikon, model D750e. Żadne nie było przypięte pasami. Zdaniem mojego źródła, tak, to byli policjanci.

Tym razem Jung nie zapytał, kim są informatorzy Feima i czym się im odwdzięcza. Nikt, kto donosi policjantowi czy księdzu, a tym bardziej dziennikarzowi, nie robi tego dobroczynnie. Z przemówień, które od dwóch lat Jung pisze pierwszej wicemarszałek województwa, już można złożyć dwutomową książkę. Nie robi tego za dziękuję. Ale kiedyś zaciekawił się, w jaki sposób Feim zdobywa informacje.

– We mnie płynie albańska krew, co nie – przypomniał i zaraz spytał, czy Jung wie, w którym kraju europejskim jest najlepiej zorganizowana mafia.

– We Włoszech. Czytałem, że na Sycyli króluje Cosa Nostra. W Neapolu rządzi Camorra. Na północy Włoch rej wodzi

Stowarzyszenie Świętej Trójcy. Jest jeszcze apulijska Sacra Corona Unita. Policja hiszpańska nie lekceważy Garduńy, która zresztą dała początek mafi włoskiej. Swoiści mafiozi mają ogromną władzę w Rosji. Sołncewska Brać trzyma się mocno w polityce i administracji. Są jeszcze Izraelczycy i serbskie grupy Vozdovac, Surcin, Zemun. Bułgarzy przecież też nie wypadli sroce spod ogona. – Jung chciał wymienić polskie grupy z Wołomina i Pruszkowa, ale na podstawie wiadomości wyniesionych z policji uznał je za niemające większego znaczenia w europejskim światku przestępczym. Bał się, że jeżeli wspomni o byłych pracownikach bezpieki i milicji, Albańczyk zacznie go wypytywać o przykłady, a on jeszcze musi milczeć na ten temat. Musiał podpisać takie zobowiązanie. Tylko raz wypsnęło mu się słówko dotyczące tej kwesti i wtedy na własnej skórze przekonał się, że jednak milczenie jest złotem.

– Kolega redaktor dysponuje zdeaktualizowanymi informacjami – stwierdził Feim. – Obecnie w europejskiej części świata liczy się mafia rosyjska i albańska. Tylko im ufają kartele meksykańskie, a oni, jak kolega redaktor zapewne słyszał, są numerem jeden w narkotykach z Kolumbi. I, o czym delikatnie napomknę, ‘Ndrangheta rodem z Kalabri, ostatnio na tyle aktywna za naszą granicą, że zainteresował się nią Europoł, a on, jak kolega wie, z zasady nie prowadzi pracy operacyjnej. Podobno naczelny kierownik ‘Ndranghety przeniósł się właśnie do Niemiec. I podobno, ale to trzeba sprawdzić, jego zastępca bywa w Polsce.

– Dziękuję ci, przyjacielu, za wiadomości mafijne. Dłużej pogadamy innym razem, teraz się spieszę. – Jung wyłączył komórkę. Zadzwonić do rzeczniczki komendanta czy wprost do Ilony Mrozińskiej? Bo na pewno ona jest tą kobietą o kasztanowatych włosach związanych w koński ogon, która siedziała za kierownicą pąsowego seata leóna. Do Ilony, zdecydował, lecz nie usłyszał głosu policjantki, pomimo że jej komórka nie była zajęta. Kilka minut później jeszcze raz kliknął ikonkę, pod którą miał zapisany numer telefonu nadkomisarz Mrozińskiej. Policjantka odezwała się

natychmiast.

– Napisz, że z Jeziora Parkowego za dawnym pałacem Brtihlów w Brodach koło Zar wyciągnięto zwłoki mniej więcej trzydziestopięcioletniego mężczyzny. Na razie policja stara się potwierdzić jego tożsamość. Prawdopodobnie jest to zaginiony w niedzielę mieszkaniec Zielonejgóry Alan P. Proszę, abyś nie podał nazwiska. Nie chcę mieć nieprzyjemności. Zaznacz, że przyczyna śmierci będzie /nana po przeprowadzeniu sekcji zwłok w zakładzie medycyny sądowej, co nastąpi w najbliższych dniach. Tyle mogę ci powiedzieć w imię dobrych relacji z prasą i tyle musi ci wystarczyć. Oczywiście na razie, bo jeżeli czegoś nowego się dowiem, o czym powinni wiedzieć czytelnicy, będziesz pierwszym, którego o tym poinformuję.

Jung chciał spytać, czy Alan P. to syn profesora Pośledniego, ale nadkomisarz wyłączyła komórkę i mimo że jeszcze dwa razy próbował z nią się skontaktować, nie usłyszał jej dziś wyjątkowo ciepłego głosu. Był głęboko wdzięczny policjantce za to, co powiedziała. Pomyślał, że czeka go zaproszenie Ilony na kawę do Essenzy, gdzie miał swój stolik i zawsze był witany tak, jakby nadal pracował w policji. Zatelefonował do Feima, a ten, znowu powołując się na swojego informatora, słowo w słowo powtórzył to, co Jung usłyszał od nadkomisarz Mrozińskiej.

– Zdradź, jakim cudem aż tyle wiesz.

– Mam tak czuły słuch, że nawet słyszę, jak rosną drzewa.

– Podziwiam cię.

– Z wykształcenia jestem prawnikiem – przypomniał Feim. – Z pochodzenia Albańczykiem, którego ojciec w latach rządów Envera Hodży służył – ściszył głos – w pewnej służbie o bardzo złej opini wtedy i jeszcze gorszej teraz.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni – roześmiał się Jung przekonany, że Feim nie powiedział mu całej prawdy i nigdy nie powie. A może on nie jest tym, za kogo się podaje?

Zielonagóra, ul. Wąska,
czwartek, przed południem

Starszy aspirant sztabowy Bojko otworzył drzwi do pokoju nadkomisarz Mrozińskiej akurat w chwili, kiedy ona prawą ręką sięgała po pękaty pędzel. W lewej trzymała puderniczkę. Na biurku leżała rozdziawiona kosmetyczka, obok niej pudełeczka, tubki, pędzelek, szminka i jeszcze coś wydłużonego, co było podobne do mazaka, a czego przeznaczenia Artur nie znał.

– Przepraszam – powiedział z zawstydzeniem i zrobił krok do tyłu.

– Żonaty chłop, a zachowuje się, jakby nie wiedział, że kobiety się malują. Im są starsze, tym dłużej, częściej, mocniej i staranniej. Nie zdążyłam w domu, to w komendzie muszę zamaskować to, czego mi Pan Bóg poskąpił. Siadaj i mów, z czym przyszedłeś. – Pokazała na krzesło przy swoim biurku i bez skrępowania sięgnęła po to coś wydłużone. Dopiero teraz Artur dowiedział się, że to służy do obrysowywania ust. – Co odkryłeś? Tylko nie zaczynaj od tego, że na razie są trudności.

Wczoraj po powrocie z Brodów Bojko obejrzał to, co zachowało się na twardym dysku w inspironie Stefana Pośledniego. Mrozińskiej chodziło przede wszystkim o kontakty profesora, treść wysyłanych i odbieranych listów oraz historię zapisaną w przeglądarce. Bojko zaczął od stwierdzenia, że na nic interesującego nie natrafił. Powtarzało się kilka adresów osób, z którymi profesor wymieniał listy, tyle że korespondencja dotyczyła spraw ściśle zawodowych. Jedyne, co wzbudziło zaciekawienie policjanta, to folder Cygnus.

– Tekstowy czy zdjęciowy?

– Taki i taki. Niektóre pliki zostały żywcem ściągnięte z netu. Nawet nie były przeformatowane. Większość pochodzi z korespondencji prywatnej chyba z całego świata. Jeden plik ma adres w Lichtensteinie. Co ciekawe, jest sporo zdjęć zrobionych przez

utalentowanych amatorów. Chciałbym tylko tak umieć fotografować. Niestety.

– A co konkretnie cię zainteresowało?

– Wszystkie pliki dotyczą tego samego tematu. To znaczy ptaków. Konkretnie łabędzi. Sprawdziłem w słowniku, co znaczy Cygnus. To łacińska nazwa łabędzia. I wtedy byłem w domu. Tym bardziej że na wielu fotografiach są talerze, talerzyki, półmiski, wazy, cukiernice. Najwięcej jest filiżanek i spodków. Wszystkie z malunkami ptaków. To znaczy chyba łabędzi.

– Serwis Łabędzi hrabiego Brühla – niezbyt pewnie powiedziała Mrozińska, przypominając sobie to, co usłyszała od Junga i co przeczytała w protokole przesłuchania Jagody Bojko sporządzonym przez sierżant Woźniak-Araszkiewicz.

Starszy aspirant przytaknął i zaraz spytał, czy Ilona rozumie, o czym świadczy taka liczba informacji na ten sam temat, nagromadzonych w jednym miejscu.

– Profesor Pośledni handlował zabytkami – odpowiedział z taką pewnością, że Mrozińska uznała to za udowodnione. – Dobrze byłoby dowiedzieć się, jak zdobywał te naczynia i inne starocie i komu je sprzedawał. Idę o zakład, że odbiorcy nie mieszkają w Polsce. Tu taki biznes się nie opłaca. Od kiedy nie ma kontroli na granicy, bez trudu można wywieźć każdą rzecz dokąd się chce. I to jest jedna z minusowych stron przyjęcia Polski do Uni. – Bojko poprawił się: – To znaczy do strefy Schengen.

– Co w tym złego, że latem bez pytania możesz wyskoczyć na piwo do Gubena, a zimą wybrać się do Burga na basen i wymoczyć nogi w wodzie termalnej? Przy okazji wpadniesz do marketu po kawę czy płyn do mycia łazienki. Akurat te produkty tam są dużo lepszej jakości niż nasze i ciut tańsze.

– Kiedy na granicy stała budka dla strażników, rodacy też coś szwarcowali. Jednym się udawało, drugich celnicy przyskrzynili i dla przykładu odebrali towar, a i czasem wlepili mandat. Teraz bez obawy o konfiskatę można przewieźć niemal wszystko. To i helmuty

przywożą do naszych lasów trujące paskudztwo, za którego utylizację u siebie zabuliliby więcej niż za zboże. Nasi szabrownicy opychają im antyki. W obu sytuacjach oni na tym znacznie lepiej wychodzą. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, o ilu obrazach, rzeźbach, zegarach, świecznikach i co tam jeszcze ginie z muzeów informuje nas konserwator zabytków? Niemal zawsze trop prowadzi do granicy z Niemcami albo przez Niemcy do Holandi, Belgi, Francji. Znajdź chwilę i porozmawiaj o tym z Jungiem. Daniel jest prawdziwą kopalnią wiadomości na temat zaginionych dzieł sztuki. Nie mówię, że marnuje się w „Zielonogórskiej", ale gdyby u nas został...

– Pośledni był przemytnikiem, paserem, kontrabandzistą? Profesor zwyczajny doktor habilitowany Stefan Pośledni? Doktor honorowy czterech europejskich uniwersytetów? – uściśliła Mrozińska, jakby nie dowierzała Bojce, po czym obejrzała swoją twarz w lusterku. Zadowolona wrzucała pudełeczka, tubki, pędzelek, szminkę i pozostałe upiększacze twarzy do kosmetyczki i wetknęła ją do szuflady biurka.

Bojko zacisnął usta, rozłożył ręce, wyprostował się i dopiero wtedy powiedział:

– Brakuje niewątpliwych dowodów. Poszlaki wskazują jednak, że maczał palce w pokątnym skupie i odsprzedaży za granicę przedmiotów wytworzonych przed zakończeniem drugiej wojny, co jest prawnie zabronione. Robił to świadomie czy został przez kogoś zmuszony? Przez kogo? Dlaczego? Czy czerpał z tego korzyści? Jakie? Nie dociekam, czy płacił podatki z tego tytułu.

– Dom na Kwiatowym większy niż szlachecki dworek, sprzątaczka i ogrodnik, dwukondygnacyjny salon na Kupieckiej, apteka i drogeria, mercedes, mitsubishi syna, domek letniskowy w Jodłowie, niepracująca żona. A to pewnie jeszcze nie wszystko. Czy z pensji rektora niepublicznej Wyższej Szkoły Archeologi można wyciągnąć aż tyle? Prawda, jako archeolog miał wykłady za granicą, był konsultantem na wykopaliskach, recenzował prace doktorskie,

redagował czasopisma fachowe. Krótko mówiąc, był na fali.

– Każdy człowiek może być na fali, pod warunkiem że dobrze ją wykorzysta.

– Słusznie.

– Chwała Bogu, że na te pytania nie musimy odpowiadać.

– A dlaczego nie?

– A dlatego, że się na tym nie znamy. Mówię wyłącznie o sobie. Co innego, gdyby chodziło o net i tę całą informatykę.

Zielonagóra, ul. Zyty, czwartek, przed południem

Pomimo że z zakładu patologi ogólnej do gmaszyska prokuratury jest najwyżej kwadrans piechotą przez Winne Wzgórze, a Piaskową jeszcze bliżej, dopiero za kilka dni trafi na Partyzantów protokół z sądowych oględzin zwłok. Najpierw Tomczyszyn pokaże dokument swemu szefowi i jeżeli prokurator będzie w dobrym humorze, to zadzwoni do Ilony Mrozińskiej i przeczyta albo opowie, co według anatomopatologa było przyczyną śmierci profesora Pośledniego. Od co najmniej roku jednak jest tak, że policjantka telefonuje do prokuratora. Niezadowolony z tego Tomczyszyn rozsiada się w fotelu i mówi jej, że właśnie rozpoczyna przeglądanie zakamarków swojej pamięci. A ponieważ zajmuje się jednocześnie kilkoma sprawami, trwa to długo i niemal zawsze kończy się mniej lub bardziej ostrym spięciem. Dlatego policjantka robi wszystko, żeby być w dobrych stosunkach z każdą osobą zatrudnioną w zakładzie patologi. Zanim raport badania sekcyjnego, ostemplowany i podpisany przez medyka sądowego, sekretarka włoży do koperty, nadkomisarz go przeczyta i wystrzeli serią pierwszych pytań do patomorfologa. Wcale nie tak rzadko na podstawie jego odpowiedzi tworzy hipotezę, której udowodnienie nie zajmuje policjantce zbyt wiele czasu. Ale bywa także i tak, że opinia doktora Trzcinki wydłuża śledztwo, co wszystkich wkurza, a najbardziej prokuratora Tomczyszyna.

– Przedstawiam starszego aspiranta sztabowego magistra inżyniera Artura Bojkę z sekcji techniki kryminalistycznej. Kolega jest specjalistą w zakresie nowoczesnych sposobów przekazywania informacji. Na czas urlopu naszego szefa, komisarza Syskiego, został oddelegowany do ostatnio uszczuplonego wydziału kryminalnego. W tym miesiącu kolega jest moją prawą ręką. Wystąpiłam do komendantki, żeby na stałe przeniosła go do naszego wydziału. Lubię pracować z konkretnymi mężczyznami – nadkomisarz Mrozińska najpierw uśmiechnęła się do Bojki, czym wprawiła go w zakłopotanie, potem do doktora Trzcinki, czego on nie zauważył.

Magister inżynier, czyli po politechnice i tylko starszy aspirant sztabowy? – Patomorfolog zmierzył policjanta niedowierzającym spojrzeniem. – Podpadł pan komuś?

Bojko ni to potwierdził, ni zaprzeczył. Awans do korpusu oficerskiego z jednej strony oznaczał wyższą pensję, z drugiej mieli do niego prawo przede wszystkim spolegliwi policjanci. Takie ciepłe kluchy, czego nie można powiedzieć o Bojce. On często miał swoje zdanie, odmienne niż tego oczekiwali zwierzchnicy.

– I na kolegę przyjdzie czas – ruszyła mu z odsieczą nadkomisarz. Dobrze nie pamiętała, ale chodziło jej po głowie, że Artur powiedział coś krytycznego o wyposażeniu techników kryminalistycznych, co nie spodobało się zastępcy komendanta. Gdyby nie głos przewodniczącego związkowców, wyleciałby z policji tak samo szybko jak Daniel Jung. – Co doktor ma w sprawie Pośledniego?

– Pan pierwszy raz jest w takim miejscu – stwierdził Trzcinka, ignorując pytanie policjantki. – Na podstawie obserwacji koleżanek i kolegów komisarza Syskiego, którzy muszą bywać w prosektorium, już dawno doszedłem do wniosku, że woleliby omijać to miejsce. Cóż, służba nie drużba, a o popłatną robotę, i żeby się nie narobić, nie jest łatwo. Gdzie jeszcze po piętnastu latach pobytu na etacie można zostać emerytem? Chyba w wojsku i służbach podsłuchowych.

– Tak było – szybko dopowiedziała Ilona Mrozińska. – Teraz i w policji obowiązują ogólne zasady przechodzenia na emeryturę.

– Chyba że ktoś nabył to uprawnienie przed zmianą zasad – wtrącił Bojko. Nie przyznał się, że dzień po tym, kiedy minie jego piętnaście lat służby w policji, choćby komendantka obiecała mu awans na inspektora z pominięciem regulaminu, napisze raport o przejście na emeryturę.

– Po południu doktor Kamińska, kandydatka na specjalistkę w zakresie medycyny sądowej i być może moja następczyni w zakładzie patologi, przeprowadzi autopsję topielca z Brodów. Jeszcze pod moim nadzorem. Zapraszam pana.

Bojko podniósł oczy na Mrozińską, jakby błagał ją o zwolnienie z obecności w prosektorium. Zdawał sobie sprawę, że od tego się nie wykręci, ale jeszcze nie teraz. Chciał, żeby to się stało jak najpóźniej, a najlepiej wcale. Na razie starał się nie zwymiotować, gdy fotografował ofiary wypadków drogowych, porachunków, narkotyków, napadów, alkoholu, przypadkowych zabójstw, topielców, wisielców, desperatów, samobójców. Tylko raz nie wytrzymał, było to w lesie za ogrodem botanicznym, gdzie zwyrodnialec seksualny zakatował sześciolatkę, jak Natasza Woźniak dowiodła w trakcie śledztwa, córeczkę swojej siostry.

– Póki kolega Bojko jest jedynie oddelegowany do wydziału kryminalnego na czas określony, nie mogę go zmusić do tego, do czego żaden policjant nie jest w stanie się przyzwyczaić – oznajmiła nadkomisarz i puściła oko do Artura, za co on był jej wdzięczny.

Z zamkniętymi ustami starszy aspirant sztabowy siedział na wprost patomorfologa. Oddychał przez nos, mimo to czuł zapach czegoś, czego nie potrafił nazwać, a co go drażniło. Cieszył się, że doktor Trzcinka nie zapytał, czy wypije kawę. Nie przełknąłby niczego.

– Miałem zamiar powiedzieć, że do wszystkiego można się przyzwyczaić, ale najpewniej byłbym w błędzie. Choćby ja. Gdyby mi kazano skoczyć ze spadochronem na plecach z samolotu,

narżnąłbym w spodnie – roześmiał się lekarz. – Proszę sobie wyobrazić moją szefową, która lubi sobie polatać.

– Pewnie na miotle – zachichotał Bojko.

– Jej mąż, panie starszy aspirancie sztabowy, redaktor Daniel Jung, jest zapalonym motolotniarzem. Jeśli się nie mylę, w zeszłym roku wywalczył tytuł wicemistrza Polski dziennikarzy w tej dyscyplinie.

– Jung pracuje w „Gazecie Zielonogórskiej" jako reporter śledczy. – Mrozińska mówiła tylko do Bojki, jakby była fanką Daniela. Zapraszał ją na lotnisko, ale nie odważyła się wsiąść do motolotni. A Artur nie przyznał się, że Jung bywa u jego ojca na Zatoniu i wie o nim prawie wszystko. Gdy bierze „Zielonogórską" do ręki, to zawsze dłużej, zatrzymuje oczy na tekstach znanego mu autora. – Poza tym, że Daniel ma wyjątkowy talent do pisania o sprawach kryminalnych z taktem i wyczuciem, posługuje się językiem dalekim od stylu prawniczego i wspiera policję, czego nie musi robić. I w przeciwieństwie do wielu dziennikarzy nie nosi się wysoko. Zaraz po studiach rozpoczął pracę w komendzie. Gdyby nie to, że był aż za wnikliwy, przy tym cholernie obowiązkowy i ambitny, a przełożeni takich nie lubią, dziś zajmowałby gabinet co najmniej zastępcy komendanta. Wojewódzkiego – podkreśliła. Po chwili kontynuowała: – Może i lepiej, że stało się tak, jak się stało. Daniel ma niemałe grono godnych siebie czytelników, do których i ja należę. Podziwiam go. Podsumowując: Jung jest gwiazdą w gazecie. Jego żona jest uniwersytecką profesorką, szefową zakładu patologi ogólnej. Daleko oboje zaszli. – Nadkomisarz odwróciła głowę w stronę doktora Trzcinki akurat w chwili, gdy on przeniósł wzrok za okno. Przemknęło jej przez myśl, że powiedziała coś, co nie spodobało się lekarzowi. – Ale z naszego punktu widzenia panem w pracowni medycyny sądowej i zakładzie patologi ogólnej jest niezastąpiony mistrz, doktor habilitowany Bronisław Trzcinka, za niedługo, jak mówi się na mieście, profesor zwyczajny nauk medycznych – szybko dodała, zwracając się bardziej do Trzcinki niż

do Bojki, chociaż miała oczy utkwione w policjancie. – Ad rem, panie profesorze. Słuchamy, prawda, kolego starszy aspirancie sztabowy?

Połechtany tym doktor wyciągnął się w fotelu, jakby to była kanapa, nogę założył na nogę, nabrał powietrza do płuc i z sykiem je wypuszczał, zerkając na leżący przed nim protokół. Zaczął od stwierdzenia, że przyczyną śmierci profesora Pośledniego nie była naturalna starość. Ani przewlekła choroba. Nie było to samobójstwo. I nie wypadek śmiertelny. Co więc? Jakiś zadawniony porachunek? Możliwe. Z kim? Zresztą jemu prokuratura placi za napisanie protokołu z sekcji zwłok i wysłanie go na Partyzantów, a nie za wskazanie sprawcy. Od tego są świadkowie, policyjni detektywi, profilerzy, psychologowie, grafologowie, osmołodzy, palinolodzy i dziesiątki innych ekspertów. Tego nie powiedział wprost, ale tak pomyślał. Powiedział natomiast, że zadaniem patomorfologa z uprawnieniami lekarza sądowego czy bez nich jest przeprowadzenie sekcji zwłok, podczas której powinien starać się wyjaśnić, co było przyczyną śmierci, określić, kiedy ona nastąpiła, i pobrać materiał biologiczny do badań laboratoryjnych. Może, ale nie musi podzielić się swoimi spostrzeżeniami ze śledczymi.

– Jeszcze nie dysponuję wszystkimi wynikami. Na razie laboratorium zdążyło przeprowadzić analizę z użyciem chromatografu gazowego i spektrometru. Pierwsze urządzenie rozdziela składniki pobranej próbki i ustala skład procentowy związków chemicznych. Drugie uczestniczy w porównaniu próbki z tym, co jest w bazie danych – tłumaczył doktor Trzcinka starszemu aspirantowi sztabowemu, jakby miał przed sobą studenta trzeciego roku medycyny. – Na pozostałe wyniki trzeba będzie poczekać. Nawet do dwóch tygodni. Nie sądzę, żeby miały one spowodować znaczące zmiany w treści protokołu, ale oczywiście wezmę je pod uwagę i jeśli uznam to za istotne, sporządzę dodatkowy dokument – lekarz zapewnił swoich gości z taką powagą w głosie, jakby od jego opini zależało najwięcej. Zdawał sobie sprawę, że tego, co napisze w

protokole, nikt nie podważy.

– Trochę nam się spieszy – odezwała się nadkomisarz Mrozińska, zerkając na czasomierz w komórce. Zawsze, ile razy przychodziła do gabinetu Trzcinki, doktor zachowywał się tak, jakby nie miał innego zajęcia, tylko czekał na policjantkę.

– Więc ad rem. Przyczyną śmierci Stefana Pośledniego było przedawkowanie środka przeciwbólowego – powiedział patomorfolog, podniósłszy wzrok na Mrozińską, po czym zamilkł na chwilę, spodziewając się pytań, a ponieważ nadkomisarz nie odezwała się, kontynuował monolog.

– Czy profesor zrobił to świadomie? Na to pytanie pani będzie musiała sama sobie odpowiedzieć. Moim zdaniem nie było to świadome. Ba, jestem nieomal pewny, że Stefan Pośledni sam sobie nie mógł wstrzyknąć oxsycodonu.

– Czego? – spytała policjantka, otwierając notes i szukając długopisu w torebce. Pierwszy raz słyszała tę nazwę.

– O-ksy-co-don – przesylabizował anatomopatolog. – To bardzo silny opioidowy lek przeciwbólowy. Jest bardziej znany pod nazwą handlową oxycontin, wtedy może być stosowany doustnie lub doodbytniczo. Oxsycodon w formie zastrzyku domięśniowego ewentualnie dożylnego lekarze podają w naprawdę wyjątkowych sytuacjach. Zresztą oxycontin to także ostateczność.

– Czy ten lek można kupić w każdej aptece?

– Oxycontin tak, ale wyłącznie na specjalną receptę i do realizacji w aptece prowadzonej przez farmaceutę z pięcioletnim stażem zawodowym. Aha, identycznie jak oxsycodon może go przypisać jedynie uprawniony do tego lekarz z najwyższym stopniem specjalizacji. Oxsycontin stosowany w małych dawkach, zgodnie ze wskazaniami lekarza, nie powoduje zagrożenia życia, aczkolwiek może wywoływać nieprzewidziane sensacje. Na przykład senność, zaparcia, czasem wysypkę i zaczerwienie skóry. U młodych panów może obniżyć poziom testosteronu, co zazwyczaj prowadzi do okresowej impotencji. U starszych poza wymienionymi efektami

ubocznymi, że tak to określę, stymuluje niepożądane powiększenie gruczołu krokowego, co objawia się pewnego rodzaju dyskomfortem. Krótko mówiąc, zmusza do częstego wstawania w nocy i wydłuża oddawanie moczu nawet do kilku minut. Zaś oxsycodon bywa podawany w formie zastrzyku i wyłącznie pod nadzorem lekarza w zamkniętej placówce opieki medycznej. Zastrzyków z oxsycodonem nie ma w wolnej sprzedaży nawet na receptę. Mają je jedynie specjalistyczne apteki w szpitalach klinicznych.

– Powiedział pan, że przyczyną śmierci Pośledniego było przedawkowanie.

– Przedawkowanie oxsycodonu oznacza porażenie ośrodkowego układu nerwowego, co skutkuje paraliżem mięśni i prowadzi do śmierci przez uduszenie – doktor wszedł w' zdanie policjantce. – Profesor Pośledni miał mocno powiększoną prostatę, tyle że był w takim wieku, kiedy i bez stosowania środka zawierającego chlorowodorek oksykodonu następuje jej rozrost. Biologia, proszę państwa. Na biologię nie ma mocnych. Nawet profesorowie są za słabi.

– Dlaczego Pośledni zażywał akurat to lekarstwo? – odezwał się Bojko. – Chodzi mi o to, przy których chorobach oxsycodon jest podawany w formie zastrzyku.

Doktor Trzcinka najpierw skarcił go spojrzeniem, a potem powiedział zimno:

– W tym pomieszczeniu, panie starszy aspirancie sztabowy, obowiązuje święta zasada: póki nie skończę tego, co mam do powiedzenia, słuchacze się nie odzywają.

– Przepraszam – bąknął policjant i się zawstydził.

– Nie jest pan urzędującym biuralistą. Funkcja w policji zmusza pana do ciągłego poruszania się. Nie przebywa pan w tej samej pozycji przez cały dzień. Może uprawia pan jakiś sport. Dlatego pan nie powinien cierpieć z powodu choroby naszych czasów. Nie mam na myśli nowotworu czy niedoczynności serca – mówił lekarz tylko do Bojki, taktując go pobłażliwie. – Panie aspirancie, organizm

każdego ssaka, a człowiek również należy do tej gromady, tyle że jest osobnikiem z lepiej wykształconym mózgiem, nie znosi bezczynności. Ograniczony ruch i siedząca pozycja jest zagrożeniem dla kręgosłupa. Niektórzy biegają czy chodzą z kijami. Nordic wiking to się zwie. Ja wolę coś bardziej praktycznego i pożytecznego. Sam sprzątam garaż. Sam koszę trawę wokół domu. Sam przycinam krzewy. Jesienią zbieram grzyby, z których moja żona gotuje najsmaczniejszą zupę. Podejmuję się jeszcze setki innych czynności, łącznie z malowaniem mieszkania. Niestety, profesor Pośledni, zamiast popracować fizycznie, brał środek przeciwbólowy w postaci tabletek lub czopków. Pewnie państwo zastanawiają się, jaką drogą dostał się chlorowodorek oksykodonu do jego organizmu.

– No, właśnie – odezwał się Bojko i zamilkł. W jego głowie rodziły się następne pytania, ale pomny skarcenia, postanowił ich nie zadawać.

Nadkomisarz Mrozińska także milczała.

– Jest jeszcze coś. Psychotrop rohypnol. Już nie ma go w aptekach. Wycofany z produkcji jakieś dziesięć lat temu. Był znany jako środek oszałamiający. Występował na przykład w tak zwanych pigułkach gwałtu. W moich czasach studenckich chłopak zapraszał dziewczynę do klubu, fundował jej piwo, niezauważenie wsypywał rohypnol do szklanki, po kilku minutach mógł z nią robić, co chciał. Następnego dnia niczego nie pamiętała. Pigułki gwałtu zdaje się można zdobyć po znajomości w tych ni to sklepikach z herbatą, ni drogeriach na Kupieckiej. Flunitrazepam występujący w rohypnolu, państwo powinni to lepiej wiedzieć, znajduje się we wkładach do pistoletów gazowych.

Ilona Mrozińska przypomniała sobie, że gdy w poniedziałek weszła do gabinetu Pośledniego, na biurku stały dwie szklanki z czymś żółtym. W jednej było więcej płynu, w drugiej dużo mniej. Żałowała, że wtedy nie zainteresowała się zawartością szklanek, ale pewnie szef techników kazał swoim ludziom zrobić to, za co biorą pieniądze.

Trzcinka ociężale wstał z fotela i podszedł do biurka, na którym stał przedpotopowy komputer, pochyliwszy się nad klawiaturą, bez słów zaczął przebierać palcami, jakby to był syntetyzator. Bojko pomyślał, że doktor sprawdza, czy Stefan Pośledni miał swoją stronę internetową i co się na niej znajduje. Może profesor zapisywał spostrzeżenia i między wyrazami umieścił coś, co teraz okaże się ważne. Ze też na to nie wpadłem, zganił się policjant.

– Tylko upoważniony pracownik naukowy kierunku lekarskiego może się zalogować do sieci wewnętrznej naszego szpitala i zapoznać z historią choroby pacjenta – nie oderwawszy wzroku od monitora, wyjaśnił doktor Trzcinka, jakby czytał w myślach Artura Bojki. – Tak przypuszczałem.

– Co pan odkrył? – spytała nadkomisarz mimo postanowienia, że odezwie się dopiero wtedy, kiedy doktor skończy swój monolog.

– Profesor Pośledni od wielu lat był pacjentem docenta Przybyszewskiego w klinice neurochirurgi. I tak jak sądziłem, lekarz prowadzący przypisywał mu oxycontin w tabletkach doustnych, czyli tę bezpieczniejszą postać oxsycodonu. – Trzcinka wyłączył komputer i wrócił na swój fotel. – Podczas autopsji doktor Kamińska zwróciła uwagę na zasiniaczony dół łokciowy lewej ręki profesora Pośledniego. To był ślad zostawiony przez igłę. Przyznaję się, że wtedy zlekceważyłem spostrzeżenie mojej młodszej koleżanki, kandydatki na odpowiedzialnego, a przy tym spostrzegawczego lekarza sądowego – powiedział patomorfolog do policjantki takim tonem, jakby się usprawiedliwiał.

Nadkomisarz przypomniała sobie, że kiedy w poniedziałek po południu szef techników otworzył drzwi jej pokoju w komendzie, trzymał w ręce dwa przezroczyste woreczki. W jednym była strzykawka, w drugim dwie ampułki. Nie wyjaśnił, skąd je ma i dlaczego akurat ją próbował zainteresować znaleziskiem. Powinna się zaciekawić, a tego nie zrobiła zajęta przeglądaniem protokołu z zeznaniem Jagody Bojko. Może tak postąpiła dlatego, że nie wszystko, co zapisała Natasza Woźniak i pod czym się podpisała

Jagoda, wydawało się Mrozińskiej logiczne. Zaraz po wyjściu z gabinetu doktora Trzcinki zadzwoni do szefa techników. Jeżeli on potwierdzi, że ampułki są po oxsycodonie i znajdują się na nich ślady pozostawione przez Pośledniego, to prokurator będzie musiał umorzyć śledztwo. A jeżeli są na nich odciski palców kogoś innego?

Zielonagóra, os. Kwiatowe, czwartek, w południe

Przed wstępnie wyznaczonym na poniedziałek pogrzebem profesora Pośledniego wdowa nie chciała rozmawiać nawet ze śledczymi. Dopiero kiedy nadkomisarz Mrozińska zagroziła, że w takim razie dzielnicowy przyniesie jej wezwanie do komendy, Bożena Poślednia podeszła do furtki, ale nie zaprosiła policjantki i Artura Bojki do domu.

– Mój małżonek nie był najlepszego zdrowia – odpowiedziała na pytanie Mrozińskiej, czy Pośledni chorował i na co. – Od wielu lat dokuczały mu bóle kręgosłupa. Zdarzało się, szczególnie z rana, że nie był w stanie wyprostować się i szedł do łazienki wygięty w pałąk, jakby dźwigał na plecach worek ze zbożem. Ile razy Martusia przyjeżdżała do nas, tyle razy namawiała go, żeby poddał się zabiegowi. Stefan bał się operacji. Martusia jest po studiach w akademi medycznej, dlatego go przekonywała, że taka operacja na ogół się udaje. Stefan odpowiadał, że nawet wycięcie wyrostka robaczkowego nie zawsze kończy się sukcesem. Dlatego docent Przybyszewski, z którym był zaprzyjaźniony jeszcze z liceum, przypisywał mu środek przeciwbólowy.

– W jakiej postaci oxsycodon był przypisywany przez docenta Przybyszewskiego? – spytała policjantka, sprawdzając, czy wdowa potwierdzi to, co powiedział doktor Trzcinka. Ponieważ Poślednia nie odpowiedziała, jakby nie zrozumiała pytania, dodała: – To były tabletki czy czopki? A może zastrzyki?

– Czerwono-czarne kapsułki.

– Kto mu je aplikował? – dociekała policjantka, starając się posługiwać językiem medyków.

Poślednia zrobiła skwaszoną minę. Milczała.

Co ona ukrywa? Nadkomisarz pomyślała, że jest coś, czego Poślednia nie chce odsłonić. Może się wstydzi?

– Chyba jednak będę musiała wezwać panią na komendę.

– Mój małżonek był lekkoduchem i jak większość mężczyzn o takiej skłonności lubi! wygodne życie. Sam nawet nie próbował zaparzyć sobie herbaty. Ale honor mu nie pozwalał, żeby do podawania sobie kapsułek zatrudnić pielęgniarkę. Co to, to nie.

Tę informację policjantka uznała za cenną i zanotowała ją w myślach.

– Jak często przyjmował te kapsułki? – drążyła.

– Jedno opakowanie leżało na jego biurku w gabinecie, gdzie pracował. Drugie zawsze miał przy sobie. Gdy poczuł zbliżający się ból, łykał kapsułkę, popijał wodą i przez dwie, trzy godziny miał święty spokój. Zdarzały się tygodnie, szczególnie zimą, kiedy ból w ogóle mu nie dokuczał. Dlatego nie chciał poddać się operacji. No i bał się operacji. Mówił, że z kręgosłupem nie ma żartów.

– Poza docentem Przybyszewskim i rodziną kto jeszcze wiedział, na jaką przypadłość cierpi profesor?

Poślednia westchnęła. Splotła ręce przed sobą, podniosła głowę i stała tak ze wzrokiem utkwionym w drzwiach domu Nogala, jakby się zastanawiała, kogo wymienić, a kogo pominąć.

– Przypuszczam, że wszyscy bliscy współpracownicy z uczelni wiedzieli, po co mąż sięga do kieszeni. Na wykopaliskach zdarzało się, że po dłuższej pracy w pozycji schylonej musiał kogoś poprosić, żeby pomógł mu wstać. Kto jeszcze? Sąsiedzi na pewno. Jagódka. Staśko, to jest nasz ogrodnik i taka złota rączka. Jeśli mu kazać, to naoliwi zamki i nawet wymaluje ściany w składziku. A może i w garażu. Tylko pieniędzy nie wolno mu dawać.

– Powiedziała pani, że mąż bał się operacji. Poza córką nie było nikogo, komu ufał? Komu ulegał? Pod czyim wpływem się

znajdował? Często największy wpływ na dziadka mają wnuki.

– Stefan ufał Marcie, ale jeszcze bardziej ufał Alanowi, swemu synowi z pierwszego małżeństwa. Chciał, żeby Alan został archeologiem i kontynuował jego prace, lecz jeszcze w liceum Alan mówił, że będzie lekarzem. Onkologiem albo geriatrą. Dwa lata studiował medycynę, ale zachorował na wirusowe zapalenie wątroby i po wyjściu ze szpitala zamiast wrócić na uniwersytet, powtarzać czwarty semestr, przeniósł się na ratownictwo medyczne. Skończył szkołę. Kiedy jeszcze był na medycynie, bardziej zdecydowanie niż Martusia, namawiał męża na poddanie się operacji. Skoro w naszym szpitalu neuroortopedzi potrafili przyszyć obciętą dłoń, to nie poradzą sobie z kręgosłupem ojca? Potem Martusia powiedziała, że operacja to ostateczność. Nie chce ojciec, słusznie, bo nie każda operacja się udaje, mówiła. Co roku powstają nowe leki, bardziej skuteczne, przynoszące ulgę. Martusia, proszę pani, skończyła farmację. Ma aptekę z drogerią.

– Czy profesor mógł zażyć oxsycodon w innej postaci niż kapsułki? Na przykład czy sam mógł sobie zrobić zastrzyk?

– Raczej nie – odpowiedziała po dłuższym namyśle Poślednia. Z tonu jej głosu nadkomisarz wyciągnęła wniosek, że nie jest tego pewna. – Stefan należał do tych mężczyzn, którzy mdleli na widok strzykawki.

– A czy słyszała pani kiedykolwiek, żeby mąż prosił syna o zrobienie zastrzyku?

– Alan przychodził do nas jedynie wtedy, kiedy potrzebował pieniędzy. Ze mną rzadko rozmawiał. Właściwie to mnie ignorował. Nawet nie składał mi życzeń imieninowych, chociaż ja zawsze pamiętałam, żeby do niego zadzwonić dwudziestego dziewiątego lipca.

– Mimo to całe tegoroczne lato spędziła pani w jego domku w Jodłowie – wtrącił Bojko.

– Tylko formalnie domek należy do Alana. W rzeczywistości kupił go Stefan od swego kolegi, który po rozwodzie wyjechał do

Niemiec. A ponieważ Alan bywa w Jodłowie, ale nie interesuje się domkiem, na swoje barki wzięłam zajmowanie się tak domkiem, jak i ogródkiem. Sąsiedzi patrzą na mnie z podziwem, bo jako żona słynnego profesora koszę trawę, sieję i pielę. Jeżeli ja bym tego nie robiła, to kto? – spytała takim głosem, jakby miała pretensję przede wszystkim do Alana.

– Kto spośród sąsiadów na Kwiatowym wiedział, że profesor cierpi z powodu bólu kręgosłupa i leczy się u docenta Przybyszewskiego? – drążyła dalej policjantka.

Poślednia pokazała na dom Nogala.

– Przed nim nic się nie ukryje – powiedziała ściszonym głosem. – On wie więcej na nasz temat niż my sami. Teraz też na pewno robi zdjęcia i podsłuchuje, o co pani pyta i co ja odpowiadam. Ze też takiego ta święta ziemia nosi. On jest świadkiem Jehowy.

– Inni sąsiedzi? – Bojko pokazał na domy ukryte za wierzbami już gubiącymi liście.

– Mąż całymi dniami przebywał poza osiedlem. Jeżeli nie na uczelni, to na konferencji albo gdzieś na wykopaliskach. Albo na Edenie u tej... – urwała i zamilkła. Po chwili kontynuowała: – Nigdy nie wytknęłam mu zdrady, a powinnam. Stefan był przekonany, że nie wiem, gdzie ma kochankę.

– Jak mąż żył z sąsiadami?

– Proszę pana, latem na mojej głowie jest domek w Jodłowie. Jesienią wracam na Kwiatowe i prowadzę ten dom. To znaczy co dwa tygodnie przychodzi Jagoda, sprząta, myje okna, robi przepierkę. Nie zajmuje się prasowaniem. Nie gotuje. O ogród, jak mówiłam, dba Staśko. Jagoda po mężu jest Bojko, ale rozwiedziona. Jak nazywa się Staśko, nie wiem. Po prostu Staśko.

– Spytałam, jak mąż żył z sąsiadami – przerwała jej policjantka.

– Mąż nie kontaktuje się z sąsiadami, prędzej ja, ale rzadko.

Nadkomisarz nie miała więcej pytań. Starszy aspirant również. Właściwie Bojko towarzyszył Ilonie Mrozińskiej tylko dlatego, że tak nakazują procedury.

– Z domu po drugiej stronie ulicy cały czas podglądał nas wąsaty facet – powiedział Bojko, gdy wsiedli do seata. – Przez lornetkę.

– Obserwował nas przez lornetkę marki Fujinon.

– Skąd to wiesz? – spytał zdumiony. – Rzuciłaś na rybkę. Sprawdzasz mnie? Co jest w was, starszych policjantach – zreflektował się – starszych stopniem, że nawet informatykowi nie ufacie?

– Jestem na etacie detektywa w wydziale kryminalnym – odparła, obserwując kątem, jak Bojko zareaguje, i uśmiechnęła się zadowolona. – Facet z lornetką to pułkownik dyplomowany żandarmeri wojskowej w stanie spoczynku, obecnie strażnik graniczny, świadek Jehowy, co jest bez znaczenia, prowadzi dziennik. Nazywa się Edward Nogal. – Gdy Bojko zrobił pytającą minę, wyjaśniła, że Natasza już go dociekliwie przepytała. – Modelowy demaskator do pokazywania słuchaczom wyższych kursów dla policjantów śledczych. Przed takim nic się nie ukryje. Z naszego punktu widzenia obiekt jak najbardziej pożądany. Mimo to nie chciałabym mieć takiego sąsiada. Gnida.

– Nasza komendantka powiedziałaby, że to pożądany kontakt obywatelski – dowcipkował Bojko.

–Powiedziałaby: niestowarzyszony pod kapeluszem.

– Czyli, jak kpi mój ojczulek, kapuś na wcześniejszej emeryturce.

– Słusznie – zgodziła się z nim nadkomisarz Mrozińska tylko dlatego, żeby ostatnie zdanie do niej należało.

Ale tym razem nie należało.

– Zdaniem anatomopatologa i jego pomocnicy Stefan Pośledni zmarł z powodu przedawkowania leku podanego w formie zastrzyku. Po pierwsze, którego nie można kupić w ogólnodostępnej aptece. Po drugie, tylko na receptę wypisaną wyłącznie przez lekarza ze specjalizacją i stopniem naukowym. Doktor Trzcinka sprawdził przy nas, że leczący Stefana Pośledniego docent Przybyszewski nie przypisał mu oxycodonu jako zastrzyku. Nie przypisał, bo wiedział, że leku w takiej formie nie można kupić w ogólnodostępnej aptece.

To kto wypisał receptę? Dlaczego? I gdzie Stefan Pośledni zrealizował tę receptę, skoro oxsycodon nie jest dostępny w każdej aptece?

Na pytające spojrzenie Bojki nadkomisarz przyznała się, że zanim pojechała z nim do doktora Trzcinki, rozmawiała przez telefon z wicedyrektorem Narodowego Instytutu Leków. Dowiedziała się, że oxsycodon należy do bardzo wąskiej grupy farmaceutyków rejestrowanych przez specjalną komisję ministerialną.

– Nawet lekarz ze specjalizacją nie może go przypisać bez zasięgnięcia opini dwóch innych specjalistów w swojej dziedzinie. W ministerialnym rejestrze nie ma informacji o tym, że docent Przybyszewski przypisał oxsycodon Stefanowi Pośledniemu. Jest, że podawał go pacjentowi w trakcie leczenia szpitalnego.

– Był w Niemczech, kiedy był na wykopaliskach, dopadł go ból. Może tamtejszy lekarz przypisał mu oxsycodon w zastrzykach?

– Wicedyrektor Narodowego Instytutu Leków, z którym i o tym rozmawiałam, powiedział, że niemieckie przepisy są identyczne jak polskie.

– To skąd profesor miał oxsycodon?

– Musimy zajrzeć do dokumentacji apteki prowadzonej przez Martę Poślednią. Nie wprost, a do jej rozliczeń z kasą chorych. Tam powinna być odpowiedź.

– A co dalej z topielcem? Z młodym Poślednim? – przypomniał Bojko. – Też będzie sekcja? – spytał i sam sobie odpowiedział: – Musi być. Śmierć nastąpiła gwałtownie i z przyczyn niewyjaśnionych.

Nadkomisarz Mrozińska machnęła ręką, jakby ta sprawa jej już nie interesowała, ale to nie była prawda, chociaż prokuratorka uznała utonięcie syna profesora za nieszczęśliwy wypadek. Na podstawie jakich dowodów, tego nie wyjaśniła.

– Gdyby nie nazwisko, pokrewieństwo i mniej więcej ten sam czas śmierci obu Poślednich, powiedziałabym, że nie widzę związku między jednym i drugim zgonem.

– Też tak pomyślałem. I pomyślałem, że dużo więcej wiemy o starszym Poślednim niż o młodym.

– Nie wiemy najważniejszego: kto mu zrobił śmiertelny zastrzyk. Gdybyśmy dowiedzieli się dlaczego, może byłoby łatwiej wytypować sprawcę. Niestety.

– A nie zastanawia cię, dlaczego żywy młody Pośledni wybrał się na wschód, czyli do Jodłowa, a martwy został znaleziony na zachodzie, czyli w Brodach? – splótłszy ręce przed sobą, spytał Bojko. Minę miał taką, jakby był detektywem, a nie aspirantem w sekcji technicznej oddelegowanym na miesiąc do wydziału kryminalnego. – Ilona, połączyłbym oba śledztwa w kierunku: czy ta sama osoba doprowadziła do nagłej śmierci ojca i syna?

– Artur, coraz bardziej mi się podobasz. Jako mężczyzna także.

Zielonagóra, os. Kwiatowe,
czwartek, w południe

W tym samym czasie Natasza rozmawiała ze Staśkiem w ogrodzie. Przyszedł na osiedle dlatego, że latem zawsze przychodzi w czwartek przed południem. To dzień koszenia trawy i sprzątania wokół domu Poślednich. Prawda, dwa tygodnie temu, nie przyszedł ani w czwartek, ani w piątek. Dopiero w sobotę się pojawił, ale był jeszcze tak skacowany, że nawet nie włączył kosiarki, tylko napił się wody i do wieczora spał na leżaku między świerkami. Od niedzieli nie wypił nawet najtańszego piwa, bo nie miał za co. I nic nie robił aż do czwartku przed powrotem profesora na Kwiatowe. Tego dnia kosił trawę dwa razy dłużej, taka urosła wysoka i gęsta. W pojemniku na śmieci się nie mieściła.

– Czy ktoś może to potwierdzić? – spytała policjantka.

– Kto? Tylko on. – Staśko pokazał na dom po drugiej stronie ulicy. – On i teraz nas fotografuje i podsłuchuje. Ma taki mikrofon. Wszyscy na osiedlu wiedzą, że to skurwysyn. Po prostu pierdolony kapuś.

– Kapuś? – Zrobiła pytającą minę, chociaż dobrze wiedziała, czym zajmuje się Nogal.

– Pierdolony kapuś i tyle pani powiem. U takiego nigdy bym nie pracował.

– A inni sąsiedzi?

– Za świerkami – odwrócił się i machnął ręką– jest dom takiego jednego. Nawet jak człowieka pierwszy raz widzi, to dzień dobry powie. Z psem chodzi do lasu. Zaraz na początku, jak dostałem robotę, zapytałem profesora, co on za jeden. Profesor machnął ręką. Pani profesorowa powiedziała, że to weterynarz od leśnych zwierząt. Już na emeryturze. Bardzo miły pan, Stasiu. Wszyscy na mnie wołają Staśko, a pani profesorowa Stasiu. Stasiu, przynieś. Stasiu, pozbieraj. Stasiu to, Stasiu tamto. Mnie tam wszystko jedno, byle było co.

– Weterynarz?

– U niego nie robiłem.

Tyle policjantka dowiedziała się przedwczoraj.

– Widział pan, żeby ktoś go odwiedzał?

Staśko spytał, czy policjantka ma papierosy. Odkąd Natasza pracuje w pionie kryminalnym, zawsze ma w torbie zapalniczkę i winstony niebieskie. Tak poradził jej komisarz Syski.

– Dwa można?

Kiwnęła głową.

Staśko natychmiast wetknął papierosa do ust i go zapalił, po czym zaciągnął się dymem, przymknął oczy i milczał.

Znam to uczucie, przypomniała sobie lata, gdy wypalała więcej niż paczkę dziennie. Wtedy mogła nie jeść, nie pić, ale palić musiała. To było silniejsze od głodu i pragnienia.

– Nie odpowiedział pan, czy ktoś odwiedza weterynarza – przypomniała, wskazując głową dom za świerkami.

– Pyta pani o kobiety?

– Miałam na myśli tak w ogóle odwiedzających.

– Czasem po południu przed jego domem stoi seat ibiza. Kolor

srebrny. Dobrze utrzymana. Numeru rejestracyjnego nie pamiętam. Gdybym miał takie auto...

– Zna pan jej właściciela?

– Profesorowa mówi, że zastępca nadleśniczego z Zatonia. Jego kolega. Zanim weterynarz przeszedł na emeryturę, był kierownikiem schroniska dla chorych zwierząt. Profesorowa mówi, że pewnie siedzą i wspominają stare czasy. Chyba nie piją, bo jak po pijaku jechać autem? A może po kieliszeczku.

Policjantka przestała notować to, o czym tak barwnie mówił Staśko. A on już zapalił drugiego papierosa. Nawet nie zaciekawiła się, gdzie go szukać, gdyby Ilona Mrozińska znalazła poszlaki i uznała, że Staśko mógłby pomóc w ich wyjaśnieniu.

– To w podzięce. – Wyjęła z torby napoczętą paczkę winstonów.

Zielonagóra, ul. Wąska,
czwartek, wczesnym popołudniem

Może ból był nie do wytrzymania i dlatego profesor Pośledni sam zrobił sobie zastrzyk? Doktor Kamińska opowiadała Ilonie Mrozińskiej, że zna takich mężczyzn, którzy mdleją na widok strzykawki, ale gdy ból zaczyna wykrzywiać im twarz, godzą się na wszystko, byle przestać cierpieć. Wtedy lekarze najczęściej przypisują im środki znieczulające zawierające spirytus. Alkohol rozszerza naczynia krwionośne i powoduje zwolnienie działania komórek mózgowych, co prowadzi do zmniejszenia sprawności umysłowej i fizycznej.

Doktor Trzcinka nie wspominał, żeby w żyłach profesora Pośledniego razem z krwią płynęły promille alkoholu, przypomniała sobie policjantka. Czyli był świadomy tego, co miał zamiar zrobić. Jeżeli wstrzyknął sobie oxsycodon, to z powodu bólu nie do wytrzymania i na trzeźwo. A skąd miał strzykawkę? Co tam strzykawka. Skąd miał oxsycodon w ampułkach, skoro docent

Przybyszewski przypisywał mu lek w kapsułkach? A może Pośledni nie wstrzyknął sobie oxsycodonu z własnej woli, tylko ktoś go do tego zmusił? Najpierw wsypał mu do piwa środek otumaniający, potem zrobił zastrzyk. Ten ktoś wiedział, jaka ilość oxsycodonu gasi ognisko bólu i jaka prowadzi do śmierci. Kto to był? Najpewniej ktoś z wykształceniem lekarskim, farmaceutycznym, chemicznym, przyrodniczym. Ktoś z otoczenia Pośledniego. A skąd miał oxsycodon? Setki razy podczas konferencji prasowych nadkomisarz Mrozińska powtarzała, że ludzie mordują dla pieniędzy, z miłości, z pożądania i żeby pomścić czyjąś krzywdę. Ale gdyby teraz stanęła przed dziennikarzami, nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego ktoś doprowadził profesora do śmierci. Odrzuciła miłość i pożądanie jako powód. Zostały pieniądze i krzywda. Zastanawiała się, co Pośledni wiedział i czego nie chciał łub nie mógł ujawnić, że musiał umrzeć. A jeżeli to była zemsta? Czyja i dlaczego?

Nadkomisarz jeszcze raz przeglądała protokoły zeznań spisane przez Nataszę Woźniak-Araszkiewicz. Było w nich to, co powiedział emerytowany weterynarz i co zapisał w swoim kalendarzu Edward Nogal, skrupulatny pułkownik żandarmeri wojskowej w stanie spoczynku, dorabiający w straży granicznej, codziennie obserwujący sąsiadów przez lornetkę, robiący im zdjęcia i podsłuchujący rozmowy. W piątek w samo południe Pośledni, otworzywszy bramę pilotem, wjechał czarnym mercedesem 160 cdi 90 do garażu pod swoim domem. Z bagażnika wyjął sześć pakunków różnej wielkości i dwie torby podróżne: czerwoną z napisem na rączce Kevin Clein i zieloną z nalepką *Hier scblüpfen Führungskrafte aus.* Cztery godziny później białym mitsubishi przyjechał Alan, syn profesora z pierwszego małżeństwa. Po dwudziestu siedmiu minutach wybiegł z domu. Był cholernie zdenerwowany. O siedemnastej piętnaście na ulicy, blokując część chodnika, zatrzymał się srebrzysty passat z rejestracją drezdeńską. Wysiadł z niego szpakowaty pięćdziesięciolatek. Chwilę rozglądał się, jakby sprawdzał, czy ktoś go obserwuje. Nie zwrócił uwagi na okno domu po przeciwnej

stronie ulicy, zza którego podpatrywał go Nogal. W domu Pośledniego był dokładnie godzinę. Wszedł z pustą torbą podróżną feldgrau marki Thule, wyszedł z pełną, zapiętą na zamek błyskawiczny z breloczkiem w kształcie sześcioboku, na którym były litery układające się w znak graficzny TU. W sobotę przed wieczorem przyjechała Marta,, córka profesora z drugiego małżeństwa. Była z blondynką krótko obciętą. Blondynka siedziała za kierownicą. Wedle Nogala to homoseksualistka. Kiedy Marta poszła do domu rodziców, blondynka zapaliła papierosa marki Club. Po pięciu minutach Marta wybiegła na ulicę i wskoczyła do samochodu, jakby czegoś się wystraszyła.

– Była tam jeszcze jedna osoba – powiedział starszy sierżant sztabowy, który na tygodnie oddelegowania Artura Bojki do wydziału kryminalnego, zajął jego miejsce w sekcji technicznej i nie został zwolniony z obowiązków spoczywających na fotografie.

– Natasza pisze o trzech. Czyżby kogoś pominęła? Nie wierzę. Jej takie rzeczy się nie zdarzają.

– Na pewno była jeszcze jedna osoba.

– Profesorowa? Zona młodego Pośledniego?

– Ta, która sprząta. Jagoda Bojko – powiedział ciszej. – Ją wziąłbym pod obserwację, tym bardziej że chodziła do szkoły pielęgniarskiej. W trzeciej klasie przerwała naukę.

– Dlaczego przerwała?

– Z powodu ciąży.

– Jagodę Bojko sierżant Woźniak zdecydowanie wykluczyła z grona podejrzanych.

– A dlaczego, pani nadkomisarz? – spytał prowokacyjnie. – Może dlatego, że jest szwagierką policjanta? Właśnie dlatego powinno się ją dokładnie przemaglować.

Ilona Mrozińska także wiedziała, że fotograf jako wice-przewodniczący związku zawodowego, a kiedyś jeden z najlepszych kolegów Artura Bojki, teraz z nim walczy. Zaczęło się od kursu dla informatyków śledczych w Katowicach, na który komendantka go

nie wysłała, mimo że przewodniczący związku tego się domagał. Po takim przeszkoleniu fotograf wreszcie dostałby się do korpusu oficerów, na czym bardzo mu zależało. Niedługo po powrocie z kursu Bojko pojechał do międzynarodowego centrum policji brandenburskiej w Oranienburgu, co oznaczało, że za kilka lat będzie wśród kandydatów na międzynarodowego łącznika policji.

– Nogal miał nocną zmianę z soboty na niedzielę.

O osiemnastej wyjechał z domu, żeby godzinę później zluzować zmiennika. Po dwunastu godzinach wrócił na osiedle. To jest ten czas, kiedy nie obserwował osiedla.

Nadkomisarz już chciała go spytać, skąd to wie, gdy nagle przyszło jej na myśl, że lepiej nie przedłużać rozmowy z fotografem. Podejrzliwy jak większość policyjnych związkowców. Przypuszczenie bierze za pewnik. Poszlaki traktuje na równi z dowodami. W sprawach kryminalnych jest amatorem.

– Wtedy ktoś dostał się do domu Pośledniego i zrobił mu śmiertelny zastrzyk – podsumował swój wywód starszy sierżant sztabowy.

Ilona Mrozińska kiwnęła głową, jakby się z nim zgadzała i dała mu znak, że koniec rozmowy. Gdy wyszedł z pokoju, zadzwoniła do kierownika sekcji techników kryminalistycznych. Od niego usłyszała, że przy biurku w domowej pracowni profesora Pośledniego stał kosz, w nim leżały dwie puszki po piwie Radeberger, bardzo popularnym we wschodnich Niemczech, do kupienia również w zachodniej Polsce. W koszu były także dwie ampułki i zwyczajna strzykawka iniekcyjna. Na jej wewnętrznych ściankach pozostały resztki specyfiku o identycznym składzie chemicznym jak ten, który znajdował się w ampułkach.

– Laboratorium potwierdziło dwa związki chemiczne w organizmie Pośledniego. Pierwszy może być lekiem z grupy benzodiazepin. Bywa stosowany przez ortopedów przed poważniejszymi operacjami. W wolnym handlu nie do zdobycia, chyba że po znajomości. Śladową jego ilość można znaleźć w pigułce

gwałtu, ale mam wątpliwości, czy w przypadku Pośledniego o coś takiego chodziło. Chyba tylko niezrównoważona psychicznie baba miałaby na niego ochotę. Drugi związek to pochodna kodeiny. Lek opioidowy. Preparat narkotyczny występujący pod nazwą oxsycodon. W niewielkich dawkach bywa stosowany jako środek uśmierzający silny ból. Podaje się go doustnie, rzadziej doodbytniczo. Wtedy występuje jako oxycontin. W formie zastrzyku stosuje się go wyłącznie w trakcie leczenia szpitalnego i pod nadzorem anestezjologa.

Większość tych informacji Ilona Mrozińska słyszała od doktora Trzcinki, mimo to nie przerywała kierownikowi sekcji techników, chociaż inne pytania cisnęły się jej na usta.

– Na zewnętrznych ściankach obu ampułek były te same, co na strzykawce, słabo widoczne ślady lini papilarnych. Niestety, w naszym archiwum nie udało się ustalić czyje. Wyglądają na kobiece. Osoba, która je tam zostawiła, mogła wcześniej dotykać czegoś naoliwionego, na przykład rękojeści pistoletu, lub celowo posmarowała dłonie jakimś preparatem wygładzającym skórę. Na przykład tak zwanymi rajstopami w spreju. Do niedawna można je było kupić w lepszych sklepach z odzieżą i bielizną, u nas w Focusie i na Kupieckiej. Teraz bywają w każdej drogeri. Ponieważ nie wszystkie punkty na skórze są wyraźne, dlatego wzięliśmy pod uwagę również mężczyznę. Ślady mógł zostawić ktoś, kto dużo pracuje rękoma, a nie używa rękawic ochronnych, na przykład malarz, posadzkarz, ten, który układa glazurę, ogrodnik. Moi ludzie przymierzali je do lini papilarnych Alana Pośledniego. Nie wykluczają go, ale i nie dają głowy. Odciski palców pobraliśmy ze zwłok, a te przebywały w wodzie od niedzieli do środy. Woda ma niekorzystny wpływ na skórę.

– Dysponujecie programami komputerowymi?

– Co za pytanie? Wyłącznie, pani nadkomisarz. Przeprowadziliśmy elektroniczną analizę odcisków palców. Bez wskazania podejrzanego. Nawet ta technika nie gwarantuje stuprocentowej pewności. Mimo

postępu, na razie w kryminalistyce nie ma metody niezawodnej. Każdy sposób analizy jest tylko interpretacją tego, co odbiera wzrok. Komputer pomaga, ale nie zastępuje człowieka.

– Czyli co, nie jesteście w stanie zdecydowanie wskazać właściciela odcisków palców? Macie wątpliwości, czy należą one do syna Pośledniego, Alana?

– Pani pracuje w kryminalistyce nie od dziś, dlatego nie muszę tłumaczyć, że nawet mając niepodważalne ślady, nigdy na nikogo nie wskazujemy zdecydowanie – odpowiedział szef techników głosem zaczepnym.

– Czyli dupa blada, jak mówi komisarz Syski.

– Niezupełnie.

– Jednak coś macie. Co takiego?

– Poza ampułkami, strzykawką i materiałami do badania daktyloskopowego dysponujemy jasnym włóknem naturalnym. Krótko mówiąc, włosem. Nie należy on do profesora Pośledniego ani do jego syna. Ma cechy włosa kobiecego. Powtarzam, że ma cechy włosa kobiecego, ale i może należeć do mężczyzny. W dolnej części, nazwę to miejsce cebulką, była drobina kleju. Chociaż może to być guma, substancja żelująca lub miękki lakier do włosów. Alan używał kosmetyków, jak na mężczyznę, w nadmiernej ilości i tych droższych. Taka teraz moda.

– Jagoda Bojko sprzątała dom co dwa tygodnie. Wchodziły tam córka i synowa profesora. Zona od czerwca mieszkała w Jodłowie, ale przecież wcześniej dni i noce spędzała na Kwiatowym.

– Na razie badamy włos. Nasz ekspert jest na dziewięćdziesiąt procent pewny, że to włos kogoś, kto nosi perukę. Ma o tym świadczyć odrobina kleju w dolnej części włosa. Przeciąg wydmuchnął włos i osadził go na marynarce Pośledniego. Mogło być tak, że profesor poszedł na jakieś spotkanie i siedział koło kogoś, kto miał perukę.

– Albo Pośledni przebywał w towarzystwie amazonki. Większość kobiet po chemioterapi nosi peruki. – Nie przyznała się, że jej siostra

jest chora na raka.

– Powinna pani wziąć pod uwagę i tę okoliczność, chociaż nie będzie łatwo. Szukanie igły w stogu siana – uznał kierownik sekcji techników. – Jeszcze jedno. Ważne. Nawet bardzo. Pod biurkiem leżał guzik. Nie guziczek od męskiej koszuli czy z rękawa marynarki, a duży metalowy guzik z czarnym napisem Kidel. To nazwa niemieckiej firmy odzieżowej. Sprawdziliśmy w szafie, że profesor Pośledni nie miał niczego, co pochodzi z tej firmy. Może guzik leżał tam od dawna? Może nie? A może marynarkę tej firmy nosił Alan Pośledni? Przeprowadzenie rewizji i przeszukanie szafy pod tym kątem w jego domu byłoby właściwym krokiem.

– Zapisałam. Czy to wszystko?

– Na biurku stały dwa pokale. W obu był napój. I na obu były ślady lini papilarnych wyłącznie Stefana Pośledniego. W jednym pokalu piwa było mniej, w drugim trzy czwarte. W tym, w którym było mniej, znajdował się benzodiazepan, spotykany w pigułce gwałtu.

– To by świadczyło, że sprawcy chodziło o otumanienie Pośledniego. Najpierw go otumanić, a potem.

– Moja hipoteza jest taka. Mogę?

– Słucham.

– W pokoju przebywały dwie osoby. Jedna przyszła z piwem, rozlała je do dwóch pokali przyniesionych przez Pośledniego, dlatego na ściankach są tylko odciski jego palców. W jakimś momencie ta druga osoba czymś odwróciła uwagę Pośledniego i wrzuciła pigułkę gwałtu do piwa. Potem poprosiła Pośledniego, żeby wziął szklankę z biurka, a sama patrzyła, jak on pije. Po kilku minutach środek zaczął działać. Wtedy zrobiła mu zastrzyk z oxycodonu.

– Jesienią zeszłego roku byłam w Szczytnie na konferencji okołonaukowej. Poza fachowymi tematami dużo mówiono o wykorzystaniu nowoczesnych metod prochemicznych w śledztwach. Między innymi o osmologi. Brał pan to pod uwagę?

– To jest metoda bardziej teoretyczna niż praktyczna. Przede wszystkim budzi wątpliwości sądów. Polega na pobieraniu zapachów. Taka daktyloskopia dla wrażliwych nosów. Człowieka, który nie widzi śladów, nie jest łatwo przekonać do zapachu, szczególnie że w większości sędziami w sądach karnych są mężczyźni. Dlatego bardzo rzadko pobieramy zapachy. Może tym razem trzeba było to zrobić – powiedział szef techników, jakby zgadzał z nadkomisarz Mrozińską. – Teraz za późno. Zresztą w pokoju Pośledniego było tyle zapachów, że miałbym problem, na który się zdecydować.

– Szkoda.

– Innych śladów mamy aż za dużo. Na pewno winny stanie przed sądem. Kiedy? To zależy od pani i od prokuratora. Więcej od prokuratora.

– Oby miał pan rację – rzuciła nadkomisarz Mrozińska, podziękowała mu za informacje i odłożyła słuchawkę.

Zielonagóra, ul. Przycmentarna,
piątek, wczesnym przedpołudniem

Już wczoraj wieczorem Neimann próbował dodzwonić się do Tomczyszyna. Chciał z nim porozmawiać nie tyle jak z mężem siostrzenicy, lecz jak z zastępcą prokuratora okręgowego nadzorującego śledztwo dotyczące śmierci obu Poślednich. Dłużej nie może odwlekać. Musi zrobić to teraz. Jutro może być o dzień za późno, tym bardziej że, jak mu powiedziała Bożena Pośledna, redaktor Jung przepytuje sąsiadów i na podstawie ich spostrzeżeń próbuje odtworzyć to, co się działo na osiedlu Kwiatowym w piątek i sobotę zeszłego tygodnia. Neimann jest pewny, że na razie Jung niczego odkrywczego nie napisze w „Gazecie Zielonogórskiej", bo

formalnie jest na urlopie, a brat nad (wszystkim czuwa w redakcji, ale przecież coś może mu się wymknąć spod kontroli. Monika Chuda jeszcze w zeszłym roku obiecała Neimannowi, że przeniesie Junga do działu sportowego albo łączności z czytelnikami. Próbowała, lecz nic z tego nie wyszło. Za delikatna i nie ma siły przebicia. Najpierw trzeba wysadzić Krupę z gabinetu redaktorki naczelnej. Na ten temat Neimann rozmawiał z Gremplerem. Prezes obiecał mu, że będzie o tym pamiętał, ale jest przeciwnikiem robienia zmiany tylko dla zmiany. Junga nie zastąpi pierwszy lepszy absolwent dziennikarstwa czy polonistyki. Nawet pismak po prawie musi długo popraktykować, żeby pisać tak, jak to robi Jung. Pisanie to jedno, drugie to wiedza, znajomości i jeszcze coś, czego nie uczą w żadnej szkole. Z czym trzeba się urodzić i umieć to zastosować.

– Wróbelki na sosnach wokół stadionu ćwierkają, że jak krew z nosa idzie ci ze sprawą profesorka i tego, jak mu tam, utopca Alana – rzucił Neimann na rybkę.

– Ażeby stryjek wiedział. Skomplikowane śledztwo.

– Stryjek, stryjek. Stryjek to jestem dla twojej żonki. Dla ciebie: Waldemar. Waldek.

– Najbardziej skomplikowane śledztwo w mojej dotychczasowej karierze. – Chciał dodać: stryjku albo Waldku, ale się wstrzymał. Był pewny, że nie przejdzie mu to przez usta. – I jeszcze ta cholerna szarada z kostkami w pałacu na Zatoniu.

– Czyżby miało to jakiś związek z którymś Poślednim?

– Wykluczone. Tyle że jak zawsze latem brakuje ludzi do czarnej roboty. Jedni prokuratorzy jeszcze na urlopach, inni już na szkoleniach. Dwóch starych wyjadaczy przeszło do adwokatury, bo tam każdy jest sam sobie żeglarzem i okrętem, a pieniądze dużo większe niż u nas. Dostałem dwójkę stażystów, ale na razie pożytku z nich tyle, co ze ślepego za kierownicą.

– Takie jest życie. Wierzę, że jednak sobie poradzisz. Były poważniejsze sprawy i tryumfowałeś. Nie masz jeszcze trzydziestki, a już jesteś zastępcą szefa okręgówki – pochwalił go Neimann. – Za

Poślednich dostaniesz premię. Co tam premia! Jak nic przeniosą cię do Regionalnej albo i do Krajowej, czego ci szczerze życzę.

– Są dwa wyjścia. Albo detektywi Mrozińskiej odkryją przypadkowo coś, na co jeszcze nie natrafili, i wtedy rzeczywiście dostanę kopa w górę.

– Albo?

– Albo będzie dreptanie w miejscu i szlaban na awans – odpowiedział Tomczyszyn wyraźnie skwaszony.

– Jest trzecie wyjście.

– Trzecie? Stryjek żartuje. Nie przyzwyczaję się do tykania – usprawiedliwiał się Tomczyszyn, ale zaraz powiedział, jakby się przełamał: – Coś słyszałeś, Waldek, i dlatego dzwonisz? Podziwiam cię. Tyle lat w odstawce, a ty jak dawniej i ciągle na posterunku. Brawo.

– Czy wziąłeś pod uwagę to, że sprawcą mógł być syn profesora?

– Tego nie da się udowodnić.

– O ile wiem, dotąd tej hipotezy nie odrzuciłeś. Inni podejrzani mają mocne alibi. Uwierz staremu wyjadaczowi, że będzie trudno postawić kogoś przed sądem. Zresztą po co szukać winnego? Sprawcą był syn profesora. Sprawca nie żyje. Proste jak drut. Jaką decyzję prokurator ma prawo podjąć, gdy domniemany sprawca nie żyje?

– Umorzenie śledztwa, stryjku, to ostateczność. Umorzenie nikomu nie przynosi chwały. Umorzenie oznacza bezradność organów śledczych. Wolałbym tego nie robić. Jestem pewny, że policja wniesie zażalenie. Wyjdę na dudka.

– A ja, gdybym był na twoim miejscu, poważnie bym się nad tym zastanowił. Dla własnego spokoju. – Po chwili dodał: – I być może kariery.

Zielonagóra, ul. Wąska,
piątek, przed południem

Dopiero teraz Ilona Mrozińska doszła dó wniosku, że szef techników kryminalnych nie napomknął o telefonie. Czyżby profesor Pośledni nie miał komórki? To niemożliwe w dwudziestym pierwszym wieku. Mógł uznać tablet czy smartfon za zbędny, ale musiał mieć telefon. Jeżeli nie droższy i nowoczesny, to najtańszy, z dużymi znakami na klawiaturze, jakie wnuki kupują swoim dziadkom. Tylko do prowadzenia rozmów i przyjmowania esemesów. Nadkomisarz bywała w takich domach, gdzie nie było telewizora i radia, ale komórki miały nawet babcie i przedszkolaki. Nikt nie musiał ich przekonywać, jakim dobrem jest komórka. To nie gadżet. Współczesny człowiek bez telefonu w zasięgu ręki jest skazany na wykluczenie ze świata rozumnych ludzi.

Siedząc za biurkiem w swoim pokoju, nadkomisarz starała się wyświetlić w kinie pamięci to, co przyciągnęło jej wzrok wtedy, kiedy weszła do gabinetu Pośledniego. Denat leżał na kanapie, odwrócony plecami do środka pokoju. Nogi po kolana miał przykryte kocem. Spośród obrazków zawieszonych na ścianie policjantka zwróciła uwagę na ten, który przedstawiał mężczyznę w słomkowym kapeluszu i rozpiętej koszuli z krótkim rękawem, pochylonego nad czymś, co mogło być wykopanymi z ziemi okruchami garnka. Po przeciwnej stronie stały regały uginające się pod ciężarem książek z polskimi i obcojęzycznymi tytułami na grzbietach. Środkową półkę wypełniały statuetki, pucharki i srebrzący się krzyż. Stojące na parapecie dwie doniczki ceramiczne z purpurowymi cyklamenami zapamiętała dlatego, że takimi kwiatami był wypełniony jej bukiet ślubny, który zasuszyła i potem wetknęła za monidło w sypialni. Na szczęście. Obok cyklamenów zielenił się wilczomlecz, w plastikowej doniczce wsuniętej do większego naczynia, jakie widziała w muzeum archeologicznym. Przypomniała sobie, że w czasie kwitnienia wilczomlecz wydziela olejek drażniący pęcherzyki płucne. Podeszła wtedy do parapetu, pociągnęła nosem, ale nie poczuła zastanawiającej woni. Na środku stylowego biurka drzemał rozdziawiony laptop, taki sam jak ten, który teraz przed nią

stoi. W niewielkiej odległości od niego były dwie szklanki z czymś żółtym. Wtedy pomyślała, że to napar z ziółek łub cienka herbata. Na prawo od komputera tkwił kubek z długopisami, z lewej pod lampką przykucnęła misa w białe ciapki, identycznie jak te, które były na doniczce stojącej na parapecie. W misie leżały dwa nieotwarte listy ze znakiem Technische Uniwersität Dresden i grudki metalu albo odżelazione kamienie. A gdzie komórka?

Zadzwoniła do Aliny Pośledniej.

– Czy pani teść miał telefon komórkowy?

– Naturalnie – odpowiedziała Poślednia zdziwiona pytaniem. – Teść kochał się w nowinkach technicznych. Zanim u nas pojawiły się komórki, teść kupił sobie pager w Berlinie. Każdemu, z kim rozmawiał, chwalił się tym aparatem. Potem zmieniał telefony szybciej niż kochanki.

– Dobrze zrozumiałam: kochanki?

– Nie powinnam tego mówić, ale przed panią już nie mam zamiaru niczego ukrywać. Teść był bardzo kochliwy.

Mrozińska uznała tę informację za niemającą większego znaczenia w śledztwie, chociaż dającą dużo do myślenia.

– Jakim telefonem teść posługiwał się ostatnio? Chodzi mi o nazwę, markę, wygląd?

– Jakim? Chwileczkę. – Policjantka słyszała, że Poślednia komuś powtórzyła pytanie. Po kilkudziesięciu sekundach usłyszała: – Smartfon Samsung galaxy, siódemka. Andżelika, moja córka mówi, że dziadek, to znaczy teść, w połowie przyszłego roku miał zamiar kupić sobie jeszcze nowszy model, ósemkę, a ten obiecał jej sprezentować.

– Czy pani pamięta numer telefonu teścia? – Poślednia znowu powtórzyła pytanie córce. Mrozińska domyśliła się, że Andżelika wciska guziczki komórki. Potrwa to chwilę, a jej się spieszy. – Najlepiej będzie, pani nadkomisarz, jak przekażę telefon córce. Ona podyktuje pani numer.

Andżelika powiedziała policjantce to, o co ją poprosiła matka, i

dodała od siebie, że z każdego miasta czy z wykopaliska dziadek przysyłał jej MMS. Ostatnio z Bluna pod Sprembergiem.

– Dziadziuś przekonywał mnie, że po maturze powinnam studiować archeologię.

Nadkomisarz podziękowała dziewczynie za informacje. Przecież nie będzie jej pytała, kiedy ostatni raz widziała dziadka i czy wie, co się stało z jego telefonem. Sam aparat nie interesował policjantki. Chodziło o to, z kim Pośledni rozmawiał po powrocie z Niemiec i z kim najczęściej się kontaktował. Z żoną? Z córką? Z synem? Z którą kochanką? Trzeba będzie sprawdzić billingi. Artur Bojko robił to wiele razy, zrobi i teraz, postanowiła, ale w ostatniej chwili zmieniła decyzję.

– Koleżanko sierżant – rzuciła do słuchawki, gdy odezwała się Natasza Woźniak – trzeba dowiedzieć się, do kogo w miniony piątek dzwonił Pośledni. To pierwsze zadanie. Drugie: kto się z nim kontaktował. Może wysyłał esemesy, ememesy i takie tam.

– Który Pośledni?

Ilona syknęła ze złością, gdy zdała sobie sprawę z tego, że przecież jest ojciec i syn, ale żeby w oczach podwładnej wyjść z twarzą, powiedziała:

– Obaj. Na początek starszy.

Zielonagóra, ul. Wąska,
piątek, przed południem

Jutro minie tydzień od śmierci Stefana Pośledniego, a jeszcze nikt z Wyższej Szkoły Archeologi nie zadzwonił do komendantki lub jej zastępcy z zapytaniem, co policja ustaliła, jakby rektor przestał się liczyć. Gdy zaginął uniwersytecki profesor Witkowski, twórca nowej metody wytwarzania implantów ortopedycznych, sekretarz marszałka telefonował do komendy co dwie, trzy godziny. Wojewoda sam sprawdzał, co policja już ustaliła, i przypominał, jaka jest

procedura. Posłowie parti opozycyjnej nawet domagali się odwołania komendantki i obu jej zastępców, a naczelnika wydziału kryminalnego zastąpienia kimś młodszym. Wiceminister nadzorujący policję kazał komendantowi głównemu wyznaczyć wysoką nagrodę za informację o miejscu pobytu profesora Witkowskiego. Na Wąską dzwonili ludzie łasi na pieniądze, ale nic konkretnego nie wynikało z ich donosów. Dwa razy dziennie komisarz Syski meldował się w gabinecie zastępcy komendanta, wyjaśniał, co już zrobił i co jeszcze ma w planie. Mimo to człowiek przepadł jak kamień w wodę. Nie było pilniejszej sprawy niż odnalezienie profesora Witkowskiego.

– Gdyby nie wakacyjne zainteresowanie redaktora Junga gubeńskim Plastinarium i wbrew zakazowi zrobione tam zdjęcie, pewnie nie udałoby się wyjaśnić, gdzie i dlaczego zaginął Witkowski. To co, policja znowu ma się zdać na dziennikarza?

– Wykluczone – zdecydował zastępca komendanta.

Ten, przed którym Ilona Mrozińska stała, niedawno zajął gabinet na pierwszym piętrze. Jeszcze nie znał wszystkich najważniejszych osób w Zielonejgórze, a do dziennikarzy miał stosunek ambiwalentny. To znaczy lubił, gdy wychwalali policję, i pienił się, bluzgając kurwami, chujami, pizdami, skurwysynami, kutasami, cipami, jebakami, kurwiszonami, gdy ją krytykowali.

– Może mi komisarz wyjaśnić, ale tak normalnie, bez tych wszystkich koszałków-opałków, dlaczego nasze drogi i tego pismaka Junga tak często się nakładają?

– One się nie nakładają ani nie krzyżują, inspektorze. One biegną obok siebie jak pasy na autostradzie, najczęściej w tym samym kierunku. Rzadko kiedy bywa odwrotnie – powiedziała nadkomisarz Mrozińska po chwili milczenia. Domyślała się, że zastępca komendanta na nią naskoczy, tylko nie spodziewała się, że to będzie tak wcześnie. – Redaktor Jung to nie jest zwyczajny pismak. Jego nie można zadowolić byle jaką informacją rzeczniczki prasowej i resztę zastawić parawanem tajemnicy służbowej. On się na to nie da

nabrać, inspektorze. Jung jest reporterem śledczym z doświadczeniem zdobytym w policji.

– Jakiej policji? Co mi komisarz, kurwa, tu produkuje?

– Daniel Jung, szefie, pracował w naszej komendzie. W pionie kryminalnym. Wykrył coś. Wolałabym o tym nie mówić.

– Aha, wykrył – rzucił gorzko zastępca. – Dalej, no, dalej, kurwa.

– Chyba już wszyscy w komendzie przekonali się, że kto nie jest przeciw Jungowi, ten dobrze na tym wychodzi. Poprzednik szefa bardzo go cenił. Prokurator Ostrouchy starał się nie wchodzić mu w drogę. I też dobrze na tym wyszedł, jeżeli weźmie się pod uwagę to, czyje miejsce zajął w prokuraturze regionalnej.

– Co mi tu komisarz pierdoli?

– Szefie, proszę liczyć się ze słowami.

– Syski też z tym Jungiem, tego... no?

Mrozińska nie przyznała się, że ceni Daniela tak samo jak naczelnik Syski. Mało tego, ufa mu i kiedy tylko może, a nie jest to zabronione, przekazuje sygnały lub kieruje go na ścieżki, gdzie znajdzie to, czego szuka. Jest za co okazywać wdzięczność. Przecież gdyby Jung nie naprowadził policjantów na ślady zostawione przez Szajbusa, jak politycy opozycyjni mówili o byłym pośle i bracie przyrodnim wicewojewody, prokurator nigdy nie postawiłby[1] go przed sądem. Kto rozwiązał zagadkę śmiertelnego postrzelenia Krystyna Kunickiego? A kto podszepnął Araszkiewiczowi, kiedy zastępował Syskiego, gdzie i kiedy znajdzie zabójcę dyrektora Muzeum Środkowego Nadodrza? Na ślad dusiciela kelnerki z restauracji Topaz także naprowadził go Jung. Najpierw naprowadził i dopiero potem opisał w „Zielonogórskiej". To takiemu nie pomagać? Takiego lekceważyć? Z takim się nie zadawać?

– Przypuszczam, że w sprawie dotyczącej śmierci starszego Pośledniego redaktor Jung mógłby okazać się bardzo przydatny.

– Zabraniam.

– Panie komendancie.

– Kurwa mać!

– Ten dziennikarz był ostatnią osobą, z którą kontaktował się Stefan Pośledni. Jeszcze na początku sierpnia redaktor Jung umówił się z profesorem na rozmowę. Przeprowadzenie wywiadu zostało zaplanowane na miniony poniedziałek, na drugą po południu.

– Dowiedziała się komisarz, o czym dziennikarz miał z nim rozmawiać?

– Redaktor Jung przygotowuje publikację na temat grodziska cywilizacji łużyckiej w Wicinie, zniszczonego przez Scytów trzy tysiące lat temu. I o pochodzącym z tamtego czasu skarbie scytyjskim, znalezionym na polu w pobliżu Witaszkowa.

Zastępca komendanta nie orientował się, gdzie leżą Wicina i Witaszkowo. Nigdy nie słyszał o Scytach, ale do tego się nie przyznał. Mrozińska wiedziała tyle, ile powiedział jej Jung. Obiecała sobie, że w wolnym czasie zajrzy do internetu. Dotąd tego nie

zrobiła.

– Daję komisarz czas do poniedziałku. Młodego Pośledniego, świeć Panie nad jego duszą, już nie da się przycisnąć. – Zastępca zrobił ręką znak krzyża w powietrzu. – Została jego siostrzyczka. Marta czy jak jej. Ta popierdolona lesba. Ona musi coś wiedzieć, kurwa. Była na Kwiatowym? Była. Sama? Nie. To i tę jej kochanicę na czterdzieści osiem. Wolno nam? Wolno. A teraz, kurwa, do roboty. Meldować mi, jak idzie śledztwo. Odmaszerować, komisarz. Z tym pismakiem, kobieto, daj sobie spokój – rzucił za Iloną, gdy chwytała klamkę.

Jeszcze stojąc przed zastępcą komendanta Mrozińska zdecydowała, że po wyjściu z jego gabinetu zadzwoni do Barbary Libery. Psycholożka nigdy jej nie odmówiła, to ją zaprosi do komendy, zwoła odprawę i opowie wszystko, czego policjanci dowiedzieli się o obu Poślednich. Prawda, wiedzą nie za dużo. Najgorsze jest to, że nikt nie domyśla się, kiedy i kto zrobił śmiertelny zastrzyk profesorowi. Nie mogło to się stać w Niemczech. Chociaż doktor Trzcinka nie wykluczył działania oxsycodonu z opóźnieniem. Ale przecież Pośledni wiedziałby o tym. Chyba że to nie był zastrzyk, a jakiś proszek o podobnym działaniu wsypany do piwa. Kto go wsypał? Dlaczego? Policyjni detektywi wzięli pod uwagę wszystkie osoby, których nazwiska zapisał pułkownik Nogal. Nie wykluczyli Alana. Nikomu niczego nie dowiedli. A jeśli Nogal wcisnął nam ciemnotę? Były żandarm wojskowy sprawdzał, czy damy się nabrać. Bo czy to normalne, żeby zdrowy mężczyzna całymi dniami podglądał swoich sąsiadów przez lornetkę? Może trzeba obserwować Nogala? Może on zrobił śmiertelny zastrzyk? Należy wezwać go do komendy pod byle pretekstem i dokręcić mu śrubę tak, żeby pamiętał o nas do grobowej deski. Najpierw jednak poradzę się psycholożki, postanowiła nadkomisarz.

W notesie nie miała bezpośredniego telefonu do doktor Libery, poprosiła więc telefonistkę w centrali uniwersytetu o połączenie z zakładem psychologi, a najlepiej od razu z psychołożką.

– Do połowy września wszyscy pracownicy instytutu psychologi przebywają na urlopach wypoczynkowych – usłyszała. Obawiając się, że telefonistka na tym zakończy rozmowę, nadkomisarz Mrozińska szybko się przedstawiła. – O iłe jestem zorientowana, profesor Libera przebywa na wczasach w Złotych Piaskach w Bułgari. Wróci za... Którego dziś mamy? Piątek, czwarty dzień września. Profesor wróci w środę. Na uczelni będzie jednak dopiero w następną środę.

Zielonagóra, ul. Partyzantów,
piątek, po południu

– Jest postanowienie kierownictwa prokuratury – rzucił Tomczyszyn, usadowiwszy się w fotelu na wprost Ilony Mrozińskiej. Nie powiedział, że on tak zdecydował. Zawsze zasłaniał się grupą, jakby się bał, że to, co podpisał, zostanie podważone i on nie będzie umiał obronić swojej decyzji. Ze się ośmieszy. Zupełnie inaczej zachowywał się jego poprzednik.

– Postanowienie kierownictwa? W jakiej sprawie? – spytała nadkomisarz, mimo że nie miała wątpliwości, o czym mówił prokurator. Był młody, przystojny i bez doświadczenia, więc lubiła się z nim droczyć. Najczęściej wygrywała z nim wtedy, gdy czuł się niepewnie.

– Postanowienie prokuratury dotyczy umorzenia śledztwa w sprawie śmierci Stefana Pośledniego, tego profesora od archeologi – wyrecytował Tomczyszyn, nie patrząc na policjantkę. – Postanowienie nie podlega zaskarżeniu.

Prokurator spodziewał się protestu, a Mrozińska podniosła obie ręce, jakby się poddawała. Nawet się lekko uśmiechnęła. Zachowała się identycznie, jak niekiedy robił to Syski. Komisarz również podnosił ręce, o nic nie pytał, czasem mówił, że ma o jedną sprawę mniej do wyjaśnienia i jeżeli w najbliższych dniach nikt nikogo nie

zaciuka, wreszcie pojedzie z żoną w góry, co jej obiecywał dwa lata temu.

– Czyżby tym razem nie interesowało pani uzasadnienie? – zdziwił się Tomczyszyn przyzwyczajony do tego, że ile razy Mrozińska zastępowała Syskiego, a on przekazywał jej identyczną decyzję, tyle razy domagała się podania podstawy prawnej, chociaż zawsze wiedziała, który paragraf prokurator uznał za węzłowy.

Odpowiedział mu zaczepny uśmiech.

Zaraz po rozmowie z szefem techników Mrozińska starała się dokładnie przeanalizować zebrany materiał. Zdaniem patomorfologa Stefan Pośledni nie żyje od piątkowego wieczoru. Od tego dnia do poniedziałku do domu na Kwiatowym na pewno weszły cztery osoby. Rysopisy trzech Nogal udostępnił Nataszy Woźniak-Araszkiewicz. Czwartą była Jagoda Bojko, która w poniedziałek przyszła posprzątać mieszkanie. Jednak[7]powinnam wyłączyć Artura z udziału w śledztwie, pomyślała. Sam mi to podpowiedział. Jeszcze ktoś wyciągnie na wierzch, że jego brat był mężem Jagody. Dziennikarze, gdy się o tym dowiedzą, a koligacji rodzinnych nie da się ukryć, nie zostawią suchej nitki na policji. Zastępca komendanta będzie rzucał kurwami i pogoni mnie z komendy jak burą sukę. On tylko czeka na takie wpadki. Ale przecież w nocy z piątku na sobotę Nogal miał służbę, wtedy nie obserwował osiedla. Poza wiadomymi osobami jeszcze ktoś mógł dostać się do domu Pośledniego. Nie z ulicy, a przez płot do ogrodu. To mógł być morderca. Spośród trzech osób, które weszły do domu w piątek i sobotę tylko jedna umiała zrobić zastrzyk. Alan Pośledni. Dwa lata studiował na wydziale lekarskim. Miał dyplom ratownika medycznego. Marty też nie wolno wykluczyć. Zanim skończyła farmację, była w szkole pielęgniarskiej. A ten trzeci w grafitowej marynarce? Jego Nogal widział przed wyjazdem do pracy.

– Alan?

– Alan.

– To zbyt proste. Doświadczenie mi podpowiada, że ani Alan, ani

nikt, kogo zaczęliśmy podejrzewać.

– A ja mówię pani, że Alan.

– A jeżeli to nie on?

– On.

– Oskarża pan młodego, bo nie może się bronić. Będzie pan miał na sumieniu niewinnego człowieka.

– Ze statystyk wynika, że sprawcami dziewięćdziesięciu procent zabójstw są bliscy ofiar.

– Statystyczna dorosła Polka, panie prokuratorze, jest blondynką i matką dwojga dzieci. Czy to znaczy, że córka Pośledniego, Marta, jest blondynką i ma dzieci? Czy również znaczy, że Marta Poślednia nie jest Polką? Statystyczny mężczyzna już przed czterdziestką zaczyna łysieć, nie uprawia żadnego sportu i ma nadwagę. Tego nie mogę powiedzieć o panu.

– A co?

– Statystycznie prokuratorzy nie mają racji, o czym świadczą przegrane sprawy w sądach.

– Czasem i tak bywa.

– Panie prokuratorze, do prawego ucha coś mi szepcze, że nie Alan zrobił śmiertelny zastrzyk profesorowi.

– Ale ja przecież... – Tomczyszyn urwał w połowie zdania, jakby zrozumiał, że się pospieszył.

– Alan nie miał powodu zabić swego ojca. Za dużo tracił. Salon przy Kupieckiej prowadził Alan, a właściwie jego żona Alina, ale formalnie lokal i firma należała do Stefana Pośledniego. Od początku podatek płacił nie Alan ani nie jego żona, tylko ojciec. W akcie notarialnym jest podpis Stefana Pośledniego. Identycznie sprawa się ma, jeżeli chodzi o aptekę i drogerię Marty Pośledniej. Honda, którą ona jeździ, jest zarejestrowana na ojca. To samo dotyczy białego mitsubishi FZ ALAN 1.

– Skąd pani tyle wie?

– Sprawdziłam w urzędzie, bo nie mogę znaleźć źródła, z którego archeolog ze stopniem profesora akademickiego czerpał pieniądze.

– I skąd je czerpał?

– Odpowiedzi na to pytanie powinni szukać moi koledzy z wydziału do walki z przestępczością w ogóle, a z gospodarczą szczególnie. Na tapetę powinni wziąć Wyższą Szkołę Archeologi.

– Ciekawa sugestia – wtrącił prokurator.

– Gdybym znała odpowiedź na temat źródła pieniędzy, prawdopodobnie nie podjąłby pan decyzji o umorzeniu śledztwa.

– No, no. Co dalej?

– Idę o zakład, panie prokuratorze, że zabójcą jest ktoś z bliskiego otoczenia profesora. Ktoś, kto wiedział, że Pośledni ma chory kręgosłup i łyka kapsułki oxycodonu czy tego drugiego leku. Kto bywał u niego w domu.

Albo kto gościł go w swoim domu. Albo z kim gdzieś przebywał. Na przykład na wykopaliskach lub w szpitalu. Ale nie Alan.

– A co to coś szepcze do pani lewego ucha?

– Do lewego ucha coś mi mówi, żeby jednak przeszukać garderobę Alana Pośledniego. Jeśli przy marynarce, którą miał na sobie w piątek, będzie brakowało metalowego guzika z napisem Kidel, mamy sprawcę.

– Proszę wystąpić o zgodę na przeszukanie mieszkania Alana Pośledniego. Nie powinno być trudności.

– Jest jeszcze jedna strona, panie prokuratorze. – Podniosła palec i oczy. – Stamtąd dochodzi do mnie szept, żeby nie zajmować się Alanem. On nie zrobił tego zastrzyku. Za dużo tracił i...

– W piątek po południu Alan Pośledni wszedł do domu swego ojca. O czym rozmawiali, nie wiemy. Wiemy, że wybiegł na ulicę cholernie zdenerwowany. Ale wiemy też, że Alan uważał, iż ojciec faworyzuje Martę.

– A skąd pan to wie? – spytała zadziornie.

– Wniosek z protokołu przesłuchania Jagody Bojko – powiedział z kamienną twarzą.

– Protestuję. Niczego takiego sierżant Woźniak nie napisała, a jedynie ona rozmawiała z Jagodą i z Martą. Skąd więc pan to wie? –

znowu spytała.

Tomczyszyn nie odpowiedział. Spojrzał na zegar zawieszony nad drzwiami. Policjantka zrozumiała, że za pięć minut wszyscy prokuratorzy, ich sekretarki i osoby wezwane na przesłuchanie muszą wyjść z budynku. W środku zostanie jedynie dyżurny. Tak nakazuje regulamin.

– Prokuratura uznała Alana Pośledniego za tego, który zrobił śmiertelny zastrzyk profesorowi. Ponieważ sprawca przestępstwa również nie żyje, zgodnie z prawem obowiązującym w naszym kraju rozpoczęte śledztwo, dotyczące spowodowania śmierci Stefana Pośledniego, zostaje przerwane i umorzone – prokurator powtórzył to, co obwieścił Mrozińskiej na początku spotkania.

– Pospieszył się pan.

– Działam zgodnie z prawem i w jego granicach.

– Przecież nie ma żadnego dowodu obciążającego Alana Pośledniego.

– Jest coś więcej, pani nadkomisarz – wycedził przez zęby. – Jest daleko idące domniemanie i jest nieboszczyk, a to wystarczy, żeby śledztwo umorzyć.

Policjantka zastanawiała się, jak zachowałby się Jacek Syski, gdyby siedział w fotelu na wprost Tomczyszyna. Zakląłby, walnął pięścią w ławę albo się ucieszył. Mimo że od ponad dziesięciu łat podpisywania listę obecności w wydziale kryminalnym, Mrozińska uważała naczelnika za nieprzewidywalnego. Syski najczęściej podejmował decyzje w zależności od nastroju. Może więc gdyby dziś siedział w fotelu na wprost prokuratora, by go pochwalił i pogratulował odwagi. I pewnie popisałby się znajomością prawa. Gdy brakowało mu argumentów, przypominał łacińskie powiedzonka. Rzuciłby więc: *Nullum crimen sine culpa*[10].

– Podejrzewani każdego, kto miał związek z profesorem w przeszłości i przed jego śmiercią. O dwóch osobach, które wchodziły do domu na Kwiatowym w piątek i sobotę, wiem więcej niż pan sądzi. Na razie nie wykluczam ani Alana, ani Marty. Biorę pod lupę i

inne osoby – mówiła jakby do siebie, ze wzrokiem uniesionym nad głową prokuratora. – Nie jest pan ciekawy, kogo jeszcze biorę pod uwagę?

Tomczyszyn milczał.

– Zastanawiam się nad wszystkimi osobami, z którymi Stefan Pośledni miał kontakt w ostatnich trzech, czterech miesiącach. Nawet studentami i doktorantami.

– Interesujące, ale niewykonalne, pani nadkomisarz.

– Przede wszystkim nie znam motywu zabójstwa. Jagoda Bojko zauważyła brak jakichś naczyń w domu. Czy to dzieło sprawcy zabójstwa, nie wiem. Może Pośledni komuś sprezentował te brakujące naczynia, pożyczył, sprzedał. Dlatego poproszę doktor Liberę o sporządzenie raportu wiktymologicznego. Potem wskazanie domniemanego sprawcy może będzie łatwiejsze, bo wykluczy część podejrzanych osób. Nie twierdzę, że sprawcą nie jest Alan. Twierdzę, że na razie brakuje dowodów jego winy. Wnoszę więc, żeby prokuratura wstrzymała się z umorzeniem śledztwa w sprawie gwałtownej śmierci Stefana Pośledniego. Proszę również, żeby prokuratura wystąpiła do sądu o wydanie zgody na przeprowadzenie przeszukania w domu Alana i Aliny Poślednich. Jeżeli niczego tam nie znajdziemy, będzie tak, jak pan zdecydował. To znaczy śledztwo zostanie umorzone, ale bez uznania Alana Pośledniego za sprawcę.

– Naoglądała się pani nadkomisarz seriali. Może będziemy mieli miejscową mutację CSI: *Kryminalne zagadki Zielonejgóry*? To się pani marzy, co, Mrozińska? Pani nadkomisarz Ilona Mrozińska chce być sławna. Gwiazda – naskoczył na nią Tomczyszyn. – Proszę przyjąć do wiadomości, że dzisiejsza decyzja prokuratury jest ostateczna. To znaczy: nieodwołalna i niezaskarżalna.

– Alan był obibokiem, wałkoniem, pasożytem, lubił się bawić na cudzy koszt. Stefan Pośledni miał go dość, ale to był jego syn, dlatego mu pomagał. Ojciec miał nadzieję, że przyjdzie ten dzień, kiedy syn się zmieni. Powtarzam to, co usłyszałam od Aliny Krysiak-

Pośledniej. Ona też miała dość Alana i jak teść wierzyła, że mąż się zmieni. I, twierdzi Alina, Alan już się zmieniał.

– To, o czym pani mówi, jest bez znaczenia. Śledztwo zostało umorzone. U-mo-rzo-ne, pani detektyw w randze nadkomisarza policji kryminalnej. Zastępca komendanta przyjął decyzję prokuratury, że się tak wyrażę, z zadowoleniem. Koniec końców – stwierdził przekonany, że Ilona Mrozińska więcej się nie odezwie.

Policjantka otworzyła usta, g'otowa nadal go przekonywać, żeby zmienił decyzję.

– Ani słowa więcej! – rzucił prokurator, pokazując ręką na drzwi. Sekundę później dodał, że na ogół kobiece rozumowanie nie ustępuje męskiemu pojmowaniu świata. – Na ogół. Proszę mi wybaczyć, jeżeli panią urażę. – Odczekał chwilę i dopiero wtedy powiedział: – Kobiety, pani nadkomisarz, częściej niż mężczyźni myślą emocjami.

W pierwszym odruchu miała ochotę palnąć, że w obecności kobiet mężczyźni na ogół myślą pewną częścią swego ciała, które ma zdolność powiększania objętości na jedenaście minut, ale uznała to za zbyt chamskie. Zresztą może Tomczyszyn by się roześmiał. Zamiast tego powiedziała: – Założę panu, prokuratorze, sprawę.

– Proszę bardzo – roześmiał się, nic sobie nie robiąc z ostrzeżenia. – W komisji są moi znajomi ze studiów. Nie sądzę, żeby pani miała tam kogoś, kto odważy się wystąpić przeciw mnie.

Zielonagóra, ul. Wąska, piątek, późnym popołudniem

Nadkomisarz Mrozińska siedziała za swoim biurkiem. Nie okazywała tego, ale w duchu cieszyła się z decyzji prokuratora Tomczyszyna. Szykują się dwa wolne dni. Jutro zrobi przepierkę i upiecze szarlotkę. W niedzielę ugotuje lepszy obiad i do wieczora będzie odpoczywała na kanapie przed telewizorem. Z mężem oczywiście. No, chyba że jakiś czubek spróbuje zamącić jej plan

działania na te dni, ale przecież może wyłączyć telefon albo wcisnąć klawisz trybu samolotowego, a jeżeli w poniedziałek zastępca komendanta wezwie ją do siebie, zwali winę na komórkę. Nie zauważyłam, kiedy padła bateria, powie. Telefon przewodowy ma tę przewagę nad komórkowym, że o każdej porze dnia i nocy jest czynny. Ostatniego dnia grudnia zeszłego roku mąż Ilony jako formalny właściciel mieszkania za jej namową napisał podanie do firmy telekomunikacyjnej z prośbą o wykreślenie numeru ze spisu telefonów. Najpierw przedstawicielka firmy odwodziła go od tej decyzji i obiecała obniżkę opłat, potem doszukała się jakichś błędów w podaniu, dopiero gdy Mroziński powołał się na przepisy i stanowczo zażądał pisemnej odpowiedzi, napuszona uznała, że straciła kolejnego klienta.

Od pierwszego kwietnia nikt, kogo nie zna Ilona, nie zakłóca jej domowego spokoju. A bywało tak, że nawet późnym wieczorem odzywał się dzwonek i osóbka po drugiej stronie namawiała ją do spędzenia cudownego tygodnia gdzieś nad ciepłym morzem, kupienia pościeli, garnków, odkurzacza, patelni, zestawu płyt z muzyką klasyczną, rewelacyjnego środka na oczyszczenie wątroby, a nawet do wzięcia pożyczki bez dodatkowych opłat. Teraz Ilona Mrozińska ma dwa telefony: prywatną komórkę firmy Sony, której numeru nikt nie zna w komendzie, i służbowego samsunga.

Gdy Natasza Woźniak-Araszkiewicz weszła do pokoju, nadkomisarz pokazała ręką na krzesło i rzuciła coś niewyraźnie. Chwilę później wpadł zdyszany Artur Bojko. Nie zważając na siedzącą przed biurkiem milczącą Nataszę, wyprężył się i jak to było w zwyczaju w sekcji technicznej, zameldował swoje przybycie.

– Nie wygłupiaj się. Odprawa będzie kruciutka – za-komunikowała nadkomisarz Mrozińska. Zaczęła od powtórzenia tego, co jej powiedział prokurator. – Nie wyobrażajcie sobie, że w poniedziałek komendantka zlikwiduje wydział kryminalny, a wy zostaniecie przeniesieni do drogówki czy prewencji. W kryminalnym zawsze było, jest i będzie roboty do cholery. Trzeba wrócić do

wisielca z lasu za Raculką. Dzielnicowemu wydaje się, że spotykał go przed delikatesami na osiedlu. Wisielca biorę na swoją głowę. I przy okazji sprawdzę, co dzielnicowy zebrał na temat włamań do garaży. Skrzypaczka potrącona na pasach koło filharmoni została wybudzona ze śpiączki farmakologicznej. Natasza, nią się zajmiesz. Może zapamiętała coś więcej oprócz tego, że nie patrzyła pod nogi. W drodze powrotnej ze szpitala wpadniesz na stadion do Gremplera i porozmawiasz z Neimannem na temat kupowania meczów żużlowych. Trzeba to wreszcie wykluczyć albo potwierdzić. Coś jednak musi być na rzeczy, skoro zawodnicy mają zakaz rozmawiania z dziennikarzami. Artur, twoim zadaniem w poniedziałek będzie pogadanie z damskim bokserem z osiedla Na Polance. Facet tak skatował konkubinę, że nie wiadomo, czy z tego wyjdzie. Tylko, Artur, ostrzegam, z nim ostrożnie, bo to brat jakiejś figury w magistracie. Tyle dziś na poniedziałek. Sobota i niedziela wolne, ale nie wyłączajcie komórek prywatnych.

– Jak znam życie, wolne teoretycznie – wtrąciła Natasza.

– Jednak chciałbym wrócić do Pośledniego – zaczął Bojko, nie zwracając uwagi na kwaśną minę nadkomisarz Mrozińskiej. – Sprawdziłem bilingi. Wiem, kto do niego dzwonił i do kogo on dzwonił. Ostatnie połączenie było w piątek o osiemnastej sześć, trwało dwie minuty. Pierwsze logowanie odbyło się na przejściu granicznym w Gubinku. Pośledni rozmawiał z numerem stacjonarnym w Zielonejgórze. Sprawdziłem, to rektorat Wyższej Szkoły Archeologi. Osiem minut później ktoś z numeru komórkowego w Niemczech usiłował się z nim połączyć. Tej rozmowy Pośledni nie odebrał. Z tego samego numeru było ostatnie połączenie. Tym razem profesor odebrał rozmowę. Jak mówiłem, trwała dwie minuty. Co się potem działo? Dlaczego w piątek Pośledni już nie dzwonił? Ale przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, do kogo w Niemczech należy numer.

– Drogi Arturze, kilka minut temu starałam się w miarę dokładnie przekazać tobie i koleżance Nataszy to, co dziś usłyszałam od

prokuratora Tomczyszyna – przerwała mu nadkomisarz Mrozińska. – Pewnie myślami byłeś gdzieś indziej albo zrobiłam to niezbyt dobitnie, dlatego powtórzę. Opierając się na opini lekarzy sądowych, mam na myśli doktorów Trzcinkę i Kamińską, prokurator Tomczyszyn, także doktor, ale nauk prawnych, uznał, że Stefan Pośledni zmarł wskutek przedawkowania oxsycodonu w formie iniekcyjnej. Brakuje dowodów, mimo to prokurator nie ma wątpliwości, że śmiertelny lek podał mu Alan Pośledni, który, jak najlepiej wiesz, bo byłeś ze mną w Brodach, utopił się w jeziorze za tamtejszym pałacem. Z tego względu nie można go przesłuchać jako domniemanego sprawcy śmierci Stefana Pośledniego.

– To...

– Dlatego prokuratura podjęła decyzję o umorzeniu śledztwa – powiedziała policjantka z udawanym spokojem w głosie. – Od niedawna jesteś w naszym wydziale, Artur. Pobędziesz dłużej, to przekonasz się, że to nie była pierwsza taka sytuacja.

– Przecież...

– Decyzje prokuratora dotyczące umorzenia śledztwa wcale nie są takie rzadkie. Powiedziałabym, że ostatnio są coraz częstsze.

– Tydzień roboty na nic – rzuciła zaczepnie Natasza.

– Mimo to nie wierzę w takie zakończenie tego śledztwa – nie ustępował Artur.

– Policja ma prawo skierować skargę do komisji. Przygotuję wniosek, ale nie mam pewności, że komendantka albo jej zastępca się pod nim podpisze – zakończyła odprawę nadkomisarz Mrozińska.

CZĘŚĆ 2

Trwa śledztwo dziennikarskie

Zielonagóra, aL Niepodległości,
piątek, późnym popołudniem

Wicenaczelna Monika Chuda nareszcie była w różowym humorze. Nawet wyjęła z biurka butelkę bułgarskiej *la chenaise*, którą podarował jej kiedyś Neimann przekonany, że to francuski trunek, i napełniła nią szklankę więcej niż do połowy.

– Magda, walniesz kielicha? Jest za co! – zawołała. Sekretarka nie odpowiedziała. – No to do buzi, jak mówią Francuzi!

Dwanaście minut po wyjściu nadkomisarz Mrozińskiej z gabinetu Tomczyszyna na stronie internetowej „Gazety Zielonogórskiej" pojawiło się przypomnienie tego, co zeszłego piątku wydarzyło się w domu na Kwiatowym i krótka informacja o popołudniowej decyzji prokuratury. Szczegóły mają być w jutrzejszym wydaniu papierowym. To zdanie Łukasz dopisał na polecenie Kamila, ale tylko oni obaj wiedzieli, że w wydaniu papierowym będzie tyle samo, ile na stronie internetowej. Łukasz mógł napisać więcej, tym bardziej że Daniel Jung opowiedział mu rozmowę przez telefon z profesorem Poślednim na początku sierpnia. Nawet kandydat na dziennikarza, a Łukaszowi podobało się w redakcji i nie wyobrażał siebie poza tym zawodem, nie wszystko, co wie, wylewa z siebie w jednym tekście.

Kamil sprawdził, czy informacja, którą sporządził Łukasz, to faktor, czyli tysiąc znaków ze spacjami. Po powrocie ze szpitala stażysta przypominał sobie zasady warsztatu dziennikarskiego, ale o tym, że tekst nie może przekroczyć zamówionej długości, pamiętał zawsze. Od dnia, kiedy głośne maszyny do pisania w redakcji i jeszcze głośniejsze linotypy w drukarni zastąpiły bezszelestne komputery, oprócz tego, o czym i do kogo pisze, dziennikarz musi liczyć litery.

Prokurator umorzył śledztwo

Pierwsi informowaliśmy we wtorek o zgonie rektora Wyższej Szkoły Archeologi, prof. zw. dr. hab. dr. h. c. mult. Stefana Pośledniego. Na podstawie autopsji ciała denata lekarz sądowy stwierdził, że przyczyną śmierci było przedawkowanie silnego leku przeciwbólowego. Stało się to w ubiegły piątek na os. Kwiatowym. Profesor cierpiał z powodu zwyrodnienia kręgosłupa i dlatego zażywał oxsycodon. Według prokuratury osobą, która zrobiła zastrzyk z tym lekiem, był jego syn z pierwszego małżeństwa. Ustalenie, dlaczego to zrobił, nie jest możliwe, gdyż Alan Pośledni także nie żyje. Zmarł w niedzielę w trakcie nurkowania w Jeziorze Brodzkim. W takiej sytuacji, jak wyjaśnił prokurator Jan Tomczyszyn, następuje umorzenie śledztwa. Wedle jednego z sąsiadów w piątek i sobotę do domu archeologa weszły trzy osoby, wśród nich syn denata. Nas zastanawia, na jakiej podstawie prokuratura stwierdziła, że syn zrobił ojcu śmiertelny zastrzyk. O to spytaliśmy prok. Tomczyszyna. Zasłonił się tajemnicą śledztwa.

Kamil nie był zadowolony z tego, co Łukasz napisał, mimo to zaakceptował tekst. Dopisałby zdanie o tym, ile profesor Pośledni znaczył w europejskiej archeologi, ale wtedy musiałby wykreślić inne wyrazy, żeby informacja nie przekroczyła tysiąca znaków. Nie bądź za solidny, upomniał się w duchu. Właściciel wydawnictwa takim nie przyznaje premi.

– I tydzień z głowy, panowie. Jutro sobota.

– Spośród wszystkich dni też najbardziej lubię sobotę – przyznał się Jung, który mimo urlopu każdego dnia przychodził do redakcji, nie tylko podpowiadał Kamilowi, ale

i pisał teksty tak, jakby nie był urlopowany. Wicenaczelna udawała, że to nie ma znaczenia. Przecież nikt nie zna się tak na dziennikarstwie śledczym jak Jung. Kamil jeszcze musi wiele się nauczyć. A od kogo, jeśli redaktor Chuda każe ochroniarzowi nie

wpuszczać Junga do redakcji?

Daniel zaplanował, że jutro z samego rana kupi dwie bułki, mały chleb i co tam jeszcze mu się przypomni. Mógłby to zrobić dziś, ale czy bułki będą świeże? Jutro po śniadaniu pojedzie na lotnisko, wyprowadzi motolotnię z hangaru i zanim inni amatorzy latania pojawią się w Przylepie, z góry będzie śledził jesień coraz pewniej zaglądającą do lasów okalających Zielonągórę.

Zajrzał na stronę lotniska. W sobotę ma być słonecznie i bezwietrznie. Tak się zaczyna babie lato.

– Jutro dyżuruje Łukasz, w niedzielę Kamil, a ja jestem do waszej dyspozycji o każdej porze dnia i nocy – zdecydował za Kamila, przeciw czemu on się nie buntował. Od wypadku Bojana w sobotę nic takiego się nie wydarzyło, o czym powinni wiedzieć czytelnicy, więc Łukasz nie będzie miał co robić, ale musi dyżurować. Najwięcej włamań, kradzieży, napadów, kraks i wypadków na drogach, gwałtów, rozbojów przypada na noc z soboty na niedzielę, a opisanie tego będzie na głowie Kamila. I zawsze pod ręką jest Jung.

– Gdybyś jednak potrzebował wsparcia w niedzielę, zadzwoń – zaoferował się Łukasz.

Od powrotu ze szpitala Łukasz się zmienił. Dawniej nawet podczas kolegium przeżuwał gumę. Nie chodził w garniturze, czego nikt od niego nie wymagał. Teraz nosi się tak, jakby był na stażu w banku lub firmie ubezpieczeniowej. Równierz i Jung w przeciwieństwie do swoich rówieśników w redakcji stara się ubierać nie jak małolat. Nawet codziennie się goli, czego nie robił zaraz po odejściu z policji, ale wtedy panowała moda na brodatych. Tylko tych oszronionych i zdziesiątkowanych włosów nie stawia na baczność.

– Obaj – Jung pokazał na Kamila i Łukasza – bierzcie noigi Zapas i drałujcie do domciu. Ja załatwię jeszcze jedną spkawę i też baj, baj, kochana redakcjo.

Pomyślał, że sekretarka Pośledniego nie ma przed kim się wyżalić, dlatego będzie chciała z nim rozmawiać. W co drugim jej zdaniu

znajdzie się stwierdzenie, że profesor był sprawiedliwy, szlachetny, solidny, odpowiedzialny, obiektywny, bezpretensjonalny. Wyjątkowo uczciwy, co wśród archeologów jest rzadkością, bo znajdowane w ziemi przedmioty kuszą, a Pośledni niczego nie ukradl. I każdego wysłuchał jak ojciec. Każdemu doradził. Każdemu starał się pomóc. Swoimi odkryciami dzielił się z całym światem. Redakcje najpoważniejszych czasopism archeologicznych zabiegały o jego niezwykle ważne dla nauki artykuły. Przychodził do rektoratu skoro świt i ostatni wychodził. Wykładał na uczelni macierzystej, był profesorem wizytującym, prowadził wykopaliska, recenzował rozprawy naukowe, doradzał marszałkowi regionu, miał uprawnienia biegłego sądowego i tylko sam Pan Bóg wie, czym jeszcze się zajmował. Gdyby powstała Nagroda Nobla w dziedzinie archeologi, Stefan Pośledni byłby jej pierwszym laureatem. Daniel posłucha, pokiwa głową i może jeszcze przed wieczorem uda mu się wpaść na lotnisko. Sprawdzi motolotnię, zatankuje, żeby jutro z rana tylko wyprowadzić ją z hangaru, uruchomić silnik i wzbić się nad płytę lotniska, a potem z góry zachwycać się złocistą jesienią wdzierającą się do okolicznych lasów.

– Jak dojechać na osiedle Eden? – spytał Kamila, gdy ten już był w drzwiach.

– To na Drzonkowie – odpowiedział bez namysłu, czym zaskoczył Junga. – Najkrótsza droga prowadzi przez Jendrzychów i przed ośrodkiem sportu w lewo albo przez Raculę. Jeśli pojedziesz przez Raculę, to zaraz za kościołem skręć w prawo. Kilometr od skrzyżowania zacznie się las, za nim będzie osiedle Eden wsunięte między sosny. Jak w biblijnym ogrodzie. Tam nawet ulice mają rajskie nazwy. Przyjemna, Miła, Przytulna, Pogodna, Urocza.

– Nigdy nie słyszałem o Edenie.

– Rodzice mojej dziewczyny wystawili chalupsko przy Radosnej. Właściwie dworek albo jeszcze lepiej pałacyk z podziemnym garażem i oszkloną altaną z boku. Tam każdy dom ma coś z wyglądu dworku szlacheckiego albo pałacyku. To osiedle zielonogórzan,

którzy zrobili kasę na czymś, za co sąd sadza do ciupy, ale najpierw trzeba im to udowodnić, a to nie taka prosta sprawa. Ceny ziemi są tam co najmniej jak na warszawskim Wilanowie, dlatego jest jeszcze sporo wolnych działek.

Jung dopiero teraz przypomniał sobie, że Szpalta i sekretarz redakcji postawili domy daleko od centrum, gdzie ziemia jest najdroższa. Nigdy u nich nie był. Gdyby właściciel wydawnictwa nie wyrzucił drugiej wicenaczelnej, która była ich sąsiadką, mógłby powiedzieć, że dziennikarze należą do najbogatszych zielonogórzan.

Zielonagóra, os. Eden, piątek, przed wieczorem

– Którędy dojadę na osiedle Eden? – spytał szpakowatego mężczyznę zamykającego boczne drzwi kościoła i dopiero wtedy dostrzegł koloratkę wychylającą się spod czarnej koszuli.

Ksiądz nie odezwał się, tylko pokazał ręką wąską uliczkę skręcającą w prawo za kościelnym murem.

Jung zaraz po studiach zamieszkał w Zielonejgórze, a nigdy nie był na południowych obrzeżach miasta, gdzie wyrosło rajskie osiedle. Jednokierunkowe uliczki przemykały wokół pagórków, na których kiedyś dojrzewały śliwki i jabłka albo były plantacje czarnych porzeczek, a teraz stoją korpulentne domy ze spadzistymi dachami, przypominające szlacheckie dworki na dawnym Mazowszu. Przed każdym rosną jeśli nie tuje, to cyprysiki albo sosny kaukaskie lub jodły koreańskie czy cisy, żywotniki, nawet ciepłolubne pinie. Zza nich wyglądają dęby kanadyjskie, wierzby szwajcarskie, tulipanowce amerykańskie, lilaki himalajskie, klony kapadockie. Cały świat drzew w jednym miejscu, jakby to nie było osiedle bogaczy, a ogród dendrologiczny. Pozostawiony wokół Edenu las sosnowy pilnował, żeby nikt obcy tu się nie dostał bez potrzeby. Jung domyślał się, że późną jesienią, gdy się rozpada, i zimą, gdy śnieg zasypie drogę między skrzyżowaniem za kościołem na Raculi a

lasem, nie jest łatwo dojechać na osiedle.

– Może pan redaktor nie wierzyć, ale to prawda. Każdego, kto tu się osiedlił, stać na porządny samochód z napędem na obie osie. To i dotąd jesień nie była straszna. Zresztą już zabierają się za utwardzenie drogi – wyjaśniła sekretarka profesora Pośledniego i dopiero teraz się przedstawiła: – Doktor Jankowska. – Ręki nie wyciągnęła do Junga.

Daniel miał zamiar powiedzieć, że utrzymanie takiego domu, przed którym zatrzymał „pięćsetkę", musi dużo kosztować. Jego, mimo że żona kieruje uniwersyteckim zakładem patologi ogólnej i on zarabia nie najgorzej, nie byłoby stać na postawienie dworku na polanie wyciętej w środku sosnowego lasu. Zresztą nikt nie namawiał go do ucieczki z blokowego osiedla na obrzeża miasta. Ze Słonecznego wszędzie ma blisko, a w mieszkaniu spędza tylko wieczory i noce, rzadziej niedziele, bo w soboty ucieka na lotnisko. Miśka traktuje dom jak przechowalnię sukienek, garsonek, bluzek, spódnic, butów i miejsce, gdzie wtedy, gdy nie jest na uczelni lub za granicą, coś pichci w kuchni. Oboje są zgodni, że na razie nie ma sensu wydawać pieniędzy na dom, w którym mieszka się tyle co kot naplakal. Chyba że chodzi o lokatę kapitału na stare lata. Inaczej to wyglądało, kiedy dzieci były mniejsze, ale wtedy nie było go stać nawet na środkowy segment w szeregowcu.

– Pani też ma stopień doktorski? – spytał, jakby chciał się upewnić, że dobrze usłyszał. – Sekretarka rektora ze stopniem naukowym? – Oczywiście przed wyjściem z redakcji wygooglował stronę uczelni, ale tam nic nie było o Jankowskiej. O Poślednim także niewiele.

– Jeżeli uznać młodą asystentkę za gospodynię domową, ponieważ ze względu na małe dziecko poszła na urlop wychowawczy, to nie jestem wyjątkiem wśród kobiet z tytułem doktorskim – odpowiedziała trochę z napomnieniem.

– Przepraszam, nie to miałem na myśli – zawstydził się.

– Po studiach rozpoczęłam staż asystencki w zakładzie archeologi

epoki brązu i wczesnej epoki żelaza. Pełniącym obowiązki kierownika zakładu był Stefan Pośledni, wtedy docent doktor habilitowany. Pod jego kierunkiem przygotowałam rozprawę doktorską, co w gruncie rzeczy miało zasadniczy wpływ na moją karierę naukową. Zatrudniona na etacie adiunkta, prowadziłam badania na cmentarzyskach kultury łużyckiej po prawej stronie Nysy. To ja utwierdziłam profesora Pośledniego w przekonaniu, że doktor Marcinkian słusznie uznał kulturę łużycką za cywilizację. Czasy łużyckie, które przypadły na epokę brązu i następującą po niej epokę żelaza, miały przeogromny wpływ na rozwój ludzkości w Europie. Wyobraża pan sobie świat połużycki bez brązu i żelaza? – spytała retorycznie, pokazując na coś za szkłem, co mogło być sztyletem lub wyszczerbionym nożem. – Tuż przed zmianą personalną w gabinecie dyrektora uniwersyteckiego instytutu archeologi rektor obciął połowę etatów na wydziale humanistycznym. Jego zdaniem uczelnia kształciła za dużo filozofów, historyków, politologów, archiwistów i archeologów. Pracę mieli zapewnioną jedynie profesorowie, doktorzy habilitowani i wybrani adiunkci. Wtedy świeżo wyniesiony do godności profesora Stefan Pośledni zorganizował Fundację „Wicina", a ta powołała niepubliczną Wyższą Szkołę Archeologi. Stało się to w ramach protestu przeciw decyzji rektora uniwersytetu i przy wsparciu finansowym Joachima Gremplera, który wszędzie wtykał swoje trzy grosze. Wszystkim samodzielnym pracownikom instytutu archeologi profesor Pośledni zaproponował przejście do nowej uczelni i prowadzenie badań w takim zakresie, jak to robili dotąd. Nie pytając o zgodę, mnie przeniósł do rektoratu. Powiedział, że mianuje mnie dyrektorką swego biura. Nie grymasiłam, tym bardziej że byłam w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Na męża, który przechodził z synkiem przez przejście dla pieszych koło Castoramy, wjechała żona dzisiejszego prezydenta. Dostała pięć lat w zawieszeniu.

Jung pamiętał, co napisał o tym wypadku. Świadek zeznał, że Jankowski wtargnął na przejście, gdy paliło się czerwone światło.

Potem się okazało, że było inaczej, ale procesu nie wznowiono.

– Ile osób pracuje w biurze rektora?

– Jedna.

– Pani doktor została dyrektorką jednoosobowego biura, czyli sekretarzem i asystentką rektora?

Jankowska przytaknęła i się uśmiechnęła. Jung zauważył dołki w obu jej policzkach. Były jak półksiężyce. Miśka ma dołki ledwie dostrzegalne. Gdzieś przeczytał, że dołek w jednym policzku cechuje osoby dążące do zdobycia władzy. A co oznaczają dołki w obu policzkach?

– Przechodząc na etat administracyjny, dostałam wyższe pobory niż gdy pracowałam na etacie naukowym. Nielogiczne, prawda, żeby urzędnik zarabiał więcej niż adiunkt. W państwowych uczelniach jest więcej takich paradoksów.

Teraz Jung przytaknął. Czasem Miśka mówiła, co ją zaskakuje na uniwersytecie i co by zmieniła, gdyby siedziała za biurkiem w gabinecie rektora. Jednak większość profesorów milczy, bo jest im z tym dobrze i nie chcą zmian, tym bardziej że na razie nikt nie zabrania im prowadzenia zajęć ze studentami w uczelniach prywatnych. Nie za darmo.

– Gdyby stopień doktorski miała ta najważniejsza sekretarka prezydenta Rzeczypospolitej, rozumiałbym. Zresztą może ma. Znakomita poetka Kazimiera Iłłakowiczówna sekretarzowała Józefowi Piłsudskiemu, czym tylko podnosiła jego rangę.

– Stefan uważał...

– Była pani po imieniu z szefem?

Nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła, tylko kontynuowała:

– ...że etat administracyjny to formalność. Za kilka lat powinnam wrócić do pracy naukowej. Nawet zaczęłam przygotowywać się do habilitacji. A badania archeologiczne dalej prowadziłam, tyle że nie na własną rękę. Ich wyniki Stefan podpisywał swoim nazwiskiem, podając, że jestem współautorką.

– Dlaczego zaprosiła mnie pani do swego domu? Przecież mogłem

przyjechać do rektoratu na plac Słowiański. Byłoby bliżej i szybciej.

Jankowska uśmiechnęła się nieznacznie, a dołki w jej policzkach zrobiły się głębsze niż poprzednio. Miła i ładna kobieta, stwierdził w myślach Jung. Warta grzechu.

– Tego, czym mam zamiar pana redaktora zainteresować, nie powinnam robić na uczelni. Nie chodzi mi o to, że ściany mogą mieć uszy. Po prostu nie wypada. Nawet tu

i teraz staram się być lojalna wobec Stefana.

Jung domyślał się, że Jankowska chce zrzucić z siebie jakiś ciężar, ale nie wie, jak to zrobić. Powinienem zacząć od pytania, czy poza archeologią i uczelnią coś ją łączyło z Poślednim. Czy była jego kochanką? Pewnie była. Może Pośledni jest ojcem jej synów? Chyba potwierdzi, ale zaraz poprosi, żeby zachować to w tajemnicy. Czy Bożena Poślednia o tym wiedziała? Po kilku latach małżeństwa każda żona podejrzewa męża, tym bardziej atrakcyjnego mężczyznę na stanowisku, że ma kochankę, nieślubne dzieci i płaci alimenty. Większość żon zawczasu układa sobie wymijającą odpowiedź, gdyby mąż niespodziewanie spytał, czy jest lub była czyjąś kochanką. I przypatruje się dzieciom, szukając podobieństw do siebie.

– Panie redaktorze, to, co powiem, jest do pana prywatnej wiadomości. Bardzo proszę o niewykorzystywanie tego w gazecie.

– Obiecuję.

– Byłam kimś więcej dla Stefana niż przyjaciółką.

– Kimś więcej? – powtórzył tonem łagodnym, jakby nie chciał wchodzić z butami w jej życie osobiste. Domyślał się, czego się dowie.

– Chce pan wiedzieć, co mnie łączyło ze Stefanem? Czy byłam jego kochanką? – spytała, jakby czytała w myślach Junga. – Stało się to niedługo po tym, kiedy pierwsza żona, matka Alana, odeszła od Stefana. Odeszła, ponieważ dowiedziała się, że z Bożeną, która wtedy była na etacie dokumentalistki w instytucie archeologi, Stefan ma córkę. Martę, wtedy chyba już dziewięcioletnią. Po rozwodzie Stefan ożenił się z Bożeną. Zapewniał mnie, że zrobił to ze

względu na Martę – urwała i westchnęła. – Stefan potrzebował podziwu. Adoracji. Nawet uwielbienia. Na początku Bożena mu to dawała. Po ślubie było inaczej. Powinnam była się domyślić, że nie będę jego jedyną miłością, ale nie miałam odwagi powiedzieć: Bożena albo ja. Stefan, panie redaktorze, żył na dwa domy. Dosłownie na dwa. Najpierw postawił dom na Kwiatowym, potem – zatoczyła ręką wokół – ten. W akcie notarialnym ja widnieję jako jedyna właścicielka tego domu. Jest jeszcze dodatkowy dokument na wypadek, gdyby coś się zmieniło. Nie protestowałam, kiedy Stefan kazał notariuszowi go sporządzić. Sądziłam, ba, miałam stuprocentową pewność, że któregoś dnia, kiedy Marta skończy liceum albo studia, Stefan zostawi Bożenę i tu się przeniesie. Ze mną zamieszka. Wiele razy o tym rozmawialiśmy. W pokoju za sypialnią miał mieć swoją pracownię. – Jankowska sięgnęła po papierosy. – Poczęstuje się pan?

– Dziękuję, już nie palę.

Mimo to przesunęła paczkę brilliantów w stronę Junga.

– Następnego dnia po czterdziestych urodzinach przestałem kupować papierosy. Oszczędzani na lepsze auto – zażartował.

– Za późno na taką decyzję. Prawdę mówiąc, przyzwyczaiłam się, że coś muszę trzymać w palcach.

– Na rzucenie palenia nigdy nie jest za późno, pani doktor.

– Stefan też mnie namawiał, ale jakoś tak... – Położyła papierosa na stoliku. – Przy panu redaktorze nie będę zatruwała powietrza.

Willa na Kwiatowym, dom na Edenie, domek w Jodłowie, salon z odzieżą francuską w centrum miasta, apteka i drogeria, samochody więcej niż średniej klasy, a pewnie także pomoc Alanowi w budowie domu na osiedlu Kamieni Szlachetnych i zakup apartamentu Marty na Leśnym. Skąd archeolog, nawet znawca cywilizacji łużyckiej, którą interesuje się garstka hobbystów, na to brał pieniądze? Gdyby Pośledni był właścicielem firmy wykonującej badania ratownicze tam, gdzie mają przebiegać autostrady i drogi ekspresowe, co innego. Albo z grupką tureckich robotników przeszukiwał wybrzeże

Morza Egejskiego, gdzie antyczni Grecy stawiali bogate miasta, znalazł wyroby ze złota z cennymi kamieniami i zamiast oddać je państwu, sprzedał zbieraczom. Chyba że przehandlował to, co ukrywała ziemia nad Nysą? Ale przecież pierwszą część skarbu scytyjskiego w Witaszkowie wyorał niemiecki chłop jeszcze w dziewiętnastym wieku. Drugą, niewielką część znalazł tam profesor Kobyliński więcej niż sto lat później. A Pośledni wykopał potłuczone skorupy glinianych garnków, koślawe paciorki ze szkła, sztylety i grodki z brązu w Wicinie.

Może to była przykrywka? Pod płaszczykiem handlu starociami profesor rozprowadzał przedmioty bawiące oczy jedynie archeologów, muzealników i majętnych kolekcjonerów, którzy chcą cokolwiek po sobie zostawić. A może zrobił coś jeszcze gorszego? Na przykład związał się z mafią. To było źródło jego nielegalnych dochodów. Za stamtąd pobierane pieniądze kupił sklepy, samochody, postawił domy i żył jak pączek w maśle. Uczelnia była dla zmyłki. Przekazywał mafi to, co wykopał w ziemi. Coś obiecał, ale nie był w stanie tego wykonać lub się zbuntował, mafia więc pokazała, jak postępuje z takimi, którzy ją lekceważą. O czym ja? Pośledni i mafia? Roześmiał się w duchu. Chociaż czy na pewno Alan nie prowadził lewych interesów?

– Zaprosiła mnie pani na Eden wyłącznie po to, żeby opowiedzieć o swoim związku z profesorem Poślednim?

– Na początku maja Stefan otrzymał dysertację doktorską pewnej Niemki do zrecenzowania – wyartykułowała Jankowska, nie odpowiadając wprost na pytanie Junga. – Jako recenzent rozpraw archeologicznych robił to wiele razy. Nigdy nie obyło się bez uwag, na ogół jednak zgadzał się z wnioskami autorów. Niekiedy proponował kosmetyczne zmiany we wnioskowaniu. Tym razem, mówię o pracy Niemki, opinia Stefana była negatywna. Wręcz druzgocąca dysertację. Jego zdaniem autorka nie przedstawiła przekonujących dowodów na istnienie jakichkolwiek form organizacji hutnictwa żelaza w szóstym wieku przed naszą erą w

okolicach dzisiejszego Eisleben w Saksoni-Anhalt, bardziej znanym jako miejsce urodzenia Marcina Lutra. Stefan zarzucił jej, że powierzchownie traktuje badania empiryczne, a opiera się na dywagacjach, doniesieniach i obserwacjach o charakterze ludycznym. Konkluzja była taka: praca nie spełnia wymogów stawianych dysertacjom doktorskim nauk humanistycznych w zakresie archeologi. Kiedy jej autorka o tym się dowiedziała, od kogo, tego nie wiem, bez zapowiedzi pojawiła się w rektoracie. Usiłowałam ją zatrzymać, niestety, ona nie zważała na mój apel. Wtargnęła do gabinetu rektora i domagała się od Stefana zmiany opini. Nie wprost. Spytała, ile kosztuje pozytywna recenzja. Ponieważ Stefan to zignorował i kazał jej opuścić gabinet, zagroziła ujawnieniem czegoś z jego życia prywatnego. Miała wiedzieć o czymś, co się przed laty wydarzyło bodajże na wykopaliskach w Wicinie i czego on był sprawcą. Każdemu można przypisać jakieś grzeszki, szczególnie po latach. „Jeśli mówimy, że nie mamy grzechu, to samych siebie oszukujemy i nie ma w nas prawdy". Z czego jest to zdanie?

– Pewnie z Pisma Świętego.

Jankowska potwierdziła szerokim uśmiechem i kontynuowała:

– Stefan tak się zdenerwował, że kazał mi wezwać ochroniarza. Ona, wycofując się, krzyczała, że jeśli profesor nie zmieni recenzji, mocno tego pożałuje.

– Czego miał pożałować?

– Nie miałam odwagi spytać, co dziewczyna wiedziała. Stefan był tak zdenerwowany. Nie dziwiłam się. Ja również.

– Powiedziała pani o tym policji?

– Żaden policjant ze mną nie rozmawiał. Pan jest pierwszą osobą spoza środowiska uczelnianego, która interesuje się profesorem Poślednim.

– Pamięta pani nazwisko autorki tej negatywnie ocenionej pracy doktorskiej?

– Powiem, ale pod warunkiem, że nie ujawni pan w swojej gazecie jej nazwiska ani źródła informacji.

– Jestem na urlopie, tyle więc mogę obiecać.

Jeszcze się wahała.

– Karin Stenzel – powiedziała cicho, jakby mimo zapewnienia mu nie ufała. – Dysertacja powstała na uniwersytecie w Dreźnie.

– Pod czyim kierunkiem? Kto jest jej promotorem?

– Tego niestety nie wiem. Wiem natomiast, że członek zarządu Fundacji „Wicina", pan Neimann, potem naciskał na Stefana, żeby napisał pozytywną recenzję. Bezskutecznie. Prawdę mówiąc, Stefan zgodził się, żeby Neimann został sekretarzem fundacji wyłącznie na żądanie Gremplera.

Więcej pytań nie przyszło do głowy Jungowi. Gdy usłyszał, co się wydarzyło w rektoracie w maju, przez chwilę zastanawiał się, czy Karin Stenzel była tą, która zrobiła śmiertelny zastrzyk Pośledniemu. Miała powód. Negatywna ocena pracy doktorskiej wywołała jej złość, ale nie mogła podpowiedzieć zemsty aż w takiej formie. Był pewny, że ten, kto wstrzyknął oxsycodon Pośledniemu, wiedział, co się stanie. Niemkę jednak wykluczył z grona podejrzanych. Podziękował Jankowskiej za rozmowę, wstał i ruszył w stronę wyjścia, wtedy ona rzuciła:

– Alan to pasożyt, jakich mało na świecie, ale mimo że pasożyt, nie mógł zabić Stefana. Za dużo zawdzięczał ojcu. Gdyby nie Alinka, żona Alana, salon z odzieżą francuską na Kupieckiej dawno by splajtował.

– Co pani wie o pierwszej żonie profesora, matce Alana? Może telefonowała do rektoratu, kontaktowała się z byłym mężem?

– Stefan poznał ją wtedy, kiedy jako świeżo upieczony doktor uczestniczył w wykopaliskach w Wicinie. W czasie wakacji dużo młodych ludzi z okolicznych miejscowości pomagało archeologom. Stefan ożenił się dlatego, że musiał. A musiał dlatego, że Alan był w drodze. Gdzie ona teraz mieszka, czy ponownie wyszła za mąż, co robi, nie wiem. Stefan wymazał ją ze swojej pamięci. Przypuszczam, że Alan również nie utrzymywał kontaktów z matką. Przy mnie nigdy o niej nie wspomniał.

– Kto wystąpił o rozwód?

– Ona, gdy dowiedziała się, że Stefan ma córkę z Bożeną. Już mówiłam.

– Wyleciało mi z głowy – przyznał się.

– Po rozwodzie z pierwszą żoną Stefan ożenił się z Bożeną. Razem wychowywali Martę i Alana.

– Znając sytuację rodzinną Pośledniego, nie przeszkadzało pani być jego kochanką?

Jankowska wydawała się zaskoczona pytaniem. Opuściła wzrok na podłogę i długo milczała, jakby się zastanawiała, co przemilczeć i do czego się przyznać.

– Od pewnego czasu Stefan źle żył z córką. Ona też stała się do niego niezbyt słodko usposobiona. Stefan podejrzewał, że nie jest ojcem Marty. Nie to jednak było przyczyną coraz częstszych kłótni tak z Bożeną, to znaczy z drugą żoną, jak i z Martą.

– A co?

– Za dużo chciałby pan wiedzieć.

– Prowadzę śledztwo dziennikarskie.

– Prokurator umorzył sprawę.

– Nie zgadzam się z jego decyzją. Uważam, że zrobił to pochopnie, dlatego rozmawiam z panią. Liczę na pani pomoc.

Tak uspokojona, Jankowska powiedziała:

– Marta ma skłonności homoseksualne. Tą kobietą, z którą mieszka, jest Karin Stenzel. Jej dysertację doktorską Stefan uznał za niespełniającą wymogów naukowych. I ona wtedy mu groziła. Pewnie poskarżyła się Marcie albo prosiła ją o wstawiennictwo. A ponieważ Stefan rzadko zmieniał swoje zdanie... Marta, panie redaktorze, była w liceum pielęgniarskim. W wyuczonym zawodzie nigdy nie pracowała, ale z pewnością potrafi zrobić zastrzyk.

– Alan był z wykształcenia ratownikiem medycznym – przypomniał. – Czy Marta przekonywała ojca, żeby zmienił ocenę pracy doktorskiej Karin Stenzel?

Jankowska kiwnęła głową i dodała:

– Godzinę, może dwie po wyjściu Karin Stenzel z rektoratu, kiedy Stefan nie zgodził się na zmianę swego zdania o jej dysertacji, zadzwoniła Marta. Najpierw prosiła ojca, potem krzyczała, że tego pożałuje.

– Czego konkretnie?

– Czegoś, co ukrywał także przede mną. Panie redaktorze, Stefan należał do tajemniczych mężczyzn. Zwykle tajemnicze są kobiety – uśmiechnęła się. Jung znowu zwrócił uwagę na dołki w jej policzkach. – Jestem pewna, że zaglądał pan na stronę uczelni w internecie. I jestem pewna, że był pan zaskoczony szczupłością informacji o Stefanie. Namawiałam go, żeby założył swój profil na Facebooku. Poprowadzę go, proponowałam. Im mniej ludzie o mnie wiedzą, tym lepiej, odpowiadał. Dużo powinni wiedzieć o uczelni.

– Dziś takie czasy, że kogo nie ma w sieci, ten nie istnieje – powiedział, a Jankowska kiwnęła głową.

– Czy jest jeszcze coś, co chciałby pan wiedzieć o Stefanie i w czym mogłabym być pomocna?

– Umówiłem się z profesorem na rozmowę o skarbach z Witaszkowa i o wykopaliskach w Wicinie. Szkoda, że tak wyszło.

– W tej kwesti proszę mną dysponować.

Jankowska zaskoczyła Junga taką odpowiedzią, dlatego nie wyraził zadowolenia ani jej nie podziękował. Po prostu milczał. Wolałby rozmawiać z mężczyzną, który jest samodzielnym badaczem, a najlepiej z profesorem zwyczajnym lub uczelnianym. To podnosi rangę problemu i przy okazji zapisuje nazwisko dziennikarza na kartach histori nauki. Czytelnicy również zwracają uwagę na to, kim jest rozmówca.

– Uroczystości pogrzebowe będą w poniedziałek – powiedział, jakby sprawdzał, czy nic się nie zmieniło. – Na cmentarzu Jendrzychowskim? Obrządek świecki czy religijny?

– Pogrzeb na cmentarzu Nowym przy Szosie Wrocławskiej. Kościelny. Bożena chciała, żeby biskup odprowadził urny z prochami do kolumbarium. Kuria odmówiła.

– Podała przyczynę?

– Stefan nie miał ślubu kościelnego z Bożeną. A nie miał, ponieważ jego pierwsze małżeństwo nie zostało unieważnione przez sąd biskupi. Nie dostałby rozwodu kościelnego, wszak związek został dopełniony, czego dowodem stał się Alan. Panie redaktorze, w świetle Prawa kanonicznego Stefan był ojcem nieślubnej córki. I, można rzec, bigamistą. Bigamistą, u którego biskup bywał na kolacjach.

– Widocznie Bożena Poślednia smaczniej gotowała niż zakonnice w rezydencji biskupiej. – Jung uśmiechnął się szeroko. – Pani oczywiście wybiera się na pogrzeb. Co za pytanie? Przepraszam.

– Wakacje, urlopy, mimo to będzie większość pracowników naszej uczelni i uniwersytetu. Dzwonili wychowankowie Stefana. Kilku z zagranicy. Najwięcej przyjedzie z Drezna i Berlina.

Jung miał na końcu języka pytanie, czy telefonował Grzegorz Stonoga. Nie zadał go, jakby był pewny, że Jankowska nie odpowie wprost.

– Też postaram się przyjść, mimo że poznałem profesora jedynie przez telefon – powiedział. – Wracając do pani propozycji dotyczącej rozmowy na temat Wiciny i Witaszkowa...

– Wolałabym nie udzielać wywiadu na terenie uczelni. Już zaczęła się walka o stanowisko rektora. Mimo że w niej nie uczestniczę, ktoś może potraktować to niewłaściwie. Rozumie pan? Proponuję u mnie w domu. Po pogrzebie skontaktuję się z panem.

– Może ja.

– Lubi pan szarlotkę?

Jung kiwnął głową i dodał, że przepada za szarlotką posypaną kruszonką z kakao. Taką, jaką piekła babcia Miśki, gdy odwiedzali ją zaraz po ślubie.

Zielonagóra, lotnisko Przylepa,
sobota, wczesnym popołudniem

Jung wprowadził motolotnię do hangaru, zdjął pilotkę i skórzaną kurtkę, które zakłada na siebie nawet wtedy, kiedy na niebie nie ma najmniejszego obłoczka i przypieka słońce, gdyż, co odczuł na własnej skórze, im dalej od ziemi, tym chłodniej. Na początku września jest nie tylko chłodniej, ale i w najmniej spodziewanym momencie zrywa się wiatr, a bywa, że nagle zaczyna lać. Zadowolony z udanego popołudnia, przełączył tryb samolotowy w komórce na odbiorczy i zaraz zabrzmiała *Kilimanjaro.* Feim Vlashi? Jeszcze tak nie było, żeby Albańczyk dzwonił bez powodu. Stało się coś, z czym nie chce czekać do poniedziałku, dlatego telefonuje w sobotę wczesnym popołudniem, wytłumaczył sobie Jung i kciukiem przesunął zieloną ikonkę w prawo.

– Poczekaj, Feim. Wyjdę z hangaru na płytę lotniska, to żadna przeszkoda nie powstrzyma fal radiowych – odezwał się Jung i znowu zdał sobie sprawę z tego, że nie wie, na jakiej zasadzie nawiązuje łączność telefon komórkowy. Będzie musiał o tym porozmawiać z Kamilem lub Łukaszem. A jeżeli wybuchną śmiechem, to zgasi ich pytaniem o wałkową maszynę do pisania albo kręciołek[11].

– Szanowny kolego redaktorze, powiem tak: pozwoliłem sobie na samotną wycieczkę do miejscowości Brody. Wcześniej tam bywałem, tyle że zawsze wpadałem jak po ogień. Kilka pytanek, fotka i galopem do redakcji. A dziś troszkę turystycznie, co nie.

– Chciałeś sprawdzić, co takiego jest w Brodach, że ten zakątek ziemi nad Nysą w siedemnastym wieku hrabia Heinrich von Brühl wybrał na swoją posiadłość?

– Powiem szczerze: chciałem zobaczyć megapałac Brühla, o którym nasłuchałem się od mojego teścia. Niestety, środek budowli jest doszczętnie pusty. Jakby bomba spadła przez dach i stropy aż do piwnicy.

– I dowiedziałeś się, że nie bomba spadła na pałac, a wiosną czterdziestego piątego roku zalani czerwonoarmiści rozpalili ognisko

w sali balowej na pierwszym piętrze.

– Czerwonoarmiści?

– Ruscy.

– Teść mówił, że Niemcy.

– Niemcy chyba nie podpalili. Po co mieli niszczyć to, co zbudował ich rodak? Napieprzyli z Brodów za Nysę, ale wierzyli, że wrócą. Stało się inaczej.

– Za kilka lat będzie tylko ślad po tym, gdzie stała rezydencja Brühla. Jedynie park między pałacem a jeziorem nie jest w krytycznym stanie. Ktoś odchwaścił alejki i przyciął lipy.

– Czy poza oglądaniem zabytków jeszcze coś cię interesowało? Rozmawiałeś z ludźmi?

– Dokładnie.

– Czegoś istotnego się dowiedziałeś?

– Powiem szczerze: tak.

Jeszcze kilka podobnych słów Jung usłyszy, to zdusi komórkę albo walnie nią o ziemię. Gdy w pokoju redakcyjnym Kamil zaczynał zdanie od „Chciałbym szefowi szczerze powiedzieć", Jung mu przerywał i prosił, żeby nie strzępił sobie języka.

– Nie zapowiadaj, tylko mów. Przystępuj do rzeczy. Czy gdy jesteś z dziewczyną w parku, w kinie, na karuzeli, na plaży i masz ochotę ją przytulić, pocałować, szepnąć słodziutkie słówko, wetknąć rękę pod stanik, to zapowiadasz, co będziesz robił? – Kamil patrzył na Junga, jakby nie rozumiał, o co mu chodzi. – Po prostu szepczesz, tulisz, całujesz, wpychasz rękę, nawet jeżeli dziewczyna udaje, że się broni. A niech ludzie się gapią. Nie jesteś pierwszym ani ostatnim facetem, który tak się zachowuje.

Dwudziestego pierwszego lipca zeszłego roku, kiedy w czasie urlopu naczelnej Monika Chuda szarogęsiła się w redakcji, Jung usłyszał od niej:

– Chciałabym złożyć panu życzenia imieninowe.

Zamiast cieszyć się, że wreszcie dostrzegła w nim kolegę albo zastanawiać się, kto jej przypomniał, kiedy on świętuje imieniny,

rzucił:

– Niech pani składa, a nie zapowiada.

Potem wstydził się swojego zachowania. Ceni Albańczyka i nie chce zrazić go do siebie, mimo to powiedział:

– Feim, popełniłeś wykroczenie. – Po pauzie dodał: – Może nawet przestępstwo.

– Kiedy, jakie, kolego redaktorze?

– Popełniłeś wykroczenie/przestępstwo przeciw językowi polskiemu.

– Nie rozumiem.

– Jeżeli jeszcze raz usłyszę, że mówisz „nie ma takiej opcji" czy „w każdym bądź razie" albo co do drugiego zdania wciskasz „tak", „dokładnie", „powiem szczerze", „co nie", „powiem tak", „chciałbym powiedzieć", to doniosę do prokuratury.

– Język polski jak każdy język jest żywy, tak?

– Ale tacy jak ty go zamęczają. I go zamęczą.

– A co złego jest w tym, że posługuję się językiem prostym?

– Tak mówią bezmózgowcy, wsiochy, trepy, lalunie z marketów, dorobkiewicze, córunie matołów, których stać na opłacenie ich studiów w prywatnych szkółkach, a ty przecież nie jesteś bezkrytycznym pismakiem. Masz dyplom magistra prawa wydany przez państwowy uniwersytet w Tiranie. Wiesz, co grozi za łamanie przepisów. Znasz angielski i niemiecki. Feim, podziwiam cię. Przede wszystkim za nauczenie się polskiego języka i polskości. Niewielu dziennikarzy ma swoje zdanie, ty tak. Informujesz, komentujesz, wyjaśniasz, przypominasz, bronisz bezradnych. Masz odwagę wytykać imbecylom po studiach, których przybywa w postępie geometrycznym, Ich ciemniactwo. Robisz to za pomocą wręcz wzorcowej polszczyzny. Feim, tego uczę się od ciebie.

– Tylu aż tak pochlebnych zdań nie słyszałem nawet od teściowej.

– Jesteś wyborowym obserwatorem, perfekcyjnie wyciągasz wnioski i podpowiadasz rozwiązania, ale twój wolapik... – urwał, bo wydawało mu się, że Albańczyk chce o coś spytać. – „Okej"

wypowiedziane przez siusiumajtkę w klubiku dla małolatów nikogo tam nie rozśmieszy. Zastanów się, jakby brzmiało to słowo wypowiedziane przez twojego teścia przy stole wigilijnym. Albo przez teściową, gdy rozmawia z wnukami. Feim, gazeta nie zawsze musi być lustrem tego, co dzieje się za drzwiami redakcji. Coraz mniej, ale jeszcze zaglądają do niej gimnazjaliści i licealiści. Emeryci traktują ją jako jedyne, a może i najpewniejsze źródło wiedzy o współczesnym świecie. Nawet jeśli dziś się pomylisz i jutro sprostujesz to, co napisałeś, nie wszyscy czytelnicy uznają twoje potknięcie za pomyłkę. Choćbyś podejrzliwych przepraszał na kolanach, niczego to nie zmieni.

– O tym już się przekonałem.

– W gazecie piszesz poprawnie, Feim, a ze mną rozmawiasz po polskiemu? Dlaczego mnie lekceważysz?

– Dokładnie, szanowny kolego redaktorze. – Roześmiał się Albańczyk i po chwili dodał zupełnie innym głosem: – Przepraszam, mistrzu. Dziękuję za zwrócenie supermegauwagi. To się nie powtórzy.

Jung miał na końcu języka zdanie, że to wszystko, co powiedział o dziennikarzach, od początku do końca nie jest prawdziwe. Dziennikarz powinien być uczciwy wobec czytelnika, wiarygodny, rzetelny i przede wszystkim posługiwać się poprawnym językiem. Tego kandydaci na redaktorów uczą się na studiach i tego ich starsi koledzy powinni wymagać podczas stażu. Ale teraz wydawcy gazet nie widzą sensu wspierania dziennikarzy walczących, ponieważ najmniej im zależy na codziennych czytelnikach. Właścicielom wydawnictw zależy na dużych reklamodawcach. Jm większy nakład ma gazeta, tym wyższe są ceny reklam, ogłoszeń i komunikatów. Dlatego prezesi firm wydających gazety wymagają od szefów redakcji, a ci od dziennikarzy informowania czytelników przede wszystkim za pomocą krótkich i prostych zdań, posługiwania się językiem tępaków oraz ilustrowania tekstów zaskakującymi fotografiami. Im więcej wiadomości dotyczy wypadków

śmiertelnych, włamań do domów majętnych osób, napadów na samotne kobiety, gwałtów podczas dyskotek, pobić w gimnazjach, kraks na lokalnych drogach, karamboli w śródmieściach, morderstw bez powodu, niepowodzeń nawet mniej ważnych polityków, tym bardziej zadowolony jest wydawca, bo to oznacza poprawę opini o gazecie i nieodchodzenie reklamodawców od tytułu. Traktowane do niedawna jako opiniodawcze i przy tym poważne dzienniki, coraz częściej przyjmują charakter bulwarówek, a nawet brukowców. Szpalta stara się przekonać wydawcę, żeby „Zielonogórska" jak najpóźniej przemieniła się w tabloid, a jej zastępczyni wspierana przez kadrowca robi wszystko, żeby stało się to jak najszybciej, wtedy ona zostanie redaktorką naczelną.

– Co się wydarzyło w Brodach, że zamiast mieć wolną sobotę, pojechałeś tam i zaraz do mnie zadzwoniłeś? Chyba nie dlatego, żeby mi opowiedzieć o wypalonym pałacu, jako tako utrzymanym parku i o swoich wrażeniach?

– Miałem prawo nie wiedzieć, że do zakończenia drugiej wojny światowej w pałacu Brühlów w Brodach, które wtedy nazywały się Pförten, znajdował się podobno największy na świecie i przy tym uważany za najładniejszy, najbardziej cenny i jeszcze kilka razy naj, serwis z porcelany. Coś ponad dwa tysiące talerzy, miseczek, kubków osobnych do kawy, osobnych do mleka i jeszcze czegoś, czego przeznaczenia pewnie nie znała nawet żona hrabiego Heinricha von Brühla. Ludzie w Brodach zapewniali mnie, że za filiżankę z pałacu można kupić pół domu z działką. To i wszyscy wszędzie szukają porcelany. Nawet w lesie, jak się jedzie na Suchodół. Kolega redaktor zdaje sobie sprawę, o jaki majątek chodzi?

– Domyślam się. Do rzeczy, Feim.

– Wstąpiłem do pubu Deja vu.

– Déja vu? – parsknął śmiechem Jung. – A nie do Casino Diner?

Feim nie zrozumiał drwiny.

– Déja vu jest tam, gdzie dawniej była restauracja Pod Pałacem. Poza zmianą nazwy i właściciela nic się nie zmieniło. Tak twierdzą

miejscowi bywalcy. Zamówiłem piwo, potem jeszcze jedno. Facet, który do mnie się przysiadł, Mątwiejczuk, wspomniał o Powsinodze. Podobno Alan, ten, co w niedzielę utopił się w jeziorze za pałacem, to jego kuzyn.

– Powsinoga?

– Tak powiedział Matwiejczuk. To znaczy ten, który do mnie przysiadł się w pubie. On powiadomił policję, że w parku stoi białe mitsubishi. Zapisałem numer rejestracyjny.

– FZ ALAN 1 – uprzedził go Jung. – Co jeszcze powiedział ten gość?

– Ze w środę był w parku i widział, jak nurek wyciągnął ciało Alana z jeziora, ale o tym informowałem kolegę redaktora.

– Na temat Powsinogi!

– Ze często przyjeżdżał do Brodów. Chodził od domu do domu i pytał o stare przedmioty. Najbardziej interesowały go talerze, miski i różne ozdóbki. Za stary talerz z porcelany dawał nowiutką salaterkę, taką prosto z fabryki porcelitu w Mirostowicach Dolnych. To niedaleko Zar. Najwyżej dwadzieścia kilometrów od Brodów. Kobiety wolały mieć w kredensie nowe talerze czy kubki. Ich mężowie wyciągali rękę po gotówkę. Mieli na winko. Ten Powsinoga kupował wszystko. Pęknięte, wyszczerbione, nadtłuczone. Najwyżej cenił naczynia z namalowanymi ptakami.

– Serwis Łabędzi hrabiego Brühła.

– Najpierw ten Powsinoga przyjeżdżał rano, łaził od domu do domu i wyjeżdżał przed wieczorem. Potem zostawał na dwa, trzy dni. Nocował u kierownika szkoły, który miał córkę na wydaniu.

– Domyśla się szanowny kolega, czym to się zakończyło?

– Szybkim ślubem i cichym weselem – palnął Jung.

– Urodził się chłopak. Póki dziadek, to znaczy kierownik żył, wnuk przyjeżdżał do niego na każde wakacje i święta. Od śmierci dziadka...

– Powsinoga to nazwisko czy przezwisko?

Chwilę trwało, zanim Feim się przyznał:

– Nie spytałem.

– Szkoda. Poważny błąd.

– Przepraszam, kolego redaktorze.

– Przypuszczam, Feim, że Powsinoga to przezwisko. Jeszcze niedawno tak nazywano mężczyznę, który nie wiadomo, skąd i kiedy przyszedł, i nie wiadomo, kiedy i dokąd pójdzie. Nie włóczęga, nie dziad proszący o jałmużnę, ale i nic porządnego. Takiego najlepiej zlekceważyć. Można było go poszczuć psem. W ostateczności dać kubek wody prosto ze studni.

– Do śmierci będę się uczył polskości i...

– Dziś powsinogą bywa nazywany ktoś, kto przyjeżdża do wsi volkswagenem tuaregiem, land roverem defenderfem, hummerem, jeepem z napędem na cztery koła. Kto przywozi pościel utkaną z wełny owiec nowozelandzkich i zapewnia, że spanie pod nią łagodzi wszelkie bóle, a reumatyzm odchodzi jak ręką odjął. Oferuje na raty garnki, które mają nie rdzewieć. Sprzedaje czajniki elektryczne, sokowirówki, odkurzacze, aparaty do masowania kolan i pleców. W przeciwieństwie do dawnego powsinogi ten dzisiejszy nie chodzi od domu do domu. Sołtys, komendant straży pożarnej czy proboszcz, któremu podaruje chińską parasolkę albo zegarek marki Rolex, w rzeczywistości made in China, zwołuje mieszkańców do świetlicy. Powsinoga mizdrzy się do nich, kobiety częstuje krówkami, mężczyznom daje po puszce najtańszego piwa, dzieciom funduje polokoktę. Potem przekonuje, że powinni być mu wdzięczni, bo tego, co przywiózł, nie spotkają w żadnym sklepie. Chyba że za granicą. Ale tam za dużo większe pieniądze. I jeszcze trzeba dodać cło. Powsinoga nie domaga się żywej gotówki. Proponuje zakup na raty. Kobiety więc bez czytania podpisują umowy, mężczyźni taszczą wełniane kołdry, nierdzewne rondle, bezworkowe odkurzacze do swoich domów. A gdy pojadą do miasta, to przekonują się, że identyczne kołdry, rondle, odkurzacze są na wystawie w każdym sklepie i dużo tańsze.

Feim chyba zrozumiał wykład, bo westchnął i zamilkł. Odezwał

się dopiero wtedy, kiedy Jung spytał, czy to wszystko, co widział i słyszał w Brodach.

– Matwiejczuk powiedział, że tamten Powsinoga przestał pokazywać się w miasteczku. Jego miejsce zajął inny typ. Też pytał o stare przedmioty. Obrazy, krzesła, szafy, stoły, lampy, nawet interesowały go maszyny do szycia i ręczne młynki do kawy. O porcelanę nie pytał, jakby wiedział, że wszystkiego, co było wartościowe, ludzie już się pozbyli.

– Czego się o nim dowiedziałeś?

– Nie za wysoki i nie za niski.

– Czyli wzrost średni – wywnioskował Jung. – Wiek, nazwisko?

– Matwiejczuk go nie widział. Powtórzył po żonie. Aha, pewnie łysy na czubku głowy, bo miał perukę przypiętą wsuwkami do włosów nad uszami. Grzeczny. Przyjechał passatem kombi. Auto postawił na parkingu przy urzędzie gminy. Zonie Matwiejczuka dał swoją wizytówkę. Powiedział, że gdyby ktoś miał coś do sprzedania, może do niego zadzwonić. Matwiejczuk dobrze nie pamięta, ale chyba jest tam nazwa jakiegoś funduszu z Wiciny i nazwisko tego grzecznego gościa. Neimann czy jakoś podobnie. Słyszał kolega o kimś takim, bo ja nie?

– Fundacja „Wicina" w Zielonejgórze prowadzi Wyższą Szkołę Archeologi. Neimann to jej sekretarz. Dziękuję. Naprawdę nieźle się spisałeś – pochwalił Feima, żeby zakończyć rozmowę. Szkoda, że Albańczyk niczego się nie dowiedział o profesorze Poślednim.

Zielonagóra, ul. Kupiecka,
niedziela, wczesnym popołudniem

– W lodówce są mielone i gołąbki. To na pierwsze pięć dni. W zamrażarce zostawiłam dwa schabowe, dwa zrazy wołowe i pierogi z mięsem. Na najbliższy tydzień. Na drugi tydzień też powinno ci wystarczyć jedzenia. A w ogóle, Daniel, to jesteś na urlopie. Nie

samotniej w domu. Wyjedź do Sławy – podpowiedziała Miśka wczoraj po południu, kiedy wrócił z lotniska.

Zaniósł jej walizkę i pokrowiec wypchany kostiumami do samochodu. Przy pożegnaniu przypomniał, żeby zerkała na znaki, nie jechała za szybko, odpoczęła na granicy i jak zawsze, gdy rozstawali się na kilkanaście dni, życzył najszerszej drogi. Za pięć godzin miała dojechać do hotelu Termal w centrum Karłowych Warów, gdzie organizatorzy międzynarodowego zjazdu medycyny sądowej zaplanowali jej wystąpienie na niedzielne przedpołudnie. Stamtąd pojedzie do Koszyc na sympozjum histopatologów środkowej Europy. Wróci najwcześniej za dwanaście dni z kilkoma kartonami pilznera urquella albo złotego bażanta. Znowu zacznie smażyć kotlety, zrobi gołąbki, ulepi kopę pierogów, może jeszcze coś, żeby Daniel na okrągło nie jadł tego samego, i pojedzie do Debreczyna z cyklem wykładów dla kandydatów na lekarzy sądowych.

Dwa lata temu profesor Kwiatkowska-Jung przez pół roku prowadziła zajęcia na uniwersytecie w Akrze. Po powrocie z Ghany obiecała, że nigdy więcej nie zostawi męża na tak długo. Postanowienia wystarczyło na rok, wtedy uniwersytet w Splicie zaproponował jej stanowisko profesora wizytującego.

Daniel domyślał się, że Miśka składa pieniądze na duży dom z basenem, sadkiem i warzywniakiem. Wychowana w rodzinie leśnika, po przejściu na emeryturę pragnie oddychać ciszą któregoś z podmiejskich osiedli. Na ten temat na razie z nim nie rozmawiała, ale jeżeli będzie się go radziła, podpowie Eden na Drzonkowie lub Profesorskie na Raculi. Oba okolone lasami, wygrzewające się w słońcu, skąd do centrum miasta żabi skok i za którymi w sporej odległości mknie droga ekspresowa z północy na południe. Z wojaży zagranicznych oprócz pieniędzy Miśka przywozi szkatułki, puzderka z kamieniami szlachetnymi, świątki, maski, laleczki, chustki, wyszywanki, nawet firmowe kubki. Gdy Daniel spytał po co te drobiazgi, odpowiedziała, że przypominają jej, gdzie była i z czego

się cieszy. Owe świadectwa pamięci nie mieszczą się w mieszkaniu na Słonecznym. Niemałą ich liczbę Miśka przetrzymuje w swoim gabinecie na uniwersytecie. Niektóre są tandetne. Daniel namawiał ją, żeby kupowała coś bardziej przydatnego w domu lub zabytkowe przedmioty.

Takie, jak te na targach staroci podczas jarmarku z okazji Winobrania. Od połowy osiemnastego wieku każdego roku na początku września handlarze i kupcy zjeżdżają do Zielonejgóry. Dawniej po tanie młode wino, teraz jedni chcą sprzedać to, co zrobili w swoich manufakturach, drudzy oferują to, co zrobili inni. Jung uważa jarmarczne wyroby za badziewie, mimo że popyt na nie jest mniejszy niż na markowe towary w Focusie.

Przecisnął się przez tłum na placu, w którego centrum rozsiadł się ratusz okolony winoroślami wspinającymi się po drabinkach ku oknom pierwszego piętra. Przy pomniku Bachusa skręcił w Kupiecką, gdzie przycupnęły kramy ze starociami. Widział obrazy w podniszczonych ramach, sztylety jak zapałki wyłożone obok szabel, siekierki nabłyszczone olejem rzepakowym lub towotem, szafeczki na przyprawy, kafle holenderskie, żyrandole, świeczniki, lichtarze, butelki z korkami i bez, garnki gliniane, zasuwy, okucia drzwi, książki w starych oprawach, pożółkłe czasopisma. Pochylił się nad gablotką, w której były wypłowiałe banknoty. Patrząc na nie, przypominał sobie niemieckie marki, greckie drachmy, austriackie szylingi, estońskie korony, włoskie liry, litewskie lity. Przemknął wzrokiem po odznakach, hełmach, czapkach i mundurach wyjściowych. Pomiędzy nimi leżały pasy z klamrami oznaczonymi rosyjską gwiazdą z sierpem i młotem i niemiecką swastyką. Wyglądały tak, jakby wczoraj wyszły spod maszyn. Niezdziwiony tym, że dziesiątki gapiów uważają handlarzy starociami za naciągaczy, zatrzymał się przy kocu, na którym stały filiżanki, talerzyki, waza bez jednego ucha, świecznik i wazony. Wziął do ręki naczynie z wyraźną plamą na dnie. Nie domyślał się, jakie jest jego przeznaczenie. Pod spodem nie było żadnego znaku, nawet brakowało śladu po sygnaturze

wytwórcy.

– Sorau? – zwrócił się do mężczyzny w przyciemnionych okularach, nudzącego się na stołeczku na skraju koca. Jung wymienił tę nazwę tylko dlatego, że kiedyś był na wystawie żarskiej porcelany, a nie znał nazwy innej wytwórni. Do końca lat czterdziestych dwudziestego wieku po obu stronach Nysy było wiele fabryczek naczyń z porcelany.

– Bomboniera Sorau – odpowiedział wyrwany z zamyślenia mężczyzna. Podniósł się. – Jedyny zachowany egzemplarz. Niestety bez oryginalnej przykrywki.

– Na jakiej podstawie pan twierdzi, że to naczynie pochodzi z Sorau, skoro nie ma na nim sygnatury?

Mężczyzna zrobił krok w stronę Junga i uśmiechnął się wyniośle.

– Nie mam smartfona ani karty do bankomatu. Na komputerach mój wnuk zna się lepiej ode mnie. Za to na porcelanie znam się najlepiej – kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki dotknął ust i cmoknął, jakby chciał przekonać gapiów, którzy zatrzymali przy kocu, że jest znawcą.

Jung miał ochotę ciągnąć tę rozmowę, gdy na prawym ramieniu poczuł czyjąś dłoń. Odwrócił się. Nie znał mężczyzny.

– Naprawdę szkoda czasu, panie redaktorze – usłyszał szept przechodzący w ostrzegawczy syk. – Niech się pan nie da nabrać. Tu pan nie znajdzie niczego wartościowego. To jest tandeta poniemiecka i podróbki udające oryginały. Na targach staroci nikt rozumny nie kupuje porcelany z Sorau. Tym bardziej w takim miejscu nikt nie sprzedaje wyrobów tej firmy.

– A gdzie? – Jung udał dyletanta.

– Kto ma się dowiedzieć, dowie się we właściwym czasie. Ze zbieraczami staroci jest jak z hazardzistami.

– Nie rozumiem.

– Zielonagóra nie dostała zgody na prowadzenie kasyna gry i dlatego w naszym mieście ruletka jest zabroniona. Nie oznacza to, że tutejsi zawodowi hazardziści, aby wygrać czy przegrać, jeżdżą aż do

Wrocławia. – Nieznajomy puścił oko do Junga, po czym zrobił dwa małe kroki do tyłu. Podniósłszy rękę jakby na pożegnanie, dodał: – Ale, panie redaktorze, pooglądać nie zawadzi. Czasem podróbki są ładniejsze od oryginałów.

Jung chciał go spytać, czy jest kolekcjonerem zabytkowej porcelany, kiedy poczuł wibrację w kieszeni, a sekundy później zaczęła odzywać się melodia z komórki. Pomyślał o żonie. Pewnie już przedstawiła swoje badania, nieźle jej poszło, telefonuje więc, żeby się pochwalić. Jednak zerknął na wyświetlacz. Ewa Jankowska? Sekretarka zmarłego rektora Wyższej Szkoły Archeologi do mnie o tej porze?

Zielonagóra, os. Eden, niedziela, przed wieczorem

Dwa dni temu, kiedy Jung przyjechał na śródleśne osiedle, nie widział psa. Teraz przy furtce warował czekoladowy czworonóg. Przypuszczał, że to labrador lub wyżeł, ale nie miał pewności.

– Labradorka – wyjaśniła Ewa Jankowska. – Proszę się nie bać. Psy tej rasy są wielkie i wyglądają groźnie, ale w rzeczywistości takie nie są. Kto jej nie zna, boi się wejść za ogrodzenie, a przede wszystkim o to mi chodzi. Tu, na uboczu osiedla, trudno o lepszego ochroniarza i przyjaciela niż Wicina.

– Wicina?

– Jak ta wieś, w której archeolodzy prowadzą wykopaliska. Tam osiem lat temu dostałam ją od studentów. Sądzili, że w ten sposób mnie przekupią i łatwiej im pójdzie na zaliczeniu praktyki, a mnie już jako dziecka nie można było przekupić nawet cukierkami. – Jankowska otworzyła bramkę. – Wicina, wracaj do swego kojca.

Labradorka odwróciła się i posłusznie poszła za dom, gdzie za równo przyciętym żywopłotem stała buda.

– Pani doktor.

– Panie redaktorze – Jankowska nie pozwoliła Jungowi dokończyć

zdania. – Panią doktor tytułowali mnie studenci, gdy prowadziłam zajęcia z archeologi kognitywnej. Teraz gdy siedzę za biurkiem w sekretariacie rektora, podnoszę słuchawkę, parzę kawę i bez rozgłosu wykonuję co najmniej setkę monotonnych czynności, które jest w stanie zrobić dziewczyna po maturze, nawet studenci do mnie tak nie mówią, mimo że w umowie o pracę mam: adiunkt. Czasowo do spraw administracyjnych. Na osiedlu, a tym bardziej w moim domu nikt tak do mnie się nie zwraca. Jestem Ewa. Po prostu: Ewa. – Wyciągnęła rękę przed siebie, a dołki w jej policzkach zrobiły się głębsze. Były jak dwa księżyce w pełni.

Tym zachowaniem nie tyle zbiła Junga z tropu, co go onieśmieliła, ale nie na dłużej niż mgnienie oka.

– W piątek wieczorem, kiedy zaparkowałem „pięćsetkę" przy płocie, pani wyszła przed dom, jakby chciała sprawdzić, kogo diabli nadali o tak późnej porze. Wtedy przedstawiła się pani jako doktor Jankowska. – Jung nie umiał i nie lubił przegrywać, dlatego przypomniał jej to, co się wydarzyło w dwa dni temu. W ten sposób odzyskał pewność siebie. – Co prawda potem wyjaśniła pani kulisy przeniesienia do sekretariatu rektora, ale w mojej pamięci pozostała pani panią doktor.

– *La donna é mobile*[12]*,* panie redaktorze. Czy panie Danielu? A może Danielu? – spytała ze srebrzystym śmiechem, chwytając Junga za przegub prawej dłoni. – Jeżeli Kwa, to i Daniel, prawda?

Takiego zachowania Jankowskiej nie przewidział. Jeszcze w drodze ze Śródmieścia na osiedle zastanawiał się, dlaczego w niedzielę, dzień przed pogrzebem Pośledniego, sekretarka rektora zaprosiła go do swego domu. Zadał jej to pytanie wcześniej, kiedy rozmawiali przez telefon. Odpowiedziała, że chciałaby go poinformować o czymś, co może mieć naprawdę niezmiernie ważne znaczenie. W moim domu nikt nam nie będzie przeszkadzał, zakończyła rozmowę. Co miała na myśli? Kto ma przeszkadzać? Kogo ona się boi? Przed kim mnie chroni? Przecież już w piątek wieczorem powiedziała więcej niż się spodziewałem. Aha, dwa dni temu jednak coś ukryła.

Teraz nie daje jej to spokoju i mnie wybrała na spowiednika. Identycznie zachowywała się Grażyna Nahorska, gdy nie potrafiła rozwiązać swoich problemów. Pewnie to jest cecha kobiet po czterdziestce, które nie z własnej winy nie zdążyły zostać matkami. A może Jankowską skłoniła informacja o umorzeniu śledztwa podana w „Zielonogórskiej"? Chce zwrócić moją uwagę na szczegół pominięty przez kryminalistyków, pomyślał.

– Skoro Ewa – schyliwszy głowę, trwał tak dobrą chwilę – to i Daniel. Tak będzie rozmawiało się swobodniej.

– Na bruderszaft zapraszam do salonu. – Przywarła ramieniem do ściany, wskazując głową drzwi.

Jung wszedł pierwszy. Zobaczył tę samą sofę, na której siedział w piątek. Na stoliku stał dzbanek, dwie filiżanki i dwa talerzyki. – Jak obiecałam, tak zrobiłam. Upiekłam szarlotkę. Sądzę, że taką lubisz. Co się pytam? Nie ma takiego mężczyzny na świecie, którego nie można skusić domowym wypiekiem.

– „Jewa jabłko zjadła, a Jadamowi wógrizkę dała".

– To po łużycku czy staropolsku?

– Był czas, kiedy emocjonowała mnie mądrość dawnej polszczyzny ludowej – przyznał się Jung, mając wzrok utkwiony w pokrywce dzbanka przypominającej dziób ptaka. Wyglądał na bardzo stary. – Antyki? – spytał, pokazując ręką na filiżanki i dzbanek.

Jankowska przytaknęła i z ukosa przypatrywała się Jungowi, jak przełknął ślinę, gdy przeniósł wzrok na szarlotkę. Zadowolona usiadła na sofie, wskazując mu miejsce obok siebie.

– To są naczynia ze sławnego serwisu zwanego Łabędzim. Największego i najbardziej cennego zestawu porcelany, jaki kiedykolwiek wykonano w Miśni, a pewnie i na świecie. Powstał w połowie osiemnastego wieku na zamówienie saskiego hrabiego Henryka Brühla i jego czeskiej małżonki Anny Kollovrath-Krakovsky'ej. Serwis był ceniony przede wszystkim ze względu na wyjątkowej urody dekoracje. Na każdym, a powstało dokładnie

dwa tysiące dwieście talerzy głębokich i płytkich, talerzyków, misek, półmisków i ćwierćmisków, waz na zupę, podstawków, spodków i filiżanek, nelsonek, żardinierek, porcjówek, kompotierek, sosjerek, salaterek, cukiernic, mieczników i innych trudnych do nazwania, tym bardziej do zastosowania naczyń, na każdym widnieje namalowany łabędź i znak skomponowany z herbów rodowych obojga małżonków. Niektóre – Ewa pokazała na dzióbek dzbanka z kawą – są tak uformowane, żeby przypominały konkretne ptaki.

– Mniej więcej do zakończenia drugiej wojny serwis służył gospodarzom i gościom pałacu Bruhlów w Brodach, które wtedy nazywały się Pförten. Potem naczynia zaginęły – przypomniał Jung to, czego dowiedział się od Feima Vlashiego.

– Nie udało się ustalić, co się z nimi stało. Jest sporo opowieści o charakterze wręcz sensacyjnym. Domyślam się, że jakaś część serwisu przepadła w niemożliwych do potwierdzenia okolicznościach, ale i coś się uchowało. – Naprowadziła wzrok Junga na stół. – Dzbanek, filiżanki i talerzyki należą do tego słynnego serwisu. Spodki są współczesne.

– Nie wierzę.

– Powinieneś.

– Nie boisz się, że...?

– Ze ktoś włamie się do domu? – Nie czekając na odpowiedź, powiedziała słodko: – Gdyby zginęły jutro, za tydzień, za rok, byłbyś na krótkiej liście podejrzanych.

– Skąd je masz? Nie sądzę, żebyś chodziła od domu do domu w Brodach i za stare naczynia z porcelany dawała nowiutkie salaterki z porcelitu wyprodukowane w Mirostowicach. – Otworzył szeroko oczy z pytającym wyrazem twarzy.

– Kto ci to powiedział?

– Wymyśliłem na poczekaniu. – Dobrze jej nie znał, dlatego nie chciał mieszać do tego Feima.

– Dostałam w prezencie imieninowym od... – urwała i patrzyła przed siebie, jakby się zastanawiała, czy powinna ujawnić

ofiarodawcę. – To było w zeszłym roku. Dwudziestego trzeciego grudnia. W wigilię moich imienin. Dostałam od Stefana. Tylko raz, właśnie tamtego popołudnia, piliśmy z nich kawę.

– Zaciekawiłaś się, w jaki sposób Pośledni je zdobył?

Powiedziała z uśmiechem, że kobiety nie zadają takich

pytań swoim mężczyznom. Boże, jak te dołeczki w jej policzkach hipnotyzują, stwierdził Jung. Po chwili Ewa dodała:

– Zresztą Stefan nie powiedziałby całej prawdy.

I słusznie, potwierdził jakiś głos w głowie Junga. Ewa zachowuje się identycznie jak twoja żona. Miśka przestała cię pytać, ile kosztowały prezenty, którymi co roku obdarowujesz ją w urodziny, imieniny i rocznicę ślubu. Może gdybyś kupował tandetę, powiedziałaby, że szkoda pieniędzy, ale ty zawsze starasz się sprezentować jej coś wartościowego.

– Czyli będę pil kawę z filiżanki, której brzegów mogły dotykać usta władcy Saksoni Fryderyka Augusta II i króla Polski Augusta III. A może i August zwany Mocnym zostawił na niej ślad– wywnioskował.

Jankowska wyciągnęła rękę po paczkę brilliantów i zapalniczkę. Jung nabrał powietrza do płuc i z sykiem długo je wypuszczał. Domyśliła się, co to oznacza. Zmarszczyła czoło, jakby nie miała zamiaru mu ulec, bo w swoim domu może robić co się jej podoba. Milcząc, Jung pokręcił głową. Dopiero gdy poczuła na sobie jego karcące spojrzenie, odłożyła papierosy.

– Jest więcej niż prawdopodobne, że brzegów którejś z tych filiżanek dotykały usta Fryderyka Augusta II – powiedziała po chwili. – Jego ojciec Fryderyk August I nie mógł z nich pić, ponieważ serwis zaczął powstawać dopiero po ślubie Brühla z hrabianką Kollovrath-Krakovský, a to miało miejsce pięć lat po śmierci seniora. Teraz pytanie z histori Polski okresu wolnej elekcji, redaktorze śledczy.

– Jeżeli odpowiem poprawnie, czy dostanę nagrodę pocieszenia?

Jankowska przytaknęła.

– Ile razy August Mocny był wybierany na króla Rzeczypospolitej Obojga Narodów, jak nazywano Koronę Polską i Wielkie Księstwo Litewskie? – spytała.

Jungowi nieobce były dzieje Środkowego Nadodrza, a szczególnie historia Wschowy, leżącej w połowie drogi między Warszawą i Dreznem. W czasach saskich ze względu na swoje położenie miasteczko stało się drugą stolicą Rzeczypospolitej. Jung wiedział, że po śmierci Jana III Sobieskiego wielu pretendentów zabiegało o tron polski. Znaczące rody arystokratyczne usiłowały przekupić posłów na sejm elekcyjny, żeby obrali ich kandydata. Mimo że większość elektorów głosowała za Franciszkiem Ludwikiem Burbonem, księciem Contim, na tronie zasiadł władca Saksoni z rodu Wettynów.

– Sas najpierw władał Rzecząpospołitą jako August I. Obalony przez poplecznikόw Stanisława I Leszczyńskiego, po pięciu latach powrócił do Warszawy jako August II. Hulaka, uwodziciel, niewyżyty seksualnie, ojciec coś trzystu nieślubnych potomków, dopiero na łożu śmierci przyznał, że całe jego życie było jednym nieprzerwanym grzechem – przypomniał tonem kaznodziei. – Ledwie Sas oddał ducha Panu, na tron wrócił Leszczyński jako Stanisław II, z czym' nie pogodziła się ta część szlachty, która popierała Wettynów. Oni to zmusili legalnie wybranego władcę do abdykacji i przekazali koronę królewską elektorowi saskiemu, Augustowi III, jedynemu synowi Mocnego i Krystyny Bayeruckiej. Przez trzy lata Rzeczpospolita miała dwóch królów: jednego w Warszawie i Dreźnie, drugiego we Francji.

– Niełatwy egzamin z histori zdałeś celująco. Zasłużyłeś na nagrodę. – Łopatką wyglądającą na posrebrzaną lub srebrną nałożyła duży kawałek szarlotki na jeden z talerzy i odrobinę na drugi. Po czym sięgnęła po dzbanek i nalała kawę do obu filiżanek. Sięgnęła po porcelanową cukiernicę z parą łabędzi szykujących się do lotu. – Niestety, nie mam mleka.

– Lubię kawę czarną i bez cukru – oświadczył Jung, pochylając się

nad szarlotką. Jeszcze jej nie przełknął, a już pochwalił. – Z miejscowych jabłek – bardziej potwierdził niż spytał.

Jankowska nie zaprzeczyła. Mimo że była ciekawa, jak doszedł do takiego wniosku, powiedziała:

– Znam nazwisko winowajcy.

– Naprawdę wspaniała szarlotka.

– Znam okoliczności i nazwisko tego, który spowodował śmierć Stefana.

Jung przestał jeść. Wybałuszył oczy. Wyprostowany na sofie, czekał. Ponieważ zamilkła, jakby się zastanawiała, czy powinna je ujawnić, spytał:

– Czyż nie po to zaprosiłaś mnie do swego domu?

– Zastanów się, czy na pewno chcesz je poznać.

– Już się zastanowiłem. Na pewno chcę je poznać – powiedział przekonany, że usłyszy coś, czego nie wie policja.

– Na pewno? Jeszcze możesz zmienić zdanie.

– Zachowujesz się tak, jakbym był nieświadomy tego, co mówię. Jestem zdrowy na umyśle.

– Ty, Daniel.

– Co, ja?

– Ty jesteś sprawcą.

– Ja? – roześmiał się.

–Ty.

– Nigdy nie spotkałem Pośledniego. Raz z nim rozmawiałem, ale wyłącznie przez telefon. Rozmowę w cztery oczy mieliśmy odbyć w poniedziałek. Jak wiesz, nie zdążyłem zadać mu nawet pół pytania.

– Nie twierdzę, że zrobiłeś Stefanowi śmiertelny zastrzyk. Jesteś przypadkowym, mimowolnym, nieumyślnym winowajcą. Nie obawiaj się. Nikomu tego nie powiem.

– Posunęłaś się za daleko– rzucił bez wahania. – Do czego zmierzasz? Coś ci przyszło do głowy? Sama wymyśliłaś ten idiotyzm czy ktoś ci go podsunął?

Pokręciła głową.

– Stefan był na wykopkach w Niemczech. Gdzie? Gdzieś niedaleko Drezna. Dokładnie nie wiem. Miał tam wykłady i spotkania z kandydatami na archeologów. Przy piwie albo w innych okolicznościach pochwalił się, że zaraz po powrocie do Zielonejgóry jest umówiony na rozmowę z dziennikarzem o skarbach znalezionych na Środkowym Nadodrzu.

– Pośledni przywiązywał aż tak wielkie znaczenie do tej rozmowy, że pochwalił się nią w Niemczech? Nie wierzę. Trudno go zaliczyć do celebrytów, ale „Dziennik" niemal z dokładnością do miesiąca drukuje jego opinie nie zawsze dotyczące zagadnień archeologi.

– Nie przesadzaj z „Dziennikiem".

– Każdego tygodnia staram się umówić z kimś na wywiad. Większość specjalistów długo muszę zachęcać. Wyłączając polityków i urzędników, ludzie nie chcą wypowiadać się publicznie.

– Od czasów Carla Humana i Heinricha Schliemanna archeolodzy znajdują wiele przedmiotów, o których z różnych względów nikogo nie informują. Policjanci zasłaniają się tajemnicą śledztwa, a archeolodzy dobrem nauki. Mimo to o niektórych znaleziskach społeczeństwo się dowiaduje. To jeszcze nie jest niebezpieczne. Niebezpieczne stanie się dopiero wtedy, gdy znaleziskiem zaczną się interesować bogaci kolekcjonerzy. Tacy za wszelką cenę chcą stać się właścicielami znalezionych przedmiotów. Nawet za cenę śmierci archeologa.

– Co to ma wspólnego ze mną? Przecież nie zdążyłem napisać zdania o skarbach znalezionych na wykopaliskach w naszym regionie. – Jung chciał się pożalić, że zwierzchnik w komendzie, zbieracz zabytkowej broni wyrzucił go z policji, ale się wstrzymał. Nawet Syskiemu nie przyznał się, że za pół roku, za rok, po kolejnym badaniu u okulisty w poliklinice, musiałby odejść z komendy. Gdy zaraz po studiach składał podanie o przyjęcie do policji, ukrył, że niedowidzi lewym okiem. Podczas obowiązkowych zajęć na strzelnicy udawało mu się tak pokombinować, że nigdy nie

celował z pistoletu do tarczy. Jedynie jego bezpośredni zwierzchnik, ten, który kolekcjonował zabytkową broń, to zauważył. Gdyby więc Jung dobrowolnie nie napisał raportu o zwolnienie z policji, zwierzchnik skierowałby go na badanie przez komisję lekarską. I może szepnąłby przewodniczącemu, żeby do komisji włączył cichociemnego okulistę.

– Na wykopaliskach w Niemczech mógł przebywać ktoś taki, kto upatrzył sobie jakieś przedmioty wydobyte z ziemi. Albo pośrednik w handlu antykami. Albo ktoś, kto nie ma interesu w tym, żeby upowszechniać informację o odkryciach. Daniel, wielkie pieniądze lubią ciszę.

Jankowska nałożyła jeszcze jeden, teraz większy kawałek szarlotki na talerzyk leżący przed Jungiem, trąciła go ramieniem i się uśmiechnęła, a dołki w jej policzkach wyglądały jak wytoczone. Jeśli obca kobieta uśmiecha się do mężczyzny, to na pewno przypomniała sobie coś przyjemnego lub spodziewa się czegoś, co będzie tak samo miłe jak to, co zapamiętała, pomyślał.

– W piątek powiedziałaś, że o skarbach z Witaszkowa i znaleziskach z Wiciny wiesz nie mniej niż Pośledni. I że na ich temat jesteś gotowa ze mną rozmawiać.

Jankowska znowu się uśmiechnęła.

– Kiedy?

– Kiedy będziesz miał ochotę, a ja czas.

– Dziś?

– Na dziś mam inną propozycję.

– Inną?

– Jeszcze kawy?

Jung nie uważał się za kawosza, ale napój przygotowany przez Jankowską wyjątkowo mu smakował. Pewnie czymś go doprawiła, pomyślał.

– Jednak zapalę. – Sięgnęła po brillanty leżące na stoliku. – Bez kofeiny mogę wytrzymać pół dnia. Bez nikotyny z trudem godzinę.

Ją i jego zelektryzowała melodyjka.

– Dzwonek u drzwi czy telefon?

– Moja komórka – powiedział Jung, podnosząc się z sofy. Jego torba wisiała na klamce. – Pewnie coś ważnego się wydarzyło i będę musiał cię pożegnać. – Ruszył w stronę drzwi, ale im był bliżej torby, tym melodyjka wydawała mu się cichsza.

– Jednak mój telefon – stwierdziła Jankowska i wstała. – Niewiele osób do mnie dzwoni.

– Mamy identyczne fabrycznie ustawione melodyjki.

– Marta? Do mnie? – zdziwiła się. – Przecież ona mnie nienawidzi.

Zielonagóra, Szosa Wrocławska,
poniedziałek, w samo południe

Jeszcze wczoraj wieczorem Jung nie miał zamiaru wgłębiać się w to, kto przyczynił się do śmierci profesora Pośledniego. Nie mając żadnych dowodów, prokurator przyjął, że syn zrobił śmiertelny zastrzyk ojcu. Dlaczego? Może ojciec o to go prosił? A kiedy? Czy ktoś słyszał rozmowę? W jaki sposób i gdzie Alan zdobył oxsycodon? Kto mu pomógł? Same pytania. Ponieważ ofiara i sprawca nie żyją, prokurator umorzył śledztwo. Mimo że nadkomisarz Mrozińska uznała to za przedwczesne, Jung nie wierzył, żeby pod naciskiem prasy zwierzchnik Tomczyszyna cofnął decyzję swego podwładnego i kazał mu kontynuować śledztwo. Mimo to będzie próbował.

I dlatego w poniedziałek Jung zmienił zdanie. Nie wszystko, czego się dowiedział od Mrozińskiej i co mu powiedziała Jankowska, układało się w przejrzystą całość. Przede wszystkim nie rozumiał, dlaczego już piątego dnia prowadzenia śledztwa prokurator wskazał Alana jako sprawcę i sprawę umorzył. Przecież mógł je odłożyć do zamrażarki, jak mówią kryminalni, tym bardziej że takie rozwiązanie proponowała nadkomisarz Mrozińska. Może kiedyś policjanci natrafią na ślady prowadzące wprost do sprawcy. Każdy przestępca

popełnia jakiś błąd, Jung przypomniał sobie to, czego dowiedział się w szkole policyjnej w Holeszowie i co powtarzali jego koledzy z pionu kryminalnego. Żaden sprawca nie bierze pod uwagę tego, że z biegiem lat metody prowadzenia śledztw i analizy dowodów są coraz bardziej doskonałe. Za rok, za dwa lata, może później, ale na pewno każdy przestępca zostanie osądzony i ukarany.

Jung nie miał nic przeciw temu, żeby utonięcie Alana uznać za nieszczęśliwy wypadek. Tę wersję podpowiedział doktor Trzcinka po zakończeniu sekcji zwłok, a prokurator nie wnikając w szczegóły, ją zatwierdził. Tym bardziej że pasowała jak ulał do jego tezy.

Mimo to Alan nie dawał spokoju redaktorowi Jungowi. Może jednak prokurator ma rację, że to on zrobił zastrzyk ojcu. W piątek po południu wszedł do domu na Kwiatowym? Wszedł. Po dwudziestu siedmiu minutach wybiegł i był zdenerwowany? Był. A dlaczego? Tego dotąd nie udało się policjantom wyjaśnić i pewnie nigdy się nie uda. A może Alan był w domu krócej niż dwadzieścia siedem minut albo dłużej? Nie wybiegł i wcale nie był zdenerwowany? Może tylko tak się wydawało Nogalowi? Ale przecież strażnik graniczny z doświadczeniem oficera żandarmeri wojskowej to nie posterunkowy po szkółce czy pierwszy lepszy podglądacz, pomyślał. W dodatku Nogal jest starszym zboru świadków Jehowy na Jendrzychowie. Nie wszystkie zasady wiary, które obowiązują ortodoksyjnych jehowitów w życiu codziennym, podobają się Jungowi. Jednak za jedno ich podziwia i ceni: starają się być sumienni.

Jung nie miał pretensji do prokuratora. Tomczyszyn postąpił tak, jak na to zezwala prawo: gdy podejrzany nie żyje, śledztwo należy umorzyć, ponieważ nie da się sprawy wyjaśnić bez wątpliwości. Gdyby nawet prokuratorowi udało się zebrać niemożliwe do podważenia dowody winy Alana, to jak postawić nieboszczyka przed sądem, skoro każdy ma prawo do samodzielnej obrony lub przy pomocy adwokata? Z jednej strony zadanie niewykonalne, z drugiej ośmieszające wymiar sprawiedliwości.

Każdy prokurator uważa się za nieomylnego prawnika, dlatego

Tomczyszyn potraktował przepisy jako oczywiste wytyczne w swojej działalności. Tylko, i to nie daje spokoju Jungowi od wczorajszego wieczoru, dlaczego Alan mial zrobić śmiertelny zastrzyk ojcu? Wydarzyło się coś, co go zdenerwowało? Na przykład dowiedział się, co było powodem rozejścia się ojca z jego matką. Ojciec ożenił się powtórnie i zamiast zachowywać się lojalnie wobec Bożeny, utrzymuje kochankę. Może ojciec powiedział mu coś, czego on nie chciał usłyszeć. I dlatego zrobił mu ten zastrzyk? Nie, to jest wykluczone. Alan zdawał sobie sprawę z tego, ile zawdzięcza ojcu. Przecież bez jego pomocy nie miałby salonu przy Kupieckiej, willi na Kamieni Szlachetnych i domku w Jodłowie, mitsubishi, nie jeździłby zimą w Dolomity, latem do Costa del Sol. Alana na razie wykluczył.

W drodze z Edenu na Słoneczne Jung zdecydował, że rozpocznie dziennikarskie śledztwo. W nocy długo nie mógł zasnąć. To brał pod uwagę Alana i zaraz dochodził do wniosku, że oskarżenie go nie ma sensu. Sprawca nie żyje. To odpędzał od siebie tę myśl. Jeśli nie Alan spowodował śmierć Stefana Pośledniego, to kto inny? Marta? Karin Stenzel? Alina? Bożena? Ewa Jankowska? Sąsiad? Ktoś, z kim się znał od dawna?

Pomimo tego że rozumiał prokuratora, zastanawiał się, dlaczego tak szybko umorzył śledztwo i to wbrew opini nadkomisarz Mrozińskiej.

A może Tomczyszyn wie, kto zrobił śmiertelny zastrzyk i go kryje?

O ósmej zadzwonił do Feima Vlashiego z pytaniem, czy mu pomoże.

– Jestem prawnikiem z wykształcenia, króciutko praktykowałem jako adwokat w Tiranie, ale nie znam niuansów polskiego prawa karnego – zastrzegł się Albańczyk.

– W samo południe rozpoczną się uroczystości pogrzebowe obu Poślednich. Urny z prochami ojca i syna zostaną pochowane w tej samej niszy – powtórzył to, czego dowiedział się od Jankowskiej. – Chciałbym, żebyś sfotografował tyle twarzy żałobników, ile się da. Część tych, którzy przyjadą na cmentarz, mnie zna i wie, że jestem

dziennikarzem piszącym, a nie fotoreporterem. Feim, jesteś w innej sytuacji. Ludzie czytają twoje artykuły, ale nie wiedzą, jak wyglądasz.

To samo powiedział Kamilowi, a sam wmieszał się w gęsty tłum przesuwający się szeroką aleją z kaplicy do kołumbarium z oddali wyglądającego jak pomnik w centrum cmentarza. Ostatni raz szedł tędy pod koniec listopada zeszłego roku, kiedy prokurator zarządził ekshumację zwłok byłego senatora i właściciela sieci tanich stacji paliw. Zdziwił się więc, że po lewej stronie wzgórza, gdzie wtedy kiwały się sosny na wietrze, jakby grały *Marsza żałobnego*, teraz stoi las krzyży. Zimą zarządca nekropoli pewnie nakaże wycięcie drzew po prawej stronie, co rozszerzy protest ekologów, którzy będą przekonywali prezydenta miasta, żeby nie godził się na powiększenie cmentarza kosztem zieleni. Na razie są przeciwni budowie południowej obwodnicy Zielonejgóry, nie zgadzają się na przerzucenie mostu przez Odrę w Milsku i poprowadzenie drogi przez mokradła, gdzie sejmikują bociany przed odlotem do ciepłych krajów. Również nie chcą pozwolić na rozebranie rozsypującego się komina od lat nieczynnej cegielni, w którym kawki ulepiły sobie gniazda.

Niedawno kibice żużlowców namówieni przez pracowników firm należących do Joachima Gremplera byli przeciwnikami budowy nowego cmentarza zaraz za stadionem, gdzie właściciel klubu obiecał im wyznaczenie parkingu i pola biwakowego, żeby nie musieli daleko szukać miejsca na fetowanie sukcesów zawodników. Popierali ich ci emeryci, uczniowie i studenci, którym właściciel klubu przyznał prawo do biletów ulgowych, pod warunkiem że dwie godziny przed wyjazdem żużlowców na tor przyjdą pod bramy stadionu. Przeciwniczkami parkingu, pola biwakowego, stadionu i nowego cmentarza zaś okazały się kobiety zjednoczone w parafialnych kołach Radia Maryja. Wedle nich na cmentarz nie powinny docierać żadne krzyki, śpiewy i wiwaty, bo musi to być miejsce głębokiej zadumy i refleksji nad losem człowieczym. Smutku

i pamięci. Domagały się od prezydenta wyznaczenia innego miejsca na nową nekropolię, najlepiej na południowym zboczu parku Piastowskiego, gdzie jeszcze były ogrody działkowe, a już firma Grempler Development szykowała się do budowy osiedla willowego, o czym one nie wiedziały. Kobiety postawiły warunek: przy nowym cmentarzu musi być bezpłatny parking, zadaszony przystanek autobusowy i tania kwiaciarnia oraz sklepik z wodą mineralną.

– Redaktor prywatnie czy służbowo? – spytał prezes wydawnictwa Grempler Media. Zanim Jung ułożył odpowiedź wymijającą, nakazał mu, żeby na zdjęciu, które wydrukuje jutrzejsza „Zielonogórska", był zafrasowany prezydent miasta i tuż przy nim albo w niedalekiej odległości również zafrasowany Grempler. – W podpisie ich nazwiska z imionami i coś ciepłego. Ale tak, redaktor rozumie, inteligentnie i ujmująco. Mam ważne sprawy do jednego i drugiego. To też może się opłacić redaktorowi. Przy okazji. Albo nie. Na cmentarzu nie wypada. Jutro redaktor się dowie – mrugnął znacząco i klepnął Junga w ramię. – Młode, kolego redaktorze, do nas idzie.

Nawet gdyby Jung próbował wyciągnąć od niego coś więcej, nie miał jak, bo prezes już był przed nim dwa metry. Starał się znaleźć miejsce wśród właścicieli i dyrektorów firm większych od wydawnictwa. W tej samej grupie byli: marszałek z dwoma zastępcami, wicewojewoda, prezydent miasta i delegacja radnych, prorektor i dziekan w togach, członkowie senatu uczelnianego. Jung domyślał się, że ci, którzy idą za nimi, to archeolodzy, archiwiści, nauczyciele histori i podwładni Pośledniego, wśród których dostrzegł ubraną na granatowo Ewę Jankowską. Jeszcze nie zdecydował, czy po wszystkim podejdzie do niej i powie, że po wieczornej rozmowie postanowił poprowadzić śledztwo dziennikarskie w sprawie śmierci profesora. Prawdopodobnie będzie potrzebował większej pomocy z jej strony. Ci obok mnie, sami starsi, pomyślał, to pewnie sąsiedzi Pośledniego z osiedla.

Gdy kondukt zatrzymał się przed południowym skrzydłem kolumbarium i dwaj mężczyźni w czarnych ubraniach ze złocistymi obszyciami postawili identyczne urny na katafalkach, właściciel zakładu pogrzebowego i jednocześnie mistrz ceremoni podał mikrofon prorektorowi. Jung nie słuchał jego mowy. Obserwował twarze, mając w pamięci to, co wczoraj wieczorem powiedziała Jankowska. Nie spytał, od kogo wie, że zabójca często wraca na miejsce zbrodni. Pewnie przeczytała w jakiejś powieści. Syski też tak uważał, ale nigdy nie wyjaśnił, czym na pierwszy rzut oka morderca różni się od świadka pogrzebu. Nawet gdyby Bożena Poślednia zawodziła, że zabiła męża i z jej powodu Alan się utopił, żałobnicy nie wezmą tego na poważnie. Uznają ją za nieszczęśliwą kobietę.

Może na podstawie zdjęć, które zrobią Feim i Kamil, uda się kogoś wytypować, pomyślał, chociaż w to nie wierzył. Muszę prześledzić ostatnie dni Pośledniego, postanowił.

Po prorektorze przemawiał szpakowaty mężczyzna w grafitowej marynarce zapiętej na dwa złocące się w słońcu guziki z czarnym napisem Kidel. Dużo powiedział o znaczeniu odkryć profesora. Kto to był, Jung nie domyślał się i nie miał kogo spytać. Jego akcent zdradzał częste posługiwanie się również mową niemiecką. Pewnie archeolog albo współpracownik z wykopalisk. Wydawało mu się, że mężczyzna nosi perukę, ale gdy wiatr lekko dmuchnął, włosy na jego głowie tylko się rozwichrzyły. Potem właściciel zakładu pogrzebowego podał mikrofon prezydentowi miasta, a ten powiedział, że występuje nie tylko jako gospodarz Zielonejgóry, lecz przede wszystkim jako sąsiad zmarłego. Feim, który nikogo nie znał na cmentarzu, jemu również pstryknął zdjęcie. Zresztą nie tylko Feim go sfotografował, bo i młodzieniec z torbą oznaczoną główką kwartalnika „Archeologia Lubusiana”, i jeszcze dwie osoby. Kobietę w przyciemnionych okularach, zachowującą się tak, jakby miała etat w administracji cmentarza i prowadziła kronikę wydarzeń, widział pierwszy raz. Nogala, który mu się ukłonił, poznał w czasach, gdy pułkownik jako żandarm wojskowy był odpowiedzialny za kontakty

z policją. Z przemówienia odczytanego przez prezydenta Jung zapamiętał jedynie to, że nie ma najmniejszych wątpliwości, kogo senat Wyższej Szkoły Archeologi powinien wziąć na patrona uczelni.

– Jeszcze dziś zwrócę się z wnioskiem do rady miejskiej, żeby ulicy na osiedlu Kwiatowym, przy której mieszkał zmarły, światowej sławy znawca cywilizacji łużyckiej, przy której stoi mój niepokaźny domek i znakomicie utrzymane posesje z domami moich niezwykle pracowitych sąsiadów, nadała imię profesora zwyczajnego doktora habilitowanego doktora honoris causa multi Stefana Pośledniego. – Prezydent podszedł do katafalków i czubki palców prawej dłoni, tej ozdobionej złotym pierścieniem z herbem miasta, położył na urnie z prochami profesora. Najpierw z pochyloną głową, potem ze wzrokiem skierowanym w stronę fotografów stał tak długo, aż oni przestali robić mu zdjęcia.

Starszy mężczyzna w okularach szepnął do swego sąsiada, że prezydent się pospieszył. Jung obrzucił go pozornie obojętnym spojrzeniem.

– Na naszym osiedlu ulice mają nazwy związane z kwiatami. Pan mieszka przy Chabrowej, ja przy Bratkowej. Pomiędzy Mieczykową i Liliową jest Tulipanowa, dalej Fiołkowa, Goździkowa, Dałiowa, Nagietkowa albo Stokrotkowa. Żeby chociaż Pośledni miał w nazwisku coś z kwiatów. Wnuczek spyta, gdzie kwitnie Pośledni, i co mu pan odpowie?

– Ze to chwast.

– Rada nie zgodzi się na zmianę nazwy ulicy. Tam jest kilka myślących osób – podsumował okularnik.

Gdy ksiądz z mikrofonem w dłoni odwrócił się do żałobników i powiedział, że zawsze żal ściska jego serce na cmentarzu, Jung wycofał się ze środka tłumu. Stanął między grobami tam, gdzie niedawno rosły sosny, i obserwował zebranych, udając, że zapisuje słowa księdza. Czy Pośledni był ochrzczony, tego nie wiedział. Ale pewnie tak, skoro z pierwszą żoną miał ślub kościelny. Z drugą żył, jak niektórzy nazywają związek niesakramentalny, na kocią łapę.

Ksiądz zaczął od stwierdzenia, że Stefan Pośledni, wybitny archeolog, znawca kultury łużyckiej, profesor zwyczajny nauk humanistycznych, był grzesznym człowiekiem. W młodości odszedł od reługi swoich rodziców, jako dorosły zrozumiał błąd i starał się wrócić do Kościoła. Ksiądz powiedział również, że umówił się z Poślednim na rozmowę, która miała się zakończyć spowiedzią i błaganiem o odpuszczenie grzechów, lecz nie zdążył uklęknąć w konfesjonale.

– Dobre chęci także się liczą – podsumował swoje kazanie, po czym rozpoczął to, co każdy ksiądz robi na cmentarzu w trakcie pogrzebu.

Przemawiały cztery osoby. Żadna nie wspomniała o Alanie, jakby druga urna była pusta. Ksiądz nawet nie przywołał jego imienia, chociaż, jak sprawdził Jung, Alan też był ochrzczony, z Aliną wziął ślub kościelny i gdy proboszcz zaczął rozbudowę świątyni na osiedlu Kamieni Szlachetnych, systematycznie wspierał gotówką fundusz parafialny.

– Czy panowie byli sąsiadami profesora? – spytał Jung tych, którzy gawędzili o Poślednim. Gdy obaj kiwnęli głowami, przedstawił się i wyjaśnił, że chciałby z nimi porozmawiać o zmarłym.

– Najwięcej dowie się pan od Nogala. Jego dom stoi na wprost Poślednich. – Okularnik pokazał na mężczyznę z parasolem w lewej ręce i aparatem fotograficznym w prawej.

Jung nie przyznał się, że go zna.

– Dziękuję – powiedział akurat w chwili, kiedy dostrzegł Józefa Bojkę, kuzyna Miśki i ojca Artura. Podniósł dłoń na znak, że go zauważył i mszył w jego kierunku. – Gdybym spotkał cię w lesie za Zatoniem, wcale bym się nie zdziwił, ale na cmentarzu? Znałeś profesora?

Bojko zacisnął usta, przekrzywił głowę, rozciągnął ręce i mruknął coś, czego Jung nie zrozumiał.

Zielonagóra, os. Kwiatowe, poniedziałek, po południu

Pomimo że na cmentarzu Nogal nawet ukłonił się Jungowi, na ganku zażądał okazania ważnej legitymacji służbowej, jakby nie wierzył, że redaktor jest tą samą osobą, z którą zgodził się porozmawiać w swoim domu. Kartę plastikową ze znakami „Gazety Zielonogórskiej" obejrzał z obu stron. Po czym w strumieniu światła latarki sprawdził, czy przykryty folią odcisk stempelka wydawnictwa został podrobiony i podpis prezesa jest oryginalny.

– Zaraz po naszej rozmowie zadzwonił pan do redakcji z pytaniem, czy nadal pracuję w „Zielonogórskiej". Gdy asystentka redaktorki naczelnej potwierdziła, spytał pan, czy jeszcze zajmuję się sprawami kryminalnymi. – Jung powtórzył to, co mu powiedziała Magda przez telefon. Nie przyznał się, że i on przy pomocy Kamila czegoś dowiedział się o Nogalu.

– Nawyk zawodowy, panie redaktorze.

Jung chciał powiedzieć, że to ich łączy i pewnie szybko się dogadają, ale tylko kiwnął głową, jakby go zrozumiał. A może również coś idiotycznego przeniosłem z policji do redakcji, co wszyscy widzą, a jedynie ja jestem ślepy? Co to może być? Postanowił, że jutro o to spyta Kamila.

Nogal wszedł pierwszy do domu i oparł się ramieniem o ścianę. Gdy Jung go minął, przekręcił klucz w zamku drzwi i pokazał ręką na dwa taborety przy okrągłym stoliku w przedsionku. Nie zaproponował kawy, co Junga zaskoczyło, ponieważ niemal zawsze, nawet gdy zbierał materiał do reportażu śledczego, jego rozmówcy pytali, czego się napije. I niemal zawsze proponowali kawę rozpuszczalną z mlekiem. Z kieszonki pod okładką notesu Nogal wyjął wizytówkę sierżant Nataszy Woźniak-Araszkiewicz i spytał Junga, czy wie, czym ona się zajmuje, jakby chciał się pochwalić

znajomością wśród policjantek kryminalnych.

– Na biurku w redakcji mam identyczny kartonik.

– Pani detektyw tu była. Siedziała na tym samym taborecie, co pan redaktor. Opowiedziałem wszystko, bo ja – pokazał na lornetkę leżącą między doniczkami na parapecie – lubię sobie poobserwować.

– Nawyk zawodowy – roześmiał się Jung.

– Gdybym coś sobie przypomniał, chodzi o Pośledniego, to mogę do niej zadzwonić o każdej porze. Nawet w nocy – dodał, wymachując wizytówką.

– Wykorzystał pan tę okazję? – spytał Jung z wyraźną ironią w głosie.

Nogal jakby tego nie usłyszał.

– Wczoraj przed wieczorem przyszła do mnie wdowa, to znaczy pani Bożena, żebym dziś na cmentarzu zrobił zdjęcia. Na pamiątkę. Pokazać?

– Po to właśnie przyjechałem.

– Na jednym jest gość. Jak się nazywa, kim jest, nie dowiadywałem się. Przemawiał zaraz po prorektorze. Idę o zakład, że to ten sam, który przyjeżdżał do Pośledniego.

– Często przyjeżdżał?

– Ostatni raz, kiedy go widziałem, był w tej samej marynarce. Też zapiętej na złote guziki.

Jung próbował odtworzyć w swojej pamięci to, co w południe działo się przed kołumbarium. Kiedy dwaj grabarze w czarnych ubraniach ze złocistymi obszyciami postawili identyczne urny na katafalkach, prorektor wziął mikrofon do ręki. Potem jego miejsce zajął mężczyzna w grafitowej marynarce.

– Taki koło pięćdziesiątki? Szpakowaty?

Z pliku zdjęć ułożonych na stoliku Nogal wybrał to, na którym mężczyzna z mikrofonem w prawej ręce stał obok katafalków.

– Zadzwoniłem do pani sierżant Woźniak-Araszkiewicz. Powiedziałem, że na cmentarzu widziałem tego samego mężczyznę, który w poprzedni piątek o siedemnastej piętnaście wszedł do domu

Pośledniego. Pani sierżant grzecznie podziękowała za informację. Czy się nim zainteresowała, nie dała znać. Tak czy inaczej spełniłem swój obywatelski obowiązek, prawda?

– Wtedy, w piątek po południu, na pewno był to ten sam gość?

– Niech pan porówna. – Gdy Jung pochylił się nad fotografiami, Nogal podał mu lupę. – Identyczna marynarka zapinana na dwa metalowe guziki. Co pan na nich widzi? Chodzi o litery.

– Kidel – nie od razu odpowiedział Jung. – Nazwa firmy szyjącej odzież dla mężczyzn. Chyba niemiecka. Może szwajcarska albo austriacka. W każdym razie z tamtego regionu. Uważana za ekskluzywną. Ma sklepy we wszystkich większych miastach. U nas przy Bohaterów Westerplatte!

– Na wprost dawnego baru mlecznego. Kidel to nie firma szwajcarska czy austriacka. Na sto procent niemiecka. Taka jak nasza Vistula.

– Ile pan wie o tym mężczyźnie?

– Nie interesowałem się nim. Uznałem, że nic specjalnego. Szkoda czasu. Jeszcze jeden zbzikowany facet uważający archeologię za świętość.

– Czym przyjechał?

Nogal wysunął szufladę ze stolika i wyjął z niej kalendarz z odciśniętym na okładce znakiem Nadodrzańskiego Oddziału Straży Granicznej.. Założył okulary, poślinił palec wskazujący prawej ręki i pomrukując przewracał kartki. Przez chwilę wpatrywał się w notatki, jakby sprawdzał, czy to akurat te, które zainteresują Junga.

– Mam. Srebrzysty volkswagen cross z napędem na dwie osie. Zarejestrowany w Niemczech. DD, przerwa, C i trzy cyfry na końcu.

– Tym samym przyjechał dziś na pogrzeb?

– Powinien pan sprawdzić w administracji cmentarzy. Każdy parking publiczny musi być monitorowany. Takie są przepisy.

Jung był pewny, że kierownik zespołu cmentarzy pozwoli mu obejrzeć zapisy z kamer. Wcześniej obejrzy zdjęcia zrobione przez Kamila, którego zadaniem było fotografowanie tego, co się działo na

parkingu. Prosto od Nogala pojedzie do Marty, ale najpierw musi do niej zadzwonić, a dopiero potem do redakcji.

– Wypożyczę sobie podobiznę tego pana – powiedział, sięgając po fotografię, na której mężczyzna w grafitowej marynarce zapiętej na dwa metalowe guziki przemawiał przed katafalkami. – Na pewno zwrócę – zapewnił Nogala. – Albo i nie. Jeżeli dziennikarskie śledztwo doprowadzi mnie do niego i się okaże, że facet ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią profesora, zdjęcie stanie się ważnym dowodem w sprawie. Pan będzie jednym z głównych świadków.

Nogal przytaknął.

– Ze na cmentarzu była Marta, córka profesora z drugiego małżeństwa, rozumiem. Ale była i ta tajemnicza lala. Przypatrywała się z boku – powiedział, pokazując zdjęcie, na którym blondynka w dżinsach i ciemnobordowej bluzce, krótko obcięta, kryła się za kobietą z wiązanką gerber. – Poprzedniej soboty przyjechała pod dom Pośledniego razem z Martą. Marta poszła do domu sama, a ona została w hondzie, paliła papierosa, przeglądała jakąś kołorówkę i popijała radebergera z puszki.

– O blondynce pan wie niemało – stwierdził Jung.

Nogal uśmiechnął się pod nosem i kiwnął głową.

– Tak się składa. W zeszłym roku przyjeżdżała na tydzień, dwa. Ostatnio więcej mieszka u Marty niż w swoim domu. Znajdzie ją pan redaktor na osiedlu Leśnym. Zaraz podam numer komórki. – Trwało to długo, ponieważ Nogal, mimo że sprawnie jak na emeryta posługiwał się nowymi urządzeniami, nie mógł trafić na przycisk, po którego wciśnięciu miał się pokazać kontakt z Karin Stenzel. – Jest. Niestety to numer w Niemczech. Będzie szybciej, gdy pan zadzwoni do Marty.

Zielonagóra, os. Eden,
poniedziałek, późnym popołudniem

Ewa Jankowska nie spodziewała się Grzegorza Stonogi. Ledwie otworzyła furtkę, zaraz spytał, dlaczego nie przyszła do restauracji ForRest na stypę, jakby miał do niej o to pretensję. Odpowiedziała, że nie została zaproszona.

– A nawet gdyby dotarło do mnie zaproszenie, czy uważasz to za normalnie, żeby kochanka i prawowita małżonka zmarłego siedziały przy jednym stole? I może jeszcze włączają się do rozmowy o tym, jak wartościowym i wyjątkowym człowiekiem był zmarły?

– A nie był wyjątkowy?

– Jest taki ludowy raczej przesąd, bo z pewnością nie kościelny, że nieboszczyk powinien być pochowany przed niedzielą. Jeżeli leży przez dzień święty, to w najbliższym czasie zabierze ze sobą kogoś ze swoich bliskich – próbowała zmienić temat Jankowska. – Stefan czekał na pogrzeb dwie niedziele.

– I już jednego zabrał. Alana.

– Nie obawiaj się. Ciebie, Grzegorz, nie ma powodu pociągnąć za sobą. Nie jesteś archeologiem, więc i nie jesteś jego rywalem. – Oblizała usta i przełknęła ślinę. – Ponadto nie należysz do najbliższej rodziny. Ale testament powinieneś już zacząć pisać.

– Czy Bożena, tego no, wie, że Stefan i ty...? – zaczął nieporadnie i urwał, bo nie wiedział, jak zakończyć pytanie, żeby Jankowska nie posądziła go o wtykanie nosa w nieswoje sprawy.

– Nie rozmawiałam z nią na ten temat. Zresztą nie tylko na ten. Na żaden temat. Nigdy z nią nie rozmawiałam. Bożena nie pokazywała się na uczelni, a ja nie bywałam w jej domu na Kwiatowym nawet wtedy, kiedy na lato wynosiła się do Jodłowa.

– Czyżby o tobie nie wiedziała?

– Stefan ostrzegał mnie przed wścibskim sąsiadem. Twierdził, że po drugiej stronie ulicy mieszka były żandarm wojskowy, teraz dorabiający w straży granicznej, który fotografuje wszystko, co się rusza na osiedlu. Proszę, nie pytaj, do czego jest mu to potrzebne. Zresztą na temat tego, co mnie łączyło ze Stefanem, powinieneś

wiedzieć co najmniej tyle, ile ja wiem. Przecież przyjaciele chwalą się swoimi zdobyczami. Nie uwierzę, że Stefan nigdy nie napomknął półsłowem, po co i u kogo bywa na Edenie. A ty w Brodach. Mylę się, Grzesiu?

Stonoga nie odpowiedział na pytanie. Pomyślał, że Jankowska ma rację. Siedząc na sofie, wlepił wzrok w kryształowy żyrandol i się zastanawiał, skąd ona o tym wie. Mógł spytać wprost, ale wtedy by się wydało, że też ma sporo grzechów na sumieniu. Każdy mężczyzna, a żonaty wykładowca akademicki tym bardziej, jeśli nie na jawie, to we snach jest cudzołożnikiem. Zaczyna się to koło czterdziestki. Taki po pięćdziesiątce, otoczony wianuszkiem atrakcyjnych studentek i asystentek, mimowolnie staje się niewierny. Zeby tylko to.

– Najłatwiej jest osądzać innych – westchnęła, sięgając po brillianta. – „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem".

– A ty najpierw powinnaś rzucić palenie.

– W piątek i wczoraj był tu taki jeden. Gdy tylko wyciągnęłam rękę po papierosy, powiedział to samo, co ty. A wiesz, że go posłuchałam i nie zapaliłam? – spytała. W myślach dodała: Było jednak coś za coś. – Po czym na głos powiedziała: – Pytał o Brody.

Stonoga nie przyznał się, że w niedzielę przed wieczorem wpadł do Déja vu. Zawsze gdy jest w Brodach, tam zagląda. Właściciel pubu, dalszy kuzyn żony, wie, co go interesuje, i dlatego stara się jak może. Niczego nie robi wyłącznie za dziękuję. Powiedział Stonodze, że pojawił się nowy konkurent. W piątek przed południem wałęsał się po parku dość wysoki facet, jakby czegoś szukał, później zagadywał ludzi przed sklepem, dowiadywał się o rodzinę Stefana Pośledniego. Przed wieczorem przyszedł do pubu. Zamówił fasolkę po bretońsku, dwie bułki i wodę niegazowaną. Pytał o stare przedmioty. A w sobotę szwendał się redaktor Vlashi. Dwa, trzy razy w miesiącu jego panda stoi na parkingu przed urzędem. W sobotę urząd nieczynny, to rozmawiał z ludźmi na ulicy. Zaszedł do pubu.

Jak to on, pytał o wszystko.

– Już nie będzie tak, jak było dotąd – orzekł Stonoga, przenosząc uważne spojrzenie z obrazu w złocistych ramach na Jankowską palącą papierosa. – Żal mi Stefana. Był moim kuzynem po matce. Mimo że w gruncie rzeczy był też moim rywalem i przeciwnikiem, naprawdę mi go żal. Do pewnego stopnia był więcej niż kolegą z branży.

– Będzie ci go brakowało? – spytawszy, Jankowska znowu westchnęła. Tym razem tak, jakby drwiła ze Stonogi.

– Mógł jeszcze tyle dokonać. Przecież Stefan był, jak powtarzają moi niemieccy koledzy za Biblią, *Alpha und Omega* w zakresie archeologi cywilizacji łużyckiej. Najlepszy w Europie. Co ja mówię! Na świecie. Komuś zawadzał. Komu?

– Prokurator wskazał na Alana.

– Wierzysz, że syn...?

– Nie mam powodu nie wierzyć. Stefan twierdził, że Alan to modelowa ilustracja do wykładu na temat cech urodzonych w niedzielę.

– Nie Alan, nie Alan, Ewuniu. Trochę go znałem. Żeby zrobić zastrzyk z oxsycodonu, trzeba się na tym znać – Stonoga powiedział to bardziej do siebie niż do Jankowskiej, jakby tłumaczył Alana. – Sprawcą jest ktoś, kto miał na pieńku ze Stefanem. Może student. Dzisiejsi studenci zachowują się gorzej niż terroryści. Wyobraź sobie, że u nas, na uniwersytecie drezdeńskim, student z Turcji czy Tunezji podłożył ładunek pod porsche prodziekana wydziału przyrodniczego. Mało tego, wysadził auto dokładnie w chwili, kiedy profesor znalazł się w centrum miasta, na skrzyżowaniu Weisehaus Strasse z Burgerwiese Park Strasse. A dlaczego to zrobił? – spytał i nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił: – Dlatego, że prodziekan miał wątpliwości, czy dopuszczenie go do dodatkowego egzaminu komisyjnego, czego domagała się organizacja studentów zagranicznych, będzie zgodne z regulaminem studiów. Z drugiej strony niedopuszczenie do egzaminu oznaczało pozbawienie

studenta stypendium jakiejś fundacji międzynarodowej. Walczył o swoje.

– Student, sądzisz, uśmiercił Stefana? Prędzej wściekły kandydat na doktora. Tylko że nie przypominam sobie, żeby Stefan komukolwiek próbował zaszkodzić w karierze naukowej. Przepraszam, zapomniałam. Był taki jeden przypadek.

– Karin Stenzel, córka wiceprezesa mojej fundacji?

Jankowska potwierdziła. Przypomniała też, że wszystkie prace, które Pośledni zrecenzował, przechodziły przez jej ręce.

– Negatywną opinię o doktoracie tej dziewczyny powiązałabym bardziej z jej orientacją płciową niż z brakami w rozprawie. Bywają gorsze prace. Gdyby ktoś usłużny nie doniósł Stefanowi, że Karin jest łóżkową kumoszką Marty, już byłaby panią doktor nauk humanistycznych w zakresie archeologi – powiedziała Jankowska. – Napijesz się kawy czy herbaty? Koniaku nie proponuję, bo jesteś samochodem. Chyba że masz ochotę zatrzymać się u mnie na noc. Spanie na sofie – dodała.

– Już myślałem, że nie zapytasz. Niech będzie kawa. Pomóc ci?

Jankowska pokręciła głową. Nie odpowiadając, wyszła do kuchni.

Kilka minut później wróciła do salonu z tacą. Na środku stolika położyła fioletowy bieżnik i dwie serwetki z tego samego kompletu. W centrum bieżnika postawiła dzbanek z kawą, cukiernicę i paterę z napoczętą szarlotką. Na spodkach ustawiła te same filiżanki, z których piła kawę z Jungiem, i podała talerzyki oraz srebrne lub posrebrzane widelczyki.

– Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek dostąpię zaszczytu wypicia kawy z takiego naczynia – powiedział Stonoga, wydymając usta. Ostrożnie podniósł filiżankę i z zaciekawieniem przypatrywał się uszku w kształcie szyi dużego ptaka.

– Nie jesteś pierwszym, który ma okazję wypić kawę z królewskiej porcelany.

– Klejnot. – Cmoknął z zachwytem. – Wprawdzie cukiernica nie pasuje do tego kompletu, ale też zachwycająca.

– Dostałam je w prezencie od Stefana w zeszłym roku. Na imieniny – podkreśliła.

– Tak myślałem. Gdyby te filiżanki umiały mówić, może by zdradziły, czyje usta dotykały ich brzegów. Na pewno pił z nich Brühl i jego potomkowie. Być może i ministrowie. Książęta. Hrabiowie.

– Dostąpiłeś więc, Grzegorzu, niebywałego zaszczytu. – Jankowska uśmiechnęła się szeroko. Podniosła dzbanek i ponieważ Stonoga jeszcze oglądał filiżankę, chrząknęła.

– Zdajesz sobie sprawę, jaką wartość mają te dzieła sztuki?

– Historycznie i artystycznie więcej niż dużą.

– Materialną?

– Nigdy nie były do sprzedania. Po śmierci Stefana tym bardziej.

– Gdybym dobrze zapłacił? To znaczy nie ja osobiście. Polska filia Heinrich Graf von Brühl Stiftung gromadzi pamiątki po sławnym Sasie i Europejczyku zasłużonym dla Rzeczypospolitej. Zostałabyś honorową członkinią fundacji. Pomógłbym ci w staraniach o grant na badania.

– Nic z tego.

– Masz duży dom – wyciągnął obie ręce i zatoczył koło nad głową. – Z każdym rokiem koszty utrzymania takiej posiadłości będą coraz wyższe, a twoje dochody coraz niższe. Póki żył Stefan i byłaś sekretarką...

– Jeszcze jestem. Nigdy nie byłam sekretarką, Zajmowałam etat asystentki rektora do spraw administracyjnych.

Stonoga lekceważąco przeciął ręką powietrze.

– A nie chciałabyś zająć gabinetu prorektora uczelni?

– Przy twojej pomocy?

– Są takie majętne osoby, które kolekcjonują starą porcelanę. Znam kilka w Polsce i Niemczech. Jestem przekonany, że zapłacą każdą cenę. Kawę możesz podawać w duraleksach. Tym, którzy będą do ciebie przychodzili, nie sprawi różnicy, z czego piją.

– Wyjdź! – Jankowska zerwała się z sofy i pokazała ręką drzwi.

Zrobiła się czerwona na twarzy. Dołki gdzieś zanikły. – W tej chwili wyjdź! I więcej tu się nie pokazuj! Bo poszczuję cię Wiciną!

– Jeszcze tego pożałujesz – syknął Stonoga.

Zielonagóra, os. Leśne,
poniedziałek, późnym popołudniem

Marta zapewniła Junga, że niczego nie będzie ukrywała. Ponad rok była żoną profesora archeologi z Drezna, młodszego kolegi jej ojca, i się rozwiodła, czego nie żałuje. Przeciwnie, cieszy się.

– Unieważnienie małżeństwa przez sąd biskupi było formalnością. Axel przyznał się do złożenia fałszywego zeznania o swoim stanie wyznaniowym – powiedziała, mimo że Jung nie spytał, dlaczego rozstała się z mężem. – Dobrze, że tak się stało. Nie zostałam stworzona do klasycznego małżeństwa heteroseksualnego. Karin! – zawołała przez drzwi. – Proszę, przyjdź do nas. – I zaraz powtórzyła to po niemiecku.

Do pokoju weszła krótko obcięta blondynka. W dżinsach. Jung dałby głowę, że w tych samych, które miała na sobie podczas pogrzebu. Bluzki też nie zmieniła. Dygnęła jak maturzystka, po czym podała rękę Jungowi i usiadła w fotelu, zakładając nogę na nogę. Na stoliku obok wazonu z karminowymi różami położyła paczkę clubów i złotą zapalniczkę marki Dupont. Identyczną Miśka przywiozła Jungowi z Paryża wtedy, kiedy pracował w komendzie i jak większość policjantów palił wiarusy.

– Powiedział pan, redaktorze, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, że ma kilka pytań do osoby obciętej na pazia – przypomniała Marta. – Proszę ją pytać. Karin jeszcze nie mówi perfekcyjnie po polsku, dlatego będę jej towarzyszyła i w razie konieczności pomogę. Oczywiście, jeśli pan redaktor nie ma nic przeciw mojej propozycji. Chciałabym, żeby zostało wyjaśnione, komu zależało na zgonie mojego ojca. Na pewno nie mnie. I nie mojemu bratu.

– Dlaczego jest pani tego tak pewna? Jakie ma pani dowody na niewinność brata?

– Oboje z bratem dużo zawdzięczaliśmy ojcu. Ja z pewnością poradziłabym sobie i bez jego pomocy, ale nie Alan. Mój przyrodni brat nigdy nie wydoroślął. Tylko dlatego, że ożenił się z Aliną, która ma głowę do interesów, mógł zmieniać zabawki. Jeszcze jako uczeń brał udział w wyścigach na motorach po lasach. Potem była wspinaczka w Tatrach i skutery wodne w Bułgari. Ostatnio zajmowało go nurkowanie na dużych głębokościach. Po nim byłyby windsurfing czy skoki na spadochronie z opóźnionym otwarciem lub jeszcze coś bardziej ekstremalnego. Alina go prosiła, ojciec groził pozbawieniem subsydiowania. Bez rezultatu. Panie redaktorze, Alan już dawno sam siebie skazał na taką śmierć, jaką poniósł. On był naznaczony przez los.

Pomimo że Jungowi spieszyło się do redakcji, nie przerywał Marcie. Zazwyczaj między bezużytecznymi informacjami pada takie zdanie, które okaże się tym koronnym. Dlatego detektywi muszą być wyjątkowo cierpliwi i, jak powtarzał komisarz Syski, mieć to coś, czego nie uczą w żadnej szkole policyjnej. Z tym trzeba się urodzić. Syski nazywał to przeczuciem. Jung uważał, że przeczucie nie wystarczy, żeby być detektywem z krwi i kości. Potrzebne jest jeszcze coś, co psychologowie uważają za szósty zmysł. Ale dlaczego jedni mają szósty zmysł, a drudzy są go pozbawieni, tego dotąd nikt nie wyjaśnił. Doktor Libera, gdy Jung o to ją spytał, odpowiedziała serią pytań. Dlaczego Różewicz pisał wiersze, a ja nie? Dlaczego na koncerty grupy The Beatles przychodziły tysiące, a drudzy uważali to za stratę czasu? Dlaczego na igrzyskach w Tokio Szewińska zdobyła trzy złote medale olimpijskie, a Czernik żadnego? Jej i jemu talentu nie brakowało?

– Jak powiedziałam, chciałabym, żeby zostało wyjaśnione, komu tak zależało na zgonie mojego ojca, że zrobił mu śmiertelny zastrzyk. Na razie bardziej komu, mniej dlaczego. Kiedy dowiem się komu, to i będę wiedziała dlaczego. Na naszej policji się zawiodłam. Mogę

złożyć skargę na prokuratora, ale przecież to nic nie da. Pozostał mi prywatny detektyw. I pan, redaktorze. – Marta zawiesiła głos, zatrzymując spojrzenie na jungu. – Dlatego wbrew temu, co sądzi mója matka, a ona identycznie jak prokuratura uważa Alana za zabójcę, chcę, żeby ta sprawa została wyjaśniona. Im szybciej, tym lepiej. Jeśli nikt inny tego nie potrafi, niech zrobi to pan, redaktorze. Będę partycypowała w kosztach do pełnej wysokości. Panu ufam.

Jung miał zamiar podziękować jej z zaufanie, ale się nie odezwał. W tym momencie przyszło mu na myśl, dlaczego prokurator uznał Alana za winnego. Przypomniał sobie to, co mu powiedziała nadkomisarz Mrozińska, która uważała decyzję Tomczyszyna za bezzasadną. Przecież policja nie znalazła niczego, co wskazywałoby na Alana jako sprawcę. Jej zdaniem komuś zależało na tym, żeby prokurator się pospieszył. Komu?

Tego nie domyślała się ani ona, ani Natasza, ani Bojko. Innych policjantów z wydziału kryminalnego, którzy doraźnie włączali się do śledztwa, ta sprawa niewiele interesowała. Robili to, co im polecała Mrozińska.

– Jeździ pani granatową hondą?

– Hondą jazz.

– Poprzedniej soboty po południu była pani na osiedlu Kwiatowym. Samochód postawiła pani na chodniku przed domem ojca. Została w nim pani – Jung nie wiedział, jak określić rolę Karin w jej związku z Martą, więc tylko pokazał na nią głową – a pani, pani Marto, weszła na podwórze i potem do domu. Kilka minut później wybiegła pani przestraszona, wsiadła do samochodu i szybko odjechała. Pani coś zobaczyła. Co?

– Skąd pan aż tyle wie?

Zamiast zaspokoić jej ciekawość, powtórzył:

– Co to było?

– Ktoś mnie obserwował, tak? Kto?

Mógł wyjaśnić, że sąsiad z domu po drugiej stronie ulicy od dawna obserwuje wszystkich, którzy przyjeżdżają na Kwiatowe.

Większości robi zdjęcia, opisuje ich zachowanie, a nawet donosi do komendy policji. Jednak nie zdradził źródła swoich wiadomości. Drugi ráz powtórzył:

– Co takiego pani zobaczyła, że jak z katapulty wybiegła z domu?

– Weszłam do przedpokoju. Cisza. Zawołałam. Nikt nie odpowiedział, mimo że drzwi do domu nie były zamknięte na klucz. W pierwszej chwili pomyślałam o włamaniu. Potem o tym, że ojciec znalazł coś wyjątkowego na wykopalisku. Zafascynowany znaleziskiem, zapomniał o Bożym świecie. Pracuje w swoim gabinecie. Zeszłam więc na niski parter, gdzie gabinet ojca. Cichutko. Żadnych odgłosów. To mnie zaniepokoiło. Otworzyłam drzwi. Patrzę: ojciec w marynarce, odwrócony plecami do biblioteczki, leży na kanapie. Śpi? Czasem lubił zdrzemnąć się w środku dnia. Nachyliłam się i położyłam dłoń na jego ramieniu. Wydawało mi się dziwnie zimne. Zamiast wezwać pomoc, przerażona wybiegłam na ulicę. Nie od razu przyznałam się Karin, co zobaczyłam.

Jung zerknął na Karin siedzącą w fotelu z nogą założoną na nogę, palącą papierosa i bawiącą się zapalniczką. Wydawało mu się, że Niemka nie rozumie, o czym on rozmawia z Martą. A może tylko taką udaje?

– Czy pani przyjaciółka już jest po obronie swojej rozprawy doktorskiej? – spytał, czym bardziej zaskoczył Martę niż Karin.

– A co to ma wspólnego ze śmiercią mojego ojca?

– Proszę odpowiedzieć – teraz zwrócił się do Karin.

– Tak – pospieszyła z odpowiedzią Marta. – Nie ukrywam, że ojciec napisał druzgocącą opinię na temat dysertacji Karin. Zrobił to z mojego powodu. Ojciec nie chciał przyjąć do wiadomości, że jego córka może mieszkać z kobietą. Mimo że sam, o czym pan zapewne także wie, nie był uczciwy ani wobec swojej pierwszej żony, matki Alana, ani wobec drugiej, mojej matki. Ojciec uważał, że Karin mnie uwiodła, i dlatego postanowił ją zniszczyć.

Kulawą polszczyzną pełną wtrąceń niemieckich Karin wyjaśniła, że profesor Domański z Wrocławia nie miał uwag do jej dysertacji.

Publiczna obrona doktoratu odbyła się na uniwersytecie w Dreźnie.

– Ja jestem doktorka. – Karin uśmiechnęła do Marty, po czym wyciągnęła do niej rękę.

Jung patrzył, jak Marta bez skrępowania głaszcze ją po wierzchu dłoni. Odchrząknął i wtedy Karin cofnęła rękę.

Powiedziała, że gdyby kiedyś był w Dreźnie, powinien odwiedzić firmę Stenzel & Co. To boczna uliczka od Burgstrasse. Tam jej ojciec prowadzi salon antyków, a ona dorabia jako konsultantka.

– Ma pan jeszcze jakieś pytania do Karin?

– Miałem jedno, dotyczące zdarzenia w rektoracie. Panie w zasadzie powtórzyły to, czego się na ten temat dowiedziałem z innego źródła.

– Wierzy pan, że Karin nie ma nic wspólnego ze śmiercią mojego ojca?

– Jest tak, jak się spodziewałem.

– Nie żyłam z Alanem jak siostra z bratem. Może dlatego, że to jedynie półbrat. Rzadko się widywaliśmy i tylko na Kwiatowym. Zwykle w święta, imieniny ojca. Teraz dręczą mnie z tego powodu wyrzuty sumienia – przyznała się Marta. – Mam.też wątpliwości, czy utonięcie Alana to na pewno nieszczęśliwy wypadek. Przecież zawsze nurkował w Jodłowie. Znał tam każdy kamyk. Każde zejście do wody. Dlaczego w sobotę pojechał do Brodów? Dlaczego akurat tam, a nie na Dąbie, gdzie najbliżej? Czy wszedł do jeziora z własnej woli? A może ktoś go do tego zmusił?

I może Alan nie wszedł do jeziora, tylko najpierw został zabity, a potem ubrany w skafander, żeby wyglądało na wypadek? Jak pan myśli?

– Te pytania powinna pani zadać prokuratorowi i domagać się wyjaśnienia – zasugerował, chociaż nie wierzył, że kiedykolwiek Marta uzyska odpowiedź.

Zielonagóra, al. Niepodległości,

poniedziałek, bardzo późnym popołudniem

Feim Vlashi się niecierpliwił. Za godzinę odjedzie ostatni autobus do Zar, a wieczorem on musi być Pod Kasztanami. Siódmego września imieniny żony. Co roku tego dnia Regina zaprasza gości do restauracji. Feim nie rozumie, dlaczego nawet bezbożni Polacy obchodzą święto swego patrona, mimo że rzadko go naśladują i na ogół niewiele o nim wiedzą. Nazwał to dewocją pro forma. Takie oddawanie czci muzułmanie albańscy identycznie jak mahometanie na całym świecie uważają za ciężki grzech. W przeciwieństwie do swojej żony Feim nie twierdzi, że jest wierzący, bo wiarę przekazali mu rodzice i musi przestrzegać nakazów religijnych. Bywa w kościołach jako osoba towarzysząca, najczęściej jako świadek ceremoni komunijnych, ślubnych i żałobnych, i nie ma nic przeciw świętom katolickim. Najbardziej lubi siedzieć przy stole wigilijnym obok matki Reginy, która podaje mu co smaczniejsze potrawy i wyjaśnia ich znaczenie. Po kolacji nawet nuci kolędy.

– Pokażcie zdjęcia! – zawołał Jung, wpadając do pokoju działu kryminalnego. Kamil i Łukasz natychmiast usiedli przy swoich laptopach. Feim otworzył usta, żeby powiedzieć, jak mu się spieszy, lecz Jung go wyprzedził: – Na początek interesują mnie osoby, które przemawiały na cmentarzu.

– Prezydent miasta również? – zdziwił się Kamil.

– Chodzi mi o szpakowatego faceta w grafitowej marynarce, zapinanej na dwa metalowe guziki z czarnym napisem Kidel.

Gdy na monitorze pojawiła się ikonka folderu Zdjęcia, Kamil najechał na nią kursorem i wdusił klawisz Enter. Odnalazł plik oznaczony hasłem Pogrzeb-Posledni, znowu przesunął kursor i jeszcze raz nacisnął Enter. Pokazały się dziesiątki fotografi.

– Jak się w tym połapać? Byłem przekonany, że zamiast bezczynnie na mnie czekać, je uporządkujesz. Przynajmniej wytniesz gniotki i wykasujesz dublety.

– A ja byłem przekonany, że wzorowy redaktor, za jakiego

uchodzisz, powie, na co mam zwrócić szczególną uwagę – odgryzł się zaczepnie Kamil. – Wśród gniotków mogą być rarytasy.

Słuszny wytyk, zgodził się Jung. Zamiast przyznać się do błędu, położył na biurku fotografię wypożyczoną od Nogala.

– Interesuje mnie dżentelmen w grafitowej marynarce – Jung roześmiał się, co oznaczało brak urazy do Kamila, i lekko poklepał go po ramieniu.

– Proszę bardzo – odpowiedział Kamil, klikając myszką mniej więcej w połowie listy. – Tu ów dżentelmen, wyprostowany jakby połknął kij, maszeruje w stronę mikrofonu. Teraz ma mowę. Za chwilę przestanie nadawać i podejdzie do wdowy. Trzy ujęcia, każde z innej strony. Cyknął je Feim.

– Ten sam. – Jung nie miał wątpliwości. – Wydrukuj je – polecił Kamilowi, a Feima spytał, czy również sfotografował jego samochód. – Przyjechał sam? Może kogoś przywiózł albo ktoś jego przywiózł?

– Na parkingu przy cmentarzu Nowym królował Kamil. Ja polowałem po drugiej stronie ulicy.

Na żadnym zdjęciu zrobionym na parkingu nie było mężczyzny w grafitowej marynarce ani nikogo do niego choćby troszkę podobnego. Kamil nie przyznał się, że spotkał kolegę ze studiów, który szkoli kandydatów do nurkowania na dużych głębokościach, i chwilę z nim rozmawiał o Alanie. Prawdopodobnie wtedy interesujący Junga mężczyzna przyjechał na parking. Czym? Kto mu towarzyszył albo on komu?

– Weź pod uwagę jedynie auta spoza województwa. Pomiń te z rejestracją zielonogórską. Najbardziej interesują mnie samochody niemieckie.

– Co drugi jak nie volwuś czy opelek, to audica albo beemka. Merców stało tam więcej niż za salą kolumnową w czasie sesji sejmiku.

– Porsche, maybach, ford – zaczął Feim i umilkł skarcony wzrokiem Junga.

– Mnie interesują tablice rejestracyjne. W Niemczech są identyczne jak we wszystkich krajach unijnych z tą delikatną różnicą, że litery mają charakterystyczny krój. W Polsce jest stosowana czcionka DIN 1451, w Niemczech trudna do podrobienia FE-Schrift. Chociaż, jak twierdzą na Wąskiej, nie ma rzeczy niemożliwych.

– Daniel, bardzo proszę, abyś nie traktował nas jak półgłówków na praktyce – niemal oburzył się Kamil. – Obaj – pokazał na Feima – jesteśmy potrafimy odróżnić tablice niemieckie od polskich.

– Szczególnie chodzi mi o srebrzystego volkswagena crossa – powiedział Jung, udając, że słowa Kamila go nie wkurzyły. W rzeczywistości poczuł się jak niesłusznie skarcony. Dotąd nikt z podwładnych go nie napomniał. – Interesuje mnie vołwuś z literami DD na początku, potem C i na końcu trzy cyfry.

Kamil poprosil Feima, zeby razem oglądali zdjęcia. Będzie szybciej i dokładniej. Mimo to żaden nie wyłowił srebrzystego crossa z drezdeńską rejestracją. Na parkingu stały volkswageny, ale ze znakami innych miast. Najwięcej z Berlina, Lipska i powiatu Sprewa-Nysa.

– Jest! – krzyknął Kamil. – DD i... – urwał. Po chwili dodał ciszej: – Cztery cyfry, a miały być trzy i wcześniej litera. Czarne audi, „siódemka". Człowieka przy nim żadnego.

Nogal twierdził, że szpakowaty, który w tamten piątek wszedł do domu Pośledniego na Kwiatowym, przyjechał srebrzystym crossem z rejestracją niemiecką zaczynającą się od DD. Czy na pewno był to ten sam mężczyzna, który zaraz po prorektorze przemawiał na cmentarzu? Może Nogal się pomylił?

– Dajesz głowę, że sfotografowałeś wszystkie auta na parkingu przy cmentarzu Nowym?

– Jak Boga kocham. – Kamil walnął się zaciśniętą dłonią w pierś aż zadudniło. – Wszystkie, które tam stały. Pominąłem taxi i samochody firmowe.

– A co koledze redaktorowi znowu nie pasuje? – spytał Feim,

jakby bronił Kamila.

Zamiast odpowiedzieć, Jung rzucił: – Trzeba wymyślić metodę dostania się do monitoringu parkingu. Niestety, od ekshumacji Kunickiego z dyrektorką cmentarzy jestem na wojennej ścieżce.

– Ciotka mojej dziewczyny pracuje w administracji – powiedział Łukasz, dając Jungowi do zrozumienia, że pomoże.

Zielonagóra, os. Zatonie,
poniedziałek, przed wieczorem

Każdego tygodnia, poczynając od jesieni zeszłego roku, zawsze tego samego dnia i o identycznej porze, na poboczu szutrowej drogi zatrzymuje się zielone audi s6 avant. Najpierw wysiada z niego Neimann, rozgląda się, szpera oczami nawet w koronach klonów, po chwili stojąc niemal na baczność, otwiera tylne drzwi. Joachim Grempler zawsze w malachitowej marynarce mówi do Neimanna, że już ma dość przyjazdów na Zatonie. Ten powtarza, że to konieczne. Dopiero wtedy konserwator zabytków robi dwa kroki, kłania się i tłumaczy, dlaczego remont, a właściwie budowa na ruinach pałacu musi tak długo się ciągnąć. I jak zawsze Grempler nie wyciąga do niego ręki, nawet nie zadaje pytań. A Neimann każe pokazać, ile przybyło od ostatniego poniedziałku. Konserwator, urzędnik państwowy odpowiedzialny za blisko trzy tysiące zamków w ruinie i odbudowanych, pałaców, dworów, kamienic, kościołów, plebani, krzyży pokutnych i drobniejszych zabytków rozrzuconych po całym regionie, nadskakuje Gremplerowi tak, jakby był jego podwładnym. Zachowanie doktora Czarnolisa usprawiedliwia jedynie to, że po siedemdziesięciu łatach na miejscu pałacu zniszczonego już po zakończeniu drugiej wojny, stanie taki sam jak ten, w którym księżna Dorota de Talleyrand-Périgod romansowała z królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem IV Grempler kupił ruinę i zniszczoną oranżerię wraz z parkiem za psie pieniądze. Na koszt urzędu konserwatora architekci z firmy Grempler House stworzyli

projekt odbudowy kompleksu pałacowego. Doktor Czarnolis wmówił wiceministrowi kultury, że bez pomocy finansowej państwa trudno będzie dotrzymać terminu transgranicznego zjazdu konserwatorów zabytków, którego jedna część powinna odbyć się w Zielonejgórze wiosną za dwa lata, a druga tydzień później w Dreźnie. Z zewnątrz pałac ma się prezentować jak na muzealnych pocztówkach. W środku nic nie będzie przypominało dawnego wystroju. Parter zajmie restauracja i sala konferencyjna, w razie potrzeby zamieniana na salę balową. Na drugiej kondygnacji projektanci zaplanowali pokoje gościnne i apartament prezydencki z oknami wychodzącymi na park. Nad nią piętro z mieszkaniem nowego właściciela pałacu urządzone tak, żeby każdy, kogo Grempler tam zaprosi, oniemiał z wrażenia. A gdy goście usłyszą, że kawę podano im w filiżankach, które zamówił saski premier Heinrich von Brühl do swego pałacu w Brodach, wtedy Pforten, nikt nie będzie miał wątpliwości, kto jest najbogatszy w zachodniej Polsce i z czyim zdaniem trzeba się liczyć. Przede wszystkim o to chodzi Neimannowi. Gdzie tylko może, tam głosi, że Grempler to właściciel znanego klubu żużlowego, najlepszej w kraju męskiej drużyny koszykarskiej i zbudowanego od zera zespołu żeńskiego, firm deweloperskich, projektowych, budowlanych, spedycyjnych, fabryki okien, drzwi i podłóg, agencji ochrony mienia, stacji benzynowych, restauracji, winnic z tłocznią, honorowy prezes Fundacji „Wicina". Niedługo będzie panem na zatońskim pałacu.

Gdyby nie Neimann, a właściwie jego brat przyrodni Jarosław, Grempler także byłby przedsiębiorcą z głową pomysłów, ale pewnie nie zawsze i nie o każdej porze mógłby wejść do gabinetu prezydenta miasta bez wyraźnego zaproszenia. Neimann mu podpowiedział, że powinien mieszkać w pałacu z długą i bogatą historią. .Najlepiej postawionym przez kogoś, czyje nazwisko dostało się do encyklopedi. Dlatego dwa lata temu zawiózł Gremplera do kilku przygranicznych miejscowości, gdzie zachowały się zabytkowe rezydencje, tyle że większość już miała swoich nowych właścicieli.

Gremplerowi najbardziej podobała się zapuszczona posiadłość Brühlów w Brodach. Już widział się w okolonym wysokim murem ogromnym pałacu z oficynami i wypieszczonym parkiem, za którym rozciągało się jezioro pełne karpi, szczupaków, płoci.

– Z Brodów na lotnisko w Zielonejgórze jest godzina jazdy, a pan, szefie, czasem musi nagle dostać się do Warszawy. Znalazłem coś mniejszego i bliżej – przekonywał Neimann, wcześniej uzyskawszy zapewnienie doktora Czarnolisa, że zgodzi się na urządzenie zatońskiego pałacu tak, jak będzie sobie tego życzył Grempler. Jeszcze wesprze go dotacją z kasy państwa i nieoprocentowaną pożyczką. – Po pierwsze, z Zatonia do śródmieścia Zielonejgóry jest dokładnie dziesięć kilometrów. Asfaltówka szeroka, po wybudowaniu ronda Kaliszuka, niemal bezkolizyjna. Po drugie, pałac ma przebogatą historię. Niech szef sobie wyobrazi, że jego pierwszą właścicielką była hrabina Cosel, synowa Augusta II Sasa, tego, który mianował Brühla na pierwszego ministra Saksoni. Współczesny kształt nadała budowli księżna Dino po odejściu od męża Edmunda, bratanka napoleońskiego ministra Maurycego Talleyranda. Musiała to być rozgarnięta kobieta, skoro korespondowała z Lisztem, Chopinem, Fredrą. Po trzecie, urządzi szef pałac tak, żeby było o nim głośno co najmniej jak o Buckinghamie. Czy kiedykolwiek działałem na pana szkodę? Nigdy. Niech więc szef mi zaufa.

– Wszystko przebiegałoby według planu, gdyby nie mumia – powiedział konserwator zabytków.

– O czym on mówi? – Grempler zwrócił się do Neimanna, jakby nie słyszał o zawiniątku znalezionym w kominie pałacu na początku sierpnia.

– Na początku sierpnia „Zielonogórska" napisała, że w pałacowym kominie zdun natknął się na szkielet niemowlęcia. Był zawinięty w zieloną wojskową bluzę. Czyje dziecko? Kto to zrobił? Dlaczego? Kiedy? Policja rozpoczęła śledztwo, ale póki nie zakończą się sądowe oględziny, nie wykona kolejnego kroku. Do przeprowadzenia zostało

badanie sprawdzające, czego ma dokonać profesor Stonoga z Drezna – wyjaśnił Czarnolis, a gdy zaskoczony tym Grempler zrobił pytające oczy, dodał: – Nie ma dnia, żeby nie kręcił się tu jakiś pismak. Jung nie daje spokoju.

– Trzeba go usadzić i tyle. Da się to zrobić, szefie – Neimann zapewnił Gremplera. – A Tomczyszynowi powie się, żeby prokuratura i tę sprawę umorzyła. Jest jeszcze coś, co doktorowi psuje szyki?

– Zbrodnia zabójstwa ulega przedawnieniu dopiero po trzydziestu latach. Jeżeli profesorowi Stonodze wyjdzie, że stało się to wcześniej...

– Skąd wiadomo, że to zabójstwo?

– Muszą tak założyć.

– Lepiej niech doktor powie, jak idzie z wyposażeniem do pałacu – szybko zmienił temat Neimann.

– Sprowadziliśmy większość mebli. Niektóre, choćby fotele i krzesła, wykonamy od nowa na podstawie dawnych sztychów. Nikt nie będzie miał odwagi spytać, skąd je mamy. Część obrazów olejnych także się skopiuje, kilka odkupi albo wypożyczy z muzeum. Na wieczne nieoddanie. Gościom się wmówi, że zostały odnalezione w piwnicy pod oranżerią. Nie takie problemy rozwiązywaliśmy. Niestety, pewna sprawa jest nie do przeskoczenia.

– Jeszcze jeden truposzczak? – roześmiał się Neimann.

– Szkopuł powstał po śmierci profesora Pośledniego.

– Szkopuł? Szef nie zna takiego słowa.

Ponieważ Czarnolis zgarbił się i zrobił skwaszoną minę, Grempler spytał, czego dotyczy ów szkopuł.

– Porcelany. Właściwie jedynie serwisu Łabędziego. Są ogromne trudności.

Neimann miał ochotę zbluzgać konserwatora, gdy Grempler poklepał go po ramieniu.

– Jestem przekonany, że przy kontaktach doktora ze światem antykwariuszy i ten szkopuł zostanie rozwiązany – powiedział i

uśmiechnął się do konserwatora.

Czarnolis chciał jeszcze coś powiedzieć, gdy Neimann otworzył tylne drzwi samochodu i przypomniał Gremplerowi, że dokładnie za dwadzieścia minut musi być w klubie, gdzie czekają na niego żużlowcy, którzy wczoraj niespodziewanie zdobyli drużynowe mistrzostwo kraju.

Zielonagóra, al. Niepodległości, wtorek, w południe

Wczoraj wieczorem Jung włączył telewizor, ale gdyby ktoś go spytał, ile zapamiętał z tego, co obejrzał, odpowiedziałby, że nic. Było to nie pierwszy raz. Zdarzało się, że rano wychodził z domu i wsiadał do „pięćsetki". Jak dojechał przez zatłoczone miasto do redakcji, tego nie wiedział. Może nie ustąpił pierwszeństwa albo spowodował wypadek. Jego myśli wpadały w sidła tego, o czym miał zamiar napisać, wszystko inne było nieważne. Miśka twierdziła, że gdy głowę ma zajętą tym, co chce umieścić w artykule, jest głuchy i ślepy. To może się źle skończyć.

Wczoraj wieczorem Jung wyobrażał sobie, jak wyglądało popołudnie na Kwiatowym, kiedy profesor wrócił z Niemiec. Ktoś, kogo Pośledni znał i komu ufał, wszedł do jego domu. Przyniósł dwie puszki radebergera. Dlaczego akurat tego piwa? Może wcześniej prowadził jakieś interesy z archeologiem i wiedział, że Pośledni lubi ten trunek? Może Pośledni do czegoś się zobowiązał i w tamten piątek mijał termin wykonania zadania? Może się pokłócili i tamten, mając zobowiązania wobec kogoś innego, domagał się zwrotu zaliczki, a Pośledni prosił go o prolongatę? Jak było, tego nie da się stwierdzić, pomyślał Jung. Jednego był pewny: profesor znał swego kata. Gdzie go poznał i dlaczego kat tak celnie wbił strzykawkę w żyłę dołu łokciowego? To by znaczyło, że przygotował się na takie załatwienie sprawy.

Jung jeszcze nie zdecydował, jaki sposób zbierania materiałów wybierze i czy to, czego powinien się dowiedzieć na temat

Pośledniego, zainteresuje redaktorkę naczelną. Od dwóch tygodni Szpalta z kandydatem na drugiego męża jest za granicą. Mógłby na dzień pojechać do Brodów i tak jak Feim Vlashi porozmawiać z zasiedziałymi mieszkańcami, ale pewnie niczego nowego by się nie dowiedział. Wszystko, co najciekawsze i będzie przydatne, wydobył z nich Albańczyk. Mógłby wybrać się za Nysę, tyle że tam bez pomocy kogoś zadomowionego nie zdobędzie tego, czego mu brakuje, żeby dojść do jakichś wniosków. W kwesti kontaktów z przypadkowymi obcokrajowcami wschodni Niemcy niewiele się zmienili od czasów enerdowskich. Są gotowi odpowiadać na pytania, ale najpierw proszą o pokazanie upoważnienia z federalnego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Bez tego papierka nikt nie piśnie słowem. Zanim drogą oficjalną wniosek dotrze do Berlina, musi trafić na biurko urzędnika w Warszawie, a ten będzie domagał się uzasadnienia i opini radców prawnych. Ponadto, co w zasadzie przekonało Junga, że i tak nie powinien prowadzić swojego śledztwa za granicą, niewystarczająco znał niemiecki. Coś do przekąszenia i duże piwo zamówi w bufecie, odczyta napisy pod znakami przydrożnymi i dostosuje się do zawartych w nich poleceń, nawet przesylabizuje tytuły w gazetach, ale nie będzie próbował wgryźć się w treść artykułów. 1 kiedy w drodze z biura administracji cmentarzy do redakcji zastanawiał się, co zrobić, przypomniał mu się dziennik „Niederlausitzer Tageblatt", a właściwie Madlena Havlíček. Tyle razy mu pomagała, to i teraz nie powinna odmówić, tym bardziej że kiedyś czuła do niego miętę. Zresztą Daniel także zawsze starał się zachowywać wobec Madleny tak, jakby była co najmniej jego krewną.

– Na nagraniach z monitoringu w administracji cmentarzy mają to samo, co jest na naszych fotkach, tyle że u nich napisy są mniej czytelne. Jest również czarne audi „siódemka" z rejestracją niemiecką. Po lewej na niebieskim tle unijne godło i D, potem biała część, na niej czarne litery DD, czyli Drezno, i cztery cyfry, pomiędzy nimi odciśnięte dwie pieczęcie – powiedział do Kamila zaraz po

wejściu do pokoju redakcyjnego.

– Mamy nowego dyrektora.

Dopiero teraz Jung przypomniał sobie o zebraniu, które zwołał właściciel wydawnictwa na tę samą godzinę, na którą Łukasz umówił go z ciotką swojej dziewczyny. Ponieważ jako urlopowicz nie musiał chodzić na redakcyjne zebrania, sprawdzenie zapisów z monitoringu na przycmentarnym parkingu uznał za ważniejsze.

– Znowu jakiś kumpel prezesa będzie wydawał idiotyczne polecenia – bardziej stwierdził niż spytał. – To już chyba byłoby lepiej, gdyby Grempler posadził Szmita w gabinecie zarządcy. Przynajmniej byłoby wiadomo, czego się spodziewać po tym esbeku.

– Doktor Paweł Zych.

– Co Zych?

– Od dziś doktor Zych zarządza firmą wydającą „Gazetę Zielonogórską". I od dziś wydawnictwo nazywa się Zielpress spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

– Ten to ma szczęście.

– Znasz go?

– Socjolog samorządności wywalony z uniwersytetu za machlojki związane z pisaniem prac magisterskich na zamówienie dzieci ważnych gostków. Długo nie był na bezrobociu. Jako członek młodzieżówld parti rządzącej, został dyrektorem biura poselskiego Carewiczki. Miałem z nim do czynienia przy sprawie Kunickiego. – Jung uśmiechnął się kwaśno. – Ruszyła kampania wyborcza do parlamentu. Zych pewnie czuje, że swawolna Anittka tym razem przerżnie, zawczasu więc dał dyla z biura. A jeżeli powiesz, że Dżamila wraca do redakcji na staż, to...

– Osoba, której imię wymieniłeś, została pierwszą zastępczynią naczelnej.

– A Chuda?

– Z rana kadrowiec kazał doktor Chudej opuścić gabinet. Na zawsze. Zaraz po zebraniu wprowadziła się tam pani Dżamiła.

Nazwisko ma dwuczłonowe, ale, bij, zabij, nie pamiętam.

Łukasz, gdy Kamil do niego się odwrócił, wzruszył ramionami.

– Czyli zamienił stryjek siekierkę na kijek. Teraz to już będę musiał poszukać sobie nowego miejsca pracy.

Ledwie Jung to powiedział, odezwał się telefon na jego biurku. Podniósł słuchawkę i usłyszał wylękniony głos Magdy:

– Woła cię redaktor Gromek-Zych.

– Kto?!

– Jesteś na urlopie, to nie miałeś obowiązku przyjść na poranne zebranie zespołu. Nie wiesz więc, że Dżamila Gromek, po mężu Zych, od dziś jest pierwszą zastępczynią redaktor Krupy – wyjaśniła Magda przyciszonym tonem.

Kilka minut później jung wszedł do pokoju, w którym nigdy nie czul się dobrze, a kiedy zajmowała go Monika Chuda, przestępował jego próg jedynie na jej wezwanie.

Nie miał wątpliwości, że siedząca za biurkiem złocistowłosa kobieta w granatowym żakiecie i białej bluzce z żabotem to Dżamila. Po studiach rozpoczęła staż w „Zielonogórskiej", na początku miała sporo pomysłów, ale szybko się wyczerpały. Któregoś dnia Jung kazał jej obserwować kobiety w krótkich spódnicach i obcisłych trykotach przechadzające się wzdłuż parkingu przy wylotówce na Wrocław. Mniej interesowały go prostytutki, a przede wszystkim mężczyźni w eleganckich garniturach, którzy zatrzymywali tam samochody. Dżamila uznała to za obrazę i odmówiła wykonania polecenia, co spowodowało jej natychmiastowe pożegnanie się z redakcją. Jeszcze tego samego dnia została asystentką posłanki Carewicz. Dyrektorem biura był doktor Zych, wtedy kandydat na narzeczonego Dżamili i przewodniczący regionalnego oddziału młodzieżówki parti rządzącej.

– Czym redaktor zajmuje się ostatnio? – spytała Dżamila ze wzrokiem wycelowanym w oczy Junga.

– Jestem na urlopie.

– Wiem. Ale skoro redaktor mimo urlopu zagląda do redakcji, to

coś musi go przyciągać. – Wydała pogardliwe parsknięcie.

Czuł, że to źle się skończy. Dla niego. Tak jak w czasach, gdy za tym biurkiem siedziała Chuda, wyjdzie z pokoju nie pokonany, a najwyżej przegrany. Tego nie lubił bardziej niż obelgi.

– Zaplanowałem przeprowadzenie rozmowy o skarbach znalezionych przez archeologów w naszym regionie – odpowiedział. – Redaktor Krupie ten temat bardzo się podobał, mniej redaktor Chudej. Niestety, stało się tak, że rozmówca, profesor Pośledni, z którym umówiłem się na wywiad, został zamordowany. Mimo że policja nie zakończyła śledztwa, prokuratura je umorzyła. Sprawca nie żyje. Utonął w Jeziorze Brodzkim. Nieszczęśliwy wypadek czy kolejne morderstwo, tego nie wyjaśniono. Według policji nie ma zdecydowanych dowodów, że osoba uznana przez prokuratora za mordercę, faktycznie doprowadziła do śmierci profesora. Mimo że patolog sądowy ustalił, dlaczego i kiedy zmarł Stefan Pośledni, po decyzji prokuratora policja przestała zajmować się sprawą. Postanowiłem przeprowadzić śledztwo dziennikarskie, zwłaszcza że są poszlaki prowadzące do osoby, która mogła zrobić śmiertelny zastrzyk profesorowi. Nie wykluczam też morderstwa na zlecenie. Mam nawet podejrzenie, kto mógł być zleceniodawcą.

Chciał dodać, że na rozmowę dotyczącą tej sprawy umówił się z Ewą Jankowską, gdy Dżamila podniosła rękę w geście nakazującym milczenie.

– Po powrocie z zagranicy Szpalta, to znaczy redaktor Krupa zdecyduje, czym redaktor będzie się zajmował. Na pewno nie tym, czym dotąd. A może pan dyrektor wydawnictwa podziękuje redaktorowi za pracę. – Uśmiechnęła się z przekąsem, jakby już coś wiedziała, ale do powrotu redaktorki naczelnej nie chciała podejmować decyzji. – Na razie przedłużam redaktorowi urlop o dwa tygodnie. Mam takie prawo. Jestem przekonana, że mając do pomocy Łukasza, Kamil sobie poradzi.

– Da mi pani to na piśmie?

– Tu jest redakcja, komisarzu Sateck – powiedziała kąśliwie i

zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

– Nadkomisarzu, jeśli zamiarem pani było przypomnienie mojej samodzielnej drogi do redakcji. Nazwiska nie zmieniłem bez wyraźnego powodu. Wróciłem do korzeni. Mój dziadek ze strony ojca pochodził z Jungów. Czym zasłużyli się Jungowie dla Rzeczypospolitej pod zaborami, proszę sobie poczytać w necie. – W jego głosie była wyczuwalna nuta dumy. – Za dzień, za dwa oznajmi pani, że porzuciłem pracę. Proszę dać mi na piśmie decyzję w sprawie przedłużenia urlopu o dwa tygodnie.

Tego się nie spodziewała. Zaskoczona żądaniem Junga zastanawiała się, jak wybrnąć z opresji. Nic jej nie przychodziło do głowy. Żałowała, że wcześniej nie poradziła się męża czy kadrowca.

– Za godzinę niech redaktor zgłosi się do działu kadr. Pan Szmit przygotuje odpowiednie pismo – rzuciła wściekle.

Przez chwilę Dżamila i Jung patrzyli sobie w oczy.

Tylko bez nerwów. O nic więcej nie pytaj. Nie komentuj. Nie obiecuj poprawy. Nie domagaj się wyjaśnień. Nic nie mów. Nie złość się. Nie zaciskaj pięści, strofował się w duchu. Odwróć się i spokojnie, jakby nic się nie stało, wyjdź z tego pokoju.

Za dwa tygodnie Szpalta wróci z Norwegi. Naczelna nie pozwoli wyrzucić cię z działu. A jeżeli Zych nie posłucha Szpalty i będzie się domagał usunięcia mnie z redakcji? Jestem za młody, żeby chodzić na zajęcia w Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Redakcja „Lubuskiej" więcej dziennikarzy zwalnia niż przyjmuje do pracy. „Zachodnia" opiera się na tekstach młodzieży uniwersyteckiej. Przypomniał sobie niedawną rozmowę z przewodniczącym związku zawodowego policjantów, któremu marzyło się wydawanie branżowego miesięcznika. Może się zgłosić? Mam właściwe kwalifikacje. Właściciel biura detektywistycznego pytał, czy Jung byłby zainteresowany robotą operacyjną w sekcji przestępstw biznesowych. Dyrektor firmy Grempler Security już dawno proponował mu stanowisko analityka w randze zastępcy menedżera biura z pensją wyższą niż ta, jaką pobiera w redakcji.

Nie pozwolę, żeby od fanaberi siusiumajtki, która jako stażystka nie zrobiła tego, co jej kazałem i dlatego odeszła z „Zielonogórskiej", zależała moja przyszłość. Na to nie pozwolę. Będę się bronił, postanowił.

– Zaraz po zebraniu Dżamila wezwała mnie do siebie i powiedziała, że mam kierować działem do odwołania – przyznał się Kamil, gdy Jung wrócił do pokoju. – Daniel, jest mi głupio, że wcześniej ci tego nie powiedziałem.

Zielonagóra, al. Niepodległości,
wtorek, wczesnym popołudniem

Jung wyglądał tak, jakby dostał z liścia w twarz. Nie odpowiedział Kamilowi. Nawet nie podniósł słuchawki, mimo że oczekiwał wiadomości od Feima. Słyszał echo swoich myśli odbijających się o ściany pokoju. Po minutach bezmyślnego gapienia się na fontannę za oknem, włączył laptop i czytał maile. Mimo że było ich sporo, niektóre pilne, żaden go nie zatrzymał na dłużej. Gdyby Kamil spytał, dlaczego nie wraca do domu albo nie idzie na piwo czy byle dalej od redakcji, bo przecież jest na urlopie, nie wiedziałby, jak to wyjaśnić. Czuł się upokorzony. Nie miał wątpliwości, że Dżamila próbuje się na nim odegrać. To jest wet za wet. Na walkę z mstliwą zołzą szkoda czasu. Rzadko się zdarza, żeby podwładny wygrał z przełożonym. Zresztą byłoby to pyrrusowe zwycięstwo. Miał nadzieję, że Szpalta stanie po jego stronie, lecz to dopiero za dwa tygodnie. Dwa tygodnie niepewności.

– Gdyby ktoś mnie szukał, niech zejdzie do klubu – rzucił w stronę Łukasza. – Pora coś przekąsić.

– Też bym coś wrzucił na ruszt – odezwał się Kamil, wyraźnie dając Jungowi do zrozumienia, że chciałby się wytłumaczyć ze swojego zachowania, ale on na to nie zareagował.

W porze obiadowej nie wszystkie krzesła w Piwnicy pod

Redakcją były zajęte. Co innego po południu i przed wieczorem, gdy w klubie zbierają się małolaty, traktując to miejsce snobistycznie. Mimo że dziennikarze domagają się zabronienia wstępu do Piwnicy pod Redakcją smarkaczom, dyrektor firmy Grempler Catering tym się nie przejmuje. Po kontroli przeprowadzonej przez sanepid kazał menedżerowi klubu zamówić tabliczkę „Alkohol tylko dla pełnoletnich" i postawić ją na półce między butelkami. A że firma przestała zalegać z opłatami za wynajem lokalu, właściciel budynku i wydawca „Zielonogórskiej" zachowuje się tak, jakby nie słyszał głosów dziennikarzy.

– Daniel!

Jung zaczął się rozglądać. Gdy jeszcze raz usłyszał swoje imię, nie miał wątpliwości, że to głos Magdy. Zawsze zajmowała miejsce przy dwuosobowym stoliku za filarem warującym pośrodku sali, która jeszcze wtedy, kiedy zaczynał pracę w „Gazecie", była przechowalnią pogruchotanych biurek i krzeseł. Ruszył w tamtą stronę zaraz za kelnerką.

– Poproszę o sałatkę z wędzonego łososia i buraczków z cukinią – powiedziała Magda.

– Dla mnie zestaw obiadowy. Dziś wtorek, to pewnie będzie cebulaczka i żeberka w kapuście. Jutro wybieram się do Niemiec na kilka dni, muszę więc już przyzwyczajać się do tłustej kuchni.

– Skoro pan redaktor chce po niemiecku, to czy piwo również podać? Mamy dopiero co przywieziony becks i jever.

– Jestem kierowcą.

Kelnerka uśmiechem potwierdziła przyjęcie zamówienia. Była to jedna z tych studentek uniwersyteckiego dziennikarstwa, które dorabiały w klubie.

– Po co wybierasz się do Niemiec? Przecież niedawno tam byłeś. Aha, masz dwa tygodnie dodatkowego urlopu, dlatego jedziesz odwiedzić teścia – odpowiedziała sama sobie, nie zadając następnego pytania.

– Mam szczery zamiar skompletować materiał do reportażu

śledczego, którym skompromituję prokuraturę i wreszcie dam mata Tomczyszynowi. Spodziewam się, że za dwa tygodnie po powrocie Szpalty z Norwegi sytuacja w redakcji już będzie normalna.

– Dopiekła ci Dżamila – powiedziała Magda, żeby coś powiedzieć. W skrytości ducha liczyła na to, że nowa wicenaczelna nie będzie miała do niej tyle pretensji, ile miała Chuda. Starała się ze wszystkimi żyć w zgodzie, chociaż byli tacy w redakcji, którzy i jej zaleźli za skórę.

– Nos mi podpowiada, że ze śmiercią Pośledniego jest coś nie tak.

– Starszego Pośledniego czy młodszego?

– Archeologa. Za dużo wątpliwości. Mimo że policja nie znalazła dowodów ani w trakcie śledztwa nikt nie wskazał na Alana jako sprawcę, jemu prokurator przypisał winę. Ponieważ Alan też nie żyje, Tomczyszyn poszedł na łatwiznę i sprawę umorzył. Nie przeczę, miał takie prawo, ale zrobił to za wcześnie. – Nie przyznał się, że do tego wniosku doszedł po wczorajszej rozmowie najpierw z Nogalem i później z Arturem Bojką. Wcześniej Ilona Mrozińska dawała mu do zrozumienia, że śledztwo dotyczące śmierci profesora będzie trwało długo. Coś tu śmierdzi. Tajemnicza wydawała mu się reakcja niektórych osób na cmentarzu, zwłaszcza prezydenta miasta. A w ogóle zastanawia się, dlaczego wdowa po profesorze i córka zachowują się tak, jakby nic się nie stało.

– Chcesz w ten sposób stłumić w sobie złość z powodu Dżamili?

Jung westchnął i potaknął. Po chwili przedłużającego się milczenia dodał: – Dżamila postawiła Szpaltę w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Naczelna będzie musiała wybrać ją albo mnie. Rozsądek podpowiada, żeby mnie spuściła. Jeżeli tak się zachowa, również przegra. Następną osobą do odstrzału będzie właśnie Szpalta.

Magda myślała identycznie.

– Kiedy wyjeżdżasz do Niemiec? – spytała, jakby mu zazdrościła.

– Jutro.

– Wpadnij do mnie wieczorem. Po pociechę – dodała szeptem,

nachylając się nad stolikiem.

– Po pociechę?

– Przypominam ci, że z wykształcenia jestem polonistką. Pracę magisterską napisałam w zakładzie komunikacji języka polskiego. Zatem jako dyplomowana specjalistka w zakresie języka ojczystego to określenie uważam za odpowiednie do czynności, którą ci proponuję. – Położyła swoją dłoń na jego ręce i uśmiechnęła się z chichotem akurat w chwili, kiedy kelnerka stanęła przy ich stoliku.

– Zaproszenie przyjmę, pod warunkiem że zaskoczysz mnie czymś specjalnym na kolację.

– Akurat w tym jestem marna. Ale zajrzę do internetu i na pewno znajdę tam przepis, który nie sprawi mi problemów. Z czego również będziesz zadowolony – dodała ciszej, jakby się zawstydziła.

Zielonagóra, os. Eden, wtorek, wieczorem

Jak każdego wieczoru o wpół do ósmej Ewa Jankowska usiadła na sofie i włączyła telewizor. Widziała przesuwające się obrazki, ale nie wsłuchiwała się w sens informacji podawanych przez lektora. Od czasu gdy dowiedziała się o śmierci Stefana, miała pretensję do całego świata, a najbardziej do siebie, że jeszcze bardziej z nim się nie związała. To znaczy, że nie zamieniła swojego nazwiska na jego nazwisko. Ewa Poślednia. Doktor Ewa Poślednia. A może Ewa Jankowska-Poślednia? Bardziej prestiżowo brzmiałoby Ewa Jankowska-Pośledni, powiedział jakiś głos w jej głowie. Marta jest Pośledni, a jej bratowa, Alina, Krysiak-Poślednia. Bożena też Poślednia. Oderwała wzrok od telewizora i rozejrzała się za paczką briłłiantów. Od pewnego czasu papierosy przestały jej smakować, sięgała po nie jedynie wówczas, kiedy nie wiedziała co zrobić z rękoma. W rektoracie nigdy nie zapaliła, a gdy spodziewała się Stefana na Edenie, otwierała okna, żeby nie poczuł dymu papierosowego. Na początku ich znajomości powiedział, że do takiej

kobiety, która pali, nie przytuliłby się, bo cuchnie jej z ust i to, co ma na sobie, jest nasiąknięte stęchlizną papierochów. Dla niego ograniczyła palenie do kilku briłłiantów dziennie. Teraz gdy nie ma Stefana, nie musi dbać o siebie. Przestało ją obchodzić ostrzeżenie, że skóra palącej kobiety szybciej się starzeje, staje się pergaminowa i pełna bruzd wyznaczonych zmarszczkami. Nawet zakonnica nie żyje dla siebie, a samotna, starzejąca się kobieta tym bardziej jest zbędna, pomyślała. Po co mi ten wielki dom pod lasem? Mogłabym mieszkać w blokowym pokoiku na dziesiątym piętrze. Miałabym mniejsze wydatki.

Co innego, gdyby żył Stefan. Byłam dumna, że mnie wybrał. Mógł mieć każdą asystentkę i tym bardziej studentkę. Do tego dnia, gdy pierwszy raz poszłam z nim cio łóżka, a było to w Wicinie, wiedziałam, że nie jestem ani ładna, ani zgrabna, ani dowcipna. Wyszłam za mąż, urodziłam dziecko, bo tak trzeba. Na wykopaliskach, na uczelni, nawet wśród nielicznych znajomych byłam tylko jedną z wielu kobiet. Taką, co to wypije, zapali, odpowie na pytania i będzie trzymała język za zębami. Przedwczorajszej nocy, kiedy leżała na lewym boku przytulona do Junga, usłyszała, że nie ma racji z tak surową samooceną.

– Większość ludzi chciałoby być kimś innym niż jest. Mężczyźni na ogół myślą o dobrze płatnych stanowiskach i powodzeniu u kobiet. Kobiety widzą przede wszystkim swoje wady. A ty jesteś mądra i pełna wdzięku – powiedział, mimo że znał ją zaledwie od dwóch dni. – Rozważna, a przy tym zaborcza. Jak każda zdrowa na umyśle kobieta chcesz mieć kogoś, komu na tobie zależy. Kto pamięta o twoich imieninach. Kto przyniesie ci kwiaty bez okazji. Kto cię przytuli. Kto widzi twoje wady, ale udaje, że ich nie masz. Przed kim możesz się popisać. Pochwalić. Pokłócić. To normalne.

– Prawda, że potrzebowałam oparcia w mężczyźnie. Wyszłam za mąż późno. Nie zdążyłam nacieszyć się miłością. Mąż zmarł. Nie byłam stara. Poza synem chciałam mieć jeszcze kogoś bliskiego. Właśnie takiego mężczyznę, który pamięta o moich imieninach,

który przynosi kwiaty bez okazji, który przytuli. Przyznaję, że może nierozsądnie zakochałam się w Stefanie.

– Co to znaczy nierozsądnie?

– Byłam gotowa walczyć z Bożeną o Stefana.

– Walczyłaś?

– Nigdy.

– Bałaś się, że nie pokonasz Bożeny?

– Bożena unikała walki.

– Uważała, że przegra?

– Stefan, mimo że obiecywał, nie odszedł od niej. Najpierw mówił, że Marta jest mała i potrzebuje obecności ojca w domu. Potem oznajmił, że rozwiedzie się z Bożeną dopiero wtedy, kiedy dostanie nominację na profesora zwyczajnego. W zasadzie komisja do spraw tytułów naukowych nie wnika w sytuację rodzinną kandydata, ale przy remisie w trakcie głosowania jej przewodniczący i to może wziąć pod uwagę. Dwa lata temu Marta skończyła studia, usamodzielniła się i dostała aptekę. Wyszła za mąż i zaraz się rozwiodła. Nic więc nie zatrzymywało Stefana przy Bożenie, a jednak jej nie zostawił. Marta, kiedy z nią rozmawiałam o ojcu, powiedziała, że matka błagała go o pozostanie. Jeżeli nie będziesz ze mną, to i nie będziesz z żadną inną kobietą, zagroziła. Z żadną, powtórzyła.

– Bożena mogła zrobić ten zastrzyk?

– Od wiosny Stefan spędzał więcej czasu ze mną niż z żoną. Przez pięć dni tygodnia od rana do popołudnia byłam na jego zawołanie w rektoracie. Wieczorami wpadał do tego domu, żebym zrobiła mu masaż pleców. Jeżeli nie wyjeżdżał na sympozjum czy na wykopaliska, to soboty i niedzielne przedpołudnia także przeżywał na Edenie. Nie czułam się samotna i niepotrzebna.

I teraz miałaby sama mieszkać w tym wielkim domu pod lasem, dokąd jesienią i zimą trudno dojechać?

Od tamtej rozmowy Ewa nie może uwolnić się od myślenia o Danielu Jungu jako o odpowiedzialnym mężczyźnie, byłym

policjancie przebranym za dziennikarza śledczego. Zastanawiała się, czy go przeprosić za posądzenie o nieumyślny udział w uśmierceniu Stefana. Po tym, co zobaczyła na cmentarzu w trakcie pogrzebu, ma coraz więcej pewności, że zabójcą Stefana jest Bożena albo ktoś, kogo ona wynajęła i mu dobrze zapłaciła. Ten ktoś wiedział, że Stefan cierpi z powodu bólu kręgosłupa i dlatego łyka tabletki oxycontinu. Bożena dorobiła dodatkowe klucze do domu na Kwiatowym, dała je temu komuś wynajętemu za pieniądze, a on ukryty w gabinecie Stefana czekał na niego. Najpierw obezwładnił go gazem pieprzowym, a potem zrobił ten śmiertelny zastrzyk i ułożył Stefana na kanapie jak do drzemki. Podczas pogrzebu obcy ludzie mieli łzy w oczach, a żona nawet nie wyjęła chusteczki z torebki. Mało tego, Bożena patrzyła pod nogi, a nie na katafalki. Ewa zauważyła, że kiedy grabarz postawił urnę z prochami Stefana na półce w kolumbarium i zasłonił ją płytą marmurową z wyrytym napisem „Śmierć boli nie tych, którzy odchodzą, lecz tych, co pozostają wśród żywych ", Bożena oderwała wzrok od ziemi, odwróciła głowę w jej stronę i wykrzywiła usta w półuśmiechu. Nie był cały mój, nie będzie także twój, mogły powiedzieć wargi Bożeny.

Przypomniała sobie, że przed wyjazdem z wykładami do Niemiec spytała Pośledniego, kiedy wreszcie zdecyduje się odejść od Bożeny. Odpowiedział, że stanie się to niedługo.

– Sporo tych zamożniejszych zielonogórzan spędza weekendy w swoich domkách w Sławie, Łagowie, nawet w Lubniewicach. Alanowi kupiłem domek w Jodłowie. Najbliżej Zielonejgóry i nad jeziorem. Bożena lubi tam mieszkać nie dlatego, że cisza, woda, las itede. Ze względu na pewnego faceta. Tam się z nim spotyka. Zresztą nie tylko tam. Staś, ten, co kosi trawę, zbiera liście, pielęgnuje rabaty koło domu na Kwiatowym, twierdzi, że gdy wyjeżdżam na dłużej, to przed moim domem godzinami stoi zielony passat. Po powrocie z Niemiec sprawdzę, kto jest jego właścicielem.

Nie zdążył.

Jakim autem jeździ Tomczyszyn? Czy nie zielonym? Kupił czy je dostał? Od kogo? I dlatego jako prokurator umorzył śledztwo? Coś w tym musi być. Jankowska postanowiła, że jutro przed południem zadzwoni do Junga i dokładnie mu to powtórzy.

Droga B97, środa, przed południem

Włączył nawigację, wbił Cottbus Strasse der Jugend, ale nie zważał na to, co się pokazywało na wyświetlaczu. Drogę znał na pamięć. Nawigację włączył dlatego, żeby później, kiedy będzie w centrum miasta, nie błądził.

Co chwila zezował na licznik. Starał się podążać nie za wolno, ale i nie hamować ruchu na drodze, mimo że niewiele samochodów jechało przed nim i za nim. W wioskach zdejmował nogę z pedału gazu. Gdy widział ludzi czekających przed przejściami dla pieszych, zatrzymywał „pięćsetkę", uśmiechał się, kiwał zachęcająco ręką. Tak zachowuje się większość kierowców samochodów z polskimi tablicami rejestracyjnymi, którzy jeżdżą po niemieckich drogach. W Polsce obowiązują identyczne zasady, ale niewiele osób do nich się stosuje.

Jung nigdy nie powiedział, że jedzie do redakcji „Niederlausitzer Tageblatt" w Cottbusie albo wrócił z Cottbusa. Zawsze bywa w Chociebużu i wraca z Chociebuża. Raz zwrócił uwagę Chudej, gdy zastępowała naczelną, że obowiązkiem dziennikarza pracującego w redakcji polskiej gazety jest pisanie i mówienie poprawnie po polsku. Według *Słownika ortograficznego języka polskiego* duże dwujęzyczne miasto nad Sprewą na Dolnych Łużycach to Chociebuż. Niemcy mówią Cottbus. Żyjący tam od piętnastu wieków Dolnołużyczanie twierdzą, że to Chóśebuz, a ich rodacy z okolic górnołużyckiego Budziszyna - Choćebuz.

– Była pani kiedykolwiek w Dresdenie albo Leipzigu? – spytał. Chuda nie zrozumiała. – Nie musi pani odpowiadać, bo pani jeździ do Drezna albo Lipska. Polscy turyści zwiedzają Monachium, a nie Minchen. Anglicy mówią, że stolica Bawari to Munch, Francuzi – Munich, Słowacy i Czesi – Mnichov, rdzenni Bawarczycy– Minga. Miasto, które dla Polaków jest Akwizgranem, Niemcy nazywają Aachen, Francuzi – Aix-la-Chapelle, Holendrzy Aken. Pamięta pani z liceum, co Rej powiedział o języku? A pani jako absolwentka studiów doktoranckich i zastępczyni redaktorki naczelnej polskojęzycznej gazety powinna karczować z naszych łamów pustosłowie, potknięcia logiczne i przede wszystkim wszelakie błędy. Nie tylko ortograficzne. Ale żeby to robić, pani musi sama posługiwać się polszczyzną standardową co najmniej na poziomie maturzystki.

– I może mam się godzić z tym, że jakiś Helmut nazywa moje miasto Grunbergiem?

– Dla Niemca Wrocław to Breslau, Poznań - Posen, Szczecin - Stettin, Gdańsk - Danzig. Takie są prawidła jego języka. To po pierwsze. Po drugie, pani doktorko, Niemcowi jest łatwiej wypowiedzieć Grinberg niż Zielonagóra. To, z czym pani się nie godzi, nasi dziadkowie i ojcowie, ukształtowani przez system polityczny powojennej Rzeczypospolitej, uznawali za formę rewizjonizmu, ale Drezno nazywali Dreznem, a nie Dresdenem. Leipzig pozostał Lipskiem. Dopiero nasze pokolenie przestało uważać to za sprawę polityczną. Zdarza się, że powstaniec warszawski krzywi się, gdy słyszy, jak Niemiec nazywa jego miasto Warschau. Ale gdy Anglik mówi, że podoba mu się Warsaw, Hiszpan i Włoch - Varsovia, Francuz - Varsovie, starszy warszawiak uśmiecha się jak ptaszek na wiosnę. Pekin, miasto, które według Polaka jest stolicą Chin, Anglik nazywa Beijing, Czech i Szwed– Peking, Włoch - Pechino. Mnie uczono w liceum, że stolica Korei Północnej to Phenian, mojego syna – że Pjongjang. Święty Szczepan jest patronem katedry w Wiedniu, ale Austriak powie, że to święty

Stephan i swoje miasto nazwie Wien. Nikt rozsądny nie powinien mieć do niego pretensji. A które miasto miał na myśli Węgier, gdy powiedział Bécs? Czy Chorwat, mówiąc Beč? Lub Słoweniec – Dunaj?

Chuda nie odpowiedziała. Wyciągnęła rękę po leżącą na biurku gazetę i udawała, że jest zajęta, co Jung uznał za swoje zwycięstwo. Następnego dnia poznał jego gorzki smak. I tak było codziennie. Gdyby nie Szpalta, pewnie już by musiał odejść do redakcji miesięcznika dla policjantów albo do firmy detektywistycznej. Za dwa tygodnie naczelna wróci z Norwegi. Był przekonany, że weźmie go w obronę. Do tego czasu musi zebrać taki materiał do reportażu śledczego, którym uziemi Dżamilę i Zycha, a prokurator okręgowy każe wznowić śledztwo w sprawie śmierci profesora Pośledniego.

Tylko po to jedzie do Niemiec.

Miał ze sobą fotografie zrobione przez Nogala w poprzedni piątek na Kwiatowym i wykonane przez Feima I Kamila w ostatni poniedziałek podczas pogrzebu. Skopiował zapis z monitoringu przed bramą cmentarza Nowego. Z materiału zdjęciowego przygotowanego przez Łukasza spisał dane z tablic samochodów zarejestrowanych w Niemczech.

Próbował dowiedzieć się czegoś więcej od nadkomisarz Mrozińskiej, ale wymówiła się brakiem czasu i upoważnienia do rozmowy z dziennikarzem na ten temat. Odesłała go do rzeczniczki komendantki. Jacek tak by się nie zachował, ale do końca września komisarz Syski jest na urlopie. Chciał porozmawiać z prokuratorem, tyle że zdaniem sekretarki, którą znał jeszcze z czasów pracy w komendzie, opuściło go szczęście, bo albo Tomczyszyn jeszcze nie pokazał się na Partyzantów, albo już wyszedł i nie powiedział dokąd ani kiedy wróci.

Wczoraj, zanim zadzwonił do redakcji „Niederlausitzer Tageblatt” i poprosił Madłenę o pomoc, zastanawiał się, czy zaproponować Feimowi wspólny wyjazd do Niemiec. Albańczyk ma talent do języków, po polsku mówi niemal bez akcentu, a niemiecki opanował

lepiej niż ci Turcy, którzy przyjechali do Niemiec jako dzieci. Jung nie najgorzej radzi sobie z niemieckim, ale daleko mu do takiej znajomości języka, do jakiej doszedł Feim. Są osoby, które mają zdolności do robienia rzeczy, wydawałoby się, z przeciwnych biegunów. Po tym, jak pediatra zaczęła kierować rządem Rzeczypospolitej, teolog został ministrem spraw wewnętrznych, a w gabinecie wojewody urzędowała zeszłoroczna absolwentka literatury popularnej, na dodatek siostrzenica szefowej parti koalicyjnej, nic go nie dziwiło. Po rozmowie z Magdą jednak zdecydował, że do Niemiec nie pojedzie z Feimem. Albańczyk jako obywatel kraju spoza Uni Europejskiej musiałby mieć wizę, czego nie da się załatwić od ręki. Wprawdzie Magda podpowiedziała inne, prostsze wyjście, ale Jung wolał nie narażać go na przykrości. Na przejściu granicznym w Gubinie nikt nie spyta Feima o paszport, jak i nikt nie zatrzyma go na ulicy dlatego, że nie jest blondynem z niebieskimi oczyma. Wzrostem i karnacją Albańczyk niewiele różni się od Turka, a mężczyzn o czarnych i podłużnych oczach, z krótkim nosem i małymi ustami na śniadej cerze chodzą ponad trzy miliony po niemieckich ulicach. Sprawa może się skomplikować w hotelu, gdy recepcjonistka poprosi o dokument tożsamości z ważną wizą. Pół biedy, jeżeli Niemcy odstawią Feima do granicy z Polską. Problem powstanie wtedy, kiedy przewiozą go na lotnisko i każą wracać do Albani.

– Tego nie możesz zrobić Feimowi – Magda ostrzegła Junga. – Przecież masz tam sporo znajomych. Madlena weźmie urlop i niczego ci nie odmówi. Ona się w tobie kocha.

Nawet nie starał się zaprzeczyć. Przecież za pośrednictwem Madleny Jung poznał komisarza kryminalnego Martina Tomiaka z prezydium policji w Chociebużu i wiele razy korzystał z jego pomocy. Pradziadek Martina był Polakiem, który jako kawaler przyjechał do Spremberga spod Babimostu fedrować w kopalni Brigitta. Ożeniwszy się z Niemką, na zawsze został na Dolnych Łużycach. Mimo że tam urodzili się dziadek i ojciec Martina, obaj

rozumieli polską mowę i należeli do Kościoła katolickiego. Martin również dużo lepiej radził sobie z językiem polskim niż jego niemieccy koledzy z pionu kryminalnego. Dlatego, kiedy trzeba było kogoś posłać na kurs do szkoły policji w Pile, dyrektor chociebuskiego prezydium jemu kazał jechać. Teraz większość spraw dotyczących przestępstw na pograniczu jest prowadzona z jego udziałem.

Jung liczy na pomoc Madleny, a właściwie na jej bliską znajomość z komisarzem Tomiakiem.

Obudziła się komórka. Zerknął na wyświetlacz. Ewa Jankowska? Już wyciągnął rękę, żeby przesunąć palcem po ekraniku, gdy zdał sobie sprawę z tego, że co kilka kilometrów wzdłuż drogi wiszą kamery. Na pewno zaraz po przekroczeniu granicy zauważył mnie dyżurny w centrum monitoringu i tylko czeka, kiedy złamię przepisy. Rozmowa przez telefon w trakcie jazdy jest zabroniona, a ja nie mam zamiaru zaczynać podróży po Niemczech od płacenia mandatu. Czterdzieści euro. Zresztą, co nowego Ewa może mi powiedzieć?

Chociebuż, Strasse der Jugend, środa, w południe

Madlena Havliček, jak dziennikarka podpisuje swoje artykuły w „Niederlausitzer Tageblatt", albo Madlene Hawlitchek, jak ma w dowodzie osobistym i jak zwracają się do niej niemieccy urzędnicy, wyszła przed budynek, w którym mieszczą się redakcje większości chociebuskich gazet. Co najmniej od godziny czerwona „pięćsetka" z rejestracją zielonogórską powinna stać na miejscu zarezerwowanym dla samochodów gości. Pomyślała, że Daniel Jung znowu za późno zorientował się, żeby przed głównym skrzyżowaniem na Karl-Liebknecht-Strasse zjechać na lewy pas i poganiany przez kawalkadę samochodów popędził prosto w stronę dworca Cottbus Hauptbahnhof. Dopiero stamtąd krętymi uliczkami Spremberger

Vorstadt dojedzie na Strasse der Jugend. Wiosną sytuacja była niemal kubek w kubek, w dodatku padał deszcz, dlatego Daniel zatrzymał swego fiata nie przed dworcem głównym, ponieważ nie dostrzegł tam wolnego miejsca, lecz wjechał na parking dla pracowników dyrekcji kopalni węgla. Nad tablicą zabraniającą parkowania osobom niezwiązanym z koncernem Vattenfall nie było znaku zakazu ruchu. Ledwie tam wjechał, stojący przed budką ochroniarz coś niezrozumiale rzucił i po chwili opuścił szlaban. W tym samym momencie spod ziemi wysunęła się zapora najeżona kolcami. Zdezorientowany Jung zadzwonił do Madleny. Zabroniła mu wysiadania z samochodu i rozmawiania z ochroniarzem aż do jej przyjazdu. Dwa kwadranse później czerwona „pięćsetka" z zielonogórską tablicą rejestracyjną zajęła wyznaczone dla niej miejsce na parkingu przed budynkiem redakcji. Już dawno Madlena spostrzegła, że Daniel Jung należy do ambitnych dziennikarzy. Jeżeli popełni błąd, a w jej obecności zdarzyło mu się to kilka razy, stara się tak go naprawić, żeby nikt nie poczuł się skrzywdzony.

Wtedy, wiosną, mimo że nie skończyła pisania pilnej informacji, która miała ukazać się w wydaniu internetowym, nie miała do niego pretensji. Troszkę czuła się winna. A może i dlatego nie upomniała Daniela, że przywiózł jej bukiet z pachnących ogrodową rosą konwali, który ledwie objęła dwoma dłońmi. Pierwszy raz dostała od mężczyzny aż tyle wiosennych kwiatów. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby Daniel przyjechał do Chociebuża bez wonnego prezentu prosto z ogrodu. Najczęściej przywoził róże herbaciane i wielobarwne storczyki. A z czym tym razem przyjedzie? Piwonie zdobiły rabaty do ostatnich dni lipca. Gładiole pewnie także przekwitły. Astry? Gerbery? Dalie? Może złociste chryzantemy? Nie, na chryzantemy jeszcze za wcześnie, zresztą to są kwiaty na inną okazję. Najbardziej ucieszyłabym się z bursztynowych róży, co nie oznacza, że nie mogą być goździki albo nawet wonne margaretki prosto z łąki.

Ledwie to pomyślała, przed budynkiem redakcji zatrzymała się

czerwona „pięćsetka”. Uspokojona, że nareszcie jest oczekiwany gość, pomachała do niego lewą ręką i wskazała miejsce postoju samochodu.

– Przepraszam za spóźnienie. – Bukiet z szafirowych wrzosów przetykanych koralowymi owocami dzikiej róży i gałązką trojeści podał Madlenie, po czym przytulił ją do siebie i tak trwali chwilę. Ten, kto tak samo długo jak Madlena stał za drzewem po drugiej stronie ulicy, a którego ona nie widziała, i teraz rejestrował tę scenę, nie miał wątpliwości, że coś bliskiego łączy parę.

– Naprawdę śliczne – szepnęła Madlena, onieśmielona jak małolata na pierwszej randce. – Zapraszam cię do naszego karmidełka – uśmiechając się, dodała polszczyzną bez zarzutu, tyle że z gardłowym akcentem. Nie znała łużyckiego odpowiednika tego określenia, a po niemiecku każde słowo brzmiało zbyt poważnie.

– Jeszcze coś dla ciebie mam – pokazał na „pięćsetkę”. – Zapamiętałem, że ile razy byłaś w Zielonejgórze, tyle razy kupowałaś twaróg.

– Przywiozłeś biały ser? – spytała z niedowierzaniem.

– Cztery kostki ćwierćkilowe. I ciepły chleb.

– Chleb na pewno z piekarni Racula.

– A...? – Madlena nie pozwoliła mu skończyć. Daniel miał zamiar spytać, skąd ona wie, że Racula piecze najsmaczniejszy chleb w mieście.

– Moi koledzy, gdy tylko są w Zielonejgórze, pytają o chleb z tej piekarni. Andreas od sportu śmieje się, że jeśli wyrzucą go z redakcji, to zajmie się handlem. Założy lirmę, która będzie prowadziła sprzedaż świeżego chleba z Raculi.

– I twarogu – dodał Jung. – Nie rozumiem, dlaczego niemieccy mleczarze nie robią białego sera.

– Może nasz klimat nie jest dobry.

– Z Chociebuża do Zielonejgóry jest dokładnie sto kilometrów. To oznacza, że bioklimat po obu stronach granicy jest identyczny.

– Słusznie, Daniel. Twoje spostrzeżenie przekażę koleżankom z

działu ekonomicznego. Jednak coś musi stać na przeszkodzie, bo Niemcy wolą kupować twaróg w Polsce niż wytwarzać go ze swojego mleka. Zadanie dla dziennikarza śledczego.

O tej porze przy stolikach było pusto. Dziennikarze schodzili do bufetu zaraz po dwunastej. Wtedy ogonek sięgał aż recepcji. Później przychodzili tu jedynie ci, którzy wcześniej mieli coś pilnego do napisania albo nie lubią wdawać się dyskusję, co w tym zawodzie jest rzadkością.

– Dla mnie to samo, co dla ciebie – powiedział Jung, gdy stanął za Madleną przy ladzie. Co kucharka położyła na jego tacy, dowiedział się dopiero przy stoliku. Zdarzało się, że zjadł potrawę ze smakiem i jeszcze nie wiedział, co było na talerzu.

– Sznycel wieprzowy, w Polsce zwany wiedeńskim, szary ryż, sałatka z białej kapusty, pomidorów i rzodkiewek. Danie bez krzty sosu. Sos ma działanie tuczące, a ty już jesteś w takim wieku, kiedy powinieneś uważać na to, co wkładasz do ust. Jeśli jeszcze będziesz głodny, zamówię ci pół porcji sałatki bawarskiej.

Jung pomyślał, że Madlena traktuje go tak, jak traktowała swego męża. Bohuslav w niczym jej nie pomagał. Wracał z kliniki do domu, włączał telewizor albo przeglądał gazetę. Kiedyś przyznał się Danielowi, że gdyby drzwi do salonu zaczęły skrzypieć, nie wiedziałby, jak je naoliwić, a od zakończenia studiów nie zagotował nawet wody na herbatę. Wszystkim zajmuje się Madlena. Są kobiety, które nie potrafią zrzucić z siebie potrzeby opiekowania się wybranym mężczyzną. Spotykali się w Zielonejgórze i Chociebużu jeszcze .wtedy, kiedy ani ona, ani on nie spodziewał się, że chirurg gastrolog umrze z powodu raka jelita grubego. Po śmierci Bohuslawa Madlena przestała zapraszać Miśkę i Daniela do swego domu na Gartenstrasse i nie bywała w ich mieszkaniu na Słonecznym. Dopiero niedawno, gdy Daniel zbierał materiał do reportażu o gubeńskim Plastinarium, przyszła mu z pomocą.

– A co tym razem? Przez telefon nie wszystko zrozumiałam – przyznała się.

Bez ukrywania czegokolwiek powiedział, że pod koniec lipca umówił się na rozmowę z profesorem Stefanem Poślednim o skarbach znajdowanych przez archeologów w ziemi nad Nysą. Ponieważ w połowie lata profesor wyjeżdżał na wykopaliska gdzieś koło Spremberga, rozmowa miała się odbyć dopiero po jego powrocie do Zielonejgóry. Profesor wrócił w ostatni piątek sierpnia, lecz do rozmowy nie doszło. Pośledni zmarł w swoim domu z powodu przedawkowania oxsycodonu, podanego w formie zastrzyku. To bardzo silny opioidowy lek przeciwbólowy, stosowany wyłącznie w klinice pod kontrolą lekarza. Może być zażywany poza szpitalem, wtedy ma formę doustnej tabletki lub doodbytniczego czopka. Podawany w małych ilościach, zgodnie ze wskazaniami lekarza, nie powoduje zagrożenia życia, aczkolwiek wywołuje senność, zaparcia, czasem wysypkę i zaczerwienienie skóry. Przedawkowanie oxsycodonu oznacza porażenie ośrodkowego układu nerwowego, co wywołuje paraliż mięśni, a to prowadzi do niemal natychmiastowej śmierci. Ten specyfik można kupić wyłącznie na specjalną receptę i to nie w każdej aptece. Ze względu na jego szczególne właściwości wielu farmaceutów spisuje dane klienta z dowodu osobistego.

– Profesor sam sobie zrobił zastrzyk?

– Raczej wykluczone.

– Kto więc?

– Zdaniem prokuratora sprawcą jest syn profesora z pierwszego małżeństwa. Niestety, syn także nie żyje.

– Najpierw zrobił zastrzyk ojcu, potem sobie. Wiadomo, o co mu poszło?

– Cztery dni po śmierci ojca znaleziono ciało syna w jeziorze. Było w skafandrze nurka głębinowego. Nieszczęśliwy wypadek czy morderstwo? Tego bez wątpliwości nigdy nie da się wyjaśnić. Chyba że przypadkowo.

– Jeżeli śledczy przedstawili dowody świadczące o winie syna, a on nie żyję, to prowadzenie sprawy nie ma sensu. Zgodnie z prawem

prokurator mógł ją umorzyć. Ewentualnie zawiesić do czasu, aż pojawią się nowe przesłanki wskazujące na słuszność jej kontynuowania. Tylko po co? Chyba dla statystyki.

– Emerytowany oficer wojska, mieszkający w domu na wprost willi profesora, z przyzwyczajenia i nudów obserwuje, co robią sąsiedzi. Na podstawie tego, co widział, nie da się na sto procent stwierdzić, że syn zrobił śmiertelny zastrzyk ojcu. Syn pewnie potrafił wbić igłę w ciało, bo z wykształcenia był ratownikiem medycznym. Zastrzyk mogła zrobić jego siostra, magister farmacji i właścicielka apteki. Skończyła liceum pielęgniarskie, a tam tego uczą. Mógł zrobić ktoś trzeci. Ktoś, kto jeździ srebrzystym passatem lub czarnym audi s7. Oba auta są zarejestrowane w Dreźnie. Ten ktoś mógł być na pogrzebie Pośledniego, ale prokurator tego właśnie nie wziął pod uwagę.

– Dlatego redaktor Jung postanowił przeprowadzić własne śledztwo. Przy pomocy Madleny Havlíček.

Daniel nie zaprzeczył, ale i nie powiedział jej, że podejrzewa, iż stary Pośledni z kimś zadarł. Z kim? Kiedy? O co poszło? Przypuszczalnie w Blunie. A może dużo wcześniej w coś się wmieszał? Może coś komuś obiecał, na przykład jakieś zabytki z wykopalisk, i nie dotrzymał słowa? Albo popełnił jakiś inny niewybaczalny grzech. I może w Blunie ten ktoś mu się przypomniał i dał ostatnią szansę? Pośledni ją zbagatelizował. Tyle razy byłem górą, pomyślał, to i teraz musi się udać. Nie udało się. Kto nie dotrzymuje słowa, kończy jak profesor Pośledni. Jung dałby głowę, że młody Pośledni także z kimś zadarł, ale to inna sprawa i nią nie będzie się zajmował.

– A co ja – pokazała na siebie– będę z tego miała?

– Odwdzięczę się w miarę swoich skromnych możliwości – powiedziawszy to, uśmiechnął się, jakby coś miłego sobie przypomniał i rozcapierzone palce prawej ręki położył na wierzchu jej dłoni.

– Nic się nie zmieniłeś od naszego ostatniego spotkania –

stwierdziła po chwili, żeby przerwać ciszę, lecz dłoni nie cofnęła.

– To znaczy?

– Żyjesz w biegu. Mógłbyś leżeć na lewym boku i całymi dniami gapić się na telewizor. Ty nie możesz być emerytem. – Teraz Madlena się uśmiechnęła, swoją prawą ręką nakryła jego prawą dłoń i patrząc mu w oczy, stwierdziła z wyrzutem: – Należysz do coraz mniejszej grupy ludzi, którzy nie potrafią nic nie robić.

– Tyle nas łączy, prawda?

Nie zaoponowała. Od dnia po pogrzebie Bohuslava Madlena wyznacza sobie nowe zadania. Dziś musi zrobić to, jutro tamto. Mogłaby pędzić życie cierpiącej wdowy, tym bardziej że jeden syn mieszka z rodziną w Stuttgarcie, drugi, jeszcze kawaler, jest chirurgiem onkologiem w Berlinie. Obaj nie potrzebują jej pomocy. Ale Madlena nie potrafi wylegiwać się do ósmej, potem czytać, spotykać się z takimi samymi wdowami jak ona i wspominać przeszłość, spacerować, znowu czytać i oglądać telewizję. Dopóki szef redakcji będzie pozwalał jej siadać przy redakcyjnym laptopie, dopóty będzie robiła to, co należy do zadań reporterki śledczej. Niedawno naczelny „Niederlausitzer Tageblatt" powiedział, że nie zamieni jednej wdowy w wieku emerytalnym na dwie dziewczyny z nowymi dyplomami ukończenia studiów. Wdowa, jeżeli nawet zacznie niedomagać, stara się być przydatna w zespole. Dziewczyna po studiach tylko patrzy, jak się urwać z redakcji.

– Realny dżentelmen. – Ciesząc wzrok bukietem, znowu się uśmiechnęła. Dawno nie dostałam kwiatów, pomyślała.

– *Difficilis in otio quies*[13].

– W tym jesteśmy jak brat i siostra. – Spuściła wzrok na tacę z niedojedzonym sznyclem, bo wydawało jej się, że powiedziała coś, co Daniel zrozumiał dosłownie.

Miała rację.

– Jestem jak służący. Wtedy czują radość, kiedy mogę zrobić coś pożytecznego. Tak było w policji i tak jest w redakcji – podkreślił. – Bez twojej pomocy chyba jednak sobie nie poradzę. Krótko mówiąc,

chodzi mi o to, żebyś mi pomogła wyjaśnić, kto zrobił śmiertelny zastrzyk Pośledniemu. Tego oczekuje ode mnie jego córka.

– Ja na twoim miejscu zaczęłabym od rozpoznania, dlaczego Pośledni musiał umrzeć.

– *Omneš viae Romam ducunt*[14].

– Tyle się znamy, a ja nie wiedziałam, że jesteś biegły w łacinie. Na prawie aż tyle tego nie uczą.

– W liceum chodziłem do klasy łacińskiej. Nauczyciele łaciny często się zmieniali. Każdy nowy zaczynał od początku. Ostatni stwierdził, że niewiele umiemy. Podyktował nam kilkanaście powiedzonek i kazał wykuć je na blachę. Po to, żeby w poważnym towarzystwie, gdy inni będą wtrącali na przykład angielskie słowa, zaskoczyć ich powiedzonkami łacińskimi.

– To działa chyba tylko na lekarki, prokuratorki, aptekarki i starsze zakonnice – stwierdziła Madlena.

Chociebuż, Juri-Gagarin-Strasse, środa, po południu

Komisarz Martin Tomiak już wiedział, że od dwunastej czterdzieści sześć na parkingu przed budynkiem redakcji stoi czerwony fiat 500 zarejestrowany w Zielonejgórze. Również wiedział, że mężczyzna, który nim przyjechał, przywiózł bukiet szafirowych wrzosów przetkanych koralowymi owocami dzikiej róży i gałązką czegoś żółtego. Wiedział, ile było białego twarogu w reklamówce i skąd pochodził chleb. Wiedział nawet i to, że Daniel przywitał się z Madleną serdecznie, mało tego, zanim wyjaśnił, po co przyjechał, przeprosił za spóźnienie, które spowodowały roboty na drodze między Teuer i Paitz, potem ją przytulił poufale, a ona musnęła go ustami w policzek. Czyli musi znać go co najmniej dobrze, orzekł ten, którego Tomiak wysłał na Strasse der Jugend. Później powiedziała coś, co go rozśmieszyło, i zaprowadziła go do bufetu. Jedli sznycel wiedeński, szary ryż, sałatkę z białej kapusty, pomidorów i

rzodkiewek. Wiedział również, że najpierw mężczyzna przykrył swoją ręką jej dłoń, a później ona położyła swoją rękę na jego dłoni i spojrzała mu w oczy, jakby łączyło ich coś więcej niż koleżeńska znajomość. O czym rozmawiali, tego informator nie zrozumiał. Padały słowa niemieckie, ale najwięcej polskich i łużyckich, trochę rosyjskich i pewnie angielskich. Tomiak wiedział nie to, co powinien wiedzieć. Interesowało go przede wszystkim, kim jest ten przełysiały i lekko szpakowaty zielonogórzanin, jak się nazywa i po co przyjechał. Na podstawie tego, co usłyszał przez komórkę od swego informatora, doszedł do wniosku, że opis pasuje do Daniela Junga, reportera śledczego „Gazety Zielonogórskiej" z doświadczeniem detektywa w pionie kryminalnym policji. Rozmawiał z nim kilka razy, ostatnio po tragedi na Schwielochsee w Goyatzu, gdy w jeziorze utopił się profesor Witkowski z Uniwersytetu Zielonogórskiego i dwie pracownice gubeńskiego Plastinarium. Pamiętał również, że dwa, trzy razy w roku Jung odwiedza swego teścia w domu spokojnej starości koło Burga, ale tam zawsze przyjeżdża z żoną, kierowniczką uniwersyteckiej kliniki patologi ogólnej. Do końca zeszłego roku co tydzień komisarz Tomiak dostawał pakiet gazet wydawanych w Zielonejgórze. Przeglądał je, bo tego wymagał od niego szef wydziału, ale ponieważ niewiele znajdował w nich informacji interesujących niemieckich kryminalnych, chociebuska policja zrezygnowała z białego wywiadu.

– Zadzwonię do centrum współpracy w Świecku i spytani wprost, co się wydarzyło, że redaktor Jung zbiera materiał aż w Chociebużu – powiedział głośno. Przed południem zawsze dyżuruje podinspektor Kaliszuk, a ten przede mną nie ma żadnych tajemnic. Czasem powiedział więcej niż się spodziewałem, ale to pewnie dlatego, że łączy nas Babimost jako miejsce pochodzenia przodków.

Komisarz spojrzał na czasomierz w prawym dolnym rogu ekranu asusa. Czternasta czterdzieści dziewięć. O tej porze Kaliszuk mógł skończyć dyżur w Świecku, a z jego zmienniczką Tomiak nie chciał

mieć do czynienia. Służbistka, jakiej nie spotkał po polskiej stronie. Dla niej liczyły się jedynie przepisy i procedury. To zadzwonię do Bundeschutzu[15], żeby sprawdzili numer rejestracyjny czerwonej „pięćsetki" i swoimi kanałami dowiedzieli się, kto siedział za kierownicą. Przecież po to zawiesili kamery nad drogą do i z przejścia granicznego. Każdego, kto więcej niż raz tamtędy jechał, powinni mieć w swoim rejestrze. Gdybym i od nich niczego się nie dowiedział, skontaktuję się z Madleną, postanowił. Tyle razy pomagałem jej, niekiedy naruszając przepisy, więc nie powinna mnie zbyć byle odpowiedzią. Uśmiechnął się na wspomnienie jesiennego popołudnia w chatce Madleny niedaleko Burga, dokąd go zaprosiła.

Zielonagóra, os. Leśne, środa, wieczorem

Marta jest przekonana, że po najbliższych wyborach osoby z jej pokolenia wreszcie przejmą władzę w kraju. Wtedy polskie prawo będzie pozwalało na urzędowy związek kobiety z kobietą. Póki formalnie jest to niemożliwe, w obecności znajomych musi traktować Karin jedynie jak przyjaciółkę, która przyjechała z Niemiec. Ojciec nie żyje, nikt więc nie będzie ganił jej za związek z kobietą, bo matka nie interesuje się tym, z kim ona mieszka i co robi. Za rok, dwa lata, o czym niedawno rozmawiały, najpierw Karin pojedzie do kliniki leczenia niepłodności, tam zajdzie w ciążę i urodzi dziewczynkę, a jeszcze lepiej bliźnięta. Zaraz potem Marta również zajdzie w ciążę. Gdzie, tego dotąd nie uzgodniły. Marta jest gotowa pojechać do Świnoujścia albo do Karpacza i tam wieczorem wciągnąć jakiegoś młodego adonisa do hotelowego łóżka. Nawet nie spyta go o imię. Następnego dnia z samego rana wsiądzie do swojej hondy i najkrótszą drogą czmychnie do Zielonejgóry. Karin uważa, że to jest ryzykowne. Wcześniej powinna sprawdzić, czy ten, którego wybrała na ojca swego dziecka, na pewno nie jest

nosicielem choroby genetycznej. Do kogo będzie miała pretensję, jeżeli urodzi dziecko niepełnosprawne? A w ogóle Karin nie dopuszcza do siebie myśli, żeby facet ślinił jej piersi, dyszał nad uchem i może jeszcze wychwalał się tym, co mu dala natura. Czy nie jest bezpieczniej pojechać do kliniki leczenia niepłodności, która prowadzi genetyczny bank nasienia, zapłacić i nie interesować się ojcem dziecka? Zanim Karin poznała Martę (właściwie było odwrotnie), jej partnerka dowiedziała się, że taką kliniką zarządza doktor BetrLiger przy Hortensienalthof w Berlinie. Od tamtego czasu klinika powołała swoje filie w Poznaniu, Krakowie i Gdańsku.

– Jeżeli dobrze zrozumiałam, to ten redaktor, który przedwczoraj tu był, ma wątpliwości, czy Alan zrobił zastrzyk twemu ojcu – powiedziała Karin, zapalając papierosa.

Marta potwierdziła to ruchem głowy.

– Myślę, że nie tylko Jung ma wątpliwości – mruknęła po niemiecku.

– Ty również?

Marta znowu kiwnęła głową.

– Po jego wyjściu zaczęłam coś kojarzyć. – Karin strzepnęła popiół do szarego pucharka. – Ponieważ ojciec słabo zna się na malarstwie, a na starych obrazach w ogóle, prosił mnie o ocenę kilku malowideł, które przyjął do komisu. Robiłam to na zapleczu jego salonu, gdzie jest naturalne światło. Stamtąd podsłuchałam rozmowę ojca z mężczyzną, którego chyba także widziałam na pogrzebie. Wtedy to, co usłyszałam, wydawało mi się nieistotne.

– A teraz?

Karin odpowiedziała po krótkim namyśle, cedząc słowa:

– Z ich rozmowy dowiedziałam się, co mnie cholernie zaskoczyło, że w salonie prowadzonym przez mojego ojca ma siedzibę Heinrich Graf von Brühl Stiftung. Ojciec jest jej pierwszym prezydentem, a ten, który przyszedł, ojciec tytułował go profesorem, jego zastępcą. Celem fundacji na dziś jest zebranie pamiątek związanych z hrabią Brühlem. W przyszłości przywrócenie dawnego znaczenia pałacu w

Brodach. Potem rozmowa zeszła na twojego ojca, a właściwie na serwis Łabędzi. Ten, który przyszedł, powiedział, że twój ojciec nie chce się zgodzić.

– Na co mój ojciec nie chciał się zgodzić?

– Mam coś, czego Pośledni nie odrzuci, powiedział profesor. Mój ojciec spytał, czy na pewno. Wtedy profesor roześmiał się. Zaproszę go z wykładami na wykopaliska. Pośledni to taki człowiek, który gdy usłyszy, ile może zarobić, zapisze duszę diabłu. On ma niewyobrażalnie duże wydatki. A gdyby jednak nie zgodził się, jest jeszcze Alan.

– Był – westchnęła Marta.

– Przepraszam.

– Chciałabym wiedzieć, z kim lub z czym mój ojciec mógłby się nie zgodzić. Może w odpowiedzi na to pytanie tkwi wyjaśnienie, dlaczego ojciec nie żyje. I kto zrobił mu ten cholerny zastrzyk.

– Też tak mi się zdaje.

– A profesor to skąd? Gdzie go szukać?

Karin rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami. Marta zrozumiała, że Karin tego nie wie.

– Zadzwoń do swego ojca, proszę – powiedziała tonem polecającym.

Spremberg, rynek, środa, wieczorem

Od rana było parno. W południe zaczęło grzmieć. Nieuchronnie zanosiło się na burzę. Madlena najpierw proponowała przeczekanie w jej mieszkaniu, kolację, nocleg i jutro zaraz po śniadaniu wyjazd do Spremberga, ale potem dała się przekonać Danielowi, żeby nie odwlekać do czwartku. Szkoda każdej godziny. Jung wiedział jedynie, że od czwartego sierpnia niemal do końca miesiąca profesor Pośledni miał wykłady dla studentów na wykopaliskach koło Spremberga. Ponieważ Madlena o tym nie słyszała i nie czytała w

tygodniku „Niederlausitzer Tageblatt” ani w gazecie codziennej „Lausitzer Rundschau”, spytała, czy na pewno chodzi o Spremberg.

– Coś na s – odpowiedział Daniel zbity z tropu.

– Może Senftenberg?

– Niedaleko Chociebuża.

– W pobliżu Chociebuża na es jest Straupitz, Schwarzbach, Schipkau, Sonnewalde. Od co najmniej trzydziestu lat archeolodzy badają gród Slawenburg, ale to bardziej w stronę Berlina.

– W pobliżu jest jedna i będzie następna kopalnia węgla.

– Schwarze Pumpe? Ale tam kopalnia jest od dawna. Chyba powstała jeszcze przed wojną.

– Tak więc jednak musi chodzić o Spremberg.

Skoro wykopaliska, na których był Pośledni, mają związek z planem budowy następnej kopalni węgla brunatnego, to na pewno chodzi o okolice Spremberga, dedukowała Madlena. Niedawno mimo protestów mieszkańców i ekologów koncern Vattenfall rozkopał ziemię na południowy wschód od Węzłowa, jakieś dziesięć kilometrów za Sprembergiem. Dokąd przeniesie maszyny wtedy, kiedy w tamtym miejscu wybierze ostatnią tonę węgla, tego nie wiedziała. Dotąd było tak, że zanim rząd brandenburski zgodził się na przeniesienie koparek na nowe miejsce wydobycia węgla, ludzie wiedzieli, gdzie powstanie następna kopalnia, bo archeolodzy skrupulatnie przesiewali tamtejszą ziemię. Gdyby nawet natrafili na coś, co jest tak samo cenne jak armia terakotowa chińskiego cesarza Qin Shi i błagali o zachowanie tego miejsca w naturalnym stanie, ich opini nikt w Poczdamie nie weźmie pod uwagę, tyle że w razie protestu historyków, ekologów i mieszkańców rządzący Brandenburgią będą mieli czym się zasłonić. Najprościej byłoby więc pojechać do zarządu koncernu Vattenfall i tam popytać o plany. I czy archeolodzy zaczęli badać plac przyszłej budowy. Tyle że każda kopalnia węgla to inwestycja specjalnego znaczenia, dlatego rzecznik koncernu zasłoni się tajemnicą państwową lub zaprosi Madlenę Hawlitchek na rozmowę za kilka dni, o czym wcześniej poinformuje

Bundesnachrichten-dienst[16]. Agent BND pójdzie do redakcji i będzie pytał, dlaczego ją to interesuje. I jeżeli nawet Madlena powie prawdę, jej nazwisko znajdzie się na specjalnej liście dziennikarzy, których trzeba mieć na oku. Odpowiedź na pytanie, czy i gdzie powstanie kopalnia, bo tam już pracują archeolodzy, Madlena mogłaby uzyskać w chociebuskim Wendisches Muzeum. Z czasów pracy w policji Jung pamiętał, że muzealnicy chodzą pod rękę z archeologami i jeżeli wiedzą, gdzie są prowadzone wykopaliska, za żadne pieniądze tego nie ujawnią.

– Taka zawodowa solidarność – powiedział słodko.

Zaraz po przyjeździe do Spremberga Madlena odwiedziła swoją koleżankę w bibliotece, ale niczego, co ją interesowało, tam się nie dowiedziała. Ratusz obeszła szerokim łukiem. Tak samo zrobiła, kiedy była na Kantstrasse, gdzie mieścił się komisariat policji. Pomyślała o „Spremberger Wochenkurier". Bibliotekarka nie musi, ale dziennikarze lokalnego tygodnika powinni wiedzieć, czy w pobliżu miasta pracują archeolodzy. Szybko pomyślała i jeszcze szybciej zrezygnowała z szukania pomocy w redakcji. Musiałaby wyjaśnić, dlaczego interesuje ją miejsce, gdzie są prowadzone wykopaliska, a tego nie mogła zrobić. Zwłaszcza że spremberski tygodnik konkuruje z chociebuskim „Niederlausitzer Tageblatt". Nadciągające nad miasto brudne chmury nie pozostawiały złudzeń, że burza przejdzie bokiem. Już z oddali dochodziły grzmoty. Będzie lało.

– Wracamy do Chociebuża czy czekamy w Sprembergu? – spytała Madlena, gdy zmęczeni wrócili na rynek. – Jeżeli zostajemy, to musimy poszukać hotelu. W centrum jest pamiętający historyczne czasy Zur Post i niedawno postawiony Stadt Spremberg. Kiedyś byłam na konferencji, wtedy nocowałam w Zur Guten Einker. To spory gościniec przy wyjeździe z miasta. Idę o zakład, że będziesz zadowolony. Mają także niezłą kuchnię regionalną, za czym ty, o ile nie zmieniłeś upodobań, przepadasz.

Jung potwierdził to i nie miał nic przeciw zamieszkaniu w Zur Guten Einker, tym bardziej że spadły pierwsze krople.

Spremberg, Grausteiner Weg, środa, wieczorem

Burza przeszła bokiem.

– Leje w Saksoni. Gdzieś nad Hoyerswerdą albo jeszcze dalej na południu – zgadywała Madlena, kiedy zostawili swoje torby w pokojach i schodzili do restauracji hotelowej na kolację. – Nie oznacza to, że mamy szczęście, bo do nas nie dotrze następna burza. Ta z grzmotami i piorunami. I może nawet z gradem wielkości kurzych jajek.

Jung miał ochotę powiedzieć, że Niemcy i Polska leżą w takiej strefie pogodowej, że letnie ulewy nikogo nie powinny dziwić. Były, są i będą, ponieważ taki mamy klimat. Co innego ich powtarzalna intensywność w ostatnich latach i szkody, jakie powodują. Coraz częściej z pozoru niegroźny wicher zamienia się w piekielny huragan lub do niedawna nieznany w tej strefie orkan i wtedy zdziera dachy z domów, zrywa linie energetyczne, łamie najgrubsze drzewa jak zapałki, a i nierzadko bywa, że wyrywa je z korzeniami. Jung zachował w swojej pamięci te lata dzieciństwa, gdy ciemne chmury także były forpocztą grzmotów i błyskawic, ale potem najwyżej przez pół godziny pioruny waliły w nadwarciańskie wierzby i lało tak, że drogi zamieniały się w potoki. Jeszcze ulewa się nie zakończyła, Daniel wybiegał z domu boso i z rówieśnikami stawiał tamy z błota. To była zabawa ciekawsza niż budowanie szałasów, strzelanie z procy do wróbli czy podglądanie Cyganów, którzy kilka razy do roku zatrzymywali swoje tabory na skraju lasu.

Madlena czuła się lepszą połową duetu. Toteż gdy kelnerka podeszła do stolika, nie pytając Daniela o zdanie, jemu zamówiła karpia duszonego na klarowanym maśle ze smażonymi ziemniakami i ogórkami kiszonymi po łużycku, a sobie sałatkę z pomidorów i kiwi.

– Pewnie masz ochotę na miejscowe piwo?

Przytaknął i uśmiechnął się zadowolony.

– Kiedy Polak pierwszy raz znajdzie się w czeskiej Pradze, wieczorem powinien wybrać się na Hradczany czy na most Karola, co nikogo nie dziwi, bo to wyjątkowe miejsca. Ale młody Polak odkłada zwiedzanie tych miejsc na potem. Jeżeli nie zdąży tym razem, to będzie miał powód, żeby jeszcze raz przyjechać do Pragi. Młody Polak najpierw idzie na ulicę Křemencová 11, gdzie jest piwiarnia U Fleka. Ten sam Polak, wjeżdżając do Monachium, próbuje sobie przypomnieć, czym zasłynęła Bürgerbräukeller, o której coś słyszał w szkole. Gdy się dowie, że piwiarnia nie istnieje, pyta o inny, również historyczny lokal. Ja podczas pierwszego pobytu w Monachium zacząłem od najsłynniejszego pubu na świecie, czyli od Hofbräuhausu. Tam wytrąbiłem litrowy kufel piwska i to mi wystarczyło do rana. Inaczej sprawa wyglądała u Paulanera przy Kapuzinerplatz, dokąd poszedłem z kolegą następnego wieczora. Mieszkaliśmy w hotelu w pobliżu Augustinera przy Munzstrasse, tam więc leczyliśmy kaca. Piwskiem.

– Musiało ci tamto piwo porządnie zaszkodzić, skoro zapamiętałeś nazwy ulic – roześmiała się Madlena. Daniel także był tym zaskoczony, tym bardziej że niemal zawsze po powrocie ze sklepu żona pytała, dlaczego nie kupił wszystkiego, o co go prosiła. Śmiała się, że to predemencja wskazująca na początkową fazę alzheimera.

Madlena przywołała kelnerkę i poprosiła o najbardziej popularne piwo w Sprembergu.

– Radeberger – powiedziała z udawanym zachwytem dziewczyna. – Przypuszczam jednak, że pani kolega będzie ucieszony, jeżeli podam mu piwo domowe. Każdemu, kto się u nas zatrzymuje, proponuję kufelek naszego piwa. Na skosztowanie. Potem przynoszę drugi, już duży kufel trunku. Bywa, że i trzeci. I czwarty. I zdarza się, że pomagam gościowi trafić do pokoju.

– To już pani wie, co podać – zdecydowała Madlena, robiąc oko do kelnerki.

Kiedy półtorej godziny później wyszli z restauracji na skwerek

przed hotelem, usłyszeli przytłumione grzmoty. Błyskało się nad Welzowem albo jeszcze dalej.

– Nadciąga burza. Może być z piorunami.

– Kobiety i dzieci zwykle boją się burzy. A ty?

Madlena milcząco kiwnęła głową.

Spremberg, Grausteiner Weg,
noc ze środy na czwartek

Pokoje, które wyznaczyła im recepcjonistka, rozdzielał wspólny korytarzyk z wnęką kuchenną i łazienka. Jungowi dała klucz do osiemnastki, Madlenie do dwudziestki. Ponieważ zaraz po przyjeździe do hotelu zostawili bagaże w osiemnastce, po powrocie z restauracji Daniel przeniósł swoją torbę do dwudziestki. Obsłudze Zur Guten Einker nie robiło różnicy to, gdzie kto mieszka, im także, zwłaszcza że w obu pokojach meble były takie same i ustawione identycznie. Jung włączył telewizor, otworzył okno i czekał, kiedy woda przestanie lecieć w łazience i Madlena wróci do osiemnastki, wtedy on wskoczy pod prysznic i potem do łóżka. Mimo że poprosił recepcjonistkę o obudzenie o wpół do ósmej, nastawił budzik w komórce na siódmą. Po śniadaniu pojadą w stronę Węzłowa i po drodze będą rozpytywali o miejsce, gdzie pracowali lub jeszcze przebywają archeolodzy. Urzędnicy mogą nie wiedzieć, ale przed miejscowymi ludźmi nic się nie ukryje.

– Skończyłam! – dobiegł go głos z łazienki przez niedomknięte drzwi. – Pamiętaj, że w Niemczech nawet latem oszczędza się ciepłą wodę.

– Dobrej nocy! Miłych marzeń we śnie!

Co Madlena odpowiedziała, tego nie zrozumiał. Pewnie podziękowała i jemu również życzyła wyjątkowych fantazji.

Wszedł pod prysznic, namydlił głowę, ramiona, brzuch, uda i spłukał je już chłodną wodą. W swojej łazience na Słonecznym

czasem wcierał płyn po goleniu w skórę szyi i piersi, tu tylko wytarł się do sucha ręcznikiem. Gdy wyszedł z łazienki, przez dziurkę od klucza zajrzał do osiemnastki. Było tám ciemno.

Zmordowana Madlena już zasnęła, pomyślał ze współczuciem.

Po powrocie do dwudziestki przez chwilę obserwował lampę bujającą się na przyhotelowym parkingu, na którym stał tylko jeden samochód. Jego czerwony fiat 500. Niewielu gości dzisiejszej nocy mieszka w Zur Guten Einker, przemknęło mu przez głowę.

Grzmiało coraz bliżej. Błyskało się coraz częściej. Daniel był przekonany, że ołowiane chmury przesuwają się z zachodu nad Spremberg i ocierają się o siebie, bo słyszał jakby buczenie ciężkich samolotów. Zaraz zacznie się taka burza, jaka w połowie sierpnia złapała mnie w Zielonejgórze w drodze powrotnej z lotniska na Słoneczne, pomyślał. Aleją Zjednoczenia płynęła woda, a ulica była tak szeroka jak Odra pod Zielonągórą, dlatego na więcej niż godzinę skrył się pod dachem stacji paliw. Następnego dnia przeczytał w gazecie, że po południu nad Ziemią Lubuską przeszedł orkan, w niektórych miejscach mający potęgę niszczycielskiego tornada. Topola zwaliła się na samochód, w którym skryło się małżeństwo z córeczką uciekające znad jeziora w Jodłowie do domu. Blacha zerwana z dachu zabiła wędkarza, a jego kolegę raniła w ramię. Piątą ofiarą był kombajnista, który zginął na polu od uderzenia pioruna. Ponad tydzień mieszkańcy większości wiosek nie tylko nie mieli światła w swoich domach, ale i wody do picia, ponieważ studnie głębinowe zostały zalane. Piloci zrzucali im chleb i wodę ze śmigłowców. Zeby naprawić linie energetyczne w śródleśnych osadach, monterzy najpierw ściągnęli strażaków z rozpornicami i piłami. Tam gdzie i ratownicy byli bezradni, wezwali saperów, którzy podkładali ładunki wybuchowe pod kłębowiska drzew tarasujących drogi.

Nie zakładając piżamy, nagi położył się do łóżka. Zapalił lampkę nad głową i sięgnął po dopiero co wydany siódmy tom *Fantazji zielonogórskich.* W swoim mieszkaniu jeśli do późna nie oglądał

transmisji sportowej w telewizji, to przed zaśnięciem zawsze czytał coś z fantastyki naukowej lub horroru. Zresztą Miśka robiła podobnie, tyle że ją interesowały opowieści podróżnicze. Po dwudziestu minutach odłożył książkę i zgasił światło. Burza była tuż, tuż. Nawet się ucieszył, bo po ulewie archeolodzy pewnie nie wyjdą na wykopaliska i zgodzą się na dłuższą rozmowę. Najpierw trzeba ich odnaleźć. Nagle błysk rozświetlił pokój i piorun walnął z taką siłą, że lampka nad głową Daniela zatrzęsła się. Minutę później usłyszał ciche pukanie do drzwi. Zanim podniósł głowę, do pokoju wślizgnęła się Madłena z kołdrą na plecach.

– Od dziecka boję się burzy. Przeczekani ją u ciebie, dobrze – oznajmiła i nie pytając, czy Jung ma coś przeciw temu, usiadła w fotelu. Podkurczywszy nogi, otuliła się kołdrą.

Zaskoczony tym, odłożył książkę. Nie wypada, żebym leżał w łóżku i czytał, kiedy kobieta drży z przerażenia, pomyślał. Trzeba rozmawiać, ale o czym? Przecież nie o burzy ani o tym, czym zajmiemy się jutro od rana. Nigdy nie był w podobnej sytuacji, toteż przez chwilę na nią patrzył i milczał.

– Wygodniej ci będzie, jeżeli zamienimy się miejscami – powiedział i zaczął wstawać z łóżka, gdy zdał sobie sprawę z tego, że jest nagi.

– Tu mi wygodnie.

– Nie wiadomo ile burza potrwa.

– W takim razie położę się obok ciebie, ale pod swoją kołdrą. – Zanim przytaknął, Madlena wstała z fotela. – Ja z brzegu – zadecydowała.

Jung przesunął się pod ścianę, robiąc jej miejsce obok siebie. Kiedy się położyła i przykryła swoją kołdrą, zastanawiał się, jak daleko Madlena się posunie. Może orzeknie, że skoro znałem jej zmarłego męża, a Miśka uważała go za swojego kolegę po fachu, mam niepisany obowiązek spełniać oczekiwania owdowiałej kobiety. Albo powie, że przecież jeszcze nie jest staruchą, której już nic nie należy się od życia. Nigdy nie był w takiej sytuacji. Nawet

na obozach studenckich, gdy po wypiciu kilku butelek piwa przenosili się z dziewczynami do namiotów, rzadko kończyło się to inaczej niż głaskaniem, przytulaniem i całowaniem. Nadal milcząc, Daniel leżał nieruchomo z jedną ręką wsuniętą pod głowę i z drugą na książce.

– Żarówka świeci mi prosto w oczy – przerwała jego rozmyślania.

Zgasił światło. Kołdra Madleny zsunęła się na podłogę. Jej lewa noga dotknęła prawej nogi Daniela. Rano przyznała się, że jeszcze jako studentka zastanawiała się, czy to prawda, że rudy mężczyzna jest lepszym kochankiem niż szatyn. Tak twierdziły jej koleżanki z pokoju w akademiku. Nigdy nie miała okazji tego sprawdzić, aż dopiero tej nocy. Potem gdy było po wszystkim, spytała, czy Daniel jest Żydem.

– Czy ja jestem Żydem? – powtórzył zaskoczony jej kuriozalnym dociekaniem. – Czyżbyś coś miała przeciw Żydom?

– Mój Hynek też był obrzezany. Nigdy nie ukrywał tego, że jego rodzina wyznawała reŧigię Mojżeszową. Gdybyś kiedyś znowu pojechał do Pragi, to zamiast siedzieć nad kuflem piwa w knajpie U Fleku, wybierz się na stary cmentarz żydowski, literacko opisany przez Umberto Eco w *Il cimitero di Praga.* Sądzę, że powieść ukazała się również po polsku. *Nowy židovsky hřbitov*[17] jest w dzielnicy Zižkov. Większość turystów chodzi od bramy głównej wzdłuż południowego muru do grobu Franza Kafki, tak jak wskazują strzałki. Gdybyś tam kiedyś był, przy dużej dozie szczęścia możesz trafić na nagrobki Havličków. Josef Havlíček to ojciec mojego Hynka. Stryj Amos także był profesorem i także specjalizował się w chirurgi. Brat Baruch, mimo że zasłynął jako neurochirurg, identycznie jak mój Hynek zmarł z powodu stwardnienia rozsianego. To po matce. Gdzieś w Stanach powinna jeszcze żyć Golda, najmłodsza siostra Hynka. Mówię, że powinna, bo po śmierci Hynka przestała odpowiadać na moje listy. Golda nie przyjechała na nasze wesele, nie złożyła nam życzeń i nie zaakceptowała małżeństwa Hynka z katoliczką.

– Żydostwo przekazuje matka. Moja matka była chrześcijanką. Stryjeczny dziadek ze strony ojca twierdził, że pradziad był austriackim Żydem. Kiedy i dlaczego wyrzekł się swego pochodzenia, tego nigdy się nie dowiedziałem. Sześć lat temu pojechałem z wycieczką do Ziemi Świętej. Tam coś nakazało mi, żebym wrócił do korzeni. Zacząłem od powrotu do nazwiska. A w zeszłym roku odważyłem się obrzezać. Wie o tym chirurg ze szpitala uniwersyteckiego, moja Miśka i...

– I teraz ja – dokończyła Madlena, spuszczając nogi z łóżka na podłogę. – Minęła siódma. Czas zbierać się na śniadanie i dalej w drogę. A tak nawiasem mówiąc, to nie skrzywdziłeś Miśki. Ja zaczęłam, a ty jako dżentelmen nie miałeś odwagi odmówić wdowie. – Wstała i cmoknęła w jego stronę. – Gdybym cię nie lubiła, nie zrobiłabym tego. Traktuję cię, Daniel, jak ciut ciotecznego, ciut starszego brata. Po prostu cię lubię. A za to, że poświęcam ci swój czas, że ci pomagam, też coś mi się należy.

Madlena podniosła kołdrę z podłogi, ale się nią nie owinęła. Ciągnąc ją za sobą, naga zniknęła za drzwiami. Kilkanaście sekund później Daniel usłyszał jej przeraźliwy głos. Naciągnął bokserki i spiesznie poszedł do jej pokoju.

– Wieczorem tego nie było. – Pochyliła się, żeby obejrzeć poduszkę.

– Nie dotykaj! – krzyknął Daniel, chwytając ją za ramię. – Takie ślady mogły zostawić pociski.

Spremberg, Grausteiner Weg,
czwartek, przed południem

Ku zaskoczeniu Junga policjant z spremberskiego komisariatu podniósł poduszkę, obejrzał ją z obu stron i po namyśle oznajmił, że coś ostrego przeszło przez nią z ogromną prędkością w dwóch miejscach. To, co ją przeszyło, pewnie ugrzęzło w materacu. Czy były to pociski wystrzelone z pistoletu? Na to pytanie policjant nawet nie

próbował odpowiedzieć. Spytał recepcjonistkę, czy widziała kogoś obcego i uzbrojonego, kto w nocy wszedł do gościńca. Ponieważ zaprzeczyła ruchem głowy, kazał jej wezwać menedżera i wszystkich pracowników, którzy wczorajszego wieczoru i w nocy przebywali w budynku. Każdemu powtórzył pytanie, które wcześniej zadał recepcjonistce. Godzinę później stwierdził, że zrobił to, co do niego należało. Jego młodszy kolega z patrolu nawet sporządził protokół z oględzin pokoju, łóżka i poduszki oraz zapisał odpowiedzi świadków. Obaj uznali, że skoro sprawa dotyczy pocisków wystrzelonych w nocy z pistoletu do niemieckiej dziennikarki i Polaka, to śledztwo powinien poprowadzić ktoś z policji kryminalnej w Chociebużu.

– Proszę nie opuszczać Zur Guten Einker – polecił wszystkim, którzy zebrali się przy recepcji. – Co dalej? Decyzję podejmie mój przełożony. Także od niego zależy, jak długo hotel będzie nieczynny.

– Po południu zaczną zjeżdżać goście. Wszystkie pokoje łącznie z osiemnastką zostały zarezerwowane – tłumaczył menedżer z zaniepokojoną miną. – Jutro o dziesiątej rozpocznie się międzynarodowa konferencja na temat rekultywacji obszarów pokopalnianych. Przeniesienie jej do innego obiektu nie wchodzi w rachubę, tym bardziej że zakończyliśmy przygotowania i ponieśliśmy koszty.

Policjant starszy wiekiem i stopniem powiedział, że wszystko rozumie, ale od niego nic nie zależy. Postępuje tak, jak nakazują procedury obowiązujące w Brandenburgi.

– To ugrzęzłem na amen – Jung usłyszał własny głos.

Niecałą godzinę później na przyhotelowym parkingu

zatrzymał się czarny passat. Wysiadł z niego ubrany po cywilnemu komisarz Martin Tomiak i ktoś, kto z daleka był podobny do Feima Vlashiego. Gdyby nie fakt, że Albańczyk nie utyka na lewą nogę, Jung dałby głowę, że to Feim. Tylko co Albańczyk robiłby w policji kryminalnej Brandenburgi u boku Tomiaka?

Miejscowy policjant zameldował komisarzowi, co ustalił, i nie czekając na odpowiedź detektywa, rzucił do kelnerki, żeby jemu i koledze z patrolu podała kawę.

Skarciwszy go wzrokiem, Tomiak kazał zaprowadzić się do osiemnastki. Menedżera zobowiązał do wyznaczenia pomieszczenia, w którym będzie rozmawiał z obsługą hotelu i gośćmi.

– Czy wszystkie wspólne pomieszczenia są monitorowane?

Menedżer natychmiast potwierdził.

– W nocy była straszliwa burza – odezwała się recepcjonistka. – Około drugiej zgasło światło w całym budynku i przed nim.

– Awaria transformatora przy Walzowerstrasse – wtrącił miejscowy policjant. – Została usunięta przed szóstą.

– Brak prądu oznacza brak monitoringu – orzekł menedżer.

– Czterogwiazdkowy gościniec nie ma zasilania awaryjnego? Choćby najprostszego agregatu? – spytał Tomiak z niedowierzaniem.

– Tej nocy w całym obiekcie, nie licząc obsługi, mieszkało tylko sześć osób.

– Czyli między drugą a szóstą czterogwiazdkowy Zur Guten Einker nie był monitorowany. W tym czasie obca osoba mogła wślizgnąć się do gościńca nawet głównymi drzwiami. – Komisarz pokiwał wymownie głową.

Menedżer spojrzał na recepcjonistkę tak, żeby bez ociągania odpowiedziała tonem przeczącym. Tomiak to zauważył.

– Co pani ma do powiedzenia na ten temat?

– Jeśli pan myśli, że spałam w recepcji, to jest pan w wielkim błędzie. Wokół Zur Guten Einker waliły pioruny. Co chwila błyskawice rozświetlały hol. Ja, panie komisarzu, siedziałam skulona za kontuarem i modliłam się, żeby piorun ominął hotel.

– Coś pani widziała?

– Nic. Jeszcze zanim zabrakło światła, główne drzwi zamknęłam na klucz.

– Mimo tego ktoś dostał się do środka i próbował zastrzelić mieszkankę pokoju numer osiemnaście – powiedział Tomiak,

odwracając głowę w stronę Madleny Havliček.

– W osiemnastce był zameldowany pan Jung – sprostowała recepcjonistka. – Pani Havliček przydzieliłam dwudziestkę. Chyba że się zamienili.

– Co takiego?

– Temu, kto strzelał, nie chodziło o Madlenę – myślał głośno Jung.

– O pana?

– O mnie – potwierdził. Już się domyślał, dlaczego ktoś na niego poluje. Nie wiedział jeszcze kto. – To były strzały wymierzone we mnie. Ten ktoś dowiedział się, że zamieszkałem w tym gościńcu, ale nie wiedział, że zamieniliśmy się pokojami – pokazał na Madlenę.

– Zamiana pokoi bez wiedzy i zgody recepcji jest zabroniona – powiedział surowo menedżer.

Komisarz Tomiak kątem oka obserwował Madlenę.

– Dlaczego bez zgody recepcji państwo zamieniliście się pokojami, pani Hawlitchek? – zwrócił się do niej.

– Do obu pokoi jest wspólne wejście. Potem na prawo są drzwi do osiemnastki, na lewo do dwudziestki. W środku znajduje się korytarzyk z wnęką kuchenną i wspólna łazienka – odpowiedział Jung.

– Czy tak są urządzone wszystkie pokoje w Zur Guten Einker?

– Tylko te na ostatnim piętrze. A to ze względu na skośny dach – wyjaśnił menedżer. – Zwyczajowo recepcja przydziela je osobom niemającym jakichś specjalnych wymagań. No i są dużo tańsze.

– Identycznie jak recepcjonistka bałam się burzy. Byłam w o tyle lepszej sytuacji, że miałam gdzie ukryć swój lęk. Nie pamiętam, o której godzinie zarzuciłam kołdrę na plecy i zapukałam do drzwi pokoju zajmowanego przez Daniela Junga. Tę noc spędziłam w dwudziestce – powiedziała Madlena, niczego więcej nie tłumacząc.

– Niech wszyscy przejdą do restauracji i tam na nas czekają – polecił Tomiak, pokazując na towarzyszącego mu policjanta. – A pana prosimy o zaprowadzenie nas do osiemnastki – zwrócił się do

menedżera. – Obejrzymy pokój i to, co się tam wydarzyło.

Pół godziny później wszyscy trzej weszli do restauracji. Ten, który był podobny do Feima, trzymał w prawej ręce przezroczysty woreczek. Były w nim dwie łuski i dwa pociski. Mimo odległości Jung wywnioskował, że zostały wystrzelone z pistoletu o kalibrze dziewięciu milimetrów. Pewnie z glocka czwartej generacji z tłumikiem dwukomorowym. Nawet gdyby strzelec nie założył tłumika na lufę, Madlena i Daniel nie usłyszeliby huku z jednego powodu.

Grzmiało, błyskało się i waliły pioruny.

– Miałaś cholernie dużo szczęścia – powiedział komisarz do Madleny. – Gdybyś została w swoim łóżku, prawdopodobnie jeden pocisk trafiłby cię w głowę, drugi w serce, trzeci w miejsce intymne.

Zarumieniła się.

Spremberg, Kantstrasse, czwartek, po południu

Na urzędowe przesłuchanie zostali przewiezieni do komisariatu policji. Najpierw Madlena wyjaśniła, po co przyjechała do Spremberga. Później na to samo pytanie odpowiedział Daniel. Tomiak był przekonany, że żadne nie powiedziało wszystkiego tak, jak tego oczekiwał, mimo to nie zadawał dodatkowych pytań i nie naciskał na Madlenę. Junga jeszcze w hotelu uznał za rozmówcę kutego na cztery nogi, z którego niewiele wyciśnie. Komisarz już dawno doszedł do wniosku, że dziennikarze identycznie jak policjanci przyzwyczaili się do zadawania dokuczliwych pytań, dlatego z nimi rozmawia się bardzo trudno.

Ten, kto dostał się w nocy do osiemnastki, sam zajrzał do spisu gości albo, co Tomiakowi podpowiadało doświadczenie detektywa, zrobił to ktoś spośród pracowników gościńca. Ktoś, kto potrafi obsłużyć komputer. W którym momencie to się stało? Pewnie wtedy, kiedy recepcjonistka wyszła do toalety lub zastępowała kelnerkę. Zamianę pokoi między Madleną i Jungiem komisarz uznał za przewinienie bez znaczenia. Inaczej sprawa by wyglądała, gdyby któreś zostało bodaj draśnięte przez pocisk albo słyszało lub widziało cokolwiek. Prędzej znajdę igłę w stogu siana niż dotrę do osoby,

która pod osłoną nocy i burzy dostała się do gościńca, przeszło Tomiakowi przez głowę. Mimo to nie zbagatelizował zajścia w osiemnastce. Był pewny, że napastnik będzie tropił Madlenę i Junga tak długo, aż uda mu się zrobić to, co zaplanował.

A może to robota na zlecenie? Czyje? Dlaczego?

– Gdybym był na waszym miejscu, dałbym sobie spokój – powiedział policjant, kładąc przed nimi protokoły z przesłuchania i pokazując palcem, gdzie powinni je podpisać. – On nie da wam spokoju.

– On?

– Może ona. Tak mi się powiedziało.

Madłena zerknęła na Junga, jakby była coraz bardziej przekonana, że Tomiak radzi słusznie. Dotąd zawsze życzliwy, komisarz nigdy jej nie zawiódł, a służył pomocą w sytuacjach wydawałoby się bez wyjścia. Czasem naginał zasady obowiązujące w policji, czego się domyślała. Prosił, żeby nie podawała źródła i przed opublikowaniem artykułu przesłała mu go do wiadomości. Raz się zdarzyło, że wykreślił kilka zdań, które mogły doprowadzić do informatora. Nie miała do niego o to pretensji. Ponadto, do czego kiedyś przyznała się Jungowi, zawsze lubiła policjantów kryminalnych byłych i obecnych.

– Panie Jung, gdyby pan jednak nie miał zamiaru mnie posłuchać, to przypominam, że na zbieranie materiałów przez obcokrajowca w Republice Federalnej jest potrzebna zgoda władz niemieckich. W przypadku śledztwa dziennikarskiego zgodę wydaje Ministerstwo Spraw Zagranicznych po uprzedniej konsultacji z resortami spraw wewnętrznych i sprawiedliwości oraz z odpowiednią służbą – powiedział policjant jakby od niechcenia.

– Nie prowadzę śledztwa w takim rozumieniu, jak pan komisarz to określił.

– Czy pan zna Neimanna?

– Jeżeli pan pyta o menedżera klubu sportowego Grempler, potwierdzam. Lepiej znam jego brata, który jest kadrowcem w moim

wydawnictwie. A dlaczego pan pyta?

– Zaraz po studiach, jeszcze w czasach enerdowskich, właśnie ze względu na znajomość polskiego kilka razy kontaktowałem się z Neimannem. Z kapitanem Neimannem. Radzę na niego uważać.

– A dlaczego?

– Panie Jung, kto raz został oficerem bezpieki, choćby na krzyż Pański przysięgał, że się zmienił, zawsze będzie oficerem bezpieki.

Akurat o tym Jung wiedział, mimo to kiwnął głową, co oznaczało podziękowanie za ostrzeżenie. Sam łapał się na tym, że od dawna nie jest policjantem, a w trakcie zbierania materiału do reportażu śledczego zachowuje się nie jak dziennikarz, lecz jak policyjny detektyw.

– Wczoraj przed południem czerwony fiat 500 przekroczył granicę polsko-niemiecką.

– Mówi pan o mnie i moim samochodzie?

Tomiak kiwnął głową.

– Zaraz za fiatem przez most graniczny w Gubenie przejechał zielony passat. Pewnie byłaby to informacja, jakich wiele dociera do centrum monitorowania. Ponieważ system monitorujący wskazał, że tablica rejestracyjna – zerknął do notesu – FSC 31 EU jest fałszywa, kamery rejestrowały przejazd passata. Samochód parkował w Chociebużu przy Strasse der Jugend i Juri-Gagarin- -Strasse.

– Przy pierwszej ulicy jest redakcja „Niederlausitzer Tageblatt", przy drugiej moje mieszkanie – przypomniała Madlena.

– Wieczorem zielony passat był w Sprembergu. Najpierw parkował w pobliżu rynku, potem na Grausteiner Weg – kontynuował Tomiak. – W czasie burzy nasz system się zawiesił i go zgubił. Nad ranem, kiedy została przywrócona łączność, passat został zarejestrowany przed wjazdem na most w Gubenie.

– Kto siedział za kierownicą? – zaciekawiła się Madlena.

– Aż tu przyjechał za nami? To znaczy za mną? – spytał Jung po chwili milczenia. – Straszy pan, komisarzu?

Tomiak zacisnął usta i długo kręcił głową.

– Od jutra biorę urlop. Mam trochę zaległości w mieszkaniu, dlatego nigdzie nie wyjeżdżam – powiedział do Madleny. – Gdybyś znowu potrzebowała czegoś w rodzaju mojej pomocy, dzwoń na komórkę. Kiedyś mi się odpłacisz.

Bruno, sklep i plebania,
czwartek, późnym popołudniem

Właścicielka sklepiku słyszała, jak dwaj brodaci mężczyźni, którzy każdego przedpołudnia przychodzili po chleb, napoje i owoce, rozmawiali o wyrobiskach.

– O wykopaliskach – poprawiła ją sprzedawczyni z fiołkowo-limonkową grzywką zasłaniającą lewe oko.

– A jest jakaś różnica?

– Zasadnicza – broniła swego sprzedawczyni.

Z kopalni węgla przychodzą obcy ludzie. Miejscowych właścicielka sklepu zna od dziecka, to i wie, kto obcy, a kto tuziemiec. Nawet się zdziwiła, że ci sami dwaj brodacze przyjeżdżają dzień w dzień o tej samej porze. Zawsze po dwie zgrzewki wody Vittel, skrzynkę piwa Radeberger, osiem bochenków chleba krojonego i karton bananów. W soboty kupowali dodatkowo pięć, siedem butelek wina półwytrawnego Muller-Thurgau, po które specjalnie dla nich mąż właścicielki jeździł do hurtowni w Chociebużu. Do tego musiały być dwa opakowania kiełbasy grillowej i worek węgla drzewnego. Lało, grzmiało, paliło słońce, a oni zawsze mieli na sobie żółte T-shirty ze znakiem uniwersytetu w Dreźnie i napisem *Hier schlupfen Fuhrungskráfte aus* na wysokości serca. Taki sam znak tkwił na również żółtych czapkach. Prawdę mówiąc, nie wyglądali jak robotnicy z kopalni węgla. Jeden miał brodę przystrzyżoną, drugi trochę dłuższą i wąsy zasłaniające górną wargę. A gdy rozmawiali ze sobą, to jakoś tak, że właścicielka sklepu nie wszystko rozumiała. Wysławiali się identycznie jak ten nowy

pastor w trakcie kazania na niedzielnym nabożeństwie.

– Mówili po niemiecku, to na pewno Niemcy – zastrzegła właścicielka sklepu.

– Austriacy też mówią po niemiecku – wtrąciła się do rozmowy sprzedawczyni. Skarcona spojrzeniem właścicielki sklepu, poszła na zaplecze.

– To mogli być studenci.

Sołtysa nie zastali w domu. Jego żona wiedziała więcej niż właścicielka sklepu i sprzedawczyni. Nie była pewna, czy z Drezna, ale bez wątpienia drugi rok z rzędu pod koniec czerwca przyjeżdżają studenci i informują jej męża, że będą w Blumie do jesieni. Gdzie dokładnie rozbijają namioty, ona nie wie. Co innego mąż. Sołtys musi wiedzieć o wszystkim. Pewnie przy którymś jeziorze. W pobliżu wsi jest większe Partwitzer See i mniejsze Nauwieser See. W zeszłym roku dopiero w połowie października zwinęli obozowisko.

– A w ogóle to kim jesteście, że pytacie o naszych archeologów?

Pastor zaczął rozmowę od tego samego pytania. Madlena przedstawiła Junga i siebie, ale nie powiedziała całej prawdy. Ukryła na przykład to, że Polaka interesuje, czym zajmował się profesor Pośledni na wykopaliskach. Czy tylko prowadził wykłady? Może nadzorował badania? Z kim się spotykał? Skąd przyjechali pozostali wykładowcy? Ukryła także i to, że Jung szuka właściciela volkswagena crossa z rejestracją DD, spacja, C i trzy cyfry na końcu.

O właściciela samochodu spyta Jung, jeśli stwierdzi, że pastor nie ma powodu cokolwiek ukrywać przed nimi.

– Podobno przesmyk pomiędzy naszymi jeziorami zaczął powstawać niedawno. Niedawno z punktu widzenia hydrologi historycznej. Najwyżej jakieś półtora tysiąca lat temu. Wcześniej było to jedno wielkie jezioro rynnowe z wyspą bliżej brzegu. Stał na niej gród obronny, założony przez ludność kultury łużyckiej. Na wyspę można było się dostać suchą nogą tylko z lądu. Dlaczego woda w jeziorze zaczęła opadać aż tak, że wyspa stała się przesmykiem, na razie hydrolodzy nie ustalili. Moim zdaniem to się

dokonało po odkryciu węgla. W dziewiętnastym wieku zaczęto go wydobywać. Od kilku lat archeolodzy prowadzą badania na przesmyku. Na efekty ich pracy jednak trzeba cierpliwie czekać. Powtórzyłem państwu to, czego dowiedziałem się od profesora Stonogi, kiedy dociekliwość zaprowadziła mnie na wykopaliska. I jeszcze taka ciekawostka. Właściwie przykład nonsensu w naszym porządku administracyjnym. Neuwieser See jest w Brandenburgi, Partwitzer See należy do Saksoni.

– A przesmyk? – Jung przerwał pastorowi.

– Co, przesmyk?

– Przesmykiem między jeziorami administruje Brandenburgia czy Saksonia?

Nieznacznie się uśmiechając, pastor wzruszył ramionami i pokręcił głową, jakby dopiero teraz zrozumiał pytanie Junga.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – przyznał się – ale dziękuję panu za pytanie. Przy najbliższej okazji to sprawdzę, bo może terytorium mojej parafi jest mniejsze.

– Gdzie znajdziemy profesora Stonogę? – odezwała się Madlena.

– Na wykopaliskach oczywiście. Musicie się spieszyć. Dziś czy jutro archeolodzy zwiną namioty. Słyszałem, że w tym roku kończą sezon badawczy w połowie września. – Pastor wyprowadził ich przez plebanię i pokazał drogę na wykopaliska. – Gdybyście nie mieli gdzie przenocować, zapraszam do mnie. Może jeszcze coś sobie przypomnę.

Ledwie wyszli na ulicę, gdy Jung poczuł narastającą wibrację w kieszeni. Zerknął na wyświetlacz komórki. Kamil? Coś ważnego musiało się wydarzyć w redakcji, pomyślał. Mimo że formalnie był na urlopie, odezwał się.

– Dzwonisz, żeby pochwalić się nowinką? Dostałeś nominację na papierze na kierownika działu? I lepiej byłoby, gdybym poszukał sobie zajęcia w Niemczech, bo Dżamila wypierdzieliła mnie z „Zielonogórskiej”?

Madlena nic nie rozumiała, jednak na podstawie barwy głosu

Daniela domyśliła się, że to nie jest zwyczajna rozmowa koleżeńska. Niby żartował, ale to nie był żart.

– Przecież żyję – rzucił. – Na pewno glos, który dociera do twojego ucha, pochodzi z mojego gardła. A kto ci powiedział, że w nocy zastrzelono mnie w hotelu Zur Guten Einker? Dżamila? Skąd ona to wie? Od Szmita? A Szmit?

Na ostatnie pytanie Jung nie usłyszał odpowiedzi. Zaskoczyło go i to, że Kamil powtórzył dokładnie nazwę hotelu w Sprembergu, w którym nocował. Bandzior nie strzelał do Madleny. On chciał mnie zabić. Mnie, powtórzył w myślach. Nie wziął pod uwagę, że tej nocy Madlena będzie w moim łóżku. Ją i mnie uratowała burza z błyskawicami i grzmotami.

Ale zaraz pomyślał, że Szmit musi mieć coś wspólnego ze strzałami, jeżeli ze strzałami w Sprembergu, to i może ze śmiercią profesora Pośledniego w Zielonejgórze.

Chyba jednak nie Szmit, a ktoś inny nie chce, żebym doprowadził śledztwo dziennikarskie do końca i ujawnił prawdę o tym, co się wydarzyło na Kwiatowym, dlatego mnie tropi. Komisarz Tomiak wspominał o zielonym passacie z fałszywą tablicą rejestracyjną, przypomniał sobie. Za kierownicą siedział Neimann.

W tym momencie Jung domyślił się, od kogo Szmit wie o strzałach w hotelu. Neimann musi mieć jakiś związek z uśmierceniem profesora. A może nie on, a jego szef?

Grempler nie brudzi sobie rąk mokrą robotą. Od tego ma Neimanna. Jung od dawna podejrzewa, że Grempler jest jednym z tych, którzy po trupach prą do pieniędzy i władzy. Nie będzie zaskoczony, jeżeli podczas najbliższych wyborów Grempler zostanie prezydentem Zielonejgóry. Neimann będzie jego sekretarzem.

Jung brał pod uwagę jeszcze jedną wersję. W hotelu nie było żadnych strzałów. To, co oglądał w osiemnastce, Madlena zainscenizowała w zmowie z Tomiakiem albo na jego zamówienie. Nie miał powodu podejrzewać jej, jednak w zachowaniu Madleny, a szczególnie w trakcie rozmowy z policjantami było coś, co nie

dawało mu spokoju. Ponadto, o czym najlepiej wiedział, rasowi dziennikarze śledczy są skumani z policjantami. Nie wyobrażał sobie, żeby owdowiałej Madleny, a jeszcze na fleku, i starego kawalera Tomiaka nie łączyło coś więcej niż tylko konferencje prasowe.

– Naprawdę aż taka zła wiadomość? – zaciekawiła się Madlena.

– Nie tyle zła, co dająca sporo do myślenia.

– To wsiadamy do „pięćsetki" i wracamy do Chociebuża? Koniec śledztwa?

– To wsiadamy do „pięćsetki" i pędzimy do archeologów.

– Nie radzę. Zakopie się pan w piachu. Profesor Stonoga jeździ crossem z napędem na obie osie, a mimo to dwa razy trzeba było go wyciągać – powiedział pastor, widząc, że Jung idzie do fiata. – Piechotą spod plebani na przesmyk najwyżej dziesięć minut. Powiedzmy, że w towarzystwie atrakcyjnej kobiety, pół godziny – mrugnął do Junga.

Bluno, obozowisko archeologów,
czwartek, przed wieczorem

Jeszcze przed południem czterej mężczyźni w żółtych czapkach i żółtych T-shirtach ze znakiem uniwersytetu w Dreźnie i napisem *Hier schlupfen Führungskrdfte aus* na wysokości serca zwinęli przedsionek, a teraz próbowali rozłączyć dwa przepaściste namioty i je złożyć. Nie wiedzieli, jak sobie z tym poradzić, mimo że stojący z boku brodacz cały czas zaglądał do netbooka, gdzie na ekranie miał instrukcję, i podpowiadał, co odłączyć i co wyjąć. Mniejsze namioty jak żołnierze na porannej zbiórce jeszcze stały w równym szeregu po przeciwnej stronie placyku. Przed nimi siedzieli dwaj mężczyźni także w żółtych T-shirtach i czapkach tego samego koloru. Jung skojarzył ich z tymi, o których wczoraj opowiedziała właścicielka sklepiku.

– Chcielibyśmy porozmawiać z kimś z szefostwa wykopaliska –

odezwała się Madlena, najpierw przedstawiając Junga, potem siebie i dodając, że pastor im powiedział, jak dojść nad jeziora.

– A skąd takie zainteresowanie „Niederlausitzer Tageblatt" naszymi pracami? Na początku sierpnia jedna wizyta, teraz kolejna? I jeszcze „Gazeta Zielonogórska"? – spytał trochę podejrzliwie ten z przystrzyżoną brodą á la Walter Andrae. Przygotowując się do tego wyjazdu, Jung przejrzał historię niemieckiej archeologi od czasów Winckelmanna. Profesor Andrae pracowaj w Dreźnie, stąd skojarzenie.

Nie czekając na odpowiedź, jego kolega wyjaśnił, że dziennikarze nie mają szczęścia, bo obaj kierownicy badań po śniadaniu wyjechali do Drezna.

– Kiedy wrócą?

– W czerwcu przyszłego roku, kiedy opracujemy to, co dotąd znaleźliśmy.

– Obaj kierownicy, czyli kto?

– Nasi szefowie.

– Ujawnią panowie ich nazwiska? – naciskała dalej Madłena.

– W jakim celu, pani Hawlitchek?

– Mamy ochotę zadać im po kilka pytań nie zawsze związanych z tym, co tu się działo ostatnio.

– A co się działo?

– O to chcemy spytać kierowników badań.

– Będzie to trudne – stwierdził ten z przystrzyżoną brodą, jakby przejął się ich sprawą. – O ile wiem, profesor von Háften wieczorem leci do Rzymu. Profesor Stonoga...

– Gregor Stonoga? – przerwał mu Jung.

– Praktycznym kierownikiem wykopaliska jest profesor Hans-Peter von Háften, wybitny znawca epoki brązu i wczesnego żelaza. Profesor Stonoga jako antropolog i jeden z prezydentów Heinrich Graf von Brühl Stiftung od zeszłego roku odpowiada za stronę organizacyjną badań. Krótko mówiąc, na koszt fundacji zaprasza archeologów z wykładami. W tym roku z Polski był tu profesor

Pośledni. Pewnie nie jest obce panu to nazwisko. Profesor Pośledni to jeden z najlepszych znawców cywilizacji łużyckiej. Może nawet najlepszy. Miejsce, gdzie prowadzimy badania, wiąże się właśnie z tą cywilizacją. Studenci, którzy słuchali wykładów profesora Pośledniego, byli nim zachwyceni. On nie udaje. Niczego nie ukrywa. To wyjątkowy erudyta. I przy tym poliglota. Zna nawet język dolnołużycki.

Tego Ewa Jankowska nie powiedziała Jungowi.

– Jaki interes fundacja Brühla ma w tym, że wspiera badania dotyczące tego, co działo się trzy tysiące lat temu?

– Na to pytanie powinien odpowiedzieć profesor Stonoga. Jako sekretarz obszaru niemieckiego mogę pana zapewnić, że znakomicie układa się nasza współpraca z polskim obszarem fundacji.

Jung spojrzał na tego z przystrzyżoną bródką pytająco.

– To znaczy, że Heinrich Graf von Brühl Stiftung jest zarejestrowana również w Polsce?

Brodacz przytaknął. Dopiero wtedy Jung przypomniał sobie Euroregion „Sprewa-Nysa-Bóbr", który mimo że jest jedną organizacją, ma po dwa zarządy i biura. W polskim Gubinie i niemieckim Gubenie.

– Kto jest polskim prezydentem fundacji?

– Profesor Stonoga. Dokładnie nie znam składu zarządu. Wydaje mi się, że jest w nim najwięcej przedstawicieli Zielonejgóry. Obowiązki sekretarza pełni pan Neimann. Chwilowo.

– Chwilowo?

– Tam coś się dzieje. Proszę mi wybaczyć, nie chciałbym być niedyskretny.

– A jakie zadania ma fundacja po polskiej stronie?

– Najważniejszym celem obu obszarów jest zbieranie pamiątek po hrabim von Brühlu i jego czasach. Nie mniej ważne, choć na razie wręcz niemożliwe, jest doprowadzenie do odbudowy pałacu w Brodach. W przyszłości dawna rezydencja pierwszego ministra Augusta III powinna stanowić centrum współpracy sasko-polskiej.

W planie jest utworzenie muzeum serwisu Łabędziego i galeri porcelany pochodzącej z wytwórni nad Nysą.

– Kiedy to się stanie?

– To już się staje. Przypałacowy park został oczyszczony ze zdziczałych krzewów i chaszczy. Zostały przycięte lipy wyznaczające alejki. Zostały ustawione ławki i kosze na śmieci. Kolejny etap będzie się wiązał z uregulowaniem brzegów Jeziora Parkowego i przywrócenia jego dawnego charakteru.

– Czy często bywa, że niemiecka fundacja zajmuje się ruinami po polskiej stronie?

– Nie robimy niczego złego.

– Nie twierdzę, że to, co robicie i zamierzacie robić w Brodach, jest złe. Po niemieckiej stronie jest jeszcze tyle zabytków.

– Mamy swój udział w porządkowaniu ogrodu różanego w Forście, założonego na polecenie hrabiego von Brühla. Teraz dofinansowujemy te wykopaliska – wskazał ręką zagłębienie okolone niewysokim płotem.

– Pomoże pan skontaktować się mojemu koledze z profesorem Stonogą? – włączyła się do rozmowy Madlena.

Brodacz pokręcił głową.

– Proszę mi wybaczyć. To mój szef na uniwersytecie. Jestem doktorantem i początkującym asystentem. Jedynie uczelnia może państwa skontaktować. Proszę zrozumieć sytuację – urwał nagle, jakby nierozważnie powiedział za dużo i tego pożałował. – Albo proszę skontaktować się z doktorem Stenzlem. Może on pomoże.

– Z doktor Karin Stenzel? – chciał się upewnić Jung.

– Karin to jego córka. – Brodacz uśmiechnął się i mrugnął do swego kolegi, jakby obaj wiedzieli coś, o czym nie należy głośno mówić. – Jej ojciec, doktor Stenzel, prowadzi salon z antykami przy Burgstrasse w Dreźnie. Jest jednocześnie prezydentem Heinrich Graf von Brühl Stiftung po stronie niemieckiej.

Jung podziękował. Nie przyznał się Madlenie, że po południu, kiedy komisarz Tomiak wspomniał o zielonym passacie z

Neimannem za kierownicą, nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Od brodacza dowiedział się, że Neimann jest sekretarzem fundacji po stronie polskiej. Kto go rekomendował, z jakiego powodu i czego oczekuje w zamian?

Przecież to były oficer bezpieki i jednocześnie sekretarz Fundacji „Wicina", założonej przez profesora Pośledniego przy poparciu Joachima Gremplera.

Drezno, Burgstrasse, piątek, z rana

Po nocy spędzonej na plebani w Blunie i śniadaniu przygotowanym przez żonę pastora Madlena i Daniel wyruszyli w stronę Drezna. Mimo wczesnej pory, a może właśnie dlatego, im byli bliżej stolicy Saksoni, tym „pięćsetka" jechała wolniej. Madlena powiedziała, że tak jest zawsze w piątki. Jeszcze większy ruch będzie w centrum, dlatego powinni zostawić samochód na parkingu w pobliżu przystanku tramwajowego. Jung kiwnął głową akurat w chwili, kiedy po prawej stronie drogi zobaczył znak wskazujący zjazd do Radeberga. To tam jest ten sławny browar, pomyślał. W tym samym momencie przypomniał sobie to, co komisarz Mrozińska powiedziała mu w zaufaniu. Technicy przeszukujący gabinet profesora Pośledniego znaleźli dwie puszki po radebergerze w koszu na śmieci stojącym obok biurka. Były na nich identyczne ślady lini papilarnych jak te, które znajdowały się na szklankach z niedopitym piwem. Czyje? Na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć Centralna Registratura Daktyloskopijna policji. Oznacza to, że od osoby, która przyniosła piwo do domu Pośledniego na Kwiatowym i rozlała je do szklanek, polscy policjanci nigdy nie pobrali odcisków palców. Nie mógł to być więc Alan Pośledni, uznany przez prokuratora za sprawcę, ponieważ żaden absolwent kursu nurkowania nie dostanie certyfikatu, póki nie złoży ślubowania i nie zarejestruje w centralnej kartotece.

Może trzeba sprawdzić registraturę niemieckiej policji? Po

powrocie do Zielonejgóry Jung podpowie to prokuratorowi, pod warunkiem że Tomczyszyn zechce go posłuchać.

Drezno, Burgstrasse, piątek, przed południem

Przy drzwiach na ścianie niedawno wyremontowanej kamienicy wisiała miedziana tabliczka z informacją, że dolny parter zajmuje salon antyków Stenzel *&c* Co. Gdy tylko zegar na wieży katedry wybił dziesiątą, Jung nadusił klamkę i popchnął drzwi, wzrokiem proponując Madlenie, żeby pierwsza przekroczyła próg. Za ladą stał mężczyzna w średnim wieku, ubrany w jasną marynarkę i koszulę w kratkę, o bujnej czuprynie, z modnym ostatnio zarostem drwala. Z opisu, jaki przedstawił mu brodacz na wykopaliskach w Blunie wynikało, że Stenzel jest dużo starszy od tego za ladą, ma przerzedzone siwe włosy, niewielką, zadbaną brodę i gdy podnosi spojrzenie na klienta, to natychmiast się uśmiecha i pyta, w czym może być pomocny.

– Pracuję dla „Niederlausitzer Tageblatt" w Chociebużu. Mój kolega z Polski. Również dziennikarz. – Madlena wskazała na Daniela. – Chcielibyśmy zamienić kilka zdań z właścicielem salonu.

– Czego one dotyczą?

– Gdzie znajdziemy właściciela salonu?

– Żeby zaanonsować panią i pana, muszę wiedzieć, w jakim celu państwo przyszliście...

– Sami powiemy, co nas interesuje.

– Widzę, że...

– Chcemy rozmawiać z właścicielem – ostro powtórzyła Madlena.

– Doktor Stenzel jest na zapleczu. Spytam, czy jest wolny. – Mężczyzna za ladą teraz się uśmiechnął. Otworzył drzwi za swoimi plecami, jeszcze raz się uśmiechnął, jakby zrozumiał, że dziennikarze nie ustąpią, i zniknął. Po chwili wrócił, znowu się uśmiechnął i wetknął dłoń pod ladę obok kasy fiskalnej. Jung domyślił się, że wyłączył fotokomórkę. – Doktor Stenzel zaprasza państwa do swojej

kancelari.

Stenzel wyglądał dokładnie tak, jak go opisał brodacz na wykopaliskach. Najpierw poprosił o pokazanie legitymacji prasowych, po czym wskazał kanapę pod oknem i dopiero wtedy spytał, czym może służyć.

– Interesuje nas Heinrich Graf von Brühl Stiftung – zaczęła Madlena. – Przede wszystkim jej polski obszar.

O tym, że fundacja ma dwie nogi, dowiedzieliśmy się wczoraj w Blunie.

– Pięknie pani to nazwała. Nawet nie przyszło mi na myśl, żeby tak celnie określić formę organizacyjną naszej działalności. Dziękuję. Sądzę, że prezydent fundacji powiedziałby to samo. A o co pani spytała?

– Interesuje nas to, czym zajmuje się fundacja jako całość i jakie szczególne zadania mają jej obszary.

– Aha. – Stenzel podniósł lewą dłoń i subtelnie uśmiechnął się do Madleny, jakby ją przepraszał za to, że nie zapomniał, o co spytała. – Jako prezes niemieckiego obszaru jestem faktycznie odpowiedzialny za całą fundację, mimo to nie wtrącam się do tego, co robią koledzy po polskiej stronie. W tej kwesti proszę skontaktować się z profesorem Stonogą, prezydentem Fundacji imienia Henryka Hrabiego Brühla.

– Gdzie ma siedzibę zarząd polskiego oddziału fundacji? – spytał Jung, udając słabo zorientowanego.

– Sekretarzem jest pan Neimann. Przypuszczam, że w jego zielonogórskim biurze zbierają się członkowie zarządu polskiego obszaru. Przykro mi, ale niewiele więcej mogę powiedzieć. Mogę podać numer telefonu do pana Neimanna.

– Czy Neimann był tu przedwczoraj?

Stenzel znieruchomiał.

– Nic o tym nie wiem – zaprzeczył po namyśle.

– A kiedy ostatni raz widział się pan z Neimannem? – naciskał Jung.

– Nie pamiętam dokładnie. Chyba przed wakacjami. A może później? Nie, nie, na pewno przed wakacjami.

Dlaczego się broni? Co ukrywa? Muszę go inaczej podejść, zdecydował Jung.

– Czy odbywają się okresowe spotkania obu zarządów?

– Polski obszar powstał niedawno. Takie spotkanie, o jakie pan redaktor spytał, ciągłe jest w planie. Kiedy stanie się faktem, na razie profesor Stonoga nie ustalił. Przyznam się, że profesor dyktuje tempo pracy obu zarządów. On zainicjował fundację i on jest jej fundamentem.

– Nie wyjaśnił pan, jaki jest cel fundacji – przypomniał Jung. Chciał sprawdzić, czy Stenzel powie to samo, czego dowiedział się na wykopaliskach.

– Naszym głównym zadaniem jest zbieranie pamiątek po hrabim Brühlu i doprowadzenie do odbudowy pałacu w Brodach. W przyszłości powstanie tam muzeum porcelany. W Polsce nasza organizacja przejęła Wyższą Szkołę Archeologi od Fundacji „Wicina", która miała problemy finansowe. Rektorem uczelni był profesor Pośledni.

– Czy wiadomo, kto zajmie jego miejsce? – drążył Jung.

– Wybory odbędą się w drugiej połowie września. Zarząd fundacji namawia profesora Stonogę, żeby stanął do konkursu na stanowisko rektora.

– Jaką ma szansę?

Zamiast odpowiedzieć, Stenzel tylko westchnął i nieznacznie się uśmiechnął.

– Bywa pan w Polsce?

– Dwa, trzy razy w roku. Ostatnio w związku z pogrzebem. Profesor Stonoga przekonał mnie, że powinniśmy obaj towarzyszyć Pośledniemu w jego ostatniej drodze do miejsca wiecznego spoczynku.

W kinie pamięci Jung usiłował odtworzyć uroczystość na cmentarzu. Przed kolumbarium na pewno przemawiał prorektor. Po

nim podszedł do mikrofonu szpakowaty mężczyzna w grafitowej marynarce, dużo wiedział o profesorze, a jeszcze więcej o znaczeniu jego badań. Tam, na cmentarzu, Jung nie domyślił się, kto to był i nie miał kogo spytać. Na podstawie tego, co usłyszał, wywnioskował, że to archeolog albo współpracownik Pośledniego z wykopalisk. Wtedy wydawało mu się, że mężczyzna farbuje włosy lub ukrywa łysinę na czubku głowy pod tupecikiem. Teraz podniósł oczy na głowę Stenzła. Na pewno to nie był on, stwierdził w myślach.

– Pan nie przemawiał na pogrzebie.

– Powiedziałem do profesora Stonogi, że zna język polski, jest prezydentem fundacji, kuzynem zmarłego. Upoważniam pana do wygłoszenia mowy również w moim imieniu. Kondolencje złożę wdowie osobiście. Mimo że w samochodzie profesor Stonoga zgodził się, jeszcze na cmentarzu próbował wypchać mnie przed szereg. Zasłaniał się brakiem odpowiedniego ubrania, a miał na sobie stosowną na taką uroczystość marynarkę.

– Czyim samochodem pojechaliście na pogrzeb?

Stenzel zrobił pytające oczy.

– Taki szczegół pana interesuje?

– Dziennikarska ciekawość – Jung wymyślił na poczekaniu. Już na początku pracy w policji doszedł do wniosku, że sama intuicja, wiedza ze szkoły i wsłuchiwanie się w odpowiedzi to za mało. Trzeba jeszcze mieć oczy szeroko otwarte. Są takie osoby, które udają szczerość w trakcie rozmowy, a w podświadomości usiłują zrzucić z siebie ciężar odpowiedzialności. Policjant z wiedzą psychologiczną usłyszy to w barwie głosu czy dostrzeże w oczach, a Daniel przecież także studiował psychologię. – Więc czyim samochodem pojechaliście na pogrzeb?

– Profesora Stonogi.

– Pamięta pan markę?

– Czarne audi s 7. Czarne jak w sam raz na pogrzeb.

Pytania zadawane przez Junga i odpowiedzi Stenzla

nie interesowały Madleny. Od wczorajszego ranka zastawiała się, kto chciał ją zastrzelić w hotelu Zur Guten Einker. Była niemal pewna, że o nią chodziło. Ale dlaczego?

– Skoro jestem w Dreźnie, będę się starał porozmawiać z profesorem Stonogą. Czy da mi pan numer telefonu do niego?

– Z profesorem kontaktuję się wyłącznie przez komórkę.

– Może być numer komórki.

– Niestety, nie zostałem upoważniony przez profesora do dysponowania numerem jego komórki. Proszę jechać na uniwersytet.

Jung chciał powiedzieć, że nie zna miasta i nie ma nawigacji, gdy Madłena się odezwała:

– Jeżeli profesor Stonoga pracuje w instytucie histori, to trafię.

– Pan Stonoga pracuje w instytucie anatomi. Przy Fiedlerstrasse – pospieszył z wyjaśnieniem Stenzel.

– Zaczynałam studia na histori. Po czwartym semestrze kilka osób przeniesiono na dziennikarstwo do Lipska. W nagrodę za dobre wyniki w nauce, jak się wtedy mówiło. Byłam wśród nich. I dobrze się stało – dodała z dumą. – Przy Blasewitzer Strasse był klub studencki Schwarzes Ross. To ulica równoległa do Fiedlerstrasse. Jeszcze pamiętam, jak się tam dostać. To jedziemy. Dziękujemy panu – rzuciła do Stenzła.

Gdy wyszli z salonu na ulicę, Stenzel wziął komórkę do ręki, stanął przy oknie i ich obserwował. Po czym wybrał numer telefonu profesora Stonogi.

– Spodziewaj się gości. Twierdzą, że są dziennikarzami. Mężczyzna z Zielonejgóry, na oko pięćdziesiątka. Kobieta z Chociebuża, w podobnym wieku. Byli w Blunie. Dużo wiedzą. Pytali o fundację, ale nie po to przyjechali. Przypuszczam, że chodzi im o przyczynę nagłej śmierci Pośledniego.

Drezno, Fiedlerstrasse,

piątek, wczesnym popołudniem

Sekretarka w uniwersyteckim instytucie anatomi człowieka nie przyznała się, że słowo w słowo powtórzyła to, co jej kazał profesor Stonoga zaraz po tym, kiedy skończył rozmawiać ze Stenzlem. Od siebie dodała:

– Każdy bez względu na zajmowane stanowisko na uczelni ma prawo do urlopu wypoczynkowego. Profesor Stonoga właśnie korzysta z tego prawa.

– Czyli pani nie poda mojemu koledze z Polski numeru telefonu prywatnego profesora? – spytała Madlena z nadzieją, że sekretarka zmięknie.

– Nie mogę, pani Hawlitchek – odpowiedziała zdecydowanie. Po chwili uśmiechnęła się, jakby ją przepraszała.

– Gdyby to nie było takie ważne dla mojego kolegi, nie jechałby tyle kilometrów. Jak panią przekonać?

– Na naszym uniwersytecie obowiązuje święte prawo: w trakcie urlopu pracownika nikt mu nie przeszkadza. Dotyczy to tak samo profesora, jak i sekretarki czy sprzątaczki.

– Bez wyjątku?

– Wyjątki się zdarzają, ale to musi być sprawa gardłowa.

– Proszę uznać, że z taką sprawą przyjechaliśmy do profesora Stonogi.

– Musiałabym...

– Niech pani zadzwoni do niego i spyta, czy zgodzi się na rozmowę. Albo niech pani poda numer jego telefonu, a sama zadzwonię.

Sekretarka pokręciła głową, znowu się uśmiechając, jakby rozumiała Madlenę, ale nie miała prawa do naruszenia zasad obowiązujących na uczelni.

– Profesor Stonoga przebywa poza Dreznem.

Kłamie, pomyślał Jung. Przecież na parkingu stoi srebrzysty volkswagen z literami DD na początku tablicy rejestracyjnej, potem

C i trzy cyfry.

Postanowił, że po wyjściu z budynku sfotografuje auto, żeby mieć niepodważalny dowód kłamstwa.

– Nie zmieni pani zdania?

– Robię to, co należy do moich obowiązków – odparła sekretarka. – Jeszcze coś?

N'e odpowiadając na jej pytanie i nie odzywając się do siebie, Jung i Madlena wyszli z sekretariatu.

Na parkingu Daniel zatrzyma! się za samochodami, wyjął kodaka z torby, włączył go i podniósł na wysokość prawego oka. Zrobił dwa zdjęcia.

– Niestety, to nie jest poszukiwany volkswagen – powiedział, to patrząc na wyświetlacz aparatu, to na tablicę rejestracyjną. – Zgadza się marka, model i kolor. Nawet litery i dwie pierwsze cyfry. Ostatnia powinna być ósemka. Jest trójka.

– Jest trójka, bo powinna być trójka. Fotograf zrobił zdjęcie pod kątem.

Jung najpierw przyznał rację Madłenie, jednak chwilę później miał wątpliwości. Trójka i ósemka różnią się krojem.

– W twoim otoczeniu jest osoba, która może pomóc.

– Kto i w czym może pomóc?

– Tomiak ma dostęp do rejestrów. Zadzwoń do niego i poproś, żeby sprawdził, do kogo należy ten volkswagen – pokazał ramieniem na srebrzystego crossa.

– A dostanę zapłatę?

– Mam jeszcze jedną prośbę.

– Do Tomiaka czy do mnie?

– Możesz sprawdzić w sądzie, kiedy została zarejestrowana Heinrich Graf von Brühl Stiftung i co podaje w sprawozdaniach ze swojej działalności.

– Masz jakieś podejrzenia?

Pokiwał głową.

Po chwili swoje śledztwo w Niemczech uznał za zmarnowany

czas. Przed wyjazdem z Zielonejgóry wierzył, że na coś natrafi. Często dopisywało mu szczęście. Nic to, zabójcy profesora trzeba będzie szukać w Polsce. A właściwie czego się spodziewałem? Ze wieczorem wrócę do redakcji i natychmiast zacznę pisać reportaż? Trzeba będzie jeszcze poszperać.

CZĘŚĆ 3

Sprawca, ale czy to ten?

Zielonagóra, lotnisko Przylepa,
sobota, wczesnym popołudniem

Jeszcze Jung nie wysiadł z „pięćsetki", a już mężczyzna w dżinsach i bluzie maszerował w jego stronę. Nie był to nikt z ochrony czy obsługi lotniska ani z zarządu sekcji motolotniarskiej.

– Porucznik Miazek – przedstawił się i powiedział, żeby Daniel pozostał za kierownicą. Usiadł na fotelu pasażera. – Porucznik Miazek z miejscowej delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Jung strzelił śmiechem akurat w chwili, kiedy mężczyzna podsunął mu pod oczy legitymację otwartą tam, gdzie było zdjęcie, imię i nazwisko oraz u dołu jeszcze coś drobniejszym drukiem. Nawet jako nadkomisarz nie miał do czynienia z kimkolwiek z tej instytucji. Od zawsze pomiędzy obiema machinami toczyła się niewypowiedziana wojna. Zapamiętał, że na ogół policjanci schodzili agentom z drogi tylko dlatego, że agenci uważali mundurowych za ludzi gorszego sortu.

– Chciałbym, żeby o tym, o czym będziemy rozmawiali, kolega redaktor nikogo nie informował. Ani mru-mru nawet Magdzie. Rozumiemy się?

– Jest, kolega, pewny, że będę odpowiadać na pytania faceta podającego się za agenta służb specjalnych? Nie zapraszałem cię do samochodu i nie mam ochoty. Wysiadka.

Mężczyzna nieznacznie uśmiechnął się pod nosem, jeszcze raz otworzył legitymację, ale nie wysiadł z samochodu.

– Przedstawiłem się, kolego redaktorze, a więc nie jestem incognito – powiedział i poufale poklepał Junga po udzie. – Należy kolega do kurczącej się grupy rozgarniętych i przede wszystkim dociekliwych pismaków.

– Dziękuję za uznanie, kolego. Uznanie z ust fachowca.

– Po co te wygłupy, panie nadkomisarzu kryminalny w stanie spoczynku? Dzięki Bogu nie musi pan udawać kogoś, kim pan już nie jest.

– Panie poruczniku, dziękuję za wysoką ocenę i przypomnienie mojej funkcji w poprzednim miejscu pracy. Jeżeli ma pan do mnie jakąś sprawę albo chce tylko pogadać, proszę zostawić swoją wizytówkę. W wolnym czasie oddzwonię i ewentualnie umówimy się na spotkanie. Na przykład w klubie dziennikarza. – Miazek pokręcił głową, co Jung zrozumiał jako odrzucenie propozycji. – W takim razie w Essenzie na deptaku. Nie jest to moja ulubiona restauracja, ale najbliżej redakcji. I podają tam czeskie piwo rozlewane w Czechach. A w tej chwili nie mam czasu. Już powinienem wyprowadzać motolotnię z hangaru i żyć nadzieją, że przez najbliższą godzinę będę zachłystywać się tym, co oprócz dziennikarstwa śledczego naprawdę sprawia mi satysfakcję. Wysiądzie pan dobrowolnie czy mam wezwać ochroniarza?

Miazek znowu się uśmiechnął pod nosem i pokręcił głową. Po chwili nabrał powietrza do płuc i patrząc na Junga, długo wypuszczał je z sykiem.

– Na pewno?

– Co, na pewno?

– Na pewno nie będzie pan redaktor ze mną rozmawiał?

– Na pewno.

– Zaledwie kilka pytań – powiedział porucznik. – Im szybciej zdecyduje się pan redaktor na odpowiedzi, tym więcej czasu pozostanie mu na latanie.

– Pięć minut – oświadczył Jung, włączając stoper w komórce. – Czego pan chce?

– O naszej rozmowie nikomu pan nie wspomni – zdecydował Miazek. – Zresztą nie będzie żadnych dowodów, że do takiej rozmowy kiedykolwiek doszło.

– Panie poruczniku, ulica Skokowa od skrzyżowania, płyta, hangary, parking i wszystko wokół lotniska jest objęte

monitoringiem. Ochroniarz w firmy Grempler Security gapi się na ekrany w budce przy bramie. Pewnie już powiadomił swoją centralę, że facet w dżinsach i bluzie moro bez zaproszenia wsiadł do mojego samochodu i nie wychodzi – blefował Jung z wyraźną ironią w głosie.

Mina porucznika wskazywała, że uznał to za koszałki- opałki.

– Od środy do piątku przebywał pan na terenie Niemiec. Gdzie dokładnie? Co pan tam robił? – naciskał Miazek. – Tylko tyle.

– Skąd pan wie, że przez trzy dni byłem w Niemczech?

– Redaktorze Jung, ABW to nie wyłącznie funkcjonariusze na etatach. Są jeszcze przyjaźni ludzie dobrej woli – próbował go zgasić porucznik.

Komisarz Tomiak? Skoro policja zza Odry oficjalnie współpracuje z polskimi policjantami i nieoficjalnie ze służbami specjalnymi, to pewnie działa w obie strony. I może poza plecami zwierzchników komisarz dorabia sobie w ojczyźnie przodków, pomyślał Jung. Jeżeli nie Tomiak jest człowiekiem dobrej woli, jak przed chwilą powiedział Miazek, to może Madlena. Więcej niż połowę swego życia spędziła w NRD. Jako dziennikarka nie miała prawa odmówić współpracy ze Stasi[18]. Mimo to nie wierzył, że Madłena ma cokolwiek wspólnego z ABW W takim razie Kamil albo Dżamila. Nie, Kamil tego by nie zrobił nawet za cenę zajęcia biurka sekretarza redakcji. A więc Dżamila. Wypaplała kadrowcowi. Szmit był oficerem Służby Bezpieczeństwa? Był przez rok zaraz po studiach. A kto raz tam się dostał... Neimann! Starszy brat Szmita. Przecież zarządzał jakimś wydziałem w wojewódzkiej SB. Na pewno on. W Sprembergu Tomiak napomknął o zielonym passacie z fałszywą tablicą rejestracyjną, który przekroczył granicę polsko-niemiecką w Gubinku. Za kierownicą siedział mężczyzna podobny do Neimanna. W dodatku, co Jung musi sprawdzić, Neimann jest sekretarzem Fundacji ‚Wicina" przejętej przez Fundację imienia Hrabiego Heinricha Brühla.

– Redaktor ma swoich donosicieli, ja swoich – roześmiał się

porucznik.

Czyli prawda, że z powodu ekspansji komputerów świat się skurczył. Jest do ogarnięcia przez każdego, pomyślał, ale powiedział co innego:

– Ja mam dobrowolnych współpracowników. Instytucja, która panu nieźle płaci, wykorzystuje kapusiów.

Przepraszam, stuków albo, jak między sobą ich nazywacie, niestowarzyszonych.

– Przekazywanie informacji ważnych dla ochrony Rzeczypospolitej nie jest naganne. Przeciwnie, panie redaktorze, to patriotyczny obowiązek.

– Kończy się mój czas przeznaczony na rozmowę. – Jung pokazał na komórkę. – Jeszcze coś pana interesuje?

– Redaktor nie odpowiedział, co robił w Niemczech.

– Niedaleko za granicą zbierałem tworzywo uzupełniające do tekstu, nad którym pracuję. Przypuszczam, że „Gazeta Zielonogórska" opublikuje go w całości.

– Czego będzie dotyczył ten tekst?

– Sprawy, którą umorzyła prokuratura, a która interesuje czytelników.

– Konkretnie?

– Kupi pan „Zielonogórską", to się dowie.

– Redaktor jest poważnym człowiekiem. Ceni swój czas. Ja również. Po co ta zabawa w kotka i myszkę?

– Powinien pan porucznik wiedzieć, że tylko nowicjusz chwali się tym, co zrobi. Ja nie.

Miazek westchnął i przytaknął.

– Czy wyjazd do Niemiec był owocny?

– Tak i nie.

– Czyli? – nie ustępował Miazek.

– Nie uzyskałem odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie sobie przygotowałem. Ale i dowiedziałem się czegoś, co wcześniej nie przyszło mi do głowy. A tak przy okazji: śledztwa dziennikarskie

niczym nie różnią się od prokuratorskich. Przypuszczam, że pan podobnie pracuje.

– Czy ktoś panu pomagał?

– Po tamtej stronie granicy identycznie jak ABW mam trochę pomocników. To, co robią, robią z sympati do mnie. Zresztą, gdy przyjeżdżają do Polski, staram się im odwdzięczyć.

– Poda pan ich nazwiska, imiona, miejsca pracy?

– Nie.

– Czy jedną z pomocnic była Madlena Hawlitchek, pod koniec lat osiemdziesiątych zatrudniona w' redakcji dziennika „Lausitzer Rundschau", a po zjednoczeniu Niemiec w tygodniku „Niederlausitzer Tageblatt"? Wdowa po doktorze – zajrzał do notesu – o czeskim imieniu Bohuslav? Ta sama, która dwa lata temu pomogła redaktorowi dostać się do Plastinarium w Gubenie i zrobić zdjęcie mimo zakazu fotografowania? Która ma nieobcą redaktorowi chatkę niedaleko Burga?

A więc i to wie. Ukrywanie prawdy nie ma sensu, uznał.

– Tak – rzucił na odczepnego.

– Nareszcie – mlasnął Miazek z zadowoleniem. – Jeszcze ktoś pomagał? Przecież wszystkiego się dowiem.

Jung nie odpowiedział. Pokazał na wyświetlacz komórki, dając porucznikowi do zrozumienia, że minął czas przeznaczony na rozmowę.

– Gdyby redaktor znowu wybierał się za bliską granicę, proszę o telefon. – Miazek położył swoją wizytówkę na kolanie Junga.

– Nigdy nie byłem, nie jestem i nie mam zamiaru być waszym kapusiem, chociaż, jak pan to nazwał, informowanie ABW nie jest naganne i należy do patriotycznego obowiązku obywatela Rzeczypospolitej.

– Nie za darmo, redaktorze. Nie twierdzę, że zapłacimy jak za zboże. Na piwo i coś do piwa powinno panu wystarczyć, redaktorze.

Zielonagóra, ul. Sulechowska, sobota, wieczorem

Joachim Grempler powtórzył prezydentowi miasta to, co przed wejściem do Areny Bachusa powiedział mu Neimann. Kiedy główny sędzia odgwiżdże koniec turnieju i spiker potwierdzi, że zwyciężyły zielonogórskie koszykarki, obsługa sali rozwinie czerwony dywan i obaj podejdą do podium. Grempler wręczy puchar zawodniczkom, prezydent będzie podawał kwiaty i ściskał ich dłonie. Po przegranym meczu z TSV 1880 Wasserburg Grempler nie był pewny, czy zielonogórzanki debiutujące na międzynarodowym turnieju zostaną zwyciężczyniami, mimo iż Neimann chciał się z nim założyć o butelkę Roter sekt z kolekcji muzealnej. Skoro wczoraj pokonały VakitBank ze Stambułu, a to drużyna formatu europejskiego, teraz muszą wygrać wysoko z Dynamem Kazań. Wprawdzie pierwszego dnia miejscowe koszykarki zdobyły o dwa punkty mniej niż krakowska Wisła, ale to nie powinno mieć wpływu na zwycięstwo w całym turnieju. Neimann nie przyznał się Grempłerowi, że przed zawodami obiecał sędziom dubeltową premię, jeżeli zielonogórzanki pokonają drużynę z Kazania i zdobędą puchar.

– Czyżby to był Jung? – Stonoga pokazał na Daniela siedzącego między Magdą i żoną zastępcy prezydenta.

Neimann odwrócił głowę w stronę galeri, gdzie były miejsca dla dziennikarzy i urzędników średniego szczebla. Jung? Niemożliwe. Daniel Jung nie żyje od nocy ze środy na czwartek. Został zastrzelony w hotelu Zur Guten Eineker w Sprembergu.

– Bardzo podobny, ale to nie on – Neimann zapewnił profesora i zacisnął dłonie. Trzeba raz na zawsze go uciszyć, postanowił. – Może jego brat?

– A ja nie mam pewności – rzucił Stonoga i wzrok jak pięciocalowy gwóźdź wbił w Junga. – Wczoraj pytała o mnie dziennikarka z jakiegoś tygodnika wydawanego w Chociebużu. Z rana była u Stenzła. Nie sama. Z kimś z Polski. Stenzel nie

zapamiętał jego nazwiska. W instytucie gość się me odzywał. Na podstawie tego, co mi opowiedziała sekretarka, doszedłem do wniosku, że to był Jung.

Neimann poufale trącił Stonogę i nieznacznie się uśmiechnął. Jung, twoje dni są policzone, postanowił.

– W głównej loży siedzi facet. Ma na sobie identyczną marynarkę jak Neimann. Od dłuższego czasu nas obserwuje – szepnęła Magda do Junga. Wczoraj Dżamila położyła na jej biurku podwójne zaproszenie na turniej koszykarek. Rano Magda zadzwoniła do Daniela z pytaniem, co robi wieczorem i czy wybierze się z nią do Areny Bachusa. – Zamiast oglądać mecz, facet filuje w naszą stronę.

– Nie w naszą, a w twoją. Podobasz mu się.

Jung też to zauważył. Neimanna widział wiele razy I nieźle poznał jego przeszłość. Tego, który zerkał w stronę loży prasowej, gdzieś spotkał. Każdego dnia dziennikarz rozmawia z tyloma osobami, że czasem zapomina, jak się nazywają i czym się zajmują. Dopiero po chwili namysłu przypomniał sobie. Mężczyznę o zarumienionej twarzy widział na pogrzebie Pośledniich. Przemawiał nad urnami zaraz po prorektorze. Ze znajomością rzeczy mówił o archeologi i profesorze Pośledniim poprawnie po polsku, ale w jego glosie dało się wyczuć obcy akcent. I był w tej samej grafitowej marynarce. Pewnie jak większość uczonych nie zwraca uwagi na swój wygląd albo bardzo ją lubi. Zniszczy się ta marynarka, sekretarka lub żona kupi mu następną i znowu będzie wszędzie w niej chodził, a studenci będą mieli z kogo się nabijać.

– Jeżeli to jest redaktor Jung... – zaczął Stonoga i urwał, jakby nie wiedział, jakimi słowami opisać to, co go dręczy. Po namyśle powiedział: – Nie chcę mieć żadnych kłopotów z jego powodu. Już dosyć nabruździł.

Neimann przytaknął i znowu klepnął go w kolano.

– Zrobi się, rektorze – zapewnił Stonogę. – Ale i ja już muszę mieć to, co obiecałeś. Szef wyznaczył dzień, kiedy będzie feta w pałacu. To musi być feta, jakiej nikt się nie spodziewa.

– Nie musisz mi przypominać. Dobrze pamiętam, co obiecałem.
– I nie zapomnij, kto ma zostać kanclerzem naszej uczelni.

Zielonagóra, lotnisko Przylepa,
niedziela, wczesnym popołudniem

Wprawdzie wczoraj po południu Jung wyprowadził motolotnię z hangaru na pas startowy i uruchomił jej silnik, po namyśle zrezygnował z latania. Bał się, że w górze zamiast uważnie manewrować dźwignią sterów, w myślach będzie szukał tego, który doniósł do ABW o jego podróży do Niemiec. Ta nieznana mu osoba może mieć coś wspólnego z redakcją. Gdyby ktoś go spytał, dlaczego już w trakcie rozmowy z porucznikiem Miazkiem wykluczył Kamila, Łukasza i Magdę, nie odpowiedziałby. Po prostu nie ma powodu im nie ufać. Szpalta jest w Norwegi, zresztą jej nigdy nie podejrzewał o związek z bezpieką. Gdyby Chuda jeszcze była wicenaczelną, nie miałby wątpliwości, kto donosi i dlaczego. A może kadrowiec? Mimo że komisja weryfikująca pracowników Służby Bezpieczeństwa nie dała Szmitowi żadnej szansy, może być wśród współpracowników ABW Nie ma takiej służby na świecie, która raz na zawsze pozbyła się nawet niepewnego tajniaka. Jednak najczęściej przychodziła mu na myśl Dżamila, ale nie miał żadnych dowodów przeciwko niej. Nie dałby głowy za uczciwość Madleny, mimo to nie wierzył, żeby niemiecka dziennikarka wprost donosiła do polskich służb specjalnych na polskiego kolegę. Chyba że nieświadomie i za pośrednictwem Tomiaka.

Dziś przed południem, akurat w trakcie oglądania powtórki z sobotniego meczu koszykarek w telewizji regionalnej, postanowił, że pojedzie na lotnisko. Miśka dopiero za kilka dni wróci z konferencji do domu, nie musiał iść do redakcji i nie miał żadnych planów na popołudnie. Zapowiadał się słoneczny, bezwietrzny i nie za gorący dzień, a to najlepsze warunki do łatania.

Kiedy tuż przed drugą tak jak wczoraj wyprowadził motolotnię z hangaru, sprawdził, czy wężyk doprowadzający paliwo do silnika nie jest przecięty i krok po kroku skontrolował to wszystko, co nakazuje regulamin, wpisał się do rejestru latania i powiadomił dyżurnego na wieży kontrolnej, poczuł wibrowanie komórki. Ściągnięcie rękawiczki z lewej dłoni, rozpięcie kurtki i wykopanie samsunga z kieszeni koszuli zajęło mu tyle czasu, że telefon umilkł. Sprawdził, kto chciał z nim rozmawiać. Gdyby na wyświetlaczu był nieznany numer, natychmiast schowałby komórkę do kieszeni, lecz telefonowała Ewa Jankowska.

Ona nigdy nie dzwoni bez powodu, pomyślał.

– Dopisało ci szczęście. Za chwilę wzbiłbym się w górę i co najmniej przez godzinę miałbym połączenie tylko i wyłącznie z wieżą kontrolną – wyjaśnił, gdy usłyszał jej głos. – Coś ważnego, że dzwonisz w niedzielę po południu?

– Tylko do twojej wiadomości, Daniel – zastrzegła. – Na razie nie do wykorzystania w „Zielonogórskiej". Potrzebuję twojej porady bardziej niż kania dżdżu.

Jung domyślił się po tonie głosu, że nie jest jej wesoło. Coś ją dręczy. Jakaś poważna sprawa nie daje jej spokoju, a że od śmierci profesora Pośledniego nie ma nikogo bliskiego, komu może się wyżalić, dlatego do niego się zwraca.

– W miarę możliwości spróbuję ci pomóc. I obiecuję, że niczego nie wykorzystam w „Gazecie". Zresztą jestem na przymusowym urlopie bez prawa wstępu do redakcji.

– Dosłownie przed paroma minutami odebrałam telefon od prorektora naszej uczelni. Poinformował mnie, że na jutrzejsze popołudnie zwołał nadzwyczajne zebranie senatu. W porządku posiedzenia jest jeden punkt z trzema podpunktami: wybór rektora, wybór prorektora i zatwierdzenie kanclerza. Kazał mi niezwłocznie powiadomić członków senatu.

– Za troszkę więcej niż dwa tygodnie rozpocznie się nowy rok akademicki, szkoła więc powinna mieć rektora – wtrącił Jung jak

znawca obyczajów akademickich.

– Też tak myślę.

– To co zaskakującego jest w poleceniu prorektora?

– Prorektor nie powiedział, kto jest wśród kandydatów na to stanowisko i kto go zgłosił. Każdy, do kogo zadzwonię, zacznie od tego pytania. Co powiem? Na pewno od śmierci Stefana sprawa wyboru rektora jest najważniejsza na uczelni.

– Powiesz wymijająco, że padają różne nazwiska kandydatów. A tak dla zaspokojenia mojej ciekawości, kto ma największą szansę.

– Kto? Zastanawiałam się...

– To rzuć kilka nazwisk. Albo że to cię nie interesuje.

– Przecież od tego, kto będzie rektorem zależy, czy zostanę tu, gdzie jestem. Daniel, przyzwyczaiłam się do zarządzania kancelarią rektoratu, dlatego nie chciałabym szukać swego nowego miejsca na uczelni.

– Słusznie.

– Prorektor powiedział jeszcze coś, czym mnie zaskoczył. Po to dzwonię do ciebie. Potrzebuję twojej mądrej rady, Daniel.

– Dziękuję za zaufanie.

– Ponieważ na uczelni jest sytuacja określana jako *sede vacante*[19], prorektor pełni obowiązki zarządcy i przewodniczącego senatu. Przez telefon poprosił mnie o wyrażenie zgody na kandydowanie na stanowisko prorektora do spraw studenckich. Spełniam wymogi formalne. To znaczy mam stopień doktorski, niedługo powinnam uzyskać habilitację, jestem kobietą, a teraz taka tendencja, żeby w kierownictwie uczelni nie byli sami mężczyźni.

– Prorektor pewnie spodziewa się awansu do gabinetu rektora. Dzwonisz do mnie dlatego, że nie wiesz, co zrobić. Chciałabyś zostać wybrana, ale boisz się, że sobie nie poradzisz jako prorektor. To, Ewuniu, świadczy o twojej mądrości i rozsądku.

– Zgodziłam się. Dopiero kiedy wyłączyłam telefon i zaczęłam analizować to, co powiedział prorektor, doszłam do wniosku, że jestem skazana na przegraną. Na prorektora kandydują dwie osoby.

Dwie kobiety. Doktor Karin Stenzel i ja.

– Karin Stenzel, córka antykwariusza w Dreźnie? Ta, której pracę doktorską Pośledni skopał?

– Właśnie ta.

– Przecież Karin Stenzel u was nie pracuje.

– W piątek złożyła dokumenty o przyjęcie na etat adiunkta w zakładzie epoki brązu i żelaza. Tam jest wolne miejsce po Stefanie. Daniel, co robić?

– Pod żadnym pozorem nie wycofuj się. Przecież członkowie senatu znają cię z najlepszej strony. O Karin Stenzel chyba niewiele wiedzą. Ewa, masz ogromną szansę na awans. Chcesz tego – rzucił bez namysłu. – Rozmowy o skarbach z Witaszkowa i wykopaliskach w Wicinie, na które się umówiliśmy, chciałbym przeprowadzić z prorektorką Wyższej Szkoły Archeologi.

– W tym, co powiedział prorektor, podejrzewam jakąś manipulację. Statut uczelni nakazuje komisji wyborczej, żeby nazwiska kandydatów na rektora i prorektora zostały wcześniej podane do wiadomości całej społeczności akademickiej. Dotyczy to wyborów regulaminowych, co cztery lata, jak i nadzwyczajnych. Takich jak tegoroczne. I jeszcze jedno: każdy kandydat musi wyrazić zgodę na piśmie. Przypomniałam o tym prorektorowi, a on, że to formalność.

Zielonagóra, os. Zatonie, niedziela, przed wieczorem

W drodze z lotniska do domu odezwała się komórka. Jako były policjant Jung starał się przestrzegać przepisów drogowych i świecić przykładem nawet wobec swojej żony, toteż w czasie jazdy samochodem nigdy nie rozmawiał przez telefon. Tym razem coś mu nakazało zerknąć na wyświetlacz samsunga. Bojko Józef? Ojciec trzystokrotkowego aspiranta Artura. Sporo starszy od Junga leśnik jest dalekim kuzynem Miśki ze strony matki. Z Danielem kontaktuje

się jedynie wtedy, kiedy ma naprawdę coś ważnego do przekazania lub gdy Miśka przebywa daleko od Zielonejgóry.

– Nawet zaraz przyjedź do mnie, a na pewno nie pożałujesz – usłyszał głos Jozefa po tym, kiedy kliknął zieloną ikonkę.

Chciał spytać, czy zaproszenie może poczekać do jutra, ale leśnik się rozłączył. Dwadzieścia minut później zatrzymał „pięćsetkę" przed starym, proszącym o remont domem, jakich wiele na Zatoniu. Zaraz po Wielkanocy Miśka przyznała się Danielowi, że Józef namawiał ją do kupienia budowy domu w stylu szlacheckiego dworku rozpoczętej obok leśniczówki. Miałaby miejski adres, ale mieszkała na uboczu, skąd kilka kroków do łasu latem pełnego borówek, jeżyn i malin, jesienią koźlarzy, prawdziwków, podgrzybków, a przede wszystkim aromatycznego powietrza. Jadłaby warzywa z własnego ogródka, które zazwyczaj nie są aż tak dorodne jak te z marketu, za to pachnące wilgotną ziemią, zawsze świeże i przede wszystkim zdrowe. I oczywiście byłaby jego lekarką rodzinną. W połowie lata osowiały Józef powiedział Miśce, że jeżeli zdecyduje się kupić dworek w budowie, to jednak nie będzie jego sąsiadką, czego on bardzo żałuje. Dzień po osiągnięciu wieku emerytalnego, a stanie się to w grudniu, miejsce Bojki w gabinecie zastępcy nadleśniczego zajmie ktoś młodszy, z czym on się nie zgadza i co rozumie. Ale nie rozumie, dlaczego musi się wynieść z leśniczówki na Zatoniu, w której mieszka od ponad trzydziestu lat i którą ma zamiar wyremontować za własne pieniądze, do Domu Zasłużonego Leśnika na Rybnie. Dlatego już zaczął pakować swoje rzeczy, na razie to, co leży okurzone na strychu. Niewiele dobytku będzie mógł zabrać ze sobą do pokoiku z wnęką kuchenną. Część dobytku spali, resztę rozda Arturowi, wnukom, sąsiadom i znajomym, a to, w czym jeszcze można chodzić, każe synowi zawieźć do magazynu Caritas.

– Mam dwie sprawy – zaczął Bojko, gdy Jung wysiadł z „pięćsetki". – Jedną do ciebie, drugą do twojej żony. Do Miśki za twoim pośrednictwem. Najpierw do ciebie. Nie za mały masz ten samochód?

– Za mały na daleką podróż. Za to wygodny w mieście. Wszędzie mogę zaparkować. I, co nie jest bez znaczenia, nie martwię się, że znajdzie się złodziej, który połakomi się na coś takiego. Młody kierowca uważa jazdę „pięćsetką" za obciach.

– A podoba ci się moja ibizka?

– „Hiszpański temperament. Niemiecka precyzja" – Jung odczytał hasło zdobiące tylną szybę seata.

– Nie będzie mi potrzebna. Szkoda, żeby stała i rdzewiała.

– Oddaj dzieciom.

– Któremu?

– Arturowi i każ mu połową wartości auta spłacić Andrzeja.

– Po pierwsze, pracowałeś w policji, to dobrze wiesz, ile tam się zarabia. Po drugie, Artur uzna ibizkę za za małą. On lubi duże samochody. Gdyby miał za co, kupiłby sobie jakąś ҳsarę.

– Andrzeja wykluczyłeś spośród spadkobierców?

– Ibizka, jak mówią wnuki, to jeszcze nówka. Wprawdzie kupiona cztery lata temu, ale na liczniku ma niecałe trzydzieści tysięcy. Chcę ją oddać w dobre ręce.

– I dlatego mnie wybrałeś? – spytał Jung. Bojko kiwnął głową bez słowa. – Dziękuję. To była ta pierwsza sprawa, czy tak? – Bojko znowu potwierdził. – Coś cię, Józef, męczy. Nie pytam co. Zechcesz, powiesz. Z doświadczenia wiem, że gdy człowiek się wygada, pożali, nawet popłacze, to mu lżej na duszy. Po to Kościół wymyślił spowiedź.

Bojko uciekł wzrokiem między lipy wyznaczające drogę do parku i milczał. Jung nie miał zamiaru go wypytywać, dałby jednak głowę, że to, o czym stary leśnik nie powiedział, a co go męczy, nie wiąże się z emeryturą. To dużo poważniejsza sprawa.

– Od rozwodu Andrzeja z Jagodą każdego miesiąca daję jej połowę swojej pensji. Trochę Jagoda dorobi przy sprzątaniu, trochę dostanie ode mnie i jakoś łączy koniec z końcem. To nie wina Jagody, że Andrzej ją zostawił i odszedł do innej. Jego też nie winię. Jeszcze przez kilka lat Jagoda będzie utrzymywała i wychowywała

moje wnuki. Jako emeryt nie będę miał tyle gotówki, żeby z nią się dzielić. Dlatego chcę sprzedać ibizkę, a pieniądze ulokować tak, żeby synowa miała na czarną godzinę.

– Przyznam ci się, że Miśka namawia mnie do zmiany samochodu. Ile jeszcze pojeżdżę „pięćsetką"? Rok, dwa łata najwyżej i będę musiał zaprowadzić ją do mechanika. Wymieni co trzeba. Zapłacę sporo. Po roku znowu do mechanika i znowu zapłacę. To czy nie lepiej kupić nowe auto i przez najbliższe łata omijać warsztat z daleka? Ja nie znam się na medycynie, a Miśka na motoryzacji, ale akurat w kwesti auta przyznaję jej rację. – Bojko przytaknął, a Jung wyciągnął do niego rękę, mówiąc: – Przebij. Kupię ibizkę. Jutro z rana przeleję pieniądze na twoje konto. Po południu odbiorę auto. Tak może być? – Nie czekając na odpowiedź, powiedział: – To była pierwsza sprawa. Jaka jest druga?

– Druga dotyczy twojej żony – zaczął Bojko i się uśmiechnął. Jung pomyślał, że dowie się o Miśce czegoś, czego wolałby nie wiedzieć. Tak wygodniej. On też ma sporo na sumieniu, ale nie unieszczęśliwia żony. – Dziki tak się rozpleniły w naszym rejonie, że już w czerwcu kołu zabrakło pieniędzy na wypłacanie odszkodowań. Zresztą nie tylko w naszym rejonie. Doszło do tego, że w tym roku wolno polować na dziki przez dwanaście miesięcy, co niedawno było nie do pomyślenia. Karmiące lochy już tylko wiosną są pod ochroną – powiedział Bojko takim głosem, jakby nie miał nic przeciw decyzji ministra środowiska. – To i w czwartek wybrałem się na polowanko. Niedaleko Zatonia trafiłem młodego odyńca. Z pięćdziesiąt kilo chudziutkiego mięska. Połowę oddałem do skupu na Chynowie. Resztę zostawiłem sobie, Arturowi i Jagodzie. Kawałek zawiozę koledze na Kwiatowym. To kierownik byłego ośrodka dla chorych dzikich zwierząt. Byłego, bo nowy nadleśniczy likwiduje wszystko, co zostawił poprzedni. Pomyślałem i o tobie, a właściwie o Miśce. Twoja żona, gdy namawiałem ją do kupienia tej rozpoczętej budowy', napomknęła, że lubi dziczyznę. W restauracji na Słowacji, jeżeli jest taka możliwość, zawsze zamawia coś z

sarniny.

Daniel o tym nie wiedział, ale skoro Józef tak twierdzi, nie miał ochoty dyskutować na temat upodobań kulinarnych żony. Również lubił kiełbasę z dziczyzny, szczególnie kiedy pachniała czosnkiem, majerankiem i dymem drewna olchowego.

– Gdybyś powiedział, dlaczego zapraszasz mnie na Zatonie, zatrzymałbym się przy bankomacie. – Daniel wyjął portfel z torby i sprawdził, ile ma pieniędzy. – Od dnia, kiedy przestałem palić, nie wożę gotówki. Jeżdżąc „pięćsetką", nie mogę nawet wypić piwa. Na stacji benzynowej płacę kartą. Póki jestem dziennikarzem, gazetę codzienną mam za darmo. Zresztą więcej dowiaduję się z internetu niż z „Zielonogórskiej". Takie czasy.

Bojko przeciął ręką powietrze, jakby to go nie zaskoczyło. Wprawdzie umie się posługiwać jednym urządzeniem elektronicznym, czyli telefonem komórkowym, ale nie ma nic przeciw nowoczesności. Rozumie, że świat się zmienia, a ostatnio w tempie błyskawicznym.

– Członek koła myśliwskiego ma dwa wyjścia. Tuszę upolowanego zwierzaka może zawieźć do punktu skupu albo zagospodarować we własnym zakresie, co będzie go kosztowało tyle, ile rudy kot napłakał. Jeżeli wybierze drugi wariant i mimo zakazu sprzeda choćby kilo, a zarząd koła o tym się dowie, wyleci ze związku. Nasze przepisy zabraniają sprzedawania dziczyzny na własną rękę. Nawet sąsiadowi. Nie ma natomiast zakazu dzielenia się wyrobami z kim się chce. Wyrobami – podkreślił.

– Miśka będzie ci niezmiernie wdzięczna – powiedział Jung, wciągając zapach kiełbasy do nosa. – Sporo tego dobra. Część pewnie trzeba będzie zamrozić.

– I mieć na dłużej, bo za rok Miśka nic nie dostanie. Artur powiedział, że weźmie wszystko.

– Twój syn?

Józef kiwnął głową.

– Ode mnie już nie, ale od innych z Zatonia tak.

– I sprzeda kolegom w komendzie. Ty nie złamiesz prawa myśliwskiego, a on zarobi.

Józef pokręcił głową i zaczął wyjaśniać, że za rok jego starszy syn, Artur, będzie mógł przejść na emeryturę policyjną. Pieniądze niewielkie, za to pewne i spokój. Każdy by tak chciał.

– Groteskowa sytuacja, kiedy mniej więcej w tym samym czasie ojciec i syn zostają emerytami.

– Artur mówi, że jest za młody, żeby siedzieć z założonymi rękami. Może być ochroniarzem albo pracować na pół etatu w straży miejskiej. W rodzinie wystarczy jeden emeryt. – Józef pokazał na siebie.

– Artur słusznie wybrał. – Jung, gdy został policjantem, także mial zamiar przepracować piętnaście lat i potem robić co innego. Do dnia przejścia na emeryturę policyjną zabrakło mu siedmiu lat bez trzech miesięcy. Dlatego jest dziennikarzem. Jeżeli Szpalta nie stanie po jego stronie, to po tym, co usłyszał od Dżamili, w „Zielonogórskiej" nie doczeka emerytury. – Artur ma coś konkretnego na oku?

Józef rzucił mu potwierdzające spojrzenie.

– Dokładnie wtedy, kiedy Artur zostanie emerytem, zakończy się remont pałacu. – Wyciągnął rękę w stronę parku, pośród którego stała budowla zasłonięta lipami. – Pan Grempler powinien dostać medal za to, co już zrobił na Zatoniu. Jakieś specjalne Virtuti Militari. Przez tyle lat pałac popadał w ruinę i nikogo serce nie bolało. Taki zabytek niszczał. Dopiero pan Grempler to zmienił. Za rok będzie jak za czasów księżnej Doroty. Widziałem stare zdjęcia. Po zakończeniu odbudowy pałacu będzie musiał pomyśleć o parku. Robota akuratna dla starego leśniczego.

– Czyli dla ciebie?

Bojko spojrzał na niego milcząco.

– A co Artur ma mieć wspólnego z pałacem?

– Neimann, taka prawa ręka pana Gremplera w robieniu śliskich interesów, zdaje się, że były esbek, zaproponował mojemu Arturowi, żeby został dyrektorem pałacu. Zawsze swój ciągnie do swojego.

Artur ma zarządzać. On to jakoś tak nazwał. Ze akurat teraz wyleciało mi z głowy. Chyba jednak czas na emeryturę.

Z domu wyszedł Artur.

– Gestor, ojczulku! Gestor! – zawołał syn.

– Gestor?

Jung pierwszy raz usłyszał to określenie, dlatego zrobił pytającą minę, ale Artur tego nie zauważył i nie wyjaśnił, dlaczego ma być gestorem, a nie dyrektorem czy zarządcą lub menedżerem.

– W pałacu na dole będzie luksusowa restauracja i sala konferencyjna. Nad nimi pokoje gościnne i apartamenty dla lepszych gości. Ostatnie piętro to mieszkanie pana Gremplera urządzone tak, jakby należało co najmniej do księcia. Neimann już kompletuje meble, skupuje starą porcelanę. – Józef nagle urwał i uciekł wzrokiem pod nogi Artura. – Tobie się spieszy do domu.

Jung czuł, że stary Bojko nie wszystko mu powiedział, mimo to nie spytał, co przemilczał i dlaczego. Pewnie gdyby byli sami, zachowałby się inaczej.

– Jeżeli pędzisz prosto do domciu, to podrzuć mnie do komendy – Artur zwrócił się do Junga. – Za pół godziny muszę być w wydziale. Nagłe wezwanie.

– Wydarzyło się coś, o czym jeszcze nie wiem?

– Jako urlopowicz wszystkiego dowiesz się z jutrzejszej „Gazety". Taką mam nadzieję.

Zielonagóra, droga nr 282, niedziela, przed wieczorem

– Czy mi się wydaje, że trochę zdziwaczał twój staruszek? – powiedział Jung do Artura.

– Ojciec zawsze byl z innej parafi. Nigdy nie zaklął przy nas, dzieciach. Przy nas nawet nie wypił piwa. A ostatnio, masz rację, dziwaczeje i ramoleje w mgnieniu oka. Pewnie na starość z każdym tak się dzieje.

– Człowiek dziwaczeje nie dlatego, że przybywa mu lat, lecz dlatego, jak sądzę, że boi się zostać sam. I, to nowe spostrzeżenie, gubi się w cyberprzestrzennym świecie. Jestem sporo młodszy od twojego ojca, a z jakimś takim strachem zaglądam do laptopa. Nawet bankomat traktuję podejrzliwie, chociaż nie mam powodu narzekać, bo nigdy mnie nie wykiwał.

– Od dnia, kiedy nadleśniczy zapowiedział, że wyjebie ojca na emeryturę, nie jest tym samym człowiekiem. Może nie tyle wyrzutka na emeryturę coś zmieniła w jego głowie, co decyzja o odebraniu mu dachu nad głową. Tyle lat pod tym samym adresem i nagle taka zmiana. Gdyby matula żyła, pewnie byłoby inaczej. Daniel, chciałbyś wegetować na zadupiu w Rybnie, mimo że formalnie jest to Dom Zasłużonego Leśnika? Na starość uczyć się nowego miejsca? Bo ja nie. Za żadne skarby.

– Czekają cię niewdzięczne lata. Będziesz musiał częściej zaglądać do Rybna. Najlepiej byłoby, gdyby nadleśniczy nie odebrał mu tego mieszkania. Niechby chociaż zostawił ojcu pokoik na poddaszu, a jeszcze lepiej wyremontował komórkę za domem i tam pozwolił mu mieszkać.

– Byłem u nadleśniczego, błagałem, żeby zostawił staruszka na Zatoniu. Jeżeli nie w tym samym domu, to w innym, nawet w komórce, byle na Zatoniu. Pierdyknąłem nawet, że gdybym był na jego miejscu, to po tylu łatach pracy ojca jako zastępcy nadleśniczego zaspokoił bym każdą jego prośbę. Wiesz, co mi ten chuj odpowiedział? Jeżeli tak bardzo zależy mi na dobrym samopoczuciu staruszka, to dlaczego nie zabiorę go do siebie? Daniel, do tych trzech pokoików, w których duszę się z żoną i synami?

– Skurwysyn. I tyle. Ile on ma lat?

– Tyle co ja albo ciut młodszy. Synałek przydupasa jakiejś byłej posłanki. Podobno, ale tego nie sprawdziłem, samej Carewiczki.

– Jeszcze nie rozumie, że i on będzie stary. Młodzi ludzie nie myślą ani o starości, ani o emeryturze. O chorobach też nie myślą – rzucił kwaśno Jung. – Szkoda mi twojego ojca. Szkoda i ciebie.

– Od tego dnia, kiedy ten pojeb nadleśniczy zapowiedział, że ojciec pracuje tylko do zimy, staruszek zaczął wyraźnie niedołężnieć. W czerwcu leżał na neurochirurgi, dostawał mocniejszy lek przeciwbólowy. Jakiś oxycodon. Wyglądało na to, że zmiany w kręgosłupie się rozszerzają, ale nie jest aż tak chujowo jak myślałem. Staruszek będzie musiał inkasować leki przeciwbólowe, co w jego sytuacji i wieku jest prawie normalne. Już nie zastrzyki jak w szpitalu, a to samo w kapsułkach. Oxycontin. Zapamiętałem nazwę, bo przeczesałem chyba wszystkie apteki w mieście. Aż dopiero na Wazów pani magister powiedziała, że tak od ręki nigdzie oxycontinu nie dostanę. Ona może go sprowadzić z hurtowni, ale najwcześniej za dwa dni.

– Chodzi mi po głowie, że profesor Pośledni też przyjmował oxycontin albo coś podobnego.

– To po tym leku, a może z powodu wypierdolenia na emeryturkę, staruszek zaczął fantazjować. Dawniej też miał żyłkę do lania wody, zresztą jak każdy myśliwy, ale teraz pierdoli od rzeczy.

– Pierwsze objawy alżheimera?

– W połowie sierpnia twoja gazeta napisała...

– Nie moja, Arturze. Nie moja. Ja tam tylko zachrzaniam. To znaczy: jeszcze zachrzaniam. Jak długo to będzie trwało, nie mam zielonego pojęcia. Pewnie w najmniej spodziewanej chwili dowiem się, że mam poszukać sobie nowego chlebodawcy. Takie teraz czasy, że nie człowiek się liczy, lecz układy.

– Jak to mówią, na układy nie ma rady.

Jung odchrząknął i przemilczał dygresję Artura.

– „Gazeta Zielonogórska" napisała o znalezieniu szkieletu dziecka w kominie odbudowywanego pałacu. Ojciec twierdził, nie uwierzysz, że to szczątki jego pierworodnego wnuka.

– A to mu odbiło.

– Ze kiedy został przeniesiony na Zatonie, do czasu, aż nadleśnictwo przygotuje mieszkanie, mama z Czechną, Andrzejem i ze mną pozostała w Bieczu. Latem Czechna razem z koleżankami z

liceum poszła do pracy na wykopaliskach w Wicinie. Tam się skurwiła. Zdaniem ojca z jakimś archeologiem. Z którym, tego Czechna nie chciała powiedzieć, a archeologów tam było jak psów. W połowie grudnia, już przeprowadziliśmy się na Zatonie, Czechna nie wróciła na noc do domu. Rano komendant straży, który szedł z do nadleśnictwa przez park, tam znalazł ją wykrwawioną. Lekarz z pogotowia stwierdził, że urodziła żywe dziecko albo poroniła. Co się z nim stało, chuj go wie. Oczywiście szukano, zaglądano gdzie się dało. Żadnego śladu. I dopiero kiedy w sierpniu „Zielonogórska" napisała o szkielecie znalezionym w pałacu, ojciec wywnioskował, że to szczątki jego wnuka. Powiedział nawet, że kiedy łapiduchy zakończą badania, musimy je pochować w grobie Czechny.

Zielonagóra, os. Słoneczne, poniedziałek, z rana

Jung wybrał numer centrali komendy. Gdy odezwała się telefonistka, poprosił o połączenie ze starszym aspirantem Bojką. Zdziwił się, że w kontaktach nie było numeru prywatnej komórki Artura, a przecież tyle razy z nim rozmawiał. Pewnie wykasowałem go przypadkowo, pomyślał.

– Starszy aspirant Bojko. Słucham.

– Wczoraj gdy jechaliśmy z Zatonia do komendy, powiedziałeś, że od pewnego czasu ojciec zachowuje się dziwnie. Powiedziałem, że też to zauważyłem. Twój ojciec zachowuje się tak, jakby zaraz po przyznaniu emerytury miał zamiar przenieść się na tamten świat. Właśnie takie jego zachowanie nie daje mi spokoju – przyznał się Jung. – Mój ojciec na długo przed emeryturą miał plany, że ho, ho! Przede wszystkim cieszył się, że nareszcie nikt młodszy, ojciec twierdził, że głupszy, nie będzie mu niczego nakazywał. Nawiasem mówiąc, mam to po nim. Też nie znoszę tych, którzy mi rozkazują. Napiszesz o tym i o tym. Ma być tak i tak. Tego nie wolno. To się nie spodoba dyrektorowi. Tyle, a tyle znaków. Wiem, że są

zwierzchnicy i podwładni, ale zwierzchnicy nie powinni traktować podwładnych jak Rzymianie niewolników. To samo mogliby powiedzieć w inny sposób.

– Mój staruszek...

– Wieczorem zadzwoniłem do żony – Jung nie pozwolił mu dokończyć. – Miśka także uważa, że zachowanie twojego ojca nie jest normalne. Coś go męczy, o czym nie chce rozmawiać. Coś naprawdę poważnego. Oby to nie wiązało się z jakimś niezagojonym przeżyciem z przeszłości. Faktycznym lub urojonym. Miśka podpowiada, żebyś nie spuszczał staruszka z oczu. W czwartek wieczorem wróci do Zielonejgóry, następnego dnia postara się umówić twojego ojca z kimś w klinice psychiatri.

– Będę jej dozgonnie wdzięczny. I zobowiązany.

– Wczoraj twój ojciec zaoferował mi swoją ibizę.

– Pierwsze słyszę. Nawet nie napomknął półsłowem, że ma zamiar pozbyć się auta.

– Potrzebuje pieniędzy.

– Pracował dłużej niż trzeba, to dostanie wcale nie taką małą emeryturę. Pokoik na Rybnie jest wymalowany i umeblowany. Czynsz też nie za wielki.

– Powiedział, że pragnie, aby ibiza dostała się w dobre ręce. A pieniądze ze sprzedaży samochodu chce dać Jagodzie?

– Bratowej?

– Dlatego do ciebie zadzwoniłem.

Zielonagóra, pl. Słowiański,
poniedziałek, po południu

Jung wszedł do kiepsko oświetlonej sali posiedzeń uczelnianego senatu. Większość miejsc w pierwszych rzędach była zajęta przez dziennikarzy. Spod drzwi dobrze nie widział, wydawało mu się jednak, że blondynka obcięta na pazia, z kolczykiem zwisającym z

lewego ucha, w prążkowanym bezrękawniku na skrajnym krześle przy oknie jest podobna do Magdy. Pewnie nie ona, bo co asystentka redaktorki naczelnej robiłaby na konferencji prasowej? Mimo to poszedł w tamtą stronę.

– Obożejedyny – wyszeptała jednym tchem Magda, gdy Jung dotknął jej ramienia.

– Co robisz na konferencji prasowej?

– E, e... Dobrą minę do złej gry – wypaliła zaskoczona jego obecnością. Kiedy usiadł obok, wyjaśniła: – Dziś rano Dżamila powiedziała, że straciła do mnie zaufanie jako do swojej asystentki. Jestem niewiarygodna i zbyt pewna siebie. Po prostu za długo pracuję w sekretariacie redakcji. A w ogóle to sama ukręciłam bicz na siebie.

– Sprawowanie władzy oznacza umiejętność nagięcia innych do swojej woli – próbował być dowcipny. Wyszło to gorzej niż się spodziewał. – Zrobiłaś coś nie tak, a to nie spodobało się Dżamili. Ona z tych, które uważają, że jest tylko jedna prawda. Jej prawda.

– W piątek spytałam Dżamilę, czy dołoży się do prezentu dla Hani, tej z działu miejskiego. Od dawna jest taki zwyczaj w redakcji, że składamy się na prezent ślubny, wyjaśniłam. Pani powinna to jeszcze pamiętać. Wtedy wychodziła za mąż Ola, też z miejskiego. Jak wtedy, tak i teraz pieniądze zbiera asystentka redaktorki naczelnej, czyli ja, i uzgadnia z panną młodą, co kupić. Trzeba z tym skończyć, Magda! Redakcja to nie dom weselny ani prywatny folwark! Kto chce dawać prezenty, proszę bardzo, ale nie z moją akceptacją! Dyrektor Zych pewnie usłyszał wrzask, bo przyszedł do jej gabinetu. Co się stało? Powtórzyłam, że w sobotę Hania wychodzi za mąż i że spytałam redaktorkę, czy dołoży się do prezentu. Za chwilę miałam przyjść do pana. Czy pan dyrektor też się dołoży?

– Wahał się, ale odmówił.

Magda potwierdziła to ruchem oczu i po chwili jeszcze przytaknęła.

– Dałam za siebie i założyłam za ciebie. Jesteś, Daniel, moim dłużnikiem.

– Nie pierwszy raz. Po konferencji poszukam bankomatu i zwrócę ci co do grosza. Dziękuję, że o mnie pamiętałaś. – Opuszkami palców dotknął jej dłoni.

– Kiedy dziś rano przyszłam do sekretariatu, na moim miejscu siedziała dziewczyna. Kubek w kubek podobna do naszego kadrowca. Nawet ten sam idiotyczny, pewny siebie uśmieszek. Idę o zakład, że to jego córka albo ktoś z bliskiej rodziny. Drzwi do gabinetu Dżamili były uchylone. Zawołała, żebym do niej weszła. To weszłam. A ona do mnie tak. Ponieważ masz stałą umowę o pracę, nie mogę cię wyrzucić z dnia na dzień. I nie mam zamiaru wyrzucać cię bez wiedzy redaktor naczelnej. Daję ci szansę. Powiedziała, że jeśli sprawdzę się jako dziennikarka, zostanę w redakcji na dłużej. O tym, czego się dowiem na dzisiejszej konferencji, mam napisać tysiąc sto znaków na podwał trzeciej strony. I pstryknąć zdjęcie w pionie, na którym będzie uśmiechnięty nowy rektor. A jeszcze lepiej: rektor i kanclerz. – Wyjęła głupawkę z torby. – Na biurku Dżamili leżał ten aparat. Kazała mi go zabrać. Fotografowałam komórką, robiłam sełfie, ale nie do prawdziwej gazety. To czas najwyższy, żebyś zaczęła robić zdjęcia profesjonalną cyfrówką, rzuciła Dżamiła, nawet nie podnosząc głowy na mnie. Ona mnie nie lubi.

– A mnie przysłało tu przeczucie. – Jung nie przyznał się, że chce być wśród tych, którzy pierwsi pogratulują Ewie Jankowskiej wyboru na prorektora. A może nawet na rektora? I wreszcie umówi się z nią na rozmowę o skarbach archeologicznych z Wiciny i Witaszkowa.

– Zatem nie jesteś służbowo – ucieszyła się.

Jung potwierdził skinieniem głową, po czym szepnął, żeby nie martwiła się fotografią. Niech tylko słucha i notuje. On zrobi zdjęcia. Uspokojona tym Magda uśmiechnęła się z wdzięcznością. Taką ją lubił.

Pedel ubrany jak na inaugurację roku akademickiego wprowadził dwie kobiety i dwóch mężczyzn do sali. Całą czwórką usiedli za stołem nakrytym zielonym suknem. Miejsce z prawej zajęła Karin Stenzel, co Junga zaskoczyło, bo Niemka nigdy nie pracowała w uczelni archeologicznej. Ale zaraz przypomniał sobie to, co wczoraj powiedziała mu Ewa Jankowska. W piątek doktor Stenzel napisała podanie z prośbą o przyjęcie do pracy w zakładzie epoki brązu i żelaza. I już dziś jest kimś ważnym we władzach uczelni? Jung nie miał wątpliwości, że ten z brzegu po lewej stronie to Neimann. W grafitowej marynarce był Gregor Stonoga, doktor habilitowany w instytucie anatomi drezdeńskiego uniwersytetu. Najpewniej zostanie profesorem wizytującym lub kuratorem z upoważnienia jakiegoś europejskiego stowarzyszenia badawczego. Pomiędzy nim a Neimannem zajęła miejsce Marta, córka profesora Pośledniego. A gdzie jest Ewa Jankowska? I za stołem brakuje dotychczasowego prorektora, który miał zostać następcą Pośledniego.

Stojąc, Marta ze wzrokiem przylepionym do kartki przywitała dziennikarzy prasy, radia, telewizji i mediów elektronicznych na pierwszej konferencji prasowej po wyborze nowego gospodarza Wyższej Szkoły Archeologi. Jung nie miał wątpliwości, robiła to pierwszy raz w życiu. On także, gdyby został rzecznikiem prasowym marszałka, pewnie z początku czułby się źle w tej roli. Marta powiedziała, że okoliczności niezależne od władz akademickich zmusiły senat do wyboru rektora i, co się z tym faktem wiąże, jego zastępcy oraz kanclerza uczelni. O tym, kto jest kim, poinformuje w odpowiednim momencie. Najpierw sprawa najważniejsza. Cały czas patrząc na kartkę, przypomniała, że na wniosek jej ojca, świętej pamięci profesora Stefana Pieniężnego, szanowanego badacza najdawniejszych dziejów Środkowego Nadodrza i znawcy cywilizacji łużyckiej, jedyną w Polsce niepubliczną uczelnię archeologiczną założyła Fundacja „Wicina” i dotąd była organem prowadzącym. W sobotę prezes honorowy fundacji Joachim Grempler, który po śmierci profesora Pośledniego przejął statutowe zadania

urzędującego prezesa, po konsultacji ze stosownymi władzami zaproponował, żeby wszystko, co należy do Wiciny, przejęła Fundacja imienia Heinricha Hrabiego Brühla. Nikt spośród członków zarządu temu się nie sprzeciwił. Jest to siostrzana organizacja pozarządowa założona po stronie niemieckiej jako Heinrich Graf von Brühl Stiftung, wyjaśniła Marta. Obie zajmują się niemal tym samym, czyli odzyskiwaniem i gromadzeniem pamiątek po Heinrichu von Brühlu, wybitnym polityku czasów saskich w Rzeczypospolitej i pierwszym ministrze Augusta II, w dziejach Saksoni zapisanego jako Fryderyk August II z rodu Wettynów. To jest pierwsze zadanie obu fundacji, z pewnością najważniejsze, tym bardziej że rośnie zainteresowanie dokonaniami hrabiego Brühla. Drugie zadanie dotyczy gromadzenia środków finansowych na odbudowę pałacu w Brodach i odtworzenie historycznego wyglądu parku. Gdyby udało się zdobyć więcej pieniędzy, to i przywrócenie dawnego blasku innym zabytkom na Środkowym Nadodrzu, na przykład pałacowi w Dąbroszynie koło Kostrzyna, gdzie Fryderyk Wielki, zanim został królem Prus, romansował z Eleonorą von Wretsch. Chwała Joachimowi Gremplerowi, że zdecydował się na kupno pałacu Doroty Taleyrand-Périgod na zielonogórskim Zatoniu i zajął się jego rekonstrukcją. Po pałacu przyjdzie czas na przywrócenie dawnego wyglądu parku i obiektów należących do posiadłości.

– Teraz przedstawię państwu komunikat rektoratu. – Marta odwróciła głowę w stronę Neimanna, jakby oczekiwała od niego akceptacji. Dał jej znak oczyma, żeby kontynuowała konferencję. – Dziś senat uczelni w głosowaniu tajnym, podkreślam, wybrał nowego rektora. Został nim doktor habilitowany pan Grzegorz Stonoga, dotychczasowy profesor Uniwersytetu Technicznego w Dreźnie.

Stonoga podniósł się, zapiął marynarkę na oba guziki i z uśmiechem zadowolenia ukłonił się najpierw na lewo, potem na prawo. Otworzył usta, ale Neimann lekko uniósł prawą dłoń, co

oznaczało, że na razie powinien milczeć.

– Kadencja nowego rektora będzie trwała cztery lata – kontynuowała Marta. – Po jej zakończeniu profesor Stonoga będzie mógł ubiegać się o ponowny wybór na rektora na kolejne cztery lata. Zgodnie ze statutem osoba kierująca uczelnią przez dwie następujące po sobie kadencje nie może ubiegać się o wybór po raz trzeci. Stanowisko prorektora członkowie senatu powierzyli pani Karin Stenzel, doktor nauk humanistycznych w zakresie archeologi, kierującą zakładem epoki brązu i żelaza.

Stenzel zerwała się, opuściła ręce i energicznie skinęła głową tak, jak to robią osoby w mundurach. Po czym usiadła i patrzyła prosto przed siebie. Na jej twarzy Jung nie dostrzegł nawet odrobiny radości, a przecież powinna się cieszyć lub udawać zadowolenie.

– Na wniosek rektora nowym kanclerzem został pan Waldemar Neimann, sekretarz Fundacji imienia Heinricha Hrabiego Bruhla.

Neimann wstał ociężale, pochylony, oparłszy się lewą dłonią o stół, prawą ręką przygładził to, co miał na głowie, jakby chciał korzystniej wypaść na zdjęciach robionych przez fotoreporterów. Dopiero teraz Jung zauważył, że Neimann ma na sobie identyczną marynarkę jak Stonoga.

– Człowiek tak długo żyje, jak długo trwa o nim pamięć. Dlatego na wniosek rektora elekta senat wystąpi do Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego o zmianę nazwy uczelni. Jeśli minister się zgodzi, a takie zapewnienie uzyskał pan profesor Stonoga, to od pierwszego października zielonogórska alma mater będzie Wyższą Szkołą Archeologi imienia Stefana Pośledniego. Profesor nieobecny ciałem w murach uczelni, będzie obecny duchem i tym, co nam zostawił. Tyle – Marta zrobiła przerwę, oderwała wzrok od kartki i lekko się uśmiechnęła – miałam państwu do przekazania jako rzeczniczka prasowa i dyrektorka rektoratu. Przepraszam, zapomniałam, jeszcze jedna informacja. Dziennikarze mogą kontaktować się z pracownikami uczelni tylko i wyłącznie, zaznaczam, za moim pośrednictwem. Taka jest decyzja nowego rektora.

Jung wstał i się przedstawił.

– Mam pytanie! – zawołał.

– Zada je pan na następnej konferencji. Dziś nie przewidzieliśmy zadawania pytań i udzielania odpowiedzi.

– To po co nas zaprosiliście?

Marta nie odpowiedziała.

Zielonagóra, pl. Słowiański,
poniedziałek, późnym popołudniem

Po wyjściu z sali zebrań senatu Magda powiedziała do Junga, że bardzo chętnie poszłaby z nim na kawę, gdyby nie to, że natychmiast musi pędzić do redakcji i napisać tysiąc sto znaków na podwał trzeciej strony „Zielonogórskiej". To dziś jest najważniejsze. Nie może stracić szansy, jaką dostała od Dżamili.

– Podwieziesz mnie na Niepodległości, poczekasz, aż napiszę, sprawdzisz – ni to spytała, ni zdecydowała za Junga.

– Mam zakaz wchodzenia do tego budynku. Nie chciałbym się przemykać jak student do żeńskiego akademika, tym bardziej że po ostatnich wpadkach ochroniarze zapisują nazwiska wszystkich, którzy przekraczają próg redakcji. Dżamila zajrzy do książki wejść i będę miał kłopoty.

– Szkoda, że nie zabrałam redakcyjnego laptopa na konferencję. Mogłabym tu napisać to, co napiszę w redakcji – pokazała ręką na ławkę pod dębem. – W takim razie pojedziesz ze mną do mojego mieszkania. – Przechyliła głowę i się uśmiechnęła, pokazując naprawdę lśniące bielą zęby. Jung zwrócił uwagę na kolczyk w jej lewym uchu w kształcie winogronka. – Zrobimy tak. Zawieziesz mnie na Zacisze. Na domowym laptopie napiszę relację z konferencji, ty ją przeczytasz, może dodasz coś, co pominęłam, a co ma znaczenie. Po wszystkim tekst i zdjęcie wyślę prosto do składu w redakcji. Tysiąc sto znaków i fotka pionowa z podpisem.

Jung się zgodził. Zresztą jako przymusowy urlopowicz nie miał żadnych planów na popołudnie i wieczór. Resztę dnia mógł spędzić w swoim mieszkaniu przed telewizorem lub czytając książkę. To już wolał pomagać Magdzie.

Gdy usiadł za kierownicą „pięćsetki", powiedział bardziej w żartach niż na poważnie, że na tym świecie nie ma nic za darmo.

– Pomogę, ale to będzie cię trochę kosztowało – dodał zaczepnie.

– Należność mam dać ci do ręki czy przelać na konto w banku? O jaką sumę chodzi?

– W pieśni Kolberga *Teraźniejsze świata żądze* jest taka zwrotka: „Za pieniądze ksiądz się modli, / Za pieniądze lud się podli, / Za pieniądze patron stawa, / Za pieniądze dobra sprawa".

– Jak cię znam, Daniel, a znam coraz lepiej, jak każdy żonaty facet po czterdziestce wolałbyś zapłatę w naturze.

Nie zaprzeczył. Potem dodał, że jest cholernie głodny.

– Najpierw zrobię to, co dziś jest najważniejsze.

– Czyli napiszesz tekst.

– Potem przygotuję obiadokolację. Po wszystkim postaram się ci zapłacić. Oczywiście zgodnie ze słowami Kolberga – powiedziawszy to, zrobiła poważną minę, aby po chwili wybuchnąć długim, perlistym śmiechem.

– Jutro rano o dziesiątej umówiłem się z doktor Jankowską. Zgodziła się opowiedzieć o skarbach znalezionych w Witaszkowie i na wykopaliskach w Wicinie. To w zastępstwie, bo najpierw na rozmowę o znaleziskach umówiłem się z profesorem Pośladnim, ale... – Jung puścił kierownicę i rozłożył ręce, nie kończąc zdania.

– Sądziłem, że dziś, zaraz po konferencji, złożę jej gratulacje z okazji wyboru na prorektora. Była wśród kandydatek. Niestety, przepadła. Wygrała Karin Stenzel. Dlaczego?

– I to nie daje ci spokoju?

Potwierdził, a potem dodał, że jeśli po powrocie z Norwegi naczelna nie wyrzuci go z redakcji, czego z pewnością będzie się domagała Dżamila, to zacznie chodzić wokół uczelni archeologicznej.

Ewa Jankowska nie odmówi mu pomocy.

A może ona również maczała w tym palce? I po śmierci profesora Pośledniego będzie główną oskarżoną?

– Nie mam żadnych dowodów. Mimo to nos mi podpowiada, że tam jest szwindel na większą skalę.

Zielonagóra, os. Eden, wtorek, przed południem

Na widok Daniela Junga Wicina przybiegła do bramki i zaczęła merdać ogonem, jakby na polecenie swojej pani witała go serdecznie. Gdy wszedł na podwórko, suka pobiegła przodem na ganek i tam na niego czekała, nadal machając ogonem.

– Czyżby twoja pani jeszcze spała?

Jung nadusił przycisk dzwonka. Czekał może minutę, może dwie. Cisza. Żadnego ruchu za drzwiami. Jeszcze raz wdusił przycisk, dłużej przytrzymując go palcem wskazującym. Nadał po tamtej stronie cisza.

– Ewa! Jesteś w domu?!

Odpowiedzią była cisza. Czyżby zapomniała, że o dziesiątej umówiła się ze mną na wywiad o skarbach archeologicznych i wyjechała? A może po konferencji na uczelni zabalowała i jeszcze nie wróciła do domu?

Poszedł do ogrodu, zajrzał do kojca Wiciny i drewutni. Wetknął głowę do garażu, gdzie za lekko uchyloną bramą srebrzyła się toyota. Suche ślady pozostawione przez opony wskazywały, że od wielu godzin nikt nie siedział za kierownicą samochodu. Ewa musi być w domu. Wrócił na ganek i po raz trzeci wdusił guziczek dzwonka. Wicina patrzyła na niego, jakby również się niepokoiła. Za drzwiami nadal cisza. Pomyślał, że Jankowska jest w domu, ale boi się pokazać, bo nie wie, kto przyszedł, dlatego stanął na wprost oka kamery zaczepionej pod daszkiem. Nic. Przykleił nos do szyby, po czym zadzwonił czwarty raz. Żadnego odgłosu z tamtej strony. Śpi albo udaje, że nie ma jej w domu. Nie mogła wyjechać z osiedla, bo

czym, skoro toyota stoi w garażu. Z Edenu do przystanku autobusowego trzeba iść dwadzieścia minut drogą wzdłuż lasu. Jesienią ziemia jest rozmiękła.

Dlaczego Jankowska nie chce się ze mną spotkać? Czyżby się wstydziła, że nie została wybrana na prorektorkę?

– Ewa, otwórz! Umawialiśmy się o dziesiątej, przyjechałem punktualnie! – Kilka razy walnął pięścią w drzwi.

Wicina podniosła na niego głowę, jakby też nie rozumiała, gdzie się podziała jej pani.

Na przykucniętych nogach wcisnął się do garażu przez lekko uchyloną bramę. Za toyotą były wąskie drzwi prowadzące do domu. Pomyślał, że pewnie od wewnątrz są zamknięte na klucz, ale mimo to nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły. Iść dalej czy się wycofać? Nie wiedział, czy dom jest pod kontrolą firmy ochroniarskiej. Zrobi następny krok, włączy się alarm i przyjadą uzbrojeni ochroniarze. Potraktują go jak włamywacza. Skutego, wywiozą do komendy. Idę dalej, postanowił. Przez krótki korytarz dostał się do przedpokoju. Z wieszaka spływał lazurowy trencz, pod nim w nieładzie leżały ciemnoniebieskie czółenka, obok rozdziawiona torebka. Ewa jest w domu! Pewnie późno wróciła z balangi na uczelni i stąd ten bałagan w przedpokoju, pomyślał. A może jest z nowym kochankiem? Albo zasłabła łub coś sobie zrobiła? Boże, tylko nie to.

Najpierw do sypialni czy do salonu? Obawiając się, że zastanie Jankowską w łóżku z kimś, z kim nie chciałby jej zobaczyć, delikatnie zapukał do drzwi sypialni. Nie usłyszawszy nawet szmeru, wetknął głowę do środka. Szerokie łóżko było zasłane. Znowu z obawą nacisnął klamkę, nie słysząc żadnych odgłosów, rozwarł drzwi do salonu. Jest!

Ewa w dżinsach i tej samej bluzce, którą miała na sobie w zeszły piątek, leżała skulona na sofie. Oczy miała zamknięte. Jungowi wydawało się, że nie oddycha. Rzuciwszy torbę przy drzwiach, podbiegł do sofy i dotknął ręki Ewy. Ciepła. Zasnęła w ubraniu? To do niej niepodobne.

Na stoliku leżała ulotka, na niej pudełeczko, obok otwarta buteleczka z brązowego szkła.

– Dor-mi-cum– przesylabizował.

Chciał wyciągnąć rękę po ulotkę, aby dowiedzieć się, co to za lek, gdy zdał sobie sprawę z tego, że Ewa jest nieprzytomna, bo połknęła to, co było w buteleczce. Bez zastanawiania się, kogo wezwać, wybrał numer alarmowy 112. Natychmiast usłyszał młody głos. Starając się zachować spokój, powiedział, gdzie mieszka, czym się zajmuje i podał swoje nazwisko, chociaż to było zbędne, ponieważ w centrum powiadamiania ratunkowego podstawowe informacje o osobie dzwoniącej pokazują się na ekranie automatycznie. Wyjaśnił, że kilka dni temu umówił się z archeolożką na rozmowę o skarbach z wykopalisk w jej domu. Przyjechał przed wyznaczonym czasem, zadzwonił, lecz nikt nie otwierał drzwi, dlatego wszedł do środka przez niedomkniętą bramę garażową. Wołał w przedpokoju, zajrzał do sypialni. Nikt nie odpowiedział. Dopiero w salonie na sofie zastał nieprzytomną kobietę. To z nią umówił się na rozmowę o skarbach archeologicznych. Na stoliku leży buteleczka po dormicum. Prawdopodobnie przedawkowała lek. Ile tabletek połknęła, tego Jung nie wie.

– Osiedle Eden na Drzonkowie w Zielonejgórze. Ulica Radosna. Najkrótszy dojazd przez Raculę. Przy kościele trzeba skręcić w prawo. Potem jakieś trzy kilometry polną drogą przy lesie. Niech pan wezwie karetkę reanimacyjną i powiadomi policję. Ona, to znaczy moja niedoszła rozmówczyni, nazywa się Ewa Jankowska. Doktor Jankowska z Wyższej Szkoły Archeologi. – Gdy wyłączył komórkę, przypomniał sobie, że nie podał numeru domu Jankowskiej. Za mniej więcej dziesięć minut usłyszy świdrujący sygnał karetki, wtedy wyjdzie na ulicę i wskaże drogę dojazdową.

Dlaczego ona to zrobiła? Chyba nie dlatego, że nie została wybrana na prorektorkę uczelni?

A może właśnie dlatego. I może ktoś zmusił ją do przedawkowania dormicum? Kto? Ten sam, kto zrobił zastrzyk

profesorowi Pośledniemu? Czyli nie Alan.

Żałował, że nie popatrzył na zegarek wtedy, kiedy skończył rozmowę z operatorem centrum ratowniczego. Wydawało mu się, że czekanie na karetkę trwa za długo. Ile czasu już minęło? Pięć minut? Osiem? Przecież liczy się każda sekunda.

A co będzie, jeżeli Ewa z tego wyjdzie, ale okaże się zbędna na uczelni?

Pierwszy przed domem zatrzymał się radiowóz. Już Artur Bojko wyłączył koguta i Natasza zatrzasnęła drzwi, gdy na wzgórzu pokazała się karetka, oznajmiając osiedlu, że pędzi na Radosną. Minutę później erka stanęła tuż za radiowozem, wyskoczył z niej sanitariusz i zaraz za nim doktor Kamińska, którą Jung poznał jeszcze wtedy, kiedy był policjantem, a ona stażystką w pogotowiu.

– Czy Ewa Jankowska to ta doktor od archeologi u Pośledniego? – spytała lekarka. Jung potwierdził cichym mruknięciem. – Dwa, może trzy lata temu szukała kogoś, kto potrafi określić wiek kilku fragmentów szkieletów. Znalazła je na cmentarzysku w pobliżu Wiciny. Starałam się jej pomóc, chociaż dopiero uczyłam się osteologi sądowej. Wtedy Ewa próbowała mnie przekonać, że powinnam zrobić specjalizację z antropologi i założyć własną firmę albo wejść z nią do spółki. Póki drogowcy będą budowali autostrady, a zanosi się na wiele lat, archeolodzy będą mieli co robić.

– Proszę prowadzić panią doktor – rzucił starszy aspirant Bojko do Junga, oczyma nakazując Nataszy, aby weszła do domu zaraz za lekarką i jej nie odstępowała.

Nie czekając na sanitariusza i kierowcę, którzy wyjmowali nosze z erki, Jung otworzył szeroko drzwi i poszedł przodem. Zaraz za nim podążały doktor Kamińska i Natasza, pociągając nosem.

– Panią męczy katar sienny – stwierdziła lekarka, odwracając głowę do Nataszy. – Uczulenie występujące w czasie jesiennych niedogodności. Była pani u lekarza? Przypisał coś, co łagodzi kaszel?

– Biorę xylorin.

– Powinna pani unikać bywania w miejscach zadrzewionych –

poradziła i zaraz dodała: – Ale w pani zawodzie to nie jest możliwe.

Lekarka przykucnęła przy sofie, wzięła Jankowską za rękę, potem zaświeciła latarką w jej oczy, po czym zmierzyła ciśnienie i powiedziała coś, co zrozumieli jedynie sanitariusz i kierowca. Natasza domyśliła się, że za kilkanaście minut Jankowska znajdzie się na stole w sali zabiegowej klinicznego oddziału toksykologi. Za pomocą ssawy pielęgniarka wyciągnie z jej żołądka te tabletki, które jeszcze się nie rozpuściły, potem lekarz każe podać węgiel aktywowany i jakieś specyfiki przyspieszające wypływanie trucizny z przewodu pokarmowego, nerek, wątroby. Za dzień, dwa psycholożka usiądzie przy jej łóżku, zada kilka pytań, pocieszy albo zgani. Na tym zakończy się pobyt pacjentki w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym.

No, chyba że Ewa Jankowska wymieni nazwisko kogoś, kto chciał ją otruć.

– Dormicum – lekarka powiedziała do policjantki, gdy kierowca i sanitariusz ułożyli Jankowską na noszach i ruszyli w stronę drzwi. Wysypała tabletki z buteleczki na stolik i je policzyła. – Połknęła siedem. O pięć, sześć za dużo. Mam nadzieję, że z tego wyjdzie.

Zielonagóra, os. Eden, wtorek, w południe

Kiedy karetka zniknęła za wzgórzem, spochmurniały Jung powiedział, że trzeba kogoś zawiadomić o tym, co się stało.

– Tym bardziej że Wicina sama się nie nakarmi – dodał.

– Wicina, czyli kto? Kotka? – Natasza spojrzała na niego pytająco.

– Wyjątkowo przyjazna czekoladowa łabradorka. Przed waszym przyjazdem zamknąłem ją w kojcu za domem.

– A małżonek Jankowskiej? Jeśli nie małżonek, to kochanek czy konkubent? Brat, siostra? Jakieś dzieci?

– Z mężem rozwiodła się chyba sześć lat temu. Jankowski ożenił się z koleżanką z uczelni i wyjechał do Australi. Prawdopodobnie

jest wykładowcą na uniwersytecie w Adelajdzie. Czy Ewa Jankowska ma brata lub siostrę i jeśli ma, to gdzie mieszkają, tego nie wiem. Za krótko i za mało ją znam. – Nie przyznał się, że spędził z Jankowską jedną noc nie tylko na rozmowie o archeologi i cywilizacji łużyckiej.

– Postawienie domu w tym miejscu...

– Raczej dworku – Bojko przerwał Nataszy. – Kogo stać na coś takiego? – Pokazał ręką na parapety z granitu. – Wybudowanie kosztowało, a czy na utrzymanie takiej posesji jedna pensja wystarczy? Ona powinna mieszkać w bloku.

– Z tego, co powiedziała doktor Kamińska, zrozumiałam, że Jankowska pracuje jako archeolog. Czyżby archeologom tak dobrze się wiodło, że stać ich na dworek pod lasem okolony kutym płotem, toyotę land cruiser? W sypialni, pokoju gościnnym, gabinecie, kuchni pewnie wszystko również pierwszego sortu.

Gdy Jung pierwszy raz znalazł się na Radosnej, takie same pytania przyszły mu do głowy. Nie od razu Jankowska odpowiedziała, że dworek stanął za pieniądze profesora Pośledniego. Wszystko, co się w nim znajduje, też kupił Pośledni. Potem przyznała się, że została jego kochanką i planowali wspólną przyszłość.

– A skąd Pośledni miał pieniądze na dworek?

– Zeby tylko na ten dworek – Natasza weszła w zdanie Bojce. – Byłeś na Kwiatowym, widziałeś jego posiadłość? Ile tamto cacko mogło go kosztować? A jeszcze pomagał finansowo Alanowi i Marcie. Właściwie to ich utrzymywał. Jak to możliwe, żeby archeologa, nawet z tytułem profesora zwyczajnego, było stać na takie wydatki?

– Był rektorem prywatnej uczelni. Zasiadał w komisjach rządowych. Jeździł z wykładami po całym świecie. Kilka uczelni zagranicznych nadało mu doktorat honoris causa – Jung bronił Pośledniego, chociaż i on nie wierzył, że są to zajęcia przynoszące wielki dochód. Miśka pracuje na uniwersytecie, wprawdzie jako specjalistka z zakresu patomorfologi nie zarejestrowała prywatnej

praktyki lekarskiej, ale kieruje kliniką, przeprowadza ekspertyzy na zamówienie, wykłada na Węgrzech, uczestniczy w ministerialnych komisjach, a jeszcze nie uzbierała tyle pieniędzy, żeby wystarczyło na budowę domu.

Na drodze pod lasem pokazał się srebrzysty volkswagen cross. Dwie minuty później samochód zatrzymał się przy płocie na Radosnej. Wysiadła z niego Marta i profesor Stonoga.

– Pan tu, redaktorze? Co pan robi przed domem pani doktor? – spytała zaskoczona Marta. Zanim zaczął odpowiadać, wyjaśniła, że przyjechała z nowym rektorem do Ewy Jankowskiej nie na pogawędkę. – Zajmuje się pan kwestiami kryminalnymi, a więc nie był pan na wczorajszej konferencji prasowej w naszej uczelni, tak, dlatego pozwolę sobie przedstawić nowego rektora. – Stonoga zapiął marynarkę na oba guziki, po czym podniósł głowę, wyprostował plecy i wyciągnął rękę do Junga. – Mnie pan profesor zaproponował kierowanie sekretariatem rektora.

– Od założenia uczelni kierowniczką sekretariatu jest doktor Ewa Jankowska – przerwał jej Jung.

– Była – powiedział Stonoga. – Od wczoraj szefową mojego sekretariatu jest – uśmiechnął się do Marty – pani Pośledni.

– A doktor Jankowska?

– Jako rektor mam prawo dobierać sobie kadrę administracyjną. Czy uważa pan inaczej?

Jung pomyślał, że Stonoga nie spodziewał się zastać go przed domem Jankowskiej na Edenie. A ponieważ na odwrót jest za późno, udaje, że nie wie, kim jestem. Może nie wiedzieć, co tu robię, ale na pewno dobrze wie, kim jestem i że od kilku dni usiłuję z nim porozmawiać, przed czym on się broni. Przeniósł wzrok na tablicę rejestracyjną i patrzył tak długo, aż zauważył to Stonoga. Nie miał wątpliwości, że jest to ten sam cross, który stał na parkingu przed instytutem anatomi w Dreźnie i który sfotografował Nogal najpierw przed domem Pośledniego na Kwiatowym, potem na parkingu przy cmentarzu Nowym.

– Ponieważ doktor Jankowska ani wczoraj, ani dziś nie pokazała się na uczelni, chciałam odebrać od niej klucz do tajnej kancelari i przekazać decyzję o zmianie warunków zatrudnienia. Jednak miałam obawy, czy sama powinnam tu przyjechać. Panu rektorowi bardzo zależy na właściwym przygotowaniu uczelni do rozpoczęcia nowego roku akademickiego – Marta posłała uśmiech do Stonogi. Nie odpowiedział, jakby ją zlekceważył albo uznał to za spoufalanie się przy obcych. – Możemy wejść do domu? Państwo nas przepuszczą, tak?

– Zrozumiałem, że redaktora Junga państwo znają. Sierżant Woźniak-Araszkiewicz i starszy aspirant sztabowy Bojko z wydziału kryminalnego zielonogórskiej policji. – Artur nieznacznie się ukłonił. – Niestety, odebranie dziś kluczy do tajnej kancelari uczelni nie będzie możliwe. Prawdopodobnie również jutro. I być może w ciągu najbliższych dni.

– A to dlaczego? – ożywił się Stonoga, prostując plecy i podnosząc głos. – Jestem rektorem tej uczelni.

– A dlatego, panie rektorze elekcie, że doktor Jankowska nie może go wydać osobiście. Kilkanaście minut karetka zabrała ją do szpitala. Jak długo będzie tam przebywała? Przypuszczam, że na razie na to pytanie nikt nie odpowie. – Jung przyszpilił Stonogę wzrokiem.

– Pani Marta musi dostać się do dokumentów. Pilnie musi powiadomić ministerstwo o wyborze mnie na rektora.

– Zdrowie doktor Jankowskiej jest ważniejsze, z czego pan jako lekarz medycyny z wykształcenia z pewnością zdaje sobie sprawę. Proszę wrócić na uczelnię i trzymać kciuki za szczęśliwy powrót doktor Jankowskiej do zdrowia.

Stonoga otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko przeciął ręką powietrze. Po namyśle rzucił do Marty:

– Mówiłem, żebyś najpierw zadzwoniła.

– Nie sądziłam, że coś się stało.

– Wracamy – zarządził Stonoga wyraźnie zirytowany.

Policjanci milczeli i Jung milczał. Dopiero gdy cross

zaczął wspinać się na wzgórze, Bojko powiedział:

– Też mi rektor. Wszędzie w tej samej marynarce. Czy ktoś, kto nie dba o swój wygląd, będzie miał szacunek u studentów?

– Moją uwagę zwróciło to, że zapiął oba guziki – przyznała się Natasza.

– Ale nie wypastował mokasynów – zadrwił Jung.

– Wiem, co masz na myśli. – Ponieważ Jung zrobił pytające oczy, Bojko szybko dodał: – W pracowni Pośledniego nasi technicy znaleźli duży złoty guzik z czarnym napisem Kidel. Identyczny jak te przy marynarce Stonogi, ale jej nie brakuje guzika.

– Producenci odzieży dodają po jednym dużym i małym guziku na zapas. Taki praktyczny przepis wydali unijni urzędnicy.

– Według pułkownika Nogala w piątek i sobotę, dwa tygodnie wstecz, do domu Pośledniego zaglądały trzy osoby. Stonoga, Alan i Marta. Był ktoś czwarty? Pytanie: kto?

I dlaczego Nogal nie widział tej osoby?

– Jagoda Zasada.

– Jagoda nie nosi męskiej marynarki. – Artur Bojko natychmiast stanął w obronie bratowej. – To ta czwarta osoba mogła zrobić zastrzyk profesorowi Pośledniemu. Podkreślam: mogła, ale nie musiała.

– Zastrzyk zrobił Alan, tak uznał prokurator – przypomniała Natasza tonem budzącym wątpliwości.

Zielonagóra, al. Wojska Polskiego,
wtorek, wczesnym popołudniem

Jung zaczął rozmowę z Barbarą Liberą od pogratulowania jej tytułu profesorskiego, który otrzymała jeszcze przed wakacjami. Dawniej przychodził do niej na uczelnię dwa, trzy razy w miesiącu i dzwonił kilka razy na tydzień. Od końca czerwca nie rozmawiał z nią nawet przez telefon.

– Gratulacje przyjmuję z ogromną przyjemnością, panie Danielu, tym bardziej że złożył mi je zaprzyjaźniony dziennikarz, były detektyw policyjny i niedoszły psycholog, czego nauka powinna żałować. Byłby pan niedoścignionym profilerem – stwierdziła kolejny raz. – Jeżeli ma pan coś pilnego do mnie, zapraszam jutro z rana. Do dziś przebywam na urlopie wypoczynkowym. Zastał mnie pan w instytucie tylko dlatego, że nawalił mój domowy komputer, a dziś jest ostatni termin płacenia za wodę i prąd. Nie wypada, żeby osoba mianowana na stanowisko profesorki zwyczajnej, specjalistka w zakresie psychologi śledczej, miała zaległości wobec dostawców mediów.

– Policjanci prosili panią o sporządzenie raportu wiktymologicznego ndotyczącego profesora Pośledniego. – Jung nie przyznał się, że o tym dowiedział się od Artura Bojki, gdy w niedzielę wieczorem wiózł go z Zatonia do komendy.

– Kiedy zadzwoniła nadkomisarz Mrozińska, byłam na wczasach w Grecji. Obiecałam jej, że spróbuję się tym zająć zaraz po powrocie do kraju. Jednak drogą elektroniczną przysłała mi garść materiałów ze śledztwa. Nawet zaczęłam klecić profil sprawcy. Dwa dni później komisarz znowu zadzwoniła i odwołała zamówienie. Dlaczego, tego nie wyjaśniła, a ja nie miałam odwagi dociekać. Tyle wiem na ten temat.

– Prokuratura uznała, że Alan, syn profesora, podał ojcu silny lek, który był przyczyną jego śmierci. Kilka dni później nurkowie wyciągnęli ciało młodego Pośledniego z jeziora za pałacem w Brodach. I na tej podstawie prokuratura umorzyła śledztwo.

– A panu jako reporterowi śledczemu to wyraźnie nie pasuje? – zaciekawiła się profesorka.

Jung wolno pokiwał głową, po czym powiedział:

– Na razie sprawa jest poszlakowa. Bez sporządzenia studium ofiary nic się nie zmieni. Policja prowadziła śledztwo, o ile wiem, robiła to niedokładnie. Ślamazarnie. Tak jakby nie wiedziała od czego zacząć lub wierzyła, że uda się wskazać sprawcę. Mimo to

wykluczyła Alana, syna profesora Pośledniego, z grona podejrzanych. Był lekkoduchem, ale nie idiotą palącym za sobą mosty. Gdyby nie ojciec, nie miałby salonu z odzieżą francuską, który go utrzymywał, i nie miałby za co uprawiać nurkowania. Nurkowanie to jego miłość. Dlatego identycznie jak policja nie uważam Alana za sprawcę. Z grona podejrzanych wykluczyłem Martę, córkę Pośledniego i przyrodnią siostrę Alana. Też traktowała kasę ojca jak studnię bez dna. Udział Bożeny, żony profesora, nie został ani potwierdzony, ani wyeliminowany. Prawdę mówiąc, to policja go nie badała nawet wstępnie.

– A pan ma jakąś hipotezę, prawda? Mogę ją poznać?

Jung powiedział, że irytuje go Grzegorz Stonoga i wszystko, co wokół niego się dzieje. Dostrzegł skumulowanie zdarzeń. Przypadek czy zaplanowana kampania? Jeżeli kampania, to kto jest jej pomysłodawcą? Stonoga osobiście?

– On mnie unika. Powiem więcej: Stonoga mnie się boi. A boi się dlatego, że jest coś, co go dotyczy, a czego ja się nie domyślam. Co jest wbrew prawu. Co, gdy się wyda, sprowadzi go do parteru. Skaże na niebyt w nauce do grobowej deski i jeszcze dłużej. Nikt nie zaprosi go na sympozjum. Nikt nie zleci mu nawet najdrobniejszej ekspertyzy.

– W dostarczonych mi materiałach ze śledztwa nie ma nic o Stonodze. O Alanie jest mniej więcej to, co pan powiedział. Marta nie za bardzo lubiła ojca. Tak wynika z tego, co przekazała mi komisarz Mrozińska. Bożena Pośladnia jako żona prowadziła z nim dwuznaczną grę. Była ze Stefanem, wyciągała rękę po jego pieniądze, a jednocześnie zachowywała się tak, jakby jej na nim nie zależało. Aż taka tolerancyjna? Rodzaj pokuty?

– Zadałbym inne pytania. Dlaczego Bożena wyszła za Stefana? Musiała? Dlaczego, skoro ją zdradził, o czym wiedziała, nie odeszła od niego?

Profesor Libera się roześmiała.

– Może tak było wygodniej. Właściwie nikt z bliskiej rodziny nie

lubił Stefana Pośledniego. Jest pan ciekawy dlaczego? – spytała, a Jung kiwnął głową. – Na podstawie tego, co do mnie dotarło, doszłam do wniosku, że Stefan Pośledni był stanowczy wtedy, kiedy nie powinien być stanowczy. Apodyktyczny. Wymagający od innych, ale nie od siebie. Zachowywał się tak, jak zachowują się osoby, które zdają sobie sprawę z tego, że zgrzeszyły, ale wyspowiadają się i dostaną rozgrzeszenie. I tak spędzą swoje życie. Pośledni miał jeszcze jedną wadę: nie tolerował odmiennego zdania. To cecha osób, które osiągają sukcesy błyskawicznie, tyle że na krótko. I z tego także zdają sobie z tego sprawę. Dlatego póki są na szczycie, chcą czerpać jak najwięcej profitów. Wyraźnie na zapas. Zastanawia mnie, panie Danielu, dlaczego nie znalazł się nikt, kto miałby odwagę wytknąć to Pośledniemu. Nikt spośród archeologów, nikt na uczelni i nikt w rodzinie. Archeologów i pracowników uczelni rozumiem. Od jego widzimisię zależały ich awanse i kariery, stopnie naukowe, opinie, publikacje i tak dalej. Rodzina. Dlaczego żona milczała, mimo że wiedziała o przyjaciółce męża? Córka i syn także. A domyśla się pan, dlaczego wszyscy tak się zachowywali? – spytała Libera, ale nie czekała na odpowiedź Junga. – Córka i syn, na co pan zwrócił uwagę, ze względu na pieniądze, które ojciec im wypłacał. Bez jego wsparcia finansowego nie mieliby niczego. Zona zaś... – zawiesiła głos. – Stefan Pośledni miał przyjaciółkę. Kochankę. Bożena Pośledna także miała przyjaciela. Kochanka. Wiedział pan o tym?

Jung nie zaprzeczył.

– Przypuszczam, że Stonoga znał tajemnice tej rodziny. Nie udało mi się ustalić na sto procent, że obu, Pośledniego i Stonogę, poza nauką łączy pokrewieństwo. Mój kolega, który również interesuje się tą sprawą... – urwał. Na razie nie chciał ujawniać, jakie wnioski przekazał mu Feim Vlashi.

– Sprawy w rodzaju kochanek/kochanka długo nie utrzymują się w tajemnicy. Ludzie są tak skonstruowani psychicznie, że wcześniej czy później wszystkiego się dowiedzą. A jeżeli sami tego nie

zauważą, to ktoś im doniesie. Najczęściej tak zwani życzliwi. Mówię o tym nie tyle opierając się na badaniach naukowych, co na podstawie osobistego doświadczenia. Przy okazji, mam do pana pretensję, bo pan wiedział, co robił mój Maciek. Dobrze, dajmy temu spokój. Tylko ze względu na dziecko żyjemy pod jednym dachem, ale obok siebie.

Jung spuścił wzrok. Oczywiście wiedział o romansie męża Barbary z plastyczką, którą Libera przyjął do pracy w swojej agencji. Ale ponieważ dał mu słowo, że przed nikim się nie wygada, milczał na ten temat nawet w gabinecie jego żony.

A czy tylko winni są mężczyźni? Kobiety nie mają żadnych grzechów na sumieniu? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, powtórzył w myślach po Miśce i postanowił, że od tej chwili będzie traktował Magdę jedynie jak koleżankę.

Profesor Libera uruchomiła komputer i zanim Jung posłał jej pytające spojrzenie, wpisała w wyszukiwarce hasło: Uniwersytet Techniczny w Dreźnie. Z długiego spisu adresów wybrała tu-dresden.de. W okienku zakładki, gdzie był przewodnik po uczelni, wpisała Grzegorz Stonoga i zaraz poprawiła to na Stonoga, Gregor. Na ekranie pojawiło się osiem stron informacji, większość po niemiecku, angielsku i rosyjsku.

– Absolwent wydziału lekarskiego Uniwersytetu Zielonogórskiego, aktualnie zatrudniony w instytucie anatomi, samodzielny pracownik naukowo-badawczy, specjalność osteorologia w zakresie antropologi archeologicznej. Z czym to się je?

– Gdyby nie to, że w pałacu na Zatoniu znaleziono szczątki dziecka, o czym „Zielonogórska" napisała w sierpniu, również byłbym zielony. Szperałem w Wikipedi. Osteorologia, pani profesor, to nauka o układach kostnych ludzi i zwierząt. W specjalności Stonogi chodzi o szkielety wydobywane na wykopaliskach. Bardzo rzadka umiejętność. Zdążyłem się dowiedzieć, że na świecie takich specjalistów można policzyć na palcach obu rąk.

– A – mruknęła Libera, jakby to jej nie zdziwiło. – Dalej są

tematy rozprawy doktorskiej i habilitacyjnej, miejsca ich obrony i nazwiska opiekunów. Stonoga wypromował czterech doktorów. Jest recenzentem prac doktorskich, między innymi napisanej przez Karin Stenzel na temat organizacji hutnictwa żelaza w szóstym wieku przed naszą erą w okolicach Eisleben w Saksoni. A to ciekawe.

Jung przypomniał sobie, że Ewa Jankowska wspominała mu o tej rozprawie. Do zrecenzowania dostał ją profesor Pośledni, lecz uznał, że praca nie spełnia wymogów stawianych dysertacjom doktorskim i odmówił wydania jakiejkolwiek opini. Robił tak zawsze, gdy coś nie było po jego myśli. Mógł zadzwonić do Stonogi i przekazać mu swoje uwagi, ale uważał, że tak będzie lepiej, bo nie ma badaczy doskonałych i nie ma doskonałych promotorów.

– Karin Stenzel jednak obroniła doktorat. Gdzie? Może właśnie w Dreźnie. I w niedzielę została wybrana na prorektora.

– W Dreźnie?

– Rektorem naszej Wyższej Szkoły Archeologi został Grzegorz Stonoga. Karin Stenzel jest jego zastępczynią do spraw nauki i współpracy z zagranicą. Na kanclerza senat powołał Neimanna.

– O, kurwa – rzuciła profesor Libera i zaraz zatkała dłonią usta. – Przepraszam, panie Danielu – powiedziała po chwili cokolwiek zawstydzona. – To teraz były esbek będzie rządził uczelnią?

– Może to nie esbek, a iluminauta? Czytelnicy fantastyki twierdzą, że iluminauci są wszędzie od dawna.

– Jak tu nie wierzyć w moc sprawczą Klubu Büderberg[20]? – wywnioskowała.

Zielonagóra, os. Kamieni Szlachetnych,
wtorek, wczesnym wieczorem

Alina Pośledna w ogóle nie zaciekawiła się, co Junga interesuje. Odpowiedziała, że dopiero wieczorem może się z nim spotkać w salonie przy Kupieckiej, restauracji Essenza czy tam, dokąd ją zaprosi.

– Chciałbym, żeby ta rozmowa odbyła się w pani domu.

– Dziś wieczorem nigdzie się nie wybieram. Dwadzieścia minut po zamknięciu salonu będę na Bursztynowej. Jesteśmy umówieni, panie redaktorze – stwierdziła, nie czekając na jego odpowiedź.

W tej części miasta ostatni raz Jung był jeszcze jako policjant. Mimo że namierzył pasera, pośrednictwa w handlu szablami wykradzionymi z muzeum mu nie udowodnił. Zresztą następnego dnia wezwał go zastępca komendanta i niczego nie wyjaśniając, o nic nie pytając ani go nie ochrzaniając, ani chwaląc, kazał omijać dzielnicę Jendrzychów. Od tamtego czasu nigdy nie zajrzał na osiedle Kamieni Szlachetnych wyrosłe na skraju lasu. Ibizkę zaparkował przed latarnią przy wjeździe na Bursztynową. Nie spodziewał się, że tam, gdzie smagłe sosny bujały się na wietrze, zobaczy sklonowane dworki szlacheckie, przy nich baseny jak termy w Burgu, okolone wypielęgnowanymi szuwarami oczka wodne z zawieszonymi nad nimi mostkami, wychuchane korty do gry w tenisa, winnice, zimowe ogrody, szpalery iglaków, ozdobne płoty z kutego metalu. Czym zajmują się ci, do których to należy? W jaki sposób zdobyli pieniądze? Nawet jeśli zadłużyli się w banku, to muszą spłacać raty.

Utrzymywanie w należytym porządku tego, co jest przy dworkach, oznacza niemałe wydatki. Nie wierzę, żeby ich właściciele czekali do soboty, kiedy nie muszą pracować, i sami strzygli trawniki, czyścili baseny, przycinali winne krzewy, podlewali kwiaty. Pewnie płacą specjalistycznym firmom albo wynajmują tanich robotników z Ukrainy. Zamyślony nie zauważył, kiedy przyjechała Poślednia. Gdyby nie spytała, czy nazywa się Daniel Jung i czy na nią czeka, stałby przy samochodzie zapatrzony w krajobraz osiedla.

– Za kawę, herbatę i cokolwiek innego do picia dziękuję – powiedział zaraz za progiem. – Prowadzę dziennikarskie śledztwo dotyczące nagłej śmierci Stefana Pośledniego – zaakcentował ostatnie słowa. – Mimo że prokuratura umorzyła sprawę, staram się

wyjaśnić, kto faktycznie doprowadził do zgonu profesora. A potem może uda mi się wyjaśnić, dlaczego tak się stało.

– Ja też nie wierzę, że Alan ma cokolwiek wspólnego ze śmiercią teścia. Alan był porywczy, buntował się przeciw ojcu, ale nie mógł tego zrobić.

– Do rzeczy. Mnie interesuje, czy pani mąż nosił garnitur lub samą marynarkę firmy Kidel.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Najpierw proszę odpowiedzieć.

– Dawniej współpracowałam z Kidlem. To firma niemiecko-francuska od zawsze szyjąca ubiory dla średniego i starszego pokolenia raczej zamożniejszych mężczyzn – wyjaśniła Pośledna, czym zaskoczyła Junga. Otworzyła garderobę i powiedziała, żeby sprawdził jej zawartość. – Jeszcze niczego, co należało do Alana, nikomu nie wydałam. Pewnie któregoś dnia poproszę Jagodę, żeby spakowała jego ciuchy i wywiozła je do magazynów Caritas na Dworcowej.

Całą prawą stronę zajmowały sukienki, bluzki, kardigany, garsonki, żakiety, tuniki, spódnice, kamizelki i jeszcze coś, czego Jung nie potrafił nazwać i nie wiedział do czego służy. Niemal identycznie wygląda garderoba Miśki. Po lewej wisiały dwa męskie garnitury, oba skrojone według ostatniej mody, i granatowa marynarka w klasycznym stylu zapinana na jeden czerwony guzik. Zaskoczyło go, że tak mało odzieży należało do Alana.

– Mąż preferował sportowe bluzy i kurtki. Do tego zawsze nosił markowe dżinsy. Nawet do kościoła ubierał się jak na zebranie. Takim ubiorem zmuszał mnie do chodzenia w spodniach, chociaż jak każda kobieta wolałabym pokazać się w sukience z dekoltem. Tylko na ślub i zabawę sylwestrową zakładał co innego. Właściwie to w garnitur ubierał się dwa, trzy razy w roku.

Jung powiedział, że na razie brakuje dowodów winy Alana. Jego zdaniem osobą, która zrobiła śmiertelny zastrzyk Stefanowi Pośledniemu, mógł być mężczyzna noszący odzież z Kidla. W

pracowni profesora znaleziono złoty guzik z wytłoczonymi czarnymi literami układającymi się w nazwę tej firmy. Nie wyjawił, kto natrafił na ten guzik i od kogo o tym wie. Nawet gdyby Poślednią to zaciekawiło, nie odpowiedziałby na pytanie wprost.

– Czy pani teściowa, mam na myśli Bożenę Poślednią, nosi perukę? – spytał, nie wyjaśniając, że w pracowni profesora technicy kryminalni znaleźli włos w otoczce kleju lub lakieru.

– Moda z perukami dawno minęła. Dziś peruki noszą kobiety leczone onkologicznie i to tylko do czasu, aż odrosną im włosy. Nie znam nikogo z bliższej rodziny mojego męża, kto chorował na nowotwór.

– Jagoda Bojko także nie nosi peruki?

– Każda kobieta chciałaby mieć tak gęste włosy, jakie Pan Bóg dał Jagodzie. A dlaczego pan pyta o perukę?

– Dziękuję za wyjaśnienia – uśmiechnął się, nie odpowiadając na jej pytanie. – Jeżeli jeszcze coś przyjdzie mi do głowy, odezwę się do pani.

– Niczego nie ukryłam przed policją. Nie ukryję przed panem redaktorem. Zależy mi na potwierdzeniu, że Alan jest niewinny. Życzę, żeby panu to się udało – rzuciła, gdy Jung ruszył w stronę drzwi.

– Mam nadzieję, że sprawę doprowadzę do końca. Przypuszczalnie jestem na dobrej drodze.

– Na pana miejscu zainteresowałabym się tym, jak doszło do tego, że profesor Stonoga został wybrany na rektora uczelni stworzonej przez mojego teścia. I że mojej bratowej zaproponował kierowanie sekretariatem uczelni. Przecież ona nie ma pojęcia o tym, czym ma się zajmować. – Jung zatrzymał się i chciał wyjaśnić, że Marta jest kierowniczką biura rektoratu, gdy Poślednia dodała:

– Dlatego musiała pozbyć się apteki. Zresztą tak będzie lepiej, bo Marta nie była stworzona do prowadzenia tego interesu. Do żadnego interesu.

– Co to znaczy, że musiała pozbyć się apteki? Ktoś ją do tego

zmusił? Kiedy? Kto? Chyba nie profesor Stonoga.

– Niemiecka żona Stonogi ma kilka aptek tworzących sieć Schwan w Dreźnie, Lipsku, Chemnitz i jeszcze gdzieś w Saksoni. Czy nie w Görlitz? Stonogowa postanowiła rozszerzyć swoją sieć o Polskę. Zaczyna od Zielonejgóry. U nas sieć będzie się nazywała Pod Łabędziem. Od ulicy, przy której jest apteka Marty.

– Aha. I dlatego odkupiła od niej aptekę – bardziej stwierdził niż spytał.

– Stonogowa dążyła do tego wcześniej, ale teść, Stefan Pośledni, który formalnie był właścicielem apteki, zresztą jak i salonu przy Kupieckiej, niczego, co należało do rodziny, nie miał zamiaru się pozbywać – tłumaczyła cierpliwie. – Boję się, że następny będzie salon.

– Nikt pani do tego nie zmusi.

– Stonogowa kupiła aptekę do spółki z Gremplerem. Tym od żużla, deweloperki, reklamy, ochrony i setki innych firm. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że uczelnia także do niego należy, a Stonoga dlatego został rektorem, żeby ułatwić mu wejście do kolejnego resortu.

Jung pomyślał, że w tym, co powiedziała Pośledna, może być sporo racji. Mimo to nie ciągnął rozmowy. Bez słowa położył swoją wizytówkę na stoliku pod lustrem i wyszedł z domu.

Zielonagóra, ul. Wazów, środa, przed południem

Jung podjechał ibizką pod główne wejście do szpitala, wrzucił monety do parkomatu i z biletem parkingowym wracał do samochodu, gdy pomyślał, że zanim wejdzie do sali, gdzie leży Ewa Jankowska, odwiedzi doktora Trzcinkę. Był ciekawy, czy specjaliści przebadali szczątki niemowlaka znalezione w ciągu kominowym zatońskiego pałacu w połowie sierpnia i jaką wydali opinię. W niedzielę wieczorem Artur Bojko powiedział mu, że zdaniem ojca to

jego pierworodny wnuk. Nieślubne dziecko siostry. Jung nie miał zamiaru napisać o tym w „Gazecie Zielonogórskiej". Gdyby jednak dowiedział się czegoś, co rzuca nieoczekiwany cień na zawiniątko, na pewno powie Kamilowi, z kim powinien porozmawiać.

– Z moich dotychczasowych kontaktów z dziennikarzami wynika, że najczęściej przeinaczają to, co im powiedziałem. Z jednym wyjątkiem. – Trzcinka zamilkł, jakby czekał na pytanie. Ponieważ Jung nie zainteresował się, kogo doktor ma na myśli, patomorfolog kontynuował: – Pan solidnie, bez przekłamań i zbędnych upiększeń, zawsze podaje to, co trzeba. Tyle czytelnikom wystarczy, żeby nie dociekali. I prokuratorom, żeby do mnie nie dzwonili z pretensjami.

– Wcale dobrze na tym nie wychodzę.

– Identycznie jak ja. A kto jest tym znanym przedsiębiorcą, który kupił pałac na Zatoniu? – zaciekawił się lekarz.

Jung zastanawiał się, czy powiedzieć prawdę, szczególnie że wobec Trzcinki miał dług wdzięczności. Od połowy sierpnia jest na przymusowym urlopie. Kiedy zadzwonił Kamil z błagalną prośbą, najpierw próbował go zbagatelizować. Dopiero gdy Kamil pożalił się, że wicenaczelna kazała mu napisać informację o znalezionym szkielecie, a nikt w komendzie i prokuraturze nie chce pisnąć słowem na ten temat, zdecydował się mu pomóc. W uniwersyteckim zakładzie medycyny sądowej Kamil nikogo nie znał. Dlatego zadzwonił do Junga. Ten kilkanaście minut później podyktował mu to, co ukazało się w „Zielonogórskiej".

– Tym znanym przedsiębiorcą jest Joachim Grempler. Wieść gminna niesie, że kupił pałac, a właściwie jego ruiny, za psie pieniądze.

– Grempler, Grempler? Coś mi to mówi. Już wiem. Przy bramie na teren kompleksu szpitalnego wisi tablica: „Obiekt monitorowany przez Grempler Security".

– Jest Grempler Security, Grempler House, Grempler Truck, Grempler Consulting, Grempler Catering. Grempler występuje w nazwach klubów: żużlowego, koszykówki męskiej i kobiecej, a

niedługo pewnie siatkówki i futbolu amerykańskiego. Wszedł nawet do spółki przejmującej apteki. Niebawem pan się dowie, że powstała firma Grempler Media. Potem może Grempler Factoring, Grempler Bank.

– Grempler In Memoriam. Żartowałem – usprawiedliwił się Trzcinka, widząc zakłopotaną minę Junga. – Ten Grempler musi mieć głowę do interesów albo szczęście. Albo postawił na łebskiego menedżera.

– Niech pan sobie wyobrazi, że menedżerem jest były esbek Waldemar Neimann. Negatywnie zweryfikowany na początku lat dziewięćdziesiątych, ale, o ile się na tym znam, najpewniej będący na usługach dzisiejszych służb. ABW nie przepuszcza takiej okazji, tym bardziej że Neimann jest prawą ręką Gremplera. Panie doktorze, kto raz został agentem, będzie nim aż do grobowej deski. Na wszelki wypadek ostrzegam, że lepiej zejść mu z drogi.

– Taki pewny siebie?

– Cyniczny, arogancki, pewny siebie. Po prostu bezwzględny cham do kwadratu. Skurwiel. Czego nasi nie nauczyli go w Starych Kiejkutach i gdzieś tam pod Warszawą, to zrobili enerdowcy w Golmie i Czesi w Holeszowie – powiedział Jung, dopiero teraz dodając, że przyszedł podziękować za informację o szkielecie niemowlaka. – A kiedy będzie wiadomo coś więcej?

– Nie jestem osteologiem, proszę więc, aby pan nie potraktował mojej opini jako ostatecznej wypowiedzi specjalisty. Mimo to założę się o butelkę armaniaku, że zawiniątko znajdowało się w kominie gdzieś od początku lat dziewięćdziesiątych zeszłego wieku. Może nawet i wcześniej. Części miękkie ciała dawno uległy rozkładowi. Większe kości zachowały się dlatego, że w kominie było sucho, przewiew i panowała stała temperatura. Identycznie zachowują się zwłoki zakonników w podziemiach starych kościołów czy klasztorów, gdzie występuje specyficzny mikroklimat. W kryptach zarówno zimą, jak i latem temperatura oraz wilgotność powietrza jest mniej więcej taka sama. Z podobnym zjawiskiem mamy do czy-

nienia w grobowcach.

– Jaki los czeka szczątki niemowlaka, jeśli to nie tajemnica lekarska?

– Zaraz po tym, jak zawiniątko znalazło się w zakładzie, zadzwoniłem do profesora Stonogi, którego znam jeszcze z czasów, gdy pracował w Zielonejgórze. Zgodził się je przebadać. Przypuszcza, że nie będzie sensacji. Bombą może okazać się bluza. Skontaktowałem się z naszym sztabem wojskowym. Obiecali sprawdzić, gdzie pracuje ktoś, kto zechce obejrzeć bluzę. Na tej podstawie będzie można spróbować określić, kiedy zawiniątko zostało ukryte w kominie.

– Bluza może pochodzić z demobilu. W trakcie winobrania wybrałem się na targi staroci. Widziałem tam nienoszone kalesony, wyprodukowane na zamówienie sudeckiego oddziału Wojsk Ochrony Pogranicza. Handlarze sprzedają nawet mundury Wehrmachtu i zapewniają, że są oryginalne.

Otworzyły się drzwi, stanął w nich Grzegorz Stonoga. Zobaczywszy Junga powiedział, że poczeka na korytarzu.

– Właśnie skończyliśmy. Redaktor Jung już wychodzi – orzekł Trzcinka, wyciągając rękę do Daniela.

Zielonagóra, ul. Wazów, środa, przed południem

Zawsze wejście do kliniki toksykologi było ograniczone. Mogli tam się dostać jedynie najbliżsi pacjentów i to za zgodą pielęgniarki oddziałowej. Jung miał nadzieję, że w dyżurce zastanie siostrę Magdy. Siedziała nad jakimiś papierami.

– Co należało do obowiązków lekarza, ordynator wykonał wczoraj. Policja nie postawiła anioła stróża przed drzwiami do sali, gdzie leży pani Jankowska. Zresztą pacjentka jak na kobietę po czterdziestce i po przedawkowaniu leków czuje się nie najgorzej. Tylko proszę nie rozmawiać z nią za długo. Góra dziesięć minut –

pielęgniarka powiedziała to pozornie nieobojętnym głosem. – Najpóźniej pojutrze pani Jankowska powinna zostać wypisana ze szpitala.

Jung nigdy nie pukał do drzwi w redakcji, komendzie czy na uniwersytecie, tym razem zastukał delikatnie. Nie usłyszawszy zaproszenia, nacisnął klamkę.

Ewa Jankowska leżała na łóżku, przykryta prawie po pachy. W lewą dłoń miała wbity zielony wenflon, połączony przezroczystym wężykiem z butelką zawieszoną na główce stojaka. Gdy zobaczyła Junga, najpierw się uśmiechnęła, a potem przymknęła powieki, jakby się wstydziła.

– Drugi raz w życiu zgłupiałam – powiedziała przepraszającym szeptem, odwróciwszy głowę w stronę okna.

Jung rozważał, czy podejść do łóżka i pocałować Ewę w policzek. A może lepiej położyć rękę na jej głowie i musnąć ustami czoło? Nie będzie się czuła taka samotna. W końcu zrobił kilka kroków, wierzchem dłoni dotknął jej bladawego policzka, wysunął taboret spod łóżka i na nim usiadł.

– Dziękuję, że przyszedłeś – uśmiechnęła się nieznacznie.

– Wyglądasz na taką, która najpóźniej jutro zostanie wypisana do domu – powtórzył to, co mu powiedziała pielęgniarka. – Jeżeli nic się nie zmieni, zadzwoń, to przyjadę po ciebie. Jako przymusowy urlopowicz mam dużo wolnego czasu.

– Komórka została w domu.

– No, tak. – Pomyślał, że przecież Ewa nie dostała się do szpitala samodzielnie. Ratownicy nawet nie pytali, jak nazywa się kandydatka na samobójczynię i kim on jest, że wezwał karetkę. – Poprosisz pielęgniarkę, żeby pozwoliła ci zadzwonić z telefonu służbowego. Albo nie. Zejdziesz na parter, tam przy drzwiach jest telefon ogólnodostępny. – Położył na szafce swoją wizytówkę. – A jak się czujesz?

– Idiotycznie. – Znowu odwróciła głowę w stronę okna, unikając jego wzroku. – Nie pytaj, co mnie podkusiło. Przepraszam, Daniel.

W życiu dwa razy zgłupiałam. Pierwszy raz wtedy, kiedy zostałam kochanką Stefana. Wczoraj drugi. Jeszcze raz przepraszam – powtórzyła, ale teraz głośniej. Wysunąwszy prawą rękę spod koca, opuszkami palców dotknęła dłoni Junga. – Czy ty wezwałeś karetkę?

Milcząco potwierdził. Przez chwilę żadne się nie odzywało. Jung nie wiedział, o co spytać, żeby nie wyszło głupio, chociaż kiedy wybierał się do szpitala, miał głowę wypchaną pytaniami. Ewʳa cieszyła się, że o nic nie pyta, jest przy jej łóżku i wstydziła się samej siebie. Prawdę mówiąc, to nikogo się nie spodziewała, nawet Junga.

– Kiedy poczujesz się lepiej...

– Nie jestem chora. Jestem kretynką. Mam ptasi móżdżek. Baba bez wyobraźni.

– ...odpowiesz na moje pytania dotyczące Wiciny i skarbu z Witaszkowa – zdecydował za nią. – Pamiątki odległej przeszłości powinny zaciekawić czytelników szczególnie teraz, kiedy w gazetach dominują informacje o malwersantach, terrorystach i bezradnych politykach. Ludzie mają tego dość.

Przeniosła na niego wzrok zza okna, milczała, jakby jeszcze nad czymś się zastanawiała, po czym powiedziała:

– Córka Stefana, Marta, jako dyrektorka rektoratu. Śmiech, po prostu śmiech. Ja byłam kierowniczką jednoosobowego biura. Nawet nie kierowniczką. Sekretarką. A Marta jako dyrektorka rektoratu jest również rzeczniczką prasową. Zapowiedziała, że bez jej akceptacji żadnemu pracownikowi uczelni nie wolno rozmawiać z dziennikarzami. Dotyczy to również wywiadów. Kto chce wziąć udział w konferencji naukowej i wygłosić referat, najpierw musi przedstawić tekst do akceptacji. Jej akceptacji. Daniel, czy to jest normalne?

– Moje pytania będą odnosiły się do skarbów i przypadkowych znalezisk. Niewiele osób zdaje sobie sprawę ze znaczenia tego, co chłop z Witaszkowa wyorał na swoim polu. Gdzie są te skarby? Czy można je zobaczyć? A przy okazji: jak powinien się zachować

współczesny znalazca?

– Chcesz, żebym została bezrobotną archeołożką? Mam na utrzymaniu psa. Ponadto dom i raty za toyotę. Do emerytury zostało mi prawie dwadzieścia lat. Poza archeologią na niczym się nie znam. Mimo doktoratu i rozpoczętej habilitacji nawet nie mogłabym być nauczycielką histori w podstawówce.

Słusznie, pomyślał i na jej prawej dłoni położył swoją lewą dłoń, co mogło oznaczać, że nie tylko z nią się zgadza, ale i rozumie obawy.

– Jak to się stało, że ani poprzedniego prorektora, ani ciebie nie ma we władzach uczelni? Same nowe osoby. W dodatku dotychczas bez związku z tą szkołą. Czy dlatego ty...? – A jednak spyta o to, co się wydarzyło. – Czy to miało wpływ na to, co zrobiłaś? Czy dlatego przedawkowałaś tabletki ?

Gdybyś wczoraj rano przyjechał na Eden tak jak prosiłam, nie nałykałabym się dormicum, pomyślała, patrząc na Junga zaczepnie. I postanowiła, że nie odpowie na jego pytanie, ale po chwili już chciała wylać z siebie żal i złość. Zaczęła od stwierdzenia, że Stonoga jest niebezpieczny.

– W mojej obecności podpowiedział dotychczasowemu prorektorowi, żeby kandydował na rektora, nie podając, kto będzie jego rywalem. Stonoga także namówił prorektora, żeby mnie przekonał do kandydowania na jego miejsce, a sam identyczną propozycję przekazał Karin Stenzel.

– Słyszałaś to?

– Wybory miały wyglądać na demokratyczne. I de facto takie były. Tyle że członkowie senatu dostali długopisy, każdy innego koloru, i wcześniej zostali poinstruowani, kogo muszą skreślić. Kto postąpi inaczej, niech nie spodziewa się przedłużenia umowy o pracę.

– Dziś ostatni dzwonek, żeby złożyć doniesienie do prokuratury. Jutro zacznie biec termin i będzie za późno.

– Domyślam się, bo nikt tego nie potwierdzi i brakuje dowodów,

że wszystko wymyślił Neimann, a zatwierdził Grempler. Od chwili wybrania Neimanna na sekretarza Fundacji „Wicina" ten facet mnie nachodził. On nigdy mi się nie podobał jako działacz. Jego nic nie łączy z archeologią. Od początku miał więcej do powiedzenia niż prezes, mimo że Stefan był pomysłodawcą i założycielem uczelni – powiedziała mocno podekscytowanym głosem. – Podsłuchałam, jak Neimann przekonywał Stonogę, że zastąpienie mnie Martą w rektoracie zostanie dobrze przyjęte, bo będzie oznaczało kontynuację dzieła Stefana. W rzeczywistości Marta nie ma nic do powiedzenia. Stonoga też zostanie odsunięty na boczny tor. Neimann jako kanclerz będzie rządził administracją i gospodarką szkoły. Będzie również wtrącał swoje trzy grosze do edukacji i badań.

Jung pomyślał, że wiele racji jest w tym, co Ewa powiedziała i czego się domyśla. Fundacja im. Heinricha Hrabiego Brühla wessała Fundację „Wicina" i stała się organem założycielskim Wyższej Szkoły Archeologi. Kto by to przewidział? I dlaczego tak się stało?

– To był pierwszy krok. Teraz trzeba się spodziewać czegoś gorszego – powiedziała Jankowska, patrząc Jungowi w oczy.

– Likwidacja uczelni? Przeniesienie jej do pałacu na Zatoniu? Co może być gorszego?

– Przejęcie, a właściwie zagarnięcie archiwum i zbiorów. Sporo tego jest. Najwięcej z Wiciny i Brodów. Im, mam na myśli głównie Neimanna, chodzi o Brody. O tę część serwisu Łabędziego, którą udało się pozbierać. To jest majątek niewyobrażalnej wartości pieniężnej, ale przede wszystkim artystycznej i historycznej. Każde muzeum na świecie chciałoby mieć serwis Łabędzi. I zapłaci każdą cenę.

Zielonagóra, ul. Kupiecka, środa, w południe

Przed wejściem do sali, w której leżała Ewa Jankowska, Jung wyłączył głośność komórki i włączył natężoną wibrację. Dwa razy

ktoś próbował z nim porozmawiać. Potem nadszedł SMS. Jeszcze w sali powinien zerknąć na wyświetlacz, ale nie chciał tego robić przy Ewie. Zrobił to zaraz za drzwiami. Informacja była od Aliny Pośledniej. Napisała, że to, co się jej przypomniało dziś rano, dotyczy peruki i dlatego powinno go zainteresować. Czeka do wieczora w salonie przy Kupieckiej. Jutro wyjeżdża na targi mody do Paryża. Wróci za trzy, cztery dni.

Przy skrzyżowaniu Niepodległości z Kupiecką minął skrzypka wyginającego się w rytm wygrywanej melodi. Rzucił mu kilka drobniaków. Nigdy tego nie robił, ale teraz pomyślał, że to może przyniesie mu szczęście.

Gdy tylko przekroczył próg salonu, wysoka dziewczyna w czarnych leginsach i karminowej tunice odsłaniającej lewe ramię oderwała wzrok od gazety, powiedziała „dzień dobry" i spytała, czym może służyć.

– Czeka na mnie właścicielka sklepu – rzucił, nie zatrzymując się przed pulpitem, zza którego dziewczyna szczerzyła zęby. Pomyślał, że Alina Poślednia nieprzypadkowo ją tu postawiła. Zgrabna i powabna sprzedawczyni przyciąga uwagę męskiej części klientów.

Zatrzymał się. Dziewczyna dalej stała z otwartymi ustami, ale już nie uśmiechała się do niego. Zrobiła ruch ręką w kierunku drewnianych schodów łączących parter z pierwszym piętrem. Dopiero teraz pomyślał, że dziewczyna nie jest zadowolona, bo nie zdobyła klienta, a pewnie jej zarobek zależy od tego, za ile sprzeda towar.

– Wczoraj wieczorem, kiedy pan redaktor obejrzał garderobę Alana, spytał pan, czy teściowa, Jagoda albo jeszcze ktoś, kto bywał w domu na Kwiatowym, nosi perukę – przypomniała mu Alina Poślednia. – Nie wyjaśnił pan, jaki to ma związek ze zgonem teścia, bo chyba pytanie nie było przypadkowe, prawda? Zresztą nie muszę tego wiedzieć. – Machnęła ręką, jakby nie czekała na jego odpowiedź. – Zależy mi wyłącznie, panie redaktorze, na ustaleniu faktów. Gdybym panu nie ufała bardziej niż policji i nie wierzyła, że

jest pan jedyną osobą, która po nitce dojdzie do kłębka, nie kontaktowałabym się z panem. Dlatego, kiedy okazało się to niemożliwe, wysłałam esemes. – Pokazała oczyma na komórkę leżącą na stoliku. – Panie redaktorze, coś sobie przypomniałam. Coś, co może okazać się istotne. Tak uważam. Będzie pan redaktor pierwszą osobą, której to przekażę.

Mówże, kobieto, ponaglił ją Jung w myślach.

– Otóż w połowie czerwca bieżącego roku mój salon zaopatrzył pewnego klienta w tupecik – kontynuowała, precyzyjnie dobierając słowa. – W zasadzie nie prowadzę sprzedaży peruk w ogóle, a tym bardziej dla mężczyzn, ale w dzisiejszych, trudnych dla handlowców czasach, każdy klient jest na wagę złota. Dosłownie, panie redaktorze. Ten klient, na oko, zbliżał się do sześćdziesiątki. Może troszkę więcej. Może troszkę mniej. Dobrze utrzymany. Idę o zakład, że bywa u kosmetyczki, co jest rzadkością w przypadku mężczyzn w jego wieku. Co innego dzisiejsi młodzi. Mój mąż... – urwała. Po chwili milczenia ciągnęła dalej: – Klient miał na czubku głowy doskonale dopasowany tupecik. Naprawdę perfekcyjnie. Chyba za granicą. Gdyby nie to, że przyznał się do noszenia tupeciku, nie uwierzyłabym, że to nie jego naturalne włosy. Chciał mieć jeszcze jeden w zapasie. Powiedział, że zależy mu na takim tupeciku, jaki nosił świętej pamięci ksiądz Twardowski. Nawiasem mówiąc, panie redaktorze, lubię wiersze księdza Jana. Pan pewnie także.

Jung nie zaprzeczył. Westchnął i przeniósł spojrzenie na zegar w stylu art deco stojący za staromodnym biurkiem, dając jej do zrozumienia, że czas to pieniądz.

– Ponieważ w sprzedaży od dawna nie miałam nawet jednego tupeciku, a nie chciałam stracić klienta, takiego klienta – podkreśliła powolnym wymachem rąk– zaproponowałam mu, że sprowadzę towar zgodnie z jego oczekiwaniem.

– Czego dotyczyło to oczekiwanie?

– Domagał się, żeby kolor włosów tupeciku był taki sam jak barwa jego baczków. Już nie szatyn i jeszcze nie siwy. Właściwie to

trudno je opisać. Producent peruk podpowiedział, żebym zrobiła zdjęcie głowy klienta komórką i je mu przesłała. Z początku klient się bronił, ale gdy powiedziałam, że nie ma innego wyjścia, pozwolił się sfotografować. Sądziłam, że się wstydzi, dlatego zaznaczyłam, że potrafię dochować tajemnicy.

– W Zielonejgórze jest ktoś, kto umie zrobić perukę? Chyba w teatrze?

– Peruki zazwyczaj noszą kobiety po chemioterapi. Chcą ładniej wyglądać. Łysy mężczyzna nie wywołuje sensacji. Łysa kobieta, nawet w chustce na głowie, już tak. Czy u nas ktoś robi peruki, panie redaktorze, nie wiem. Chyba jednak nie. Koleżanka prowadząca sklep przy wejściu do kliniki onkologi podała mi numer telefonu producenta w Poznaniu. Tam dowiedziałam się, że mężczyźni rzadko pytają o tupety. W zasadzie perukarze wykonują je na indywidualne zamówienia i jedynie z włosów naturalnych. Poznaniak, panie redaktorze, ten, z którym rozmawiałam przez telefon, skierował mnie do producenta we Wrocławiu. Następnego dnia po południu tupet był w moim salonie. Pewnie miał na składzie. Natychmiast zadzwoniłam do klienta. O, jeszcze kazałam ekspedientce zmienić opakowanie, bo to, w którym przyszło, panie redaktorze, było, delikatnie mówiąc, nieestetyczne.

– Chciałbym skontaktować się z producentem. Poda mi pani numer jego telefonu, nazwę firmy, adres? – spytał, a Poślednia, wyciągnąwszy rękę po komórkę leżącą na stoliku, kiwnęła głową. – To za chwilę – powiedział, wyjmując notes z torby. – Czy zna pani klienta, który zamówił tupecik?

Znowu kiwnęła głową.

– O wyborze władz Wyższej Szkoły Archeologi dowiedziałam się z radia. Zawsze jest nastawione na program regionalny. – Pokazała na odbiornik uczepiony ściany między oknami. – Zwykle słucham go jednym uchem, ale przedwczoraj było inaczej. Jakoś tak. I dowiedziałam się, kto został rektorem, kto jego zastępcą. Było też o Marcie. A dziś rano dziewczyna w karminowej tunice, która

przywitała pana redaktora na parterze, pokazała mi wczorajszą „Zielonogórską". Na trzeciej stronie jest relacja z konferencji prasowej w Wyższej Szkole Archeologi.

Jung pomyślał, że ostatni raz zaglądał do „Gazety" dwa tygodnie temu. Mimo to przytaknął, jakby chciał potwierdzić, że wie, co znajduje się na trzeciej stronie „Zielonogórskiej". A jeżeli Dżamila zmieniła treść informacji napisanej przez Magdę? Ale co mogła zmienić? Najwyżej skrócić i dodać komentarz.

– Oprócz tekstu jest tam zdjęcie. Niech pan redaktor sobie wyobrazi, że mężczyzna siedzący za stołem obok nowego rektora to... – urwała i zamilkła, jakby chciała dać czas Jungowi na to, żeby sobie przypomniał, kto jest na fotografi. A przecież to zdjęcie on zrobił. – Obok Marty, mojej szwagierki, mówię o zdjęciu, siedzi mężczyzna w tupeciku. W identycznym tupeciku jak ten, który sprowadziłam z Wrocławia w połowie czerwca bieżącego roku. Pamięć mam dobrą. To mój klient.

Podczas konferencji z brzegu po lewej stronie stołu siedział Neimann, przypomniał sobie Jung. On nosi tupecik? Robota perukarza na medal. Dotknąwszy ręką czubka swojej głowy pomyślał z radością, że skoro raz w miesiącu chodzi do fryzjera, nie powinien się zastanawiać, jak ukryć łysinę. Łysienie jest dziedziczne, zaczyna się po pięćdziesiątce, a jego dziadek i ojciec zawsze mieli włosy.

– Na pewno ten na zdjęciu i klient to ta sama osoba?

– Takiego klienta nie da się zapomnieć, panie redaktorze.

Zielonagóra, os. Słoneczne, środa, po południu

Wszystkie informacje, jakie Jung dotąd zdobywał i wykorzystywał do tego, co ukazywało się w „Zielonogórskiej", nawet

jeżeli pochodziły z mniej formalnych źródeł, nigdy nie były spreparowane w „Gazecie". Rzecznicy prasowi mówili tyle, ile pozwalali im ich szefowie. Świadkowie zdarzeń najpierw pytali, czy o tym, co wiedzą lub co widzieli, Jung na pewno napisze i kiedy to się ukaże. Tylko raz zdarzyło się, że rozmówca prosił o ukrycie swojego nazwiska, miejsca zamieszkania i zawodu. Miał do tego prawo, tym bardziej że chodziło o jego sąsiada, byłego urzędnika skarbowego, który całymi dniami obserwował mieszkańców podmiejskiego osiedla, straszył ich kontrolami, a nawet groził wezwaniem policji i przeprowadzeniem rewizji. Jungowi przypomniało się to, co napisał Gogol bodajże w liście do przyjaciela: „Nie ma ludzi absolutnie winnych i absolutnie niewinnych", ale nie powiedział tego na głos.

A teraz pierwszy raz w życiu musi zdobyć dowód winy drogą nieformalną. Im szybciej wybierze miejsce, gdzie będzie go szukał, tym większa pewność, że się uda. Najlepiej jeszcze dziś, ale jak to zrobić? Przecież nie stanie przed Neimannem, nie powie, że uważa go za osobę, która zrobiła śmiertelny zastrzyk profesorowi Pośledniemu. Najpierw brał pod uwagę guziki. Jeszcze ich nie odrzucił, chociaż doświadczenie mu podpowiada, że to marna poszlaka. Tym bardziej że przy marynarkach mężczyzn ubierających się w firmie Kidel, i które obejrzał, nie brakuje guzików. Wyłączając guzik i puszki po piwie Radeberger, technikom kryminalnym nie udało się znaleźć innych przedmiotów mogących należeć do sprawcy. Ilona Mrozińska, gdy rozmawiał z nią na temat zabójstwa na Kwiatowym, nie napomknęła ani o tym, ani o innym dowodzie wskazującym na domniemanego sprawcę, a przecież jeszcze był włos. Dlatego spytał, na jakiej podstawie, wbrew decyzji prokuratora, policja wykluczyła Alana Pośledniego z grona podejrzanych, ale nadkomisarz zbyła go milczeniem. Gdyby nie gadatliwy Artur Bojko, Jung nie wiedziałby o włosie znalezionym w pracowni Stefana Pośledniego. Czy jest to włos z peruki Neimanna? Mógł go tam zostawić, przecież pod nieobecność profesora bywał w domu na Kwiatowym. Jung wie o

tym od Nataszy, a ona od Nogala. Trzeba więc zdobyć włos z peruki i porównać go z tym, na który natrafili technicy.

Ale jak?

Przecież nie podejdzie do Neimanna i nie powie, żeby zdjął tupecik z głowy i pozwolił mu wyrwać włos, bo ma zamiar sprawdzić, czy jest taki sam, jak ten, który technicy policyjni wyłuskali w pracowni Pośledniego. Dowód winy Neimanna musi zdobyć w inny sposób.

Cale popołudnie zastanawiał się nad tym, jak niezauważenie wejść do mieszkania Neimanna i je przeszukać. Gdzieś na podłodze, przy kanapie, za fotelem, w splotach dywanu musi tkwić choćby ukruszony włos z tupeciku. Jung nigdy nie włamał się do biura czy cudzego domu, dlatego pomyślał o Feimie Vlashim. Skoro Albańczyk radzi sobie nawet w skrajnych sytuacjach, tyle razy mu pomagał, to i powinien znaleźć włos wyłamany z tupeciku. Jeden włos i wóz albo przewóz.

A który tupecik nosi Neimann: stary czy nowy? I gdzie przechowuje ten zapasowy? Jeżeli nie w mieszkaniu, to gdzie?

Pewnie w biurze klubu sportowego. Trzeba szybko się tam dostać, ale jak? Najpierw muszę sprawdzić, gdzie jest Neimann, zdecydował. Nie wierzył, że ktoś jeszcze będzie w biurze, mimo to zadzwonił i podał się za dziennikarza kroniki w „Wiadomości Żużlowych".

– Miał pan redaktor szczęście, że jeszcze nie wyszłam z biura, a już byłam przy drzwiach – usłyszał przymilający się głos kobiety. – Pewnie chce pan rozmawiać z dyrektorem Neimannem. Niestety, wyjechał do Drezna. Wróci dopiero jutro po południu. Jeżeli ma pan coś niecierpiącego zwłoki, proszę kontaktować się z nim przez komórkę. Zna pan numer?

– Oczywiście – zapewnił ją.

Czyli dziś muszę dostać się do biura klubu, zdecydował. Jak to zrobić, nie wiem. Nie chodziło mu o otwarcie zamka. Tego nauczyli go specjaliści na kursie w Holeszowie, zanim został policjantem kryminalnym. Chodziło o to, żeby ominąć wszystkie sygnalizatory,

jakie znajdują się w biurowcu klubu. Pamiętał z czasów, gdy zastępował Krzyśka w dziale sportowym, że przed parkiem maszyn wiszą takie same kamery jak na koronie stadionu, o czym informują żółte tablice: „Obiekt monitorowany przez Grempler Security". W dni powszednie, gdy żużlowcy trenują na torze, ochroniarze trzymają straż przy bramie głównej i wszystkich furtkach. Wtedy nawet przepustki z podpisem dyrektora klubu są nieważne. Po zakończonym treningu zawodnicy się myją, w kawiarence klubowej rozmawiają z mechanikami, po czym wracają do swoich samochodów zaparkowanych wzdłuż płotu. Wtedy ochroniarze zamykają bramę i do rana nikt nie pilnuje stadionu.

– Masz zdolności telepatyczne, Feim! – wykrzyknął Jung, gdy zobaczył na wyświetlaczu komórki, kto jest po drugiej stronie. – Właśnie o tobie myślałem.

– Moje źródło doniosło, że wczoraj Powsinoga znowu pojawił się w Brodach – powiedział Albańczyk.

– Powsinoga od dwóch tygodni nie żyje.

– Nie żyje profesor Stefan Pośledni. Powsinoga jest inny. Tak mówił kolega redaktor. Mówił kolega, że niewiadomo który jest prawdziwy. Wczoraj byt w Brodach ten drugi. On się nazywa Neimann. Waldemar Neimann.

Jung ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, tym bardziej że liczył na pomoc Feima. Dotąd Albańczyk zawsze był na jego zawołanie, a nawet, nad czym się zastanawiał, niekiedy wyprzedzał jego rozważania. Znowu przyszło mu na myśl, że gdyby był redaktorem naczelnym „Zielonogórskiej", zatrudniłby Feima w dziale kryminalnym. On ma talent śledczego. Po powrocie naczelnej z Norwegi, gdy szefowa wezwie go do swego gabinetu i w obecności milczącej Dżamili zmieni większość jej decyzji, Jung napomknie o Albańczyku. A jeśli Szpalta przyzna rację Dżamili?

Zielonagóra, ul. Przycmentarna,

środa, późnym wieczorem

Feim Vlashi wysiadł z autobusu na przystanku przy nieczynnej fabryce wódek. Stamtąd Jung zawiózł go na parking za stacją paliw, skąd do biurowca klubu było nie więcej niż dwieście metrów. Powiedział, że będzie czekał w ibizce po drugiej stronie ulicy, na Chmielnej, za drzewami osłaniającymi stary cmentarz żydowski.

– Jeszcze możesz się wycofać – mruknął Jung, chociaż nie wierzył, że Feim nie zrobi tego, co obiecał.

Albańczyk pokręcił głową, po czym powiedział przyciszonym głosem:

– Pierwszy raz włamałem się do dziekanatu wydziału prawa na uniwersytecie w Tiranie, kiedy byłem na trzecim roku studiów. Za wpisanie oceny dostatecznej do protokołu egzaminacyjnego wziąłem dwa dolce. Potem brałem po dziesięć od chłopaków i po dwadzieścia od dziewczyn. Czy zdajesz sobie sprawę, że niektórzy dzisiejsi adwokaci, doradcy prawni firm, ważni politycy ani razu nie zdawali egzaminu, a mają dyplomy ukończenia studiów? Jeden nawet był wiceministrem, krótko, ale był. – Nie czekając na komentarz łub pytania, wysiadł z „pięćsetki".

Połowa września w Albani zawsze była jeszcze skwarna i już pastelowa. Nawet w październiku słońce przygrzewało, jakby zapomniało, że każdy następny dzień będzie krótszy i najwyższa pora dać ludziom odpocząć od spiekoty. Toteż zaraz po przyjeździe do Polski Feim nie mógł się przyzwyczaić do końca lata w sierpniu i następujących po nim coraz chłodniejszych dni września. Mimo że do kalendarzowej jesieni pozostało więcej niż tydzień, Albańczyk czuł chłód jesiennego wieczoru na ramionach. Powinien cieplej się ubrać, ale grubsza bluza ograniczałaby mu ruchy, ponadto, co było ważniejsze, ta, która wisiała w szafie, nie miała kaptura. W Tiranie wtedy, kiedy włamywał się do dziekanatu wydziału prawa, przekonał się, że nic tak perfekcyjnie nie zastania twarzy jak cień rzucany przez kaptur.

Pierwsze, co zwróciło jego uwagę, gdy dotarł do parkanu biegnącego wokół stadionu, to przepalone żarówki w lampach łuku wiszącego nad główną bramą i mimo późnej pory spory ruch samochodów na Szosie Wrocławskiej. Pamiętał, że w poprzedni poniedziałek, kiedy na prośbę Junga robił zdjęcia podczas pogrzebu Poślednich, furtka na stadion od strony cmentarza Nowego była zamknięta na zwykłą kłódkę, którą da się otworzyć najprostszym wytrychem. Zdecydował, że tamtędy przedostanie się za ogrodzenie. Jednak zanim tam wejdzie, musi sprawdzić, czy na pewno nie ma żywej duszy w biurowcu i w żadnym oknie nie pali się światło. Żółte tablice wiszące na parkanie co kilkanaście metrów ostrzegały, że jest to obiekt monitorowany. Na czerwono pulsowała dioda kamery wciśniętej w narożnik nad lampą rzucającą wąziutką wiązkę światła na wejście do biurowca. Czyli drzwi są zamknięte zgodnie z instrukcją, pomyślał. Dlatego tamtędy nie będzie próbował dostać się do środka. A czy nie bezpieczniej właśnie tamtędy? Przecież gdyby szedł przy samej ścianie, to oko kamery go nie dostrzeże. Mimo to postanowił, że nie będzie ryzykował, bo może pod kamerą jest zainstalowana czujka ruchu. Gdy znajdzie się w jej zasięgu, w jednej chwili obudzą się wszystkie lampy wokół biurowca i automat uruchomi alarm, a wtedy dyżurny w centrali firmy Grempler Security natychmiast wyśle radiowóz z grupą operacyjną na Szosę Wrocławską i da znać policji.

Za ogrodzenie wkradł się przez furtkę od strony parkingu przy cmentarzu Nowym. Do biurowca wszedł przez drzwi z parku maszyn. Prawdopodobnie nikt nie trudził się, żeby je zamykać na klucz, o czym musieli wiedzieć żużlowcy, trenerzy, mechanicy i członkowie zarządu klubu. Sprawdziwszy, czy w środku są kamery lub czujki ruchu, świecąc latarką punktową, przekroczył próg parteru i po schodach dostał się na pierwsze piętro. Śmierdziało towotem i czymś podobnym. Na zielonych ścianach, które oświetlił lampką ledową, we wnęce na końcu korytarzyka zasłoniętej dyplomami, wisiała gablota wypełniona pucharami i medalami, przed nią stała

ogromna butla z wodą i automat do kawy. Środek zajmował stolik nakryty zielonym obrusikiem ze znakami klubu i dwa fotele obite tkaniną takiego samego koloru. Nawet popielniczka była zielona. Po przeciwnej stronie na drzwiach wisiała żółta tabliczka z zielonymi literami Dyrektor Zielonogórskiego Klubu Żużlowego „Grempler" (Wejście przez sekretariat).

Dopiero teraz Feim się zaniepokoił, bo jeżeli zamek w drzwiach będzie kodowany albo na kartę magnetyczną, albo, co Albańczyk widział w zakładzie pogrzebowym Credo, optyczny, to go nie otworzy, nie dostanie się do sekretariatu i stamtąd do gabinetu dyrektora. Mało nie parsknął śmiechem, gdy skierował wiązkę światła latarki na klamkę. Najzwyklejsza gerda. Zamki z takim mechanizmem Vlashi otwierał bez wysiłku jeszcze w szkole średniej. Wyjął z kieszeni dwa spinacze do papieru, rozprostował ich oba końce, po czym jeden wygiął w niewielki łuk i wetknął go tam, gdzie był otwór na klucz, drugim manewrował przy obudowie. Trzydzieści sekund później założył lateksowe rękawiczki na dłonie, nacisnął klamkę i niespiesznie, jakby nie był pewny, że nikogo tam nie zastanie, dostał się do sekretariatu. Na wprost były jeszcze jedne drzwi. Za nimi powinien się znajdować gabinet dyrektora klubu. Zanim tam wszedł, upewnił się, że w sekretariacie nie ma urządzeń rejestrujących.

Było tak, jak się spodziewał. Żadnej czujki ani kamery. Uspokojony tym, strumień światła latarki posłał w stronę narożnika na wprost okna, gdzie stało masywne biurko. Zrobił cztery kroki, odsunął fotel i zajrzał do szuflady pod blatem. Poza ogromną ilością zadrukowanych kartek niczego tam nie dostrzegł. W obu bocznych drzwiczkach tkwiły miniaturowe kopie takiego zamku, jak ten w drzwiach sekretariatu. Bez wysiłku otworzył drzwiczki z lewej strony. Na górnej półce leżał pistolet w kaburze i jeszcze coś, co przypominało kamizelkę kuloodporną, na dolnej były pieczątki w kuwetce, dziurkacz i notes z adresami. Nie po to Feim dostał się do gabinetu Neimanna. Jeżeli za drzwiczkami z prawej strony biurka nie

będzie peruki, to dupa blada. Znalezienie choćby jednego włosa na dywanie w świetle latarki graniczyło z cudem.

Kluczyk w zamku drzwiczek z prawej strony jakby na niego czekał. Feim ucieszył się, bo nie musiał dryblować spinaczami. Ucieszył się jeszcze bardziej, gdy na górnej półce wymacał tupecik. Feim pierwszy raz w życiu coś takiego wziął do ręki. Nigdy bym tego nie założył na głowę, stwierdził z obrzydzeniem akurat w chwili, gdy coś zaskrzypiało w sekretariacie. Wydawało mu się, że ktoś wszedł. Stanął przy ścianie i czekał.

– Pewnie włączył się telefaks – powiedział sam do siebie, ale nie był tego pewny.

Zielonagóra, ul. Kupiecka,
czwartek, przed południem

Ewa Jankowska zadzwoniła z pytaniem, czy dziś o jedenastej Daniel może ją odebrać ze szpitala i zawieźć do domu na Edenie. Mimo że czuje się nieźle, nie chciałaby jechać taksówką przede wszystkim ze względu na wścibską sąsiadkę z naprzeciwka. Podczas porannego obchodu ordynator toksykologi poradził, żeby ktoś, najlepiej bliski, towarzyszył jej nie tylko podczas powrotu ze szpitala, lecz i później był pod ręką w domu. To drugie będzie trudniej spełnić, pomyślał Jung. Przecież nie mogę z nią zamieszkać. Dziś wieczorem Miśka wraca ze Słowacji. Na razie obiecał, że zaparkuje samochód przed szpitalem i zniesie rzeczy Ewy do niego, a potem zawiezie ją na Eden. Po drodze zatrzyma się przed którymś marketem na obrzeżach miasta i zrobi podstawowe zakupy. Powiedział, że przyjedzie godzinę później, bo o tej porze musi być w laboratorium kryminalistycznym komendy. Z jego kierownikiem Jung zaczynał służbę w policji, potem razem zapisali się do sekcji motołotniarzy, niekiedy odwiedzają się w domach, a najczęściej spotykają się w restauracji Aeroplan po zakończeniu przelotów i przy

kawie biorą znajomych na języki. Jung dawno się przekonał, że jeżeli szef laboratorium kazał mu przyjechać punktualnie o jedenastej, to nie może spóźnić się nawet pięciu minut. Powinien był uprzedzić go, z czym przyjedzie i dlaczego tak mu się spieszy. Od wyniku badania tupeciku zależy, co napisze w reportażu, który, tego był pewny, spodoba się Szpalcie i dlatego ukaże się w przyszłotygodniowym magazynie „Zielonogórskiej". Tym razem Dżamila nie będzie miała nic do powiedzenia. Dyrektor wydawnictwa, gdy się dowie, że „Gazeta" rozeszła się na pniu, także będzie milczał.

Ledwie Jung skończył rozmowę z Ewą, odezwała się komórka. Dzwoniła Alina Poślednia. Prosiła, żeby punktualnie o dziesiątej przyszedł do salonu, bo ma coś, co na pewno go zainteresuje i może stanowić przełom w śledztwie. Na dziesiątą trzydzieści umówiła się z koleżanką, z którą pojutrze wybiera się do Paryża na targi, dlatego z nim może rozmawiać nie dłużej niż pół godziny.

– Na pewno nie będzie pan żałował – zakończyła rozmowę, nie pozwalając Jungowi nawet otworzyć ust.

Udało mu się znaleźć miejsce na parkingu przed kamienicą zajmowaną przez kurię diecezjalną i dlatego dwie minuty przed wyznaczonym czasem wszedł do salonu Alan & Alina.

– Jestem! – zawołał, widząc Poślednią na schodach. – Mam niewiele czasu. O jedenastej muszę być... – urwał. Co ją obchodzi, gdzie musi być o jedenastej?

– Zapraszam pana redaktora do mojego gabinetu. Na pewno nie będzie pan żałował – powtórzyła to, co powiedziała przez telefon.

Niczego nie tłumacząc, pokazała ręką na przezroczysty woreczek identyczny jak te, w których Miśka przechowuje zamrożone warzywa. Były w nim dwie białe naklejki. Na jednej widniał napis „Tupet męski z włosów naturalnych słowiańskich na mikroskórze". Na drugiej znajdowała się .nazwa firmy produkującej peruki i jej dane teleadresowe.

– W takim opakowaniu przyszedł tupecik zamówiony przez

Neimanna? – spytał zdziwiony, nie czekając, aż Poślednia wyjaśni, dlaczego prosiła go o przyjazd do salonu.

– Pomyślałam analogicznie jak pan redaktor, kiedy to zobaczyłam. Co jak co, ale tak rzadko sprzedawany przedmiot, jakim jest peruka męska, powinien znajdować się w bardziej wyrafinowanym opakowaniu, prawda? Dlatego kazałam ekspedientce znaleźć nietypowe pudełeczko, a przecież jest w czym wybierać, na komputerze zrobiłam normalną etykietkę, wydrukowałam ją na papierze samoprzylepnym i przykleiłam do nowego opakowania. Dopiero wtedy byłam zadowolona – powiedziała z dumą. – Ekspedientka robi jedynie to, za co jej płacę i co musi. Klientów niewielu, na pewno więc się nie przemęcza. A ponieważ nie powiedziałam wyraźnie, co ma zrobić z woreczkiem po tupeciku, wsadziła go między stare opakowania. Wczoraj, zaraz po wyjściu pana redaktora z salonu, spytałam, czy może zapamiętała, jak nazywał się producent peruk we Wrocławiu. A ona, że takimi sprawami nie zawraca sobie głowy, ale może sprawdzić, czy woreczek jest jeszcze tam, gdzie go wetknęła. Jaki woreczek? Ten, w którym firma z Wrocławia przysłała tupecik. Czyli, panie redaktorze, jak mówił mój lacinnik na uniwersytecie: *hoc est malum, nec bonum opus*[21].

– Nie rozumiem.

– Czyżby nie znał pan powiedzonek łacińskich? – spytała zdziwiona. Po chwili sama sobie wyjaśniła: – Prawda, teraz nawet w seminarium duchownym nie uczą łaciny. Księża odprawiają po polsku. Szkoda, że Kościół katolicki wycofał się z łaciny.

– Katolicy poszli po tropach Kościoła ewangelickiego, który pięćset lat temu uznał, że językiem liturgicznym powinien być język ojczysty, żeby wierni rozumieli, co ksiądz do nich mówi.

– Byłoby sprawiedliwiej, gdyby zamiast angielskim ludzie posługiwali się językiem łacińskim.

– Akurat mnie uczono łaciny w liceum. Miałem studiować medycynę, ale skończyłem psychologię i najpierw zostałem

policjantem, a potem dziennikarzem śledczym z przymusu – przyznał się Jung, podnosząc wzrok na Poślednią. – Nie rozumiem, dlaczego pani pokazała mi woreczek po tupeciku. To miałem na myśli.

– Ma pan prawo tego nie rozumieć. Już wyjaśniam. Otóż w woreczku znajdowały się dwa włosy. Odłamały się albo odkleiły od tego, do czego były przyklejone. A słyszałam, pan redaktor pewnie również, że w trakcie przeszukiwania gabinetu teścia policja znalazła włos z klejem. Pomyślałam więc, że to może pomóc.

Jung chciał powiedzieć, że powinna natychmiast zawiadomić nadkomisarz Mrozińską albo zawieźć woreczek do komendy, ale właśnie w tym momencie przypomniał sobie, że przecież prokurator uznał Alana Pośledniego za sprawcę i dlatego umorzył śledztwo. Inaczej to by wyglądało, gdyby Alan nie utopił się w Jeziorze Brodzkim.

– Pożyczę sobie woreczek – powiedział jakby nie był pewny, czy Poślednia jeszcze go wspiera. Nie przyznał się, że zawiezie woreczek razem z tupecikiem do kierownika laboratorium. Czy jest to najlepsza droga prowadząca do wskazania sprawcy, tego nie był pewien, ale przecież nie musi wykładać kawy na ławę. Rasowego reportera zawsze dręczą wątpliwości. Mimo to wierzy, że inteligentni czytelnicy sami potrafią wyciągać właściwe wnioski. Inaczej podchodzą do nich prokuratorzy. Traktują go jak intryganta. Swoimi tekstami Jung zmusza ich do wyjmowania z archiwum dokumentów spraw już zamkniętych, a to oznacza, że mają dodatkową robotę. Dlatego go nie lubią. – Za dzień, dwa wszystko zostanie wyjaśnione.

Zielonagóra, ul. Przy cmentarna,
czwartek, przed południem

Joachim Grempler tak rzadko przychodził do biura, że gdy sekretarka usłyszała jego głos odbijający się od ściany na parterze, natychmiast sięgnęła po kosmetyczkę, pociągnęła usta szminką,

chociaż piętnaście minut wcześniej na powitanie dyrektora Neimanna zrobiła to samo, podniosła się z krzesła i sprawdziła za drzwiami, czy to na pewno właściciel klubu żużlowego. Podobny glos ma szef stowarzyszenia kibiców.

– Kochany pan prezes znalazł czas, żeby nas odwiedzić – powitała go takim głosem, jakby rzeczywiście za nim tęskniła. Nie lubiła Gremplera. Zresztą także nie lubiła Neimanna, ale polecenia jednego i drugiego wykonywała bez dyskusji i ociągania. Pierwszy płacił jej kiepsko, jednak więcej niż gdyby pozostała w szpitalu jako pielęgniarka. Drugi nie znał się na żużlu, a ona dla tej dyscypliny straciła głowę i przede wszystkim dlatego zgodziła się poprowadzić sekretariat klubu. Gdyby powstała kobieca drużyna żużlowa, do czego namawiała Gremplera, byłaby pierwszą zawodniczką.

– Neimann? – rzucił prezes.

Zrozumiała, że Grempler chce rozmawiać z dyrektorem klubu w cztery oczy. Nawet się domyślała, dlaczego zamiast wezwać Neimanna do swego biura na jedenastym piętrze zielonego wieżowca przy Bohaterów Westerplatte, przyjechał do siedziby klubu. Gdyby była na jego miejscu, zrobiłaby to samo. Ten, kto widział Gremplera, pochwali go w myślach za to, że przeegzaminuje Neimanna ze słabych wyników drużyny w ekstralidze żużlowej. Pięć lat temu zielonogórski klub był mistrzem kraju. Przed czterema laty tytuł mistrzowski zapewnił sobie już w połowie sezonu, na czym zyskał Joachim Grempler, ponieważ nie miał powodu wynajmować drogich zawodników z zagranicy. W następnym roku żużlowcy powtórzyli sukces. Potem było trudniej, ale w ostatnim meczu gremplerowcy pokonali Unię na jej torze i po raz piąty z rzędu zdobyli mistrzostwo. A w tym roku jest źle. Bardzo źle. Nigdy tak źle nie było. Nie dość, że drużyna zatrzymała się w ekstralidze na trzecim miejscu od końca, to rosną żądania zawodników zagranicznych i coraz mniej kibiców przychodzi na stadion, a to oznacza, że Joachim Grempler jako właściciel klubu niewiele zarobi. W należących do niego innych firmach także zastój. Za co dokończy

remont pałacu na Zatoniu? Musi więc zmienić dyrektora.

– Wczoraj pan dyrektor Neimann wyjechał do Drezna. Wróci po południu. Czy pan prezes życzy sobie, abym coś mu prze...? – Jezusie Przenajświętszy! Matkojedyna! Zakryła dłonią usta, żeby nie krzyknąć. Maryjo, dziewico niepokalana! Spiekła raka. W jednej chwili poczuła pot na plecach i pod pachami. Starała się nie patrzeć na marynarkę Gremplera, lecz oczy same tam uciekały.

– *Was fehlt Ihnen* ?[22]

– Panie prezesie, mocno przepraszam.

– *Warum*?[23]

Nie– odpowiedziała, tylko szeroko otworzyła drzwi i zapaliła światło w gabinecie Neimanna.

– Niech pan tam wejdzie, zdejmie marynarkę i usiądzie w fotelu.

Grempler zrobił posłusznie to, o co go poprosiła. Z żadną ze swoich asystentek nigdy nie dyskutował. Nawet z żoną, córką i wnuczką. Pięć minut później sekretarka wróciła do gabinetu i zwróciła mu marynarkę. Mimo że nic nie rozumiał, nie odezwał się nawet półsłowem. Dopiero kiedy wyszedł z biura, sekretarka opadła na krzesło. Odetchnęła. Gdyby musiała komuś wyjaśnić, co się stało, powiedziałaby, że jeszcze dziś pójdzie do okulisty. Będzie nosiła okulary. Może nie wszędzie i nie zawsze, ale na pewno będzie je zakładała w biurze.

W ostatnią sobotę sierpnia, w samo południe, ku zaskoczeniu trenera i zawodników Joachim Grempler przyszedł do biurowca klubu. Zaczął od rozmowy z żużlowcami, którzy przygotowywali się do niedzielnego meczu ze Stalą. Potem oprowadzany przez Neimanna po torze kiwał głową, akceptując wszystkie sztuczki przygotowane przez mechaników, jakby i na tym się znał. Pomimo tego że nie wierzył w zwycięstwo gremplerowców, miał ukrytą nadzieję, że zawodnicy zagraniczni połakomią się na wielkie pieniądze, kibice także przyjdą na stadion i jego drużynie uda się awansować do pierwszej czwórki. To byłby sukces. I radość w oczach Gremplera, na czym mu przede wszystkim zależało.

– Musi się udać – powiedział tylko do siebie.

Godzinę później wszedł do biura, zaraz za drzwiami zdjął marynarkę i nie pytając sekretarki, czy ma zielone nici, kazał jej przyszyć guzik. Nie. wiedział, kiedy się oderwał i gdzie go zgubił. Powiedział, że zapasowy guzik powinien być w wewnętrznej kieszeni. Zrobiła to, co kazał Joachim Grempler. Zresztą nie miała innego wyjścia. Tyle razy usługiwała Neimannowi, że polecenie właściciela klubu wcale jej nie zaskoczyło. I dopiero przed chwilą zauważyła, co wtedy zrobiła. Gdyby to był zwyczajny guzik, nie przyszyłaby go do góry nogami. A to był guzik z rzucającym się w oczy napisem Kidel.

Zielonagóra, ul. Wąska,
czwartek, po południu

Lekarz zalecił Ewie Jankowskiej, aby przez kilka najbliższych dni odżywiała się dietetycznie. A im dłużej, tym lepiej. Jung pomyślał, że powinien przygotować coś do zjedzenia, ale co? Umiał zagotować wodę na kawę, zaparzyć herbatę, posmarować chleb masłem i położyć na nim plasterki wędliny. W kuchni na Słonecznym od pierwszego dnia po ślubie, a nawet miesiąc wcześniej rządziła Miśka. Przed każdym wyjazdem na konferencję czy z wykładami za granicę smażyła i piekła, schłodzone zapasy wpychała do przezroczystych pudełeczek, naklejała na nich samoprzylepne karteczki z objaśnieniem, żeby Daniel nie zgadywał, co w nich się znajduje, i je ustawiała na górnej półce w lodówce. Wieczorem wracał do mieszkania, sięgał po pierwsze z brzegu pudełeczko, włączał telewizor i wtedy najlepiej rozumiał, co znaczy mieć kogoś bliskiego. Pomyślał, że spyta Ewę, co i jak ugotować, gdy odezwała się komórka. Zerknął na wyświetlacz: kierownik laboratorium.

– Należy mi się co najmniej podwójny koniak. Nie camus czy hennessy z Biedronki, tylko, uwaga, oriachovitza[24] – usłyszał. –

Mam coś ważnego. Naprawdę ważnego. Przyjedź.

Jung już się domyślił, że to coś dotyczy tupeciku, który przed południem zawiózł do laboratorium. Kierownik nawet nie zaciekawił się, jaką drogą go zdobył i dlaczego badanie jest pilne. Po starej znajomości zgodził się zrobić to, o co Jung poprosił. Zresztą nie pierwszy raz tak się zachował.

– Jestem! – zawołał Jung, pół godziny później otwierając drzwi laboratorium. Chwała temu, który wyznaczył sierżanta Rudiaka na popołudniową służbę w dyżurce. Inny policjant potraktowałby Junga tak jak każdą osobę, która została wezwana do gmaszyska przy Wąskiej i kazałby mu czekać na szefa laboratorium. Rudiak nawet nie zapisał jego nazwiska w książce ewidencji wejść do komendy.

– Nie musiałeś się spieszyć. *Festina lente*[25], jak mawiał cezar Oktawian August. Poczekałbym, tym bardziej że, primo, w czwartki laboratorium pracuje o dwie godziny dłużej, secundo, na finalny wynik badania jeszcze za wcześnie. Na razie dysponuję oceną przeprowadzoną metodą organoleptyczną i bibułową. Chromatograf gazowy powinien te wyniki potwierdzić, ale póki to się nie stanie, będą wątpliwości. *Aliquando bonus dormitat homerus*[26].

– Do rzeczy – ponaglił go Jung.

Kierownik powiedział, że gdy chodzi o sprawy zawodowe, to Daniel niewiele zmienił się od czasu, kiedy przychodził do laboratorium w mundurze policyjnym.

– To bardzo dobrze. Reporter śledczy pełną gębą, a za takiego cię uważam, zresztą nie tylko ja, musi być raptusem kąpanym we wrzątku z dodatkiem soli z Morza Martwego. Cieple kluchy sprawdzają się na uniwersytecie. Czasem cię ponosi, ale to, tak myślę, pożądana cecha dziennikarza. Daniel, w policji byłbyś jeszcze jednym nadkomisarzem, dziś pewnie inspektorem, może nawet dyrektorem jakiegoś biura w centrali. W redakcji jesteś kimś naprawdę cenionym.

– Długo będziesz tak mendzie?

– Oba pojedyncze włosy dostarczone w woreczku z polietylenu niczym się nie różniły od włosów tworzących ten przedmiot – oznajmił szef laboratorium, przesuwając po stole przezroczysty woreczek z tupecikiem. – Zwracam. W ogóle nigdy czegoś takiego nie założyłbym na głowę. Wolałbym świecić gołą glacą.

– Jeszcze nie musisz.

– Próbki pobraliśmy do analizy. Gdyby... – urwał, jakby dopiero teraz coś przyszło mu do głowy. – Gdyby się okazało, że masz rację, najlepiej, żebyś miał czym się obronić. Dlatego pędź z nim do sejfu.

– To pewne, że...?

– Pewność będę miał po analizie chromatograficznej. Ekspert, z którego pomocy często korzystam, twierdzi, że oba pojedyncze włosy wykazują cechy kobiece, chociaż nie wyklucza, że mogą pochodzić z głowy mężczyzny.

– Ten ekspert nie ma pewności?

– Brak pewności co do pochodzenia włosów bierze się z przebarwienia, co jest skutkiem pielęgnacji. Producenci peruk kupują włosy od mężczyzn i kobiet, a potem je czymś koloryzują, żeby wyglądały jak z jednej głowy. To było primo. Teraz secundo. W dolnej części włosów tych z woreczka były drobiny substancji o cechach klejących. Trzeba przeprowadzić bardziej szczegółowe badanie, żeby wykluczyć żel lub miękki lakier do włosów.

– Ile to potrwa?

– Gdybym był na twoim miejscu, nie czekałbym nawet godziny. Jeżeli ten, do kogo tupecik należy, zauważy jego brak, może ci nie udać się dokończenie dzieła. Powinieneś zrobić wszystko, żeby zrozumiał, że jest w sytuacji bez wyjścia. I najlepiej w obecności świadka koronnego. Pamiętaj: *plus dat, qui in tempore dat*[27].

– *Finis coronat opus*[28].

– Brawo! Domyślam się, że peruka ma coś wspólnego ze śmiercią profesora od archeologi – powiedział kierownik, nie oczekując potwierdzenia. – Wśród przedmiotów, które wtedy badaliśmy, był włos. Kropla w kroplę jak te – pokazał na woreczek, w którym znaj-

dowały się dwa włosy. – Przede wszystkim ten sam klej silikonowy.

Zielonagóra, ul. Wąska, czwartek, po południu

Jung powinien podziękować Nataszy za to, że spadła mu jak z nieba. Kiedy zamknął za sobą drzwi w tej części komendy, gdzie było laboratorium, i wlokąc się korytarzem rozważał, z kim pójść do Neimanna, po schodach z pierwszego piętra zbiegała ubrana w dżinsy i koszulową bluzkę sierżant Woźniak-Araszkiewicz. Cenił ją przede wszystkim za to, że myślała inaczej niż starsi policjanci pionu kryminalnego, była przebojowa i nie unikała dziennikarzy, toteż bez mętnego tłumaczenia przyznał się, co go sprowadziło na Wąską i dokąd pójdzie, lecz nie sam. Kamila i Łukasza wymazał z listy kandydatów jeszcze w pokoju szefa laboratorium, na korytarzu wykreślił Feima. Najlepszym świadkiem koronnym byłby ktoś taki, kto ma doświadczenie policyjne i nie pozwoli sobie dmuchać w kaszę. Czyli były policjant. Mógłby to być na przykład cieć dyżurujący w recepcji redakcji, ale z Janiakiem nie chciał mieć nic wspólnego. Uważał go za takiego, który dla pieniędzy zdradzi nawet swoją żonę. Gdyby komisarz Syski był na miejscu, poradziłby się jego, lecz naczelnik wydziału kryminalnego do poniedziałku byczy się na Riwierze Tureckiej, a tak długo Jung nie może czekać.

Natasza podniosła oczy na zegar wiszący nad dyżurką i powiedziała, że za piętnaście minut skończy służbę. Mąż jest w Pile na kursie w szkole policyjnej, wróci dopiero jutro wieczorem, dlatego nigdzie się jej nie spieszy. O tym, że w wolnym czasie weźmie udział w akcji przygotowanej przez reportera śledczego, powinna zawiadomić nadkomisarz Mrozińską i uzyskać jej zgodę. Ale przecież Ilona jest jej przełożoną tylko w czasie służby, a wtedy Natasza stara się postępować zgodnie z procedurami. W czasie wolnym policjantka jak każda katoliczka może robić to, czego nie zabrania żadne z dziesięciorga przykazań.

– Nie domyślam się, co pan, redaktorze, znowu kombinuje – zaczęła Natasza takim tonem, jakby miała zamiar zganić Junga. Potem roześmiała się i jeszcze raz podziękowała mu za wskazanie drogi dotarcia do porywaczki profesora Witkowskiego, za co dostała medal i szansę na wcześniejszy awans. Na koniec przyznała się, że identycznie jak Ilona Mrozińska nie rozumie, na jakiej podstawie prokurator umorzył śledztwo dotyczące śmierci Pośledniego. – Pan wie, że przecież nie ustaliliśmy nazwiska sprawcy. Może i Alan zrobił śmiertelny zastrzyk ojcu, ale tego trzeba dowieść albo wykluczyć. A jeżeli Alan jest niewinny? Jak czuje się jego żona? Co powie córkom, kiedy urosną i będą pytały o ojca?

– Właśnie tego, pani Nataszo, mam szczery zamiar dowieść. Przy pomocy pani – dodał pewny, że Natasza pójdzie z nim do biura klubu żużlowego Grempler, gdzie powinien zastać Neimanna. Od kogo Feim dowiedział się, że po południu dyrektor będzie w swoim gabinecie, o to nie spytał Albańczyka. Feim Vlashi nigdy go nie oszukał i nie zawiódł.

Zielonagóra, ul. Przy cmentarna, czwartek, po południu

Stadion żużlowy wygrzewał się w słońcu na południowym brzegu Walu Zielonogórskiego, a komenda policji ukryła się za drzewami po stronie północnej wybrzuszenia. Obie budowle dzieliło najwyżej dwadzieścia minut spacerkiem, mimo to Jung poprosit Nataszę, żeby wsiadła do samochodu. Zanim wyprowadził auto z zatłoczonego parkingu tylko dla klientów marketu sieci Lewiatan, przedostał się na Morelową, którędy było najbliżej na Szosę Wrocławską, minął co najmniej kwadrans. Po południu w tej części miasta zawsze jest tłok.

Na wysypanym szutrem placyku przed stadionem stał tylko

zielony passat. Jung najpierw nie miał wątpliwości, że tym autem jeździ Neimann, ale chwilę później przypomniał sobie to, co usłyszał od Krzyśka z działu sportowego. Na zamówienie Joachima Gremplera fabryka w Emden zrobiła dwanaście zielonych, w rzeczywistości malachitowych passatów. Tylko za kierownice takich samochodów siadają zarządcy firm należących do Gremplera. Prezesa wozi zielone audi s 6 avant ze wzmocnionym podwoziem i pancernymi szybami. Jego kierowca nosi zieloną marynarkę i malachitowy krawat. Ściany sal konferencyjnych w spółkach należących do holdingu mają zielony kolor. Wokół stołów nakrytych zielonym suknem stoją krzesła obciągnięte zielonym szenilem. Fotele w gabinecie prezesa są zielone. Sekretarki i asystentki noszą zielone bluzki z żółto-białymi żabotami. Joachim Grempler nawet na bal sylwestrowy ubiera się na zielono. Górujący nad centrum miasta biurowiec przy Bohaterów Westerplatte otula zielona okładzina. Gdy Jung spytał profesor Liberę, czy to nie przeholowanie, psycholożka wyjaśniła mu, że zielony jest kolorem energi, oznacza szczęście i zapewnia zdrowie, co w przypadku Gremplera, prowadzącego wartkie życie, ma nie tylko znaczenie symboliczne. Kolory wpływają na psychikę i zachowanie ludzi. Czerwony pobudza do działania. Niebieski poprawia przyswajanie wiedzy. Biały dodaje optymizmu. Czarny wycisza. A zielony jest kolorem ludzi z głową pełną pomysłów.

– Czy zastałem dyrektora Neimanna? – rzucił Jung, podchodząc do okienka, za którym siedział ochroniarz w ciemnozielonej koszuli. Miał oczy wlepione w ekran przenośnego telewizora. – Janiak? Pan pilnuje stadionu?

– Redaktorowi znowu kazali być od sportu? – spytał ochroniarz, jakby go to wcale nie zaskoczyło. – Mnie, kurwa, wszystko jedno, gdzie mam służbę, byle co miesiąc płacili.

– Tu spokojniej, co?

– Po aferze w „Gazecie", jak ten porąbaniec Kwiek, żeby do usranej śmierci nie wylazł z mamra, ukatrupił Bojana, pan Grempler

tu kazał mnie dać. Niedaleko cmentarza, cichutko. Spokojniutko. Milutko. Tylko przed południem, jak idą pogrzeby, jakoś tak człowiekowi nieswojo. No i w niedziele meczowe od rana do nocy po prostu urwanie jaj, że nie ma kiedy pójść do kibla. Ale narzekać nie wypada, kurwa. O, pan Grempler to porządny człowiek, chociaż Niemiec. Niewinnego nie da skrzywdzić – wyjaśnił Janiak, nic sobie nie robiąc z tego, że przez blisko dziesięć lat Jung, gdy przekroczył próg budynku redakcji, wyciągał do niego rękę i pytał o zdrowie, częstował papierosem i bywało, że składał mu życzenia imieninowe, a na pewno świąteczne. – Redaktor do naszego dyrektora – wywnioskował. Nie czekając na potwierdzenie, wcisnął guziczek na pulpicie przed sobą i nadstawił prawe ucho, jakby sprawdzał, czy usłyszy chrobot zapadki przesuwającej się w zamku. – Po schodach na pierwsze piętro. Sekretariat na wprost – rzucił, wskazując palcem drzwi, i zaraz odwrócił głowę w stronę telewizora.

Na piętrze milczący Jung podniósł zaciśniętą pięść, co oznaczało, że sam wejdzie do sekretariatu, stamtąd do gabinetu Neimanna, Natasza zaś zostanie za drzwiami i będzie nadsłuchiwała. Gdyby coś ją zaniepokoiło albo usłyszała podniesione głosy, ma nie czekać aż Jung ją zawoła, tylko natychmiast ruszyć z odsieczą.

Neimann zaniemówił, gdy zobaczył Junga w drzwiach. Z otwartymi ustami tkwił tak kilkanaście sekund, jakby rozważał, co teraz powinien zrobić, żeby zaskoczyć niespodziewanego gościa. Po czym uśmiechnął się szeroko, wstał z fotela i wyciągnął obie ręce przed siebie, jakby miał zamiar objąć Junga albo się poddawał.

– Cóż za niespodzianka. Witam, redaktorze. Gorąco witam. 1 cieszę się, że pan mnie odwiedził. – Neimann zatrzymał się w pół kroku. – Czym mogę służyć?

Jung miał ochotę spytać, na czyje polecenie pojechał za nim w zeszłym tygodniu aż do Spremberga. Czyżby Stonoga uważał, że nie uda mu się przejąć Wyższej Szkoły Archeologi bez podstępu i dlatego kazał go zabić? Kto maczał palce w tym, że nie mając dowodu, prokurator Tomczyszyn uznał Alana za osobę, która zrobiła

śmiertelny zastrzyk ojcu? Po rozmowach z Iloną Mrozińską i Arturem Bojką Jung nie był przekonany, że utonięcie Alana w Jeziorze Brodzkim spowodowało zatkanie przewodu doprowadzającego tlen z butli do maski. Zdaniem biegłego to nie powinno się zdarzyć. Włos z peruki znaleziony w gabinecie profesora Pośledniego obciążał Neimanna.

Jung wyjął tupecik z torby.

– Poznaje pan?

Neimann pobladł, ale po chwili roześmiał się i prawą dłoń położył na głowie, jakby sprawdzał, czy tupecik jest na swoim miejscu.

– Dlaczego pan pyta?

– Czy to jest pana peruka?

– Podobny tupecik. Jak pan redaktor widzi – znowu podniósł prawą rękę – niczego mi nie brakuje.

– Ten jest podobny czy może identyczny?

– Musiałbym sprawdzić.

– Ten tupecik w połowie czerwca kupił pan w salonie Alan & Alina na Kupieckiej. Nosiłby go pan na zmianę z tym, który teraz ma na głowie, gdyby nie to, że tupecik zaczął łysieć. Z tego – Jung znowu podniósł woreczek, w którym był tupecik – wypadają włosy. Winny jest producent, bo prawdopodobnie użył nieodpowiedniego kleju. Na pańskim miejscu pomyślałbym o złożeniu reklamacji.

– Skąd go masz?

– Dwa tygodnie temu, w nocy z piątku na sobotę, był pan na osiedlu Kwiatowym, w domu profesora Pośledniego. W tym tupeciku na czubku głowy.

Neimann natychmiast wrócił na fotel. Jeżeli będzie chciał otworzyć drzwiczki z lewej strony biurka, uprzedzę go, zdecydował Jung. Feim Vlashi powiedział mu, że tam na górnej półce leży pistolet. Czy naładowany, tego Albańczyk nie sprawdził. Mając wzrok wycelowany w Junga, Neimann pochylił się i otworzył drzwiczki po prawej stronie. Najpierw tylko włożył dłoń do środka,

potem zgiął się i wsunął całą rękę aż po pachę.

– Proszę. To jest to, czego pan szuka. – Jung rzucił na biurko woreczek z tupecikiem. – Zwracam. Próbki włosów i kleju zostały pobrane przez laboratorium policyjne do analizy. Już znam wynik badania.

– Niech redaktor mnie nie straszy, bo jak ja...

W tym momencie otworzyły się drzwi. Stanęła w nich sierżant Natasza Woźniak-Araszkiewicz z glockiem wyciągniętym przed siebie.

Neimann pobladł. Otworzywszy usta, nabrał powietrza do płuc i milczał, jakby się zastanawiał, czy ma jakąś szansę ucieczki.

– I pani także myśli, że ja zabiłem Pośledniego?

Zielonagóra, ul. Wąska, czwartek, wieczorem

– Mimo wszystko mam wątpliwości – przyznał się Jung, gdy policjanci zawieźli Neimanna do komendy, a sierżant Woźniak-Araszkiewicz próbowała powiadomić o tym szefową wydziału. Komórka nadkomisarz Mrozińskiej nie odzywała się. – Skoro był sekretarzem Fundacji „Wicina", to z racji pełnionej funkcji zaglądał na uczelnię i do domu rektora. Na pewno pokazywał się w tupeciku. Dlatego jest możliwe, że włos, znaleziony w gabinecie profesora Pośledniego na Kwiatowym, wypadł wcześniej z tupeciku.

– Wcześniej, czyli kiedy? – spytała sierżant Woźniak, ponownie wybierając numer komórki Ilony Mrozińskiej. I znowu nie usłyszała głosu szefowej. – Za kilka minut spróbuję jeszcze raz.

– Właścicielka sklepu Alan & Alina pokazała mi dokument, z którego wynika, że pod koniec czerwca sprzedała tupecik wykonany przez firmę perukarską we Wrocławiu. Jej zdaniem kupującym był Neimann. Do takiego wniosku doszła po obejrzeniu zdjęcia w „Zielonogórskiej", na którym „Gazeta" pokazała nowe władze

Wyższej Szkoły Archeologi. Na początku sierpnia profesor Pośledni wyjechał na wykopaliska w Niemczech z wykładami dotyczącymi cywilizacji łużyckiej. Potwierdziła to jego sekretarka, Ewa Jankowska, i osoby napotkane w Blunie koło Spremberga. W lipcu pracownicy administracyjni uczelni mieli urlopy, a archeolodzy rozjechali się na wykopaliska. Jedynie wtedy Neimann mógł odwiedzać profesora Pośledniego w jego domu. I prawdopodobnie wtedy Neimann zaczął realizować plan przejęcia uczelni przez Fundację imienia Fleinricha Hrabiego Bruhla. Plan ułożony nie przez niego, a przez profesora Grzegorza Stonogę. Notabene siostrzeńca Stefana Pośledniego.

– I od lipca włos leżałby w gabinecie? Panie Danielu, kto sprząta w waszym mieszkaniu na Słonecznym?

– Najczęściej żona. Ja wyjątkowo i jedynie jako nieświadoma obsługa odkurzacza.

– To nie muszę pana przekonywać, że odkurzacz najnowszej generacji wyssie nawet przyschnięte grudki ziemi do butów – powiedziała, znowu starając się dodzwonić do nadkomisarz Mrozińskiej. – Na ten temat rozmawiałam z Jagodą Bojko. W domu profesora od ostatniej zimy jest nowy odkurzacz firmy Electrolux. Za jego pomocą co dwa tygodnie Jagoda sprzątała dom. Od poddasza do niskiego parteru. Dokładnie, bo jej zależało na tej pracy. Gdyby włos był w gabinecie już w lipcu, to na pewno odkurzacz by go zassał. Potem miała okazję zrobić to jeszcze co najmniej dwa razy.

– Na sprzątaniu znam się tak jak komendantka na muzyce organowej, dlatego w tej sprawie więcej nie zabiorę głosu.

– Słusznie pan postanowił – pochwaliła go policjantka. – Jeżeli włos pochodzi z tupeciku, a pochodzi z tupeciku, to musiał wypaść z niego niedawno. Pomiędzy poprzednim a ostatnim, piątkowym sprzątaniem. Chwała Panu Bogu, że w piątek Jagoda nie odkurzyła gabinetu profesora.

– To by pasowało do siebie.

– Co?

– To, co pani powiedziała o włosie.

– Akurat to pasuje, panie redaktorze. Nie pasuje natomiast to, co pan ma na myśli. Neimann nie przekonywał Pośledniego, żeby przekazał uczelnię fundacji Brühla – powiedziała Natasza akurat w chwili, kiedy obudziła się jej komórka. – Szefowa – szepnęła. – Pani nadkomisarz, informuję, że zatrzymałam Waldemara Neimanna. Na razie zgodnie z przysługującym nam prawem: na czterdzieści osiem godzin. Potem pani zdecyduje, czy wystąpi do sądu o przedłużenie aresztu. Dysponuję dowodem, że zatrzymany był tą osobą, która w ostatni piątek sierpnia przebywała w domu Stefana Pośledniego i z nim rozmawiała. Poszlaki wskazują, że zatrzymany mógł zrobić śmiertelny zastrzyk profesorowi. Chciał go usunąć – urwała i nasłuchiwała. – Dobrze pani zrozumiała. Chciał go usunąć nie dlatego, żeby fundacja Brühla, która wchłonęła Fundację „Wicina", przejęła Wyższą Szkołę Archeologi i profesor Stonoga został jej rektorem.

Powód był bardziej osobisty, pani nadkomisarz. Pani pamięta, co powiedziałam po rozmowie z Nogalem? Z tym podglądaczem z Kwiatowego – znowu urwała. – To również. Nogal twierdził, że profesorowa i Neimann byli kochankami. – Natasza przytaknęła. – Zgadza się. Pośledni także miał kochankę. Na Edenie. Była jego sekretarką.

Natasza zamilkła, ale nie wyłączyła telefonu. Jung domyślał się, że wsłuchiwała się w to, co mówiła Ilona Mrozińska. Pewnie nadkomisarz wydawała jej polecenia. Chciałby wiedzieć jakie. Po kilku minutach niemego kiwania głową i przytakiwania Natasza przesunęła w prawo ikonkę oznaczającą zakończenie rozmowy.

– Szefowa uważa, że będą jaja. Neimann jest człowiekiem Gremplera, a ten ma dojścia do samego ministra, zresztą do kogo on nie ma wejść, ale skoro go zatrzymałam, to miałam powód. Ostatecznie na jakiś czas komendantka może mnie przesunąć do grupy krawężników. Da się wytrzymać – stwierdziła, jakby już była gotowa na porażkę. – Szefowa poradziła, abym przesłuchała Alinę Poślednią.

– Po co?

– Żeby się zabezpieczyć. I dowiedzieć się, czy miała udział w utopieniu Alana.

– Coś nowego.

– Gdyby się okazało, że tak, to mogła zrobić śmiertelny zastrzyk swojemu teściowi.

– Oxsycodon to nie paracetamol. Nie można go kupić w supermarkecie na osiedlu czy w zwyczajnej aptece.

– I pan dał się wciągnąć w jej grę. Dawno wszystko obmyśliła. Te dwa włosy, o których przebadanie pan zwrócił się do kierownika laboratorium, wyrwała z tupeciku jeszcze w czerwcu. Zaraz po tym, kiedy sprowadziła tupecik z Wrocławia. Przechowywała je w oryginalnym woreczku, żeby nie było wątpliwości. I tylko czekała na okazję.

– Na jaką okazję?

– Żeby pozbyć się męża i teścia.

– A dlaczego? To znaczy jaki miała powód, żeby pozbyć się męża i teścia, pani Nataszo? I dlaczego akurat wskazała na Neimanna jako sprawcę?

– Dlatego, panie Danielu, żeby zostać właścicielką lokalu, w którym znajduje się salon Alan & Alina, a gdzie w niedługim czasie będzie oddział Société Generale. Wiosną podpisała z nimi wstępną umowę, o czym nie powiedziała ani teściowi jako notarialnemu właścicielowi lokalu, ani mężowi, który planował urządzenie tam salonu antyków.

– Skąd pani to wie?

– Pracuję w pionie kryminalnym policji, panie Danielu. Ciągle się szkolę. Neimanna pewnie będę musiała przeprosić.

– A ja pewnie znowu wygram-przegram. Jak wtedy w policji, kiedy wskazałem tego, kto ukradł szable z muzeum i mimo to musiałem odejść z komendy.

– Bo złodziejem był kto?

– Zastępca dyrektora, kupcem zaś zastępca komendanta.

Zielonagóra, os. Słoneczne,
czwartek, bardzo późnym wieczorem

Daniel Jung się spieszył. Przed południem zadzwoniła żona. Powiedziała, że przekroczyła granicę słowacko-polską w Chyżnem. Jeżeli nie będzie korków na drodze, to przed północą dojedzie do Zielonejgóry. Gdy jeszcze był w komendzie, Miśka znowu zadzwoniła. Najpóźniej za godzinę dojedzie na Słoneczne. Tęskni. Ma ochotę na sałatkę z pomidorów i selerów. Nie spytała, czy Daniel potrafi przygotować sałatkę z pomidorów i selerów. Taka sałatka chodzi za mną od niedzieli. Tak powiedziała. W Lewiatanie przy komendzie kupił więc pomidory. Selerów już nie było. Mógł poprosić Nataszę, żeby mu wyjaśniła, jak się robi sałatkę. Za pięć

minut będzie na dziewiątym piętrze. Podniósł głowę. W dużym pokoju paliło się światło. Miśka go wyprzedziła.

– Redaktor Jung? – spytał mężczyzna, gdy Daniel wysiadł na parkingu i ruszył w stronę swojego domu.

– Tak – potwierdził. – O co chodzi?

Jung nie usłyszał odpowiedzi. Zamiast niej dostał pięścią w brzuch aż się skulił. Wypuścił z dłoni torbę z pomidorami. Drugi cios zatrzymał się na jego prawym policzku. Trzecia fanga złamała mu nos. Potem były następne, wszystkie w twarz. I znowu w brzuch. Jung znowu się skulił, przyciskając dłonie do koszuli. Chciał, ale nie bronił się. Sycząc, prosił w myślach, żeby na tym był koniec. Kolejne uderzenie w brzuch zwaliło go na kolana.

– Nie wsadzaj nosa tam, gdzie cię nie oczekują. To za... – mężczyzna kopnął Junga w krocze. – Domyśl się.

Za Neimanna? Nie. Za Gremplera? Za Martę? Za Karin?

– Za Magdę. Gdybyś nie wierzył, to wrócę, ale wtedy będzie z tobą gorzej. Lepiej uwierz. I żebyś miał czym się zająć...

Jung usłyszał trzask. Domyślił się, że mężczyzna wybił przednią szybę samochodu.

– Serwis jest na Zaciszu, redaktorze!

Zielonagóra, os. Zatonie, piątek, z rana

Kobiety z bloków potwierdziły, że wczoraj wieczorem słyszały strzał.

– Huk jak na sylwestra, ale wtedy człowiek nic sobie z tego nie robi. Postrzelają i przestaną. Tylko psów szkoda, bo robią się ogłupiałe – powiedziała ta, która stała najbliżej Ilony Mrozińskiej.

– Która wtedy była godzina? – zaciekawiła się nadkomisarz. Od ukończenia studiów Mrozińska najczęściej zasuwa w trupach, jak mówi o swoim zajęciu w pionie kryminalnym policji, co nie znaczy, że samobójstwa nie robią na niej większego wrażenia, ale nigdy nie zadawała pytań aż tak przytłumionym głosem. Czuła się tak, jakby

worek z szarej foli przykrywał zwłoki bliskiej jej osoby. Tam gdzie powinna być głowa, była krwawa miazga, a mózg wypłynął na ziemię. Spod foli wystawała kolba sztucera z zaschniętą na niej krwią. Może nie tyle to ją ujarzmiło, co wiadomość od policjanta, który mieszkał na Zatoniu, że samobójca to ojciec jej podwładnego.

– Wsadził sobie lufę do ust i pociągnął za cyngiel – powiedział ktoś za plecami Mrozińskiej.

– Gdyby nie mundur leśnika, trudno byłoby zgadnąć, że to stary pan Bojko.

Nadkomisarz odwróciła się, podniosła rękę i ruchem ust nakazała milczenie. Z coraz gęstszego tłumu gapiów starała się wyłuskać któregoś spośród tych policjantów, którzy przywieźli ją do przypałacowego parku na Zatoniu. Gdy wreszcie dostrzegła starszego posterunkowego opartego o klon, zrezygnowała z polecenia mu, żeby kazał ludziom odsunąć się od tego miejsca. Niech zadeptują ślady. Nie będzie śledztwa, zdecydowała w myślach. Była pewna, że tego, co się stało w parku, prokurator nie uzna za zdarzenie kryminalne. Na razie nie zastanawiała się, dlaczego ojciec Artura Bojki popełnił samobójstwo.

– Co pani słyszała? – wypaliła do kobiety szepczącej coś do ucha swojej sąsiadki. – Głośniej proszę.

– Jedenasta. Kilka minut później. Mój poszedł na nockę, dzieciaki już spały. Oglądałam Kiepskich na Polsacie. W dzień człowiek nie ma czasu na telewizję, bo to trzeba ugotować i... Dopiero wieczorem.

– Usłyszała pani strzał, tak?

– Przecież mówiłam, że huk był jak na sylwestra. A niedługo, kiedy wyremontują pałac, to będą się bawili i na okrągło strzelali. Tu nie da się normalnie żyć.

– Kto jeszcze wczoraj wieczorem słyszał strzał?

Dwie inne kobiety podniosły ręce, ale się nie odezwały. Komisarz Mrozińska odwróciła się w ich stronę, jakby miała zamiar zadać bardziej szczegółowe pytania, gdy miejscowy policjant chwyci! ją za rękę i pokazał na mężczyznę w mundurze strażnika leśnego.

– Akurat wychodziłem z piwnicy, kiedy to się stało. Myśliwy, bo kto by inny? Ale polowanie po nocy? I tak blisko domów? Może jakiś kłusownik? Albo gówniarze? Kupują fajerwerki i nie patrzą, że noc, ludzie śpią, tylko łubudu. Zeby narobić jak najwięcej huku. Tak sobie pomyślałem. Ale żeby pan Bojko? – Strażnik zachowywał się, jakby był w szoku. – Coś musiało go wkurzyć. Przecież za miesiąc miał być na emeryturze.

– Albo ktoś – rzucił starszy posterunkowy, jakby czegoś się domyślał.

Nadleśniczy zrobił dwa kroki do tyłu. Stał z głową zwieszoną na piersi.

EPILOG

Drugie umorzenie

Zielonagóra, ul. Partyzantów,
poniedziałek, w południe

Gdy prokurator Tomczyszyn przekroczył próg gabinetu swojego zwierzchnika, ten bez słowa pokazał ręką na krzesło przy stole przed opasłym biurkiem, za którym siedział. Jak zawsze udawał surowego szefa, w rzeczywistości jeszcze się nie zdarzyło, żeby zbeształ zastępcę albo odezwał się podniesionym głosem do któregokolwiek z podwładnych. Milcząc, z kupki papierów wziął dużą białą kopertę zaadresowaną do Prokuratury Okręgowej w Zielonejgórze. Podał ją Tomczyszynowi.

– Niech kolega doktor z tym się zapozna – powiedział, nakazując wzrokiem podwładnemu, aby wyjął z koperty to, co jest w środku.

– Pewnie idiotyczny donosik na polityka z grupy trzymającej władzę. Znowu naszymi rękami chcą kogoś wysadzić z siodła – zgadywał prokurator, próbując żartować. – Ważniejsze jest, szefie, kto za tym stoi?

– Będzie kolega uprzejmy spokojnie to przeczytać. Uwagi wymienimy później.

Ja, niżej podpisany, niniejszym donoszę, że rodzicielką dziecka, którego zawinięte w zieloną bluzę szczątki znalazł murarz w trakcie odbudowy pałacu na Zatoniu, była Bojko Czesława. To moja córka. Ojciec dziecka to Pośledni Stefan. Oboje nie żyją.

Córka Czesława miała 17 lat, przeszła do dziesiątej klasy liceum w Żarach, kiedy zaszła w ciążę. Najpierw ukrywała swój odmienny stan, a gdy moja żona nie miała wątpliwości, że córka jest przy nadziei, na pozbycie się ciąży było za późno. Kto był ojcem dziecka, tego córka nigdy nie wyjawiła ani mojej żonie, która ją błagała, żeby podała nazwisko tego drania, bo dziecko musi mieć ojca, ani mnie. Ludzie w Bieczu, kiedy tam pojechałem we wrześniu 1995, bo

wcześniej byłem leśniczym w tej miejscowości, coś mówili o Wicinie, ale nie wierzyłem ich słowom. Oboje z żoną zapewnialiśmy córkę, że jako katolicy nie wyrządzimy jej żadnej krzywdy, będziemy pomagali wychować dziecko, tylko żeby przestała ukrywać, kto jest jego ojcem. Na tym nam najbardziej zależało. Zona mówiła, że jeśli to kawaler, to może uda się namówić go, żeby ożenił się z naszą córką.

Prawdopodobnie 14 lutego 1996 dziecko przyszło na świat. Prawdopodobnie stało się to w parku na Zatoniu. Prawdopodobnie Czesława owinęła je w zieloną bluzę i zaniosła do zrujnowanego pałacu, tam zawiniątko ukryła między półkami dymnymi w ciągu kominowym na pierwszym piętrze. Prawdopodobnie stamtąd wróciła do parku, ale ponieważ nie miała sił iść dalej, usiadła na gołej ziemi i oparła się o klon. Piszę „prawdopodobnie", ponieważ nikt nie był świadkiem tego, co wtedy tam się zdarzyło. W nocy spadł śnieg na tyle duży, że przysypał ślady. Rano znalazł ją komendant straży leśnej, który mieszkał w bloku za drogą i przez park zawsze szedł do biura nadleśnictwa.

Próbował reanimować Czesławę, ale ponieważ mimo tego zabiegu nie dawała oznak życia, przybiegł do mnie z wołaniem, żeby dzwonić po pogotowie, bo moja córka leży pod klonem na śniegu w parku od pasa cała we krwi. W biurze jeszcze był kierownik ośrodka rehabilitacji dzikich zwierząt, lekarz weterynari z wykształcenia. On udał się tam pierwszy. Niedługo za nim przyjechała karetka. Lekarz z pogotowia powiedział to samo co wcześniej weterynarz. Doszło do porodu. Krew na udach była tego dowodem. Lekarz pierwszy zapytał, gdzie jest dziecko. Wszyscy, którzy przyszli z biura nadleśnictwa, szukali jakiegokolwiek śladu po całym parku, w pałacu i nawet w ruinach pobliskiego kościoła. Gdyby w nocy nie spadł śnieg, może ktoś doszedłby po śladach, a tak jak kamień w wodę. Niczego nie znaleziono. Następnego dnia wznowiono poszukiwania przy udziale policji. Niestety, bez rezultatu.

Czesławę pochowaliśmy na cmentarzu komunalnym z szacunkiem

należnym osobie ochrzczonej. Przed Wszystkich Świętych następnego roku postawiliśmy pomnik. Są na nim dwie tabliczki. Większa z szarego granitu, w centralnym miejscu: Śp. Czesława Bojko, * 21 lipca 1978 r. 栞14 lutego 1996 r. Druga mniejsza, z białego marmuru: bez imienia i dat. Początkowo żona chciała, żeby był napis: „Powiększyła grono aniołków", ale dała się przekonać, że nawet nie wiadomo, jakiej płci było dziecko.

Póki żona żyła, każdej soboty chodziliśmy na cmentarz we dwoje, siadaliśmy na ławeczce przy grobie córki i powtarzaliśmy pytanie, kto był ojcem dziecka. Każdej soboty obiecałem żonie, że kiedy dowiem się prawdy, zabiję tego drania, który zmarnował naszą córkę. Jej nigdy nie winiliśmy. Jej przebaczyliśmy nawet to, że tak długo ukrywała przed nami prawdę. Mimo że żona twierdziła, że Pan Bóg osądzi go i wymierzy sprawiedliwą karę, postanowiłem pomścić córkę. Czesława była męczennicą. Męczennikiem byłem ja i moja żona. Cała moja rodzina łącznie z tym nienarodzonym dzieckiem to męczennicy. Nie umiałem się pogodzić z tym, co się stało, i miałem pretensję do siebie o to, że nie potrafiłem ochronić rodziny przed draniem. Może gdybym pozostał w Bieczu jako leśniczy, do tego by nie doszło, a ja wybrałem Zatonie, gdzie dostałem stanowisko zastępcy nadleśniczego. Z biegiem lat moja złość stawała się coraz mniejsza, jakby czas leczył rany, tym bardziej że dwaj synowie się pożenili, synowe urodziły czworo słodziutkich wnucząt. Sześć lat temu moja żona zachorowała na raka piersi i mimo długotrwałego leczenia onkologicznego, zmarła. Pogodziłem się z losem.

Na początku tego roku nasze nadleśnictwo objął nowy nadleśniczy. W lipcu wezwał mnie do siebie i zakomunikował, że z chwilą osiągnięcia wieku emerytalnego, co stanie się w grudniu, powinienem dobrowolnie zrezygnować z pełnionej funkcji zastępcy nadleśniczego. Jeżeli nie zrobię tego samodzielnie, to dostanę wypowiedzenie na piśmie. Po trzydziestu latach pracy na Zatoniu miałem być zbędny w nadleśnictwie. Spodziewałem się przesunięcia

na emeryturę, ale nie sądziłem, że stanie się to teraz. Może za rok. Za dwa lata. Gdybym był niedołężny, co innego. Pod koniec maja trochę chorowałem. Tydzień leżałem w szpitalu na neurochirurgi z powodu zwyrodnienia kręgosłupa, ale mimo zwolnienia lekarskiego wróciłem do pracy. Jeżeli ból mi dokuczał, to nie skarżyłem się. Łykałem tabletkę leku o nazwie oxycontin i dalej pracowałem. Najtrudniejsze do zniesienia było to, co nadleśniczy później powiedział, a czego się nie spodziewałem. Powiedział mianowicie, że na moje miejsce już jest wyznaczony kandydat. Co ten wyznaczony kandydat robił wcześniej, jakie ma doświadczenie, jak się nazywa, nie powiedział. Mimo mojej prośby nawet nie wymienił jego nazwiska. Gdy byłem już w drzwiach, rzucił, abym zaczął pakować swoje rzeczy, bo ten nowy postawił warunek: Wigilię Bożego Narodzenia musi świętować w leśniczówce. Ja mogę starać się o pokoik z wnęką kuchenną w Ośrodku dla Zasłużonych Leśników w Rybnie.

Pakowanie swoich rzeczy zacząłem od strychu. Pośród szpargałów najwięcej było zabawek i pożółkłych zeszytów z czasów szkolnych córki i obu synów. Wkładałem je do kartonów. Do jednego to, co było podpisane ręką Artura, do drugiego to, co należało do Andrzeja. Powinni je zabrać i pokazać swoim dzieciom. Do worka wrzucałem to, co zostało po zmarłej córce. Ten worek postanowiłem spalić w ogrodzie i garść popiołu zanieść na cmentarz. Nie potrafię wyjaśnić, co mnie podkusiło, żeby zajrzeć do zeszytu w czerwonej plastikowej okładce. Na górze pierwszej strony było „W Bieczu i na Zatoniu. Pamiętnik". Niżej „Czesława Bojko". Córka nigdy nie wspominała, że opisuje dzień po dniu. Z jej pamiętnika dowiedziałem się, co zaszło trzydzieści lat temu w Wicinie. Tam każdego roku od pierwszych dni maja do wczesnej jesieni archeolodzy pod kierownictwem doktora Kołodziejskiego Adama prowadzili badania wykopaliskowe. Do mniej odpowiedzialnych prac wynajmowali mieszkańców okolicznych miejscowości. Przez wakacje Czesława też u nich pracowała. Czwartego sierpnia 1995 napisała, że wali się jej świat.

Jest w ciąży. Nie podała nazwiska ojca dziecka. Było tylko jego imię. Stefan. I że jest archeologiem. Trzydzieści lat czekałem, żeby poznać prawdę. Dlaczego wtedy nie powiedziała żonie ani mnie? Nie pochwaliłbym jej, ale na pewno nie odtrącił. To mógł być mój pierwszy wnuk.

Kiedy w połowie lipca tego roku dowiedziałem się prawdy, a nie miałem wątpliwości, że to jest jedyna prawda, postanowiłem wyrównać rachunek krzywd. Przecież obiecałem żonie pomścić naszą córkę i niewidzianego wnuka.

Kilka razy w roku bywałem u dawnego kolegi z pracy, który za moją namową przy nadleśnictwie założył ośrodek rehabilitacji dzikich zwierząt. Po przejściu na emeryturę zamieszkał ze swoją córką, zięciem i wnukami na osiedlu Kwiatowym. Od niego dowiedziałem się, jakich ma sąsiadów i czym się zajmują. Wsłuchiwałem się w brzmienie ich imion i nazwisk, bo może kogoś znam, ale gdy kolega rozwlekle informował, kto mieszka po lewej, kto po prawej, czyj dom stoi po drugiej stronie ulicy, z kim rozmawia i o czym, mnie to przestało ciekawić. Aż do teraz. Do tego wieczora, kiedy na strychu natknąłem się na pamiętnik córki. Tam, czytając strona po stronie, postanowiłem spełnić obietnicę daną żonie nad grobem Czesławy i niewidzianego wnuka. Musiałem ich pomścić.

W pierwszym zamiarze miałem to zrobić w połowie sierpnia, dzień po tym, jak „Gazeta Zielonogórska" napisała o znalezieniu szczątków w pałacu. Od kolegi mieszkającego na Kwiatowym dowiedziałem się, że ten, którego postanowiłem unicestwić, wyjechał do Niemiec i że wróci dopiero 28 sierpnia. Jak wcześniej napisałem, w czerwcu przez tydzień leżałem w szpitalu na oddziale neurochirurgi. Moim sąsiadem w sali był Stefan Pośledni. Mieliśmy dużo czasu, to rozmawialiśmy o tym, czym kto się zajmuje, gdzie mieszka itd. Tam, na strychu, kiedy znalazłem pamiętnik córki, poznałem zapisane w nim imię i zawód ojca jej dziecka, skojarzyłem z tym, co o sobie powiedział Pośledni. Synową Jagodę, która

sprzątała dom Poślednich, spytałem, czy jest u nich monitoring. Nieświadoma tego, co zaplanowałem, powiedziała, że nie, a powinien być, bo Pośledni często zapomina zamknąć bramę garażową. Nie ujawnię, gdzie zdobyłem oxsycodon, skąd miałem paralizator i jak zrobiłem zastrzyk temu łajdakowi. To wszystko jest bez znaczenia i nie chcę obciążać niewinnych ludzi. Chodziło o wyrównanie mojego rachunku z Poślednim. O pomszczenie córki i wnuka. Stało się to późnym wieczorem 28 sierpnia tego roku. Tę porę wybrałem ze względu na mieszkającego w domu po drugiej stronie ulicy Edwarda Nogala. Kiedy kolega weterynarz opowiadał mi o swoich sąsiadach, zapamiętałem, że Nogal to były wojskowy, który, jeżeli jest w^{r} domu, to podgląda mieszkańców osiedla i fotografuje obce osoby. Sprawdziłem, że w piątek Nogal będzie miał nockę w straży granicznej.

Może nie podjąłbym tej decyzji, gdyby nie to, że nowy nadleśniczy postanowił wysłać mnie na emeryturę i kazał opuścić dom, w którym mieszkałem od trzydziestu łat. Miał takie prawo, bo leśniczówka była służbowa. Mógł też powiedzieć, abym mieszkał tam tak długo, póki nie znajdę sobie nowego dachu nad głową. Nie powiedział, tylko szybko wystarał się o pokoik z wnęką kuchenną w Ośrodku dla Zasłużonych Leśników w Rybnie. Tam miałem czekać na sądny dzień, który nie wiadomo kiedy nadejdzie. Nie chciałem się z tym pogodzić aż do tego wieczora, gdy na strychu znalazłem pamiętnik Czesławy. Gdzie spędzę resztę starczych dni: w czterech ścianach w Rybnie czy w więzieniu, nie miało już znaczenia. Jedno i drugie miejsce oznacza zerwanie z tym, co było sensem mojego życia. Chodziło mi tylko o to, żeby pomścić córkę i niewidzianego wnuka. O ukaranie tego drania Stefana Pośledniego. Zeby nie zaznał radości życia i szczęścia.

O tym, że znalezione w pałacu szczątki dziecka to mój niewidziany wnuk, świadczy tkanina, którą były one owinięte. To jest moja bluza myśliwska, kupiona przy dawnej ulicy Świerczewskiego, gdzie był specjalistyczny sklep z wyposażeniem dla członków kół łowieckich.

Teraz jest tam salon Alan & Alina. W tej zielonooliwkowej bluzie ostatni raz byłem na polowaniu pod koniec stycznia tamtego roku, kiedy zmarła Czesława. Można to sprawdzić w kronice prowadzonej przez koło Odyniec.

Józef Bojko
Do wiadomości:
Redaktor Daniel Jung, „Gazeta Zielonogórska”

Tomczyszyn odłożył list na stół. Po chwili milczenia, jakby nad czymś się zastanawiał, spytał niepewnie:

– Czyli co, szefie, podwójne umorzenie?

Prokurator okręgowy zacisnął ustaj kiwnął głową.

PODZIĘKOWANIA

Szanowny Czytelniku, nie jesteś pierwszą osobą, która poznała treść tej książki. Pierwszymi byli ci moi przyjaciele i znajomi, których poprosiłem o zapoznanie się z surowymi wersjami powieści. Tak też było z moimi poprzednimi książkami. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby pierwsi czytelnicy nie mieli podpowiedzi, oczekiwań, pytań, uwag, za co zawsze byłem i jestem im głęboko wdzięczny.

Już po naszkicowaniu powieści, ale jeszcze przed rozpoczęciem jej pisania, byłem przekonany, że ze wszystkim, co ma dotyczyć bohaterów, sobie poradzę. W trakcie pisania okazywało się, że bez pomocy specjalistów zrobię następny krok na papierze, lecz będzie on niepewny albo, czego nie chciałem, zdradliwy. I wtedy telefonowałem lub umawiałem się na rozmowę z tymi, którzy wiedzą więcej ode mnie i nie mają nic przeciw temu, żeby swoją mądrością za moim pośrednictwem podzielić się z czytelnikami.

Moje wiadomości o dziejach Środkowego Nadodrza I osób związanych z tym regionem w czasach piastowskich, czeskich i niemieckich korygowała i uzupełniała znawczyni histori i miłośniczka powieści kryminalnych dr Alina Polak. Prof. dr hab. Czeslaw Osękowski opowiadał o dziejach budowli w miejscowościach położonych między Nysą Łużycką a Bobrem. Od niego dowiedziałem się, że w latach powojennych po polskiej stronie łużyckiego miasta Forst, nazwanej Zasiekami, powstał ogromny magazyn zabytkowych mebli i innego wartościowego mienia poniemieckiego, niezbędnego w domach. Część zgromadzonych tam sprzętów trafiło do biur firm państwowych. Ile i gdzie? Dokładnie nie wiadomo. Co stało się z resztą? Na to pytanie badacze przeszłości Środkowego Nadodrza nadal szukają odpowiedzi. Bardziej dociekliwi nie mają wątpliwości, że wiele kosztownych

przedmiotów znajduje się w domach potomków tych, którzy po 1945 roku sprawowali tu władzę. Coś dostało się w ręce szabrowników.

Bronioznawca dr Włodzimierz Kwaśniewicz wytłumaczył mi zasadę działania sztucera. Jak zachowuje się pocisk wystrzelony z tej broni i co powoduje w ciele ofiary, wyjaśni! mi historyk i łowczy dr Jan Mielżyński. On także starał się mnie przekonać, że myśliwi nie tylko polują na dziką zwierzynę, lecz i ją dokarmiają, i pomagają leśnym zwierzętom przetrwać trudne pory roku, i nawet je leczą w specjalnych ośrodkach oraz upowszechniają wiedzę o przyrodzie. Leśnik z wykształcenia i zawodu, myśliwy z zamiłowania Oleg Sanocki, z którym spędziłem wiele godzin na dyskusji o łowiectwie, uparcie twierdził, że jest to hobby pożyteczne tak z punktu widzenia gospodarki leśnej, jak i samej natury. Zgodziłem się z nim dopiero wtedy, kiedy dodał, że pod warunkiem przestrzegania zasad etyki łowieckiej.

Znawca anatomi Marian Araszkiewicz naświetlił mi, jak funkcjonują narządy oraz układy w organizmie żywego człowieka i co się z nimi dzieje po śmierci. Przy okazji wyjaśnił, jakie zadania spoczywają na lekarzu sądowym. Elżbieta Sibilska pomogła mi zdobyć informacje o następstwach działania leków przeciwbólowych. O niemedycznych sposobach łagodzenia męczących objawów szczególnie w psychice wrażliwych ludzi opowiedziała mi Izabela Duscha, która okazała się znakomitą tłumaczką i przewodniczką po tym, co ma korzenie niemieckie.

Dziękuję obytym w prawie znajomym z kręgów policyjnych, sądowych i prokuratorskich. Nie wszystko w powieści przedstawiłem tak, jak tego się spodziewali, ale to nie do końca moja wina. Chciałem postępować wedle przepisów, tylko że niekiedy miałem ograniczony wpływ na zachowanie bohaterów książki.

Żonie dziękuję za cierpliwość, wyrozumiałość i dobroć, której nigdy mi nie szczędziła, a w czasie pisania powieści wiele domowych obowiązków brała na swoje barki. Identycznie

zachowywała się, gdy pisałem poprzednie książki.

Dziękuję wydawcy i redaktorom, bez których pomocy powieść nie byłaby taka, jaka się stała.

Przypisy

1) Wojowniczy lud irański, od schyłku VIII wieku p.n.e. zamieszkujący północne rejony Morza Czarnego. Na przełomie VII i VI w. p.n.e. Scytowie najechali ludy cywilizacji łużyckiej żyjące między Odrą i Wisłą. ↵
2) Wieś w powiecie żarskim, gdzie znajdowała się osada ludności kultury łużyckiej z epoki brązu. ↵
3) Rak gruczołu sutkowego. ↵
4) Plamy pośmiertne. ↵
5) Stężenie pośmiertne. ↵
6) Ośrodkowy układ nerwowy. ↵
7) Rak jelita grubego. ↵
8) (ang.) Kto jest kim. ↵
9) Tu wylęgają się kadry. ↵
10) Nie ma przestępstwa bez winy. ↵
11) Mechaniczna maszyna do liczenia, poprzedniczka kalkulatora. ↵
12) *Kobieta zmienna jest* – aria z opery *Rigoletto* Giuseppe Verdiego. ↵
13) Bezczynność nie daje odpoczynku. ↵
14) Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. ↵
15) Niemiecka Federalna Straż Graniczna. ↵
16) Federalna Służba Wywiadowcza. ↵
17) Nowy cmentarz żydowski. ↵
18) Popularna nazwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego Niemieckiej Republiki Demokratycznej. ↵
19) Pusty tron. ↵
20) Nieformalne międzynarodowe stowarzyszenie wpływowych osób ze świata polityki i gospodarki (wikipedia). ↵
21) Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. ↵
22) Co pani dolega? ↵
23) Dlaczego? ↵
24) Wysokiej klasy bułgarska brandy produkowana tradycyjną me-

todą. Wykorzystywane są w niej winne destylaty po ponad co najmniej pięcioletnim leżakowaniu w dębowych beczkach. ↵
25) Spiesz się powoli. ↵
26) W końcu nawet bogowie się mylą. ↵
27) Dwa razy daje, kto prędko daje. ↵
28) Koniec wieńczy dzieło. ↵

OFICYNKA ZAPRASZA
WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością I które sprawią, ze zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać silę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej,

POLECAMY

Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl
e-ma.il: oficynka@oficynka.pl
Tel. 510 043 387

MROCZNY CIEŃ PRZESZŁOŚCI...

Pewnego dnia zdun remontujący podupadły pałac księżnej Doroty de Talleyrand-Périgod na Zatoniu znajduje w kominie szczątki dziecka z dawnych lat. Znalezisko wstrząsa opinią publiczną. W tym samym czasie Daniel Jung dostaje polecenie od naczelnej, żeby przeprowadzić wywiad z profesorem Stefanem Pośladnim, światowej sławy znawcą cywilizacji łużyckiej, który założył prywatną uczelnię archeologiczną. Do spotkania jednak nie dochodzi. Pośledni zostaje zamordowany w niewyjaśnionych okolicznościach. Jung zaczyna zadawać niewygodne pytania...

POMSTA to trzecia część serii powieści o dziennikarzu śledczym Danielu Jungu.

ALFRED **SIATECKI** – pisarz i dziennikarz. Ma w swoim dorobku literackim powieści obyczajowe, między innymi „Jubel" (1987), „Zmowa pułkowników" (2000) czy „A jednak będzie noc poślubna" (2007), zbiory opowiadań oraz bio-bibliografie lubuskiego środowiska literackiego. Jest autorem słuchowisk, zajmuje się też krytyką literacką i historią literatury. Jego utwory przekładano na białoruski, łużycki, niemiecki i rumuński.

W serii o Danielu Jungu ukazały się: „Postrzelony" i „Porąbany".

ISBN: 978-83-65891-07-5
9 788365 891075
39,00 zł cena detaliczna
Oficynka
www.oficynka.pl